

*A jak było za dni Noego, tak będzie z przyjściem Syna Człowieczego.  
Albowiem (...) jedli i pili, żenili się i za mąż wydawali (...)  
i nie spostrzegli się, aż przyszedł potop i pochłonął wszystkich,  
tak, również będzie z przyjściem Syna Człowieczego.  
Wtedy dwóch będzie w polu: jeden będzie wzięty, drugi zostawiony.  
Dwie będą mleć na żarnach: jedna będzie wzięta, druga zostawiona. (...)  
Tej nocy dwoje będą na jednym postaniu: jedno będzie wzięte, a drugie  
zostawione.*

*Mt 24, 37-41 ; Łk 17, 34*

# DZIEŃ

POWIEŚĆ O CZASACH OSTATECZNYCH

# ZAGŁADY

TIM LAHAYE  
JERRY B. JENKINS

## *Rozdział pierwszy*

Gdy Rayford Steele znalazł się nad Atlantykiem, jego myśli zaczęły krążyć wokół kobiety, której jeszcze nigdy nie dotknął. Siedział za sterami pełnego pasażerów Boeinga 747, który zgodnie z rozkładem miał lądować na Heathrow w Londynie o szóstej rano; włączył automatycznego pilota i oddał się marzeniom.

Ferie wiosenne mógłby spędzić z żoną i dwunastoletnim synkiem. Córka, która była na studiach, także mogłaby wtedy przyjechać do domu. Jednak w tej chwili, siedząc obok drzemiącego pierwszego kapitana, Rayford wyobraził sobie uśmiechającą się załotnie Hattie Durham i z niecierpliwością oczekiwał, kiedy ją znów zobaczy.

Hattie była szefową personelu pokładowego, a Rayford nie widział jej już chyba od godziny.

Zazwyczaj lubił wracać do domu, gdzie czekała na niego Irena. Pomimo czterdziestki była atrakcyjna i pełna życia. Ale ostatnio poczuł się odsunięty - miała obsesję na punkcie religii i tylko o religii można było z nią rozmawiać.

Rayford Steele czuł się w porządku wobec Boga. Kiedyś nawet lubił chodzić do kościoła. Ale od czasu gdy Irena przyłączyła się do pewnej mniejszej wspólnoty, regularnie uczęszczała na wykłady biblijne w środku tygodnia i nie opuszczała żadnej niedzieli, poczuł się nieswojo. To nie była wspólnota, w której można by stwarzać pozory, nie interesując się innymi ludźmi i nie przejmując się ich problemami. Tu nie można było być pozostawionym samemu sobie. Ci ludzie przypierali go do muru, zadając kłopotliwe pytania na temat tego, co Bóg znaczy w jego życiu.

*Szczęście w podrózach*, odpowiadał z uśmiechem, myśląc, że wystarczająco zadowolili rozmówców; jednocześnie wynajdywał coraz więcej wykrętów na niedzielne poranki.

Rayford próbował wmówić sobie, że to z powodu całkowitego poświęcenia się Ireny Boskiemu konkurentowi jego myśli zaczęły zbaczać w inną stronę. Ale tak naprawdę wiedział, że prawdziwym problemem było jego własne libido.

Na dodatek Hattie Durham była wyjątkowa. Nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Najbardziej lubił w niej to, że miała zwyczaj przyjacielsko go dotykać. Nic niestosownego ani na pokaz. Było mu bardzo przyjemnie, gdy przechodząc obok, delikatnie ocierała się, lub gdy stojąc za plecami w kabinie pilotów, dyskretnie kładła dłoń na jego ramieniu.

Ale nie tylko to było powodem, że Rayford czuł się dobrze w jej towarzystwie. Z jej spojrzeń, zachowania i reakcji mógł wnosić, że Hattie podziwia go i obdarza głębokim szacunkiem. Domyślał się, że jest zainteresowana czymś więcej.

Spędzali wiele czasu sam na sam lub w towarzystwie współpracowników, gawędząc przy drinkach czy podczas obiadów. Nie odwzajemniał jej zalotnych spojrzeń ani zabiegów, domyślając się, że wystarczyłby jeden uśmiech.

Może dzisiaj. Może właśnie dziś rano, jeśli tylko jej delikatne pukanie do drzwi kabiny pilotów nie obudzi ciągle drzemiącego pierwszego oficera, w przyjacielski sposób odwzajemni dotyk jej rąk na swoich ramionach, z nadzieją że ona zrozumie to jako jego pierwszy krok w stronę zażyłości.

Przecież to nic wielkiego. Mimo że Rayford nie był świętoszkiem, nigdy nie zdradził Ireny, chociaż miał wiele okazji. Przez wiele miesięcy dręczyło go poczucie winy z powodu udziału w sprośnej zabawie zorganizowanej przez jego firmę ponad dwanaście lat temu w okresie Bożego Narodzenia. Irena została wtedy w domu, gdyż nie czuła się dobrze w dziewiątym miesiącu nieplanowanej ciąży z ich synkiem - Rayem juniorem.

Rayforda podniecało to, co się tam działo, ale zdawał sobie sprawę, do czego może to doprowadzić, i wcześniej wyszedł z imprezy

do domu. Nie mógł ukryć przed Ireną, że jest pod wpływem alkoholu. Nie podejrzewała jednak o nic więcej swojego bezkompromisowego, oddanego kapitana. Rayford był człowiekiem o bardzo surowych zasadach i kiedyś, podczas pewnej śnieżnej zimy, gdy lotnisko O'Hare było zamknięte, wypił z nudów dwa kieliszki martini. Po wznowieniu lotów sam się ukarał, zgłaszając się do dyrekcji. Zaproponował, że zapłaci za kilkudniowe szkolenie nowego pilota, żeby wynagrodzić straty, jakie wyrządził Pan-Continental swoim niemoralnym postępkami. Zarząd linii był tak zaszokowany, że postawił go za wzór dyscypliny i mądrości innym pilotom.

Za kilka godzin Rayford jako pierwszy zobaczył nagle promyki - zwiastuny słońca, tańczącą paletę kolorów wskazującą świt nad kontynentem. Do tego czasu ciemność za oknami zdawała się nieprzenikniona i rozciągała się na kilometry. Podchmieleni lub śpiący pasażerowie siedzieli przy zasłoniętych oknach, wygodnie opierając głowy na poduszkach, otuleni kocami. Wydawało się, że samolot jest tylko ciemną, pochrapującą we śnie salą. Ale nie dla wszystkich. Niektórzy, jak personel pokładowy, musieli czuwać, kilka osób udało się do toalety.

Pytanie, które nurtowało Rayforda podczas tej najczarniejszej godziny przed świtem, dotyczyło kwestii, czy ma zaryzykować i zaangażować się w nowy, ekscytujący związek z Hattie Durham. Musiał stłumić uśmiech. Żartuje czy co? Cóż za myśl? Czy ktoś z jego reputacją marzy o innej kobiecie i to piętnaście lat młodszej? Nie był pewien. Och, gdyby tylko Irena postępowała inaczej.

A może samo jej przejście, ten przesąd o końcu świata, umiłowanie Jezusa, kwestia zbawienia dusz? Ostatnio czytała wszystko, co dotyczyło Pochwycenia Kościoła. *Możesz to sobie wyobrazić, Ray, mówiła podnieconym głosem, Jezus przyjdzie, żeby nas zabrać, zanim umrzemy?*

*No pewnie, odpowiadał, zerkając znad gazety, to by mogło mnie zabić.*

*Nie uśmiechnęła się. Gdybym nie wiedziała, co mnie czeka, powiedziałaby, nie żartowałabym sobie.*

*Nawet nie mam pojęcia, co się ze mną stanie, upierał się. Mogę umrzeć, zginąć, zniknąć. Koniec. A ty, naturalnie, pofruniesz prosto do nieba.*

Nie chciał jej urazić. Po prostu bawił się. Gdy się odwróciła, wstał i podszedł. Objął ją i próbował pocałować, ale Irena stała chłodna, nie okazała uczucia. *Bądź rozsądna, powiedział. Przecież tysiące ludzi może nagle zemdleć lub dostać zawału, gdy zobaczą, że Jezus przychodzi po wszystkich dobrych ludzi.*

Odwróciła się ze łzami. *Już ci mówiłam tyle razy, że wierzący to nie ludzie dobrzy, tylko...*

*... tacy, którym grzechy są przebaczone; tak, wiem, pamiętam, powiedział, czując się odepchnięty i zraniony. Wrócił na fotel i znowu zatopił się w lekturze gazety. Jeśli ci to ulży, to wiedz, że cieszę się, iż jesteś tak bardzo pewna tego, w co wierzysz.*

*Ja tylko wierzę w to, co jest napisane w Biblii,* odparła spokojnie.

Rayford wzruszył ramionami. Miał zamiar odpalić: *No to sobie wierz,* ale powstrzymał się, nie chcąc pogarszać i tak już niemiłej atmosfery. Prawdę mówiąc, zazdrościł jej trochę tego przekonania, które przypisywał większej emocjonalności i silniejszej uczuciowości. Nie chciał się sprzeczać, ale uważał, że jest bystrzejszy, co tu dużo mówić, po prostu bardziej inteligentny. Wierzył w przepisy, systemy, prawa, wzorce, w to, co mógł zobaczyć, usłyszeć, czuć i czego mógł dotknąć.

Jeśli Bóg jest częścią tego, w porządku. Wyższa moc, miłujący byt, siła ponad prawami natury, fajnie. Możemy śpiewać o tym, modlić się, mieć dobre samopoczucie, będąc uprzejmi wobec innych, a nawet zastosować to w biznesie. Najbardziej obawiał się, że ta mania religijna może nie przejść Irenie, tak szybko jak jej zaangażowanie w Amway, sprzedawanie garnków czy okres aerobiku. W wyobraźni już ją widział, jak chodzi od drzwi do drzwi, pytając, czy może zacytować fragment Pisma Świętego. Z pewnością знаła jego myśli i obawy lepiej, niż przypuszczał.

Irena stała się prawdziwą fanatyczką religijną i w pewien sposób wyzwoliła w Rayfordzie potok fantazji o Hattie Durham, które wca-

le nie wzbudzały w nim poczucia winy. Mógłby coś Hattie zaproponować, zasugerować, napomknąć o czymś, co sprawi, że razem pomaszerują przez Heathrow na postój taksówek. Może nawet wcześniej. Czy jest na to gotowy choćby zaraz, na kilka godzin przed lądowaniem?

Tuż przy oknie w pierwszej klasie siedział pochylony nad laptopem dziennikarz. Zamknął go, przyrzekając sobie, że później powróci do reportażu. Trzydziestoletni Cameron Williams był najmłodszym w dziejach starszym redaktorem prestiżowego pisma „Global Weekly”. Inni starsi redaktorzy zazdrościli mu, gdyż przy każdym reportażu albo pierwszy miał informacje, albo przydzielano go do obsługi najciekawszych wydarzeń na świecie. Zarówno sprzymierzeńcy, jak i wrogowie redakcyjni nazywali go Buck\*, gdyż jak mówili, brał na rogi tradycję i autorytet. Buck wierzył, że jego życie toczy się niemal w legendarnych czasach, gdyż był naocznym świadkiem najważniejszych wydarzeń na świecie.

Czternaście miesięcy wcześniej doświadczył nieprawdopodobnego wydarzenia w związku z wywiadem, jaki przeprowadził z Chaimem Rosenzweigem w Izraelu. Ta historia stała się wydarzeniem numer jeden noworocznego wydania pisma.

Podeszły w latach Rosenzweig był jedynym w historii „Global Weekly” powszechnie znanym kandydatem na Człowieka Roku wybieranego przez to pismo. Zasadą było, że redaktorzy „Global” trzymali się z daleka od każdego, kto mógł być pewnym kandydatem na Człowieka Roku wybieranego przez „Time Magazine”. Ale Rosenzweig był wyjątkowy. Cameron Williams poszedł na kolegium przygotowany do walki o Rosenzweiga z każdym innym, kogo próbowaliby kreować na laureata.

\* Buck (ang.) tu: Tryk (wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumacza)

Redaktor Steve Plank mile go zaskoczył, otwierając zebranie:

*Czy ktoś jest na tyle głupi, by nominować kogokolwiek innego niż laureata Nagrody Nobla w dziedzinie cherflii?*

Członkowie kolegium, spoglądając po sobie, zaprzeczyli i podnieśli się, by opuścić salę.

*Proszę wysiadać, drzwi zamykać, zebranie skończone,* zawołał Buck. *Steve, nie chcę być tendencyjny, ale wiesz, że znam tego face-ta, a on mi zaufał.*

*Nie tak szybko, kowboju,* powiedział jeden z rywali, zwracając się do Pianka. *Pozwolisz, żeby Buck tak po prostu sam wyznaczył zwycięzcę?*

*Być może,* powiedział Steve. *Gdybym nawet tak zrobił, co ci do tego?*

*Ja tylko myślałem, że to jest kwestia techniczna, dziedzina naukowa,* odparł zbity z tropu wróg Bucka. *Wyznaczyłbym, do tego zadania dziennikarza zajmującego się nauką.*

*I uspiłbyś czytelnika,* odparował Plank. *Przestań się sprzeczać, przecież wiesz, jakie on ma sposoby.* Od chwili gdy Buck się za to zabrał, materiał nie należy już do kategorii naukowych. *Chcę, żeby czytelnik poznał człowieka i zrozumiał znaczenie jego odkrycia.*

*Jakby ktoś tego nie wiedział,* zamruczał oponent. *On przecież zmienił cały bieg rozwoju ludzkości.*

*Dzisiaj dokonam wyboru,* ogłosił naczelny. *Dziękuję za twój udział, Buck. Wam również, panowie, dziękuję za zaangażowanie.*

Zapał i ożywiona aktywność na nowo wypełniły pomieszczenia redakcyjne, ale do uszu Bucka dotarł pomruk niezadowolenia, gdyż jego konkurenci dobrze wiedzieli, że elegancko uczesany młodzieniec zbierze wszystkie laury. Tak też się stało.

Poparcie szefa oraz opozycja współpracowników poskutkowały większym zaangażowaniem Bucka w doskonaleniu swych umiejętności zawodowych. Po przybyciu do Izraela Buck został zakwaterowany w jednostce wojskowej i spotkał się z Rosenzweigiem w tym samym kibucu na przedmieściach Hajfy, w którym przed rokiem przeprowadzał z nim wywiad.



Oczywiście Rosenzweig sam był podekscytowany tym, co odkrył, czy wynalazł - właściwie nikt nie wiedział, jak to zaszeregować - i co faktycznie było wydarzeniem roku. Ten skromny człowiek uważał się za przyrodnika, ale tak naprawdę był inżynierem chemikiem, który sporządził syntetyczny nawóz, dzięki któremu piaski pustyni w Izraelu zazieleniły się jak ogrody. Odkrycie to powszechnie nazwano formułą Rosenzweiga.

*Nawadnianie nie stanowiło dla nas większego problemu przez dziesięciolecia, powiadał stary uczonec. Ale to tylko nawilżało piasek. Kiedy do wody dodaje się moją formułę, piasek zamienia się w żyzną glebę.*

Buck nie był naukowcem, ale takie proste stwierdzenie nawet jego wprowadziło w zdumienie. Dzięki wynalazkowi Rosenzweiga Izrael w bardzo krótkim czasie stał się najbogatszym krajem świata, a jego odkrycie dawało znacznie większe dochody niż rozległe złoża ropy naftowej sąsiadów. Każdy centymetr ziemi obfitował w rośliny i zboża, nawet takie, których produkcja nie była tam dotychczas możliwa. Izrael stał się eksportowym potentatem, bezrobocie zostało kompletnie wyeliminowane, mieszkańcy kraju prosperowali jak nigdy dotąd. Świat zaczął spoglądać zazdrosnym okiem na Ziemię Świętą.

Dobrobyt, który przyniósł cudowny wynalazek, całkowicie odmienił bieg historii kraju. Napływ gigantycznych finansów doprowadził do ustanowienia pokoju z sąsiednimi narodami. Wolny handel i swoboda poruszania pozwalały wszystkim, którzy kochali ten kraj, do przybywania i zwiedzania go. Jediną rzeczą, do której nie mieli dostępu, była formuła Rosenzweiga.

Buck nie miał zamiaru prosić starego człowieka, żeby wtajemniczył go w swój wynalazek czy objaśnił ściśle chroniony skomplikowany proces wytwarzania. Sam fakt, że zamiast w hotelu Buck musiał przebywać w bazie wojskowej, świadczył o podjętych środkach ostrożności. Tajemnica tego sekretu zapewniała Izraelowi niezależność i bezpieczeństwo. Nigdy Żydzi nie cieszyli się takim pokojem jak obecnie. Otoczona odwiecznymi murami Jerozolima była teraz symbo-

lem, zapraszającym wszystkich miłujących pokój. Stary naukowiec wierzył, że Bóg wynagradza i rekompensuje im wieki prześladowań.

Chaim Rosenzweig był wszędzie szanowany, a we własnym kraju po prostu wielbiony. Wielcy tego świata zabiegali o niego tak natrętnie, że w końcu trzeba go było otoczyć ochroną jak głowę państwa. Izrael był dumny z odkrycia, jednakże jego przywódcy nie byli głupcami. Porwanie i torturowanie Rosenzweiga mogłoby doprowadzić do ujawnienia sekretu, który w podobny sposób mógł zrewolucjonizować każde inne społeczeństwo.

Nietrudno sobie wyobrazić, czego mogłaby dokonać jego formuła zastosowana na niezmiernych obszarach rosyjskiej tundry. Czy i ten teren zakwitłby, pomimo śniegu zalegającego przez większą część roku? Czy byłby to klucz do odnowy ogromnego społeczeństwa wyniszczonego w okresie komunizmu w czasie istnienia Związku Radzieckiego?

Rosja ze swoją kulejącą gospodarką i przestarzałą technologią była już od lat kolosem na glinianych nogach. Kraj ten szczylił się jedynie potęgą militarną, gdyż każda najdrobniejsza kwota była zużywana na cele wojskowe. Przejście systemu monetarnego z rubla na euro nie odbyło się bez zgrzytów w nękanym problemami społeczeństwie. Sprowadzenie światowego systemu finansowego tylko do trzywalutowych operacji zajęło lata, kiedy jednak w końcu zostało ukończone, większość państw była w miarę zadowolona. Cała Europa wraz z Rosją dokonywała transakcji w euro. Kraje azjatyckie, afrykańskie i Bliski Wschód posługiwały się jenem, natomiast obie Ameryki z Australią pozostały przy dolarze. Zaczęto snuć plany przejścia do jednej, ogólnoswiatowej waluty, ale kraje, które przeszły na nową walutę, odżegnywały się od kolejnej zmiany.

Rosjanie sfrustrowani niepowodzeniami w próbach zdobycia izraelskiego wynalazku, a zarazem owładnięci myślą o okupacji Ziemi Świętej, przygotowali atak lotniczy w środku nocy. Napaść ta zyskała miano rosyjskiego Pearl Harbor, a ponieważ Buck był w tym czasie w Izraelu, by przeprowadzić wywiad z Rosenzweigem niespodziewanie stał się naocznym świadkiem owych wydarzeń. Rosjanie wy-

słali myśliwce bombardujące MIG wyposażone w głowice nuklearne oraz międzykontynentalne pociski balistyczne. Liczba samolotów i raket wyraźnie świadczyła o zamiarze obrócenia regionu w pył. Mówić, że Żydzi nie byli przygotowani do odparcia zmasowanego ataku, o czym pisał Cameron Williams, to jakby rozwodzić się nad tym, że mur chiński jest długi. Gdy tylko izraelskie radary uchwyciły pierwsze rosyjskie myśliwce, pojawiło się ich tyle, że zasłoniły cały horyzont. Desperackie wezwania pomocy kierowane do krajów arabskich i Stanów Zjednoczonych przeplatały się z żądaniem wyjawienia celów napastnika. Było oczywiste, że zanim Izrael zdąży zmontować z sojusznikami jakąkolwiek linię obrony, Rosjanie zdobędą drugoczącą przewagę.

Tylko minuty dzieliły ich od całkowitej zagłady. Załamały się wszelkie negocjacje, skończyły się rokowania z hordami północy. Gdyby Rosjanie mieli zamiar tylko zastraszyć lub sterroryzować Izrael, z pewnością nie zasłoniłoby nieba tak wielką liczbą maszyn oraz raket samosterujących. Samoloty mogły jeszcze przecież zawrócić, ale zaprogramowane rakiety niechybnie zdążyły do celu.

Nie była to więc zagrywka polityczna w celu upokorzenia Izraela. Nie było już szans na jakiegokolwiek korekty ataku. Izrael, nie mając żadnych wyjaśnień w sprawie naruszenia strefy powietrznej państwa, zdany tylko na siebie, zaczął przygotowywać się do odparcia ataku ze świadomością, że nie ma najmniejszych szans i już pierwsze uderzenie zdmuchnie całe państwo z powierzchni ziemi.

Przy wtórze wyjących syren radio i telewizja pokazywały relacje z ostatniej obrony. Pierwsze pociski izraelskiej obrony przeciwlotniczej dosięgnęły celu i niebo rozświetliło się pomarańczowo-żółtymi błyskami ognia.

Fachowcy obserwując wskazania radarów, interpretowali ogłuszające eksplozje na nieboskłonie jako zaciekły atak Rosjan. Dowódcy wojskowi oczekiwali, że za kilka sekund, kiedy zmasowany atak bombowy obejmie cały kraj, zakończy się ich upokorzenie.

To, co Buck obserwował z bazy wojskowej, wskazywało, że koniec jest bliski. Nie było innej możliwości. Niebo rozbłyskiwało coraz

bardziej, aż w końcu stało się jasne jak w dzień. Jednak przeraźliwe, ogłuszające eksplozje trwały tylko w powietrzu, nic na ziemi nie zostało uszkodzone. Budynek, w którym przebywali, drżał cały, trzeszczał i trząsł się w posadach. Ale nie trafiły go bomby.

Samoloty spadały na ziemię, wybijając głębokie kratery i rozpryskując się wokół płonącymi szczątkami. Pomimo tego łącza telekomunikacyjne nadal działały. Ani jeden ośrodek dowodzenia nie został zniszczony czy uszkodzony. Jak dotąd nie było żadnych strat w ludziach. W ogóle nic nie zostało zniszczone.

Czy to był okrutny żart? Z pewnością pierwsze pociski izraelskiej obrony zniszczyły niektóre samoloty wroga. Rosyjskie rakiety eksplodowały więc zbyt wysoko, by spowodować na ziemi coś więcej niż niegroźny pożar. Ale co się stało z resztą rosyjskiego lotnictwa? Radary wskazywały wyraźnie, że Rosjanie wystali prawie wszystkie samoloty, jakie mieli, nie pozostawiając nic do własnej obrony. Tysiące samolotów uderzyły na najbardziej zaludnione miasta niewielkiego kraju.

Wybuchy trwały, a eksplozje były tak potworne, że nawet doświadczeni weterani i dowódcy wojskowi z przerażeniem zaciskali oczy, zatykali uszy i krzyczeli w oczekiwaniu rychłej śmierci. Buck zawsze chciał być blisko linii frontu. Jego instynkt samozachowawczy był w stanie najwyższej gotowości. Bez wątpienia zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili może umrzeć i nagle zaczęły go nachodzić najdziwniejsze myśli. Dlaczego nigdy się nie ożenił? Czy pozostaną po nim jakieś szczątki, żeby ojciec z bratem mogli go zidentyfikować? Czy jest Bóg? Czy śmierć jest końcem wszystkiego i nic już poza nią nie istnieje?

Przeczołgał się pod pulpitem sterowniczym zdumiony nagłym szlochaniem, które wstrząsało całym jego ciałem. Nie było to uczucie, jakiego mógł się spodziewać na wojnie. Wyobrażał sobie, że z ukrycia będzie mógł bezpiecznie obserwować akcję, zapamiętując szczegół po szczególe.

W ciągu zaledwie kilku minut Buck uświadomił sobie, że bez względu na to, czy będzie się w bunkrze, czy na zewnątrz, i tak za

chwilę będzie martwy. Nie czuł nic, jedynie wyjątkowość sytuacji. Mógł być przynajmniej tym jedynym w całej jednostce, kto się dowie i naocznie przekona, co go zabiło. Choć nogi miał jak z waty, skierował się do drzwi. Nikt nie zauważył go ani nie ostrzegł, żeby nie wychodził. Wyglądało tak, jakby wszyscy zostali skazani na śmierć i tylko czekali na wykonanie wyroku.

Popchnął drzwi, które otworzyły się ze zgrzytem ukazując blask jak z płonącego pieca tak, że musiał osłonić twarz przed oślepiającą jasnością. Całe niebo płonęło. Słyszał nieustanny ryk samolotów i ogłuszający huk szalejącego ognia. Raz po raz wybuchające w powietrzu samoloty zapalały nowe strumienie ognia. Stał kompletnie oszołomiony, zdumiony widokiem spadających na ziemię wielkich maszyn wojskowych, które rozbijały się doszczętnie i płonęły. Spadały między budynki lub na ulice i puste pola, nie wyrządzając nikomu krzywdy. Bomby zapalające i pociski nuklearne wybuchwały wysoko w atmosferze tak, że nie stanowiły zagrożenia. Buck stał wpośród tego żaru, na twarz wystąpiły mu krople potu a całe ciało oblało się warem. Zupełnie nie mógł zrozumieć, co się dzieje.

Potem zaczęły spadać kawałki lodu wielkości piłek golfowych i Buck musiał kurtką osłonić głowę. Ziemia zatrzęsła się z wielkim hukiem, zwalając go z nóg. Leżał twarzą do ziemi, pokryty lodem i w pewnej chwili poczuł krople deszczu. Nagle z całej kanonady odgłosów pozostał jedynie trzask pożaru nieba, ale i ten zaczął zanikać. Po dziesięciu minutach ogłuszającego huku ogień zgasł, a porzucane dopalające się szczątki żarzyły się jeszcze na ziemi. Porażający blask ognia zniknął tak szybko, jak się pojawił. Nad całym krajem zapanowała głęboka cisza.

Gdy chmury dymu unoszone delikatnym podmuchem wiatru odpłynęły, znów pojawiło się granatowoczarne nocne niebo, a gwiazdy migotały spokojnie, jakby się nic nie wydarzyło.

Buck wrócił do budynku, trzymając w ręku ubłoconą kurtkę skórzaną. Klamka była jeszcze gorąca, a w środku dowódcy wojskowi wciąż drżeli i płakali. Radio ożyło i nadawało meldunki izraelskich pilotów. Nie zdążyli na czas wzbić się w powietrze, żeby stoczyć

jakąkolwiek bitwę z wrogiem, przyglądali się jedynie z daleka, jak Rosjanie zaatakowali sami siebie i sami się zniszczyli.

Tylko cudem w całym Izraelu nie było ani jednej ofiary. Buck mógłby uwierzyć, że jakieś tajemnicze przekłamanie sygnału mogło doprowadzić do tego, że rakiety i samoloty zniszczyły się wzajemnie. Ale naoczni świadkowie twierdzili, że widzieli burzę ognia, która wystąpiła razem z deszczem, gradem i trzęsieniem ziemi i była przyczyną całkowitego fiaska wroga.

Czy mógł to być ponadnaturalnie zesłany, Boży grad meteorów? Być może. Ale co zrobić z setkami, tysiącami płonących, poskręcanych i stopionych szczątków stali, które spadając na Hajfę, Jerozolimę, Tel Awiw, Jerycho, a nawet na Betlejem, zrównały co prawda z ziemią niektóre starożytne budowle, ale nie zadrasnęły ani jednej żyjącej istoty? Dzień, który wstał po kilku godzinach, ukazał ogrom spustoszenia oraz zdemaskował trzymany w tajemnicy sojusz Rosji z krajami Bliskiego Wschodu, a przede wszystkim z Etiopią i Libią.

Spomiędzy zgłiszcz Żydzi wydobywali materiały łatwopalne, które miały im służyć jako paliwo przez następne sześć lat, pozwalając zaoszczędzić naturalne źródła. Utworzone zostały specjalne oddziały, których zadaniem było jak najprędzej pogrzebać ciała poległych rosyjskich pilotów, gdyż tu i ówdzie ptaki i drapieżne zwierzęta zaczęły już rozszarpać zwłoki, co mogło doprowadzić do epidemii. Buck pamiętał to niezwykle wydarzenie bardzo wyraźnie, tak jakby działo się wczoraj. Gdyby nie był na miejscu i sam tego nie przeżył, nigdy by w to nie uwierzył. Jego profesjonalizm nie wystarczył, by czytelnikom „Global Weekly” przekazać te wydarzenia tak, by mogli w nie uwierzyć.

Wszyscy publicyści i czytelnicy mieli własne wyjaśnienie zaistniałego fenomenu, ale Buck przynajmniej przed samym sobą przyznawał, że tamtego dnia zaczął wierzyć w Boga. Żydowski uczeni w Piśmie wskazywali fragmenty Biblii, które mówiły, że Bóg niszczy wrogów Izraela burzą ognia, trzęsieniem ziemi i deszczem. Buck nie mógł wyjść ze zdumienia, gdy przeczytał dwa rozdziały Księgi Ezechiela - trzydziesty ósmy i trzydziesty dziewiąty - mó-

wiące o wielkim nieprzyjacielu z północy, który z pomocą Persji, Libii i Etiopii napadnie na Izrael. Jeszcze bardziej się zdumiał, kiedy zobaczył, że Biblia przepowiedziała nawet rodzaj broni jako paliwo ogniste oraz, że ciała zabitych żołnierzy wroga będą rozszarpywane przez ptaki a potem zostaną pochowane w zbiorowej mogile. Chrześcijańscy przyjaciele Bucka zachęcali go, żeby uczynił następny krok i uwierzył w Chrystusa teraz, skoro jest tak pozytywnie nastawiony duchowo. Ale on nie był gotów; niemniej od tamtej chwili z pewnością stał się innym człowiekiem, a już na pewno innym dziennikarzem. Od tamtej pory wierzył, że wszystko może się zdarzyć.

Nie będąc pewien, czy postępuje zgodnie z sumieniem, kapitan Steele czuł nieodpartą potrzebę natychmiastowego zobaczenia Hattie Durham. Odpiął pasy i wychodząc z kabiny, ścisnął ramię pierwszego oficera.

— Nadal jesteś na automatycznym pilocie, Christopher...  
— powiedział, gdy ten wyprostował się, nerwowo poprawiając słuchawki. — Zrobię sobie poranny obchód przed wschodem słońca.

Christopher zmrużył oczy i oblizał wargi.

— Nie wygląda mi to na wschód słońca, kapitanie.

— Jeszcze godzina czy dwie. Przejdę się i zobaczę, czy ktoś się już rusza.

— Jeśli tak, to powiedz im „Cześć!” od Chrisa.

Rayford skinął głową i uśmiechnął się. Kiedy otwierał drzwi, Hattie Durham wpadła na niego, o mało nie podcinając mu nóg.

— Nie musisz pukać — powiedział. — Akurat wychodziłem.

Szefowa personelu pokładowego pociągnęła go w przejście do kuchni, ale w jej zachowaniu nie było nic zmysłowego. Jej palce wczepiły się jak szpony w ramię Rayforda i czuł, że cała się trzęsie.

— Hattie...

Przycisnęła go mocno do ścianki oddzielającej kabinę pilotów od pokładu, jak najbliżej przysuwając twarz. Gdyby nie była czymś

wyraźnie wstrząśnięta, Rayford nie miałby nic przeciwko takiej bliskości, a nawet odwzajemniłby uścisk. Gdy spróbowała mówić, wydała tylko jęk.

— Ludzie zniknęli z samolotu — wyrzuciła z siebie, ukrywając twarz na jego piersi.

Chwycił ją za ramiona, próbując odsunąć od siebie, ale zaparła się mocno.

— Co ty mówisz?

Cała drżała od głębokiego szlochu. W żaden sposób nie mogła się uspokoić.

— Mnóstwo ludzi, po prostu zniknęli!

— Hattie, to jest duży samolot. Może zwyczajnie poszli do toalety albo...

Pochyliła głowę jeszcze niżej, tak że szeptała mu prosto do ucha. Pomimo szlochania starała się mówić wyraźnie, bardzo się starała i chciała być dobrze zrozumiana.

— Byłam wszędzie i sprawdzałam. Mówię ci, dziesiątki ludzi po prostu wyparowało.

— Hattie, jest nadal ciemno. Znajdziemy jakiś...

— Ray! Ich buty, skarpety, ubrania, wszystko pozostało na miejscach, na których siedzieli. Ale ich samych nie ma! Zniknęli!

Hattie wysunęła się z jego objęć i opadła na kolana, nadal szlochając w przejściu do kuchenki pokładowej. Rayford próbował ją pocieszyć, namawiał, by razem z Chrisem przeszli na pokład samolotu i sprawdzili, jaka jest sytuacja. Bardziej niż czegokolwiek pragnął w tej chwili, żeby okazało się, że to nieprawda, a nawet, że Hattie oszalała. Wiedział jednak doskonale, że to się wydarzyło naprawdę. Chociaż nie potrafiła tego wytłumaczyć, było dla niej oczywiste, że ci ludzie po prostu zniknęli.

Wrócił do kabiny pilotów. Może to wszystko to tylko zły sen? Przygryzł mocno wargi i skrzywił się z bólu. A więc to się dzieje naprawdę, pomyślał. Poszedł do pierwszej klasy, gdzie starsza kobieta siedziała oszołomiona w mdłym półmroku nocnego światła. Trzymała w ręku sweter i spodnie swojego męża.



— Co się dzieje? — wymamrotała. — Haroldzie?

Rayford rzucił okiem na pozostałe miejsca. Większość pasażerów nadal spokojnie drzemała, włącznie z młodym człowiekiem przy oknie trzymającym laptopa na rozkładanym stoliku. Ale rzeczywiście niektóre siedzenia były puste. Rayford szybko skierował się w stronę schodów, podczas gdy jego oczy powoli przyzwyczajały się do półmroku. Zaczął schodzić, ale kobieta zawołała za nim.

— Proszę pana, co z moim mężem...

Rayford przyłożył palec do ust i wyszeptał.

— Tak, wiem. Na pewno go znajdziemy. Niech się pani nie martwi. Zaraz wracam.

*Jakiś nonsens*, pomyślał, schodząc na dół. Zauważył, że Hattie idzie za nim. Czy my go w ogóle znajdziemy?

Zatrzymał się, kiedy Hattie chwyciła go za ramię.

— Czy mam zapalić główne światła na pokładzie?

— Nie — wyszeptał. — Im mniej ludzi o tym wie, tym lepiej.

Rayford chciał się okazać silny, wiedzieć, co się dzieje, i podejmować decyzje; chciał być wzorem dla swojej załogi, dla Hattie. Ale kiedy po chwili dotarł na dolny pokład, zrozumiał, że dalszy lot będzie się odbywać w strasznym chaosie. Bał się tak samo jak inni. O mało nie uległ tej samej panice, kiedy lustrował siedzenia. Schował się w odosobnionym pomieszczeniu za przegrodą oddzielającą go od pasażerów i z całej siły uderzył pięścią w szczękę.

To nie był żart ani sen, ani żadna sztuczka. Stało się coś strasznego i nie było ucieczki od tego. Doszedł jednak do wniosku, że musi zrobić wszystko, żeby opanować chaos, zamieszanie i przerażenie. Tak jak inni nie był na to w ogóle przygotowany, a teraz wszyscy będą od niego oczekiwali właściwej postawy. Co powinien zrobić? Jak się zachować?

Jeden z pasażerów zaczął głośno płakać, po chwili dołączyli do niego inni, którzy też zauważyli, że po ich bliskich pozostały tylko ubrania. Płakali coraz głośniejsze, kobiety zawodziły. Hattie uczepliła się Rayforda tak mocno, że ledwie mógł oddychać.

— Rayfordzie, co to wszystko ma znaczyć?

Uwolnił się z jej uścisku i odwrócił do niej twarz.

— Posłuchaj, Hattie. Tak jak ty nie wiem, co tu się dzieje. Ale wiem, że musimy uspokoić tych ludzi i bezpiecznie wylądować. Powiem coś przez głośniki, a ty ze swoimi ludźmi dopilnuj, żeby wszyscy pozostali na miejscach, dobrze?

Kiwnęła głową, ale wyglądała nie najlepiej. Kiedy ją mijał, w pośpiechu idąc do kabiny, nagle doszedł go jej przeraźliwy krzyk. *W ten sposób nigdy nie uspokoi pasażerów*, pomyślał, a kiedy odwrócił się, zobaczył ją na kolanach w przejściu pomiędzy rzędami siedzeń. Trzymała w ręku czyjaś bluzę, koszulę i ciągle związany krawat. Spodnie leżały na podłodze u jej stóp. Hattie gorączkowo skierowała bluzę w stronę słabego światła i przeczytała imię na identyfikatorze.

— Tony! — zawołała łkając. — Tony zniknął!

Rayford wyrwał jej z ręki ubrania i rzucił za przegrodę pomiędzy pasażerami. Szybko podniósł Hattie za łokcie i wyciągnął poza zasięg wzroku pasażerów.

— Posłuchaj, Hattie, lądujemy dopiero za kilka godzin. Nie możemy dopuścić, żeby w samolocie wszyscy histeryzowali. Podam komunikat o zaistniałej sytuacji, ale ty musisz wykonać swoją robotę. Czy możesz wziąć się w garść?

Przytaknęła nieobecny wzrokiem. Zmusił ją, żeby spojrzała na niego.

— Zgoda? — zapytał.

Znowu skinęła głową.

— Rayfordzie, czy my umrzemy?

— Nie — odpowiedział. — Tego jestem całkowicie pewien.

Ale tak naprawdę nie był pewien niczego. Skąd może wiedzieć?

Mógłby się prędzej spodziewać pożaru silnika, niebezpiecznej turbulencji czy nawet niesterowalnego lotu. Roztrzaskanie się w oceanie byłoby lepsze niż to, przez co teraz przechodzą. W jaki sposób zmusić ludzi do opanowania się podczas takiego koszmaru?

Jak do tej pory ciemność na pokładach pasażerskich okazała się bardzo pomocna w utrzymaniu porządku i Rayford był zadowolony, że dał Hattie właściwe polecenie.

— Nie mam w ogóle pojęcia, co zakomunikować pasażerom — oznajmił — ale za jakiś czas włącz światło, żebyśmy mogli dokładnie określić, kto jest, a kogo nie ma, a potem daj obcokrajowcom formularze wizowe.

— Po co?

— Zrób to. Tak jak zawsze. Niech będą gotowi.

Rayford nie był pewien, czy zrobił właściwie, czyniąc Hattie bezpośrednio odpowiedzialną za pasażerów i pozostałych członków załogi. Kiedy śpiesząc się podązał schodami do góry, zauważył inną stewardesę, która podobnie jak wcześniej Hattie upadła na podłogę i krzyczała z przerażenia. Do tej pory jedynie biedny Christopher nie wiedział, co się stało. Co gorsza, Rayford powiedział Hattie, że podobnie jak ona nie wie, co się wydarzyło.

Przerażającą prawdą było jednak to, że Rayford wiedział i to aż za dobrze. Irena miała rację. Zarówno on, jak i reszta pasażerów zostali pozostawieni.

## *Rozdział drugi*

Cameron Williams przebudził się, kiedy starsza kobieta siedząca na drugim końcu rzędu zaczęła rozmowę z pilotem. Pilot uciszał ją, więc zaczęła spoglądać na Bucka. Przesunął dłońmi po swoich przydługich blond włosach i przesłał jej niedbały uśmiech.

— Jakieś kłopoty, madame?

— Chodzi o Harolda — odpowiedziała.

Kiedy zajmowali miejsca, Buck pomagał starszemu mężczyźnie wepchnąć szarą wełnianą marynarkę i filcowy kapelusz do pojemnika na bagaż nad głowami pasażerów. Harold był niskim, szykownym dżentelmenem w drogich, eleganckich, brązowych spodniach i jasnobrązowym pulowerze naciągniętym na koszulę i krawat. Był zupełnie łysy i Buck domyślał się, że kiedy włączą klimatyzację, znowu będzie potrzebował kapelusza.

— Czy on czegoś potrzebuje?

— Nie ma go! Zniknął!

— Przepraszam, nie rozumiem?

— On zniknął.

— No nie, na pewno, kiedy pani spała, może wyszedł na chwilę, powiedzmy, do toalety.

— Czy mógłbyś to dla mnie sprawdzić, młody człowieku? I proszę, weź ze sobą koc.

— Koc?

— Boję się, że poszedł tam nago. On jest bardzo religijny i byłby ogromnie zażenowany, gdyby rzeczywiście był nagi.

Buck z trudem powstrzymał się od śmiechu, gdy jednak dostrzegł ból i przerażenie w głosie kobiety, natychmiast spoważniał. Przeszedł ponad śpiącym po prawej stronie jegomościem, który najwyraźniej

wypił o wiele więcej alkoholu niż podawały stewardessy, i nachylił się, żeby wziąć koc od nieszczęsnej kobiety. Zauważył, że faktycznie ubrania Harolda są starannie poskładane na siedzeniu. Okulary i aparat słuchowy leżał na ubraniach. Nogawki od spodni nadal zwisały z siedzenia, dotykając końcami skarpet i butów. *Dziwne*, pomyślał Buck. *Dlaczego ten staruszek jest taki drobiazgowy?* Przypomnił sobie kolegę w liceum, który miał rodzaj epilepsji, powodującej krótkie utraty świadomości, chociaż wyglądał na zupełnie zdrowego i przytomnego na umyśle. Po takich atakach, w najmniej spodziewanych miejscach nagle ściągał buty i skarpetki albo wychodził z toalety porozpinany.

— Czy pani mąż cierpi na epilepsję?

— Nie.

— Jest lunatykiem?

— Nie!

— Zaraz wrócę.

Toaleta w pierwszej klasie nie była zajęta, ale kiedy Buck przechodził obok schodów, zauważył w przejściu kilku innych pasażerów.

— Przepraszam — powiedział. — Szukam kogoś.

— A kto nie szuka? — odparła jakaś kobieta. ~

Buck przedarł się przez zatłoczone przejście i zauważył sporą kolejkę do toalet w klasie biznes i turystycznej. Pilot przemknął obok niego bez słowa, a po chwili pojawiła się też szefowa personelu pokładowego.

— Przepraszam, muszę pana poprosić o zajęcie miejsca i zapięcie pasów.

— Szukam pewnego pana...

— Wszyscy kogoś szukają — powiedziała. — Mamy nadzieję, że wkrótce będziemy mogli przekazać państwu jakąś konkretną wiadomość na temat tego, co się wydarzyło. Ale teraz proszę wrócić na miejsce, dobrze?

Odwróciła go w kierunku schodów, lekko popychając, a potem wyprzedziła i wbiegła na schody, pokonując po dwa stopnie na raz.

W połowie schodów Buck odwrócił się i rozejrzał. Był środek nocy, ale kiedy włączono światło, przeszył go dreszcz. W całym sa-

molocie ludzie trzymali w rękach jakieś ubrania i albo płakali, albo krzyczeli z przerażenia, że zniknął ktoś z ich bliskich.

Miał świadomość, że to nie sen i odczuł ten sam strach, którego doświadczył, oczekując na śmierć w Izraelu. Co ma powiedzieć żonie Harolda? *Nie tylko pani mąż zniknął? Wiele innych osób też pozostawiło swoje ubrania na siedzeniach i w podobny sposób zniknęło?*

Idąc na swoje miejsce, próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek zetknął się już z podobnym zjawiskiem. Może czytał o tym lub widział jakiś program, albo słyszał o technologii, która może wyssać ludzi z ich ubrań i spowodować, że znikną ze zdecydowanie bezpiecznego dla nich otoczenia. Nurtowało go pytanie, czy ktoś, kto tego dokonał, nadal pozostaje w samolocie? Czy wystosuje jakieś żądania? Czy będzie następna fala zniknięć? Czy on też padnie ofiarą? Gdzie się znajdzie?

Kiedy znowu przechodził ponad ciągle śpiącym i nieświadomym dramatu jegomościem, zauważył, że strach przeniknął i do pierwszej klasy. Zatrzymał się na chwilę, zastanawiając się, co ma powiedzieć.

— Zauważyłem, że zniknęło więcej ludzi — zwrócił się do starszej kobiety, pochylając się nad jej siedzeniem. Trzęsła się ze strachu i tak samo jak Buck nie mogła zrozumieć, co się dzieje.

W chwili, gdy siadł, w głośnikach rozległ się głos kapitana, który zwracał się do pasażerów. Po poinstruowaniu ich, żeby zajęli swoje miejsca, kapitan oznajmił:

— Poprosiłem stewardessy, żeby dokładnie sprawdziły toalety i policzyły wszystkich pasażerów obecnych na pokładzie. Rozdadzą państwu do wypełnienia deklaracje celne i wizowe. Jeśli ktoś, kto wcześniej siedział obok państwa zniknął, proszę wypełnić za niego formularze bardzo skrupulatnie, podając w miarę możliwości jak najwięcej szczegółów, włącznie z imieniem i nazwiskiem, datą urodzenia, adresem zamieszkania itd. Z pewnością zauważyli państwo, że znajdujemy się w bardzo trudnej i wyjątkowej sytuacji. Wypełnione karty pozwolą nam ustalić listę osób zaginionych, którą będę musiał przedstawić władzom w Wielkiej Brytanii. Mój drugi kapitan, pan Smith, dokona teraz wstępnych oględzin pustych siedzeń.

Próbuję skontaktować się z biurem naszych linii Pan-Continental. Jednakże musicie państwo wiedzieć, że nasza obecna pozycja w powietrzu prawie uniemożliwia nawiązanie kontaktu radiowego z ziemią. Pomimo doskonałych połączeń satelitarnych znajdujemy się w bardzo trudno osiągalnej strefie radiowej. Zapewniam, że gdy tylko uzyskam połączenie i dowiem się czegoś, natychmiast poinformuję państwa o tym. Jeszcze raz proszę o zachowanie spokoju i dziękuję za zrozumienie i współpracę.

Buck widział, jak drugi kapitan wyszedł w pośpiechu z kabiny pilotów, czerwony na twarzy, drżąc na całym ciele. Nerwowo przeglądał rząd za rzędem, lustrując siedzenie po siedzeniu, podczas gdy stewardessy rozdawały deklaracje celne.

Współpasażer Bucka przebudził się i przełknął ślinę, gdy stewardessa zapytała, czy zniknął ktoś, kto był razem z nim.

— Zniknął? Naturalnie, że nie. Nikt ze mną nie leci. Jestem sam.

Skulił się pod kocem i po chwili, nadal nieświadomy co się stało ponownie usnął.

Zaledwie po kilku minutach od wyjścia drugiego kapitana Rayford usłyszał zgrzyt klucza w drzwiach kabiny pilotów. Christopher miękko opadł na fotel, nie zapiął pasów i ukrył głowę w dłoniach.

— Ray, co się dzieje? — zapytał. — Ponad sto osób zniknęło, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu, z wyjątkiem ubrań i butów.

— Aż tak dużo?

— Mówisz tak, jakby pięćdziesiąt robiło jakąś różnicę. I jak wyi lumaczymy mniejszą liczbę pasażerów przy lądowaniu od tej przed startem?

Rayford potrząsnął głową, nadal próbując nawiązać kontakt radiowy. Starał się złapać kogoś, obojętnie gdzie by to miało być, i czy na Grenlandii, czy na jakiejś wyspie, nie miało to w tej chwili /;idnego znaczenia. Jednak nadal byli poza zasięgiem i nawiązanie

kontaktu radiowego okazało się niemożliwe. Nie można było nawet złapać żadnej stacji radiowej. W końcu udało mu się skontaktować z Concordem lecącym w odległości kilku mil od nich. Skinął na Christophera, żeby nałożył słuchawki.

— Masz dość paliwa, żeby wracać do Stanów, odbiór? — zapytał pilot Concorda.

Kapitan spojrzął na Christophera, który skinął głową i szepnął: — Mamy jeszcze pół zbiornika.

— Wystarczy, żebym zawrócił do Nowego Jorku na lotnisko Kennedyego — odpowiedział.

— Nawet się nie łudź — przyszła odpowiedź. — Nowy Jork jest zamknięty. Otwarte są jeszcze tylko dwa pasy w Chicago. My właśnie tam lecimy.

— Wylecieliśmy stamtąd kilka godzin temu. Nie wiesz, czy mogę lądować na Heathrow w Londynie?

— Nie. Zamknięte.

— A Paryż?

— Chłopie, wracaj tam, skąd lecisz. Opuściliśmy Paryż godzinę temu, po chwili dotarła do nas wiadomość, co się stało i otrzymaliśmy rozkaz, żeby lecieć prosto do Chicago.

— Co się stało, Concorde?

— Jeśli nie wiesz, to dlaczego nadałeś SOS?

— Mam tu taką sytuację, że nawet nie chcę mówić, co się dzieje na pokładzie.

— Hej, kolego, witam w klubie, tak jest na całym globie, nie wiedziałeś o tym?

— Nie. Nie mam pojęcia, co jest grane — odpowiedział Rayford. — Powiedz mi.

— O.K. Masz zaginionych pasażerów, tak?

— Więcej niż stu.

— Niesamowite! My straciliśmy około pięćdziesięciu.

— Jak to tłumaczysz, Concorde?

— Najpierw myślałem, że to jakieś zbiorowe spalenie, ale nie było dymu ani żadnych śladów pożaru. Ci ludzie po prostu zdema-



terializowali się. Jedyne, co mi przychodzi na myśl, to dawny film Star Trek, w którym ludzie dematerializowali się i ponownie materializowali w przeróżnych miejscach.

— Chciałbym powiedzieć moim pasażerom, że ich najbliżsi nagle się gdzieś pojawiają tak szybko, jak zniknęli — powiedział Rayford.

— To nie jest jeszcze najgorsze, Pan Heavy\*. Na całym świecie ludzie zniknęli o tej samej porze. Paryskie lotnisko Orly straciło kontrolerów ruchu oraz wiele osób z personelu naziemnego. Niektóre samoloty straciły całe załogi. Tam, gdzie jest jeszcze dzień, piętrzą się stosy porozbijanych samochodów, wszędzie panuje nieopisany chaos. Na większości dużych lotnisk porozbijały się samoloty.

— Więc to się dzieje wszędzie?

— Wszędzie, w jednej chwili, trochę ponad godzinę temu.

— Myślałem, że coś się stało tylko w moim samolocie. Może gaz, może jakieś nieprawidłowe działanie urządzeń.

— Chcesz powiedzieć, że myślałeś iż jesteś wyjątkowy, odbiór?

Rayford rozpoznał nutkę sarkazmu.

— Wiem, co masz na myśli, Concorde. Ale musisz się zgodzić, że to coś, czego nikt z nas jeszcze nie doświadczył.

— Nawet nie chcę myśleć, że mogłoby się to powtórzyć. Uważam, że to zły sen.

— Koszmar, odbiór.

— Ale niestety, tak nie jest, prawda?

— Co powiesz swoim pasażerom, Concorde?

— Nie mam pojęcia, a ty, odbiór?

— Prawdę.

— Można i tak, chociaż to i tak nic nie zmieni. Ale jaka jest prawda? Co naprawdę wiemy na ten temat?

— Na pewno nic przyjemnego.

— Ciekawy dobór słów, gratuluje, Pan Heavy. Wiesz, co niektórzy mówią, odbiór?

\*przezwisko Boeinga 747 latającego w liniach Pan-Continental - wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza

— Lepiej, jeśli się okaże, że ludzie poszli do nieba, niż że jakieś mocarstwo nas napromieniowało — powiedział Rayford.

— Dotarło do nas, że wszystkie kraje jednakowo ucierpiały z tego powodu. Spotkamy się w Chicago? Bez odbioru.

Rayford Steele spojrzął na Christophera, który zaczął ustawiać przyrządy, żeby zawrócić potężne cielsko jumbo jęta z powrotem do Stanów.

— Panie i panowie — powiedział Rayford przez intercom. — Z przykrością muszę poinformować, że nie możemy lądować w Europie. Zawróciliśmy i lecimy z powrotem do Chicago. Jesteśmy prawie dokładnie w połowie drogi do miejsca przeznaczenia, proszę się więc nie obawiać, że zabraknie paliwa. Mam nadzieję, że ta wiadomość jakoś podniesie państwa na duchu. Poinformuję państwa, gdy znajdziemy się wystarczająco blisko ziemi, żeby mogli państwo skorzystać z telefonów pokładowych. Do czasu znalezienia się w strefie telekomunikacji nie ma nawet co próbować, bo nie działają.

Kiedy rozległ się komunikat kapitana o powrocie do Stanów, zaskoczony Buck Williams usłyszał głosy zadowolenia na pokładzie. Wszyscy pasażerowie byli kompletnie zszokowani i przerażeni zaistniałą sytuacją, a ponieważ większość pochodziła ze Stanów, z ulgą przyjęli tę wiadomość. Pragnęli jak najprędzej wrócić do swoich bliskich, by w gronie rodzinnym, wśród swoich, rozwiązać tę niesłychaną zagadkę.

Buck szturchnął śpiącego biznesmena.

— Przykro mi, przyjacielu, ale chyba nie będziesz miał mi za złe, że cię obudziłem.

Jegomość spojrzął na Bucka ze wstrętem i warknął:

— Jeśli nie zamierzamy się rozbić, to zostaw mnie w spokoju.

Kiedy w końcu samolot linii Pan-Continental znalazł się w zasięgu komunikacji satelitarnej obejmującej Stany Zjednoczone, kapitan Rayford Steele wyszukał stację radiową nadającą wiadomości i dowiedział się o ogólnościowym zasięgu zniknięć. Łąca telekomunikacyjne były zablokowane. Służby medyczne, techniczne i wszelkie inne na całym świecie także zostały sparaliżowane zniknięciem wielu ludzi. Wszystkie służby cywilne postawiono w stan najwyższej gotowości. Próbowaly bez względu na okoliczności nieść pomoc w trwającej tragedii. Rayford przypomniał sobie, jak to kilka lat temu w Chicago miała miejsce katastrofa kolejki naziemnej E -Train. Szpitale, policja i straż postawiła na nogi wszystkich swoich pracowników. Wyobrażał sobie, jak teraz musi być tam gorąco, skoro zdarzyła się tragedia o wiele większym zasięgu i rozmiarach. Nawet w głosie spikerów slychać było, że paraliżuje ich strach, chociaż starali się to ukryć. Przedstawiono wszelkie możliwe teorie, ale zasadniczym przedmiotem wszystkich rozmów, a także sprawozdań z tragedii, były kwestie praktyczne: jak z tym żyć i co robić. Społeczeństwo oczekiwało od środków masowego przekazu zwykłych, podstawowych informacji, jak dotrzeć do różnych miejsc przeznaczenia i jak najszybciej skontaktować się z bliskimi. Rayford został poinstruowany, żeby wszedł w międzynarodowy korytarz powietrzny tak, by mógł wylądować w Chicago na lotnisku O'Hare o określonej porze. Jak wcześniej powiedział Concorde, tylko dwa pasy były otwarte dla ruchu powietrznego i wyglądało na to, że wszystkie większe samoloty pasażerskie podążają w tę stronę. Tysiące ludzi zginęło w katastrofach lotniczych i samochodowych. Zostały powołane specjalne grupy pomocy drogowej do zwalczania zagrożenia, które usuwały rozbite pojazdy z dróg i pasów startowych. Ludzie pracowali bardzo ofiarnie, pomagając także w akcjach ratunkowych prowadzonych przez inne jednostki wydobywające rannych z wraków. Jakaś relacja dotyczyła zniknięcia taksówkarzy z postoju na lotnisku O'Hare, nadano apel, żeby zgłosili się ochot-

nicy, którzy usuną samochody stojące z zapalonymi silnikami; po kierowcach pozostały buty i ubrania.

Samochody, prowadzone przez ludzi, którzy nagle zniknęli, oczywiście zjeżdżały z drogi, wpadały w poślizgi lub się inaczej rozbijały. Załogom pogotowia ratunkowego najtrudniej było ustalić, kto zniknął, kto zginął, a kto jest ranny oraz przekazać tę wiadomość bliskim.

Kiedy Rayford był wystarczająco blisko, by skontaktować się z wieżą kontrolną, poprosił kontrolera o połączenie telefonicznie z domem. Wieża zareagowała śmiechem.

— Przykro mi, kapitanie, ale linie telefoniczne są pozrywane, a personel tak zdziesiątkowany, że połączenie jest praktycznie niemożliwe. Niech pan spróbuje użyć aparatu z opcją automatycznego powtarzania numeru.

Rayford poinformował swoich pasażerów o rozmiarach tragedii i znów poprosił o zachowanie spokoju.

— Przykro mi, ale tu, na pokładzie samolotu, nie jesteśmy w stanie zrobić niczego, co mogłoby zmienić naszą sytuację. Moim zadaniem jest jak najprędzej i jak najbezpieczniej wylądować w Chicago, gdzie uzyskacie państwo bliższe informacje, które mam nadzieję, okażą się dla was pomocne.

Telefon pokładowy umieszczony z tyłu siedzenia znajdującego się przed Buckiem Williamsem nie był wyposażony w gniazdko umożliwiające podłączenie komputera tak, jak to jest w aparatach stacjonarnych. Ale Buck podejrzewał, że wewnątrz aparat jest wyposażony standardowo i, gdyby tylko udało mu się otworzyć go w jakiś sposób, będzie mógł podłączyć komputer do sieci. Jego własny telefon komórkowy był na tej wysokości bezużyteczny.

W drugim krańcu rzędu żona Harolda drżała i szlochała, kryjąc twarz w dłoniach. Biznesmen obok spokojnie pochrapywał przez sen. Zanim jednak wypił tyle alkoholu, że stracił świadomość,

mość, krótko po starcie zdążył powiedzieć o jakimś ważnym posiedzeniu w Szkocji. Jakże się zdziwi, gdy się dowie, gdzie wylądował!

Dokoła Bucka ludzie płakali, modlili się lub rozmawiali nerwowo. Obsługa samolotu serwowała przekąski i napoje, ale tylko niektórzy z tego korzystali. Kupując bilet, Buck zażądał miejsca w rzędzie, w którym jest więcej miejsca na wyciągnięcie nóg. Teraz był zadowolony z tego wyboru, siedząc częściowo ukryty przy oknie. Wyciągnął z torby komputera minizestaw narzędzi, co do którego nawet nie przypuszczał, że mu się przyda, i zabrał się do pracy.

Zniechęcony brakiem modułu w środku telefonu zdecydował, że zabawi się w elektryka-amatora. Kable telefoniczne na całym świecie mają ten sam kolor, postanowił więc otworzyć laptop i odciąć kable od wtyczki. Wewnątrz telefonu odciął takie same kabелki i ściągnął osłony z ich końcówek. Zauważył, że cztery wewnętrzne druty, zarówno w komputerze jak i w telefonie, wyglądają identycznie. Poskręcał je i w ciągu kilku minut zestaw był gotowy.

Buck wystukał krótką notkę do Steve'a Pianka swojego szefa w Nowym Jorku, podając zmianę kursu samolotu.

*Wywalę z siebie wszystko, co wiem, chociaż podejrzewam, że będzie to jeszcze jedna z wielu podobnych historii. Ale przynajmniej będzie to relacja naocznego świadka, z pierwszej ręki. Czy to się na coś przyda, nie wiem. Uderzyła mnie myśl, Steve, że ty też możesz być pomiędzy tymi, którzy zniknęli. Skąd wiem? Znasz mój e-mailowy adres, prawda? Daj mi znać, że nadal jesteś z nami.*

Wprowadził notkę do pamięci komputera, przygotował modem do wysłania informacji i równocześnie rozpoczął pracę nad artykułem na temat zaistniałego zjawiska. Na górze ekranu pasek zadań migał co dwadzieścia sekund, informując, że połączenie z serwerem w superszybkiej przestrzeni cybernetycznej nie jest możliwe. Nie zważał na to, pochłonięty swoją pracą.

Szefowa personelu pokładowego zaskoczyła go, gdy miał już kilka stron refleksji i przemyśleń.

— Co pan wyprawia? — spytała zdumiona, widząc wiązkę kabli z telefonu pokładowego połączonych z jego komputerem. — Nie wolno tego robić!

Zerknął na jej identyfikator.

— Posłuchaj, śliczna Hattie, pewnie zauważyłaś, jak wszyscy inni, że otarliśmy się o koniec świata, prawda?

— Proszę nie traktować mnie protekcyjnie. Nie mogę pozwolić, żeby niszczył pan własność linii lotniczych.

— Ależ ja niczego nie niszczę. Dokonałem tylko pewnej adaptacji sprzętu w sytuacji wyjątkowej. Mam nadzieję, że dzięki temu będę mógł się połączyć ze swoim biurem, skoro wszystko inne zawiodło.

— Mimo wszystko nie mogę na to pozwolić.

— Hattie, pozwól, że ci coś powiem?

— Pod warunkiem że poskłada pan to wszystko, i zostawi tak, jak było.

— Naturalnie.

— Teraz.

— O nie, teraz nie mogę.

— Przepraszam, ale nie takiej odpowiedzi oczekuję.

— Oczywiście, rozumiem. Ale posłuchaj.

Mężczyzna siedzący obok przebudził się i rzucił gniewne spojrzenie najpierw na niego, a potem na Hattie. Przeklął pod nosem, zatkał poduszką prawe ucho, a lewe przycisnął do fotela.

Hattie wyciągnęła z kieszeni wydruk komputerowy z nazwiskami pasażerów i znalazła Bucka.

— Panie Williams, proszę dostosować się do regulaminu linii lotniczych i szanować naszą własność. Nie chciałabym niepokoić pilota tą sprawą. I tak ma już dość na głowie.

Buck złapał ją za rękę. Zesztywniała, ale nie zabrała jej.

— Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać?

— Nie zmienię zdania. A teraz proszę mnie puścić, mam samolot pełen przerażonych pasażerów.

— Powiedz szczerze, czy nie boisz się jak inni?

Nadal trzymał jej rękę w swojej dłoni. Zaciśnęła wargi i przytaknęła.

— Nie chciałabyś skontaktować się z kimś ze swoich bliskich? Jeśli to zadziała, to być może będę w stanie połączyć się z ludźmi, którzy zadzwonią do twoich bliskich z wiadomością, że masz się dobrze i jesteś bezpieczna, a nawet przekażę ci od nich jakąś wiadomość. Zrozum, niczego nie popsulem i obiecuję, że gdy skończę, z powrotem podłączę wszystko tak, jak było.

— Może pan to zrobić?

— Naturalnie.

— I mógłby mi pan pomóc?

— Bez dwóch zdań. Podaj mi nazwiska i numery telefonów swoich bliskich. Dołączę je do informacji, którą próbuję przesłać do Nowego Jorku i poproszę, żeby ktoś z biura zadzwonił, dowiedział się czegoś od nich i dał mi znać. Nie mogę gwarantować, że mi się to uda ani, że uzyskam odpowiedź, ale wierz mi, na pewno zrobię wszystko, co w mojej mocy.

— Będę bardzo zobowiązana.

— Czy mógłbym cię prosić, żeby inne wścibskie stewardessy nie nachodziły mnie i nie przeszkadzały w pracy i nawiązaniu kontaktu?

Hattie uśmiechnęła się.

— Może wszyscy będą potrzebowali pańskiej pomocy.

— To nie jest takie proste. Jak na razie nie udało mi się połączyć. Proszę, trzymaj innych z dala ode mnie i pozwól mi próbować.

— W porządku — powiedziała, nadal nie przekonana do końca.

— Hattie, robisz to, co trzeba — powiedział Buck. — W tej wyjątkowej sytuacji, w której się wszyscy znaleźliśmy, to nic złego, że przez chwilę pomyślisz o sobie. Ja właśnie to robię.

— Ale wszyscy jedziemy na jednym wózku. A ja odpowiadam za ludzi i sprzęt.

— Chyba się jednak zgodzisz, że kiedy ludzie znikają, pewne prawa i obowiązki trzeba po prostu wyrzucić przez okno.

Rayford Steele siedział śmiertelnie blady w kabinie pilotów. Na pół godziny przed lądowaniem w Chicago powiedział pasażerom wszystko, czego się dowiedział. Równoczesne zniknięcie milionów ludzi na całym globie spowodowało niewyobrażalny chaos. Podziękował za współpracę i zachowanie spokoju podczas tej strasznej próby, chociaż wiedział, że lekarze znajdujący się na pokładzie podali niektórym pasażerom tabletki uspokajające.

Rayford był szczerzy wobec swoich pasażerów jak nigdy przedtem. Uświadomił sobie, że powiedział im więcej, niż gdyby stracił silnik, przestała działać hydraulika albo nawet zacięło się podwozie. Miał przecież świadomość, że ludzie, po powrocie do domów dowiedzą się, że niektórzy ich bliscy, jeśli nie zniknęli, to stali się ofiarami wielu tragicznych wypadków, jakie w konsekwencji miały miejsce. Pomyślał, chociaż nie wyraził tego głośno, że był szczęściarzem, znalazłszy się w powietrzu, gdy to nastąpiło. Jakież zamieszanie oczekiwało ich po wylądowaniu! Tutaj - dosłownie - byli ponad tym wszystkim. Oczywiście, także zostali dotknięci. Nie było miejsca, z którego by ludzie nie zniknęli. Ale - z wyjątkiem tego, że zniknęło trzech członków załogi - pasażerowie nie ucierpieli tak bardzo, jak mogłoby się zdarzyć, gdyby znajdowali się na autostradzie albo gdyby to on i Christopher zniknęli.

Podchodząc do lądowania, kilka kilometrów przed lotniskiem zobaczyli w pełni skutki tragedii. Loty z całego kraju kierowano właśnie tu, do Chicago. Samoloty czekały więc w powietrznej kolejce na lądowanie, wyznaczone w zależności od zasobów paliwa. Rayford nie mógł czekać, bowiem przeleciał nad wschodnim wybrzeżem, a potem nad połową Atlantyku, zanim zawrócił. Nie miał zwyczaju komunikować się z kontrolą naziemną przed wylądowaniem, ale teraz wieża tego wymagała. Został powiadomiony, że widoczność jest doskonała, pomimo unoszącego się wokół dymu z porozbijanych szczątków. Lądowanie mogło jednak okazać się trochę niebezpieczne i ryzykowne ze względu na to, że dwa ot-



warte jeszcze pasy startowe są zapchane samolotami. Poustawiano je po obu stronach aż do samego końca. Używano całego transportu publicznego do przewożenia pasażerów z miejsca lądowania do terminalu przylotów, a wszystkie wyjścia w hali przylotów były zatłoczone.

Powiedziano też Rayfordowi, że jego pasażerowie mogą wybrać sposób dostania się do budynku dworca. Cały personel został wezwany do pracy i był zajęty kierowaniem lądujących samolotów w bezpieczniejsze rejony lotniska. Kilka autobusów i mikrobusów zarezerwowano dla osób starszych, inwalidów oraz członków załogi. Raylord przekazał, że wraz personelem pójdą pieszo.

Pasażerowie zgłosili, że telefony na pokładzie nie działają. Hattie Durham powiedziała Rayfordowi o jednym w pierwszej klasie, który podłączył jakoś swój laptop do telefonu i automatycznie dzwonił do Nowego Jorku. Jeśli tylko linia będzie wolna, połączy się jako pierwszy.

Gdy samolot zniżał lot podczas podchodzenia do lądowania, Buck mógł się połączyć z jednym małym serwerem przeznaczonym do odbierania e-maili. Stało się to akurat wtedy, kiedy Hattie ogłosiła, że trzeba wyłączyć urządzenia elektroniczne na pokładzie.

Z szybkością, jakiej się po sobie nie spodziewał, Buck wystukał na klawiaturze polecenie odebrania pliku ze wszystkimi wiadomościami, następnie wprowadził je na twardy dysk, po czym równie szybko rozłączył się z siecią, żeby jego laptop nie zakłócił pracy urządzeń nawigacyjnych. Spokojnie przystąpił do otwierania plików od swoich przyjaciół, współpracowników, bliskich, od wszystkich.

Zanim Hattie zaczęła ostatnie przygotowania do lądowania, przybiegła do Bucka

— Ma pan coś? — spytała.

Pokręcił przecząco głową. Zaczęła płakać. Delikatnie ujął ją za rękę.

— Hattie, wszyscy pójdziemy za chwilę do domu i wtedy będziemy płakać. Ale teraz weź się w garść. Wyprowadź bezpiecznie pasażerów z samolotu, to przynajmniej z tego będziesz miała jakąś satysfakcję.

— Panie Williams — szlochała — muszę panu powiedzieć, że straciliśmy niektórych starszych ludzi, ale nie wszystkich. Straciliśmy też niektórych ludzi w średnim wieku, ale też nie wszystkich. Zniknęli niektórzy w pana i moim wieku, ale też nie wszyscy. Straciliśmy nawet niektórych nastolatków.

Spojrzał na nią. Do czego zmierza?

— Sir, straciliśmy jednak wszystkie dzieci i niemowlęta znajdujące się na tym samolocie.

— Ile ich było?

— Więcej niż tuzin. Wszystkie zniknęły, co do jednego! Żadne nie zostało!

Mężczyzna siedzący obok Bucka przebudził się i mrużył oczy przed oślepiającym blaskiem promieni słonecznych wpadających przez okno.

— O czym, u licha, rozmawiacie? — zapytał.

— Zbliżamy się do lądowania w Chicago — poinformowała go Hattie. — Muszę już iść.

— Chicago?

— Nie chciałeś słuchać — odpowiedział Buck.

Mężczyzna prawie położył się na kolanach Bucka, żeby spojrzeć przez okno. Jego oddech odurzył Camerona.

— Co to, jesteśmy w stanie wojny? Przewrót? Co się dzieje?

Samolot wydostał się akurat z grubej chmury ukazując oczom pasażerów okolice Chicago. Wszędzie kłęby dymu. Ogień. Porozbijane samochody leżące w beładzie na poboczach dróg lub spiętrzone albo wiszące na betonowych barierach rozdzielających jezdnie autostrad. Samoloty w kawałkach na ziemi. Karetki ratunkowe z włączoną sygnalizacją przeciskały się wśród wraków.

Kiedy ukazało się lotnisko O'Hare, stało się jasne, że nikt się prędko stąd nie wydostanie. Samoloty stały, jak wzrokiem sięgnąć,

niektóre były rozbite i dymiły, inne uwięzione w kolejce na pasach startowych. Ludzie snuli się po trawnikach między samochodami zmierzającymi do terminalu. Drogi ekspresowe wokół lotniska wyglądały jak zimą podczas słynnych chicagowskich zamieci, z tą tylko różnicą, że tym razem nie było śniegu.

Służby drogowe za pomocą dźwigów próbowały oczyścić drogi dojazdowe do terminalu tak, żeby przywrócić ruch samochodowy, ale z pewnością potrzebowały wielu godzin, jeśli nie dni. Wąż ludzi wił się powoli od wielkich budynków lotniska pomiędzy unieruchomionymi samochodami aż do wjazdów na autostrady. Ludzie szli, szli i szli, spoglądając za siebie co chwilę, w nadziei, że nadjedzie jakaś taksówka czy okazja. Buck zaczął się zastanawiać, jak uda mu się dostosować do nowego ładu, a raczej bezładu. Będzie musiał się jakoś wydostać z zatłoczonej aglomeracji. Problem polegał na tym, że chciał się dostać w jeszcze gorsze miejsce, do Nowego Jorku.

— Panie i panowie — powiedział Rayford — jeszcze raz pragnę podziękować państwu za wspaniałą współpracę podczas tego nietypowego lotu. Wieża skierowała nas na jedyny obecnie funkcjonujący pas startowy, odpowiedni do wielkości naszego samolotu. Po wylądowaniu zatrzymamy się około trzech kilometrów od terminalu. Obawiam się, że będą państwo musieli skorzystać z urządzenia awaryjnego celem opuszczenia samolotu, gdyż oczywiście nie będziemy mogli dokołować do „rękawa”. Jeśli ktoś z państwa z jakichkolwiek powodów nie może udać się pieszo do terminalu, proszę pozostać przy samolocie, zabierze państwa jakiś pojazd.

Tym razem nic było podziękowania za wybór linii Pan-Continental ani nawet zwyczajowej formuły: *Mamy nadzieję, że wybierzesz nasze linie, gdy znowu zechcesz latać*. Zamiast tego Rayford przypomniał pasażerom, żeby pozostali na swoich miejscach z zapiętymi pasami aż do włączenia lampki sygnalizacyjnej, gdyż zdawał sobie sprawę, że może to być jego najtrudniejsze lądowanie.

Wiedział, że to zrobi i że mu się uda, ale minęło wiele czasu od chwili, kiedy ostatnio lądował między tak gęsto ustawionymi samolotami.

Rayford zazdrościł temu człowiekowi w pierwszej klasie, że miał możliwość połączyć się ze światem za pomocą laptopa. Tak chciał zadzwonić do Ireny, Chloe i Raya juniora. Z drugiej strony obawiał się, że już nigdy ich nie zobaczy.

## *Rozdział trzeci*

Hattie Durham i pozostały w samolocie personel pokładowy zachęcali pasażerów do dokładnego zapoznania się z instrukcją awaryjnej ewakuacji, którą mieli w kieszeniach foteli przed sobą. Wielu obawiało się, że nie będzie w stanie skoczyć i zjechać w dół, trzymając jednocześnie swój bagaż podręczny. Zostali jednak poinstruowani, że mają zdjąć buty i zjechać przodem na siedzeniu. Gdy już będą na dole, obsługa samolotu zrzuci im buty i bagaż. Poradzono, by nie czekali w terminalu na odbiór bagażu. Będzie dostarczony do domu w późniejszym terminie. Nie wiadomo jednak kiedy.

Buck Williams wręczył Hattie wizytówkę i zapisał jej numer telefonu.

— Na wszelki wypadek, gdybym dodzwonił się do twoich bliźkich, jeżeli tobie się nie uda.

— Jesteś z „Global Weekly”? — powiedziała zdumiona. — Nie miałam pojęcia.

— Widzisz, a chciałaś natrzeć mi uszu za majstrowanie przy telefonie.

Próbowała się uśmiechnąć.

— Przepraszam — powiedział Buck — to wcale nie jest śmieszne, wiem. Możesz już iść.

Nigdy nie zabierał w podróż większego bagażu, nawet na długie, międzykontynentalne przeloty, i teraz był zadowolony, że nie będzie musiał czekać na jego odbiór. Cały bagaż mieszczący się w małej torbie podróżnej miał zawsze przy sobie. Otworzył więc schowek nad głową, by ją wziąć, kiedy zauważył kapelusz i kurtkę starszego mężczyzny, którego już nie było wśród nich. Żona Harolda siedziała z posępną miną, wpatrując się w Bucka.

— Proszę pani — powiedział nieśmiało — może chce pani wziąć ze sobą te rzeczy?

Zapłakana kobieta z wdzięcznością chwyciła kapelusz i kurtkę i przycisnęła do piersi, jakby się obawiała je utracić.

— Proszę tu zostać — powiedział. — Przyślą kogoś po panią.

— Ale czy ja też będę musiała skoczyć i zjeżdżać po tym chwiejnym urządzeniu?

— Mam nadzieję, że nie. Z pewnością znajdą jakiś dźwig czy ruchome schody lub coś w tym rodzaju.

Buck zawinął laptop w ubrania i włożył go do torby. Zasuważąc zamek, pospieszył naprzód, chcąc pokazać innym, jakie to proste. Najpierw zrzucił buty i patrzył, jak spadły na beton. Z całej siły przycisnął do piersi torbę i zrobił krok do przodu, skacząc odważnie na poduszkę.

Z mniejszym entuzjazmem zauważył, że znalazł się nagle w przedziwnej pozycji, na ramionach, z nogami w górze. Nabierał prędkości. Nie mogąc zachować równowagi, z impetem uderzył stopami w gładki bok, co raptownie postawiło go do góry, po czym zrobił fikołka i ledwie uniknął uderzenia twarzą o betonową płytę lotniska. W ostatnim momencie, nadal przyciskając do siebie drogocenną jak życie torbę, zasłonił twarz, zgadując, że może otrzeć się o beton tyłem głowy zamiast nosem. Po wylądowaniu z trudem powstrzymał się przed ironicznym: „nic mi się nie stało”, ale pocierając głowę, zauważył na dłoni krew. Nie było to nic poważnego, po prostu jakieś małe zadraśnięcie, nic wielkiego. Zabrał buty i pobiegł w stronę terminalu bardziej z zażenowania niż potrzeby. Wiedział, że gdy tam dotrze, nie będzie się już musiał nigdzie śpieszyć.

Rayford, Christopher i Hattie schodzili ostatni z pokładu Boeinga 747. Zanim go jednak opuścili, upewnili się jeszcze, że wszyscy sprawni pasażerowie zjechali już na dół i maszerują do terminalu, a starsi i słabszego zdrowia zostali przesadzeni do autobusu odpowied-

nim wysięgnikiem. Kierowca tego pojazdu nalegał, żeby załoga pojechała z nim i ostatnimi pasażerami, ale Rayford nie zgodził się.

— Nie mógłbym przejeżdżać obok moich pasażerów i patrzeć, jak oni idą do terminalu — powiedział. — Jak by to wyglądało?

Christopher odezwał się:

— Rób, jak chcesz, szefie. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym przyjął jego propozycję?

Rayford rzucił na niego gniewne spojrzenie.

— Mówisz poważnie?

— Nie było w umowie chodzenia piechotą po płycie lotniska.

— Mówisz tak, jakby to było winą linii lotniczych. Chyba nie to masz na myśli?

— No pewnie, że nie! Ale kiedy się tam już dowleczesz, będziesz żałował, że nie skorzystałeś z tej okazji.

— Powinienem to umieścić w raporcie.

— Miliony ludzi wyparowało, a ja mam się martwić o to, że podasz do raportu, że skorzystałem z przejazdu zamiast iść piechotą? Do zobaczenia, panie Steele.

Rayford potrząsnął głową z niedowierzaniem i zwrócił się do Hattie.

— Być może spotkamy się w budynku dworca. Jeśli będziesz mogła wydostać się z lotniska na miasto, nie czekaj na mnie.

— Żartujesz? Jeśli ty idziesz, to i ja!

— Wcale nie musisz.

— Po tym jak potraktowałeś Smitha? Nie ma głupich. Idę!

— Ale on jest drugim kapitanem. My ostatni opuszczamy pokład i pierwsi mamy nieść pomoc w razie niebezpieczeństwa.

— Dobra, zrób mi przysługę, szefie, i wlicz mnie do swojej załogi. To, że nie umiem pilotować takiego samolotu, wcale nie oznacza, że nie jestem za niego odpowiedzialna. I proszę, przestań mnie traktować jak małą dziewczynkę.

— Nigdy tak nawet nie pomyślałem. Zabrałaś swoje rzeczy? Hattie ciągnęła walizkę na kółkach, a Rayford zarzucił na ramie skórzaną torbę nawigacyjną. To była długa przechadzka i kil-

ka razy machali kierowcom mijających pojazdów, którzy gestem proponowali podwiezienie. Podczas drogi mijali też swoich pasażerów. Wielu z nich dziękowało Rayfordowi; sam nie był pewien za co. *Może za to, że nie spanikowałem*, zastanawiał się. Wyglądali jednak na tak samo przerażonych całą sytuacją jak on. Zatykali uszy z powodu ogłuszającego huku lądujących samolotów. Rayford zastanawiał się, ile czasu trzeba, żeby i ten pas został całkowicie zapchany. Nie mógł sobie wyobrazić, jak długo jeszcze ten drugi nadal czynny pas będzie mógł przyjmować samoloty. Może niektórzy powinni próbować lądować na autostradach albo w otwartym polu? Jednak jak daleko od wielkich miast musieliby szukać odcinków autostrad nie poprzecinanych mostami? Na samą myśl o tym przeszedł go dreszcz.

Dokoła widać było karetki i inne pojazdy próbujące dotrzeć do leżących wszędzie wraków.

W końcu, gdy dotarli do terminalu, Rayford zobaczył tłumy ludzi stojących w kolejkach do automatów telefonicznych. Większość była wzburzona i złościła się na tych, którzy akurat gdzieś wydzwaniali, co chwilę wybierając ten sam numer. Bary szybkiej obsługi i restauracje jeszcze sprzedawały albo brakowało już w nich jedzenia. Wszystkie gazety i pisma dawno już sprzedano i półki w kioskach świeciły pustkami. W sklepach, w których zniknęła obsługa, złodzieje korzystali z okazji i wychodzili z łupem nie zatrzymywani przez nikogo.

Rayford najbardziej chciał usiąść i porozmawiać z kimś o tym, co zaszło. Ale wszyscy, których spotkał - przyjaciele, znajomi i obcy - byli zajęci, próbując nawiązać z kimś kontakt. Lotnisko przypominało teraz ogromne więzienie z topniejącymi w szybkim tempie zasobami i rosnącymi podstawowymi potrzebami. Nikt nie spał. Wszyscy chcieli wydostać się stąd.

W samym środku pomieszczenia centrum koordynacji ruchu lotniczego, Rayford zobaczył to samo, co w salach pasażerskich. Hattie próbowała zadzwonić z hali przylotów i mieli się spotkać później, by razem poszukać jakiegoś transportu na przedmieścia, gdzie



mieszkali. Rayford wiedział, że nie ma szans na znalezienie czegokolwiek i nie był wcale zachwycony perspektywą maszerowania ponad trzydziestu kilometrów. Jednak w okolicznych hotelach nie było już pokoi.

W pewnej chwili z głośników rozległ się głos kierownika centrum.

— Mamy pięć linii telefonicznych zarezerwowanych wyłącznie na użytek służbowy — powiedział. — Nie dajemy gwarancji, że będziecie się mogli dodzwonić przez te łącza do bliskich, ale przynajmniej możecie spróbować. Te linie omijają normalne centrale telekomunikacyjne, nie będziecie więc blokować łącz aparatów wrzutowych znajdujących się w terminalu. Rozmawiajcie krótko. Można także próbować skorzystać z helikopterów przeznaczonych dla policji i transportu rannych do szpitali na przedmieściach, ale oczywiście jesteście w kolejce za personelem medycznym. Ustawcie się w kolejce do telefonów i zapiszcie się na liście do przelotu helikopterem. Na dzisiaj nie mamy żadnej informacji o odwołaniu zaplanowanych lotów oczywiście z wyjątkiem tych, które już zostały odwołane lub zawrócone z kursu. Odpowiadacie za to, żeby stawić się tutaj na czas na swój następny lot albo zadzwonić i dowiedzieć się, co i jak.

Rayford stanął w kolejce do telefonu i ogarnęło go uczucie znużenia wywołane zbyt długim czasem intensywnej pracy, a także brakiem informacji. Jeszcze bardziej przytłaczająca była świadomość, że wie lepiej niż inni, co się stało naprawdę. Jeśli ma rację i to jest prawda, może nie dodzwonić się do domu. Stojąc w kolejce uważnie wpatrywał się w ekran monitora, przekazującego bieżące wiadomości, te zaś ukazywały chaos. Na całym świecie pokazywano płaczące matki i oszalałe rodziny, napływały doniesienia o śmierci i zniszczeniach. Wiele historii przekazywali naoczni świadkowie, którym zniknęli ich najbliżsi lub przyjaciele.

Najbardziej szokująca była dla Rayforda relacja kobiety, która jeszcze kilka godzin temu była w ciąży i udała się do szpitala, z bólami porodowymi. W jednej chwili jej brzuch zmałał, a lekarze wyjęli tyl-

ko łożysko. Kamera video uchwyciła moment zniknięcia płodu. Pokazano jej duży brzuch i spoconą twarz, słychać też było dialog:

— *Jak się teraz czujesz, kochanie?*

— *Jak myślisz, jak mogę się czuć, Earl? Wyłącz to.*

— *Czego się spodziewałaś?*

— *Ze zbliżysz się na tyle, żebym cię mogła obdrzeć ze skóry.*

— *Wiesz, że za kilka chwil będziemy rodzicami?*

— *Raczej, że za minutę się rozwiedziemy.*

Potem nastąpił krzyk, kamera upadła na ziemię, rejestrując przerażone głosy, bieganie pielęgniarek i lekarzy. CNN odtworzyła zarejestrowany materiał w zwolnionym tempie, pokazując ciężarną kobietę, której brzuch w jednej sekundzie stał się płaski.

— *Proszę, niech państwo przyjrzą się teraz uważnie* — komentował spiker. — *Proszę zwrócić uwagę na pielęgniarkę, po lewej stronie ekranu, która śledzi na monitorze bicie serca dziecka. O teraz] Akcja serca zanikła, gdy brzuch kobiety stał się płaski. Wygląda tak, jakby ubranie pielęgniarki zawisło w powietrzu niby na jakiejś niewidzialnej istocie. Ale pielęgniarki już nie ma. A teraz ujęcie pół sekundy później, zobaczą państwo sami. Jej fartuch, rajstopy i całe ubranie opada na puste buty.*

Lokalne stacje telewizyjne z całego świata relacjonowały najdziwniejsze przypadki, szczególnie tam, gdzie ze względu na różnicę czasu wydarzenie to miało miejsce za dnia lub we wczesnych godzinach wieczornych. W wiadomościach CNN pokazywano przez satelitę zarejestrowany na kamerze video ślub młodej pary: podczas wkładania obrączki na palec oblubienicy wybranek nagle zniknął, wyparowywał. Dom pogrzebowy w Australii donosił o pewnej uroczystości pogrzebowej, z której zniknęli prawie wszyscy uczestnicy smutnej ceremonii włącznie z nieboszczykiem, podczas gdy na innym nabożeństwie żałobnym o tej samej porze zniknęło zaledwie kilka osób, a nieboszczyk nadal był w trumnie. Odnotowano także zniknięcie ciał w wielu kostnicach. Pokazano też kondukt pogrzebowy, w którym trzech z sześciu grabarzy nagle zniknęło. Kiedy po chwili podniesiono trumnę, okazało się, że i ona jest pusta.

Rayford był drugi w kolejce do telefonu, ale to, co zobaczył na ekranie telewizora, upewniło go, że już nigdy więcej może nie zobaczyć żony. W pewnej chrześcijańskiej szkole średniej na stacji misyjnej w Indonezji dzieci grały w piłkę. Większość widzów oraz wszyscy gracze z wyjątkiem jednego zniknęli w środku gry, pozostawiając buty i stroje sportowe na boisku tam, gdzie stali. Dziennikarz CNN poinformował, że jedyny pozostały piłkarz w wyniku wyrzutów sumienia popełnił samobójstwo.

Ale Rayford wiedział, że to coś więcej niż wyrzuty sumienia. Gracz ten, uczeń chrześcijańskiej szkoły, natychmiast uświadomił sobie gorzką prawdę. Nastąpiło Pochwycenie Kościoła. Jezus Chrystus przyszedł po swoich, a ten chłopiec nie był gotowy. Kiedy Rayford dotarł do telefonu lzy spływały mu po policzkach.

Ktoś powiedział:

— Masz cztery minuty.

Wiedział, że to i tak więcej, niż potrzebuje. Gdy wystukał domowy numer, natychmiast odezwała się automatyczna sekretarka. Przycisnął słuchawkę do ucha, żeby wyraźnie usłyszeć przemiły głos żony.

— Twój telefon jest dla nas bardzo ważny — usłyszał. — Proszę, zostaw wiadomość po usłyszeniu sygnału.

Rayford nacisnął kilka klawiszy sprawdzając nagrane wiadomości. Przeskoczył kilka nieważnych informacji i zeszywniał słysząc dobrze mu znany głos córki.

— Mamo? Tato? Jesteście tam? Czy widzieliście, co się dzieje? Zadzwońcie do mnie tak szybko, jak się da. Straciliśmy co najmniej dziesięciu studentów i dwóch fajnych profesorów, a wszystkie dzieci żonatych studentów też zniknęły. Co z Rayem? Czy z nim wszystko w porządku? Błagam, zadzwońcie do mnie!

Cóż, przynajmniej wie, że Chloe nadal jest z nim, na ziemi. Tak bardzo zapragnął przytulić ją teraz do siebie.

Rayford wykrecił swój numer jeszcze raz i nagrał wiadomość.

— Irena? Ray? Jeśli tam jesteście, podnieście słuchawkę. Jestem na lotnisku O'Hare i próbuję się dostać jakoś do domu. Jeżeli nie załapię się na przelot helikopterem, może zająć mi to sporo czasu.

Mam nadzieję, że jesteście w domu.

— Już dosyć, kapitanie — odezwał się ktoś. — Każdy chce gdzieś zadzwonić.

Rayford pokiwał głową i szybko wybrał numer akademika swojej córki w Stanford. Zamiast głosu Chloe usłyszał irytującą zapowiedź, że jego połączenie nie może zostać zrealizowane.

Rayford zabrał rzeczy i sprawdził jeszcze przegródkę na listy. Oprócz stosu reklamówek znalazł grubą szarą kopertę z nadrukiem domowego adresu. Irena lubiła ostatnio przysyłać mu małe niespodzianki, odkąd przeczytała jakiś poradnik małżeński. Nalegała, żeby i on go przeczytał. Wsunął kopertę do teczki i wyszedł, rozglądając się za Hattie Durham. Ciekawe, że jakoś nic go teraz do niej nie pociągało. Ale poczuwał się do tego, żeby pomóc jej dostać się do domu.

Stojąc w tłumie obok windy, usłyszał nagle zapowiedź, że helikopter może zabrać osiem osób i leci w okolice Mount Prospect, Arlington Heights i Des Plaines\*. Rayford pobiegł na lądowisko.

— Masz jedno miejsce do Mount Prospect?

— Pewnie.

— A jeszcze jedno do Des Plaines?

— Może, jeśli on się pojawi w ciągu dwóch minut.

— Nie on. To stewardessa, szefowa personelu pokładowego.

— Wykluczone. Tylko piloci.

— A jeśli będziesz miał miejsce?

— No cóż, może wezmę, ale nie widzę jej.

— Wezwę ją przez głośnik.

— To niemożliwe. Głośniki nie działają.

— Daj mi chwilę. Nie odlatuj beze mnie.

Pilot helikoptera spojrział na zegarek.

— Masz trzy minuty — powiedział. — Odlatuję punkt pierwsza. Rayford zostawił w helikopterze torbę, mając nadzieję, że przytrzyma ona pilota, gdyby się troszkę opóźnił. Wskoczył na schody

\*Podmiejskie osiedla-sypialnie wokół Chicago.

i pobiegł korytarzem. Odnalezienie Hattie może się okazać niemożliwe. Złapał mikrofon do ogłaszania informacji.

— Przykro mi, ale nie możemy nikogo wzywać. Takie jest zarządzenie.

— Ale to jest nagła potrzeba. Jestem kapitanem linii Pan-Continental.

— O kogo więc chodzi?

— Ogłoś, żeby Hattie Durham zgłosiła się do lądowiska helikopterów K- 7.

— Dobrze. Spróbuję.

— Dzięki.

Rayford stawał na palcach, wypatrując Hattie, która nagle podeszła z tyłu.

— Byłam czwarta w kolejce w hali odpraw — powiedziała zbliżając się. — Masz jakiś lepszy pomysł?

— Jeśli się pośpieszymy, to załapiemy się na przelot helikoptrem — odrzekł.

Gdy zbiegali po schodach, odezwała się:

— Czy to nie straszne, co stało się z Chrisem?

— A co się stało?

— To ty nic nie wiesz?

Rayford chciał się zatrzymać i powiedzieć, żeby go nie zmuszała do domysłów. Bardzo go irytowało, kiedy ludzie jej pokroju zadawali mu takie pytania. Wręcz uwielbiali wylewać z siebie potoki słów, zanim przeszli do sedna sprawy. On jednak chciał wiedzieć wszystko od razu.

— Mów! — podniósł głos, który brzmiał bardziej rozpaczliwie, niż się spodziewał.

Wybiegli przez oszklone drzwi na lądowisko. Śmigła helikoptera już się obracały. Torba Rayforda była na pokładzie i wolne było tylko jedno miejsce. Pilot wskazał na Hattie i pokręcił głową. Rayford podniósł ją za łokcie i wepchnął na pokład.

— Nie poleci, jeśli nie będzie można jej zabrać ze względu na obciążenie.

— Ile ważysz, laleczko? — spytał pilot.

— Pięćdziesiąt siedem kilo!

— W porządku, wezmę ją — zwrócił się do Rayforda. — Ale jeśli nie będzie zapięta pasami, nie odpowiadam za to!

— Nie martw się, lecimy! — wykrzyknął Rayford.

Zapiął pasy, a Hattie usiadła mu na kolanach. Otoczył rękami jej talię i przycisnął do siebie. Uświadomił sobie ironię sytuacji, o której rozmyślał i marzył od wielu tygodni, a teraz nie odczuwał żadnej satysfakcji, żadnego podniecenia, kompletnie nic. I chociaż cieszył się, że pomógł jej wydostać się z lotniska, był przygnębiony.

Hattie również wyglądała na zażenowaną i czuła się nieswojo. Rayford zauważył jej zmieszanie, gdy spoglądała na pozostałych siedmiu pilotów w helikopterze. Żaden jednak na nią nie patrzył, tragedia była ciągle zbyt świeża i miała zbyt wiele niewiadomych. Wydawało mu się, że dosłyszał albo odczytał ruch warg jednego z nich słowa „Christopher Smith”, ale nie mógł usłyszeć w tym ogłuszającym hałasie. Przyłożył usta do ucha Hattie.

— Teraz mi powiedz, co się stało z Chrisem? — powiedział.

Odwróciła się, krzycząc mu do ucha.

— Przewozili go obok mnie, gdy szłam do hali odpraw. Wszędzie było pełno krwi!

— Ale co się stało?

— Nie wiem, Rayford, ale on wyglądał strasznie!

— Co?

— Myślę, że nie żył! To znaczy reanimowali go, ale zdziwiłabym się, gdyby przeżył.

Rayford potrząsnął głową z niedowierzaniem. Co będzie dalej?

— Myślisz, że w coś uderzył, przewrócił się, czy co innego? A może rozbił się ten autobus, do którego wsiadł po wyjściu z samolotu? Co za ironia!

— Nie mam pojęcia — odpowiedziała. — Wyglądało na to, że krew wycieka mu z ręki lub boku albo z obydwu tych miejsc, trudno powiedzieć.

Rayford poklepał pilota w ramię.

— Słyszałeś coś o pierwszym oficerze o nazwisku Christopher Smith?

— To ten z Pan-Con? — zapytał pilot.

— Tak!

— Ten, który popełnił samobójstwo?

Rayford wzdrygnął się.

— Samobójstwo? — spytał zdziwiony. — Jesteś pewny, że to było samobójstwo?

— Często się to teraz zdarza, jednak przeważnie wśród pasażerów. Jedynym członkiem załogi, o którym słyszałem, był właśnie Smith z Pan-Con. Przecił sobie żyły.

Rayford szybko popatrzył na pozostałych pilotów w helikopterze, żeby się zorientować, czy może kogoś rozpozna. Nie, nie było znajomych, ale zauważył, że jeden z nich przytaknął ze smutkiem głową, słysząc, jak pilot przekrzykiwał hałas silnika podczas rozmowy z Rayfordem. Nachylił się.

— Chris Smith? Znałeś go?

— To mój drugi pilot!

— O, przykro mi.

— Wiesz coś na ten temat?

— Nie wiem, ile w tym prawdy, ale chodzą słuchy, że dowiedział się, iż jego synowie zniknęli, a żona zginęła w wypadku samochodowym!

Po raz pierwszy ogrom i potworność sytuacji stały się dla Rayforda czymś bardzo osobistym. Nie znał dobrze Smitha. Prawie zapomniał, że tamten miał dwóch synów. Mieli chyba po kilkanaście lat. Nigdy nie poznał jego żony. Ale samobójstwo?! Czy to jest wyjście i dla niego? Nie, z pewnością nie, ze względu na Chloe, która pozostała. Ale co by zrobił, gdyby odkrył, że Irena i mały Ray zniknęli, a Chloe zginęła w jakimś wypadku? Po co miałby jeszcze żyć?

I tak nie można było powiedzieć, że przez ostatnich kilka miesięcy żył dla nich, z pewnością tak nie było. W myślach zabawiał się z dziewczyną siedzącą mu teraz na kolanach, chociaż nigdy nie po-

sunął się do tego, żeby okazać jej uczucie, czy też jej dotknąć, nawet wtedy, gdy często, przechodząc, ocierała się o niego. Czy chciałby nadal żyć, gdyby Hattie Durham pozostała jedyną osobą, na której by mu naprawdę zależało i o którą mógłby się troszczyć? To prawda, że jest ładna, zgrabna, młoda i dosyć mądra. Nie mieli jednak ze sobą wiele wspólnego. Czy uważał tak tylko dlatego, że był przekonany, iż Irena zniknęła i teraz zateęsknił do tego, żeby przytulić żonę, której najprawdopodobniej już nie ma?

Sposób, w jaki trzymał Hattie Durham na kolanach, nie wyrażał żadnej czułości. Oboje byli śmiertelnie przerażeni i flirtowanie zupełnie nie było im w głowie. Ironia losu nie ominęła go. Przypomniał sobie, że ostatnim jego marzeniem - zanim Hattie dokonała makabrycznego odkrycia podczas lotu do Londynu - było zdobyć się wreszcie na jakiś gest i zbliżyć do niej. Skąd mógł wiedzieć, że za kilka godzin będzie mu siedziała na kolanach, a jego to nie będzie wcale obchodziło, tak jakby to był ktoś zupełnie obcy?

Pierwszym przystankiem był posterunek policji w Des Plaines i Hattie wysiadła. Rayford poradził jej, żeby poprosiła policję o podwiezienie do domu, jeśli jakiś wóz patrolowy jest na miejscu. Okazało się jednak, że większość policjantów została skierowana do bardziej dotkniętych katastrofą rejonów tak, że podwiezienie nie wchodziło w rachubę.

— Nic nie szkodzi, mieszkam jakieś półtora kilometra stąd, to się przejdę — powiedziała przekrzykując ryk silników, podczas gdy Rayford pomagał jej wydostać się z helikoptera. Trzymała go za szyję kurczowym uściskiem i wyraźnie czuł, że drży ze strachu.

— Mam nadzieję, że wszyscy u ciebie mają się dobrze! — wykrzyczała. — Zadzwoń i daj mi znać, dobrze?

Przytaknął głową.

— O.K.? — spytała jeszcze raz z naleganiem.

— O.K.! — Rayford zgodził się.

Kiedy odlatywali, przyglądał się, jak przechodzi przez parking policyjny. Nie znalazłszy żadnego pojazdu patrolowego, odwróciła się i pośpiesznie skierowała do ulicy, ciągnąc za sobą walizkę na kół-



kach. W czasie gdy helikopter zawracał w kierunku Mount Prospekt Hattie biegła do swojego mieszkania.

Buck Williams, który jako pierwszy z spośród pasażerów Boningena dotarł do terminalu, zastał tam nieopisany bałagan. Nikt z czekających w kolejce na telefon nie chciał się zgodzić, żeby podłączył laptop do sieci, a nie mogąc uruchomić telefonu komórkowego, postanowił udać się do ekskluzywnego pomieszczenia Pan-Con Club. Okazało się, że i tutaj jest tłoczno; pomimo utraty części personelu, w tym kilku pracowników, którzy zniknęli w godzinach pracy, starano się jednak stworzyć przynajmniej pozory normalności. Nawet tutaj ludzie czekali w kolejce do telefonu, a kiedy już ktoś dostał się do aparatu, próbował wysłać faks lub połączyć się ze swoim serwerem komputerowym. Podczas oczekiwania na swoją kolejkę, Buck znowu zabrał się do grzebania w komputerze, podłączając kabelki z modemu na stare miejsce. Potem zaczął przeglądać wiadomości, które ściągnął z serwera na krótko przed lądowaniem samolotu.

Pierwsza wiadomość pochodziła od Steve'a Pianka, redaktora naczelnego. Wiadomość była adresowana do wszystkich dziennikarzy znajdujących się w terenie:

*Zostańcie tam, gdzie jesteście. Nawet nie próbujcie się dostać do Nowego Jorku. To niemożliwe. Telefonujcie, kiedy już będzie można. Co jakiś czas sprawdzajcie pocztę głosową oraz e-maile. Kontaktujcie się, gdy tylko się da. Mamy wystarczająco dużo personelu, żeby się wszystkim zająć i realizować normalny harmonogram, ale potrzebujemy sprawozdań świadków, bezpośrednich relacji i to tak wiele, jak tylko możecie przekazać. Nie wiem, jak będzie działał transport oraz komunikacja pomiędzy redakcją a drukarnią, na razie nie wiem też nic o naszych rodzinach. Będziemy się starali w miarę możliwości wydawać pismo na bieżąco, zgodnie z planem. Jeszcze jedno: pomyślcie o przyczynie tej ogólnoswiatowej katastrofy. Jaki jest jej powód? Mi-*

*litarny? Kosmiczny? Naukowy? Religijny? Na razie wszyscy borykamy się ze skutkami tego tragicznego wydarzenia. Uważajcie na siebie i bądźcie w kontakcie.*

Druga wiadomość także pochodziła od Steve'a Pianka, ale była zakodowana tylko do Bucka:

*Buck, nie przejmuj się tą ogólną informacją. Przyjeżdżaj do Nowego Jorku jak najszybciej, bez względu na koszty. Naturalnie dowiedz się, jak się mają twoi bliscy, rodzina i zanotuj wszelkie świadectwa i refleksje, jak było powiedziane. Każdy ma jakieś mniej lub bardziej sensowne wytłumaczenie tego zjawiska. Zdecydowałem jednak, że do ciebie będzie należało ostateczne przekazanie opisu i relacji.*

*Nie mam pojęcia, czy dojdziemy do jakichś wniosków co do wydarzeń, ale zbieramy i rozpatrujemy wszelkie rozsądne wytłumaczenia. Może się zastanawiasz, dlaczego ciebie wyznaczyłem do tego zadania? Otóż mam pewien ukryty motyw, który ci jednak wyjawię. Czasami myślę, że z powodu stanowiska, jakie zajmuję, powinienem wszystko wiedzieć i na wszystko mieć odpowiedź. Ale redaktorzy z trzech innych działów przekazali zapowiedź serii spotkań różnych międzynarodowych grup w Nowym Jorku jeszcze w tym miesiącu. Redaktor polityczny chce obsłużyć konferencję izraelskich nacjonalistów na Manhattanie, która ma coś wspólnego z planami utworzenia rządu światowego. O co tam chodzi, nie mam w ogóle pojęcia i to nie tylko ja, ale nawet nasz redaktor polityczny. Dział religijny ma z kolei coś na temat planowanej konferencji ortodoksyjnych Żydów. Na dodatek pomysł ten nie pochodzi tylko z Izraela, ale najwyraźniej dotyczy całego świata i nie chodzi wcale o targowanie się o zwoje znad Morza Martwego\*. Oni nadal pozostają pod wrażeniem zniszczenia rosyjskiej floty powietrznej i jej sprzymierzeńców. Wiem, że nadal utrzymujesz, że to było coś ponadnaturalnego, ale posłuchaj, mimo to pozostajesz moim najlepszym przyjacielem. Dziennikarze działu religijnego domyślają się, że Żydzi będą chcieli sko-*

\* Zbiór zwojów z tekstem Pisma Świętego odnaleziony w jaskiniach w okolicy Qumran nad Morzem Martwym.

rzystać z okazji i wybudować swoją świątynię. Właściwie nie ma to większego znaczenia dla pisma albo wydaje się, że nie powinno to wychodzić poza łamy działu religijnego, ale uderzył mnie termin tych spotkań - wszystkie odbywają się w tym samym czasie i prawie w tym samym miejscu, a ich temat też jest taki sam - zagadnienia ściśle polityczne. Inna konferencja religijna, odbywająca się także w tym samym czasie, ma zgromadzić przywódców wszystkich większych religii świata, począwszy od tradycyjnych kończąc na New Age i także ma obradować nad uporządkowaniem ich w jedną, ogólnosiwiatową. I wiesz co? Wszyscy uczestnicy mają się spotkać z nacionalistami izraelskimi, ciekawe, co? Właśnie dlatego potrzebuję twojej szybko myślącej głowy tu, na miejscu. Nie mogę sobie wyobrazić, co z tego wyniknie, jeśli w ogóle cokolwiek.

Wiem, że wszyscy zajmują się teraz zniknięciami. Ale my musimy zająć się i pozostałymi sprawami i wydarzeniami na świecie. Przypuszczam, iż wiesz, że ONZ planuje międzynarodową konferencję poświęconą systemowi monetarnemu, próbując ocenić dotychczasowe efekty operacji w trzech walutach. Osobiście podoba mi się ten system, chociaż obawiam się trochę wprowadzenia jednej waluty, chyba że będzie to dolar. Czy możesz sobie wyobrazić, że płacisz za zakupy japońskimi jenami albo europejskimi euro? Może jestem zbyt konserwatywny? .

Wszyscy są zapatrzeni w tego faceta z Rumunii o nazwisku Carpathia, który wywarł również wielkie wrażenie na twoim przyjacielu Rosenzweigu z Izraela. Wszystkich członków wyższej izby parlamentu rumuńskiego zelektryzowała wiadomość o zaproszeniu go do wygłoszenia przemówienia na Zgromadzeniu Ogólnym NZ, które ma się odbyć za kilka tygodni. Nikt nie wie, jak sobie załatwił to zaproszenie, ale jego popularność na arenie międzynarodowej bardzo przypomina mi popularność Wałęsy albo nawet Gorbaczowa. Pamiętasz ich, co?

Słuchaj, chłopie, daj znać, że nie zniknąłeś jak inni. Z tego, co wiem, straciłem bratanicę i dwóch bratanków oraz szwagierkę, której i tak nie cierpiałem, a także kilkoro dalszych krewnych. Jak myś-

lisz, czy oni powrócą? No cóż, zachowaj to dla siebie, do czasu aż się wyjaśni, co albo kto za tym stoi. Jeśli o mnie chodzi, dopatruję się w tym jakiegoś strasznego boskiego żądania okupu. To znaczy, że ludzie, którzy zniknęli, nie umarli i nie zostali zabici. Co też się teraz stanie z systemem ubezpieczeń na życie? Nie wierzę w nic, co będzie wypisywała prasa brukowa. Na pewno będą wciskać, że w końcu dostali się do nas kosmici. Buck, przyjeżdżaj jak najprędzej.

## *Rozdział czwarty*

Buck przykładął z tyłu głowy chusteczkę nasączoną zimną wodą. Rana przestała już krwawić, ale nadal go szczypała. Zauważył migającą ikonę e-maila u dołu ekranu i już miał otworzyć nową wiadomość, gdy nagle poczuł czyjaś dłoń na ramieniu.

— Jestem lekarzem. Proszę mi pozwolić opatrzeć pańską ranę.

— O, dziękuję, chyba nie ma potrzeby, ja...

— Nic nie mów, młody człowieku, ja się tym zajmę. Można tutaj zwariować, nic nie robiąc, a mam przy sobie torbę lekarską. Dzisiaj pracuję za darmo. Nazywa się to Specjalnością Pochwycenia.

— Spe... co?

— Co myślisz o tym, co się wydarzyło? Jak to nazwiesz? — powiedział lekarz, wyjmując butelkę i kawałek gazy z torby.

— Chociaż jesteśmy w dosyć niehigienicznych warunkach, nie obawiaj się, opatrunek będzie sterylny. Masz AIDS?

— Co proszę?

— Nie zaperzaj się, to tylko rutynowe pytanie. — Naciągnął gumowe rękawiczki. — Miałeś kiedyś kontakt z wirusem HIV albo czymś w tym rodzaju?

— Nie, nigdy. Ale jestem panu wdzięczny za pomoc.

W tym momencie doktor wylał sporą ilość płynu dezynfekującego na gazę i przyłożył do rany na głowie Bucka.

— Aj! Ostrożnie!

— Bądź grzeczny, chłopcze. To będzie bolało o wiele mniej niż infekcja, którą mógłbyś złapać.

Z grubsza oczyścił ranę skalpelem i krew znowu zaczęła się sączyć.

— Posłuchaj, będę musiał ci ogolić kawałek głowy, obandażuję ją więc, dobrze? Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Oczy Bucka łzawiły z bólu.

— W porządku, ale proszę mi powiedzieć, co z tym, jak to się nazywa, Pochwyceniem?

— A czy jest jakieś inne, sensowne wytłumaczenie? — spytał lekarz, skalpelem obcinając włosy Bucka w okolicy rany.

W tej chwili podeszła do nich pracownica klubu i poprosiła, by się przenieśli ze swoją operacją do toalety.

— Obiecuję, że posprzątam po sobie, kochanie — powiedział doktor. — Już prawie skończyłem.

— No cóż, tu na pewno nie jest higienicznie, a niektórzy członkowie klubu nie życzą sobie takich widoków, rozumie pan.

— Dlaczego nie podasz im napojów i orzeszków jak w samolocie? Przypuszczam, że dzisiaj nie powinno ich to za bardzo dziwić, prawda?

— Proszę tak do mnie nie mówić, nie życzę sobie. Musimy mieć wzgląd na wszystkich członków klubu i nie robić żadnych wyjątków.

Doktor westchnął głęboko.

— No już dobrze. Masz rację. Jak masz na imię?

— Suzie.

— Posłuchaj, Suzie. Przepraszam, że byłem dla ciebie nieuprzejmy. Proszę, wybac mi. Pozwól mi jednak dokończyć, a obiecuję, że już więcej nie będę publicznie operował.

Suzie odeszła, kręcąc głową.

— Doktorze — odezwał się Buck. — Daj mi wizytówkę, żebym mógł ci należycie podziękować.

— Nie ma potrzeby — powiedział lekarz, pakując rzeczy.

— Teraz wytłumacz mi, co miałeś na myśli, mówiąc o Pochwyceniu.

— Innym razem. Teraz twoja kolej na telefon.

Bucka korciło, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, ale nie mógł przepuścić połączenia się z Nowym Jorkiem. Próbował się skontaktować, raz po raz wykręcając numer, używając opcji automatycznego powtarzania, ale nie uzyskał połączenia. Podłączył modem do aparatu i wcisnął wybieranie numeru, a sam otworzył

e-mail i odczytał wiadomość od sekretarki Steve'a Pianka, puszystej Marge Potter.

*Buck, ty łobuzie! Każesz mi sprawdzać krewnych swojej dziewczyny, jakbym nie miała nic lepszego do roboty albo innych zmar-twień! Gdzie spotkałeś tę Hattie Durham? Możesz jej powiedzieć, że skontaktowałam się z jej matką na Zachodzie, ale to było jeszcze przed jakąś powodzią, burzą czy czymś w tym rodzaju, co nas rozłączyło. Jest w doskonałej kondycji, chociaż tak jak większość jest przerażona tym, co się stało i była wdzięczna za wiadomość, że jej córka nie zniknęła. Prosiła, żeby przekazać, że jej dwie córki, siostry Hattie, też mają się dobrze i nic im się nie stało.*

*Jesteś nieoceniony Buck, pomagając ludziom w ten sposób. Steve powiedział, że masz do nas dotrzeć możliwie jak najszybciej. Miło będzie znowu cię zobaczyć. To, co się dzieje, jest straszne. Wiemy na razie o kilku naszych pracownikach, którzy zniknęli, od innych nie mamy jeszcze wiadomości, włącznie z tymi w biurze w Chicago. Dotarliśmy do wszystkich od starszego personelu wzwyż, włącznie z tobą. Mam nadzieję i będę się modlić, żebyś dotarł tu szczęśliwie. Zauważyłeś, że to nieszczęście dotknęło też niewinnych? Wszyscy, o których wiemy, że zniknęli, byli albo dziećmi, albo bardzo fajnymi ludźmi. Chociaż z drugiej strony niektórzy naprawdę wspaniali ludzie nadal są z nami. Cieszę się, że jesteś jednym z nich i też pozostałeś tak samo jak Steve. Zadzwoń.*

Żadnej wiadomości, czy udało jej się dotrzeć do owdowiałego ojca Bucka i żonatego brata. Zastanawiał się, czy miała w tym jakiś cel, czy po prostu nie udało jej się jeszcze z nimi skontaktować. Jeśli to prawda, że żadne dziecko nie ocalało, to jego bratanica i bratanek też powinni być wśród tych, którzy zniknęli. Buck zrezygnował z próby bezpośredniego połączenia się z biurem, ale udało mu się połączyć ponownie za pomocą modemu. Otworzył edytor tekstu i błyskawicznie zredagował kolejną wiadomość, gdzie się aktualnie znajduje. Dzięki temu, zanim system telekomunikacyjny z powrotem nabierze przynajmniej pozorów normalności, „Global Weekly” będzie już gotowy do rozpoczęcia prac nad tajemniczym zagadnieniem.

Odwiesił słuchawkę i odłączył komputer ku wyraźnej uldze czekających w kolejce na połączenie, po czym zaczął rozglądać się za lekarzem. Bez powodzenia. Marge wspominała o niewinnych. Doktor zakładał, że nastąpiło Pochwycenie. Steve naigrawał się z teorii kosmitów. Ale czy w tej chwili cokolwiek można wykluczyć? Myśli kłębiły mu się w głowie, gdy próbował odnaleźć jakiś sens w całej tej historii ze zniknięciami milionów istnień ludzkich. To dopiero zagadka!

Buck usiadł na podłodze, nadal czekając w kolejce i wstawał tylko po to, żeby się przesunąć. Otworzył plik z wywiadem z Rosenzweigiem i wystukał na klawiaturze słowo Carpathia. Wzdrygnął się, kiedy przypomniał sobie, jak mu było głupio, gdy się przyznał Rosenzweigowi, że nigdy nie słyszał o tym człowieku. Zatrzymał przesuwający się na ekranie wywiad i zaczął czytać. Zauważył u dołu ekranu sygnał świetlny o kończącej się energii, wyciągnął więc z torby podróźnej przedłużacz i podłączył komputer do prądu.

— Uważaj na kabel — powtarzał co chwilę do przechodzących ludzi.

Jedna z kobiet za pulpitem stanowiska odpraw zdenerwowała się i kazała mu odłączyć komputer. Uśmiechnął się do niej.

— A jeśli tego nie zrobię, to co, wyrzucisz mnie z lotniska? Zaresztujesz? Przy więziesz łańcuchem do lady?

— Wszyscy obejrzeni się na zwariowanego młodzieńca na podłodze wrzeszczącego na kobietę przy stanowisku odpraw. Rzadko zdarzały się takie sytuacje w bądź co bądź ekskluzywnym klubie Pan-Con, ale tego dnia wszystko mogło się zdarzyć i już nic nikogo nie dziwiło.

Rayford Steele wysiadł z helikoptera na lądowisku przy Szpitalu Miejskim w Arlington Heights, gdzie wszyscy pozostali piloci także musieli wysiąść, żeby zrobić miejsce rannym pacjentom czekającym na transport do szpitala w Milwaukee. Inni piloci zatrzy-



mali się w poczekalni szpitala z nadzieją złapania taksówki, ale Rayford miał lepszy pomysł. Zaczął maszerować w kierunku domu.

Był jakieś osiem kilometrów od domu i mógł się założyć sam z sobą, że łatwiej byłoby załapać się na autostop niż znaleźć wolną taksówkę. Miał nadzieję, że jego mundur lotnika i elegancki wygląd sprawi, że któryś z przejeżdżających kierowców zatrzyma się i podwiezie go do domu.

Maszerując samotnie z kurtką na ramieniu i aktówką pod pachą, doznał nagle uczucia ogromnej bezsilności i rozpacz. W tej chwili Hattie powinna już być w swoim mieszkaniu i sprawdzać wiadomości na automatycznej sekretarce oraz próbować dodzwonić się do rodziny, do bliskich. Jeśli miał rację, że Irena wraz z Rayem juniorem zniknęli, gdzie byli, kiedy to się wydarzyło. Czy znajdzie jakiś ślad, który upewni go, że zniknęli, a nie na przykład zginęli w jakimś wypadku?

Rayford ocenił, że zniknięcia miały miejsce późnym wieczorem, gdzieś około godziny dwudziestej trzeciej czasu środkowoamerykańskiego\*. Czy mogli z jakiegoś powodu nie być w domu o tak późnej porze? Nie mógł sobie tego wyobrazić i wątpił w taką ewentualność.

Gdy szedł ulicą Algonquin, zatrzymał się samochód, który prowadziła kobieta w wieku około czterdziestu lat. Podziękował i podał swój adres. Okazało się, że знаła te okolice.

— Mieszka tam moja przyjaciółka. To znaczy mieszkała. Li Ng, pochodziła z Azji, pracowała w wiadomościach telewizyjnych na siódmym kanale.

— Znam ją i jej męża — powiedział Rayford. — Nadal mieszka ją na naszej ulicy.

— Już nie. Wiadomości telewizyjne, w których pracowała, zadekowały jej pamięci popołudniowe wydanie. Cała jej rodzina zniknęła.

Rayford westchnął głośno.

\*Na terenie Stanów Zjednoczonych istnieją trzy strefy czasowe: wschodnia, środkowa i zachodnia.

— To niewiarygodne. Czy ktoś z twoich bliskich też zniknął?  
— Niestety tak — powiedziała drżącym głosem. — Ponad tuzin bratanków i siostrzenic.

— Niech to!

— A u ciebie?

— Jeszcze nie wiem. Dopiero co wróciłem z lotu nad Atlantykiem i nie mogłem dozwonić się do nikogo.

— Chcesz, żebym zaczekała?

— Nie, dziękuję. Mam samochód w garażu. Jeśli będę potrzebował dokądś pojechać, skorzystam z niego.

— Wiesz, że O'Hare jest już zamknięte? — spytała.

— Naprawdę? Od kiedy?

— Przed chwilą podali w radiu. Pasy startowe są zapchane samolotami, budynki dworca lotniczego pełne pasażerów, drogi zatłkane korkami.

— Skąd ja to znam?

Gdy wyjeżdżali powoli na Mount Prospect, Rayford poczuł się tak zmęczony jak nigdy przedtem. Jego uwagę przykuło to, że prawie przy każdym domu stało na podjazdach po kilka samochodów, a ich właściciele chodzili wokół jak błędni. Wyglądało na to, że każdy kogoś utracił. Zdał sobie sprawę z tego, że za chwilę i on dołączy do tego grona.

— Czy mogę coś dla ciebie zrobić? — zapytał kobietę, gdy podjeżdżali do jego domu.

Potrząsnęła głową.

— Cieszę się, że ja mogłam pomóc tobie. Jeśli chcesz, możesz się za mnie pomodlić. Boję się, że tego nie wytrzymam.

— Niestety, nie bardzo wiem, jak się modlić — wyznał.

— Niedługo się nauczysz, zobaczysz — powiedziała. — Ja też nigdy przedtem się nie modliłam, a teraz się nauczyłam.

— W takim razie ty możesz modlić się za mnie — powiedział.

— Dobrze, możesz na mnie liczyć.

Rayford zatrzymał się przed garażem i pomachał jej na pożegnanie, dopóki nie zniknęła za zakrętem. Ogród i chodnik prowadzący

do domu były jak zwykle w nieskazitelnym porządku, a ich wielki dom, trofeum i duma jego życia, wyglądał teraz jak grobowiec. Otworzył drzwi. Ciągłe leżąca na ganku gazeta, zasłonięte żaluzje w oknach od strony tarasu oraz zapach palonej kawy w ekspresie, której woń poczuł, gdy tylko otworzył drzwi, wskazywały na to, czego najbardziej się obawiał.

Irena była bardzo pedantyczną panią domu. Każdego ranka o szóstej automatycznie włączał się ekspres, w którym parzyła się jej ulubiona kawa bezkofeinowa - wypijała ją do smażonego jajka. Radio nastawione na program lokalnej stacji chrześcijańskiej włączało się o szóstej trzydzieści. Irena każdego ranka po zejściu na dół, najpierw ściągała żaluzje w pokojach od frontu i z tyłu domu.

Ze ściśniętym gardłem Rayford rzucił gazetę do kuchni, powiesił marynarkę i wsunął aktówkę do szafy w ścianie. Przypomniawsobie o kopercie, którą Irena przesłała mu na lotnisko i włożył ją do obszernej kieszeni munduru. Postanowił, że będzie ją miał przy sobie, przeszukując dom, by sprawdzić, czy Irena naprawdę zniknęła. Jeśli tak było, to chciał być na sto procent przekonany, że miała rację w tym, co mówiła. Nade wszystko chciał wiedzieć, że jej marzenie się spełniło i że w mgnieniu oka została pochwycona przez Jezusa do odbycia fascynującej, najwspanialszej dla niej podróży, by stanąć u Jego boku w niebie, jak zwykła mówić. Kto jak kto, ale ona na pewno sobie na to zasłużyła.

A Raymie? Gdzie on może teraz być? Z nią? Oczywiście! Przecież chodził z nią do kościoła nawet wtedy, gdy Rayford zostawał w domu. Wyglądało na to, że lubił tam chodzić. Ozytał Biblię, a nawet studiował ją.

Rayford wyjął z kontaktu wtyczkę ekspresu do kawy, który automatycznie najpierw się wyłączył, a potem znowu włączył na siedem godzin, doszczętnie wygotowując zaparzoną wcześniej kawę. Opróżnił go i zostawił dzbanek w zlewie. Pstryknął klawiszem radia, które skrzeczało przekazując wiadomości chrześcijańskiej stacji przynudzającej na temat chaosu, jaki zapanował po masowych zniknięciach.

Rozejrzał się po salonie, jadalni i kuchni, nie spodziewając się zobaczyć nic oprócz zwykłej elegancji i porządku. Jego oczy napełniły się łzami, ściągnął zasłony tak jak ona to zawsze robiła. Czy to możliwe, żeby gdzieś wyjechała? Może do kogoś w odwiedziny? Czy zostawiła jakąś wiadomość? A jeśli tak i w końcu gdzieś ją znajdzie, na co zdałaby się wtedy jej wiara? Czy to by dowiodło, że nie było żadnego Pochwycenia, którego tak bardzo wyczekiwała? Albo że jest zgubiona tak samo jak on? Jeśli to było Pochwycenie, to dla jej dobra Rayford miał nadzieję, że zniknęła i jest już w lepszym miejscu. Ale ból, jakiego doświadczał, i pustka przytłaczały go.

Włączył automatyczną sekretarkę i przesłuchał te same wiadomości, które odtwarzał już z lotniska. Ich lista powiększyła się o jego przekaz z terminalu O'Hare. Wydawało mu się, że jego własny głos brzmi dosyć dziwnie. Zauważył w nim fatalistyczne nutki, jakby z góry wiedział, że przekaz nie dotrze do osób, dla których jest przeznaczony.

Z drzeniem wchodził na górę. Jeszcze spojrzął na salon i wejście do garażu. Och, gdyby tak chociaż jednego auta brakowało. I rzeczywiście, jednego nie było! Może jednak gdzieś pojechała? Zaledwie o tym pomyślał, już był na schodach do garażu. Brakowało jego BMW. Zostawił samochód poprzedniego dnia na parkingu lotniska. Odbierze go stamtąd, gdy tylko miasto się trochę rozkorkuje.

Pozostałe dwa samochody stały na miejscu. Jednego używała Irena, drugim jeździła Chloe, gdy była w domu. Naszły go też wszystkie wspomnienia związane z Raymiem. Stał tam jego terenowy jeep oraz skuter śnieżny i rower, których używał tylko Junior. Rayford był wściekły na siebie za wszystkie niespełnione obietnice, że poświęci mu więcej czasu. Ma teraz czego żałować.

Zatrzymał się, gdy w kieszeni zaszeleściła koperta. Już czas, by poszedł na górę, do sypialni.

Buck Williams doczekał się wreszcie swojej kolejki do stanowiska odpraw w klubie Pan-Con, akurat w chwili, gdy znalazł mate-

riał, którego szukał na dysku. Podczas wielu dni żmudnego wpisywania tekstu do komputera Buck poruszył z jakiegoś powodu kwestię bliższego przyjrzenia się każdemu krajowi, który próbował się podlizzać dr. Rosenzweigowi, w nadziei że w ten sposób na własną rękę zdobędzie dostęp do jego wynalazku.

*To może być nawet interesujący aspekt - przyznawał Rosenzweig, mrugając oczami. - Najbardziej rozbawiła mnie wizyta u samego wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Chciał mnie uhonorować, przedstawić prezydentowi, zorganizować specjalną paradę na moją cześć, nadać mi jakiś tytuł i coś tam jeszcze. Naturalnie bardzo dyplomatycznie nie wspominał ani słowem, że spodziewa się czegoś w zamian, ale tego oczywiście sam się domyśliłem. Nie jestem taki głupi. Wiele było powiedziane o przyjaźni i sympatii Stanów Zjednoczonych do Izraela od momentu jego powstania po drugiej wojnie światowej. I to jest prawda, no nie? Nie mogłem się sprzeczać z takim argumentem.*

*Udawalem godnie, że doceniam wyróżnienie i okazywaną mi życzliwość w całości jako dotyczące mojej osoby i skromnie odmówiłem przyjęcia wszystkich zaszczytów. Bo wiesz, młody człowieku, ja jestem najskromniejszy ze wszystkich, no powiedz, czy nie?*

Stary naukowiec roześmiał się głośno na samą myśl o tym i opowiadał o innych odwiedzinach u dygnitarzy, którzy próbowali go omamić.

*A czy był wśród nich ktoś szczerzy? — spytał Buck. — Czy któryś z nich wywarł na panu szczególne wrażenie?*

*Taki — odpowiedział Rosenzweig po chwili namysłu. — Z najmniej spodziewanego i zdumiewającego zakątka świata — z Rumunii. Nie wiem, czy go wydelegowali, czy może przyjechał na własną rękę, chociaż podejrzewam to drugie, gdyż z tego, co wiem był, najniższym rangą dyplomatą, przez którego byłem podejmowany po otrzymaniu Nagrody Nobla. Z tego też powodu chciałem go widzieć. Sam osobiście poprosił o spotkanie ze mną. Nie skorzystał przy tym z typowej protokolarnej procedury politycznej.*

*— A był nim...?*

- *Nicolae Carpathia.*
- *Carpathia to brzmi jak...*
- *No właśnie, góry Karpaty. Prawda, jakie dźwięczne nazwisko? Odkryłem, że jest ogromnie czarującym i skromnym człowiekiem. Nie tak jak ja!*
- *Rosenzweig znowu wybuchnął śmiechem.*
- *Jeszcze o nim nie słyszałem.*
- *Usłyszysz, nie martw się.*
- *Buck próbował pokierować rozmową.*
- *Ponieważ jest on...*
- *Imponujący, to wszystko, co mogę o nim powiedzieć.*
- *I jak na razie niskim rangą dyplomata dyplomacji?*
- *Jest członkiem niższej izby parlamentu Rumunii.*
- *Senatu?*
- *Nie, senat jest izbą wyższą.*
- *Rzeczywiście, wyleciało mi z głowy.*
- *Nie przejmuj się, że jeszcze o nim nie słyszałeś, choć jesteś znanym dziennikarzem międzynarodowym. On jest takim ewenementem, że jak do tej pory wiedzą o nim tylko Rumuni i niektórzy amatorzy politycy-naukowcy, jak ja. To jest coś, nad czym chciałbyś się zatrzymać dłużej.*
- *W wolnym czasie?*
- *Właśnie. Wiesz, nawet nie znałem tego człowieka. Znałem natomiast kogoś w Izbie Deputowanych - tak się nazywa niższa izba ich parlamentu - kto był za utrzymaniem pokoju i stał na czele ruchu na rzecz światowego rozbrojenia, do czego naturalnie my, Izraelczycy, nie mamy zaufania. Ale oczywiście musi doprowadzić najpierw do rozbrojenia we własnym kraju, co prawdopodobnie nie nastąpi za mojego, a nawet twojego życia. Znajomy ten poznał mnie z człowiekiem, o którym chcę ci opowiedzieć. A tak przy okazji, jest on mniej więcej w twoim wieku. Blond włosy, niebieskie oczy jak rdzenni Rzymianie, którzy przybyli z Rzymu, zanim Mongołowie zmienili ich rasę.*
- *A co się Panu podoba w nim najbardziej?*

— *Pozwól, że się zastanowię* — powiedział Rosenzweig. — *Zna mój język tak dobrze jak własny i rozmawia biegle po angielsku. Powiedziano mi, że zna jeszcze inne języki. Dobrze wykształcony, chociaż nadal się kształci, na własną rękę. Po prostu lubie go jako osobę. Bardzo bystry. Szczery i otwarty jak mało kto.*

— *A co chciał od pana?*

— *Właśnie to mi się podoba najbardziej. Ponieważ odkryłem, że jest taki szczery i otwarty, postawiłem mu takie samo pytanie. Na-legal, żebym się zwracał do niego Nicolae, powiedziałem więc: Nicolae (to się działo niecałą godzinę po wstępnych uprzejmościach), czego oczekujesz ode mnie? Wiesz, co mi powiedział, młody człowieku? Doktorze Rosenzweig, szukam tylko twojej dobrej woli. I co miałem z tym zrobić? Odpowiedziałem więc: Nicolae, masz to, czego szukasz. Musisz wiedzieć, że chociaż jestem realistą, to jednak jestem też w pewnym stopniu pacyfistą. Naturalnie, nie powiedziałem mu tego. Powiedziałem tylko, że ma moją dobrą wolę. Ty też to masz, prawda?*

— *Podaję, że nie jest to coś, czym łatwo możesz się z kimś podzielić.*

— *Właśnie dlatego mi się podobasz, bo macie coś wspólnego. Któregoś dnia musisz się spotkać z Carpathią. Zapewniam cię, że od razu się polubicie. Jego dążenia i marzenia może nigdy nie zrealizują się nawet w jego kraju, ale z pewnością jest to człowiek o najwyższych ideałach. Gdy wypłynie na szerokie wody, na pewno o nim usłyszysz. A jeśli nadal będziesz się poruszać po swojej dotychczasowej orbicie, to i on z pewnością usłyszy o tobie, albo osobiście się spotkacie, czyż nie?*

— *Mam nadzieję, że tak.*

W końcu przyszła kolej Bucka, by podszedł do stanowiska odpraw. Zwinął przedłużacz i podziękował młodej kobiecie.

— *Przepraszam za wszystko* — powiedział, przerywając na chwilę w oczekiwaniu na przebaczenie ze strony innych pasażerów, które jednak nie nadeszło. — *To z powodu dzisiejszego dnia* — powiedział — *innego niż wszystkie, chyba rozumiesz.*

Najwidoczniej nie rozumiała. Przecież też miała ciężki dzień, jak wszyscy. Spojrzała na niego z politowaniem i spytała:

— Czego nie mogę dla ciebie zrobić?

— O, jesteś zła dlatego, że nie zrobiłem tego, o co mnie poprosiłaś?

— Nie — odparła. — Dzisiaj zwracam się tak do wszystkich. To jest mój mały żart, gdyż praktycznie dzisiaj nie wiele da się zrobić. Nie są przewidziane żadne loty. W każdej chwili lotnisko może zostać zamknięte. Kto wie, jak długo potrwa usuwanie wraków i przywracanie w miarę normalnego ruchu lotniczego. To znaczy, mogę przyjmując twoją prośbę i wszystko inne, ale nie mogę zabrać twoich bagaży, zabukować przelotu, podać numeru telefonu, zarezerwować hotelu, nic z tego, co z taką przyjemnością i satysfakcją robimy dla członków naszego klubu. Chyba jesteś naszym członkiem, co?

— Pytasz, czy jestem członkiem klubu? — oburzył się Buck.

— Złotym czy platynowym?

— Posłuchaj, kobieto. Jestem, jak by to powiedzieć, kryptonowym\* członkiem.

Pokazał jej kartę członkowską, podkreślając, że znajduje się w grupie trzech procent najczęściej podróżujących ich liniami na całym świecie. Jeśli jakkolwiek lot ma wolne przynajmniej jedno miejsce w najtańszej klasie, powinno być jemu przydzielone i zamienione na pierwszą klasę bez dodatkowej opłaty.

— O rany — wyjąkała. — Ty jesteś Cameron Williams, ten z pisma?

— Tak, to ja.

— Z „Time”? Powiedz prawdę.

— Nie ubliżaj mi. To konkurencja.

— No pewnie, tylko żartowałam. Chcesz wiedzieć, skąd wiedziałam? Też kiedyś wybierałam się na dziennikarstwo. Studiowałam w college'u. Pamiętam, że czytałam o tobie. Najmłodszy zdobywca wszelkich nagród dziennikarskich, masz też na swoim kon-

\* Krypton - bardzo rzadko spotykany pierwiastek chemiczny.



cie najwięcej artykułów z pierwszych stron napisanych przez osobę poniżej dwunastego roku życia.

— Śmieszne.

— A co, nie?

— Nie mogę uwierzyć, że w taki dzień jak ten możemy jeszcze sobie żartować — powiedział z sarkazmem.

Natychmiast się zachmurzyła.

— Nawet nie chcę o tym myśleć. Więc, co mogę dla ciebie zrobić, jeżeli w ogóle będę w stanie coś zrobić?

— No, nareszcie przechodzimy do konkretów — odetchnął Buck.

— Muszę się dostać do Nowego Jorku. No, co tak patrzysz? Wiem, że to najgorsze z możliwych miejsc, do którego można chcieć jechać. Ale ty znasz ludzi. Znasz pilotów, którzy mimo wszystko latają, na przykład czartery. Znasz też lotniska i wiesz, z których i na które latają. Powiedzmy, że mam nieograniczoną ilość pieniędzy i mógłbym zapłacić każdą cenę, byle tylko się tam dostać. Do kogo byś mnie posłała?

Wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

— Nie mogę uwierzyć, że mnie o to pytasz.

— Dlaczego?

— Bo rzeczywiście znam kogoś takiego. Lata mniejszymi odrzutowcami z lokalnych lotnisk, jak Waukegan i Palwaukee na przedmieściach Chicago. Jest jednak drogi, teraz może zażądać podwójnej opłaty, szczególnie jeśli wie, kim jesteś i jak bardzo ci na tym zależy.

— Nie będę niczego ukrywał. Daj mi jego namiary.

Słyszeć o tym w radiu czy oglądać w telewizji to jedno, ale doświadczać tego na sobie to zupełnie coś innego. Rayford Steele nie miał pojęcia, jak będzie się czuł, gdy znajdzie dowód na to, że jego żona i syn zniknęli z powierzchni ziemi.

Zatrzymał się przez chwilę na górze, przy schodach, oglądając zdjęcia rodzinne. Irena zawiesiła je wszystkie chronologicznie, po-

czynając od jego i jej pradziadków. Stare, pokruszone, czarno-białe fotografie ukazywały surowe twarze mężczyzn i kobiet pochodzących ze środkowych i zachodnich Stanów. Po nich przyszła kolej na kolorowe, ale wyblakłe zdjęcia dziadków zrobione podczas ich pięćdziesiątej rocznicy ślubu. Dalej byli rodzice i rodzeństwo, a w końcu oni sami. Nie miał pojęcia, ile czasu minęło, odkąd ostatnio przyglądał się swojemu zdjęciu ślubnemu, kiedy patrzył na nią elegancznie, choć nienaturalnie uczesaną do ślubu i na siebie z gładką fryzurą za uszy i wąsami.

A te zdjęcia rodzinne z ośmioletnią Chloe trzymającą niemowlę! Jakże był wdzięczny, że Chloe nadal jest z nim i wierzył, że na pewno uda mu się z nią skontaktować! O czym mogą świadczyć te fotografie, jeśli chodzi o nich dwoje? Byli zgubieni, zniknęli. Nie wiedział, czego się spodziewać i o co się modlić. Ach, żeby Irena i Raymie nadal tu byli, a to wszystko się nie wydarzyło!

Nie mógł dłużej zwlekać. Drzwi do sypialni Raymiego były uchylone. Jego budzik był wyłączony i ciągle piszczał. Rayford podszedł i wyłączył go. Przy łóżku leżała książka, którą Raymie czytał przed zaśnięciem. Ostrożnie odsunął kołdrę i jego oczom ukazała się góra od piżamy z wizerunkiem Chicago Bulls, spodenki i skarpety. Usiadł w rogu łóżka i zapłakał, jednocześnie uśmiechając się, gdy myślał, że Irena co wieczór napominała syna, żeby nie zakładał skarpet do łóżka.

Złożył ubrania i spojrzął na swoje zdjęcie na stoliku przy łóżku. Stał w terminalu z czapką pod pachą i uśmiechał się, a cielsko Boeinga 747 widniało z tyłu, za szybą. Zdjęcie było podpisane: „Dla Raymiego z miłością, Tata”. Pod spodem Rayford dopisał kiedyś: „Rayford Steele, kapitan Pan-Continental Airlines, O'Hare, Chicago”. Pokręcił głową z niedowierzaniem. Cóż za autograf na własnej fotografii podarowanej synowi?

Ciało Rayforda było ciężkie jak ołów. Wiedział, że powinien się zmusić, do wstania. Kiedy w końcu to uczynił, zrobiło mu się słabo i uświadomił sobie, że od wielu godzin nic nie miał w ustach. Powoli, nie oglądając się za siebie, skierował się do drzwi i zamknął je.

Na końcu korytarza zatrzymał się na chwilę przed francuskimi drzwiami prowadzącymi do ich małżeńskiej sypialni. Jakież piękne, ozdobione falbankami miejsce stworzyła Irena. Czy Rayford kiedykolwiek powiedział jej, jak bardzo to docenia? Czy w ogóle doceniał i zauważał?

W sypialni nie było budzika, nie musiał go więc wyłączać, jak w pokoju Raymiego. Zobaczył inne zdjęcie ich dwojga on - pewny siebie spogląda w stronę kamery, a ona wpatruje się w niego. Doszedł do przekonania, że nie zasłużył na taką żonę. Należało się mu, natomiast to, co go teraz spotkało - własne zarozumiałstwo drwiło z niego i został pozbawiony najważniejszej osoby w życiu.

Podszedł do łóżka, wiedząc, czego się może spodziewać. Odniesiona poduszka, pomięte przykrycie. Wyraźnie czuł jej zapach chociaż wiedział, że łóżko jest zimne. Delikatnie odsunął narzutę i ujrzał medalion, w którym znajdowało się jego zdjęcie. Flanelowa koszula nocna, z której zawsze stroił sobie żarty, a którą zakładała na noc tylko wtedy, gdy go nie było w domu, świadczyła dobitnie o jej zniknięciu.

Ze ściśniętym gardłem i oczami pełnymi łez zauważył jej ślubną obrączkę obok poduszki, w miejscu, w gdzie zwykle opierała policzek na dłoni. To już było zbyt wiele. Załamał się. Podniósł obrączkę z poduszki i trzymając w dłoniach z nabożną czcią, usiadł na brzegu łóżka i kołysał się ze zmęczenia i rozpacz. Włożył obrączkę do kieszeni kurtki i zauważył kopertę, którą wziął z lotniska. Gdy ją rozdarł, znalazł dwa ulubione ciasteczka jej wypieku z serduszkami z czekoladowej polewy.

*Jakaż kochana, wspaniała kobieta!* - pomyślał. *Nie zasłużyłem na nią i nigdy nie kochałem jej tak, jak powinna być kochana*. Położył ciastka na nocnym stoliku, a pokój napełnił się ich aromatem. Zdrętwiałymi palcami zdjął z siebie ubranie i rzucił bezładnie na podłogę. Rzucił się na łóżko, upadł twarzą do poduszki i wtulił w koszulę nocną Ireny tak, żeby czuć jej zapach i śnić, że jest przy nim.

Po chwili już spał, zmęczony i zapłakany, wstrząsany głębokim szlochem.

## *Rozdział piąty*

Buck Williams poszedł do męskiej toalety w klubie Pan-Con. Sięgnął do głęboko ukrytej w dżinsach specjalnej kieszeni, by upewnić się, czy ma czeki podróżne wartości wielu tysięcy dolarów, wymienne na euro i jeny. Przetrzęsął też skórzaną torbę podróżną w której miał dwie zmiany bielizny, laptop, telefon komórkowy oraz kilka zimowych rzeczy.

Kiedy opuszczał Nowy Jork trzy dni przed apokaliptycznymi zniknięciami, był przygotowany na dziesięciodniową podróż do Wielkiej Brytanii. Wypracował sobie taki system, że podczas dłuższych podróży zagranicznych sam robił sobie prowizoryczne pranie w umywalce hotelowego pokoju. Suszyło się później cały dzień, a on miał na sobie zawsze czystą zmianę, zaś tę wypraną w rezerwie. Dzięki temu nigdy nie był objuczony walizami.

Buck udał się w podróż, zatrzymawszy się jeszcze w biurze w Chicago, by załatwić parę spraw, zamienić kilka słów i podzielić się niektórymi spostrzeżeniami z szefową biura - pięćdziesięcioletnią czarną kobietą o nazwisku Lucinda Washington. Mieli ustalić - kiedy może skorzystać, jeśli w ogóle, z zebranych już przez nią materiałów dotyczących sportowej sensacji, która jak grom z janego nieba obiegła cały kraj. Podeszły w latach, legendarny zawodnik Niedźwiedzi\* znalazł w końcu sponsorów, żeby kupić dobrych zawodników i stworzyć nową, profesjonalną drużynę, a Buck miał jakoś znaleźć trop, dotrzeć do niego i opisać całe to wydarzenie.

— Podziwiam cię, Cameron — powiedziała Lucinda Washington, w charakterystyczny dla siebie sposób, unikając jego przezwiska.

\*Drużyna futbolu amerykańskiego.

— Zawsze muszę być czymś zaskakiwana, podobnie jak ty. Ale przynajmniej mogłeś dać mi znać.

— I pozwolic, żebyś przydzieliła do tego kogoś, kto i jak powinien się tym zająć?

— Posłuchaj, Cameron, przecież sport nie jest nawet twoim hobby. Po tym, jak zrobiłeś artykuł roku z Chaimem Rosenzweigiem i opisałeś pokonanie Rosjan przez Izrael, albo raczej powinienam powiedzieć przez samego Boga, jak w ogóle mogłeś zająć się taką błahostką? Studia w Ivy League\* nie powinny ci nawet pozwolić pomyśleć o innym sporcie niż gra w lacrosse\*\*, czy rugby, prawda?

— Ale tu chodzi o coś więcej niż o historię sportową, Lucy, i...

— Hej, kolego, nie zapuszczaj się za daleko!

— Przepraszam, Lucinda. Czy to nie jest stereotyp? Lacrosse i rugby?

Oboje zaczęli się śmiać jednocześnie.

— Nie mówię, że masz się meldować, że jesteś w mieście — powiedziała. — Ale przynajmniej daj mi znać, kiedy twój artykuł będzie gotowy, zanim ukaże się w „Global Weekly”. Ja i moi ludzie byliśmy wystarczająco zawstydzeni, gdy zostaliśmy pokonani i to przez taką osobistość, jak legendarny Cameron Williams. Ale niech tak będzie, więc...

— To dlatego tak piszczałaś, gdy mnie dzisiaj zobaczyłaś?

Lucinda znowu się zaśmiała.

— Właśnie dlatego powiedziałam Steve'owi Piankowi, że musimy się zobaczyć, żebyś znowu powrócił do moich łask.

— I co, myślisz, że tak strasznie się tym przejmuję?

— Dlatego, że mnie lubisz — powiedziała — nie możesz sobie z tym poradzić.

Buck śmiał się coraz głośniej.

\*Grupa ośmiu prestiżowych uniwersytetów we wschodniej części USA.

\*\* Snobistyczna gra zespołowa, w której do odbijania piłeczki i strzelania bramek służą zakończone siatką kijki.

— Ale uważaj, Cameron, jeśli znowu zniecka przyłapię cię w moim mieście, a nie będę wcześniej o tym wiedziała, wytrzepię ci tylek.

— No cóż, posłuchaj, Lucinda. Zradzę ci kawałek z tego, co już wiem, a nie mam wiele czasu, żeby to sprawdzić. Dowiedziałem się, że kontrakt z Narodową Ligą Futbolu może nie dojść do skutku. Pieniądze pochodziły z niepewnych źródeł i szefowie ligi zamierzają odrzucić ofertę. Wasza legenda będzie w bardzo wielkim kłopotcie.

Lucinda zaczęła gwałtownie coś gryzmolić.

— Nie mówisz poważnie — wyjąkała, chwytając za telefon.

— Nie, nie mówię poważnie, masz rację, ale ciekawie było widzieć, jak szybko wchodzisz do akcji.

— Ty draniu! — wykrzyknęła. — Gdybyś był kimś innym, już dawno bym cię wyrzuciła na zбитy leń.

— Ale mnie lubisz. Nie możesz sobie z tym poradzić.

— To nie po chrześcijańsku — powiedziała.

— Nie zaczynaj z tym znowu.

— No, nie bądź taki, Cameron. Przecież sam wiesz, jaka była prawda, gdy zobaczyłeś, co Bóg uczynił dla Izraela, pokonując Rosjan i aliantów.

— Zgadza się, ale nie nazywaj mnie, proszę chrześcijaninem. Deista jest ze mnie taki sam jak gliniarz.

— Zatrzymaj się w mieście tyle czasu, żebyś mógł przyjść w niedzielę do kościoła, a zobaczysz, że Bóg przemówi do ciebie.

— On już do mnie przemówił, Lucinda. Ale Jezus to co innego. Izraelici nienawidzą Jezusa, a zobacz, co Bóg uczynił dla nich.

— Drogi Pana są...

— ...niezbadane, tak, wiem. A przy okazji, w poniedziałek lecę do Londynu. Razem ze znajomym będziemy pracowali nad pewnym gorącym tematem.

— Tak? A nad czym?

— A co ci do tego, laluniu. Nie znamy się jeszcze tak dobrze, prawda?

Roześmiała się, obejmując Bucka przyjacielskim uściskiem. To było trzy dni temu.

Buck wszedł na pokład fatalnego samolotu do Londynu przygotowany na wszystko. Poszedł za wskazówką kolegi ze studiów, Walińczyka, który od dyplomu pracował w londyńskiej instytucji finansowej. Dirk Burton był pewnym źródłem informacji i już wcześniej udostępniał Buckowi zastrzeżone wiadomości na temat spotkań na najwyższym szczeblu międzynarodowej finansjery. Przez lata Buck wyśmiewał się odrobinę ze skłonności Dirka do poważnego traktowania teorii spiskowych.

— Ustalmy fakty — powiedział pewnego razu do Dirka. — Uważasz, że w istocie ci faceci rządzą światem, tak?

— Tego bym nie powiedział, Cam — odrzekł Dirk. — Wiem tylko, że są naprawdę wielcy, tajemniczy, a po ich spotkaniu wydają się coś naprawdę niezwykłego.

— Myślisz, że będą wyznaczać przywódców państw, swoich polepników, coś w tym rodzaju?

— Nie należę do spiskowców, jeśli o to ci chodzi.

— To skąd o tym wiesz, Dirk? Jesteś przecież dobrze ustawionym facetem. Maklerzy pociągający za sznurki za sceną? Potenci kontrolujący finanse świata?

— Wszystko, co wiem, to giełda londyńska, tokijska i nowojorska — wszystko w zasadzie kręci się w kółko i tak będzie aż do czasu, gdy ci faceci się spotkają. Wtedy naprawdę coś się wydarzy.

— Masz na myśli zachwianie się nowojorskiej giełdy papierów wartościowych z powodu niedawnej decyzji prezydenta albo też w wyniku głosowania Kongresu? Uważasz, że tym wszystkim sterowała tajemnicza grupa?

— Nie, ale to jest idealny przykład. Jeżeli twój rynek zachwieje się z powodu choroby prezydenta, wyobraź sobie, co się stanie z rynkiem ogólnoswiatowym, kiedy spotkają się prawdziwi potentaci finansowi.

— Ale w jaki sposób rynek dowie się o ich spotkaniu? Myślałem, że tylko ty o tym wiesz?

— Cam, bądź rozsądny. W porządku, niewielu ludzi zgadza się ze mną, ale przecież nie każdemu o tym mówię. Jeden z naszych facetów od brudnej roboty należy do ich grupy. Oczywiście rynek nie zareaguje natychmiast, od razu po ich spotkaniu. Ale kilka dni później, może za tydzień zaczną się zmiany.

— Na przykład?

— Powiesz, że zwariowałem, ale jeden z moich przyjaciół jest krewnym dziewczyny, która pracuje dla sekretarki naszego „brudnego” faceta w tej grupie i...

— Czeka! Cóż to za koneksje?

— O.K., może rzeczywiście te powiązania są trochę nielegalne, ale wiesz, ta sekretarka nie chce nic zdradzić. W każdym razie przecieki mówią, że ten człowiek zapalił się do wprowadzenia jednej waluty na całym świecie. Pewnie wiesz, że połowę czasu zużywamy na przeliczanie kursu walut, wymianę pieniędzy itd. Nawet komputery nie nadążają za ciągłym dostosowywaniem się do wahań na rynku.

Buck nie był przekonany.

— Jedna globalna waluta? To się nigdy nie stanie — powiedział.

— Jak możesz tak po prostu to powiedzieć?

— Bo to zbyt dziwaczne. Za bardzo niepraktyczne. Pamiętasz co się działo w Stanach, kiedy próbowano wprowadzić system metryczny?

— To było do przewidzenia. Wy, jankesi, chodźcie z zadartymi nosami.

— System metryczny jest używany w przemyśle międzynarodowym. Nie po to, żeby podać wymiary stadionu New York Yankees albo ile jest kilometrów pomiędzy Indianapolis a Atlantą.

— Wiem, Cam. Twoi rodacy byliby gotowi wyłożyć dywanem drogę komunistom, żeby tylko pokrzyżować szyki i zagmatwać czytanie map i podawane odległości. No, a powiedz teraz, gdzie są dzisiaj ci wasi czerwoni?

Buck poddał się, nie chcąc się dalej sprzeczać z Dirkiem. Od tamtej pory przez kilka lat nie miał od niego żadnych wieści, aż pewnego razu, w środku nocy, zadzwonił telefon.



— Cameron — odezwał się Dirk, nie wiedząc o przewisku nadanym mu przez ich wspólnych przyjaciół. — Nie mogę teraz długo rozmawiać. Posłuchaj, możesz pójść moim tropem i zrobić superartykuł albo, jak chcesz, siedź w domu i spokojnie przyglądaj się temu, co się będzie działo, ale wtedy możesz tylko pomarzyć o takim artykule. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy kiedyś na temat jednej waluty światowej?

— Pewnie, chociaż nadal mam wątpliwości.

— Masz prawo, ale wieść niesie, że „nasz” człowiek podniósł ten temat na ostatnim posiedzeniu tajemniczych finansistów i są pewne przecieki.

— Jakie?

— ONZ przygotowuje międzynarodową konferencję monetarną, a jej głównym tematem mają być rozliczenia finansowe.

— Też mi coś.

— To jest coś, Cameron. Nasz człowiek został zabity. A był on żarliwym zwolennikiem ogólnoświatowych rozliczeń dokonywanych w funtach szterlingach.

— Nic dziwnego, że to nie przeszło. Popatrz tylko na stan naszej gospodarki.

— Posłuchaj najważniejszego. Jeśli wierzyć przeciekom z tajnego posiedzenia, doszli do porozumienia, żeby rozliczenia były dokonywane w trzech walutach, i tak ma być jeszcze w tej dekadzie.

— Niemożliwe. To nie przejdzie.

— Cameron, jeśli moje informacje są prawdziwe, znajdujemy się na początku tego procesu. Konferencja ONZ jest tylko przykrywką, mydleniem oczu, że nic się nie robi bez opinii publicznej.

— A decyzje są już podjęte przez twoich tajemniczych finansistów-potentatów?

— Zgadza się.

— Nie wiem, Dirk. Jesteś moim dobrym kolegą i radziłbym ci zająć się tym, co ja robię.

— Któż by nie chciał?

— To prawda. Ja z pewnością nie chciałbym robić tego, co ty.

— Ale ja się nie mylę, Cameron. Sprawdź moją informację.

— Jak?

— Powiem ci, co w ciągu dwóch tygodni wyniknie z konferencji w Nowym Jorku i jeśli mam rację, zaczniesz mnie traktować trochę inaczej, z nieco większym szacunkiem, dobrze?

Buck przypomniał sobie, że mieli z Dirkiem wiele wspólnego, i tak jak inni w Princeton spędzali weekendy na pizzy lub przy piwie w internacie.

— Posłuchaj, Dirk. Twoja historia wygląda zachęcająco i chciałbym się dowiedzieć więcej. Ale jak dobrze pamiętasz, pomijając różne nasze wyglupy, nigdy nie myślałem o tobie bez szacunku, nawet wtedy, gdy już byłeś daleko stąd.

— Dzięki, Cam. Naprawdę to doceniam. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Na dobry początek więc dam ci premię. Nie tylko ci powiem, że w wyniku wspomnianej konferencji nie później niż za pięć lat rozliczenia finansowe będą dokonywane w dolarach, euro i jenach, ale też dodam, że człowiek, który ma całą władzę, jest Amerykaninem.

— O czym ty mówisz?

— O najpotężniejszym magnacie finansowym z całej tej tajemniczej grupy międzynarodowych bankierów i finansistów.

— Innymi słowy, steruje wszystkim i wszystkimi?

— To ten, który wyeliminował szterlinga z wyścigu o prymat waluty i zamierza wywindować dolara jako ostateczną i jedyną walutę na świecie.

— A nazywa się?

— Jonathan Stonagal.

Buck miał nadzieję, że Dirk wymieni kogoś mniej znaczącego, kogo mógłby wyśmiać. Musiał jednak przyznać, choćby przed samym sobą, że kto jak kto, ale Stonagal mógł tu pasować. Stonagal, jeden z najbogatszych ludzi na świecie, od dawna znany powszechnie jako legendarny makler giełdowy, z pewnością miał wiele do powiedzenia w dyskusji nad światowym systemem monetarnym.

I chociaż był już po osiemdziesiątce, a na nielicznych zdjęciach wyglądał na dość schorowanego, to jednak był właścicielem największych banków i różnych instytucji finansowych nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale miał także wielkie udziały w podobnych instytucjach na całym świecie.

Chociaż Dirk był przyjacielem, Buck jednak chciał pociągnąć tę grę, żeby wyciągnąć jak najwięcej informacji.

— Dirk, idę spać. Jestem ci zobowiązany za te wszystkie rewelacje. Są naprawdę ciekawe. Z niecierpliwością będę wyczekiwał rezultatów ONZ-owskich rokowań w tej sprawie i ciekaw jestem, czy zdołam pójść tropem Stonagala. Jeśli będzie tak, jak przepowiedziałeś, staniesz się moim najlepszym źródłem informacji. W międzyczasie dowiedz się, proszę, ilu ich jest w tej grupie i gdzie się spotykają.

— To proste — powiedział Dirk. — Jest ich co najmniej dziesięciu, chociaż czasami przychodzi więcej osób na posiedzenia, także niektórzy przywódcy państw.

— Czy amerykańscy prezydenci też?

— Możesz wierzyć lub nie, ale niekiedy też tam bywają.

— Właśnie to jest popularna teoria spiskowa, Dirk.

— Co wcale nie oznacza, że to nie jest prawda. Zazwyczaj spotykają się we Francji. Nie wiem dlaczego wybrali akurat ten kraj. Może jakaś prywatna, ustronna posiadłość albo coś innego daje im poczucie bezpieczeństwa i chroni od wścibskich, wszędobylskich dziennikarzy.

— Jednak nic nie umknie uwagi jakiejś przyjaciółki, która jest krewną twojego przyjaciela, a pracuje do śmierci wiernej sekretarki faceta, który jest kimś tam w całej tej grupie, tak?

— Możesz się śmiać, Cam, ale pamiętaj, że ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Nasz człowiek w tej grupie, Joshua Todd-Cothran, może okazać się nie takim sztywniakiem, jak pozostali.

— Todd-Cothran, powiedziałeś? Ten, który prowadzi giełdę londyńską?

— Strzał w dziesiątkę.

— Mówisz, że nie jest sztywniakiem? Jak to możliwe, żeby miał taką pozycję i jednocześnie nie był sztywniakiem? A w dodatku kto kiedykolwiek widział Brytyjczyka, który byłby na luzie?

— Wypadki chodzą po ludziach, Cam.

— Dobranoc, Dirk.

Oczywiście realia okazały się takie, jak przepowiadał Dirk. ONZ przyjęła rezolucję. Buck odkrył, że Jonathan Stonagal w czasie trwania konferencji zatrzymał się w Nowym Jorku w hotelu Plaża. Natomiast Todd-Cothran z Londynu był jednym z bardziej elokwentnych mówców i wyrażał całkowite zdecydowanie na wprowadzenie w życie dyskutowanej sprawy, do tego stopnia, że zgłosił się na ochotnika, żeby przedstawić premierowi zagadnienie przejścia systemu monetarnego Wielkiej Brytanii z funta szterlinga na euro.

Wiele krajów Trzeciego Świata protestowało, ale w końcu, w ciągu zaledwie kilku lat trzy waluty zapanowały na kuli ziemskiej. Buck powiedział o tym tylko Steve'owi Piankowi nie wdając się w bliższe szczegóły ani nie podając źródła informacji. Ani on, ani Steve nie mieli pojęcia, czy cała ta sprawa jest warta jakiegogoś spektakularnego artykułu. *Zbyt śliskie*, powiedział Plank. Wkrótce jednak wszystko okazało się prawdą, a oni tylko żalowali, że wcześniej nie przygotowali tekstu na ten temat. *Byłbyś więcej niż legendą, Buck.*

Przyjaźń Dirka z Buckiem zacieśniła się jeszcze i nikogo nie dziwiły częste, krótkie wizyty Bucka w Londynie. Jeśli Dirk miał jakieś poszlaki, Buck pakował się i leciał. Jego podróże często zamieniały się w wycieczki do innych krajów, których klimat niekiedy zaskakiwał go. Musiał być przygotowany na wszystko i zawsze był wyposażony w zestaw na zimę. Teraz najwidoczniej nie było mu to potrzebne. Był uziemiony w Chicago po mrozącym krew w żyłach najbardziej nieprawdopodobnym wydarzeniu w historii świata i próbował się dostać z powrotem do Nowego Jorku.

Niezależnie od nieograniczonych możliwości laptopa, nadal nie wynaleziono nic, co by zastąpiło zwykły kieszonkowy notes. Buck wyciągnął go i żeby o niczym nie zapomnieć, zapisał listę rzeczy do wykonania w najbliższym czasie:

- Zadzwoń do Kena Ritza, pilota samolotu czarterowego
- Zadzwoń do Taty i Jeffa
- Zadzwoń do Hattie Durham z wiadomością o jej rodzinie
- Zadzwoń do Lucindy Washington i spytać o jakiś miejscowy hotel
- Zadzwoń do Dirka Burtona.

Telefon obudził Rayforda Steele'a. Przez wiele godzin nawet się nie poruszył. Był wczesny wieczór i zaczynało się już ściemniać.

— Halo? — powiedział do słuchawki zasnętym głosem.

— Kapitan Steele? — usłyszał przerażony głos Hattie Durham.

— Tak, Hattie. Czy coś się stało?

— Godzinami próbowałam się do ciebie dodzwonić! Mój telefon długo był nieczynny, a kiedy w końcu zaczął działać, wszędzie było zajęte. Myślałam, że dodzwoniłam się do ciebie, ale nie podnosiłeś słuchawki. Nic nie wiem o mojej mamie czy siostrach. A co u ciebie?

Rayford usiadł na rogu łóżka zdezorientowany, w głowie mu się kręciło.

— Dostałem wiadomość od Chloe — powiedział.

— Wiedziała! — wykrzyknęła. — Mówiłeś mi o niej na lotnisku. A co z żoną i synkiem? Czy mają się dobrze?

— Nie.

— Nie?

Przez chwilę Rayford się nie odzywał. Co jeszcze można powiedzieć?

— Masz jakiś dowód, coś pewnego? — spytała.

— Obawiam się, że tak — odrzekł. — Ich pizamy są tam, gdzie spali.

— O, nie, Rayford, tak mi przykro! Czy mogę jakoś ci pomóc?

— Nie, dziękuję.

— Może chcesz, żebym do ciebie przyjechała?

— Nie, dziękuję.

— Boję się.

— Ja też, Hattie.

— Co zamierzasz teraz zrobić?

— Skontaktować się z Chloe. Mam nadzieję, że zdoła bezpiecznie wrócić do domu albo ja do niej pojadę i zabiorę ją stamtąd.

— Gdzie ona jest?

— W Stanford, w Kalifornii. Uczelnia nazywa się Pało Alto.

— Moi bliscy też mieszkają w Kalifornii — powiedziała Hattie.

— Mają jeszcze więcej innych problemów niż my tutaj. Tam jest znacznie gorzej.

— Wydaje mi się, że to z powodu różnicy czasu — odrzekł Rayford. — Więcej ludzi na drogach, większy tłok w środkach masowego transportu, coś w tym rodzaju.

— Nawet boję się usłyszeć, co się mogło stać z moją rodziną.

— Daj mi znać, Hattie, jak się dowiesz, dobrze?

— O.K., ale to ty powinienes być do mnie zadzwonić. Mój telefon nie działał, więc nie mogłam wcześniej odezwać się do ciebie.

— Chciałbym powiedzieć, że próbowałem, Hattie, ale to nieprawda. To jest dla mnie zbyt bolesne.

— Daj znać, gdybyś mnie potrzebował. Wiesz, kogoś przyjaznego, z kim mógłbyś porozmawiać, podzielić się swoim bólem albo po prostu być z nim.

— Dobrze. A ty daj mi znać, gdy się dowiesz, co z twoją rodziną.

Ugryzł się w język. Życzył sobie, żeby to ostatnie zdanie wcale nie wyszło z jego ust, ale było już za późno. Po stracie żony i synka uświadomił sobie, jak pozbawiony znaczenia byłby związek z dwudziestosiedmioletnią kobietą, do którego przedtem dążył. Przecież prawie jej nie znał, a już z pewnością to, co się stało z jej rodziną, nie interesowało go bardziej niż to, co słyszał w wiadomościach te-

lewizyjnych. Wiedział, że Hattie nie jest złą osobą. W rzeczywistości była miła i serdeczna. Ale nie był to powód jego zainteresowania. Wiązało się ono wyłącznie z jej fizyczną atrakcyjnością i tylko dzięki opanowaniu, a może łutowi szczęścia albo przez naiwność nie zaangażował się w bliższy związek. Czuł się winny, że w ogóle to rozważał, ale teraz jego własne nieszczęście usunęło to wszystko w cień, a troska o nią nie odbiegała od zainteresowania losem każdego innego współpracownika.

— Mam kogoś na linii — powiedziała. — Czy możesz chwilę zaczekać?

— Nie, odbierz ten telefon. Skontaktuję się z tobą później.

— A może ja do ciebie zadzwonię?

— Dobrze, zadzwoń.

Buck Williams powrócił do kolejki do telefonu i prawie od razu dostał się do aparatu. Teraz jednak nie próbował podłączyć komputera. Chciał po prostu zobaczyć, ile razy uda mu się gdzieś dodzwonić. Najpierw odezwała się automatyczna sekretarka pilota Kena Ritza.

*Dodzwoniłeś się do Usług Czarterowych Ritza. A oto moje warunki jako przewoźnika w dobie obecnego kryzysu: mam samoloty odrzutowe typu Learjets na dwóch lotniskach pod Chicago. Palwaukee i Waukegan, ale straciłem współnika-pilota. Mogę polecieć wszędzie, chociaż teraz i tak większość dużych lotnisk jest zamkniętych. Nie można się dostać do Milwaukee, chwilowo zamknięte są Chicago O'Hare, Nowy Jork Kennedy, Waszyngton, Los Angeles Dulles, Detroit, Dallas i Atlanta. Mogę jednak lądować na wielu innych, mniejszych lotniskach w okolicach dużych aglomeracji, ale cena jest zupełnie inna. Przepraszam, że mówię tak oportunistycznie, ale moja cena to dwa dolary za milę, płatne z góry. Jeśli w miejscu, do którego zamierzasz się udać, znajdzie się ktoś chętny na lot, możemy porozmawiać oniżce. Sprawdzę wiadomości na mojej automatycznej sekretarce*

*dzisiaj wieczorem, a jutro rano odlot. Przelot na najdalszej trasie z gwarantowaną gotówką ma pierwszeństwo. Jeśli chcesz się udać do jakiegoś miejsca, które będzie na trasie innego potencjalnego klienta, spróbuję cię wcisnąć. Zostaw wiadomość, a skontaktuję się z tobą.*

To chyba jakiś żart. W jaki sposób Ken Ritz może skontaktować się z Buckiem? Mając nieczynny telefon komórkowy, mógł mu podać jedynie swój nowojorski numer poczty głosowej.

*Panie Ritz, nazywam się Buck Williams i muszę się dostać do Nowego Jorku. Zapłacę z góry żadaną kwotę w czekach podróżnych wymiennalnych w każdej dostępnej walucie (czasami było to atrakcyjne dla prywatnych kontrahentów, gdyż korzystając z różnicy w kursach walut, mogli jeszcze trochę na tym zarobić). Jestem teraz na lotnisku O'Hare i będę musiał znaleźć jakiś nocleg, być może gdzieś na peryferiach miasta. Żeby zaoszczędzić czas, można odebrać mnie jutro rano z okolic lotniska Waukegan. Dam znać, jeśli w międzyczasie zadziała jakiś inny numer. Tymczasem można zostawić wiadomość dla mnie pod następującym numerem w Nowym Jorku.*

W dalszym ciągu Buck nie był w stanie bezpośrednio połączyć się ze swoim biurem, ale numer jego poczty głosowej był czynny. Odtworzył nowe wiadomości ze skrzynki, w większości pochodzące od współpracowników, którzy sprawdzali, co z nim, lub lamentowali z powodu utraty swoich najbliższych i przyjaciół. Była też wiadomość od Marge Potter, która okazała się genialna, zostawiając tę wiadomość w jego poczcie.

*Buck, kiedy tego wysłuchasz, zadzwoń do swojego ojca w Tucson. Jest on razem z twoim bratem, ale niestety muszę ci powiedzieć, że mają pewne trudności w dotarciu do żony i dzieci Jeffa. Gdy zadzwonisz, powinni już coś wiedzieć. Twój ojciec był bardzo wdzięczny, gdy mu przekazałam, że masz się dobrze.*

Poczta głosowa Bucka sygnalizowała, że nadal są tam nagrane wcześniej wiadomości. Jedna pochodziła od Dirka Burtona i była przyczyną tej nieszczęsnej podróży. W wolnej chwili chciał jeszcze raz tego posłuchać. Na razie przekazał Marge wiadomość, żeby powiadomiła Dirka, jeśli będzie miała wolną chwilę i wolną linię, że-



by nie oczekiwał go w najbliższych dniach, gdyż samolot, którym leciał, zawrócił z połowy drogi do Londynu. Naturalnie Dirk mógł już o tym wiedzieć, ale Buck chciał go upewnić, że nie zniknął i że przybędzie do niego w możliwie najbliższym czasie.

Odwiesił słuchawkę i wykręcił numer ojca. Wyglądało na to, że linia jest przerwana albo cały system zniszczony. Wiedział, że minie trochę czasu, zanim się dodzwoni. Jeff musi chyba wychodzić ze skóry, nie mogąc się niczego dowiedzieć o swojej żonie Sharon i dzieciach. Jak każde małżeństwo mieli wzloty i upadki, a nawet byli przez jakiś czas w separacji, zanim dzieci przyszły na świat, ale też przez dłuższy okres dobrze się układało w ich małżeństwie. Żona Jeffa udowodniła, że potrafi przebaczyć i pojednać się. Sam Jeff przyznawał, że zaskoczyła go przyjmując z powrotem.

*Możesz mówić, że nie zasłużyłem sobie na to, ale jestem wdzięczny, że tak się to wszystko zakończyło* — powiedział kiedyś do Bucka.

Ich syn i córka byli wspaniałymi dzieciakami.

Buck wyszukał numer pięknej blondynki - stewardessy z nieśczęsnego samolotu - wyrzucając sobie, że wcześniej do niej nie zadzwonił. Minęła dłuższa chwila, zanim podniosła słuchawkę.

— Hattie Durham? Mówi Buck Williams.

— Kto?

— Cameron Williams, z „Global Weekly”.

— A, tak, cieszę się. Masz jakieś wieści?

— Tak, madame, i to same dobre.

— O! Dzięki Bogu! Powiedz.

— Ktoś z mojego biura dodzwonił się do pani mamy, która powiedziała, że razem z córkami mają się dobrze.

— Och, dzięki, dzięki, dzięki! Ciekawe, dlaczego do mnie jeszcze nie zadzwoniły. A może próbowały. Na mojej linii były zakłócenia.

— W Kalifornii mają dużo więcej problemów niż my tutaj. Linie telefoniczne są pozrywane, drogi zniszczone, tego rodzaju kłopoty. Minie jeszcze trochę czasu, zanim wszystko wróci do normy i będzie pani mogła znowu normalnie się z nimi kontaktować.

— Tak, wiem. Słyszałam. No cóż, jestem bardzo wdzięczna za tę dobrą wiadomość. A co u pana? Skontaktował się pan ze swoimi bliskimi?

— Nie, ale dowiedziałem się, że mój ojciec i brat są razem. Nadal jednak nic nie wiemy na temat jego żony, mojej szwagierki i ich dzieci.

— Aha, w jakim są wieku?

— Nie pamiętam dokładnie. Coś koło dziesięciu lat.

— O, nie — głos Hattie załamał się.

— Dlaczego? — zapytał.

— Nie, nic takiego. Ja tylko...

— Co? Proszę powiedzieć.

— I tak mi pan nie uwierzy.

— Proszę mi powiedzieć, pani Durham.

— No cóż, pamięta pan, o czym mówiłam w samolocie? Potwierdzają to wiadomości w telewizji i radiu, a mianowicie, że wszystkie dzieci zniknęły, nawet te jeszcze nie narodzone.

— Naprawdę?

— Nie mówię, że dzieci pańskiego brata są.. Przykro mi, że mówię o tym tak wprost.

— Nic nie szkodzi, rozumiem. To jest zbyt dziwne i trudne, prawda?

— Tak. Właśnie skończyłam rozmowę z kapitanem samolotu, z którym lecieliśmy. Stracił żonę i syna, ale córka nie zniknęła i ma się dobrze. Jest w Kalifornii.

— Ile ma lat?

— Chyba około dwudziestu, jeśli się nie mylę. Studiuje w Stanford.

— Aha.

— Panie Williams, jak znajomi mówią na pana?

— Buck. To moje przezwisko, którego używam jak...

— No więc, Buck, teraz jestem bardziej niż pewna tego, co powiedziałam o twoich bratankach. Chociaż mam nadzieję, że zawsze są wyjątki, i tak będzie, jeśli chodzi o ciebie — powiedziała i zaczęła płakać.

— Pani Durham, proszę się uspokoić. Wszystko będzie dobrze. Musi pani przyznać, że nikt dzisiaj nie myśli logicznie, prawda?

— Mów mi, Hattie, dobrze?

Rozśmieszyło go to. W takiej chwili przepraszała, że zachowała się niewłaściwie, zbyt śmiało i odważnie, a jednocześnie nie chciała być za bardzo formalna, urzędowa. Jeśli on był dla niej Buck, to ona musiała być Hattie.

— Muszę już kończyć, żeby nie blokować linii — powiedział. — Chciałem ci tylko przekazać, co wiem na temat twoich bliskich. Myślałem, że może już się sama dowiedziałaś.

— Nie wiedziałam i jeszcze raz dziękuję. Czy zadzwonisz jeszcze kiedyś do mnie, gdy będziesz wspominał te wydarzenia? Przyjemnie się z tobą rozmawia i naprawdę jestem wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłeś. Będę się cieszyła, jeśli znowu kiedyś zadzwonisz. To wszystko napęłnia mnie strachem i pustką. Boję się.

Nie mógł polemizować z takim stwierdzeniem. Śmieszne, ale jej prośba brzmiała jak zaproszenie do bliższej znajomości. Wyglądało na to, że mówi zupełnie poważnie i był pewien, że tak jest naprawdę. Ładna, przerażona, samotna kobieta, której świat zawalił się w jednej sekundzie, tak samo jak świat jego i wszystkich, których znał.

Kiedy Buck odszedł wreszcie od telefonu, zobaczył przy stanowisku odpraw młodą kobietę, która machała na niego.

— Słuchaj — wyszeptała. — Nie chcę, żebym ogłosiła to przez głośniki, żeby nie wywołać paniki, ale słyszałam coś bardzo interesującego, co może cię zaciekawić. Zarząd przedsiębiorstwa zrzeszającego właścicieli luksusowych limuzyn doszedł do porozumienia z kierowcami i przeniósł centrum komunikacji w rzadziej używane miejsce w pobliżu skrzyżowania z ulicą Mannheim.

— Gdzie to jest?

— Tuż za lotniskiem. Nic nie jeździ na lotnisko, bo wszystko stoi w korku. Jeśli jednak pójdziesz tam, prawdopodobnie spotkasz ludzi z walkie-talkie ekspediujących stamtąd taksówki.

— Mogę sobie wyobrazić cenę.

— Myśle, że nie masz pojęcia, ile to może kosztować.

— Wyobrażam sobie, ile czasu będę musiał stać w kolejce.

— Prawie tyle co do wynajęcia samochodu w Orlando — zażartowała.

Buck nigdy nie próbował wynająć samochodu w Orlando, ale mógł to sobie wyobrazić. Miała rację. Poszedł we wskazanym kierunku, próbując po drodze załapać się na okazję, podobnie jak inni maszerujący do skrzyżowania z ulicą Mannheim, gdy nagle zauważył tłum ludzi otaczający dyspozytorów. Krótkie, rwane ogłoszenia przykuwały uwagę wszystkich.

— Cały samochód musi być pełny. Sto dolców od łebka za przejazd gdziekolwiek na przedmieścia. Płatne tylko gotówką. Nic nie jedzie do centrum Chicago.

— Karty kredytowe mogą być? — zawołał ktoś.

— Jeszcze raz powtarzam — krzyczał porządkowy. — Tylko gotówka. Żadnych kart. Jeśli masz pieniądze albo książeczkę czekową w mieszkaniu spytaj kierowcy, czy będzie chciał czekać pod domem aż przyjdiesz z pieniędzmi.

Wyczytał całą listę firm taksówkowych, podając, jakie trasy obsługują. Pasażerowie popędzili do podstawionych samochodów pchając się jeden przez drugiego, co w rezultacie doprowadziło do utworzenia się potężnego zatoru z ludzkich ciał.

Buck podał studolarowy czek podróży kierującemu ruchem i wyraził życzenie udania się na północ miasta. Półtorej godziny później dołączył do innych, sadowiąc się luksusowym pojeździe. Sprawdził, że jego telefon komórkowy nadal nie działa i zaproponował kierowcy pięćdziesiąt dolarów za skorzystanie z jego telefonu.

— Nie daję gwarancji — powiedział kierowca. — Czasem mogę się dodzwonić, a innym razem nie ma w ogóle sygnału.

Buck sprawdził listę telefonów w laptopie i odszukał domowy numer Lucindy Washington. Usłyszał głos nastolatka:

— Tak słucham, tu dom Washingtonów .

— Cameron Williams z „Global Weekly”. Czy mogę rozmawiać z twoją mamą?

— Nie ma jej tutaj — odpowiedział młodzieniec.

— Czy nadal jest w biurze? Chciałbym, żeby mi poleciła jakiś hotel w pobliżu Waukegan, gdzie mógłbym zatrzymać się na noc.

— Nie ma jej nigdzie — powiedział chłopak. — Tylko ja zostałem. Mama, tata i wszyscy inni odeszli. Zniknęli.

— Jesteś pewien?

— Ich ubrania są tutaj, w miejscu gdzie siedzieli. Szklane kontaktowe taty nadal leżą na jego szlafroku.

— Ojej, współczuję ci, synu.

— Nie ma sprawy. Wiem, gdzie się teraz znajdują i nawet nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczony tym, co zaszło.

— Wiesz, gdzie są?

— Jeśli znałeś moją mamę, to też powinieneś wiedzieć, gdzie jest. Ona jest w niebie.

— O, pewnie. A ty jak się masz? Czy wszystko w porządku? Czy masz kogoś, kto by się tobą opiekował?

— Tak, mój wujek. I jeszcze jeden człowiek z naszego kościoła. Chyba jedyny, jaki tu pozostał.

— A więc wszystko w porządku? Niczego nie potrzebujesz?

— Tak, jest O.K.

Cameron oddał telefon kierowcy.

— Czy znasz jakieś miejsce w pobliżu Waukegan, gdzie mógłbym zatrzymać się na noc, żeby jak najwcześniej rano wylecieć z lotniska?

— Lepsze hotele są najprawdopodobniej zajęte, ale są też trochę gorsze przy ulicy Washington, gdzie możesz spróbować szczęścia. To jest dosyć blisko twojego lotniska. Pojedziesz ze mną do końca trasy i wysiądziesz ostatni.

— W porządku. Jak myślisz, mają tam telefony?

— Prędzej telefon i telewizor niż bieżącą wodę.

## *Rozdział szósty*

Minęły wieki od czasu, kiedy Rayford Steele ostatnio był pijany. Ireny nigdy nie ciągnęło do kieliszka, a przez ostatnich kilka lat nie uznawała niczego poza herbatą. Domagała się, żeby dobrze chował wszelkie trunki w domu, jeśli już naprawdę nie mógł się bez nich obejść. Nie chciała, żeby Raymie nawet pomyślał, że jego bohater-ski tata nadal od czasu do czasu pije alkohol.

*To nieuczciwe, protestował Rayford.*

*Ale rozsądne, odpowiadała. On nie wszystko wie i wcale nie musi wiedzieć.*

*Jak to się ma do twoich wymagań, żebyśmy we wszystkim byli szczerzy i prawdomówni?*

*Mówienie całej prawdy niekoniecznie zawsze oznacza mówienie wszystkiego, co wiesz. Mówisz swojej żalodze, że idziesz do toalety, ale przecież nie podajesz im szczegółów, co tam będziesz robił, prawda?*

*Ireno]*

*Ja tylko mówię, że wcale nie musisz demonstrować swojemu małemu jeszcze dziecku, że pijesz alkohol.*

Uznał, że trudno z nią dyskutować, bo ostatecznie ma rację, więc nadal przechowywał bourbon wysoko na szafce w sypialni i z dala od wścibskich oczu. Jeśli nadarzy się okazja, żeby wypić coś mocniejszego, był gotowy. Sięgnął ręką na najwyższą półkę w łazience, odsuwając puste pudełko po ciastkach służące jako zasłona i wyciągnął do połowy opróżnioną już butelkę whiskey. Wiedząc, że nikt, na kim mu zależało nie widzi go, miał zamiar przechylić butelkę i wypić z gwinta. Ale nawet tu i teraz dały o sobie znać wyrobione od lat formy towarzyskie i dobre maniery. Picie z gwinta najwyraźniej nie było w jego stylu.

Rayford wlał trzy czwarte zawartości do szerokiej, kryształowej szklanki, po czym przechylił do ust i wypił jednym haustem jak weteran. Było to do niego zupełnie niepodobne, ale tak bardzo potrzebował w tej chwili jakiegoś ukojenia i pociechy. Płyn przepalił mu gardło i popłynął niżej, aż do żołądka, dając złudne odczucie przyjemnego chłodu i jednocześnie wywołując ciarki, aż jęknął. *Ja-ki ze mnie idiota!* pomyślał. *W dodatku na pusty żołądek.*

Kiedy znowu wziął butelkę do ręki, zakreśliło mu się w głowie, ale powstrzymał się. Popatrzył na resztę trunku i wrzucił do śmietnika pod umywalką. Czy picie przy takiej okazji jest w porządku, chociażby ze względu na pamięć o Irenie? I chociaż nie musi się ukrywać, bo syna nie ma, to jednak nie czuł się dobrze, pijąc sam. Czy miał jakieś skłonności do samotnego upijania się? *Kto ich nie ma*, zastanawiał się. Poza tym i tak nikt nie będzie go rozliczał z jego postępowania wobec tego, co się dzisiaj wydarzyło.

Spał głęboko, chociaż krótko. Musi teraz bezzwłocznie załatwić kilka spraw. Po pierwsze musi skontaktować się z Chloe. Później zadzwoni do Pan-Con, żeby się dowiedzieć, co będą mieli dla niego na następny tydzień. W normalnych warunkach po tak długim i stresowym locie oraz awaryjnym lądowaniu powinien zostać w domu. Ale kto wie, co tam teraz się dzieje?

Zastanawiał się, ilu pilotów stracili? Kiedy pasy startowe znowu będą czynne? Jakie loty są zaplanowane w najbliższym czasie? Doskonale wiedział, że linie lotnicze zarabiają tylko wtedy, kiedy latają. Im wcześniej poślą w powietrze swoje maszyny, tym prędzej znowu będą mieli z tego dochód. Prawdę mówiąc, linie Pan-Con były dla niego dobre. Mógł tam nadal pozostać i wykonywać swoje dotychczasowe zajęcie. Ale co ma zrobić ze smutkiem, rozpaczą po stracie najbliższych, i straszliwym uczuciem wszechogarniającej pustki?

W końcu zrozumiał ludzi, którzy jak on zostali sami czy osieroceni, kiedy ich najbliżsi zniknęli w okamgnieniu, albo zginęli w niezliczonych katastrofach. Często narzekali, że to wszystko nie ma żadnego sensu, a żałoba jest o wiele trudniejsza, gdyż często nawet nie ma ciał, które można by pochować. Nie pozostało po nich nic.

Zawsze było to dla niego dziwne i niezrozumiałe. Kto chciałby oglądać małżonka lub dziecko sztywno leżące w trumnie, przygotowane do pogrzebu? Czy nie lepiej zachować ich w pamięci żywych i szczęśliwych, jakimi byli za życia? Teraz rozumiał to o wiele lepiej. Miał świadomość, że żona i syn zniknęli i nie ma ich już wśród żyjących, tak samo jak przed laty umarli jego rodzice. Irena i Ray z pewnością już nie powrócą i nie wiedział, czy znowu ich kiedyś zobaczy. Zastanawiał się, czy jest jeszcze jedna szansa dla tych, którzy pozostali.

Marzył, żeby znowu zobaczyć ich ciała, obojętnie czy w łóżku, trumnie czy nawet w grobie. Gdziekolwiek. Mógłby przynajmniej jeszcze raz na nich popatrzeć. Oczywiście, nie przywróciłoby to im życia, ale przynajmniej nie czułby się taki samotny i porzucony, nie miałby takiej pustki w sercu.

Rayford wiedział, że prawdopodobnie jeszcze przez wiele godzin nie będzie łączności pomiędzy stanem Illinois a Kalifornią. Może miną nawet dni, zanim wszystkie uszkodzenia zostaną naprawione. Jednak musi próbować. Wykreślił główny numer administracji uczelni Stanford i nie usłyszał nawet sygnału, że jest zajęte, nie mówiąc o automatycznej sekretarce. Wykreślił więc numer do pokoju Chloe. Nadal cisza. Co pół godziny włączał powtórne wybieranie ostatniego numeru. Nie myślał, że odpowie, a jeśli tak, to byłaby to wspała niespodzianka.

Rayford umierał z głodu i postanowił wrzucić coś do żołądka, zanim to, co przed chwilą wypił na głodnego, całkowicie zwali go z nóg. Podszedł do schodów, zatrzymując się w sypialni syna, żeby zabrać jego złożone ubrania, które boleśnie mu go przypominały. Starannie ułożył je w jednym pudełku na prezenty, które znalazł w szafie żony, a do drugiego włożył nocną koszulę Ireny, medalion i obrączkę.

Zabrał na dół obydwie pudełka razem z dwoma ciastkami, które mu przysłała na lotnisko. Reszta ciastek powinna być gdzieś w kuchni. Znalazł je w kredensie w misie z duralexu. Cieszył się, że ich zapach i smak będzie mu przypominał Irenę, zanim się skończą.

Rayford dołożył kilka do tych dwóch przyniesionych z góry, położył je na papierowym talerzu i wlał do kubka mleko. Usiadł przy



kuchennym stole obok telefonu, ale nie potrafił się zmusić do jedzenia. Był jak sparaliżowany. Żeby się czymś zająć, wymazał wszystkie wcześniejsze wiadomości na automatycznej sekretarce i nagrał nową informację.

— Tu mówi Rayford Steele. Jeśli musisz, zostaw bardzo krótką wiadomość. Chcę mieć tę linię wolną dla mojej córki, Chloe. Jeśli to ty akurat dzwonicz, albo śpię, albo jestem na zewnątrz, daj mi chwilę, żebym zdążył podnieść słuchawkę. Jeśli jednak nie uda nam się połączyć, zrób wszystko, co w twojej mocy, żeby jak najprędzej dostać się do domu. Przyleć dowolnymi liniami, ja zapłacę, nie ma problemu. Kocham cię.

Po nagraniu i zapisaniu tej wiadomości powoli zabrał się za ciastka; ich zapach i smak przywodziły na pamięć Irenę, krzątającą się w kuchni, a mleko wzbudziło w nim tęsknotę za synem. *Trudno, bardzo trudno będzie to przetrwać*, pomyślał.

Był zmęczony, a mimo to nie myślał o powrocie na górę, do sypialni. Wiedział, że dziś wieczorem będzie musiał spać we własnym łóżku. Ale teraz wyciągnie się na chwilę na kanapie w salonie, z nadzieją że Chloe da znać o sobie. Machinalnie znowu przycisnął guzik automatycznego wybierania numeru i tym razem usłyszał krótki, powtarzający się sygnał, świadczący, że numer jest zajęty. Wreszcie telefony znowu zaczęły tam działać. To już postęp. Wiedział, że ona myśli o nim, jak on o niej. Tylko że nie miała pojęcia, co stało się z jej mamą i bratem. Zastanawiał się, czy powinien powiedzieć jej przez telefon. To więcej niż pewne, że zapyta.

Rzucił się na kanapę łkając, ale łzy już nie płynęły. Jeśli tylko Chloe w jakiś sposób odbierze jego wiadomość i wyruszy do domu, mógłby jej powiedzieć, co się stało.

Rayford leżał tak, bolejąc nad swoim nieszczęściem i wiedząc, że telewizja też pokazuje sceny, których on z pewnością nie chce teraz oglądać; wszystkie przekazy były poświęcone tragedii i opisywały chaos, jaki zapanował na całym świecie. Nagle uderzyło go coś szczególnego. Wstał z kanapy i wyjrzał przez okno w otaczającą go ciemność. Wiedział, że nie może zawieść Chloe. Bardzo ją kochał

i była wszystkim, co mu pozostało. Na własnej skórze przekonają się, ile stracili z tego, co Irena próbowała im przekazać i nie rozumiał, dlaczego tak trudno było im w to uwierzyć i zaakceptować. Dopiero teraz będzie musiał studiować i nauczyć się, jak się przygotować na to, na dalsze wydarzenia.

Jeśli te zniknięcia są dziełem od Boga, to gdyby nawet teraz wykonywali Jego wolę i byli Mu posłuszni, czy nie będzie już za późno? Czy to jest koniec wszystkiego? Chrześcijanie, ci prawdziwie wierzący, zostali zabrani, a reszta ludzi jest pozostawiona, żeby ich opłakiwać i żałować swego złego postępowania? Może i tak. Może to jest cena, jaką przyszło im zapłacić. *Ale w takim razie, co stanie się z nami, po śmierci? - pomyślał. Skoro niebo jest czymś realnym i faktycznie nastąpiło Pochwycenie Kościoła, gdzie jest miejsce na piekło i sąd ostateczny? Czy takie jest nasze przeznaczenie? Przecież już teraz przechodzimy przez piekło żalu i wyrzutów sumienia, a potem jeszcze fizycznie będziemy musieli znaleźć się w piekle?*

Irena zawsze mówiła o Bogu pełnym miłości, ale widocznie nawet Jego miłość i łaska mają pewne granice. Czy każdy, kto zaprzecza prawdzie, nadużywa Jego miłosierdzia? Nie będzie już łaski, drugiej szansy? Może i nie, a skoro tak, to mówi się trudno.

Za wszelką cenę musiał się dowiedzieć, czy są jakieś wskazówki, jakaś możliwość znalezienia prawdy i uwierzenia czy zaakceptowania, czy cokolwiek to było, o czym Irena mu mówiła, że ma to zrobić. Oznaczałoby to, że Rayford przyznaje się do tego, iż nie wszystko wie. Ze polegał tylko na sobie, a teraz czuje się głupio, słabo i niegodnie z tego powodu? Może się z tym zgodzić. Po sukcesach całego życia stał się perfekcjonistą, był zawsze lepszy we wszystkim, a także nawet wobec przyjaciół został nagle tak bardzo upokorzony, że nawet sobie tego nie wyobrażał.

Było tak wiele spraw, o których nie wiedział i których nie rozumiał. Ale musi się jakoś dowiedzieć, czy istnieje odpowiedź na jego pytania. Nie wiedział, kogo zapytać ani gdzie zacząć poszukiwania, ale to jest coś, co może i powinien zrobić razem z Chloe. Oboje

mieli ze sobą wiele wspólnego. Ona miała typowe dla nastolatków problemy z niezależnością, ale z tego, co wiedział, nigdy nie zrobiła nic głupiego ani czegoś takiego, co by się nie dało naprawić. W rzeczywistości byli sobie bardzo bliscy, była podobna do niego pod wieloma względami.

Chyba tylko młody wiek oraz niewinność Raymiego pozwoliły jego matce wyrzucić na niego tak wielki wpływ. Takie miał usposobienie. Nie był przebojowy, nie zabiłby nawet muchy, nie miał zadziornego nastawienia „liczę się tylko ja”, o którym Rayford myślał, że jest niezbędne, żeby przetrwać w dzisiejszym skomplikowanym świecie. Nie był jednak zniewieściały, chociaż Rayford obawiał się, że jego chłopak może stać się maminsynkiem - rozczulającym się, wrażliwym i zanadto troskliwym. Oglądał się zawsze na kogoś innego, podczas gdy Rayford uważał, że powinien brać przykład tylko z najlepszych, najsilniejszych i w ogóle naj...

Wdzięczny był teraz, że Raymie wdał się w mamę, zamiast brać przykład z niego. Och, jak bardzo życzyłby sobie, żeby i w Chloe było coś z tego nastawienia. Ona jednak zawsze szukała nowych wyzwań, nie pozwalała sobą kierować, zawsze trzeba było ją przekonywać i dyskutować z nią. Umiała też być miła i wspaniałomyślna, kiedy wszystko szło po jej myśli, zupełnie tak jak jej ojciec. Wiedziała, jak dbać o swoje interesy

*Dobra robota, możesz czuć się ważny, powiedział do siebie Rayford. Dziewczyna, z której byłeś taki dumny, że jest tak bardzo do ciebie podobna, teraz znalazła się w tym samym rozpaczliwym położeniu co i ty.*

Zdecydował, że gdy tylko znów będą razem, to musi się zmienić. Na pewno będzie to dla nich jakieś wyzwanie, poszukiwanie prawdy. Jeśli jest już za późno, będzie musiał to zaakceptować i żyć z tym. Zawsze szedł do przodu w wytyczonym kierunku przyjmując wszelkie konsekwencje swego postępowania. Tylko że dotyczyły wieczności. Wbrew nadziei miał nadzieję, że jeszcze istnieje jakaś możliwość poznania prawdy, tylko musi się dowiedzieć, jaka. Problem polega na tym, że ci, którzy coś wiedzieli na ten temat, zniknęli.

Motel Midpoint przy ulicy Washington, położony zaledwie kilka kilometrów od małego lotniska Waukegan, był tak zaniedbany, że nie miał nawet księgi gości. Buck Williams był mile zaskoczony, że w dobie obecnego kryzysu nie podnieśli nawet ceny. Ale kiedy zobaczył przydzielony mu pokój, od razu wiedział dlaczego. Zastanawiał się, do jakich miejsc na świecie odnosi się nazwa tej speluny\*. Bez względu na to, czym i gdzie był, nie ulega wątpliwości, że powinien być w lepszym stanie. Znalazł jednak to, czego potrzebował: telefon, prysznic, łóżko i telewizor. Buck pomyślał, że wstrzymanie koncesji hotelarskiej właścicielowi motelu jest nieuniknione. Wykręcił najpierw numer poczty głosowej w Nowym Jorku. Żadnych wieści od Ritza ani innych. Postanowił więc jeszcze raz przesłuchać zapisaną wcześniej wiadomość od Dirka Burtona, która przypominała mu, dlaczego uważał za tak ważną podróż do Londynu. Buck usiadł przy laptopie i przesłuchując nagrania, wpisywał niektóre dane.

*Cameron, zawsze mnie zapewniasz, że twoja poczta głosowa jest poufna i mam nadzieję, że tak jest naprawdę. Jednak ze względu na moje bezpieczeństwo nawet się tym razem nie przedstawię; i tak wiesz, kto mówi. Pozwól, że w skrócie przekażę ci coś bardzo ważnego, a jednocześnie radzę, żebyś przyjechał tu możliwie jak najprędzej. Ten ważny człowiek, gruba ryba, twój rodak, ten, którego nazywam najwyższym zwierzchnikiem międzynarodowych maklerów spotkał się tutaj niedawno z naszym człowiekiem od brudnej roboty. Wiesz, kogo mam na myśli. Na tym spotkaniu był też ktoś trzeci. Z tego, co wiem, pochodzi gdzieś z Europy, prawdopodobnie z Europy Wschodniej. Nie wiem, jakie plany mają wobec niego, ale najprawdopodobniej coś na wielką skalę.*

*Moje źródła donoszą, że wasz człowiek spotkał się z wszystkimi ważniejszymi osobistościami razem z tym Europejczykiem w różnych*

\* Midpoint - punkt środkowy.

*miejscach. Przedstawiał go ludziom w Chinach, Watykanie, Izraelu, Francji, Niemczech, tutaj oraz w Stanach. Coś się szykuje i nie chcę ci sugerować co, dopóki nie spotkamy się osobiście. Przyjedź do mnie jak szybko, jak tylko możesz. Jeśli z jakiegoś powodu nie będziesz mógł przyjechać, to zachęcam cię do oglądania telewizyjnej transmisji z wprowadzenia na urząd nowego przywódcy Europy. Jeśli jak ja powiesz, że przecież nie jest to rok wyborów ani nic nie wiadomo o żadnej zmianie władzy, myślisz jak ja. Przyjedź prędko, kolego.*

Buck nagrał wiadomość na automatycznej sekretarce Kena Ritza, przekazując informację, gdzie jest. Potem znowu wykręcił numer swojego ojca i w końcu dodzwonił się. Był zdziwiony, ulgą jaką przyniósł mu dźwięk jego głosu, mimo że był trochę zmęczony, zniechęcony i nieco spanikowany.

— Co u was słychać, tato? Czy wszystko jest w porządku?

— Prawdę mówiąc nie. Jeff był razem ze mną, kiedy to się stało, ale pojechał samochodem terenowym na miejsce wypadku, gdzie ostatnio widziano Sharon.

— Wypadek?

— Zabrała ze sobą dzieci na jakiś piknik, czy coś w tym rodzaju, organizowany przez ich kościół. Wiesz, że już od dłuższego czasu nie chodzi razem z nami do kościoła. Dowiedzieliśmy się, że nie dotarła na miejsce. Samochód wywrócił się do góry kołami. Żadnego śladu po niej, tylko ubrania, a chyba wiesz, co to oznacza.

— Zniknęła?

— Chyba można tak powiedzieć. Jeff jednak nie może się z tym pogodzić. Strasznie to przeżywa. Problem w tym, że dzieci też zniknęły. Wszystkie. Wszyscy ich przyjaciele, w ogóle wszyscy z tego pikniku w górach. Policja stanowa odnalazła ubrania wszystkich dzieciaków, około setki kompletnych ubrań i kanapki doszczętnie spalone w piekarniku.

— O, rany! Powiedz Jeffowi, że myślami jestem z nim. Gdyby chciał pogadać, jestem do dyspozycji.

— Nie wydaje mi się, żeby chciał teraz rozmawiać, Cameron, chyba, że znasz wyjaśnienie całej tej tajemnicy.

— To jest coś, czego jeszcze nie rozgryzłem, tato. Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek wiedział, co było powodem tej tragedii. Przypuszczam, że ci, którzy znali powód, zniknęli.

— To jest straszne, Cam. Chciałbym, żebyś tu był razem z nami.

— No, pewnie.

— Mówisz dosyć sarkastycznie, synu.

— Ja tylko mówię prawdę, tato. Gdybyś naprawdę chciał, żeby z tobą był, to dlaczego było inaczej?

— No cóż, to jest nietypowa sytuacja, która może pozwoliłaby nam zmienić sposób myślenia.

— O mnie? Wątpię.

— Cameron, nie zaczynaj tego od nowa, dobrze? Przynajmniej choć raz pomyśl o kimś innym, a nie o sobie. Straciłeś wczoraj bratową, bratanika i bratanicę, a twój brat być może nigdy nie otrząśnie się z tego.

Buck ugryzł się w język. Dlaczego zawsze musi tego słuchać, a szczególnie teraz? Ojciec ma rację. Gdyby tylko Buck przyznał się do tego, być może wiele by się zmieniło. Cała rodzina obraziła się na niego, gdy poszedł do college'u, później przez lata studiował, aż w końcu dostał się do Ivy League. Tam, gdzie się wychował, dzieci tradycyjnie szły w ślad rodziców. Jego ojciec był stanowym dystrybutorem paliwa do ciężarówek, głównie z Oklahomy i Texasu. Trudno było przekonać miejscowych ludzi, którzy uważali, że wszelkie zaopatrzenie powinno pochodzić głównie z ich stanu. Jeff prowadził własny mały biznes, zaczynał w biurze, potem jeździł ciężarówką, aż w końcu wykonywał zamówienia zlecane z dnia na dzień.

Zdarzyło się wiele złego, kiedy Buck był w szkole, z dala od domu. Wtedy zachorowała jego mama. Nalegała, żeby pozostał w szkole, ale gdy nie przyjechał do domu na święta Bożego Narodzenia, bo nie miał pieniędzy na bilet, ojciec i brat nigdy mu tego nie wybaczyli. Matka umarła, kiedy był daleko od domu, a gdy przyleciał, spotkało go bardzo chłodne przyjęcie, nawet na pogrzebie.

Sytuacja powracała do normalności przez lata, głównie dlatego, że rodzina lubiła chwalić się nim i przyznawała się do niego,

odkąd stał się znany jako gwiazda dziennikarstwa. Starał się nie pamiętać urazów z przeszłości, ale wkurzało go, że teraz witano go w domu jak bohatera, bo był kimś. Tak więc rzadko przyjeżdżał. Ciągłe pozostawało zbyt wiele zaszłości, żeby wzajemne relacje powróciły do normy, ale teraz był zły na siebie, że otwiera stare rany, gdy jego bliscy przeżywają właśnie takie straszne doświadczenie.

— Postaram się przyjechać, jeżeli będziecie organizowali coś w formie uroczystości pogrzebowej, dobrze, tato?

— Postarasz się?

— To wszystko, co mogę obiecać. Możesz sobie wyobrazić, jakie szaleństwo panuje teraz w „Global Weekly”? Szkoda mówić, jest to przecież wydarzenie na skalę stulecia.

— Czy przydzielą ci artykuł na pierwszą stronę?

— Tak, muszę zbierać jeszcze sporo materiału, by to wszystko opisać.

— Na pierwszej stronie?

Westchnął głęboko, nagle poczuł się bardzo zmęczony. Nic dziwnego, przecież był na nogach już prawie dwadzieścia cztery godziny.

— Nie wiem, tato. Zebrałem już dużo informacji. Przypuszczam, że nasze następane wydanie będzie w całości poświęcone temu zagadnieniu włącznie z relacjami z całego świata. Niemożliwe, żeby to, co mam do tej pory, wystarczyło na artykuł na pierwszą stronę. Wygląda na to, że zostałem przydzielony do innego bardzo ważnego tematu, który będzie na okładce za dwa tygodnie.

Miał nadzieję, że ta wiadomość zadowoli ojca. Chciał już skończyć i położyć się spać. Ale gdzie tam.

— Co to oznacza? O jakim temacie mówisz?

— O, nic takiego, po prostu muszę przedstawić elementy teorii różnych osób na temat tego, co się wydarzyło.

— To będzie wielka praca, synu. Wszyscy, z którymi o tym rozmawiam, mają własne wytłumaczenie. Wiesz, twój brat obawia się, że może to być sąd boski albo coś w tym rodzaju.

— Naprawdę?

— Poważnie, ale ja tak nie uważam.

— Dlaczego nie, tato?

Tak naprawdę Buck nie chciał się wdawać teraz w dłuższą dyskusję i dlatego sam był zaskoczony tym, co powiedział.

— Dlatego, że rozmawiałem z naszym proboszczem. Powiedział, że jeśli to Chrystus przyszedł, żeby zabrać swój Kościół do nieba, wówczas i on, i ja, a także ty i Jeff, i wielu innych też byli by zabrani. Zgadzasz się z tym.

— Tak uważasz? Przecież tak naprawdę nigdy nie przywiązywałem większej wagi do spraw wiary.

— No i co z tego? Nie zawsze zajmowały cię te głupoty ze Wschodniego Wybrzeża\*. Wiesz, co jest dobre i od dzieciństwa chodziłeś z nami do kościoła. Jesteś więc równie dobrym chrześcijaninem jak każdy z nas.

Cameron chciał odpalić: *Właśnie tak myślę*. Ale nie zrobił tego. Jako rodzina już dawno zagubili związek pomiędzy chodzeniem do kościoła a tym, co robili na co dzień, wskutek czego przestał ostatecznie chodzić do kościoła w dniu, w którym uzyskał prawo decydowania o sobie.

— No cóż, powiedz Jeffowi, że myślę o nim, dobrze, tato? Jeśli uda mi się stąd wyrwać na chwilę, chętnie przyjadę do was, żeby pocieszyć go po stracie Sharon i dzieci.

Buck był wdzięczny, że w motelu było przynajmniej tyle ciepłej wody, że mógł wziąć długi prysznic. Nie pamiętał o ranie w tyle głowy, aż do chwili gdy woda zmoczyła opatrunek. Nie miał żadnego innego, pozwolił więc, żeby krew sączyła się powoli przez chwilę, potem pójdzie poszukać lodu. Rano zapyta w recepcji o bandaż, chyba powinni coś mieć. W tej chwili nie przejmował się tym. Był za bardzo wyczerpany.

Nie było pilota do telewizora, a nie chciało mu się wstawać z łóżka, skoro dopiero się położył. Znalazł jednak CNN, ustawił głoś-

\* Tereny nad wybrzeżem Atlantyku, z miastami, jak: Nowy Jork, Baltimore, Waszyngton - głównymi ośrodkami kultury i rozrywki Stanów Zjednoczonych.



ność tak, żeby dźwięk nie przeszkadzał mu we śnie. Dopóki nie usnął, oglądał, jak cały świat został przewrócony do góry nogami. Na ekranie ukazywały się relacje z całego globu pokazujące sceny, które uważał za zbyt drastyczne, chociaż sam zajmował się wiadomościami. Przypominał sobie wiele relacji z trzęsień ziemi, wojen i różnych kataklizmów w ciągu ostatniej dekady oraz wieczorne relacje, które nieraz wstrząsały nim do głębi. Ale to, co się dzieło teraz, miało tysiąc razy większy zasięg i to zdarzyło się w jednej chwili. Nigdy w całej historii świata nie było więcej zabitych jednego dnia. A ci, którzy zniknęli w okamgnieniu, czy byli zabici? Umarli? A może jeszcze powrócą?

Pomimo zmęczenia Buck nie mógł oderwać oczu od ekranu, na którym raz po raz pokazywano uchwycone przez prywatne kamery chwile zniknięcia poszczególnych osób. Niektóre stacje emitowały nagrania programów telewizyjnych, podczas których mikrofon prowadzącego leciał na jego ubranie, objając się o buty i z hałasem toczył się po podłodze. Widownia krzyczała przerażona, nie wiedząc, co się stało. Kamera skierowana na publiczność, która jeszcze przed chwilą szczelnie wypełniała pomieszczenie, pokazywała puste miejsce z ubraniami osób, które tam siedziały.

Nie ma słów, które mogłyby opisać to wydarzenie, pomyślał Buck, mrugając ze zmęczenia. Gdyby ktoś próbował wcześniej napisać scenariusz o milionach zaginionych istnień ludzkich pozostawiających po sobie wszystko, z wyjątkiem ciała, tak jak się to rzeczywiście stało, wyśmiano by go.

Buck nie zdawał sobie sprawy, że usnął, dopóki nie obudził go dźwięk telefonu, który jazgotał tak strasznie, iż zdawało się, że zaraz spadnie ze stołu. Odszukał go po omacku i podniósł słuchawkę.

— Przepraszam, że zakłócam odpoczynek, panie Williams, ale zauważyłem, że pan rozmawiał przez telefon, a w tym czasie ktoś próbował pana złapać. Zadzwoił jakiś facet o nazwisku Ritz. Powiedział, żebyś pan zadzwonił do niego albo po prostu czekał przed hotelem o szóstej rano.

— Dobrze, dziękuję za wiadomość.

— Co zamierza pan zrobić? Zadzwoić, czy spotkać się z nim?

— Czemu to takie ważne, czemu to pana interesuje? — zapytał poirytowany Buck.

— Och, proszę nie myśleć, że jestem wścibski, czy coś w tym rodzaju. Tylko dlatego się pytam, że jeśli pójdiesz pan stąd o szóstej rano, muszę dostać zapłatę z góry. Dzwoniłeś pan na między-miastową, a to wszystko kosztuje. A ja nie wstaję przed siódmą.

— Powiem ci coś, panie ... jak się pan nazywa?

— Mack.

— Powiem ci coś, Mack. Podam ci teraz numer mojej karty kredytowej, żebyś był pewien, że nie zamierzam wykręcić się od płacenia. A rano zostawię ci w pokoju czeki podróżne, które pokryją opłatę za pokój i wiele więcej za moją rozmowę telefoniczną. Wiesz, co mam na myśli?

— Napiwek?

— Tak.

— O, to ładnie z pańskiej strony.

— Potrzebuję czegoś od ciebie. Czy mógłbyś wsunąć pod drzwi mojego pokoju kawałek bandaża?

— Już się robi, szefie. Potrzebuje pan zaraz? Może jest pan ranny?

— Nie, nic mi nie jest. I nie teraz. Po prostu wsuń, gdy będziesz tędy przechodził. Tak bezszelestnie, bez hałasu. Aha, jeszcze jedno. Odłącz mój telefon, tak na wszelki wypadek, dobrze? Skoro muszę wstać tak wcześnie, powinienem się porządnie wyspać. Możesz to dla mnie zrobić, Mack?

— Nie ma sprawy, załatwione. Już go wyłączam. Chce pan, żeby telefonistka obudziła pana rano?

— Nie, dzięki — odpowiedział Buck i uśmiechnął się, gdy zauważył, że telefon już jest głuchy. Mack zrobił tak, jak powiedział. Jeśli znajdzie rano ten bandaż pod drzwiami, zostawi mu porządną napiwek. Zmusił się, żeby wstać, wyłączyć telewizor i zgasić światło. Był człowiekiem, który gdy sobie powie, że musi wstać o danej godzinie, to budzi się sam we właściwym czasie. Dochodziła północ. Powinien wstać o piątej trzydzieści.

Gdy tylko dotknął głową poduszki, już go nie było. Kiedy się obudził pięć i pół godziny później, nie mógł się poruszać, bolały go wszystkie mięśnie.

Gdy Rayford przechodził przez kuchnię i zdązał w kierunku schodów, czuł się tak, jakby błędził po omacku. Nie mógł uwierzyć, że nadal jest tak bardzo zmęczony, pomimo długiej popołudniowej drzemki na kanapie w salonie. Zwinięta i ściągnięta gumką gazeta poranna ciągle leżała tam, gdzie ją rzucił po powrocie do domu. Jeśli będzie miał jakieś kłopoty z zaśnięciem, może sobie trochę poczyta. To może być interesujące zajęcie: czytanie nic nie znaczących wiadomości ani słowem nie wspominających o największej w dziejach ludzkości tragedii, która wydarzyła się krótko po tym, jak gazeta została wydrukowana.

Rayford nacisnął przycisk redial na telefonie i powoli poszedł ku schodom, ledwie słuchając sygnału w aparacie. Ale co to było? Sygnał wybierania został przerwany i odezwał się telefon w pokoju Chloe. Popędził do aparatu, gdy odezwał się głos dziewczyny.

— Chloe?

— Nie. Czy to pan Steele?

— Tak!

— Amy z tej strony. Chloe próbuje się dostać do domu. Zadzwoń do pana jutro z drogi. Jeśli jednak nie będzie mogła się do dzwonić, to proszę, żebyś przekazała panu, żeby ją pan odebrał z lotniska w Chicago albo weźmie taksówkę do domu.

— Już jest w drodze?

— Tak! Nie chciała czekać ani chwili. Próbowwała dzwonić i dzwonić, ale...

— Tak, wiem. Amy, bardzo ci dziękuję. A co u ciebie?

— Śmiertelnie się boję, tak jak wszyscy inni.

— Mogę sobie wyobrazić. Czy też kogoś straciłaś?

— Nie, nikogo i nawet jakoś czuję się winna z tego powodu. Wygląda na to, że wszyscy, których znam, kogoś stracili. To znaczy straciłam kilku przyjaciół, znajomych, ale nikogo z bliskich, z rodziny.

Rayford nie wiedział, czy jej pogratulować, czy raczej wyrazić współczucie. Jeśli zdarzyło się to, czego był już niemalże pewien, to biedne dziecko nie знаło nikogo, kto został zabrany do nieba.

— Cieszę się — powiedział — że masz się dobrze.

— A co u pana? — spytała Amy. — Mama Chloe i jej brat?

— Obawiam się, że zniknęli.

— O, nie!

— Ale będę ci zobowiązany, jeśli pozwolisz mi pierwszemu powiedzieć Chloe, gdyby przypadkiem wcześniej skontaktowała się z tobą niż ze mną.

— Proszę się nie martwić. Chybabym jej tego nie powiedziała, nawet gdyby pan mnie o to poprosił.

Przez kilka minut Rayford leżał w łóżku i leniwie przeglądał pierwszą stronę gazety. Hmm. Ciekawe. Jakieś niezwykle zmiany w Rumunii.

*Wybory demokratyczne przeszły do historii, skoro zarówno naród i parlament jednomyślnie wybrali popularnego biznesmena i polityka na prezydenta kraju. 33-letni Nicolae Carpathia urodzony w mieście Cluj w ostatnich miesiącach zachwyił swój kraj popularnymi, przekonującymi przemówieniami i oczarował ludność, zarówno przyjaciół, jak i wrogów. Reformy, jakie zaproponował, wniosły go na najwyższe stanowisko.*

Rayford rzucił okiem na zdjęcie młodego Carpathii, zdecydowanie przystojnego blondyna, który nie wyglądał wcale jak jakiś Robert Redford. *Ciekawe, czy chciałby się ubiegać o to stanowisko, gdyby wiedział, co się niedługo stanie na całym świecie, z pewnością także w jego kraju!* pomyślał. *Cokolwiek miał do zaoferowania, na pewno teraz nie jest to warte nawet funta kłaków.*

## *Rozdział siódmy*

Ken Ritz zajechał pod motel Midpoint dokładnie o szóstej, opuścił szybę i powiedział:

— Ty jesteś Williams?

— Do usług — odrzekł Buck.

Wskoczył do najnowszego modelu luksusowego samochodu sportowego z napędem na cztery koła. Dotykając swojej świeżo zabandażowanej głowy, Buck uśmiechnął się na myśl o Maćku, kiedy zobaczy dodatkowe dwadzieścia dolców.

Ritz był wysokim, szczupłym mężczyzną o opalonej twarzy i krótko przystrzyżonych, szpakowatych włosach.

— Porozmawiamy o interesie — powiedział. — Z lotniska O'Hare na Kennedy'ego jest 90 km, a z Milwaukee na Kennedy'ego jest 200 km. Postaram się dostarczyć cię tak blisko Kennedy'ego, jak tylko to będzie możliwe. Moje lotnisko jest akurat w połowie pomiędzy O'Hare i Milwaukee, tak więc przyjmijmy odległość 95 km w powietrzu. Pomnóż to razy dwa dolce i wyjdzie nam dwa tysiące trzysta dziewięćdziesiąt. Zaokrąglimy tę liczbę do dwóch tysięcy czterystu za usługę taxi i umowa stoi. Zgadzasz się?

— Zgoda — powiedział Buck i wyciągnął książeczkę, by wypisać czek. — Nie ma co, droga ta taksówka.

Ritz roześmiał się.

— Szczególnie dla faceta, który wyjeżdża z takiego hotelu. Zaparkował samochód pod metalową wiatą na lotnisku Waukegan i przeglądając procedurę uciał sobie krótką pogawędkę.

— U nas nie rozbił się żaden samolot — powiedział. — Dwa rozbiły się na drugim lotnisku, Milwaukee. Straciliśmy też kilka osób z personelu naziemnego. To wszystko jest strasznie dziwne, nie?

Wymienili się historiami o straconych bliskich, gdzie byli, gdy to się stało oraz zapoznali się bliżej, opowiadając o tym, co robia.

— Nigdy jeszcze nie przewoziłem pisarza — powiedział Ken.  
— Naturalnie, mam na myśli usługi czarterowe, bo kiedy jeszcze latałem w regularnych liniach, nieraz znajdowało się na pokładzie więcej takich osób.

— Teraz lepiej zarabiasz?

— Pewnie, chociaż nie wiedziałem tego, gdy się przenosiłem. Nie miałem wyboru.

Weszli do samolotu Learjet. Buck zatrzymał się, oglądając go dokładniej.

— Zatrzymali ci licencję pilota?

— Nic się nie martw, partnerze — powiedział. — Dowiozę cię całego na miejsce.

— Musisz mi powiedzieć, czy zabrali ci pozwolenie.

— Nie, ale zwolnili mnie. Czy to ci robi jakąś różnicę?

— To zależy, za co cię wyrzucili.

— Oczywiście. Jak ci powiem, od razu się lepiej poczujesz. Wyrzucili mnie za to, że byłem zbyt ostrożny. Chcesz posłuchać?

— Opowiedz — odrzekł Buck.

— Pamiętasz, jak kilka lat temu rozgorzała dyskusja na temat tych latających pudeł, które były reklamowane z wielką pompą, że mogą wodować nawet w kałuży, a spadały jak kaczki przy lodowatej pogodzie?

— Tak, zanim zmodyfikowano je, wprowadzając jakieś zmiany czy poprawki, coś w tym rodzaju.

— No właśnie. Może też pamiętasz, że był jeden pilot, który zdecydowanie odmówił latania, chociaż mu nakazano, zaś opinię publiczną zapewniono, że wszystko już zostało wyjaśnione, a wszelkie usterki pomyślnie usunięte?

— Aha.

— A może jeszcze przypominasz sobie, że zaraz potem wydarzyła się następna katastrofa lotnicza, która udowodniła, że tamten pilot miał rację?

— Coś pamiętam, chociaż niezbyt dokładnie.

— Za to ja pamiętam bardzo dokładnie, gdyż jestem tym pilotem.

— O, teraz czuję się bezpiecznie.

— Wiesz, ile samolotów tamtego typu jest dzisiaj w powietrzu? Ani jeden. Miałem rację jak amen w pacierzu. Ale czy mnie przywrócili z powrotem do służby w lotnictwie cywilnym? Nie. Jeśli raz sprawiłeś kłopoty, to już zawsze będziesz je sprawiał. Wielu moich kolegów dziękowało mi później. A niektóre wdowy po pilotach były oburzone, że zignorowano moje ostrzeżenia, a potem mnie usunięto, zaś one straciły mężów.

— O rany!

Gdy odrzutowiec wzbijał się i kierował się na wschód Ritz, zapytał, co Buck myśli o ostatnim tragicznym wydarzeniu.

— To zabawne, że pytasz — powiedział Buck. — Powiniennem wreszcie zabrać się do pracy i to od zaraz. Powiedz, jakie masz zdanie na ten temat? Nie masz nic przeciwko, żebym włączył dyktafon?

— Nie ma sprawy — powiedział Ritz. — Najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że nie jestem wyjątkowy. Chociaż muszę powiedzieć, że zawsze wierzyłem w UFO.

— Żartujesz! Trzeźwo myślący pilot, nastawiony na maksymalne bezpieczeństwo pasażerów, wierzy w UFO?

Ritz przytaknął.

— Nie mówię o małym zielonym ludziku ani o kosmitach porwających ludzi. Mówię o pewnych lepiej udokumentowanych przypadkach, które zaobserwowali niektórzy astronauty oraz kilku pilotów.

— Ty też coś widziałeś?

— Nie. No może kilka nie do końca wyjaśnionych rzeczy. Na przykład jakieś iluminacje świetlne albo miraże. Zdarzyło się raz, że byłem przekonany, iż lecę zbyt blisko eskadry helikopterów. Niedaleko stąd. Miejsce to znajduje się w pobliżu stacji kontroli powietrznej w Glenview. Wysłałem ostrzeżenie przez radio i w tym momencie straciłem ich z oczu. Przypuszczam, że to się da jednak jakoś wytłumaczyć. Mo-

głem lecieć szybciej niż myślałem i nie być tak blisko nich, jak mi się wydawało. Ale nigdy nie otrzymałem żadnej odpowiedzi na mój sygnał ani nawet potwierdzenia tej stacji, że jakieś helikoptery były w tym czasie w powietrzu. Wieża w Glenview nie chciała niczego potwierdzić. Wzruszyłem ramionami i zapomniałem o sprawie, ale kilka tygodni później, niedaleko tego samego miejsca, moje instrumenty pokładowe zaczęły się dziwnie zachowywać. Wskazówki latały w kółko, wskaźniki stanęły, takie dziwactwa.

— I czym to tłumaczyłeś?

— Że to pole magnetyczne albo coś w tym rodzaju. Ale to też można wytłumaczyć. Nie ma sensu składać raportu o dziwnych rzeczach, jakie się niejednokrotnie zdarzają w pobliżu bazy wojskowej, gdyż taki raport natychmiast zostanie odrzucony. Nie biorą poważnie niczego, co się dzieje w okolicy kilkunastu kilometrów od lotnisk cywilnych. Dlatego nigdy nie usłyszysz żadnej historii o UFO w pobliżu lotniska O'Hare. Nawet nie bierze się tego pod uwagę.

— Tak więc nie jesteś za teorią porwania milionów ludzi przez przybyszów z kosmosu, ale rozważasz jakieś powiązania tych zniknięć z UFO?

— Chcę tylko powiedzieć, że nie mam na myśli jakichś stworzków. Myślę, że nasza wiedza o tym, jak wyglądają kosmici, jest zbyt niedoskonała i szczątkowa. Jeśli jest jakaś inteligentna forma życia gdzieś w przestrzeni kosmicznej, a uważam, że jest, ze względu na ciągle powtarzające się...

— O czym ty mówisz?

— O niezmierzonej przestrzeni wszechświata.

— Aha, niezliczenie wiele gwiazd, tak wiele miejsca, że coś tam gdzieś musi być, tak?

— Właśnie. I zgadzam się z tymi, którzy uważają, że te istoty są o wiele inteligentniejsze od nas. W przeciwnym razie nie udałoby im się tutaj dostać, jeśli rzeczywiście to oni są sprawcami tego wydarzenia. A jeśli tak, to myślę, że są na tyle doskonali i zaawansowani w postępie technologicznym, że mogą robić rzeczy, o jakich nawet nam się nie śniło.



— Na przykład sprawić, że ludzie znikają, pozostawiają po sobie tylko odzież?

— To brzmiało dosyć głupio aż do tej nocy, prawda?

Buck przytaknął.

— Zawsze wyśmiewałem się z ludzi, którzy uważali, że te istoty potrafią czytać w naszych myślach albo dostać się do naszych umysłów, żeby nami manipulować — ciągnął Ritz. — Ale przypatrz się tylko, kto zniknął. Wszyscy, o których wiem, że zniknęli, albo mieli mniej niż dwanaście lat, albo byli niezwykłymi ludźmi.

— Czy myślisz, że wszyscy, którzy zniknęli, mieli ze sobą coś wspólnego?

— Nie zaprzeczysz, że na pewno teraz mają coś wspólnego, prawda?

— Tak, ale zgodzisz się, że jednak coś ich oddziela od pozostałych, co ułatwiło ich porwanie — powiedział Buck.

— Tak i ja też myślę — odrzekł Ritz.

— Więc my zostaliśmy tutaj, bo albo jesteśmy zbyt silni i potrafiliśmy się przeciwstawić, albo nie jesteśmy nic warty.

Ritz przytaknął głową.

— Coś w tym rodzaju. To tak, jakby jakaś siła czy moc była w stanie rozpoznać naszą odporność albo słabość i w momencie gdy dotarła tutaj, mogła w jednej chwili zmieść z powierzchni ziemi wszystkich, którzy byli na nią podatni. Oni zniknęli w ułamku sekundy, a więc musieli się zdematerializować. Pozostaje pytanie, czy ci ludzie ulegli zagładzie w tym procesie dematerializacji, czy też będą kiedyś przywróceniu do życia.

— O czym ty mówisz, panie Ritz?

— Z początku myślałem, żeby ci o tym nie mówić. Ale już tydzień temu wiedziałem, że głosy milionów ludzi na całym świecie znikają w cienkiej warstwie powietrza jak na jakimś kiepskim filmie. Jeśli weźmiemy po uwagę, że to się rzeczywiście stało, muszę pójść dalej za tym tokiem rozumowania. Może są oni gdzieś wokół nas, istnieją w jakiejś specyficznej formie i może też któregoś dnia powrócą do normalnego bytu.

— To pocieszająca myśl — powiedział Buck. — Ale czy nie jest to tylko pobożne życzenie?

— Trudno powiedzieć. Ta myśl plus pięćdziesiąt centów dają razem nie więcej niż pół dolara. Latam samolotami dla pieniędzy. Nie mam pojęcia, jak sobie to wszystko inaczej wytłumaczyć. Nadal jestem w szoku, jak wszyscy, i aż się boję powiedzieć, co się może stać dalej.

— Na przykład?

— Ze to się może powtórzyć. Jeśli było tak, jak ja myślę, może cała ta moc nabierze jeszcze większej siły zuchwałości i zabierze z ziemi innych, ludzi starszych, bardziej doświadczonych, tych, którzy przedtem potrafili się oprzeć, których nie zabrała za pierwszym razem.

Buck wzruszył ramionami i przez chwilę siedział skupiony, nic nie mówiąc. W końcu odezwał się:

— Jest jeden szkopuł w twoim rozumowaniu. Znam pewnych ludzi, którzy zniknęli, a byli tak samo silni jak ci, którzy pozostali.

— Nie mówiłem o sile fizycznej.

— Ja też nie. — Buck myślał o Lucindzie Washington. — Straciłem przyjaciółkę, która była moją współpracownicą, a była tak samo mądra, zdrowa, szczęśliwa, silna i miała świetną osobowość, podobnie jak inni, którzy jednak pozostali.

— Nie wiem, przecież nie mówię, że wszystko wiem, albo że w ogóle coś wiem na ten temat. Prosiłeś mnie o moją opinię, to ją masz.

Rayford Steele położył się na plecach i patrzył w sufit. Sen jakoś nie przychodził, a on nie znosił bezsenności. Nie chciał oglądać wiadomości ani czytać gazety, nawet tej świeżej, która przed zmierzchem wylądowała na ganku jego domu. Bardzo chciał, żeby Chloe była już w domu, by mógł z nią dzielić swój ból. Zauważył, że nie ma nic gorszego niż osamotnienie w rozpacz.

Razem mieli też do wykonania pewne zadanie. Musiał się dowiedzieć, nauczyć, poznać. Zaczął, odnajdując Biblię. Ale nie tę

rodziną, która przez lata zbierała kurz. Szukał Biblii Ireny. Mogła porobić jakieś notatki, coś, co wskazałoby mu jakiś trop.

Odnalazł ją bez trudu. Zwykle Irena miała ją w zasięgu ręki w sypialni. Znalazł książkę przy łóżku. Czy jest w niej jakaś wskazówka? Jakiś spis? Coś, co będzie się odnosiło do Pochwycenia albo sądu Bożego lub czegoś w tym rodzaju? Jeśli nie, to może zacznie czytać od ostatniej księgi. Jeżeli Genesis oznacza początek, to może Apokalipsa będzie miała coś wspólnego z końcem, nawet jeśli tego nie oznaczała. Jedyne werset z Pisma Świętego, który Rayford znał na pamięć, pochodził z Księgi Rodzaju: *Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. Miał nadzieję, że będzie też jakiś fragment w ostatniej księdze Pisma Świętego, mówiący o końcu, coś w rodzaju: /1 na końcu Bóg zabrał wszystkich swoich ludzi do nieba, a pozostałym dał jeszcze jedną szansę.*

Niestety. Ostatni werset Biblii nic mu nie mówił. *Laska Pana Jezusa ze wszystkimi świętymi. Amen.* Brzmiało to dla niego jak religijna paplanina, której musiał kiedyś słuchać w kościele. Cofnął się o jeden wiersz i przeczytał: *Mówi Ten, który o tym zaświadcza: „Zaiste przyjdę niebawem”. Amen. Przyjdź, Panie Jezu!* No, teraz już coś znalazł. Kim był ten, który zaświadczał o tym i co to jest „to”? Co to oznacza? Przejrzał kilka stron Biblii i zauważył w pewnym miejscu notatkę: to słowa Chrystusa. A więc sam Jezus mówił, że niebawem przyjdzie. Czy właśnie to, co się wydarzyło, było Jego przyjściem? Ale jeśli Biblia jest tak starą księgą, to jakie znaczenie miało określenie „niebawem”? Z pewnością nie chodziło o „prędko”, chyba że z perspektywy kogoś, kto miał na myśli bardzo długi okres dziejów. Może Jezusowi chodziło o to, że gdy przyjdzie na ziemię, to sam moment Jego przyjścia będzie trwał krótko? Czy właśnie o to chodzi? Rayford spoglądał na ostatni rozdział jak na całość. Trzy kolejne wiersze były słowami Jezusa, a dwa z nich odnosiły się do Jego rychłego przyjścia.

Rayford nie mógł zrozumieć tekstu. Wyglądał na stary i bardzo oficjalny. Ale prawie na końcu znajdował się inny werset, którego ostatnie słowa wywarły na nim bardzo duże wrażenie. Bez cienia

wątpliwości czytał: *7 kto odczuwa pragnienie, niech przyjdzie, kto chce, niech wody życia darmo zaczerpnie.*

Chyba nie Jezus jest tym spragnionym? On raczej nie powinien pragnąć wody życia. To się odnosi chyba do czytelnika. Nagle uświadomił sobie, jak bardzo on sam jest spragniony duchowo. Ale w takim razie, co było wodą życia? Zapłacił straszliwą cenę, że wcześniej się nie dowiedział. Ale cokolwiek to było, na pewno znajdowało się w tej księdze przez setki lat.

Na próżno Rayford przewracał kartkę po kartce, próbując znaleźć jakąś sensowną odpowiedź w innych miejscach Biblii. Zniechęcały go, gdyż wydawało mu się, iż nie są poukładane w całość, nie odnoszą się jedno do drugiego i nie mają żadnego celu. Na dodatek język i obce mu pojęcia nie były wcale pomocne w zrozumieniu zagadnienia.

Tu i tam zauważył notatki, które Irena robiła na marginesach swoim delikatnym piśmem. Czasami było to krótkie i proste stwierdzenie: *Cudowne*. Był zdecydowany to przestudiować i znaleźć kogoś, kto mógłby mu wytłumaczyć niezrozumiałe fragmenty. Kusiło go, żeby także napisać: *Cudowne* obok wersetu w Apokalipsie, mówiącego o zaczerpnięciu wody życia za darmo. Brzmiało to cudownie dla niego, chociaż jeszcze nie do końca umiał się w tym wszystkim połapać.

Najbardziej się obawiał, że czyta Biblię za późno. Najwyraźniej jest za późno, by poszedł do nieba razem ze swoją żoną i synem. Ale czy na wszystko jest już za późno?

Na początku Biblii, zaraz za okładką, znajdował się kościelny informator z ostatniej niedzieli. Jaki dzień mamy dzisiaj? Środa rano. Gdzie był trzy dni temu? W garażu. Raymie błagał go, żeby poszedł razem z nimi do kościoła. Obiecał, że pójdzie w następną niedzielę.

*Tak mówiłeś tydzień temu, powiedział Raymie.*

*Chcesz, żebym ci naprawił twój czterokołowiec, czy nie? Przecież wiesz, że nie mam na to czasu kiedy indziej.*

Raymie nie tak łatwo dał się zbić z tropu. Chciał się upewnić, więc jeszcze raz zapytał:

*W następną niedzielę?*

*Oczywiście*, odparł Rayford.

Och, jak bardzo sobie życzył, żeby to była właśnie ta następna niedziela. Bardziej niż kiedykolwiek pragnął, żeby Raymie był tutaj razem z nim, a wtedy poszliby razem do kościoła. Ale czy na pewno? Czy miałby dzisiaj wolne? I czy dzisiaj byłoby nabożeństwo? Czy pozostał ktoś ze wspólnoty, kto nie został pochwycony? Wyjął informator z Biblii Ireny i zakreślił numer telefonu. Później, gdy już sprawdzi plany w Pan-Continental, zadzwoni do biura kościelnego i dowie się, czy nadal coś się tam dzieje.

Już miał zamknąć Biblię i odłożyć na nocny stolik, gdy nagle przypomniał sobie coś, co go zainteresowało. Ponownie otworzył ją na początkowych, niezadrukowanych stronach, gdzie na pierwszej białej kartce zauważył dedykację. Przypomniało mu się, że podarował ją Irenie na ich pierwszą rocznicę ślubu. Jak mógł o tym zapomnieć i co myślał, kiedy dał jej tę księgę? Irena nie była wtedy bardziej religijna niż on, ale wspominała, że chciałyby poważniej traktować chodzenie do kościoła, zanim dzieci przyjdą na świat. Próbował zwrócić na siebie jej uwagę i zaimponować jej. Może spodziewał się, że Irena pomyśli, iż jest głęboko wierzący, skoro daje jej taki prezent? Miał nadzieję, że może da mu spokój i do kościoła będzie chodziła sama, gdy już udowodnił swoją religijność tym prezentem.

Przez lata Rayford tolerował kościół. Chodzili do jednej parafii, która niewiele wymagała, w zamian ofiarując bardzo dużo. Mieli tam wielu przyjaciół i znaleźli się w doborowym gronie lekarzy, dentyistów, agentów ubezpieczeniowych, a kościół zapewniał im dostęp do klubu golfowego. Rayforda z dumą przedstawiano gościom i nowym członkom jako pilota największego samolotu na świecie Boeinga 747. Przez kilka lat działał w radzie parafialnej.

Kiedy Irena odkryła chrześcijańską stację radiową, w której nadawano to, co nazywała „prawdziwym kazaniem i nauczaniem”, rozpoczął się jej proces oddalania się od dotychczasowej wspólnoty i szukania innego miejsca. Było to na rękę Rayfordowi, gdyż miał powód, żeby w ogóle przestać regularnie chodzić do kościoła, i mówił jej, że gdy tylko znajdzie jakiś, w którym będzie się naprawdę

dobrze czuła, wtedy i on będzie tam chodził razem z nią. W końcu znalazła i tak jak obiecał bywał z nią tam, ale tylko sporadycznie, gdyż tam traktowano wszystko zbyt dosłownie i osobiście wnosząc pewien niepokój do jego ustabilizowanego, jak uważał, życia. Nikt go jakoś specjalnie nie cenił. Czuł się tam bardzo mały. Dlatego starał się trzymać się z dala od tego nowego miejsca.

Rayford znalazł też inne miejsce, w którym było coś zapisane pismem Ireny. Była to lista intencji modlitewnych, a jego imię widniało na samym początku. Obok jego imienia napisała: *O Rayforda i jego zbawienie, a ja, żebym potrafiła być kochającą żoną dla niego. O Chloe, żeby przyszła do Chrystusa i żyła w czystości. O Raya Juniora, żeby nie odszedł od swojej silnej, dziecięcej wiary.* Potem wypisała nazwisko swojego proboszcza, przywódców politycznych, misjonarzy, wymieniła konflikty zbrojne na świecie, a także kilku innych przyjaciół i dalszych krewnych.

— O jego zbawienie — wyszeptał Rayford.

Zbawienie. Jeszcze jedno słowo tak często używane w kościele, nie warte dla niego nawet dziesięciu dolarów, a które nigdy nie wywarło na nim większego wrażenia. Wiedział, że ta jej nowa wspólnota była najbardziej zainteresowana zbawieniem dusz. Czegoś takiego nigdy wcześniej nie słyszał. Im bardziej przybliżał się do tego pojęcia, tym bardziej czuł się zagubiony. Czyż zbawienie nie jest związane z bierzmowaniem, chrztem, głoszeniem Ewangelii, zaangażowaniem w sprawy religii, świętością? Nie chciał mieć z tym nic wspólnego, cokolwiek by to było. A teraz był zdeterminowany, chciał dokładniej poznać znaczenie tych słów.

Ken Ritz kontaktował się przez radio z lotniskami w okolicach Nowego Jorku. W końcu otrzymał zgodę na lądowanie w Easton w Pensylwanii.

— Jeśli będziesz miał szczęście, dostaniesz się do Larry'ego Holmesa — powiedział. — To są jego tereny.

— Tego starego boksera? On nadal walczy?

Ritz wzruszył ramionami.

— Nie wiem, czy jest stary, czy nie, ale nie radzę wchodzić mu w drogę. Gdy tylko ktoś się z nim nie zgadza, może zostać błyskawicznie rzucony o ziemię.

Pilot poprosił wieżę w Easton o podwiezienie jego pasażera do Nowego Jorku.

— Powiedz szczerze, Learjet, chyba żartujesz, co?

— Nie mam takiego zamiaru, odbiór.

— Mamy jednego kierowcę, który mógłby go podrzucić gdzieś w pobliże stacji metra, ale nie bliżej niż kilka kilometrów. Żadne samochody nie wjeżdżają ani nie wyjeżdżają jeszcze z miasta i są nawet zakłócenia w ruchu pociągów, które omijają złe miejsca.

— Złe miejsca? — powtórzył Buck.

— Proszę powtórzyć — powiedział Ritz przez radio.

— Nie oglądasz wiadomości? Największe zniszczenia w mieście były rezultatem zniknięć zarówno tych zza kierownicy, jak i zawodowców ruchu. Sześć pociągów metra zderzyło się czołowo, powodując śmierć wielu osób. Inne nie hamowały i uderzały w jadące przed nimi. Trzeba wielu dni, by to wszystko uprzątnąć, a wagony wymienić. Jesteś pewien, że twój człowiek chce dostać się do śródmieścia, odbiór?

— On wygląda na faceta, który sobie poradzi, odbiór.

— Mam nadzieję, że ma dobre buty do pieszej wędrowki, odbiór.

Za podwiezienie w pobliże stacji metra, Buck musiał zapłacić osobno, ale dojechał dość daleko. Resztę drogi odbył pieszo. Jego kierowca nie był taksówkarzem, a i sam pojazd był stary, zniszczony i nie wyglądał wcale na taksówkę. Ale jakie to miało teraz znaczenie?

Po czterech kilometrach pieszej wędrowki dotarł około południa na peron kolejki podziemnej, gdzie czekał w tłumie ponad czterdzieści minut, by w końcu okazało się, że dla połowy z nich nie ma miejsca w wagonach. Musiał czekać na następny pociąg kolejne trzydzieści minut. Kolejne dwie godziny, zanim kolejka, jeżdżąc zygzakiem,

dotarła na Manhattan. Podczas całej tej długiej jazdy Buck albo pisał na laptopie, albo przez okno przyglądał się zniszczeniom, które rozciągały się, jak okiem sięgnąć. Wiedział, że większość jego kolegów z redakcji prawdopodobnie robi teraz to samo, co on. Bardzo chciał dotrzeć do Steve'a Pianka z artykułem, który przebije inne wymową i opisem wydarzeń. Buck tkwił w samym centrum tego strasznego wydarzenia, dlatego nie miał wątpliwości, że Steve przyjmie jego artykuł. Mógł najwyżej dodać jakieś elementy tego dramatu do swoich przemyśleń. Nowy Jork był całkowicie sparaliżowany, a największym zaskoczeniem dla Bucka było, że ludzie wciąż przybywali do miasta. Nic dziwnego, gdyż wielu z nich tak jak on mieszkało tu i chcieli dostać się do domów i mieszkań.

Pociąg szarpnął i zatrzymał się daleko od peronu. Zniekształcony komunikat motorniczego oznajmiał, że to nowy przystanek końcowy. Dalej już pracowały dźwigi usuwające porozbijane wagony metra z szyn. Buck policzył szybko, że będzie musiał przejść około dwudziestu pięciu kilometrów do redakcji i jeszcze osiem do mieszkania.

Na szczęście był w dobrej formie. Włożył rzeczy do torby i skrócił pasek, by mieć ją blisko siebie. Nastawił się, że będzie szedł średnio sześć kilometrów na godzinę, ale trzy godziny później wszystko go bolało. Był pewien, że ma pęcherze, a kark i ramiona bolały od dźwiganej torby i otarć od paska. Był zlany potem.

O, *Boże, pomóż mi* westchnął bardziej ze zmęczenia niż z pobożności.

*Jeśli Bóg istnieje, to na pewno ma poczucie humoru*, pomyślał. Oparł się o szorstką ścianę z cegły i jego oczom ukazał się żółty rower z przyczepionym kawałkiem tektury, na której było napisane: *Możesz wziąć rower. Pojedź tam, gdzie musisz, a potem zostaw go innym, którzy też mogą go potrzebować. Gratis.*

*To może się zdarzyć tylko w Nowym Jorku*, pomyślał. Nikt nie kradnie czegoś, co nic nie kosztuje.

Zastanowił się nad westchnięciem do Boga w modlitwie dziękczynnej, ale zdał sobie sprawę, że świat, na który patrzy, niczym nie



sugeruje istnienia życzliwego Stwórcy. Chwytał rower, uświadamiając sobie, jak wiele czasu minęło, odkąd jeździł. Wskoczył na siodełko i przez chwilę nie mógł złapać równowagi. Niebawem znalazł się w śródmieściu. Pośród wraków samochodów leżeli ranni ludzie. Niewiele osób miało tak wspaniały środek lokomocji jak on. Minęły go dwie inne osoby na podobnych żółtych rowerach oraz kilku policjantów na koniach.

Służba bezpieczeństwa była mocną stroną budynku „Global Weekly”, co nie dziwiło Bucka. Po wylegitymowaniu się nowemu pracownikowi w punkcie rejestracyjnym pojechał windą na dwudzieste siódme piętro, zatrzymał się w łazience, odświeżył trochę i wreszcie wszedł do redakcji. Recepcjonistka natychmiast powiadomiła jego szefa. Steve Plank równocześnie z Marge Potter wybiegli mu na spotkanie, objęli go mocno, uściskali.

Wypełniło go dziwne, nieznanе dotąd uczucie. Wzruszył się. Dotarło do niego wreszcie, że razem z innymi przeszedł przez straszne doświadczenie i niewątpliwie jego organizm funkcjonuje tylko dzięki podwyższonemu poziomowi adrenaliny. Jednak teraz, w jakimś sensie ponownie na swym terytorium - szczególnie, że go to wiele kosztowało pieniędzy i wysiłku - poczuł się, jakby wrócił do domu. Był z ludźmi, którzy byli mu bliscy. To jego rodzina. Był naprawdę, naprawdę szczęśliwy, że znowu ich widzi i odniósł wrażenie, że jest to uczucie odwzajemnione.

Uszczypnął się, żeby się upewnić, że to wszystko prawda, kiedy szedł korytarzem za Stevem i Marge, obok swojego ciasnego, zagraczonego pokoju. Gdy weszli do przestronnego pomieszczenia używanego przez Steve'a na biuro i jednocześnie salę konferencyjną, zapytał, czy wiedzą, co się stało z Lucindą Washington.

Marge zatrzymała się nagle na korytarzu, podniosła dłonie do twarzy.

— Tak — wydusiła przez łyzy. — Ale nie chcę znowu przez to przechodzić. Oprócz niej straciliśmy też kilku innych ludzi.

Buck miał już dosyć tego wszystkiego. Nie mógł dłużej udawać, chociaż jak wszyscy był zaskoczony własną wrażliwością. Steve ob-

jął ramieniem sekretarkę i pociągnął ją oraz Bucka do siebie, gdzie oczekiwali już inni, starsi stażem dziennikarze.

Zgotowali Buckowi owację. Ludzie, z którymi pracował, zmagął się, których zwalczał, którzy go niejednokrotnie irytowali, podkradali mu pomysły, teraz wydawali się niezmiernie uradowani, że znowu go widzą. Prawdopodobnie nie mają pojęcia, co czuje.

— O, ludzie, jak to przyjemnie być znowu wśród swoich — powiedział siadając.

Ukrył twarz w dłoniach. Zadrżał i nie mógł powstrzymać łez. Zaczął głośno płakać w obecności wszystkich swoich kolegów i konkurentów.

Próbował otrzeć łzy i opanować się, ale kiedy znowu na nich spojrzął, zmuszając się z całych sił do czegoś, co miało wyglądać na przyjazny uśmiech, zauważył, że większość również jest wzruszona.

— Nie szkodzi, Buck, wszystko w porządku — odezwał się ktoś. — Jeśli płaczesz pierwszy raz w życiu, wkrótce przekonasz się, że nie będzie ostatni. Wszyscy, jak i ty jesteśmy przerażeni, oszołomieni i pogrążeni w smutku.

— Prawda — dorzucił następny. — Ale założę się, że jego prywatne konto bez wątpienia będzie teraz wzbudzać szacunek.

To zdanie pozwoliło im się rozluźnić, niektórzy parsknęli śmiechem podczas, gdy inni nadal płakali, ale byli już mniej skrepowani.

Rayford powiedział sobie, że zadzwoni do centrum lotów Pan-Continental wczesnym popołudniem. Dowiedział się, że ma zaplanowany lot na piątek, dwa dni później.

— Naprawdę? — powiedział zdziwiony.

— Właściwie to nie licz na to — usłyszał. — Prawdę mówiąc do piątku nie oczekuje się zbyt wielu odlotów. Na pewno nie będzie żadnego aż do jutrzejszego popołudnia, a i potem nic nie wiadomo.

— Czy jest taka możliwość, że będę odwołany z tego lotu, zanim wyjadę z domu?

— To więcej niż prawdopodobne, ale jak na razie, taki masz grafik.

— Jaką trasą miałbym lecieć?

— ORD przez BOS do JFK.

— Hmm, z Chicago przez Boston do Nowego Jorku. A kiedy z powrotem w domu?

— W sobotę wieczorem.

— O, to dobrze.

— A czemu? Masz randkę?

— To wcale nie jest śmieszne.

— O, przepraszam, kapitanie, zapomniałem, z kim rozmawiam.

— Słyszałeś o mojej rodzinie?

— Wszyscy o tym wiedzą, Sir. Bardzo nam przykro. Dowiedzieliśmy się od szefowej pańskiego personelu pokładowego, która leciała z panem tamtej nocy do Londynu. Słyszał pan o tym, co się stało z pana drugim kapitanem, prawda?

— Otarło mi się coś o uszy, ale nie otrzymałem oficjalnego potwierdzenia.

— A co pan słyszał?

— Ze popełnił samobójstwo.

— To prawda. Straszne, nie?

— Czy możesz coś dla mnie sprawdzić?

— Jeśli tylko będzie to w mojej mocy, już się robi, kapitanie. Co to ma być?

— Moja córka próbuje dostać się do domu z Kalifornii.

— Niemożliwe!

— Wiem, że jest już w drodze. Robi wszystko, by przyjechać. Jest raczej pewne, że będzie próbowała lecieć naszymi liniami. Mógłbyś sprawdzić na komputerze, czy jest na liście pasażerów lecących z Kalifornii?

— Nie ma sprawy. Kilka samolotów leci w tę stronę, ale chyba pan wie, że żaden nie ląduje u nas.

— A na Milwaukee?

— Nie przypuszczam.

Rayford słyszał stukanie klawiszy na klawiaturze komputera.

— Skąd miała wylecieć?

— Gdzieś z okolic Pało Alto.

— O, to niedobrze.

— Dlaczego?

— Praktycznie nic stamtąd jeszcze nie startowało. Ale sprawdzę jeszcze raz.

Rayford słyszał, że człowiek na lotnisku mówi coś do siebie, próbuje czegoś, zmienia opcje.

— Mam! Air California do Utah. Tak! Znalazłem ją! Imię Chloe i pana nazwisko, tak?

— To ona!

— Zgłosiła się do odlotu w Pało Alto. Pan-Con odstawił ją na autobus, którym dojechała na odległy pas startowy. Poleciała liniami Air California do Salt Lake City. Założę się, że te linie po raz pierwszy poleciały poza swój stan. Tam wsiadła do samolotu Pan-Con, jakiś stary, który zabrał ją do... uhm, zaraz, gdzie to jest, nie umiem znaleźć. O, mam, Enid w stanie Oklahoma.

— Enid? Przecież nigdy tam nie lataliśmy?

— Nie żartuję. Pewnie chcieli ominąć pozamykane lotniska wokół Dallas, bo stamtąd poleciała z kolei liniami Ozark do Springfield w stanie Illinois.

— Liniami Ozark?

— Czytam tylko to, co podaje komputer, kapitanie.

— No cóż, widać, że ciężko pracuje, żeby się tu dostać.

— To prawda. Mam dobrą nowinę. Mamy tam jeden albo dwa samoloty turboodrzutowe, które mogą ją dostarczyć w nasze okolice, ale nie jest podane, gdzie lądują. Może nawet nie będzie tego na ekranie, gdyż sami nie będą widzieli, dopóki nie przylecą w pobliże lądowiska.

— To skąd będę wiedział, gdzie mam ją odebrać?

— Może się pan nie dowie. Na pewno zadzwoni, gdy wyląduje. Kto wie? Może już przyleciała?

— To by było wspaniale.

— Bardzo panu współczuję z powodu tego, co pana spotkało. Może pan się cieszyć, że Chloe nie wsiadła na pokład naszego samolotu w Paño Alto. Ostatni, który stamtąd odleciał, rozbił się wczoraj wieczorem. Wszyscy zginęli.

— Czy to było już po zniknięciach?

— Wczoraj wieczorem. W ogóle z tym nie związane.

— Czy to nie jest kopanie leżącego? — spytał Rayford.

— Faktycznie.

## *Rozdział ósmy*

Kiedy inni dziennikarze i redaktorzy wychodzili do swoich pokoi, Steve Plank nalegał, by Buck Williams odpoczął w domu przed kolejnym posiedzeniem o ósmej wieczorem.

— Wolałbym teraz skończyć to, co mam do zrobienia i wieczorem odpocząć.

— Wiem — odpowiedział naczelny — ale mamy jeszcze dużo roboty i chcę, żebyś był wypoczęty.

Buck nie wyraził entuzjazmu.

— Kiedy mogę znowu polecieć do Londynu? — zapytał.

— Przypomnij mi, co tam masz do załatwienia?

Buck w skrócie przedstawił Steve'owi to, czego dowiedział się dotąd na temat spotkania głównych finansistów amerykańskich z ich kolegami z innych krajów oraz wspomniał o nowej gwiazdzie polityki europejskiej.

— Och, Buck — powiedział Steve — nie musisz już się tym trudzić. Chodzi ci o Carpathię?

Buck stał oszołomiony.

— Nie muszę?

— To jest ten człowiek, którym się zachwycił Rosenzweig?

— Zgadza się, ale wiesz, jeden z moich informatorów chce...

— Facet, masz stare informacje — powiedział Steve. To nie jest już żadna tajemnica. Tym finansistą jest Jonathan Stonagal i to chyba on sponsoruje Carpathię. Czy mówiłem ci, że Carpathia ma złożyć listy uwierzytelniające w ONZ?

— To on jest nowym ambasadorem Rumunii przy ONZ?

— Nie całkiem.

— W takim razie kim?

— Prezydentem kraju.

— Przecież dopiero co wybierali tam prezydenta, jakieś półtora roku temu, nie? — powiedział Buck, przypominając sobie informację Dirka o tym, że nowy przywódca nie bardzo potrafił odnaleźć się na swoim stanowisku.

— Jest tam teraz wielkie zamieszanie — powiedział Steve. — Lepiej to sprawdzić.

— Dobrze.

— Nie mówię o tobie. Naprawdę uważam, że już nic nie zostało z twojej historii. Facet jest młody, energiczny i tak dalej, a przede wszystkim zachwyca osobowością i zdolnością perswazji, jak zdążyłem się dowiedzieć. Stał się szybko w swoim kraju gwiazdą biznesu, skutecznie eliminując innych, kiedy przed laty rumuński rynek otworzył się na Zachód. Ale jeszcze tydzień temu nie był nawet członkiem ich senatu. Zajmował tylko miejsce w niższej izbie parlamentu.

— W Izbie Deputowanych — poprawił Buck.

— Skąd to wiesz? — zdumiał się Steve.

Buck uśmiechnął się szeroko.

— Rosenzweig udzielił mi lekcji.

— Przez chwilę myślałem, że ty naprawdę wszystko wiesz. Wszyscy cię tu o to oskarżają.

— Cóż za przestępstwo.

— Potrafisz grać swoją rolę z wielką pokorą.

— No, bo to właśnie jestem ja. Steve, dlaczego sądzisz, że to nieważne, że taki człowiek jak Carpathia, przychodzący znikąd, zajmuje miejsce prezydenta kraju?

— Tak naprawdę to on nie pochodzi znikąd. Swoje interesy zbudował na finansach Stonagala. A na dodatek Carpathia jest zdecydowanym zwolennikiem rozbrojenia, bardzo popularnym wśród swoich kolegów i w narodzie.

— Jeśli dobrze pamiętam, rozbrojenie nie jest silną stroną Stonagala. Czy nie prowadzi czasami podwójnej gry?

Plank wzruszył ramionami.

— Są więc jednak tajemnice?

— No pewnie, Buck, ale czy może być coś ważniejszego od wydarzenia, nad którym teraz pracujesz? Szkoda każdej chwili, na zajmowanie się jakimś facetem, który nagle wyrósł na prezydenta małego znaczącego kraju.

— A jednak, Steve, coś w tym jest. Mój człowiek w Londynie przekazał mi kilka poufnych informacji. Wynika z nich, że Carpathią jest ściśle powiązany z najbardziej wpływowymi osobistościami na świecie. I to wcale nie z politykami. A jednak awansował z niższej izby na stanowisko prezydenta kraju i to nawet nie drogą powszechnych wyborów.

— I co z tego?

— Jeszcze ci mało? Który z tych argumentów cię nie przekonuje? Czy musi zabić aktualnego prezydenta, albo usunąć go w jakiś inny sposób, żeby stało się to dla ciebie interesujące i ważne?

— To ciekawe, że o tym wspomniałeś. W istocie jedyną ciemną plamą w całej tej historii z Carpathią jest pogłoska, że kilka lat temu okazał się bezwzględny wobec swoich konkurentów w biznesie.

— Jak bardzo bezwzględny?

— Jego przeciwnicy zasnęli i już się nie obudzili.

— O rany, Steve, to brzmi prawie jak kryminał.

— Posłuchaj. Poprzedni prezydent został poproszony o ustąpienie, żeby zrobić miejsce Carpathii. Wymuszono to na nim już w dniu zaprzysiężenia.

— I ty mówisz, że nie żadna sprawa?

— To jak mistrzowskie posunięcie starych oddziałów amerykańskiego Południa. Co tydzień nowa sprawa. Też mi coś. Tak więc Carpathią jest dłużnikiem Stonagala. Oznacza to, że Stonagal będzie miał wolną rękę w finansach wschodnioeuropejskiego państwa, które za najlepszą rzecz, jaka się w ostatnim czasie wydarzyła, uważa zniszczenie Rosji.

— Steve, przecież to tak, jakby świeżo upieczony kongresmen został nagle prezydentem Stanów Zjednoczonych w roku, w któ-



rym nie ma wyborów a, dotychczasowy prezydent dobrowolnie ustąpił i wszyscy mają być zadowoleni?

— Nie, nie, nie. Jest pewna różnica. Pamiętaj, że rozmawiamy o Rumunii, Buck, o Rumunii, rozumiesz? Niestrategiczne państwo, gospodarka narodowa ledwo dyszy, nigdy nikomu nie zagrażało ani nawet nie odgrywało żadnej istotnej roli. Nie ma tam nic oprócz słabej polityki wewnętrznej.

— A jednak nadal mi to bardzo śmierdzi — zastanawiał się Buck. Rosenzweig miał bardzo dobre zdanie o tym człowieku, a przecież jest bardzo wnikliwym obserwatorem. Teraz Carpathia przyjeżdża, żeby wygłosić przemówienie w ONZ. Co dalej?

— Zapomniałeś, że przyjeżdżał do ONZ, zanim został prezydentem Rumunii.

— To inna sprawa. Wtedy był nikim.

— To jest zupełnie nowe nazwisko w dziedzinie rozbrojenia. Wydaje mi się, że mimo swojego młodego wieku ma już za sobą chwile wielkości. Wierz mi, nieprędko znowu o nim usłyszysz.

— Wygląda na to, że Stonagal też jest cichym graczem za plecami ONZ — powiedział Buck. — Wiesz, że Diamond John jest osobistym przyjacielem naszego ambasadora przy ONZ?

— Za to Stonagal jest osobistym przyjacielem i doradcą każdej większej osobistości wybranej drogą powszechnych wyborów począwszy od prezydenta do burmistrzów większości miast i to nawet średniej wielkości, Buck. I co z tego? On wie, jak grać swoją rolę. Przypomina trochę starego Joe Kennedy'ego albo jednego z Rockefellerów? I co ci to daje?

— To, że Carpathia będzie przemawiał w ONZ pod wpływem Stonagala.

— Pewnie tak. I co dalej?

— On do czegoś zmierza.

— Stonagal zawsze do czegoś zmierza, ma zawsze coś w zanzardzu, żeby tylko osiągnąć swój cel. W porządku, wprowadził biznesmena do rumuńskiej polityki i może nawet wprowadził go na urząd prezydenta. Kto wie, może to właśnie on zaaranżował spotkanie

Carpathii z Rosenzweigiem, które i tak do niczego nie doprowadziło. Teraz wprowadza Carpathię na arenę międzynarodową. Zawsze tak się dzieje, gdy ludzie pokroju Stonagala maczają w tym paluchy. Czy nadal masz zamiar iść tropem tej historii, która być może wiedzie donikąd, zamiast zabrać się poważnie za próbę wyjaśnienia najtragiczniejszego fenomenu w historii świata, przez który dopiero co wszyscy przeszliśmy?

— Hmm, daj mi o tym pomyśleć — powiedział Buck i uśmiechnął się, gdy Plank poklepał go przyjaźnie.

— Chłopie, ty naprawdę możesz szukać igły w stogu siana — powiedział z uśmiechem naczelny.

— Pamiętam, że lubiłeś moje metody.

— I nadal je lubię, ale dzisiaj jesteś za bardzo niewyspany, żeby trzeźwo myśleć.

— Tak więc ostatecznie nie lecę do Londynu? Muszę powiadomić mojego człowieka.

— Marge próbowała zadzwonić się do niego, ale prawdopodobnie wyjechał na lotnisko, by się z tobą spotkać. Ona ci powie, co załatwiła, czego się dowiedziała i całą resztę. Wróć tu na ósmą wieczór. Sprowadzę też kierowników działów zainteresowanych tymi spotkaniami międzynarodowymi, które mają się odbyć jeszcze w tym miesiącu. Ty będziesz zajęty artykułem na pierwszą stronę, więc...

— Więc wszyscy będą mogli mnie znienawidzić za jednym zamachem na jednym kolegium? — powiedział Buck z sarkazmem.

— Ale dowiedzą się, że ich także doceniam.

— Czy to jest rzeczywiście ważne? Chcesz, żebym zignorował Carpathię, a jednocześnie zamierzasz skomplikować mi życie czymś... co to było? aha, konwencją religijno-ekumeniczną oraz konferencją na temat wprowadzenia jednej waluty światowej? Czy dobrze cię zrozumiałem, Steve?

— Widzę, że naprawdę się nie wyspałeś, Buck. Właśnie dlatego nadal jestem twoim szefem. Zgadza się, chcę skoordynować zagadnienia, ale potrzebuję też dobrze napisanego artykułu. Pomyśl tyl-

ko. To ci ułatwia bezpośredni dostęp do tych wszystkich dygnitarzy. Mówimy przecież o przywódcach nacjonalistów izraelskich zainteresowanych jednym światowym rządem...

— Niemożliwe i trudne do przyjęcia...

— ...o ortodoksyjnych Żydach z całego świata wyczekujących odbudowania świątyni, a także o...

— Już to raz przerabiałem.

— ...o międzynarodowych elitach finansowych przygotowujących grunt dla jednej, światowej waluty...

— Także to jest bez szans.

— Ale pozwoli ci mieć oko na twojego faworyta maklera...

— Stonagala.

— Zgadza się, ale nie tylko na niego, bo też na wielu przywódców religijnych zabiegających o międzynarodową współpracę.

— Zaraz zanudzisz mnie na śmierć, Steve. Ci ludzie chcą dyskutować o niemożliwych sprawach. Od kiedy to różne religie starają się być razem?

— Nadal nie załapałeś, o co chodzi, Buck. Możesz mieć swobodny dostęp do wszystkich tych grubych ryb - religijnych, politycznych, finansowych - przygotowując artykuł o tym, co się stało i dlaczego. Możesz pokazać sposób myślenia najtęższych umysłów świata i to z najbardziej różnych punktów widzenia.

Buck wzruszył ramionami na znak poddania.

— Teraz rozumiem, o co ci chodzi. Nadal uważam, że kierownicy działów będą mieli wystarczający powód, żeby mieć do mnie pretensje.

— Jest coś, co można powiedzieć, żeby ich ułagodzić.

— Ja nadal mam zamiar dotrzeć do Carpathii.

— To nie powinno być trudne. On pozostaje ulubieńcem mediów europejskich. Ciągłe jest chętny do udzielania wywiadów.

— A co ze Stonagalem?

— Sam wiesz, że nigdy nie rozmawia z prasą.

— Lubię wyzwania.

— Idź do domu i zrzuć z siebie ten stres. Widzę cię tu o ósmej.

Marge Potter miała właśnie wyjść, gdy nadszedł Buck.

— O, właśnie — powiedziała, odłożyła swoje rzeczy i zaczęła przeglądać notes. — Kilka razy próbowałam skontaktować się z Dirkiem Burtonem. Raz nawet udało mi się połączyć z jego automatyczną sekretarką i zostawiłam mu wiadomość od ciebie. Nie otrzymałam jednak potwierdzenia.

— Dzięki.

Buck nie był pewien, czy będzie w stanie odpocząć, bo myśli kłębiły mu się w głowie. Był mile zaskoczony, kiedy po wyjściu z biura zobaczył kilku taksówkowych naganiaczy. Kierowali do samochodów ludzi, których stać było na zapłacenie taryfy specjalnej. Za trzydzieści dolarów, na piątego pasażera Buck został podwieziony dwie przecznice od swojego domu. Trzy godziny później miał być z powrotem w biurze, umówił się więc z taksówkarzem, że zabierze go z tego samego miejsca o siódmej czterdzieści pięć. Przy ogromnej liczbie taksówek w Nowym Jorku nigdy dotąd nie musiał umawiać się z kierowcą w określonym miejscu. Nie przypominał też sobie, żeby dwukrotnie widział tego samego kierowcę.

Rayford chodził nerwowo po pokoju całkowicie przygnębiony. Doszedł do bardzo bolesnej konkluzji, że to jego najgorszy okres w życiu. Nigdy wcześniej nie był w takim stanie, jak teraz.

Jego rodzice byli starsi, niż wyglądali. Kiedy umarli w odstępnie zaledwie dwóch lat, przyjął to z pewną ulgą. Nie czuli się dobrze, często tracili przytomność. Kochał ich i nie byli dla niego ciężarem, ale praktycznie umarli dla niego kilka lat wcześniej. Oboje przeszli wylewy, byli sparaliżowani. Kiedy odeszli, Rayford odczuwał smutek. Miał świadomość, że nigdy już ich nie zobaczy. Zachował jednak dobre wspomnienia, był wdzięczny za miłość i ciepło jakim go obdarzyli w ciągu całego życia. Łzy, które popłynęły, nie były spowodowane rozpaczą czy rozdartym sercem. Po prostu czuł się osamotniony po stracie tych, których kochał.

Reszta życia upływała mu bez większych komplikacji. Zawód pilota był nierozdzielnie związany z ustawicznym zdobywaniem coraz lepiej płatnych stanowisk. Musisz być inteligentny zdyscyplinowany i ciągle doskonalić swoje umiejętności. Przeszedł wszystkie rutynowe szczeble kariery: służbę w wojsku na małych samolotach, potem latanie coraz większymi, później odrzutowce i myśliwce bojowe. W końcu wdrapał się na szczyt.

Spotkał Irenę w college'u korpusu szkoleniowego oficerów rezerwy. Właśnie rozpoczęła szkolenie wojskowe. Należała do tych osób, które nigdy na nic nie narzekają. Wielu jej przyjaciół odwróciło się od wojskowego życia i nawet nie dopuszczało myśli o powrocie do munduru. Ojciec Ireny został zabity w Wietnamie, a matka wyszła drugi raz za mąż także za żołnierza. Tak więc Irena знаła prawie wszystkie jednostki wojskowe w Stanach.

Pobrali się, gdy Rayford był na ostatnim roku studiów. Ona właśnie dostała się na drugi. Gdy przeszedł do służby czynnej, porzuciła studia i od tamtej pory wszystko w ich życiu przebiegało spokojnie i zgodnie z planem. Chloe urodziła się w drugim roku ich małżeństwa, ale z powodu jakichś komplikacji osiem długich lat czekali na Raya juniora. Rayford był zachwycony obydwójkiem dzieci, ale przyznawał, że nadzwyczaj tęsknił do chwili, by mieć syna, imiennika.

Niestety, Raymie urodził się w nie najlepszym dla Rayforda okresie. Miał dopiero trzydzieści lat, a czuł się o wiele starszej i nie był zachwycony, gdy się dowiedział o ciąży żony. Widząc jego wcześniej posiwiałe i zaniedbane włosy, wiele osób myślało, że jest znacznie starszy, tak więc wkrótce zaczęto z niego żartować. Cięża była bardzo uciążliwa dla samej Ireny. Raymie urodził się kilka tygodni po terminie, a Chloe właśnie dawała się we znaki jako pełna energii ośmiolatka. Rayford podświadomie zaczął się wycofać z życia rodzinnego, na ile się tylko dało.

Irena, wpadła w tym czasie w jakąś, na szczęście, jak wierzył, niezbyt poważną depresję, często płakała, nie mogła utrzymać nerwów na wodzy. W pracy Rayford był kimś, słuchano go i podziwiano. Został wyznaczony do pilotowania najnowocześniejszego samo-

lotu Pan-Continental. Jego życie zawodowe toczyło się bardzo gładko, nie mógł jednak tego powiedzieć o życiu rodzinnym.

W tym czasie popijał o wiele częściej niż przedtem i wystawiał ich małżeństwo na wielką próbę. Coraz częściej zdarzało się, że wracał później do domu, a czasem nawet okłamywał żonę co do swojego grafiku lotów, żeby w ten sposób mieć pretekst do wcześniejszego wyjścia z domu nawet o cały dzień albo wrócić dzień czy dwa później, niż było zaplanowane. Irena podejrzewała go o różne nieczne czyny, których nigdy nie popełnił, a ponieważ nie miała racji, zaprzeczał im gwałtownie, a przy tym potrafił być bardzo złośliwy.

Prawda była taka, że miał nadzieję, i w głębi duszy pragnął czegoś, a żonę oskarżał z powodu tego swojego stanu. Jeszcze bardziej frustrowało go, gdy nie radził sobie ze sobą, z własnym wyglądem i sposobem bycia. Nie potrafił nic zrobić, nie był skuteczny i nie miał siły przebicia, nie mówiąc o własnym stylu. Pomimo takiego krytycznego podejścia do samego siebie stewardessy oceniały Rayforda, że jest solidny i że można na nim polegać, choć sam czuł się jak jakiś jajogłowy pracoholik. Oczywiście, tak jak inni mógł mieć kobiety za pieniądze, ale było to poniżej jego poziomu, gardził tym. Podczas gdy zabawiał się myślą o romansie w dawnym stylu z inną kobietą, jednocześnie nie wyobrażał sobie, żeby mógł się poniżyć do czegoś tak ohydneho, jak płatny seks.

Gdyby Irena знаła jego myśli o zdradzie, dawno już by go zostawiła. Pofolgował sobie podczas pamiętnej imprezy świątecznej przed narodzeniem Raymiego, ale był tak pijany, że prawie nic nie zapamiętał z tego wieczoru.

Nieustanne poczucie winy i mocno nadwreżony wizerunek postawiły go w końcu na nogi i przestał pić. Narodzenie Raymiego ustatkowało go i otrzeźwiło jeszcze bardziej. Dotarło do niego, że już czas spoważnieć i przyjąć na siebie odpowiedzialność męża i ojca.

Kiedy teraz Rayford pozwolił wszystkim wspomnieniom i rozmyślaniom płynąć przez udręczoną głowę, odczuwał głęboki żal i wyrzuty sumienia. Czuł, że zawiódł nadzieje i nie spełnił oczekiwań. Był tak bardzo niegodny Ireny. W jakiś sposób dotarło w końcu do

niego, chociaż nigdy przedtem nawet nie dopuszczał takiej myśli, że wcale nie była taka głupia ani naiwna, jak się często ludził. Prawdopodobnie wiedziała, jaki jest pusty i płytki i co tu ukrywać, mało wartościowy. A jednak nadal była u jego boku, kochając go i walcząc o ratowanie ich małżeństwa.

Nie mógł mieć jej za złe, że stała się inną osobą, odkąd zaczęła chodzić nowej do wspólnoty w sąsiedniej parafii, gdzie poważnie traktowano wiarę w Boga. Oczywiście on był pierwszą osobą, której Irena prawila kazania. Była podekscytowana i tak bardzo chciała, żeby on też odkrył to, co znalazła. Ale uciekł. W końcu albo poddała się, albo zrezygnowała i pogodziła się z myślą, że przez jej ustawiczne błagania i marudzenie on nigdy nawet nie przybliży się do stanu jej ducha. Teraz jednak, gdy znalazł jej listę intencji modlitewnych, zrozumiał, że Irena nigdy się nie poddała i nie przestała walczyć o niego. Po prostu użyła innych metod - modliła się za niego.

Nic dziwnego, że Rayford nawet nie otarł się o zagrożenia ewentualnego rozpadu swojego małżeństwa ani nie związał się z Hattie Durham. Hattiel Jak bardzo zawstydzające i poniżające były jego głupie marzenia! Z tego, co wiedział, Hattie była niewinna. Nigdy nie mówiła źle o jego żonie. Nigdy nie proponowała niczego niewłaściwego. Zachowywała się po prostu jak młoda kobieta. Młodzi ludzie zachowują się trochę inaczej, może to nawet wyglądać na spoufalanie się, czy flirtowanie, a w dodatku Hattie nie trzymała się twardo jakichś zasad moralnych czy religijnych. To Rayford miał obsesję na punkcie ewentualnego związku z nią, podczas, gdy ona sama prawdopodobnie nic o tym nie wiedziała, a to sprawiało, że jeszcze bardziej czuł się głupcem.

Ale skąd to poczucie winy? Wiele razy patrzyli na siebie, spędzili ze sobą wiele godzin, sam na sam jedząc posiłki w restauracjach w różnych miejscowościach na świecie. Nigdy jednak nie zaprosiła go do swojego pokoju ani też nie próbowała go pocałować, czy nawet wziąć za rękę. Może gdyby był bardziej natarczywy, wtedy i ona byłaby śmielsza, kto wie? Równie dobrze mogłaby się poczuć urażona, a nawet znieważona.

Rayford potrząsnął głową. Nie tylko czuł się winny, pożądamc innej kobiety, do której nie miał żadnych praw, ale na dodatek był takim ciamajdą, że nawet nie wiedział, jak się do tego zabrać.

A teraz przyszła ta najczarniejsza chwila jego życia. Niepokoił się o Chloe. Tak bardzo chciał, żeby była już w domu. Tak bardzo martwił się o jej bezpieczeństwo. Miał nadzieję, iż sam fakt, że będzie przy nim ktoś z jego krwi i kości, w jakiś sposób złagodzi żal i ból, jaki odczuwał. Wiedział, że niedługo znowu będzie głodny, ale na nic nie miał ochoty. Nawet przepyszne, aromatyczne ciasteczka domowe, które powinien chyba sobie wydzielać, stały się bolesnym wspomnieniem o Irenie.

Włączył telewizor nie po to, żeby zobaczyć chaos i zamieszanie, ale w nadziei, iż trafi na jakieś wiadomości o normalizującej się sytuacji, uregulowaniu ruchu drogowego, odnajdywaniu się ludzi. Jednak po minucie czy dwóch słuchania w kółko o jednym i tym samym, zniechęcony wyłączył telewizor. Odrzucił myśl o zadzwonieniu na lotnisko, by sprowadzić swój samochód z parkingu. Nie chciał, żeby telefon był zajęty choćby przez chwilę, czekał bowiem na wiadomość od córki. Upłynęło wiele godzin od chwili, gdy dowiedział się, że opuściła Pało Alto, udając się do domu. Ile czasu mogą zająć te wszystkie zwariowane połączenia i przesiadki zanim w końcu dostanie się liniami Ozark ze Springfield w okolice Chicago?

Zadzwonił telefon i Rayford zerwał się na równe nogi. Ale nie była to Chloe.

— Przepraszam, kapitanie — usłyszał głos Hattie. — Obiecałam, że oddzwonię, ale usnęłam po naszej rozmowie i dopiero się obudziłam.

— To dobrze, Hattie, w porządku. Tak naprawdę, to ja muszę...

— Chciałam powiedzieć, że nie mam zamiaru zanudzać cię, a szczególnie teraz.

— Och, nie ma problemu, ja tylko...

— Rozmawiałeś z Chloe?

— Właśnie czekam na telefon od niej, musimy więc jak napedzej skończyć rozmowę!



Rayford mówił o wiele bardziej szorstko, niż mu się wydawało i Hattie na chwilę ucichła, prawdopodobnie nie mogąc wykrztusić słowa ze zdumienia.

— No cóż, dobrze, rozumiem, bardzo przepraszam.

— Zadzwoń do ciebie później, Hattie, dobrze?

— O.K.

Słyszał urazę w jej głosie. Było mu przykro, że tak się skończyła rozmowa, ale nie żałował. Wiedział, że chciała mu pomóc i było to z jej strony bardzo uprzejme, ale przecież wcale go nie słuchała. Hattie była samotna i przerażona tak samo jak on i bez wątplenia skontaktowała się już ze swoją rodziną. O, nie! Nawet o nich nie zapytał. Może go teraz znienawidzić. *Jak strasznie potrafię być samolubny*, dziwił się.

Pomimo że tak bardzo czekał na telefon od córki, postanowił jednak jeszcze przez kilka minut porozmawiać z Hattie. Wykręcił jej numer, ale linia była zajęta.

Buck pragnął zadzwonić do Dirka Burtona, gdy tylko wrócił do domu. Postanowił nie czekać ani chwili mimo różnicy czasu pomiędzy kontynentami. Usłyszał w słuchawce dziwny dźwięk. Automatyczna sekretarka przekazała wiadomość o pozostawieniu informacji po usłyszeniu sygnału, ale gdy tylko rozległ się jej dźwięk, usłyszał długi sygnał świadczący o tym, że taśma jest już zapełniona. Dziwne. Albo Dirk przespał całe to wydarzenie, albo...

Buck nie podejrzewał, żeby Dirk był wśród tych, którzy zniknęli. Buck miał do niego miliony pytań dotyczących takich ludzi jak Stonagal, Todd-Cothran, a także wszystkiego, co się wiąże ze zniknięciami, Dirk był jego najlepszym przyjacielem od czasu studiów w Princeton. Och, żeby to był jakiś zbieg okoliczności, pomyślał. Może jest w podróży.

Gdy tylko Buck odłożył słuchawkę, telefon zadzwonił. Telefonowała Hattie Durham. Płakała.

— Przykro mi, że pana niepokoję, panie Williams. Obiecałam sobie, że nigdy nie zadzwonię do pana do domu.

— W porządku, Hattie, nie ma sprawy. Co się stało? Dlaczego płaczesz?

— No cóż, właściwie to nic takiego, no, zdarzyło się coś, i nie mam z kim o tym porozmawiać. Nie mogę się dodzwonić do mamy i sióstr, i pomyślałam sobie, że ty mnie wysłuchasz i zrozumiesz.

— Mów, mów, jestem do dyspozycji.

Powiedziała mu o rozmowie z kapitanem Steele'em, przypominając, kim on jest, że stracił żonę i syna, i że przed chwilą próbowała do niego zadzwonić i przekazać mu to, czego się dowiedziała od Bucka o swojej rodzinie.

— A on po prostu kazał mi się rozłączyć, gdyż czekał na telefon od córki.

— Można to zrozumieć — powiedział Buck, przewracając oczami. W jaki sposób dostał się do tego klubu samotnych serc? Czy ona nie ma żadnej koleżanki, przyjaciółki, której mogłaby się zwierzyć?

— Tak — odpowiedziała. — To tyle. Wiem, że on rozpacza z powodu utraty żony i syna, bo jest tak, jakby umarli albo nawet gorzej, ale przecież wiedział, że siedziałam jak na szpilkach niepewna o los moich bliskich, a on nawet o nich nie zapytał.

— No cóż, na pewno dlatego, że żyje w ogromnym napięciu, odczuwa żal, rozpacz, tak jak powiedziałaś i...

— O tak, z pewnością. Po prostu chciałam z kimś pogadać i pomyślałam o tobie.

— Hej, dzięki, to miło. Możesz dzwonić do mnie, kiedy tylko zechcesz — kłamał Buck. Oj, chłopie, w co się pakujesz, pomyślał. Muszę dopilnować, żeby mój domowy numer przypadkiem nie został umieszczony na nowych wizytówkach. — Wiesz co, musimy już kończyć. Mam dzisiaj kolegium o ósmej wieczorem, a jeszcze nie spałem i...

— Dobrze, już kończę, dziękuję, że mnie wysłuchałeś.

— Nie ma sprawy — powiedział, chociaż sam nie wierzył w to, co mówi. Może Hattie okazałaby się całkiem fajna i do rzeczy, gdyby nie była tak zestresowana. Chciałby, żeby tak było.

Rayford był zadowolony, że linia Hattie jest zajęta, gdyż powie jej, że próbował natychmiast oddzwonić, ale nie mógł dłużej blokadować swojej linii. Minutę później jego telefon znowu zadzwonił.

— Kapitanie, to znowu ja. Przepraszam, ale obiecuję, że nie będę cię długo zatrzymywała, myślałam jednak, że może próbowałeś do mnie zadzwonić, a ja akurat rozmawiałam z kimś innym, więc...

— Rzeczywiście, Hattie, zgadłaś, bo faktycznie próbowałem się do ciebie dodzwonić. Czego się dowiedziałaś o swojej rodzinie?

— Mają się dobrze — powiedziała, płacząc.

— Dzięki Bogu — odpowiedział.

Rayford dziwił się, co mu się stało. Powiedział, że cieszy się, iż jej rodzina jest na miejscu i nic jej się nie stało, chociaż był już przekonany, że ci, którzy nie zniknęli z innymi, rozminęli się z jedyną szansą uczestniczenia w największym wydarzeniu w historii świata. No, ale cóż innego miał powiedzieć Hattie: *O, tak mi przykro, że twoja rodzina też jest POZOSTAWIONA?*

Kiedy odłożył słuchawkę, usiadł naprzeciwko telefonu z nieodpartym wrażeniem, że gdy rozmawiał z Hattie, dzwoniła Chloe. Rozzłościło go to jeszcze bardziej. W brzuchu burczało mu z głodu i wiedział, że powinien coś zjeść, ale postanowił czekać tak długo, jak się da, w nadziei, że zje razem z Chloe, gdy córka wreszcie zjawi się w domu. Znał ją i wiedział, że też jeszcze nic nie jadła.

## *Rozdział dziewiąty*

System samodzielnego budzenia tym razem zawiódł Bucka całkowicie, jednak o 20:45 w pomiętym ubraniu był już w pokoju Steve'a Pianka i przeproszał za spóźnienie. Nie mylił się jednak w swoich odczuciach. Wyczuwał wyraźnie oburzenie starszych redaktorów z różnych działów. Juan Ortiz, szef redakcji polityki międzynarodowej, był zły na Bucka, że w ogóle zajmuje się międzynarodową konferencją na szczycie, którą sam planował obsługiwać.

— Izraelscy nacjonaści mają omawiać zagadnienie, które śledzę już od kilku lat. Kto by w ogóle przypuszczał, że będą mieli w planie także rozmowy na temat idei jednego światowego rządu? Już samo podanie tego tematu pod dyskusję wydaje się ogromnym zaskoczeniem. Zamiast w Jerozolimie lub Teł Awiwie, spotykają się tutaj, na neutralnym gruncie, bo ich plan jest tak bardzo rewolucyjny. Większość nacjonalistów żydowskich uważa, że Izrael poszedł za daleko w ustępstwach. To jest historyczne wydarzenie.

— W takim razie w czym problem — powiedział Plank — skoro chcę do tego reportażu dodać naszego specjalistę?

— To ja jestem specjalistą w tej dziedzinie.

— Próbuję dojść do tego, co mają wspólnego wszystkie te spotkania odbywające się nagle w jednym czasie — powiedział Plank.

Jimmy Borland, szef działu religijnego, włączył się do dyskusji.

— Rozumiem zastrzeżenia Juana, ale sam mam obsłużyć dwa spotkania odbywające się jednocześnie. Pomoc mile widziana.

— W końcu zaczynamy się rozumieć — powiedział Plank.

— Ale chcę grać w otwarte karty, Buck — dodał Borland. — Chcę mieć ostatnie słowo.

— Oczywiście — zgodził się Plank.

— Nie tak szybko, panowie — zachnął się Buck. — Nie pozwolę się traktować, jakbym był jakimś drugorzędnym reporterem. Zamierzam sam się wypowiadać o tych spotkaniach, ale nie chcę się mieszać do waszych ekspertyz. Nie mam zamiaru opisywać szczegółowo każdego spotkania. Chcę jedynie znaleźć związek między nimi, odkryć ich znaczenie, wspólny mianownik. Jimmy - twoje dwie grupy, zarówno religijni Żydzi, którzy dążą do odbudowy świątyni, jak i tak zwani Żydzi ekumeniczni, chcący wprowadzić coś w rodzaju jednej światowej religii - czy nie są na dwóch biegunach? Czy religijni Żydzi...

— Ortodoksyjni.

— Tak, czy ortodoksyjni Żydzi zasiądą przy stole obrad razem z ekumenicznymi? Przecież, jeśli się nie dogadają, będzie to równoznaczne z przekreśleniem szans na odbudowę ich świątyni.

— No, teraz przynajmniej myślisz jak dziennikarz działu religijnego — powiedział Jimmy. — To zachęcające.

— Podziel się z nami swoją opinią.

— Jeszcze jej nie mam. Właśnie dlatego to takie interesujące. To, że mają spotkania akurat w tym samym czasie i w tym samym mieście, brzmi zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe.

Szefowa działu analiz ekonomicznych Barbara Donahue podsumowała dyskusję.

— Wcześniej dzieliłam się już z tobą opinią na temat takich wysiłków, Steve — powiedziała. — Doceniam to, że pozwalasz swoim ludziom wyrażać ich poglądy. Wszyscy jednak wiemy, że chcesz zaangażować w to przedsięwzięcie Bucka. Nie rozdrapujmy więc ran i pójdźmy dalej. Jeżeli każdy z nas będzie mógł opisać poszczególne spotkania w ramach działu, a także będziemy mieli jakiś wpływ na cały materiał, co jak przypuszczam, będzie miało miejsce, nie ma o co kruszyć kopii.

Nawet Juan Ortiz się zgodził, chociaż Buck zauważył, że nie bardzo chciał to po sobie pokazać.

— Buck jest naszym rozgrywającym — ogłosił Plank — więc bądźcie w kontakcie z nim. On z kolei będzie informował mnie o przebiegu wydarzeń. Chciałbyś coś powiedzieć, Buck?

— Tylko tego brakowało — powiedział smętnie, wywołując ogólny śmiech, który rozładował atmosferę. — Barbaro, czy dobrze słyszałem, że twoi finansisci spotykają się w gmachu ONZ, tak jak poprzednio, podczas rozmów na temat sprowadzenia rozliczeń rynku światowego do trzech walut?

Kiwnęła głową.

— To samo miejsce i w zasadzie ci sami ludzie.

— Jaki udział ma w tym Jonathan Stonagal?

— Oficjalnie?

— Wszyscy wiedzą, że jest bardzo ostrożny. Czy Stonagal ma w tym jakiś udział?

— Czy ryba może mówić?

Buck roześmiał się i zapisał coś w notatniku.

— Przyjmuję twoją odpowiedź jako twierdzącą. Chciałbym się mu przyjrzeć trochę bliżej, może nawet uda mi się dostać do Diamentowego Johna.

— Powodzenia. Prawdopodobnie nawet się tam nie pokaże.

— Ale z pewnością będzie w mieście, prawda Barbaro? O ile dobrze pamiętam, poprzednim razem zatrzymał się w hotelu Plaža, tak?

— Widzę, że się tam wybierasz, co?

— Z tego, co wiem, ma zwyczaj stawać do pojedynku codziennie, ale tylko z jednym przeciwnikiem.

Juan Ortiz podniósł rękę.

— Mam zamiar sam sprostać temu zadaniu i chcę, Buck, żebyś wiedział, że osobiście nie mam nic przeciwko tobie. Ale szczerze mówiąc, nie wierzę, że istnieje jakiś sposób na skoordynowanie relacji z tych wszystkich spotkań bez jednoczesnego związywania rąk innym dziennikarzom. To znaczy, jeśli masz zamiar rozpocząć główny artykuł zwięzłą notatką o tym, że odbyły się cztery ważne międzynarodowe spotkania w mieście i to wszystkie niemal w jednym

czasie, w porządku, nie ma sprawy. Ale szukanie jakiegoś związku pomiędzy nimi wydaje mi się naciągane.

— Obiecuję, że jeśli się nie dopatrzę żadnego związku pomiędzy nimi, nie będzie żadnego dodatkowego superartykułu — powiedział Buck. — Czy to cię satysfakcjonuje?

Rayford Steele niemal szalał ze zmartwienia, jednocześnie przytłoczony własnym smutkiem. Gdzie jest Chloe? Był w domu cały dzień i chodząc po pustych pokojach, pograżał się coraz bardziej w rozpacz i rozmyślaniach. Czuł się ograniczony, prawie jakby miał klaustrofobię. Zadzwoił do Pan-Continental i dowiedział się, że może odebrać samochód z parkingu, wracając z lotu weekendowego. Telewizja przekazywała coraz to nowe wiadomości o szybkim tempie prac przy oczyszczaniu dróg z rozbitych pojazdów i w miarę sprawnym uruchamianiu komunikacji publicznej. Niestety, pasy zieleni, zarówno rozdzielające jezdnie autostrad, jak i te w miastach lub na przydomowych skwerach, długo jeszcze pozostaną zniszczone. Potężne dźwigi drogowe ściągały z dróg porozbijane auta, pozostawiając je niezabezpieczone tuż przy autostradach i mniej uczęszczanych drogach.

Rayford zdecydował, że pora już zadzwonić do kościoła, do którego jeszcze kilka dni temu chodziła jego żona. Było już po godzinach urzędowania i Rayford ucieszył się, że nie musi z nikim rozmawiać. Tak jak się spodziewał na automatycznej sekretarce została nagrana nowa informacja, ale był to męski głos, który brzmiał co najmniej rozpaczliwie.

*Dodzwoniłeś' się do parafii Nowej Nadziei. Planujemy zorganizowanie tygodniowego studium biblijnego, ale zanim to nastąpi, będziemy się spotykali jak na razie tylko raz w tygodniu, w niedzielę o dziesiątej rano. Większość naszej wspólnoty oraz cała rada parafialna z wyjątkiem mnie zniknęła. Nieliczni spośród nas, którzy zostali, zajmą się budynkiem kościoła oraz rozprowadzaniem kaset*

*video, które nasz proboszcz przygotował na taką chwilę. Możesz przyjechać do kancelarii kiedykolwiek, o dowolnej porze i otrzymasz darmowy egzemplarz. Mam nadzieję, że spotkamy się w niedzielę rano.*

*Rzeczywiście, pomyślał Rayford, widząc, że ten proboszcz naprawdę często nauczał na temat Pochwycenia Kościoła. To dlatego Irene była tym tak podekscytowana. Jaki niezwykły pomysł, żeby nagrać na video informację dla tych, którzy będą pozostawieni. Razem z Chloe muszą jutro wziąć sobie kopię tej kasety. Miał nadzieję, że córka będzie równie jak on zainteresowana odkryciem całej prawdy o tym, co się stało.*

Rayford zerknął przez frontowe okno w ciemność akurat w chwili, gdy Chloe, wysiadając z taksówki, płaciła kierowcy. Jej wielka walizka już stała na betonowym podjeździe. Wybiegł z domu w skarpetkach i mocno ją objął.

— Och, tato . — szlochała. — Jak się miewają wszyscy w domu?

Pokręcił głową.

— Nie... — jęknęła, uwalniając się z uścisku i patrząc z nadzieją na dom, jakby w oczekiwaniu, że matka i brat za chwilę pojawią się w drzwiach, by ją przywitać.

— Tylko ty i ja, Chloe — powiedział Rayford, przytulając ją do siebie, i stali tak razem w ciemnościach, płacząc. sz

Dopiero w piątkowe popołudnie Buckowi Williamsowi udało się w końcu dodzwonić na służbowy numer Dirka Burtona. Połączył się z przełożonym Dirka w londyńskiej giełdzie papierów wartościowych.

— Zanim będę mógł przekazać informację na temat pana Burtona, proszę wyraźnie podać swoje imię i nazwisko oraz stopień pokrewieństwa z Dirkiem — powiedział Nigel Leonard. Muszę też poinformować pana, że nasza rozmowa jest nagrywana na taśmę.

— Co?



— Nagrywam naszą rozmowę. Jeśli pan tego nie lubi, proszę się rozłączyć.

— Nie rozumiem.

— Co tu rozumieć? Na pewno pan wie, czym jest zapis na taśmie magnetofonowej, prawda?

— Naturalnie, że wiem i w takim razie włączam także swój zapis na taśmie, jeśli nie ma pan nic przeciwko.

— Oczywiście, że mam, panie Williams. Z jakiej racji miałby pan nagrywać naszą rozmowę?

— Z tej samej co i pan.

— Znajdujemy się w wyjątkowo niefortunnej sytuacji, więc musimy sprawdzać każdy ślad.

— W jakiej sytuacji? Czy Dirk znalazł się pomiędzy tymi, którzy zniknęli?

— Obawiam się, że nic takiego mu się nie przytrafiło.

— Więc o co chodzi?

— Powiem, ale niech mi pan najpierw powie, dlaczego chce pan wiedzieć.

— Jestem starym przyjacielem Dirka. Jeszcze z czasów studiów. Mieszkaliśmy razem w akademiku.

— Gdzie?

— W Princeton.

— Bardzo dobrze. Kiedy to było?

— Buck powiedział.

— Bardzo dobrze. Kiedy ostatnio rozmawiał pan z Dirkiem?

— Nie pamiętam dokładnie. Przesyłaliśmy sobie wiadomości za pomocą poczty głosowej.

— Pański zawód?

— Buck wahał się chwilę.

— Starszy reporter „Global Weekly” z Nowego Jorku.

— Czy pana zainteresowanie kontaktem z panem Burtonem wynika ze względów dziennikarskich?

— Niewykluczone — odparł Buck ze wszystkich sił powstrzymując się, by nie wybuchnąć — ale nie mogę sobie wyobrazić, żeby

mój przyjaciel, tak ważny dla mnie, mógł być przedmiotem zainteresowania moich czytelników.

— Panie Williams — zaczął Nigel ostrożnie — kategorycznie stwierdzam, co też będzie zapisane na obydwu taśmach, iż to, co powiem, jest absolutnie nieoficjalne. Czy się rozumiemy?

— Tak, ja tylko...

— Ponieważ zostałem ostrzeżony, że zarówno w pańskim kraju, jak i w Zjednoczonym Królestwie wszystko, co zostanie powiedziane w trakcie dochodzenia, a jest nieoficjalne, jest prawnie strzeżone.

— Zgoda.

— Przepraszam, nie rozumiem.

— Powiedziałem, że się zgadzam, żebyśmy rozmawiali nieoficjalnie. A teraz proszę mi powiedzieć, gdzie jest Dirk?

— Dziś rano w mieszkaniu pana Burtona znaleziono jego ciało. Miał ranę od kuli w głowie. Przykro mi, że przekazuję panu, jego przyjacielowi, taką wiadomość. Najprawdopodobniej przyczyną zgonu było samobójstwo.

Buckowi odebrało mowę.

— Kto to stwierdził? — próbował się dowiedzieć.

— Władze.

— Jakie władze?

— Scotland Yard oraz służba bezpieczeństwa giełdy.

*Scotland Yard?* pomyślał Buck. *Zobaczmy, co z tego wyniknie.*

— Dlaczego giełda jest w to zamieszana?

— Chronimy swoje interesy oraz nasz personel, Sir.

— Chyba pan wie, że w przypadku Dirka samobójstwo nie wchodzi w rachubę — powiedział Buck.

— Skąd mam to wiedzieć?

— Skoro był pan jego bezpośrednim przełożonym, powinien pan go znać bardzo dobrze.

— Było mnóstwo samobójstw w czasie masowych zniknięć, Sir.

Buck potrząsnął głową z niedowierzaniem tak, jakby Nigel mógł go widzieć po drugiej stronie Atlantyku.

— Jestem pewien, że Dirk nie zastrzelił się i pan też to wie, prawda?

— Sir, rozumiem pańskie uczucia wobec pana Burtona, jednak żaden z nas nie może wiedzieć, co się działo w jego umyśle. Także byliśmy przyjaciółmi, ale nie zamierzam kwestionować orzeczenia lekarskiego dotyczącego sekcji zwłok.

Buck rzucił słuchawkę i wparował do biura Steve'a Pianka. Przekazał mu to, czego się dowiedział przed chwilą.

— To straszne — powiedział Steve.

— Znam kogoś w Scotland Yardzie, kto przyjaźnił się z Dirkiem, ale nie mogę rozmawiać z nim o tym przez telefon. Czy Marge mogłaby mi zarezerwować lot do Londynu? Postaram się wrócić na czas tych wszystkich ważnych spotkań, ale teraz muszę tam pojechać.

— Jeśli uda ci się zdobyć miejsce na samolot. Nie słyszałem, żeby lotnisko Kennedy'ego było już otwarte.

— A La Guardia?

— Zapytaj Marge. Wiesz, że Carpathia ma być tutaj jutro.

— Sam powiedziałaś, że nie jest on aż tak ważną figurą. **Może** kiedy wrócę z Londynu nadal tu będzie.

Rayford Steele nie zdołał przemówić do rozsądku zbolącej córce i skłonić jej do wyjścia z domu. Chloe spędziła wiele godzin najpierw w pokoju swojego małego brata, a potem w sypialni rodziców, grzebiąc w ich osobistych rzeczach, co chwila rzucając coś do pudełek z pamiątkami, które wcześniej ojciec przyniósł do pokoju. Rayford ogromnie jej współczuł. Po kryjomu miał nadzieję, że Chloe będzie dla niego pocieszeniem. Wiedział, że w końcu tak się stanie. Teraz jednak potrzebowała czasu, żeby dojść do siebie po stracie najbliższych dwóch osób. Mogła rozmawiać, dopiero gdy się wyplakała na głos. Kiedy pogrążyła się we wspomnieniach, tak dalece, że stało się to nie do zniesienia, nagle zmieniła

temat i zaczęli rozmawiać o przedziwnym fenomenie masowych zniknięć.

— Tato, w Kalifornii w zasadzie przyjęli teorię o inwazji przybyszów z kosmosu.

— Żartujesz.

— Wcale nie. Ty zawsze byłeś bardzo praktyczny i sceptycznie nastawiony do tych wszystkich brukowych rewelacji, ale i mnie to nie przekonuje. To znaczy, myślę, że jednak musi być w tym coś ponadnaturalnego, niezemskiego ale...

— Ale co?

— Skoro jakaś wyższa forma życia potrafiła zrobić coś takiego, to powinni się z nami skontaktować, prawda? Może będą chcieli przejąć kontrolę nad nami albo, żebyśmy coś dla nich robili lub też zażądają jakiegoś okupu.

— Kto? Marsjanie?

— Tato! Wcale nie mówię, że w to wierzę. Raczej chcę powiedzieć, że to zupełnie absurdalne. Ale czy moje rozumowanie ma jakiś sens?

— Nie musisz mnie przekonywać. Przyznaję, że jeszcze tydzień temu nic z tego, przez co teraz przechodzimy, nawet mi się nie śniło, a moje logiczne myślenie doszło do granicy.

Rayford miał nadzieję, że Chloe spyta, jaka jest jego teoria. Nie chciał tak od razu rozpocząć od spraw religijnych. Od kiedy pamiętał, zawsze miała antagonistyczne nastawienie, jeśli chodzi o sprawy wiary. Do kościoła przestała chodzić jeszcze w szkole średniej, i oboje z Ireną musieli to zaakceptować. W zasadzie była dobrym dzieckiem, nie sprawiała większych trudności wychowawczych. W szkole miała na tyle dobre oceny, że zdobyła stypendium częściowo pokrywające koszty nauki. Gdy przechodziła okres nastoletniego zainteresowania chłopakami, zdarzyło się kilka razy, że wróciła do domu później niż powinna, jednak rodzice nigdy nie musieli stawiać się na policji, by płacić za nią kaucję, jak nigdy też nie było nawet cienia podejrzenia o używanie przez nią narkotyków. Na to Rayford był ogromnie uczulony.

Rayford z Ireną wiedzieli, że kilka razy wróciła z jakichś imprez podchmielona i, że resztę nocy spędziła w toalecie, wymiotując. Za pierwszym razem postanowili to zignorować i zachować się tak, jakby nic się nie stało. Wierzyli, że jest na tyle mądra - w dodatku dostała nauczkę - by nie robić tego po raz drugi. Kiedy jednak zdarzyło się to ponownie, Rayford odbył z nią krótką rozmowę.

— Tato, wiem, wiem, wiem, O.K.? Nie musisz mi tego wypominać, dobrze?

— Przecież nic ci nie wypominam. Chciałem się tylko upewnić, czy pamiętasz, żeby nie prowadzić, jeśli za dużo wypijesz.

— Oczywiście, pamiętam.

— I wiesz, jakie to niemądre i jednocześnie niebezpieczne, picie alkoholu.

— A mówiłeś, że nie będziesz mi wypominał.

— Nie wypominam ci, tylko mi powiedz, że wiesz.

— Wydaje mi się, że już ci to powiedziałam.

Potrząsnął głową i nic nie odpowiedział.

— Tatusiu, nie rezygnuj ze mnie. Proszę, daj mi lanie, udowodnij, że nadal ci na mnie zależy.

— Nie żartuj sobie ze mnie — powiedział ponuro. — Pewnego dnia będziesz miała własne dziecko i sama nie będziesz wiedziała, co zrobić lub powiedzieć. Jeśli kochasz kogoś z całego serca i chcesz dla niego dobrze...

Rayford nie mógł mówić dalej. Po raz pierwszy w dorosłym życiu zaczął łkać. Nie zdarzyło mu się to nigdy podczas sporadycznych kłótni małżeńskich z Ireną. Zawsze, broniąc się, był tak zajęty wyłuszczeniem swoich racji, że nie myślał, jak bardzo mu na niej zależy. Ale wtedy naprawdę chciał powiedzieć Chloe coś, co było najbardziej sensowne, co uchroniłoby ją przed nią samą. Chciał, żeby wiedziała, jak bardzo ją kocha, a tymczasem wszystko było odwrotnie. Wyglądało na to, że ją poucza, karze, napomina, udziela reprimendy. To go załamało.

Jego uczucia wobec Chloe wyszły na jaw. Od miesięcy oddalała się od nich - swoich rodziców. Stała się ponura i chłodna, była co-

raz bardziej niezależna, sarkastyczna, wyzywająca. Wiedział, że to wpływ dorastania, że kształtuje się jej charakter jako osoby dorosłej, którą niedługo już miała się stać. Jednakże był to dla nich wszystkich bardzo przykry i trudny czas.

Zacisnął wargi i oddychał głęboko, z nadzieją że uda mu się odzyskać równowagę, nie okazując słabości. Chloe podeszła, zarzuciła mu ręce na szyję, zupełnie tak samo, jak gdy była małą dziewczynką.

— Och, tatusiu, proszę, nie płacz — powiedziała przez łzy. — Wiem, że mnie kochasz. Wiem, że troszczysz się o mnie. Nie martw się. Dostałam dobrą lekcję i obiecuję, że nie zrobię drugi raz tego samego głupstwa.

Rayford nie mógł się dłużej powstrzymać i wybuchnął płaczem, Chloe zresztą też. Byli złączeni ze sobą tak ściśle jak nigdy przedtem. Nie pamiętał, żeby po tamtym wydarzeniu musiał ją jeszcze kiedykolwiek karcić. Chloe przestała jednak chodzić do kościoła, Rayford zresztą też coraz częściej znajdował różne wymówki, żeby samemu również tam nie pójść. Zawiązała się pomiędzy nimi nić przyjaźni, a ona tymczasem dorosła i stała się zupełnie podobna do niego we wszystkim. Irena nieraz żartowała, że każde z ich dzieci ma ulubionego rodzica.

Teraz, zaledwie kilka dni po tym, jak Irena i Raymie zniknęli, Rayford miał nadzieję, że ich wzajemne relacje zacieśni się tak, że będą mogli rozmawiać ze sobą o wszystkim. Czy było coś ważniejszego od niedawnych wydarzeń? Wiedział już, co myśleli na ten temat jej zwariowani koledzy z uczelni. Czy było jeszcze coś nowego? Zawsze podziwiał ludzi z Zachodniego Wybrzeża\*, że potrafią przyjąć i przekazać najważniejsze wydarzenia w telegraficznym skrócie, gdy mieszkańcy środkowych stanów szukają wiadomości w „Chicago Tribune” czy też w „New York Timesie”.

Późnym piątkowym popołudniem Rayford razem z Chloe zdecydowali, że w końcu muszą coś zjeść, zabrali się więc za pracę w kuchni i przygotowali posiłek z warzyw i owoców. Sama jej obec-

\* Stany leżące na zachodnim wybrzeżu USA - Kalifornia, Oregon i Waszyngton.

ność i wspólna praca w kuchni dawała mu ukojenie i podnosiła na duchu. Było to jednak również bardzo bolesne, gdyż wszystko, czego się dotknął, przypominało mu Irenę. Siadając do jedzenia, automatycznie zajęli swoje miejsca po przeciwnych stronach stołu, pozostawiając obok dwa puste miejsca, co jeszcze bardziej uwidoczniło nieobecność pozostałych członków rodziny.

Rayford zauważył, że Chloe znowu spochmurniała i wiedział, że czuje to samo, co on. Nie minęło przecież aż tak wiele lat, od czasu, gdy codziennie jedli wspólnie trzy, a nawet cztery posiłki zasiadając do stołu całą rodziną. Irena siadywała z jego lewej strony, Raymie z prawej, a Chloe naprzeciwko. Pustka i cisza, wypełniająca teraz kuchnię były nie do zniesienia.

Rayford miał wilczy apetyt i właśnie skończył potężną porcję sałatki warzywnej. Chloe prawie nic nie jadła i płacząc po cichu, pochyliła głowę. Z jej oczu na kolana spadały łzy świadczące o bólu, jaki odczuwała. Ojciec wziął ją za rękę, wstała więc i usiadła mu na kolanach, kryjąc twarz na jego piersi, łkając i szlochając. Jego serce cierpiało razem z nią, przytulał i ją kołysał, aż się w końcu uspokoiła.

— Gdzie oni teraz są? — wydusiła z siebie.

— Chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę? — zapytał. — Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Oczywiście!

— Wierzę, że są w niebie.

— Och, tato! Na naszej uczelni też byli fanatycy religijni, którzy tak interpretowali to wydarzenie. Jeśli jednak tak wiele wiedzieli o religii i o Bogu, to dlaczego nie zniknęli?

— Może stracili kiedyś swoją szansę?

— Myślisz, że tak samo jest z nami? — spytała Chloe, wracając na swoje krzesło.

— Obawiam się, że tak. Nie pamiętasz, jak twoja mama mówiła wiele razy, że wierzy, iż Jezus pewnego dnia przyjdzie, by zabrać swoich prosto do nieba, zanim jeszcze umrą?

— Pewnie, że pamiętam, ale ona zawsze była bardziej religijna od nas wszystkich. Wydawało mi się, że troszkę się od nas oddalała.

— Dobrze powiedziane.

— Co?

— Wiesz, Chloe, ja też tak uważałem, że oddalała się od nas. Tak samo Raymie.

— Powiedz mi, tato, tak szczerze, chyba nie wierzysz w to, co mówisz?

— A jednak, wierzę.

— To jest równie zwariowane jak teoria o inwazji Marsjan.

Rayford poczuł się zmuszony do obrony.

— W takim razie powiedz mi, jak tłumaczysz to, co się stało?

Chloe wstała, żeby sprzątać ze stołu i odezwała się za jego plecami:

— Jeśli mam być szczerą, to muszę przyznać, że nie mam wytłumaczenia. Po prostu nie wiem, co o tym sądzić.

— Czy to znaczy, że ja nie byłem z tobą szczerzy?

Chloe odwróciła się do niego z wyrazem współczucia na twarzy.

— Nie widzisz tego, tato? Zwróciłeś się ku najprostszej możliwości. Gdybyśmy mieli głosować, na pewno wybrałabym dla mamy i brata wspólne przebywanie w niebie z Bogiem - siedzą sobie na chmurkach i grają na harfach.

— Chcesz powiedzieć, że oszukuję samego siebie?

— Tato, nie krytykuję cię. Ale musisz przyznać, że to zbyt naciągane, żeby mogło być prawdziwe.

Rayford rozzłościł się.

— Czy to, że ludzie zniknęli w okamgnieniu, pozostawiając wszystko, co mieli na sobie, to jest naciągane? Kto inny mógł tego dokonać? Gdyby to się wydarzyło lata temu, moglibyśmy oskarżać Rosjan, sądząc, że odkryli jakąś supernowoczesną technologię, śmiertelne promieniowanie, które działa tylko na ludzkie ciało i kości. Ale to już minęło, nie ma zagrożenia ze strony Rosjan, a poza tym oni też stracili mnóstwo ludzi. I jak to coś - cokolwiek by to było - w jaki sposób dokonywało wyboru, kogo zabrać, a kogo pozostawić?

— Uważasz więc, że jedynym logicznym wyjaśnieniem jest Bóg - zabrał tych, którzy do niego należeli, a pozostawił wszystkich innych?



— Tak właśnie uważam.

— Nie chcę tego słuchać!

— Chloe, nasza rodzina jest najlepszym dowodem na to, co się stało. Jeśli to, co mówię, jest prawdą, to logiczne jest, że tamtych dwoje zostało zabranych, a nas dwoje pozostawiono.

— Uważasz, że jestem aż taką grzesznicą?

— Posłuchaj, Chloe. Kim ty jesteś i ja jestem. Nie oskarżam cię. Chyba mam rację, jeśli powiem, że z pewnością utraciliśmy coś niebywale cennego. Zawsze uważałem się za chrześcijanina, ale głównie z tego powodu, że zostałem wychowany w ten sposób i nie jestem Żydem.

— A teraz chcesz powiedzieć, że nie jesteś chrześcijaninem?

— Chloe, uważam, że chrześcijanie zostali zabrani.

— No to ja też nie jestem chrześcijanką?

— Jesteś moją córką i jedynym członkiem mojej rodziny, który pozostał ze mną; kocham cię bardziej niż kogokolwiek i cokolwiek na świecie. Ale jeśli chrześcijanie zostali zabrani, a wszyscy inni pozostawieni, nie myślę, żeby ktokolwiek mógł się teraz uważać za chrześcijanina.

— Masz na myśli jakichś superchrześcijan, tak?

— W pewnym sensie tak. Mówię o prawdziwych chrześcijanach. Najwidoczniej tych, którzy zostali zabrani Bóg uznał za swoją prawdziwą własność. Jak inaczej można to wyjaśnić?

— W takim razie, z jakim Bogiem mamy do czynienia, tato? Z jakimś chorym, sadystycznym dyktatorem?

— Uważaj, co mówisz, kochanie. Myślisz, że się mylę, a co, jeśli mam rację?

— To Bóg jest zawzięty, pełen nienawiści i złości. Kto chciałby iść do nieba, do takiego Boga?

— Jeśli tam jest twoja mama i Raymie, to ja też chcę tam być.

— Ja też chcę być z nimi, tato! Ale wytłumacz mi, jak to się wszystko ma do Boga pełnego miłości i łaski? Gdy chodziłam do kościoła, nudziły mnie opowieści o tym, jaki miłosierny jest Bóg. On nigdy nie wysłuchał moich modlitw ani też nigdy nie czułam,

żeby troszczył się o mnie, czy w ogóle mnie znał. Ty mówisz, że ja jestem w porządku, że byłam dobrym człowiekiem. Ale nie On . Nie zakwalifikowałam się, więc jestem POZOSTAWIONA? Lepiej, żebyś nie miał racji, tato.

— Jeśli nie mam racji i to, co myślę, nie jest prawdą, w takim razie kto ma rację, Chloe? Gdzie oni się podziali? Gdzie są ci, którzy zniknęli?

— Widzisz? Uczepiłeś się tej teorii z niebem, bo z tym czujesz się lepiej. Za to ja czuję się z tym o wiele gorzej. Nie zgadzam się z tym. Nawet nie będę tego brała pod uwagę!

Rayford nie przeciągał rozmowy i poszedł oglądać telewizję. Liczba programów została ograniczona, ale znalazł kanał z aktualnymi wiadomościami. Uderzyło go niezwykle i ciągle powtarzane nazwisko nowego prezydenta rumuńskiego, o którym przed chwilą przeczytał w gazecie. Carpathia! Miał przybyć w sobotę na lotnisko La Guardia w Nowym Jorku, a konferencja prasowa była wyznaczona na poniedziałkowy poranek, krótko przed jego przemówieniem na walnym posiedzeniu Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych.

Tak więc lotnisko La Guardia jest otwarte. Rayford miał tam lecieć wieczornym lotem, na który wszystkie miejsca były już sprzedane. Zadzwoił do biura Pan-Continental na O'Hare.

— Cieszę się, że cię słyszę, kapitanie — powiedział kontroler lotów. — Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Czy możesz prowadzić Boeinga 757\*?

— Nie bardzo. Kiedyś częściej nimi latałem, wolę jednak 747. W tym roku nie miałem ani jednego lotu typem 757.

— Tym typem latamy na Wschodnie Wybrzeże w ten weekend. Musimy więc znaleźć kogoś innego. Ale jak najprędzej musisz znaleźć czas na przeszkolenie, żebyśmy mieli więcej swobody w doborze pilotów na wszystkie typy naszych odrzutowców.

\* Samolot trochę mniejszy, ale nowocześniejszy niż jego poprzednik, największy na świecie, Boeing 747, znany też jako jumbojet.

— Załatwione. Teraz mi powiedz, jaki jest mój grafik lotów?

— Chcesz lecieć w poniedziałek do Atlanty i z powrotem tego samego dnia?

— Jakim...

— 747.

— Brzmi super. Możesz mi powiedzieć, czy jest jeszcze jedno miejsce na ten lot?

— Dla?

— Członka rodziny.

— Poczekaj, muszę sprawdzić.

Rayford słyszał stukanie klawiszy komputera i roztargniony głos kontrolera.

— Sprawdzam, a tymczasem powiem ci, że ktoś z personelu pokładowego zwrócił się do nas z prośbą, żeby go przydzielić do twojego następnego lotu. Myślała, że będziesz leciał dzisiaj wieczorem tym okrężnym lotem do Bostonu, a potem JFK w Nowym Jorku i z powrotem.

— Kto? Hattie Durham?

— Zaraz zobaczę. Tak, to ona.

— I jest wyznaczona na lot do Bostonu i Nowego Jorku?

— Zgadza się.

— Ja natomiast nie jestem wyznaczony, więc jej prośba nie wchodzi w rachubę, tak?

— No, chyba tak. Czy masz jakieś życzenie w związku z tą sprawą?

— Nie rozumiem?

— Jestem pewien, że znowu poprosi. Czy chcesz, żeby nie dać jej do twoich najbliższych lotów?

— Chyba nie mam zastrzeżeń. Albo nie, poczekaj. Niech się dzieje, co chce.

— Nie wiem, o co ci chodzi, kapitanie.

— Chcę powiedzieć, że nie mam zastrzeżeń, jeśli zostanie przydzielona do któregoś z moich lotów w normalnym trybie. Ale nie rób żadnych specjalnych kombinacji, żeby mi ją przydzielać.

— Załatwione. Wygląda na to, że lot do Atlanty może przyjąć twojego pasażera. Podaj imię.

— Chloe Steele.

— Wprowadzę ją do pierwszej klasy, ale wiesz, że jeśli wszystkie miejsca zostaną sprzedane, będę musiał ją przenieść do tyłu.

Kiedy Rayford skończył rozmowę i odłożył słuchawkę, Chloe przysłała do niego do pokoju.

— Dzisiaj wieczorem nigdzie nie lecę — powiedział.

— To dobra czy zła nowina?

— Zrobiło mi się lżej na duszy. Chcę więcej czasu spędzić z tobą.

— Po tym, w jaki sposób z tobą rozmawiałam? Myślałam, że będziesz chciał jak najprędzej uciec ode mnie.

— Chloe, możemy szczerze porozmawiać? Jesteś moją córką, częścią mnie samego. Właściwie, nie mogę ścierpieć nawet myśli, że znowu będziemy się musieli rozstawać co jakiś czas. Mam zaplanowany lot tam i z powrotem do Atlanty na poniedziałek i jeśli nie masz nic przeciwko temu, zarezerwowałem ci miejsce w pierwszej klasie, jeśli tylko zechcesz polecieć razem ze mną.

— Oczywiście.

— Chciałbym, żebyś nigdy nie mówiła jednego.

— Czego?

— Ze nawet nie weźmiesz pod uwagę mojej teorii. Zawsze lubiłaś moje pomysły. Ale ja przecież jeszcze nie wiem wystarczająco dużo na ten temat, żeby w ogóle wdawać się w dyskusję i doprowadzić swoje rozumowanie do sensownych wniosków. Twoja mama wiele razy mówiła mi o tym. Raz nawet ostrzegała mnie, że jeśli na sto procent nie będę pewny, czy zostanę pochwycony przez Chrystusa, to nawet nie mam co o tym marzyć.

— A jednak rozpatrywałeś taką możliwość?

— Kiedyś tak. Ale to było dawno.

— No cóż, tato, ja nawet nie przyjmuję takiej możliwości. Po prostu nie mogę.

— W porządku. Ale nie mów, że nigdy nie weźmiesz tego pod uwagę.

— Powiedz mi, czy ty rozważałeś możliwość inwazji z kosmosu?

— Prawdę mówiąc, tak.

— Żartujesz.

— Rozważałem wszystkie możliwości. Skoro wychodzi to poza ludzkie możliwości rozumowania, jaką ewentualność powinniśmy wziąć pod uwagę?

— O.K., poddaję się. Ale powiedz mi, jeżeli cofnę to, co powiedziałam, co wtedy? Czy staniemy się nagle fanatykami religijnymi, zaczniemy chodzić do kościoła, i co jeszcze? Kto powiedział, że już teraz nie jest za późno? A jeśli tak, to może na zawsze już straciliśmy szansę?

— To jest to, czego koniecznie musimy się dowiedzieć, nie uważasz? Sprawdzić i zobaczyć, czy możemy jeszcze coś zrobić w tej sprawie. Jeśli tak, to powinniśmy przede wszystkim dowiedzieć się, czy nadal istnieje szansa, żeby któregoś dnia znowu być z mamą i Raymiem.

Chloe usiadła z wrażenia potrząsając głową.

— Tato. Nie mam pojęcia, co powiedzieć.

— Posłuchaj, dzwoniłem do kościoła, do którego chodziła twoja mama.

— I brat — dodała.

Powiedział jej o nagranej informacji oraz o kasecie video.

— Naprawdę mają kasetę dla tych, co pozostali? Mówisz poważnie?

— Podchodzisz do całej tej sprawy bardzo sceptycznie i na pewno brzmi to dla ciebie absurdalnie. Ale ja nie widzę żadnego innego logicznego wytłumaczenia tego zjawiska, nie mogę się doczekać, kiedy obejrzę to.

— Widzę, że jesteś w wielkiej rozpacz.

— No pewnie. A ty nie?

— Jestem przygnębiona i przerażona, ale nie aż tak zdesperowana, żebym postradała zmysły. Och, tato, przepraszam. Nie patrz tak na mnie. Nie krytykuję cię, że chcesz to sprawdzić. Pewnie, sprawdź, i mną się nie przejmuj.

— Pojedziesz ze mną?

— Raczej nie. Ale jeśli bardzo chcesz, to...

— Możesz poczekać w samochodzie.

— Nie o to chodzi. Nie boję się spotkania z kimś, z kim się nie zgadzam.

— W takim razie pojedziemy tam jutro z rana — powiedział Rayford niezadowolony z jej reakcji, chociaż był święcie przekonany, że dla swojego i jej dobra powinien sprawdzić to jak najszybciej. Nie chciał jednak przeciągać struny, żeby nie utracić córki.

## *Rozdział dziesiąty*

Cameron Williams doszedł do wniosku, że przed odlotem z Nowego Jorku nie powinien dzwonić do przyjaciela z którym on i Dirk Burton znali się dawna. Po trudnej i jakże dziwacznej rozmowie ze zwierzchnikiem Dirka Buck nie chciał ryzykować, że ktoś go podsłucha. Ostatnią rzeczą, której by chciał, to ujawnienie poufnych kontaktów w Scotland Yardzie.

Buck zabrał ze sobą obydwaj paszporty - prawdziwy i fałszywy - żeby zachować wszelkie środki bezpieczeństwa i zdołał się dostać na późny lot do Londynu z La Gardii w piątek wieczorem, z lądowaniem na Heathrow w sobotę rano. Zameldował się w hotelu Tavistock i spał do wczesnego popołudnia. Potem postanowił dowiedzieć się czegoś konkretnego o prawdziwej przyczynie śmierci Dirka.

Poszukiwania rozpoczął telefonem do Scotland Yardu i pytaniem o Alana Tompkinsa, dawnego przyjaciela, który był pracownikiem średniego szczebla operacyjnego. Byli prawie w tym samym wieku; Tompkins miał bardzo ciemne i przeważnie rozczochrane włosy.

Buck przeprowadzał z nim kiedyś wywiad na temat historii terroryzmu brytyjskiego. Dzięki temu zaprzyjaźnili się i spędzali razem z Dirkiem wspólne wieczory w londyńskich barach. Dirk, Alan i Buck zostali przyjaciółmi i zawsze gdy odwiedzał Londyn, spotykali się w trójkę. Teraz przez telefon próbował skontaktować się z nim w taki sposób, żeby Alan szybko się zorientował, że nie należy ujawniać swojej przyjaźni z nim, na wypadek gdyby jego linia była na podsłuchu, a rozmowy - nagrywane.

— Panie Tompkins, nie zna mnie pan, nazywam się Cameron Williams z „Global Weekly”. — Uprzedzając śmiech Alana z takiego przywitania, Buck szybko mówił dalej, — Jestem tu, w Londy-

nie, żeby zebrać materiały do artykułu na temat międzynarodowej konferencji monetarnej w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Głos Alana zabrzmiał dziwnie poważnie.

— W czym mogę panu pomóc, Sir? Co ma z tym wspólnego Scotland Yard? — Głos Alana zabrzmiał dziwnie poważnie.

— Mam pewien problem z odnalezieniem mojego rozmówcy i podejrzewam jakąś nieczystą grę.

— Pana rozmówcą jest?

— Burton. Dick Burton. Pracuje w londyńskiej giełdzie.

— Sprawdzę coś i za chwilę do pana zadzwonię.

Kilka minut później w pokoju hotelowym Bucka zadzwonił telefon.

— Tu Tompkins ze Scotland Yardu. Czy byłby pan tak uprzejmy i zechciał przyjechać do mojego biura?

W sobotę wcześniej rano w Mount Prospect w Illinois Rayford Steele zadzwonił do kancelarii kościoła pod wezwaniem Nowej Nadziei. Tym razem jakiś mężczyzna podniósł słuchawkę. Rayford przedstawił się jako mąż byłej członkini jednej ze wspólnot parafialnych.

— Znam pana — powiedział mężczyzna. — Spotkaliśmy się kiedyś. Nazywam się Bruce Barnes.

— O tak, pamiętam. Dzień dobry.

— Przypuszczam, iż o żonie jako byłej parafiance chce mi pan powiedzieć, że jej nie ma już między nami, tak?

— Zgadza się, a także naszego syna.

— O ile dobrze pamiętam, miał na imię Ray junior?

— Tak.

— Zdaje się, że miał pan też starszą córkę, która jednak nie chodziła do kościoła?

— Chloe.



— A co z nią, jeśli wolno zapytać?

— Jest ze mną. Chciałem się dowiedzieć, co teraz zrobicie w kościele, kiedy tak wiele osób zniknęło, czy nadal będziecie odprawiali nabożeństwa i w ogóle. Wiem z nagrania na automatycznej sekretarce, że będą nabożeństwa w niedziele i że oferujecie kasetę video z nagraniem dla tych, co pozostali.

— Widzę, że wie pan właściwie wszystko, panie Steele. Prawie wszyscy członkowie oraz inne osoby regularnie uczęszczające do naszego kościoła zniknęły. Jestem jedynym członkiem rady parafialnej, który został. Poprosiłem kilka kobiet, żeby mi pomogły w kancelarii. Nie mam pojęcia, ilu ludzi pojawi się na niedzielnym nabożeństwie, ale z przyjemnością spotkam się z panem, jeśli pan zechce.

— Jestem bardzo zainteresowany obejrzeniem tej kasety.

— Z przyjemnością podaruję ją panu. Będę o tym rozmawiał w niedzielny poranek z tymi, co pozostali.

— Nawet nie wiem, jak o to poprosić ani jak się do pana zwracać, panie Barnes.

— Proszę mi mówić Bruce.

— Dobrze, Bruce. Będiesz nauczał czy wygłaszał kazanie, czy coś w tym rodzaju?

— Będę rozmawiał. Pokażę tę kasetę video wszystkim, którzy jeszcze o tym nie słyszeli, żeby mogli się dowiedzieć i potem będziemy rozmawiali.

— Ale przecież... jak to się stało, że też nie zniknąłeś?

— Panie Steele, można to wytłumaczyć tylko w jeden sposób i chętnie porozmawiam o tym, ale osobiście, nie przez telefon. Czy moglibyśmy się spotkać, kiedy przyjedzie pan po kasetę?

Rayford powiedział, że zjawi się po południu i być może przyjedzie z Chloe.

Alan Tompkins czekał już w hallu Scotland Yardu. Kiedy Buck przyjechał, urzędowo uściśnął mu dłoń i poprowadził do swojego

samochodu, którym pośpiesznie odjechali do zacisznego baru kilka kilometrów dalej.

— Nie rozmawiajmy, dopóki się tam nie znajdziemy — powiedział Alan, bez przerwy zerkając w lusterka samochodu. — Muszę się skoncentrować.

Buck nigdy jeszcze nie widział przyjaciela tak rozdrażnionego i co tu mówić, wystraszonego.

Zamówili po półlitrowej butelce ciemnego angielskiego piwa i usiedli przy stoliku w rogu sali, gdzie panował półmrok. Alan nawet nie tknął swojej szklanicy. Buck, który od czasu lotu nie miał nic w ustach, zamienił swój już opróżniony kufel na pełny Alana i szybko wypił. Gdy znów pojawiła się kelnerka,, Buck zamówił kanpkę. Alan odmówił drugiej porcji piwa, a Buck, znając swój limit, zamówił tym razem colę.

— Wiem, że to będzie jak dolewanie oliwy do ognia — zaczął w końcu Alan — ale muszę ci powiedzieć, że to jest szyte grubymi nićmi i radzę ci się trzymać od tego z daleka.

— No pewnie, już doprowadziłeś mnie do wrzenia — powiedział Buck. — Powiedz, co się dzieje?

— No cóż, oficjalnie podano, że to było samobójstwo, ale...

— ...ty i ja wiemy, że to jest nonsens. Czy są jakieś dowody? Byłeś na miejscu śmierci?

— Tak. Leżał z pistoletem w dłoni, kula przeszła przez skroń. Nie zostawił żadnego listu.

— Czy czegoś brakowało?

— Nie było żadnych śladów włamania, napadu ani czegoś w tym rodzaju. Ale, Cameron, przecież wiesz, o co chodzi.

— Nie mam pojęcia!

— Nie opowiadaj. Obaj wiemy, że Dirk był zwolennikiem teorii spiskowej, zawsze węszył przy powiązaniach Todd-Cothraha z międzynarodowym systemem monetarnym i rolę, jaką odegrał podczas konferencji, wprowadzając trójwalutowe rozliczenia w handlu światowym, a nawet próbował wniknąć w jego ściślejsze powiązania z waszym potentatem finansowym, Stonagalem.

— Alan, przecież o tym można przeczytać w książkach, a nie-  
długo to wszystko będzie w podręcznikach szkolnych. Na litość bo-  
ską, chłopie, ludzie mają bzika na różnym punkcie, począwszy od  
zbierania złośliwych informacji o Komisji Trójstronnej, Oświeco-  
nych, a nawet o organizacjach masońskich. Dirk doszukiwał się, że  
Todd-Cothhran razem ze Stonagalem należeli do czegoś, co nazy-  
wał Radą Dziesięciu, Radą Mędrców, czy coś w tym rodzaju. No  
i co z tego, nawet gdyby byli w tych radach? Czy ktoś im zabroni?

— Ale kiedy masz pracownika znacznie niższego rangą, który  
próbuje ingerować w twoje kontakty, wtedy pojawiają się kłopoty.

Buck westchnął.

— Powinien zostać wezwany na dywanik, a może nawet wyrzu-  
cony z pracy. Ale powiedz mi, jak to możliwe, żeby z takiego powo-  
du został zabity czy zmuszony do popełnienia samobójstwa?

— Powiem ci coś, Cameron — Alan zniżył głos. — Z całą pew-  
nością wiem, że został zamordowany.

— Ja też mam takie przeczucie, gdyż wiedziałbym wcześniej,  
gdyby Dirk miał myśli samobójcze.

— Próbują to wyjaśniać żalem i rozpaczą po utracie najbliższych  
w związku ze zniknięciami. Ale to bez sensu. O ile wiem, nie stracił  
nikogo z najbliższych, poza tym był kawalerem, więc za kim miał  
niby tak rozpaczać?

— Ale ty wiesz, że został zamordowany? Bardzo mocne słowa  
jak na oficera śledczego.

— Mówię tak, nie dlatego, że jestem śledczym, ale dlatego, że  
go znałem.

— To się tak nie da — powiedział Buck. — Ja też mogę powie-  
dzieć, że go znałem i kto jak kto, ale Dirk na pewno nie miał myśli  
samobójczych. Jest to jednak tylko przypuszczenie.

— Cameron, gdyby Dirk nie był naszym przyjacielem, nie wie-  
dzielibyśmy tego. Powiedz, z czego często żartowaliśmy, kiedy by-  
liśmy razem?

— Z wielu rzeczy. Bo co?

— Nieraz śmialiśmy się z niego, że jest klaunem, pamiętasz?

— Tak, ale co to ma do *rzeczy!*

— Gdyby i teraz był z nami, powiedz, gdzie by siedział?

Nagle Bucka olśniło, do czego zmierza Alan.

— Usiadłby po naszej lewej stronie. Śmiałyśmy się, że jest klau-  
nem, bo był leworęczny!

— Kula przeszła przez prawą skroń, a pistolet, z którego niby się  
zastrzelił znaleziono w jego prawej ręce.

— A co na to twoi przełożeni, kiedy im powiedziałaś, że był  
leworęczny i to nie żadne samobójstwo, tylko morderstwo?

— Jesteś pierwszą osobą, której to mówię.

— Alan! Co chcesz przez to powiedzieć?

— To, że kocham moją rodzinę. Nadal żyją moi rodzice i mam  
starszego brata i siostrę, a także była żoną, na której ciągle mi zale-  
ży. Nie odważyłbym się jej zranić i z całą pewnością nie chciałbym,  
żeby ktokolwiek ją zranił.

— Czego ty się boisz?

— Boję się kogoś, kto stoi za zabójstwem Dirka.

— Chłopie, przecież ty masz za sobą cały potężny Scotland Yard!  
Jesteś oficerem z wykształceniem prawniczym i pozwolisz, żeby to  
ci tak umknęło? Na dodatek Dirk był twoim przyjacielem!

— Zrób z tym coś, a zobaczysz, że ciebie też za chwilę nie bę-  
dzie.

Buck pomachał barmance i poprosił o chipsy. Przyniosła mu stos  
ociekańcych tłuszczem płatków. Akurat tego domagał się jego żo-  
łądek. Piwo już działało, a kanapka nie wystarczyła, by zaspokoić  
głód. Poczul lekki szum w głowie i spodziewał się, że długo nie bę-  
dzie musiał nic jeść.

— Słucham — wyszeptał. — Co chcesz przez to powiedzieć?  
Kto chciałby cię dostać?

— Uwierz mi, na pewno ci się to nie spodoba.

— Nie mam powodu ci nie wierzyć, a szczerze mówiąc, już te-  
raz nie podoba mi się to, co mówisz. Ale wal śmiało, o co chodzi.

— Śmierć Dirka została upozorowana jako samobójstwo i tak to  
zostało podane do wiadomości publicznej. Miejsce zgonu zostało

oczyszczone z wszelkich śladów, a ciało prawie natychmiast spalono. Zwróciłem się o autopsję i zostałem wyśmiany. Mój dowódca, kapitan Sullivan, spytał, po co mi autopsja, co chcę znaleźć, co zamierzam udowodnić. Powiedziałem, że może znajdę jakieś ślady walki, obrażenia na ciele. Zapytał wtedy, czy myślę, że to ma jakiś sens, iż samobójca walczy sam ze sobą, zanim się zastrzeli. Zachowałem więc to dla siebie.

— Ale dlaczego?

— Coś mi tu śmierdzi.

— A jeśli opiszę całą tę historię w międzynarodowym czasopiśmie, wskazując na wiele rozbieżności? Może posunęłoby to sprawę do przodu?

— Nakazano mi, żebym ci przekazał, że masz wracać do domu i jak najprędzej zapomnieć o tym samobójstwie.

Buck pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Przecież nikt nie wiedział, że przyjeżdżam.

— Też tak myślę, ale ktoś się domyślał, że możesz tu przyjechać. Wcale się nie dziwiłem, gdy do mnie zadzwoniłeś.

— A czemu w ogóle miałbyś się dziwić? Mój najlepszy przyjaciel nie żyje, rzekomo odbierając sobie życie. Czegoś takiego nie można ot tak po prostu zignorować.

— Teraz jednak będziesz musiał to zrobić.

— Myślisz, że stchórzę tak jak ty?

— Cameron, dobrze mnie znasz, więc czemu tak do mnie mówisz?

— Zastanawiam się, czy w ogóle cię znam! Zawsze uważałem, że myślimy to samo. Powiedz, Alan, co się stało? Przecież obaj szukaliśmy prawdy, byliśmy nieprzejednanymi rzecznikami sprawiedliwości. Ja jestem dziennikarzem, ty pracujesz w służbach dochodzeniowych. Byliśmy sceptykami, to prawda. Ale dlaczego ta sprawa wymyka się sprawiedliwości, tym bardziej że chodzi o naszego przyjaciela?

— Czy ty mnie w ogóle słuchałeś? Powiedziałem ci, że mi nakazano, gdybyś się tu pojawił, żebym za wszelką cenę powstrzymał cię od angażowania się w tę sprawę.

- No to dlaczego kazałeś mi przyjechać do twojego biura?
- Miałbym kłopoty, gdybym cię tak po prostu zignorował.
- Kłopoty? Jakie?
- Miałem nadzieję, że o to nie zapytasz. Odwiedził mnie ktoś, jakiś ciemny typ.
- Straszyl cię?
- Tak. Powiedział, że jeśli nie chcę, żeby to, co spotkało mojego przyjaciela, przydarzyło się mnie albo komuś z mojej rodziny, mam zrobić to, co mi każe. Bałem się, że to ten sam, który zamordował Dirka.
- Najprawdopodobniej tak. Dlaczego nie zgłosiłeś tego przelozonym?
- Miałem taki zamiar. Próbowałem na własną rękę. Następnego dnia pojechałem na giełdę i poprosiłem o spotkanie z panem Todd-Cothranem.
- Z samym najważniejszym?
- Właśnie. Oczywiście, nie miałem wyznaczonego spotkania, ale nalegałem, twierdząc, że to sprawa, w którą jest zaangażowany Scotland Yard, i pozwolił mi wejść. Jego biuro jest imponujące. Wszystko w mahoniu, w oknach ciemnozielone kotary. Od razu przeszedłem do sprawy. Powiedziałem mu: *Sir, podejrzewam, że pański pracownik został zamordowany.* Tak spokojnie jak tylko możesz sobie wyobrazić, odpowiedział: *Powiem ci cos', detektywie, następnym razem, gdy ktoś' będzie chciał cię odwiedzić o dziesiątej w nocy, tak jak to zdarzyło się wczoraj wieczorem, pozdrów go ode mnie, dobrze?*
- No i co powiedziałaś?
- Co miałem powiedzieć? Odebrało mi mowę] Patrzyłem na niego i z niedowierzaniem kiwnąłem głową. *Pozwól, że powiem ci coś jeszcze,* powiedział: *Powiedz swojemu przyjacielowi Williamsowi, żeby się trzymał z dala od tej sprawy.* Udałem zdziwionego i spytałem: *Williamsowi?* tak jakbym pierwszy raz słyszał twoje nazwisko. Zignorował to, bo oczywiście dobrze wiedział, że się przyjaźnimy.
- Ktoś przesłuchiwał pocztę głosową Dirka.

— Bez wątpienia. I dodał jeszcze: *Jes'li ci nie uwierzy, powiedz mu, że jestem tak samo stronniczy, jak on wobec ojca i Jeffa. To chyba twój brat, tak?*

Buck przytaknął.

— No to zostałeś porządnie ostrzeżony.

— Co miałem zrobić? Próbowałem grać ważniaka i powiedziałem: *Mogę mieć podłuch. Skąd pan wie, że nie nagrywam tej rozmowy?* Ze stoickim spokojem i pewnością siebie odpowiedział mi: *Wykrywacz metali natychmiast by to ujawnił. Mam dobrą pamięć, nie dałem za wygraną. Mogę wyjawić, że próbował mnie pan zastraszyć, powiedziałem mu. Na to odparł: Tylko się narazisz, detektywie. Kto ci uwierzy, gdy powiesz coś złego o mnie? Nawet Marianne ci nie uwierzy - oczywiście może nie czuć się na tyle dobrze, żeby w ogóle mogła coś zrozumieć.*

— Marianne? — spytał Buck.

— To moja siostra. Ale to jeszcze nie jest nawet połowa naszej rozmowy. Ostatnim gwoździem do trumny był telefon do mojego szefa. Przez głośno mówiący aparat powiedział: *Sullivan, gdyby któryś z twoich ludzi przyszedł do mojego biura i molestował mnie o cokolwiek, co mam z nim zrobić?* Wyobraź sobie, że Sullivan, jeden z moich idoli, mówił jak małe dziecko. Powiedział: *Panie Todd-Cothran, niech pan zrobi, cokolwiek uważa pan za stosowne.* Wtedy Todd-Cothran powiedział: *A gdybym go zastrzelił tam, gdzie siedzi?* Sullivan na to: *Proszę pana, jestem pewien, że byłoby to uzasadnione zabójstwo.* Teraz posłuchaj tego. Todd-Cothran mówi prosto przez telefon do Scotland Yardu, gdzie jak wiesz, każda rozmowa jest nagrywana i on też doskonale zdaje sobie z tego sprawę: *A co, gdyby ten ktoś nazywał się Alan Tompkins?* Powiedział to bardzo wyraźnie, ze szczególnym naciskiem na moje nazwisko. Sullivan odparł: *Wówczas przyjechałbym do pańskiego biura i osobiście zacydował, co zrobić ze zwłokami.* Miałem dość.

— Nie miałeś się więc do kogo zwrócić?

— Absolutnie nikt nie przychodził mi na myśl.

— Teraz ja powinienem tak po prostu podwinąć ogon i uciec?

Alan przytaknął.

— Mam zawiadomić Todd-Cothrana, że przekazałem ci jego życzenie. Spodziewa się, że najbliższym samolotem wrócisz do siebie.

— A co, jeśli tego nie zrobię?

— Nie mogę niczego gwarantować, ale na twoim miejscu bym nie ryzykował.

Buck przesunął talerze na bok i odsunął krzesło do tyłu.

— Alan, chyba nie znasz mnie jednak na tyle, żeby wiedzieć, iż nie jestem człowiekiem, który puści w niepamięć całą tę sprawę.

— Tego właśnie się obawiałem. Ja też taki jestem, ale co mam zrobić? Do kogo mam się zwrócić? Myślisz, że jest ktoś, komu można zaufać. Nawet jeśli tak, to co ten ktoś mógłby zrobić? Jeśli jest prawdą, że Dirk zabrnął za daleko w tajemnicze powiązania Todd-Cothrana, to gdzie się to wszystko kończy? Czy dotyczy to również twojego rodaka, Stonagala? A inni w tym międzynarodowym klubie finansistów? Czy brałeś pod uwagę, że wkrótce ta mała grupa ludzi może mieć na własność wszystkich ludzi? Kiedy byłem chłopcem, czytałem historie o gangsterach Chicago - kupowali policjantów, sędziów, a nawet polityków. Nikt nie mógł ich tknąć.

— Z wyjątkiem tych, których nie dało się kupić. — Przytaknął Buck.

— Nietykalnych?

— To byli moi bohaterzy — powiedział Buck.

— Moi też — odrzekł Alan. — Właśnie dlatego jestem w służbie śledczej. Ale jeśli Scotland Yard ma brudne ręce, to dokąd mam pójść?

Buck oparł brodę na dłoniach.

v — Myślisz, że nas namierza? Ktoś za nami jechał?

— Co chwilę sprawdzałem drogę i nie wydaje mi się, żeby ktoś nas śledził.

— Nikt nie wie, gdzie teraz jesteśmy?

— Już ci mówiłem, że co chwilę sprawdzałem drogę za sobą. Według mnie jesteśmy tu bezpieczni. Co zamierzasz zrobić, Cameron?

— Jak z tego widać, niewiele mogę zdziałać. Może dobrze byłoby wyjechać pod innym nazwiskiem tak, żeby ktoś, kto się mną



interesuje, odniósł wrażenie, że jestem uparty i zostaje na miejscu?

— Po co to wszystko?

— Alan, ja też się boję, ale patrzę na to z trochę innego punktu widzenia. Być może znajdę w końcu kogoś, kto będzie w stanie mi pomóc. Nie znam tak dobrze twojego kraju, żeby wiedzieć, komu tu mógłbym zaufać. Oczywiście ufam tobie, ale ty nie możesz już nic więcej zrobić w tej sprawie.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że jestem słaby, Cameron? Czy według ciebie mam jakiś wybór?

Buck pokręcił głową.

— Nie chciałbym być w twojej skórze — powiedział. — Trudno powiedzieć, co bym zrobił na twoim miejscu.

Barmanka chodziła od stolika do stolika, pytając o coś gości. Kiedy się do nich zbliżyła, uciszyli się, żeby dosłyszeć w gwarze głosów, o co chodzi.

— Czy któryś z panów jest właścicielem zielonego samochodu? Ktoś mówił, że świeci się w nim światło.

— To mój samochód — powiedział Alan. — Nie przypominam sobie, żebym włączył światło.

— Ja też nie — powiedział Buck — i przecież było widno, gdy tu jechaliśmy. Może było włączone cały czas, tylko tego nie zauważyliśmy.

— Pójdę wyłączyć. Mój stary akumulator może tego nie wytrzymać.

— Uważaj — powiedział Buck. — Zwróć uwagę, czy ktoś nie majstrował przy samochodzie.

— Niemożliwe. Pamiętasz, że zaparkowaliśmy z przodu, tuż pod oknami?

Buck wyciągnął się na krześle, odprowadzając Alana wzrokiem, gdy szedł w kierunku drzwi. Z pewnością światło w samochodzie powinno być widoczne z baru. Alan obszedł samochód dokoła, otworzył drzwi od strony kierowcy i sięgnął ręką do środka, wyłączając światelko. Gdy wrócił, powiedział do Bucka:

— Jestem za bardzo roztargniony. Następnym razem zostawię włączone główne reflektory.

Buckowi zrobiło się żal przyjaciela. Wyobraził sobie jego straszne położenie: pracował w wymarzonym miejscu, i odkrył nagle, że jego przełożeni są na usługach maszyny potężniejszej od międzynarodowych gangów.

— Zadzwoń na lotnisko, by się dowiedzieć, czy jest jakiś samolot jeszcze dziś wieczorem.

— Nic o tej porze nie lata w twoją stronę — powiedział Alan.

— Znajdę jakiś lot do Frankfurtu, a jutro rano wrócę do Nowego Jorku. Chyba nie powinienem ryzykować mojego szczęśliwego jak dotąd losu.

— Tam, przy drzwiach, jest aparat telefoniczny. Zapłacę dziewczynie w barze za połączenie.

— Bardzo proszę — powiedział Buck, kładąc na stole pięćdziesiąt euro.

Buck stał przy telefonie, dzwoniąc na lotnisko, podczas gdy Alan płacił barmance. Było wolne miejsce na lot do Frankfurtu za czterdzieści pięć minut, co pozwalało zdążyć na lot do Nowego Jorku w niedzielę rano.

— O, lotnisko Kennedy'ego jest już otwarte? — zdziwił się.

— Dopiero godzinę temu — poinformowała go kobieta obsługująca linię. — Loty są nadal ograniczone, ale pana linie Pan-Continental lecą z Niemiec jutro rano. Ile miejsc mam zarezerwować?

— Tylko jedno.

— Nazwisko?

Buck szybko sięgnął ręką do portfela, bo nie pamiętał nazwiska w fałszywym paszporcie.

— Przepraszam, może pani powtórzyć? — powiedział, grając na zwłokę, gdy podchodził do niego Alan.

— Proszę podać swoje nazwisko.

— Ach tak, przepraszam, Oreskowicz. Jerzy Oreskowicz.

Alan pokazał na migi, że będzie czekał w samochodzie. Buck skinął głową.

— W porządku, Sir — powiedziała kobieta. — Ma pan zarezerwowany lot do Frankfurtu dzisiaj wieczorem z kontynuacją do JFK w Nowym Jorku jutro rano. Czy życzy pan sobie czegoś jeszcze?

— Nie, dziękuję.

Kiedy Buck odwieszał słuchawkę, potężna eksplozja wbiła do baru frontowe drzwi razem z zawiasami, a oślepiający blask i gigantyczny huk rzuciły gości na podłogę. Buck patrzył z przerażeniem na płonącą karoserię i stopione koła służbowego samochodu Scotland Yardu używanego przez Alana Tompkinsa. Szyby rozprysnęły się w promieniu kilkudziesięciu metrów po ulicy i parkingu. Słychać już było syreny pogotowia. Fragmenty ciała Alana leżały rozszarpane na chodniku.

Podczas gdy klienci baru wybiegali ze środka, by się przyjrzeć płonącemu wrakowi, Buck rozpychał się łokciami, torując sobie drogę do zniszczonego samochodu. Wyciągnął z portfela swój prawdziwy paszport wraz z identyfikatorem i w ogólnym zamieszaniu podrzucił dokumenty obok tego, co pozostało z samochodu, w nadziei że nie spalą się całkowicie, ale tylko tyle, żeby mogły być zidentyfikowane. Ktokolwiek chciał, żeby był martwy, musi uwierzyć, że zginął razem z przyjacielem. Prześliznął się w tłumie gapiów do pustego teraz baru i pobiegł na zaplecze. Nie było tam jednak drzwi awaryjnych, tylko małe okienko. Podciągnął się na łokciach i przecisnął z trudem. Po chwili był już na wąskiej ścieżce pomiędzy budynkami. Rozdarł ubranie, gdy w pośpiechu pędził do następnej ruchliwej przecznicy. Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

— Hotel Tavistock — powiedział do kierowcy.

Kilka minut później, kiedy taksówka dojeżdżała do hotelu, zobaczył kawalkadę wozów policyjnych blokujących ruch.

— Jedź prosto na lotnisko — powiedział. Pamiętał, że w hotelu zostawił laptop razem z innymi rzeczami, ale nie miał wyboru. Co prawda wcześniej przesłał pocztą elektroniczną większość najcenniejszych informacji, ale teraz oni mogą uzyskać dostęp do danych.

— Jest pan pewien, Sir, że nic nie potrzebuje z hotelu? — spytał taksówkarz.

— Nie, nic. Mam się z kimś spotkać na lotnisku.

— W takim razie jedziemy, Sir.

Coraz więcej wozów policyjnych podążało razem z nimi w kierunku lotniska.

— Nie wiesz może, gdzie mógłbym kupić sobie taki kapelusz, jak twój? — spytał Buck kierowcy, płacąc mu za przejazd.

— Taki stary? Nie radzę szukać, Sir, bo w sklepie takiego już pan nie dostanie. W domu mam więcej, więc jeśli pan chce, proszę wziąć go ode mnie na pamiątkę z Londynu.

— Mówisz poważnie? — zapytał Buck wciskając mu do ręki banknot o dużym nominale.

— To jest o wiele więcej, niż jest wart mój kapelusz, Sir, ale serdeczne dzięki. — Kierowca ściągnął oficjalny znaczek londyńskiego przedsiębiorstwa taksówkowego i podał kapelusz Buckowi.

Buck wcisnął go na głowę choć był o wiele za duży. Kapelusz, zatrzymał się mu na uszach. Buck pośpieszył w kierunku terminalu. Zapłacił gotówką za bilety na nazwisko Jerzego Oreskowicza, Polaka z obywatelstwem angielskim, rzekomo lecącego przez Frankfurt na wakacje do Stanów. Był już w powietrzu, gdy władze zorientowały się, że zniknął.

## *Rozdział jedenasty*

Rayford czuł zadowolenie, że w sobotę razem z Chloe wyrwą się z domu po tak bolesnych dla nich przejściach. Był radosny, że zgodziła się pojechać z nim do kościoła.

Chloe snuła się sennie przez cały dzień. Wspomniała coś o przerwaniu studiów na uniwersytecie przynajmniej na jeden semestr i podjęciu nauki w jakimś lokalnym college'u. Spodobał mu się ten pomysł. Nie chciał jej teraz utracić. Nagle uświadomił sobie, że i ona myśli o nim tak samo. Bardzo go to poruszyło.

Podczas krótkiej jazdy rozmawiali o tym, że w poniedziałek, po powrocie z Atlanty, będą jechali z lotniska oddzielnie, dwoma samochodami tak, żeby Rayford mógł zabrać swoje auto. Uśmiechnęła się.

— Widzę, że odkąd skończyłam dwadzieścia lat, zacząłeś mnie poważnie traktować.

— Rzeczywiście, czasami traktuję cię jak małą dziewczynkę — zauważył.

— Ale nie ostatnio — odparła. — Chociaż muszę przyznać, że nieraz próbujesz.

— Wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

— Nie sądzę — powiedziała. — Ale zgadnij.

— Chcesz powiedzieć, że traktuję cię jak małą dziewczynkę, bo pozwałam ci mieć własne zdanie, ale nie pozwałam ci go wypowiedać, tak?

— Tego nie trzeba nawet mówić, to bardzo wyraźnie widać. Ale nie masz racji. Chciałam powiedzieć, że mógłbyś dać mi do zrozumienia, iż traktujesz mnie już jako odpowiedzialną, dorosłą osobę i pozwolisz mi prowadzić twój samochód w poniedziałek z lotniska do domu.

— Tylko tyle? — zdziwił się Rayford, zmieniając nagle głos na dziecięcy. — Czy przez to będziesz się czuła jak dorosła dziewczyna? „W porządku tato, dam sobie radę.”

Roześmiała się dając mu kuskańca w bok, ale szybko spoważniała.

— To zdumiewające, że tak łatwo rozśmieszyć mnie w tych dniach. A przecież czuję się tak okropnie.

Rayford udał, że nie dosłyszał tej uwagi i skręcił w wąską alejkę dojazdową, a po chwili ich oczom ukazał się niewielki budynek kościelny.

— Nie bierz tego sobie za bardzo do serca, co powiedziałam, tato. Chyba nie muszę z tobą iść, co?

— Nie, nie musisz, ale chciałbym, żebyś poszła.

Zacisnęła usta i potrząsnęła głową, ale gdy zaparkował i wychodził z samochodu, poszła za nim.

Bruce Barnes był niski i gruby, miał kręcone włosy i druciane okulary. Był w roboczym ubraniu, Rayford ocenił go na nie więcej niż trzydzieści parę lat. Wyłonił się z głównej sali z rurą odkurzacza w ręku.

— Przepraszam — powiedział. — Domyślam się, że to pan i panna Steele. Przejąłem wszystkie obowiązki, z wyjątkiem tego, co robi Loretta.

— Dzień dobry — odezwała się starsza kobieta za plecami Rayforda i Chloe. Stała, z przymrużonymi oczami w drzwiach wejściowych do kancelarii parafialnej, a w pomiętym ubraniu wyglądała tak, jakby właśnie wróciła z wojny. Po przywitaniu się i przedstawieniu wróciła do swoich zajęć.

— Loretta układa na jutro program spotkania — oznajmił Barnes. — Dzisiaj nie wiemy nawet, ilu ludzi pojawi się w kościele. Czy wy będziecie?

— Nie jesteśmy jeszcze pewni — odpowiedział Rayford. — Ja chyba przyjdę.

Obaj jednocześnie spojrzeli na Chloe. Uśmiechnęła się nieznacznie.

— Na mnie nie liczcie — powiedziała.

— No cóż, mam dla was obiecaną kasetę — przypomniał Barnes. — Chciałbym jednak spędzić z wami jeszcze kilka minut, jeśli to jest możliwe.

— Ja mam czas — powiedział Rayford.

— A ja jestem z nim — odparła Chloe z rezygnacją.

Barnes zaprowadził ich do biura proboszcza.

— Nie siadam przy jego biurku ani nie korzystam z jego biblioteki — powiedział młody człowiek — ale pracuję w jego biurze przy stole konferencyjnym. Nie wiem, co dalej będzie się działo ze mną i z całym kościołem, jednak z całą pewnością nie chcę zostać odebrany jako zarozumiały, czy arogancki. Nie potrafię sobie wyobrazić, że Bóg mógłby powołać mnie teraz do kontynuowania Jego pracy, ale jeśli tak się stanie, chcę być gotowy.

— A jak On cię powoła? — spytała Chloe z uśmiechem, w kąciku ust. — Przez telefon?

W pierwszej chwili Barnes nie zareagował na tę uszczypliwą uwa-

**gc-**

— Prawdę mówiąc, wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby tak się stało. Nie wiem, jak to jest u was, ale w ostatnim tygodniu Bóg skupił moją uwagę na Swojej Osobie. Rozmowa telefoniczna z niebem byłaby mniejszym wstrząsem niż to, przez co wszyscy przechodzimy.

Chloe podniosła brwi, najwyraźniej poddając się z braku argumentów.

— Ludzie, wiecie, że Loretta i ja czujemy zupełnie to samo? Jesteśmy zszokowani i kompletnie rozbici, gdyż dokładnie wiemy, co się stało.

— Raczej wam się zdaje, że wiecie — wtrąciła Chloe. Rayford próbował uchwycić jej wzrok, żeby zasygnalizować, by się nie wtrącała, ale świadomie tego unikała. — W telewizji całego kraju podają wszelkie możliwe teorie, próbujące wyjaśnić to zadziwiające zjawisko.

— Wiem — odrzekł Barnes.

— Każda z nich jest podawana jako jedyna, prawdziwa — ciągnęła dalej Chloe. — Brukowce uważają, że była to sprawka kosmitów, co ma niby potwierdzać ich historie nie z tej ziemi opisywane od lat. Rząd natomiast twierdzi, że kryje się za tym wróg, co pozwoli mu zwrócić się do społeczeństwa o dodatkowe fundusze na zakup najnowocześniejszego uzbrojenia. Ty mówisz, że stoi za tym Bóg, dzięki czemu będziesz chciał odbudowywać tę wspólnotę.

Bruce Barnes aż usiadł i spoglądał to na Chloe, to na Rayforda. — Chcę cię o coś prosić — zwrócił się do niej po chwili, gdy wreszcie doszedł do siebie. — Czy pozwolisz, żebym w wielkim skrócie opowiedział wam swoją historię i nie będziesz wtrącała się i robiła uszczypliwych uwag chyba, że czegoś rzeczywiście nie będziesz rozumiała?

Chloe wpatrywała się w niego wytrzeszczonymi oczami i nie odpowiadała.

— Nie chcę być nieuprzejmy, ale proszę, żebyś nie wyciągała pochopnych wniosków. Proszę cię tylko o to, żebyś poświęciła mi kilka minut. Jeśli się zgodzisz, obiecuję, że zrobię z nich właściwy użytek i nie będę was zanudzał. A potem zostawię was samych i nie będę się narzucał. Z tym, co wam powiem, zrobicie to, co uznacie za słuszne. Możecie mi powiedzieć, że zwariowałem, albo że jestem egoistą. Możecie sobie pójść i już nigdy nie wrócić tu. To zależy od was. Czy zatem możecie poświęcić mi kilka minut?

Rayford uważał, że Barnes zagrał to wyśmienicie. Usadził Chloe, nie pozostawiając jej pola manewru. Ledwo zauważalnym ruchem ręki pomachała na znak przyzwolenia, za co Bruce podziękował jej uprzejmie i zaczął.

— Czy mogę mówić wam po imieniu?

Rayford przytaknął głową. Chloe nie zareagowała.

— Ray, tak? I Chloe, jeśli się nie mylę, prawda? Siedzę tu przed wami jako człowiek złamany. A Loretta? Jeśli ktokolwiek ma prawo czuć się tak źle jak ja, to właśnie ona. Jest jedyną osobą, która pozostała z całej wielkiej rodziny. Miała sześcioro rodzeństwa i nie wiem ilu bliższych i dalszych krewnych. W tamtym roku odbywał



się ślub w ich rodzinie i z całą pewnością miała przynajmniej stu różnych krewnych. Teraz wszyscy co do jednego zostali zabrani, oprócz niej nie pozostał nikt.

— To straszne — zainteresowała się Chloe. — Chyba słyszałeś, że my straciliśmy mamę i mojego małego brata. Och, przepraszam, miałam nic nie mówić.

— Nic nie szkodzi — odrzekł Barnes. — Ja jestem w podobnie beznadziejnej sytuacji jak Loretta, tylko na trochę mniejszą skalę. Oczywiście ma to dla mnie ogromne znaczenie. A teraz pozwólcie, że opowiem wam moją historię.

Nie starał się omijać pozornie nieszkodliwych szczegółów, a jego głos brzmiał coraz ciszej, aż w końcu mówił prawie szeptem.

— Położyłem się spać razem z moją żoną. Ona już zasnęła, a ja jeszcze coś czytałem. Dzieci spały już od kilku godzin. Były jeszcze małe, najstarsza córeczka miała pięć lat, a średni chłopcy - trzy lata i roczek. Jak zwykle coś czytałem, podczas gdy żona dawno już spała. Była bardzo zmęczona - wychowywała dzieci i pracowała na pół etatu, więc często zasypiała już o dziewiątej wieczorem.

Czytałem jakieś sportowe czasopismo, starając się przewracać strony bezszelestnie, ale i tak za każdym razem, kiedy odwracałem stronę, głośno wzdychała, jakby za chwilę miała się przebudzić. Raz nawet spytała, jak długo jeszcze zamierzam tak siedzieć. Wiedziałem, że powinienem pójść do innego pokoju albo po prostu zgasić światło i spróbować zasnąć. Zamiast tego powiedziałem: „jeszcze chwilkę”, mając nadzieję, że znowu szybko zaśnie, dzięki czemu będę mógł spokojnie przejrzeć cały magazyn. Po oddechu mogłem poznać, czy śpi na tyle głęboko, że światło nie będzie jej przeszkadzało. Po chwili słyszałem jej równy, głęboki oddech.

Byłem zadowolony. Miałem zamiar czytać pismo do północy. Delikatnie odwróciłem się na łokciu plecami do niej, zasłaniając światło poduszką. Nie wiem, jak długo jeszcze czytałem. Nagle poczułem, że łóżko się poruszyło i domyśliłem się, że wstała do łazienki. Miałem tylko nadzieję, że nie obudziło jej moje światło i że kiedy wróci, nie będzie się na mnie złościć, że ciągle czytam. Moja żona była niewyso-

ka i mało ważyła, więc nie zdziwiło mnie, że nie słyszałem, jak szła do toalety. Ale, jak już powiedziałem, pochłaniała mnie lektura.

Po chwili zawołałem: Kochanie, czy wszystko w porządku? ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Może mi się tylko zdawało, a ona wcale nie wstała z łóżka. Wyciągnąłem rękę za siebie, lecz jej tam nie było, zawołałem więc raz jeszcze. Gdy znowu nie usłyszałem odpowiedzi, pomyślałem, że być może poszła zajrzeć do dzieci, co mnie zdziwiło, bo choć sypiała bardzo czujnie, zwykle nie wstawiała do nich, jeśli nie działo się coś specjalnego.

Minęła kolejna minuta lub dwie, zanim się odwróciłem i zauważyłem, że nie tylko wyszła z łóżka, ale nawet starannie przykryła narzutą miejsce, na którym leżała. Możecie sobie wyobrazić, co pomyślałem. Byłem przekonany, że musiała być tak zła z mojego powodu, iż nie mogąc dłużej doczekać się zgaszenia światła, po prostu poszła spać w salonie na kanapie. Uważałem się raczej za dobrego męża, wstałem więc i poszedłem, żeby ją przeprosić i przyprowadzić z powrotem do łóżka.

Jednak nie było jej na kanapie. Ani w łazience. Wsadziłem głowę do pokoiów dzieci i szeptem wołałem, myśląc, że może jest w którymś z nich. Nic. Cisza. Światła w całym domu były pogaszone, z wyjątkiem naszej sypialni. Nie chciałem budzić dzieci, wołając ją głośno, zapaliłem więc światło na korytarzu, by jeszcze raz sprawdzić, czy nie ma jej w którymś pokoju.

Wstydzę się przyznać, ale do tamtej chwili nie miałem najmniejszego pojęcia, co się stało. Powtórnie wszedłem do sypialni dzieci, ale ich też nie było w łóżkach. W pierwszej chwili pomyślałem, że poszły do pokoju naszego najmłodszego synka, żeby spać na podłodze, jak to czasami robiły. Potem pomyślałem, że żona wzięła je po coś do kuchni. Prawdę mówiąc, zaczęło mnie to drażnić, że nie wiem, co się dzieje w moim domu w środku nocy.

Kiedy stwierdziłem, że również naszego niemowlaka nie ma w łóżeczku, zapaliłem górne światło i zacząłem głośno wołać żonę. Ale nie odpowiadała. Nagle zauważyłem kolorowe śpiochy malucha i wtedy mnie olśniło. Świadomość tego, co się stało, uderzyła mnie jak

grom z jasnego nieba. Biegałem z pokoju do pokoju, odsłaniając kołdry i narzuty i znajdowałem tylko piżamy po moich dzieciach. Wstrzymywałem się długo, ale w końcu odsłoniłem także narzutę z miejsca, gdzie leżała żona, i znalazłem jej nocną koszulę, obrączkę, a nawet lokówki leżące oddzielnie na poduszce.

Rayford z całych sił powstrzymywał łzy napływające do oczu, przypominając sobie, co sam niedawno przeżywał. Barnes westchnął głęboko i wytarł oczy.

— Pomimo późnej pory zadzwoniłem do kilku znajomych w okolicy — powiedział. — Zacząłem od proboszcza, ale oczywiście odezwała się tylko automatyczna sekretarka. U innych było to samo, złapałem więc spis parafian i zacząłem wydzwaniać, począwszy od starszych osób, ludzi, o których myślałem, że raczej nie będą mieli automatycznej sekretarki. Ich telefony dzwoniły i dzwoniły, aż w końcu centrala mnie rozłączyła.

Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że prawdopodobnie nikogo nie znajdę. Z jakiegoś powodu wybiegłem z domu, wskoczyłem do samochodu i popędziłem prosto do kościoła. Loretta była już tutaj, cała zapłakana siedziała w samochodzie w szlafroku i z lokówkami we włosach. Weszliśmy do kaplicy i siedliśmy przy donicach z kwiatami, płacząc i obejmując się, współczując sobie nawzajem. Oboje doskonale wiedzieliśmy, co się wydarzyło. W ciągu niecałej pół godziny dołączyło do nas kilka innych osób. Wszyscy współczuliśmy sobie, zastanawiając się, co powinniśmy zrobić w tej sytuacji. Nagle ktoś przypomniał sobie kasetę video z nagraniem przekazem naszego proboszcza dotyczącym Pochwycenia Kościoła.

— Przekazem czego? — wtrąciła Chloe.

— Nasz proboszcz uwielbiał głosić kazania na temat powtórnego przyjścia Chrystusa i zabrania do nieba w jednej chwili zarówno żywych, jak i umarłych wierzących, zanim nastąpi na ziemi okres ucisku. Głosił te kazania od kilku lat.

Rayford zwrócił się do Chloe.

— Pamiętasz, mama nieraz o tym mówiła. Była tym bardzo podniekszycowana.

— O tak, przypominam sobie.

— No więc — kontynuował Barnes — nasz proboszcz nagrał kazanie na ten temat tutaj, w tym biurze, zwracając się bezpośrednio do ludzi, którzy nie zostali pochwyceni, lecz pozostali na ziemi. Następnie umieścił kasetę w kościelnej bibliotece, powiadamiając wiernych o nagraniu i o tym, co należy zrobić, w przypadku gdyby się okazało, że nagle większość członków kościoła zniknęła. Wszyscy, którzy przyszliśmy tamtej nocy do kościoła, obejrzelśmy tę kasetę kilka minut później. Niektórzy chcieli sprzeczać się z Bogiem i próbowali nam wmówić, że byli naprawdę dobrymi chrześcijanami, bo uważali, że też powinni być pochwyceni z innymi. Wszyscy jednak wiedzieliśmy, że udają. Wszyscy udawali. Nie było wśród nas nikogo, kto by nie wiedział, co oznacza być prawdziwym chrześcijaninem. Wiedzieliśmy, że nie jesteśmy nimi i właśnie dlatego nas pozostawiono .

Rayford zmagał się z pytaniem, które go nurtowało, ale nie chciał sprawiać przykrości Bruce'owi. W końcu jednak zapytał.

— Bruce, z tego, co wiem, byłeś w radzie kościelnej.

— Zgadza się.

— Dlaczego więc nie zostałeś zabrany?

— Zaraz ci odpowiem, Ray, gdyż teraz już nie mam nic do ukrycia. Sam się tego wstydzę i jak przedtem nie odczuwałem chęci dzielenia się z innymi Dobrą Nowiną o Chrystusie, tak teraz jestem zdecydowany opowiadać o Nim każdemu, kogo napotkam. Czuję się okropnie, że dopiero największa katastrofa w dziejach świata zmusiła mnie do tego. Zostałem przecież wychowany w religijnej rodzinie. Moi rodzice i rodzeństwo byli praktykującymi chrześcijanami.

Uwielbiałem chodzić do kościoła. To było całe moje życie, moja kultura. Myślałem, że wierzę we wszystko, co objawia Biblia. Pismo Święte uczy, że jeśli polegasz całkowicie na Chrystusie, masz życie wieczne, uważałem więc, że jestem w porządku.

Szczególnie lubiłem czytać te fragmenty, które mówiły, że On jest Bogiem przebaczącym. Byłem grzesznikiem i nigdy się nie zmieniłem. Potrzebowałem ciągle i na nowo przebaczenia, gdyż jak

myślałem, Bóg sam się do tego zobowiązał. I to prawda. Jest fragment w Biblii, który mówi, że jeśli wyznajemy nasze grzechy, wierny i sprawiedliwy Bóg odpuści je nam i oczyści nas z nieprawości. Znałem inne fragmenty mówiące o tym, że musisz uwierzyć i z wiarą przyjąć przebaczenie oraz żyć zgodnie z wolą Bożą, ale dla mnie była to tylko czcza gadanina. Chciałem dojść do celu najprostszą drogą, w najłatwiejszy sposób. Znałem też inne miejsca, które mówiły, że skoro Bóg okazał nam swoją łaskę, nie możemy dłużej trwać w grzechu.

Myślałem, że wszystko w moim życiu doskonale się układa. Poszedłem nawet do szkoły biblijnej. W kościele i w szkole zachowywałem się poprawnie, nawet się publicznie modliłem, i zachęcałem ludzi, żeby prowadzili pobożne życie. Nadal jednak miałem straszną świadomość, że tkwię w grzechu. Nie kryłem się z tym co prawda. Mówiłem ludziom, że nie jestem doskonały, ale wszystkie moje grzechy zostały przebaczone.

— Moja żona tak mówiła — powiedział Rayford.

— Różnica polega na tym — stwierdził Bruce — że ona była szczerą. A ja kłamałem. Mówiłem swojej żonie, że oddajemy dziesięcinę do kościoła, wiesz, co mam na myśli, dziesięć procent przychodów. Prawda była taka, że dawałem zaledwie skromną część z tego, co było moją powinnością chyba, że nie udało mi się ominąć tacy - wtedy wrzucałem kilka banknotów tak, żeby wszyscy widzieli i żeby dobrze wypadł w oczach innych ludzi. Wyznawałem to Bogu, w czasie modlitwy obiecując, że następnym razem postąpię tak, jak powinienem.

Zachęcałem ludzi, żeby dzielili się z innymi wiarą w Chrystusa, żeby mówili innym, co zrobić, by stać się chrześcijaninem. Sam natomiast nigdy tego nie robiłem. Moim codziennym obowiązkiem było odwiedzanie ludzi w domach, szpitalach i domach opieki społecznej. Byłem w tym dobry. Rozmawiałem i żartowałem z nimi, zachęcałem ich, modliłem się z nimi i nawet czytałem fragmenty z Pisma Świętego. Ale robiłem to tylko z poczucia obowiązku, nigdy z własnej potrzeby.

Byłem leniwy. Gdy myślano, że jestem u kogoś z wizytą, mogłem być akurat w kinie w sąsiednim mieście. Byłem też lubieżny, pełen pożądliwości, zmysłowy. Czytałem pewne rzeczy, o których wiem, że nie powinienem ich nawet dotykać, przeglądałem różne pisma, karmiąc swoje pożądanie.

Rayford drgnął. To, co usłyszał, mocno go poruszyło.

— Wewnątrz mnie toczyła się straszna bitwa — ciągnął Barnes — i nie potrafiłem z tym skończyć. Głęboko, w środku, na dnie mojej duszy wiedziałem, co jest prawdą. Zdawałem sobie sprawę, że prawdziwego chrześcijanina rozpoznaje się po owocu życia, a ja nie wydawałem takiego owocu. Ale pocieszałem się myślą, że są inni, gorsi ode mnie, którzy też zwą się chrześcijanami.

Nie byłem gwałcicielem i chociaż nikogo nie wykorzystywałem seksualnie, czułem się jednak niewierny wobec swojej żony z powodu pożądliwych myśli. Ale za każdym razem mogłem się wyświadczyć i wyznać to, co złego zrobiłem i znowu czułem się czysty. To było dla mnie bardzo oczywiste. Kiedy zostałem powołany do rady parafii Nowej Nadziei, mogłem godzinami opowiadać ludziom o fajnym proboszczu i superwspólnocie, ale wstydziłem się mówić im o Chrystusie. Jeżeli już doszło do tego, że pytali, czy Nowa Nadzieja jest jedną z tych parafii, w których naucza się, że Jezus jest jedyną drogą do Boga, wtedy robiłem wszystko, żeby to potwierdzić. Chciałem, żeby myśleli, że jestem w porządku, że jestem jednym z tych, którzy mocno stoją za kościołem. Mogłem być chrześcijaninem, nawet gorliwym parafianinem, za żadną cenę nie chciałem być zaliczony do dziwaków. Co to, to nie!

Teraz widzę bardzo wyraźnie, że z jednej strony Bóg jest Bogiem przebaczącym grzechy, dlatego, że jesteśmy ludźmi upadłymi i potrzebujemy przebaczenia. Ale przyjmując Jego dar przebaczenia, mamy poddać się Chrystusowi i pozwolić Mu żyć w nas. Nadużywałem tego, co jak myślałem, było dla mnie pewnego rodzaju gwarancją bezpieczeństwa i wykorzystywałem to, by zaspokoić moje brudne, grzeszne myśli. Ogólnie mówiąc, żyłem w grzechu, jednocześnie udając pobożnego. Miałem wspaniałą rodzinę i wymarzoną pracę, a po-

mimo to czułem się ohydnie; jednak gdzieś w głębi ducha nadal wierzyłem, że kiedy umrę, będę mógł pójść do nieba.

Prawie w ogóle nie czytałem Biblii chyba, że przygotowywałem się do lekcji albo nauczania. Nie byłem *myśli Chrystusowej*. Słowo *chrześcijanin*, jak mi się wydawało, oznaczało *chrystusowiec*, lub *być jak Chrystus*. Z pewnością taki nie byłem i odkryłem to w najtragiczniejszy możliwy sposób.

Pozwólcie, że wyraźnie powiem wam obojgu, że macie wolną wolę. W końcu chodzi o wasze życie. Ale wiem, tak jak Loretta i kilka innych osób z naszej parafii, którzy udawali, igrając na krawędzi życia, co się wydarzyło kilka dni temu. Jezus powrócił, żeby zabrać tych, którzy są gotowi, a wszyscy inni zostali pozostawieni.

Bruce spojrzał Chloe w oczy.

— Nie ma żadnej wątpliwości co do tego, że byliśmy świadkami Pochwycenia Kościoła. Kiedy dotarło do mnie, co się naprawdę wydarzyło, najbardziej obawiałem się, że nie ma już dla mnie nadziei. Udawałem chrześcijanina, bawiłem się w chrześcijaństwo, stworzyłem własną wizję chrześcijaństwa, która pozwalała mi żyć, jak chciałem, ale kosztowała mnie duszę. Wiedziałem, że straciłem szansę. Pamiętam, jak mówiono, że gdy Chrystus przyjdzie po swoich, Duch Boży także zostanie zabrany z ziemi. Logiczne było, że gdy po zmartwychwstaniu Jezus poszedł do nieba, Bóg posłał Ducha Świętego, żeby przebywał między wierzącymi. Teraz więc, kiedy zostali pochwyceni, razem z nimi został zabrany także Duch Święty i nie ma już nadziei dla tych, którzy pozostali. Nie możecie sobie wyobrazić, jakiej ulgi doznaliśmy, kiedy z kasety naszego proboszcza dowiedzieliśmy się, że jest inaczej.

Uświadomiliśmy sobie, jakimi byliśmy głupcami. Ci z nas tutaj, w tej wspólnocie - przynajmniej ci, którzy przyjechali w noc pochwycenia - są teraz gorliwi jak nigdy przedtem. Nikt z tych, którzy tutaj przyszli, nie chciał odejść, dopóki nie dowiedział się dokładnie, w co ma wierzyć i co czynić, aby odzyskać osobisty związek z Bogiem.

Chloe wstała i spacerowała po pokoju z rękami na piersiach.

— To bardzo interesująca historia — odezwała się. — A jak było z Loretą? Jak to się stało, że nie została zabrana z innymi, skoro cała jej wielka rodzina to prawdziwi chrześcijanie?

— Musisz ją poprosić, żeby sama ci o tym opowiedziała — powiedział Bruce. — Ale wyznała mi, że pycha i fałszywy wstyd trzymały ją z dala od Chrystusa. Urodziła się jako kolejne dziecko w wielodzietnej, bardzo religijnej rodzinie i dopiero jako nastolatka zaczęła poważnie myśleć o swojej relacji z Bogiem. Przez wiele lat po prostu ulegała rodzinnej tradycji, że wszystkimi chodziła do kościoła i brała udział w kościelnych uroczystościach. Kiedy dorosła, wyszła za męża, urodziła dzieci, potem została babcią i chciała, żeby wszyscy myśleli, że jest duchowym gigantem. Tutaj, w kościele, była uwielbiana, wszyscy za nią przepadali. Tylko, że nigdy osobiście nie oddała swojego życia Chrystusowi.

— Wynika z tego — wtrąciła Chloe — że oddanie swojej woli Chrystusowi, powierzenie Mu swego życia, albo przyzwolenie na to, żeby żył w tobie, to, o czym mówiła moja mama, może doprowadzić do zbawienia duszy?

— Zbawić od grzechu, piekła i sądu.

— W innym przypadku nie jesteśmy w ogóle zbawieni? ;

— Zgadza się.

— I ty naprawdę w to wierzysz?

— Tak.

— Musisz przyznać, że to bardzo fantastyczna teoria.

— Nie dla mnie. Kiedyś tak, ale nie teraz.

Rayford, przyzwyczajony do dokładności i porządku, zapytał:

— W takim razie, co zrobię, żeby być zbawionym? Co zrobiła moja żona? Co sprawiło, że była lepszą chrześcijanką albo no, co...

— Doprowadziło do jej zbawienia? — odpowiedział Bruce.

— No właśnie. Tego chcę się dokładnie dowiedzieć. Jeśli masz rację, to jak już powiedziałem, Chloe, musimy się dowiedzieć czy, i jak to działa. W jaki sposób człowiek przechodzi z jednego stanu do drugiego? Najwidoczniej nie zostaliśmy zaliczeni do zbawionych i dlatego zostaliśmy pozostawieni, a teraz musimy żyć bez naszych



najbliższych, którzy byli prawdziwymi chrześcijanami. W takim razie, co robić, żeby stać się takimi właśnie prawdziwymi chrześcijanami?

— Zamierzam wam to pokazać — powiedział Bruce. — Mam nadzieję, że weźmiecie kasetę do domu. A jutro rano, o dziesiątej, będę mówił w kościele szczegółowo do wszystkich, którzy pojawiają się na spotkaniu. Planuję, że będę mówił o tym także w następną niedzielę, i w następną, i tak długo, jak będzie konieczne. Jednego jestem pewien, że ze wszystkich ważnych tematów, to zagadnienie jest teraz najważniejsze.

Chloe stała oparta o ścianę, z założonymi rękami, wpatrując się w niego i słuchając, co mówił, a Bruce zwrócił się do Rayforda.

— To naprawdę proste. Bóg sprawił, że każdy człowiek ma do tej łaski łatwy dostęp. Jest to Jego ponadnaturalne suwerenne działanie, ale też możemy sobie wybrać inną drogę tak, jak ja próbowałem. Jednak jeśli szukamy prawdy i postępujemy według niej, Bóg nigdy nie odbierze nam zbawienia.

Po pierwsze musimy widzieć siebie tak, jak Bóg nas widzi. Biblia mówi, że wszyscy ludzie są grzeszni, nikt nie jest sprawiedliwy. Stwierdza też, że nikt nie może sam siebie zbawić. Wielu myśli, że mogą sobie zapracować na zbawienie, spełniając dobre uczynki, ale to chyba najbardziej błędne rozumienie zbawienia. Spytaj kogokolwiek na ulicy, co Biblia albo kościół mówią na temat dostania się do nieba, a dziewięć z dziesięciu osób powie ci, że trzeba dobrze postępować albo żyć zgodnie z określonymi zasadami.

Naturalnie powinniśmy tak żyć i postępować, ale nie od tego zależy nasze zbawienie. Takie życie i postępowanie ma być wynikiem zbawienia. Biblia naucza, że nie przez uczynki czy swoją sprawiedliwość jesteśmy zbawieni, ale tylko dzięki miłosierdziu Bożemu. Powiedziane jest także w Piśmie Świętym, że łaską jesteśmy zbawieni przez wiarę w Chrystusa, ale to pochodzi nie od nas, więc nie możemy w naszych dobrych uczynkach pokładać nadziei.

Jezus wziął na siebie wszystkie nasze grzechy i sam za nie zapłacił, żebyśmy byli wolni od winy. Zapłatą była śmierć i On umarł zamiast

nas dlatego, że tak bardzo nas ukochał. Kiedy wyznajemy Chrystusowi, że zgubiliśmy się grzesząc i przyjmujemy Jego drogę okupioną dar zbawienia, wtedy On rzeczywiście nas zbawia. Zostaje dopełniona jakby transakcja. Przechodzimy z ciemności do światłości; byliśmy zgubieni - teraz zostaliśmy odnalezieni, dostąpiliśmy zbawienia. Biblia mówi, że tym, którzy Go przyjęli, dał prawo stania się dziećmi Bożymi. Kiedy stajemy się nimi, otrzymujemy to, co miał Jezus: bezpośredni związek z Bogiem, życie wieczne, a ponieważ Jezus zapłacił już nasz dług, wszystkie grzechy są nam przebaczone.

Rayford siedział zaszokowany. Rzucił na Chloe ukradkowe spojrzenie. Też wyglądała na porażoną, ale nie było widać po niej sprzeciwu. Rayford czuł, że znalazł dokładnie to, czego szukał. To było to, o co podejrzewał swoją żonę i przez lata słuchał o tym kawałek po kawałku, ale nigdy nie udało mu się złożyć wszystkiego w całość. Wbrew sobie samemu zachował pewną rezerwę, chciał przemyśleć to jeszcze raz na osobności, obejrzeć i posłuchać kasetę video i podyskutować z Chloe.

— Chcę was o coś zapytać — powiedział Bruce — coś, o co nigdy przedtem nie śmiałem nikogo pytać. Chciałbym wiedzieć, czy jesteście gotowi przyjąć teraz Chrystusa. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł pomodlić się z wami i być waszym przewodnikiem w rozmowie z Bogiem.

— Nie — odpowiedziała Chloe zdecydowanie, szybko spoglądając na ojca, jakby bała się, że zrobi coś głupiego.

— Nie? — zdziwił się Bruce. — Potrzebujesz więcej czasu?

— Na pewno — odparła Chloe. — Z pewnością nie jest to decyzja, którą można podejmować pochopnie.

— No to pozwól, że coś ci powiem. Jest to tak ważna decyzja, że dzisiaj ogromnie żałuję, iż wcześniej nie zająłem właściwego stanowiska wobec tego przekazu. Wierzę, że Bóg przebaczył mi i że nadal mam zadanie do wypełnienia tutaj, na ziemi. Ale nie mam pojęcia, jak dalej potoczą się wydarzenia, gdy już prawdziwi chrześcijanie zostali zabrani. Na pewno wolałbym dojść do tego przekonania kilka lat wcześniej, a nie teraz, kiedy jest prawie za późno. Chyba

rozumiecie, że wolałbym być teraz razem z rodziną w niebie niż pozostawiony tutaj.

— Ale kto wtedy powiedziałby nam o tym? — wtrącił Rayford.

— O, jestem wdzięczny za taką możliwość — szepnął Bruce.  
— Wiele mnie to kosztowało.

— Doskonale cię rozumiem, Bruce — powiedział Rayford. Czuł na sobie przenikliwy wzrok Bruce'a, jakby ten młody człowiek wiedział, że Rayford jest bliski podjęcia decyzji. Nigdy jednak nie robił niczego pochopnie. Nie podchodził do tego jak do interesu, potrzebował czasu na przemyślenie, ochłonięcie z wrażeń, których było co niemiara. Miał umysł analityczny i na razie wszystko mu się zgadzało; ani trochę nie wątpił w teorię Bruce'a wyjaśniającą zniknięcia, nie chciał jednak działać pod wpływem impulsu. — Jestem wdzięczny za kasetę i zapewniam cię, że jutro przyjdę.

Bruce spojrział na Chloe.

— Nie mogę ci powiedzieć tego samego — powiedziała — ale też dziękuję za czas, jaki nam poświęciłeś, i obiecuję, że obejrzę kasetę.

— To wszystko, o co mogę was prosić — ucieszył się. — Ale pozwólcie, że na koniec przypomnę jeszcze tylko, że sytuacja nagli. Być może słyszeliście już, jak ja słyszałem... a może nie. Muszę wam przypomnieć, że nie ma gwarancji ani żadnej pewności co do waszej przyszłości. Już nie zostaniecie zabrani, jak wasi najbliżsi kilka dni temu. Jednak muszę was ostrzec, że codziennie ludzie giną w wypadkach samochodowych, katastrofach lotniczych - oh, przepraszam, zapomniałem, że jesteś pilotem i to na pewno znakomitym - oraz w innych tragediach. Nie będę was popychał do zrobienia kroku, na który nie jesteście gotowi, chcę jedynie zachęcić, żebyście nie odkładali tego na później, gdy Bóg teraz was przekonuje, że to, co słyszeliście, jest prawdą. Czy może być coś tragiczniejszego, niż śmierć bez Boga tylko wskutek ociągania się?

## *Rozdział dwunasty*

Buck wpisał się na listę gości w hotelu Hilton na lotnisku we Frankfurcie pod fałszywym nazwiskiem, pamiętając, że musi zadzwonić do Stanów, zanim jego rodzina i koledzy dowiedzą się, że jest martwy. Zaczął od znalezienia telefonu w głównym hallu hotelu i wykręcił numer ojca w Arizonie. Z powodu różnicy czasu było tam teraz wczesne, sobotnie popołudnie.

— Nie denerwuj się, tato, ale niebawem usłyszysz, że zginąłem w jakimś zamachu bombowym czy ataku terrorystycznym lub jeszcze w czymś innym, w Londynie.

— Co, u diabła się dzieje, Cameron?

— Nie mogę ci teraz powiedzieć, tato. Chcę tylko, żebyś się nie martwił i wiedział, że nic mi się nie stało. Dzwonię zza oceanu, ale raczej nie powiem ci skąd. Przyjadę jutro, ale na jakiś czas muszę się gdzieś ukryć.

— Nabożeństwo żałobne za twoją szwagierkę, bratanicę i bratanka ma się odbyć jutro wieczorem — powiedział pan Williams.

— O, nie! Tato, nie mogę się tam teraz pokazać. Bardzo mi przykro. Przekaż Jeffowi, że ogromnie mu współczuję.

— Powiedz, czy musisz się bawić w to ukrywanie? Czy i za ciebie mamy wkrótce odprawić nabożeństwo żałobne?

— Nie. Niedługo będę udawał umarłego. Gdy ludzie w „Global Weekly” dowiedzą się, że żyję, tajemnica się wyda.

— A czy będziesz bezpieczny gdy ten, kto myśli, że cię zabił, dowie się, że żyjesz?

— Prawdopodobnie nie, tato, ale musimy już kończyć. Powiedz Jeffowi o mnie, dobrze?

— Tak, powiem. Uważaj na siebie.

Buck poszedł do innego aparatu i zatelefonował do „Global Weekly”. Zmienionym głosem poprosił recepcjonistkę, żeby połączyła go z pocztą głosową Steve'a Pianka.

— Steve, wiesz, kto mówi. Nie zwracaj uwagi na to, co usłyszysz o mnie w ciągu najbliższej doby. Zapewniam cię, że żyję i mam się dobrze. Zadzwoń jutro, żeby się umówić. Niech inni na razie wierzą w to, co usłyszą. Muszę przez jakiś czas zostać w ukryciu, aż znajdę kogoś, kto naprawdę będzie mógł mi pomóc. Niedługo zadzwonię. Trzymaj się, Steve.

Podczas jazdy do domu Chloe milczała. Rayford zaś walczył z nieodpartą chęcią porozmawiania z córką o tym, co przed chwilą usłyszeli. Nie leżało to w jego naturze, ale miał takie samo uczucie niezwykłości sytuacji i konieczności szybkiej decyzji, co Bruce Barnes. Mimo to chciał, jak zwykle na zimno ocenić sytuację, jeszcze raz wszystko przeanalizować na chłodno. Chciał też dokładniej się zastanowić i modlić się, żeby zyskać pewność. Tylko, czy w ogóle jest coś pewnego? Czy może być pewny, że zmierza we właściwym kierunku? Czy można się jeszcze upewnić?

Co zrobił wychowując i kształtując Chloe, że jest taka ostrożna, tak bardzo obojętna, że może patrzeć tylko na czubek swojego nosa i przebierać niespokojnie nogami, słysząc coś, co dla niego jest takie oczywiste? Był pewien, że znalazł prawdę i że Bruce ma rację. Za wszelką cenę muszą coś z tym zrobić, zanim będzie za późno.

Wiadomości zapełniały relacje o przestępstwach i kradzieżach. Gwałtownie wzrosła ilość zabójstw i pobić. Kobiety gwałcono i zabijano. Drogi były niebezpieczne jak nigdy przedtem. Z powodu nagłego zniknięcia wielu specjalistów niewiele było wozów ochrony cywilnej, liczba kontrolerów ruchu powietrznego i naziemnego także drastycznie spadła, co powodowało ogromne korki na lotniskach; było też znacznie mniej wykwalifikowanych pilotów, którzy mogliby obsługiwać wielkie samoloty cywilne.

Wiele osób odkopywało groby najbliższych, sprawdzając, czy nadal są tam ich szczątki; inni natomiast, udając, że to robią, bez skrupułów wykradali wartościowe przedmioty, z którymi pochowano bogaczy. W ciągu jednej nocy świat stanął na głowie, stając się po prostu ohydny i Rayford zaczynał się obawiać o bezpieczeństwo swoje i Chloe. Nie chciał zwlekać z obejrzeniem kasety i podjęciem decyzji, którą tak naprawdę podjął już wcześniej.

— Czy możemy obejrzeć ją razem? — zaproponował.

— Raczej nie, tato. Już widzę, do czego zmierzasz i jeszcze się z tym czuję nieswojo. To bardzo intymna sprawa, nie grupowa czy rodzinna.

— Tego nie byłbym taki pewien.

— Proszę, nie nalegaj. Zrobisz, jak uważasz, ale jeśli o mnie chodzi, nie nadeszła jeszcze pora.

— Przecież wiesz, że zależy mi na tobie, bo bardzo cię kocham i dlatego martwię się o ciebie, prawda?

— Naturalnie!

— Obiecujesz obejrzeć kasetę przed jutrzejszym nabożeństwem?

— Ach, tato, proszę! Jeśli nadal będziesz nalegał, może się zdarzyć, że całkiem się zamknę. Nawet nie wiem, czy w ogóle pojedę jutro do kościoła. Już dzisiaj słyszałam to, o czym będzie mówił jutro.

— A jeśli na jutrzejszym nabożeństwie zdecyduję się zostać chrześcijaninem? Bardzo chciałbym, żebyś była ze mną w takiej chwili. Chloe popatrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

— No nie wiem, tato. To nie jest koniec szkoły ani nic w tym rodzaju.

— A może właśnie jest. Czuję się tak, jakby twoja mama i brat otrzymali promocję, podczas gdy ja oblałem.

— I to jeszcze jak strasznie!

— Poważnie. Oni zakwalifikowali się do nieba, a ja nie!

— Nie chciałabym teraz o tym rozmawiać.

— W porządku, ale pozwól, że powiem ci jeszcze tylko jedno. Jeśli nie masz zamiaru pójść ze mną jutro do kościoła, to przynaj-

mniej obejrzyj tę kasetę, gdy mnie nie będzie w domu dobrze? Możesz to dla mnie zrobić?

— Och, ja...

— Dlatego, że naprawdę zależy mi na tym, żebyś się ustosunkowała do całej tej sprawy jeszcze przed naszym lotem do Atlanty w poniedziałek. W tej chwili podróżowanie samolotami stało się niebezpieczne i nie wiesz, co się może zdarzyć.

— Tato, co z tobą?! Przez całe życie słyszę, jak przekonujesz wszystkich dookoła o bezpieczeństwie podróżowania samolotami. Za każdym razem, kiedy jakiś samolot się rozbijał i ktoś pytał, czy nie boisz się latać, odbijałeś pałeczkę, przytaczając statystyki, wskazujące, że latanie samolotem jest znacznie bezpieczniejsze niż jazda samochodem. A teraz mi mówisz, że to nieprawda?

Rayford poddał się. Mógł porządkować własne życie i modlić się za córkę, ale najwyraźniej nie było mu dane przyprowadzić jej do Boga.

W sobotę wieczorem Chloe poszła wcześniej spać, a Rayford usiadł przed telewizorem i włączył kasetę.

— Dzień dobry — usłyszał przyjemny głos proboszcza, którego wcześniej spotkał kilka razy. Przemawiając teraz, siedział na brzegu stołu w tym samym biurze, w którym Rayford był zaledwie kilka godzin temu. — Nazywam się Vernon Billings i jestem proboszczem kościoła pod wezwaniem Nowej Nadziei w Mount Prospect w stanie Illinois. Mogę sobie wyobrazić przerażenie i rozpacz malujące się na twojej twarzy, gdyż kaseta ta została przeznaczona do obejrzenia dopiero po zabraniu z ziemi wszystkich ludzi wierzących.

To, że ją oglądasz, wskazuje, iż zostałeś pozostawiony. Bez wątpienia ogarnia cię zdumienie, prawdopodobnie jesteś zaszokowany, może się boisz i w głębi ducha jesteś załamany. Proszę cię, żebyś przyjął to, co mam ci do przekazania, jako pewną wskazówkę, jak żyć w okresie po Pochwyceniu Kościoła przez Chrystusa. Tak właśnie nazywamy to wydarzenie, które miało miejsce. Wszystkie znane ci osoby, o których wiedziałeś, że wierzą w zbawienie przez Chrystusa, zostały przez Niego zabrane do nieba.

Pozwól, że wskażę ci miejsca w Biblii, to jest Piśmie Świętym, które wyraźnie przepowiadają to, co się wydarzyło. Może teraz nie potrzebujesz dowodów, bo osobiście przeżyłeś najbardziej tragiczne wydarzenie w dziejach ludzkości. Muszę ci jednak powiedzieć, że ta kasetka została nagrana, zanim nastąpiło Pochwycenie i jestem pewien, że sam w tym czasie również zostanę zabrany. Może zapytasz: Skąd ten proboszcz wiedział? Odpowiedź jest zapisana w pierwszym Liście Św. Pawła Apostoła do Koryntian, rozdział 5, wiersze od 5 do 57.

Wersety biblijne zaczęły się przesuwać po ekranie. Rayford przycisnął pauzę i pobiegł do sypialni po Biblię Ireny. Znalezienie Listu do Koryntian zajęło mu trochę czasu i chociaż w jej księdze niektóre słowa były inne niż na ekranie, to jednak ogólne znaczenie było to samo.

Proboszcz kontynuował.

— Pozwól, że przeczytam, co wielki misjonarz i ewangelista, św. Paweł Apostoł napisał do chrześcijan Kościoła w Koryncie: *Oto ogłaszam wam tajemnicę: Nie wszyscy pomrzemy, lecz wszyscy będziemy odmienieni. W jednym momencie, w mgnieniu oka, na dźwięk ostatniej trąby - zabrzmi bowiem trąba - umarli powstaną nienaruszeni, a my będziemy odmienieni. Trzeba, ażeby to, co niszczyjące, przyodziało się w niezniszczalność, a to, co śmiertelne, przyodziało się w nieśmiertelność. A kiedy już to, co niszczyjące, przyodzieje się w niezniszczalność, a to, co śmiertelne, przyodzieje się w nieśmiertelność, wtedy sprawdzą się słowa, które zostały napisane: Zwycięstwo pochłonęło śmierć. Gdzież jest, o śmierci twoje zwycięstwo? Gdzież jest, o śmierci, twój oścień? Ościeniem zaś śmierci jest grzech, a siłą grzechu Prawo. Bogu niech będą dzięki za to, że dał nam odnieść zwycięstwo przez Pana naszego Jezusa Chrystusa.*

Rayford był skonsternowany. Mógł zrozumieć część tekstu, ale reszta była dla niego całkowicie niepojęta. Oglądał więc taśmę dalej.

Proboszcz Billings ciągnął: —Pozwól, że sparafrazuję nieco przeczytany fragment Pisma Świętego tak, żebyś mógł go dokładnie zro-



zumieć. Kiedy św. Paweł mówił, że nie wszyscy zaśniemy, miał na myśli, że nie wszyscy umrzemy. Mówi też, że nasze zepsute ciała muszą być przemienione w doskonałe, które będą trwałe całą wieczność. Kiedy to się wydarzy, to znaczy, kiedy chrześcijanie, którzy już dawno umarli i zostali pochowani, jak i żyjący, otrzymają nieśmiertelne ciała, wtedy, wiedz, nastąpiło Pochwycenie Kościoła.

Każdy kto uwierzył i zaakceptował ofiarę śmierci, pogrzebanie oraz zmartwychwstanie Chrystusa, oczekuje teraz Jego przyjścia i Pochwycenia do nieba. Gdy oglądasz tę kasetę, wszyscy, o których wcześniej wspomniałem, zobaczyli już i doświadczyli wypełnienia obietnicy Chrystusa, który powiedział: .. *przyjdę znowu i wezmę was do siebie, żebyście, gdzie ja jestem i ury byli.*

Wierzę, że wszyscy ci ludzie zostali dosłownie zabrani z ziemi, zostawiając wszystko, co materialne. Jeśli usłyszałeś, że miliony ludzi zniknęły nagle z ziemi, że zniknęły także niemowlęta i małe dzieci, możesz być pewny że to, co mówię, jest prawdą. Wierzmy, że do pewnego wieku Bóg nie rozlicza dzieci, jak ludzi dorosłych z decyzji podejmowanych przez ich małe serduszka i rozum. Może zauważyłeś też, że nawet nienarodzone dzieci zniknęły z łona matek. Nie potrafisz sobie wyobrazić bólu i rozpaczę świata po zniknięciu tych drogocennych małych istot oraz bezgranicznego smutku ich rodziców.

Proroczy list św. Pawła do Koryntian mówi, że wydarzy się to w mgnieniu oka. Być może widziałeś najbliższą ci osobę, która, będąc przy tobie, nagle zniknęła, jakby wyparowała. Nie zazdroścę ci tego!

Biblia mówi, że serca ludzkie będą drżały ze strachu. Dla mnie oznacza to, że masowo wystąpią zawały serca z powodu szoku, a wielu ludzi z rozpaczę popęlni samobójstwo. Lepiej niż ja wiesz, jaki chaos zapanował wobec nagłego braku ludzi, którzy byli chrześcijanami, a pełnili publiczną służbę różnego rodzaju, od transportu przez strażaków, policję i inne służby porządkowe.

W zależności od tego, gdzie i kiedy oglądasz tę kasetę, dowiedziałeś się już może o wprowadzeniu stanu wyjątkowego w wielu

miejscach, policja i wojsko próbują powstrzymać kryminalistów przed grabieżą i chuligaństwem oraz niszczeniem pozostawionego bez opieki mienia. Rządy wielu państw upadają i widać panujący na całym świecie olbrzymi chaos.

Może się zastanawiasz, dlaczego tak się stało. Niektórzy twierdzą, że to Boży sąd nad grzesznym światem. Właściwie jest w tym trochę prawdy z tym, że nastąpi on nieco później. Może to zabrzmieć nieco dziwnie, ale za pośrednictwem tego wydarzenia Bóg po raz ostatni próbuje zwrócić na siebie uwagę ludzi, którzy do tej pory ignorowali Go i odrzucali. Dopuszczył teraz okres wielkiej próby i doświadcza tych, którzy pozostali. Zabrał swój Kościół ze skorumpowanego świata, który szuka tylko własnych dróg, własnych grzesznych przyjemności i niechybnie podąża ku wiecznej zagładzie.

Wierzę, że Bóg chce, żeby ci, którzy pozostali, zawrócili z drogi zguby, porzucili grzeszne pragnienia i namiętności, a zwrócili się ku Jego Słowu, by szukać prawdy, i do Chrystusa, by dostąpić zbawienia.

Chciałbym, żebyś nie wątpił, że twój małżonek, dzieci i niemowlęta, przyjaciele i znajomi nie zostali zdmuchnięci z ziemi przez jakąś wrogą ludzkości tajemną moc, że nie nastąpiła też żadna inwazja przybyszów z kosmosu, co z pewnością jest jednym z pierwszych i najprostszych wyjaśnień tego niezwykłego i jakże tragicznego dla wielu wydarzenia. To, co jeszcze do niedawna brzmiało niedorzecznie, może wydawać się teraz całkiem logiczne, ale zapewniam cię, że tak nie jest.

Pismo Święte wskazuje ponadto, że ludzi będzie zwodził samozwańczy przywódca świata, wykorzystując środki masowego przekazu. Nawet Jezus to przepowiadał, mówiąc: *Ja przyszedłem do was w imieniu Ojca, a wy mnie nie przyjęliście, jeśli ktoś inny przychodzi we własnym imieniu, tego chętnie przyjmujecie.*

Chciałbym cię ostrzec przed takim przywódcą ludzkości; może on się wywodzić z Europy. Stanie się wielkim zwodzicielem czyniącym znaki i cuda. Będą one wywierały ogromne wrażenie na ludziach, którzy będą go nawet uważali za Boga. Zdobędzie mnóstwo

naśladowców spośród tych, którzy pozostali na ziemi i pójdą za nim, wierząc, że czyni prawdziwe znaki i cuda.

Zwodzićiel ten będzie obiecywał ustanowienie pokoju i bezpieczeństwa między narodami, ale Biblia mówi, że wystąpi przeciwko Najwyższemu i targnie się na życie wielu jego świętych naśladowców. Dlatego przestrzegam cię teraz przed nowym przywódcą o wielkiej charyzmie, który będzie próbował zdobyć panowanie nad całym światem w okresie wielkiego chaosu i nieopisanego zamieszania. Człowiek ten jest nazywany w Biblii Antychrystem. Będzie składał wiele obietnic, których nie dotrzyma. Przez Jezusa Chrystusa musisz poznać i zaufać obietnicom wszechmogącego Boga, bo tylko one są pewne i prawdziwe.

Wierzę, że jak naucza Pismo Święte, Pochwycenie Kościoła zapoczątkuje okres siedmiu lat doświadczeń i ucisku, podczas którego będą się działy straszne rzeczy. Jeżeli nie uznałeś Jezusa Chrystusa za Zbawiciela, ryzykujesz swoją duszę. Natomiast z powodu strasznych katastrof, które wydarzą się w tym czasie, twoje życie znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie. Nawet, jeśli zwrócisz się do Chrystusa, i tak możesz zginąć tragicznie.

Rayford zatrzymał na chwilę taśmę. Był przygotowany na to, że usłyszycy coś na temat zbawienia swojej duszy. Ale doświadczenia i ucisk? Czyżby utrata najbliższych z powodu pychy i egoizmu, które uniemożliwiły mu pójście do nieba, nie była wystarczającą karą? Może być coś jeszcze gorszego?

A co z tym wielkim zwodzicielem, przed którym tak przestrzegam proboszcz? Może zbyt się przejął tym proroctwem? Ale nie był przecież byle kim. Był poważnym, szczerym, godnym zaufania człowiekiem - mężem Bożym. Jeżeli prawdą było to, co proboszcz powiedział na temat powszechnych zniknięć - a Rayford wiedział, że to prawda - to naprawdę zasłużył na szacunek i większą uwagę.

Nadszedł czas, żeby wreszcie odrzucić krytycyzm, ciągle analizy, prowadzące do niezadowolających wniosków. Dowód prawdy znajdował się przed nim; była tylko jedna możliwość działania. Ponownie uruchomił kasetę.

— W tej chwili nie ma większego znaczenia, dlaczego zostałeś pozostawiony na ziemi. Może byłeś zbyt samolubny albo pyszny, czy zbyt zajęty i po prostu nie miałeś czasu zastanowić się nad tym, co dał ci Chrystus. Bardzo ważne w tej chwili jest to, że ciągle jeszcze masz szansę. Ostatnią. Nie trać jej i tym razem.

Zniknięcie wierzących i małych dzieci, chaos i zamieszanie, a także rozpacz pozostawionych wystarczająco jasno i wyraźnie wskazują, że to, co mówię, jest prawdą. Módl się, żeby Bóg ci pomógł. Przyjmij w tej chwili Jego dar zbawienia. Odeprzuj kłamstwa i wysiłki Antychrysta, który z pewnością objawi się w niedalekiej przyszłości. Pamiętaj, że uda mu się zwieść wiele osób. Niech ciebie nie będzie pomiędzy nimi.

Prawie osiemset lat przed narodzeniem się Jezusa w Betlejem Izajasz prorokował w Starym Testamencie, że królestwa świata będą w wielkim konflikcie, a ich oblicza staną się jak płomienie. W moim przekonaniu jest to wskazanie trzeciej wojny światowej, wojny termonuklearnej, która zmiecie z powierzchni ziemi wiele milionów ludzi.

Biblijne proroctwa są zwiastunem historii, która nadciąga. Szczerze zachęcam, żebyś pożyczył sobie książki na ten temat albo znalazł kogoś, kto jest znawcą Biblii, ale z jakiegoś tylko jemu znanego powodu nie przyjął dotąd Chrystusa i dlatego został pozostawiony. Zapoznaj się z tym, co się ma wydarzyć, żebyś wiedział i był przygotowany.

Zobaczysz, że zarówno rządy, jak i religia się zmieniają, w wielu miejscach wybuchną konflikty zbrojne. Gospodarka runie pod ciężarem inflacji, wszędzie będzie śmierć i zniszczenie. Powtarzać się będą pustoszące trzęsienia ziemi. Wielu nowych wierzących poniesie śmierć męczeńską. Bądź na to przygotowany.

Bóg nadal jest gotowy przebaczyć ci grzechy i zapewnić miejsce w niebie. Posłuchaj, co Ezechiel mówi w swojej księdze, w rozdziale 33, wiersz : *...gdyż nie mam upodobania w śmierci bezbożnego, a raczej, by się bezbożny odwrócił od swojej drogi, a żył.*

Jeśli przyjmiesz Boże objawienie o zbawieniu, Duch Święty przyjdzie i sprawi, że na nowo narodzisz się duchowo. Wcale nie musisz

tego wszystkiego rozumieć w sposób teologiczny. Możesz stać się dzieckiem Bożym w bardzo prosty sposób - przez modlitwę. Zachęcam cię gorąco, żebyś pomodlił się teraz razem ze mną.

Rayford znowu zatrzymał taśmę. Na twarzy proboszcza zobaczył wielką determinację, a w jego oczach głębokie współczucie. Wiedział, że przyjaciele i koledzy pomyśleliby, że zwariował, może nawet jego córka tak myśli. Ale to wszystko brzmiało dla niego bardzo prawdziwie. Zupełnie nie rozumiał, o co chodzi z tymi siedmioma latami ucisku ani o jakiego światowego przywódcę chodzi, który ma się wkrótce objawić, a którego proboszcz nazwał kłamcą i zwodzicielem. Był jednak całkowicie pewny, że potrzebuje Chrystusa. Potrzebował przebaczenia grzechów i pewności, że kiedyś połączy się w niebie z ukochaną żoną i synem.

Rayford siedział z twarzą ukrytą w dłoniach; serce mu waliło jak młotem. Z pokoju na piętrze, gdzie spała Chloe, nie dochodził żaden dźwięk. Był sam ze swoimi myślami i z Bogiem i odczuwał Jego obecność. Osunął się na kolana. Nigdy wcześniej nie klękał, czcąc Boga, ale tym razem wyraźnie odczuwał powagę i świętość chwili. Z taśmy głos proboszcza mówił: *Módl się, powtarzając za mną*, i Rayford tak uczynił. *Drogi Boże, wyznaję, że jestem grzesznikiem. Przepraszam Cię za moje grzechy. Proszę, przebacz mi je i zbaw mnie. Proszę o to w imieniu Jezusa, który oddał za mnie życie. Teraz wierzę w Niego. Wierzę, że Jego niewinna krew jest zapłatą za moje zbawienie. Wierzę i dziękuję Ci, Boże, że mnie wysłuchałeś i przyjąłeś. Dziękuję za zbawienie mojej duszy.*

Rayford trwał nieruchomo na podłodze podczas, gdy ksiądz nadal mówił o zbawieniu, przytaczając cytaty z Biblii mówiące, iż kto będzie wzywał imienia Pana Boga, będzie zbawiony, a Bóg nie odrzuci nikogo, kto szuka Go całym sercem. Pod koniec nagrania proboszcz powiedział: *Jeśli zrobiłeś to szczerze, narodziłeś się na nowo, jesteś teraz zbawionym dzieckiem Bożym.* Rayford miał wielką chęć dłużej rozmawiać z Bogiem. Chciał Mu powiedzieć o swoich grzechach. Miał świadomość, że wszystko zostało mu przebaczone, ale

w jakiś dziecinny sposób chciał powiedzieć Bogu, że teraz wie, jakim był człowiekiem.

Wyznał swoją pychę. Pysznił się swoją inteligencją. Był dumny ze swojego wyglądu. Ze swoich umiejętności. Wyznał też pożądlivość i to, jak ignorował żonę, szukając przyjemności na boku. Wyznał także to, jak bardzo był uzależniony od pieniędzy i innych rzeczy. Kiedy to wszystko wyznał, poczuł się oczyszczony. Kaseta, którą obejrzał, przerażała go, nie mógł pojąć tych wszystkich okropności, ciężkich czasów, o których mówił proboszcz Billings, ale mimo wszystko wolał stawić im czoło jako prawdziwie wierzący chrześcijanin, niż pozostając tym, kim był przedtem.

Jego pierwszą modlitwą po nawróceniu było błaganie o Chloe. Martwił się jej postawą i postanowił nieustannie modlić się za nią tak długo, aż się upewni, że dołączyła do niego na tej nowej drodze życia.

Buck wylądował na lotnisku Kennedy'ego w Nowym Jorku i bezwzględnie zadzwonił do Steve'a Pianka.

— Buck, zostań tam, gdzie jesteś, nie ruszaj się z miejsca, ty renegacie! Czy wiesz, kto chce z tobą rozmawiać?

— Nie mam zielonego pojęcia.

— Sam Nicolae Carpathia!

— Akurat.

— Poważnie. Jest tutaj, a z nim twój stary przyjaciel Chaim Rosenzweig. Najwidoczniej Chaim wychwalał cię pod niebiosa, gdyż pomimo usilnych zabiegów wszystkich dziennikarzy zdecydował się tobie udzielić wywiadu. Przyjadę po ciebie na lotnisko i opowiesz mi wszystko, co się wydarzyło, o tej bombie i twojej rzekomej śmierci. Nie martw się, ożywimy cię i przeprowadzisz wywiad, na którym ci tak bardzo zależało.

Buck odwiesił słuchawkę i klasnął w dłonie. *To jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe*, pomyślał. *Jeśli jest ktoś postawiony ponad*

*tymi międzynarodowymi terrorystami i zamachowcami, a nawet nad czarną robotą na giełdzie londyńskiej i w Scotland Yardzie, to z pewnością będzie to ten Carpathia. Ale jeśli Rosenzweig ma dla niego uznanie i szacunek, to raczej gość powinien być w porządku.*

Rayford nie mógł się doczekać, żeby następnego ranka pójść do Nowej Nadziei. Zaczął czytać Nowy Testament i przetrząsnął cały dom w poszukiwaniu książek lub materiałów Ireny, które mógłby przestudiować. Chociaż wiele z nich nadal trudno było mu zrozumieć, to jednak był tak głodny i spragniony poznania Chrystusa, że jednym zamachem przeczytał wszystkie cztery Ewangelie, aż zrobiło się późno i poczuł się bardzo śpiący.

Podczas lektury Rayford nie mógł pozbyć się myśli, że sam jest teraz częścią tej duchowej rodziny, w której byli jego żona i syn. I chociaż nadal przerażały go straszne wydarzenia, które przepowiadał proboszcz Billings, to jednak z drugiej strony był podekscytowany tym, co przed chwilą przeżył, swoją nową wiarą w Chrystusa. Wiedział, że przyjdzie taki dzień, w którym spotka się z Bogiem i z Chrystusem i tym bardziej pragnął, żeby to się stało udziałem Chloe.

Rayford powstrzymał się od nagabywania jej. Zdecydował nie mówić o tym, co uczynił, chyba że sama zapyta. Chloe jednak nie spytała rankiem przed jego wyjściem do kościoła, przeprosiła jednak, że nie idzie razem z nim.

— Kiedyś z tobą pójde tato, obiecuję — powiedziała. — Nie myśl, że jestem wrogo nastawiona. Po prostu nie jestem gotowa.

Rayford walczył ze sobą, chcąc jeszcze raz ostrzec ją, żeby nie zwlekała zbyt długo. Miał także zamiar błagać ją, żeby obejrzała kasetę z nagraniem proboszcza. Wiedziała, że oglądał ją poprzedniego wieczoru, a mimo to nie spytała ani słowem, co na niej jest. Przewiął ją do początku i zostawił w magnetowidzie, modląc się i wierząc, że córka ją obejrzy ją, gdy go nie będzie.

Rayford przyjechał do kościoła tuż przed dziesiątą i zdumiał się wielką liczbą samochodów na przykościelnym parkingu tak, że sam musiał zaparkować aż trzy ulice dalej. Okolica była zatłoczona. Niektórzy trzymali w rękach Biblie, ale prawie nikt nie był odświętnie ubrany, jak przystało na niedzielę. Ludzie byli zdezorientowani, wystraszeni, zdecydowani dowiedzieć się, co dalej, jaka przyszłość ich czeka. Wszystkie miejsca w ławkach były zajęte, nawet na chórze. Rayford stanął prawie na samym końcu, nie próbując znaleźć miejsca siedzącego.

Bruce rozpoczął spotkanie punktualnie o dziesiątej, poprosił jednak Lorette, żeby stanęła w drzwiach do kościoła, by wszyscy, nawet ci spóźnieni, zostali ciepło przywitani i zachęcani do wzięcia udziału w tym nietypowym zgromadzeniu. Pomimo tłumu wypełniającego kościół, Bruce nie zajął miejsca w prezbiterium, a nawet nie stanął za kazalnicą. Postawił mikrofon przed pierwszym rzędem ławek i zaczął po prostu mówić do ludzi.

Najpierw przedstawił się, mówiąc:

— Nie stanąłem za kazalnicą, gdyż jest to miejsce dla ludzi od' powiednio przygotowanych i powołanych. Podjąłem posługę przewodniczenia i nauczania w tym kościele przez przypadek. W normalnych okolicznościach bylibyśmy zaszczytzeni tak wielką liczbą ludzi na nabożeństwie — wyznał. — Ale dzisiaj nie będę wam nawet mówił, ile dla mnie znaczy wasza obecność. Wiem, że jesteście tu, bo chcecie się czegoś więcej dowiedzieć o tym, co się stało z naszymi bliskimi, współmałżonkami, dziećmi, przyjaciółmi. Wierzę, że mam odpowiedź. Oczywiście nie znałem jej przedtem, gdyż także byłbym wśród zabranych. Nie będziemy dzisiaj śpiewali żadnych pieśni ani nie będzie ogłoszeń, z wyjątkiem tego, że w najbliższą środę o siódmej wieczorem odbędzie się na tym miejscu studium biblijne. Nie będziemy też zbierali dzisiaj ofiary pieniężnej chociaż, żeby pokryć wydatki związane z utrzymaniem kościoła, zaczniemy to robić od przyszłej niedzieli. Parafia ma trochę pieniędzy w banku, ale nie chcemy ich ruszać, a poza tym ciągle spłacamy kredyt zaciągnięty na budowę naszej kaplicy.



Bruce opowiedział tę samą historię, którą usłyszeli Rayford i Chloe. Słuchano go w ciszy. Wiele osób szlochało. Pokazał na dużym projektorze kasetę z przesłaniem proboszcza, a pod koniec więcej niż sto osób modliło się razem z nim. Bruce zachęcał ich, żeby regularnie zaczęli uczęszczać do Nowej Nadziei.

Dodał: — Wiem, że może wielu z was pozostaje sceptykami. Może wierzysz, że to, co się wydarzyło, stało się za sprawą Boga, ale nie możesz się z tym pogodzić i obarczasz Go winą za to. Jeśli chcesz przyjść tutaj dzisiaj wieczorem i porozmawiać, będę do dyspozycji. Zdecydowałem jednak, żeby na dzisiejszym porannym spotkaniu tego nie było, gdyż jest tu wiele zupełnie nowych osób i nie chcę robić zamieszania. Chcę was zapewnić, że jesteśmy otwarci na wszelkie szczere pytania pochodzące z głębi duszy.

Chcę umożliwić tym, którzy przyjęli dzisiaj Chrystusa, żeby to wyznali przed nami. Biblia zachęca nas do tego, żebyśmy wyznawali wiarę w Niego. Czujcie się swobodnie i podchodźcie do mikrofonu.

Rayford pierwszy ruszył do przodu, ale gdy szedł pomiędzy rzędami ławek, czuł, że wielu innych wstaje z miejsc i podchodzi do przodu. Niektórzy opowiadali, co przeżyli i w którym miejscu duchowej wędrówki się znajdują. Większość, podobnie jak i on, była blisko prawdy wyznawanej przez najbliższych lub przyjaciół, nigdy jednak w pełni nie akceptowała prawdy o Chrystusie.

Historie tych ludzi były bardzo często wzruszające i nikt nie ruszał się z miejsca, chociaż wskazówka na zegarze dawno już minęła południe, a czterdzieści czy pięćdziesiąt osób nadal stało w kolejce, czekając, żeby podzielić się tym, co przeżywali. O drugiej, kiedy już wszyscy byli zmęczeni i głodni, Bruce powiedział:

— Musimy już kończyć. Chcę, żebyście wiedzieli, że nawet nie planowałem na dzisiaj niczego, co by przypominało tradycyjne spotkanie modlitewne, dlatego nie śpiewaliśmy pieśni. Ale czuję, że powinniśmy wielbić Boga za to, co się tu dzisiaj wydarzyło. Pozwólcie, że szybko nauczę was jednej krótkiej pieśni sławiącej Boga.

Bruce zaśpiewał bardzo prostą pieśń, która pochodziła z Pisma Świętego i oddał cześć Ojcu, Jego Synowi Jezusowi i Duchowi Świę-

temu. Kiedy ludzie dołączyli, najpierw spokojnie, ze czcią i szacunkiem, z bojaźnią w sercu, Rayford miał tak ściśnięte gardło, że nie mógł śpiewać. Jeden po drugim ludzie przestawali śpiewać, poruszając tylko ustami lub mrużąc melodię, tak samo wzruszeni jak on. Rayford uważał, że to najbardziej wzruszający moment w jego życiu. Och, jak bardzo pragnął podzielić się tą radością z najbliższymi: Ireną, Rayem i Chloe.

Gdy Bruce zakończył spotkanie modlitwą, ludzie zbierali się do wyjścia. Wiele osób długo jeszcze stało w kościele, poznając się ze sobą i widać było, że zostały położone podwaliny pod całkowicie nową wspólnotę parafialną. Nawet wezwanie parafii było bardziej właściwe niż kiedykolwiek przedtem: Nowa Nadzieja. Bruce żegnał wychodzących i nikt nie przechodził obok niego w pośpiechu ani nie próbował go ominąć. Kiedy podszedł Rayford, Bruce zapytał:

— Masz trochę czasu dzisiaj po południu? Moglibyśmy razem coś zjeść, a przy okazji jeszcze porozmawiać.

— Najpierw muszę zadzwonić do córki, ale oczywiście, z wielką przyjemnością, dziękuję za zaproszenie.

Rayford zadzwonił do Chloe i powiedział jej, gdzie będzie. Nie" spytała go, jak było w kościele i usłyszała tylko rodzaj wyrzutu:

— Długo dzisiaj było, co? Pewnie dużo ludzi było na nabożeństwie.

Odpowiedział twierdząco. Zdecydował, że nie będzie mówił nic więcej ani zadrecał jej, chyba że sama zechce się czegoś dowiedzieć. Miał nadzieję i modlił się, żeby z ciekawości obejrzała kasetę i skoro on dzięki niej ostatecznie zrozumiał, co się stało tamtej nocy, to może i Chloe dojdzie do tej samej decyzji. Ostatecznie mogła przecież zauważyć, jak bardzo się zmienił.

Siedząc przy stole w małej restauracji, w sąsiedniej miejscowości - Arlington Heights, Bruce wyglądał na zmęczonego, ale i szczęśliwego. Powiedział Rayfordowi, że ma zamęt w głowie i sam nie wie, co jest przyczyną.

— Ciągle tak trudno mi znieść zniknięcie wszystkich członków rodziny, że ledwo funkcjonuję. Nadal wstydzę się swojego dawne-

go udawanego chrześcijaństwa. I chociaż od czasu, gdy pokutowałem, wyznając grzechy i autentycznie przyjmując Chrystusa jako Pana mojego dalszego życia, upłynęło zaledwie kilka dni, On tak niewyobrażalnie mnie pobłogosławił. Mój dom opustoszał, jest w nim zimno i nieprzyjemnie i bezustannie przywodzi na pamięć bolesne wspomnienia. A mimo to, zobacz, co się dzisiaj zdarzyło. Została mi dana nowa rodzina - wspólnota dla której mogę pracować.

Rayford nieznacznie przytaknął. Odczuwał, że Bruce potrzebuje w tej chwili kogoś, z kim będzie mógł porozmawiać o tajemnicach swojego serca.

— Ray — powiedział Bruce — posłuchaj, Kościół budują wykształceni w seminariach duchowni i ludzie, którzy byli chrześcijanami przez większość swojego życia lub wywodzili się z chrześcijańskich domów. My nie mamy tego luksusu. Nie mam pojęcia, jaki rodzaj duchowego przywództwa przyjąć w tej nowej sytuacji. Wydaje mi się, że nie ma sensu powoływania nowej rady parafialnej, skoro wszyscy jesteśmy zupełnie nowymi w wierze chrześcijanami. Wiem jednak, że musimy mieć grono ludzi, którym będzie zależało na sobie i którzy będą całkowicie oddani Kościołowi. Loretta i kilka innych osób, które spotkałem w noc Pochwylenia, są już częścią takiej grupy, włącznie z innymi, którzy byli aktywni we wspólnocie przez lata, ale z jakiegoś powodu również nie zostali zabrani.

Wiem, że to wszystko jest dla ciebie bardzo nowe, ale czuję, że powinienem zapytać, czy zechcesz się przyłączyć do naszego małego grona. Będziemy w każdą niedzielę na porannym spotkaniu modlitewnym, postaramy się być, o ile to będzie możliwe, również na wieczornych spotkaniach niedzielnych, w środy na studium biblijnym, a także raz w tygodniu będziemy się spotykali po pracy u mnie w domu. To da nam bezpośrednią możliwość modlenia się za siebie nawzajem, wzajemnej wymiany poglądów, spostrzeżeń i opinii oraz głębszego rozważania Słowa Bożego tak, żebyśmy znali temat nieco lepiej. Co ty na to?

Rayford prawie oniemiał z wrażenia.

— No cóż — odrzekł — nie wiem, co powiesz. To dla mnie tak bardzo nowe i ciągle niezrozumiałe.

— Wszyscy czujemy się tak samo, Ray.

— Tak, ale ty się w tym wychowałeś, Bruce. Znasz to wszystko od podszewki.

— Tylko, że rozminąłem się z tym, co najważniejsze.

— No tak, powiem ci, co mnie przyciąga do takiej grupy. Czuję głód Biblii. Potrzebuję także przyjaciela.

— Zupełnie jak ja — ucieszył się Bruce. — Może się jednak zdarzyć, że nie wszystko pójdzie jak po maśle. Jest pewne ryzyko. Mogą się zdarzyć zgrzyty między nami.

— Jestem gotowy podjąć takie ryzyko, jeśli ty tego chcesz — powiedział Rayford po chwili namysłu. — Ale tylko tak długo, jak długo nie będziesz żądał ode mnie jakiejś przywódczej roli we wspólnocie.

— Zgoda — odrzekł Bruce, wyciągając dłoń, którą Rayford uścił. Nie śmiali się. Nie było fanfar. Rayford wiedział w duchu, że to początek nowej przyjaźni, zrodzonej z tragedii i potrzeby. Miał tylko nadzieję, że to będzie działać. Kiedy w końcu późnym popołudniem dotarł do domu, Chloe niecierpliwiła się, chcąc dowiedzieć się wszystkiego, co się zdarzyło. Była zdumiona tym, co jej opowiedział ojciec, i wyznała, że czuje się głupio, iż nie oglądała jeszcze tej kasety.

— Tato, obiecuję, że obejrzę ją, zanim polecimy do Atlanty. Widzę, że poważnie to wszystko traktujesz. Wygląda na to, że obojście będę musiała to sprawdzić, nawet jeśli sama się nie zaangażuję.

Rayford postanowił przebrać się w piżamę i szlafrok, by przez resztę wieczoru odpoczywać, gdy Chloe zawołała z dołu.

— Tato, omal nie zapomniałam ci powiedzieć. Hattie Durham dzwoniła kilka razy, pytając o ciebie. Była czymś bardzo wstrząśnięta. Mówiła, że pracuje razem z tobą.

— A, tak — odpowiedział Rayford. — Chciała być przydzielona do mojego następnego lotu, ale nie zgodziłem się. Przypuszczam, że dowiedziała się o tym i chciała się zapytać dlaczego.

— A czemu się nie zgodziłeś?

— To długa historia. Opowiem ci innym razem.

Rayford sięgnął po telefon, a on w tej samej chwili zadzwonił. To był Bruce.

— Zapomniałem o jednym — powiedział. — Jeśli zgodziłeś się być częścią naszej grupy, to pierwszym zadaniem jest spotkanie dzisiaj wieczorem w kościele ze sceptykami i ludźmi zawiedzionymi.

— Wygląda na to, że będziesz twardym szefem, co?

— Naturalnie zrozumieć, jeśli na dzisiejszy wieczór miałeś już jakieś plany.

— Posłuchaj, Bruce — powiedział Rayford — z wyjątkiem nieba nie ma innego miejsca na świecie, w którym chciałbym być bardziej. Na pewno nie ominę takiej okazji. Być może zabiorę na spotkanie także Chloe.

— Jakie spotkanie? — spytała Chloe, gdy odłożył słuchawkę.

— Za chwilę — odpowiedział Rayford. — Najpierw muszę zadzwonić do Hattie i uspokoić wzburzone fale.

Rayford był zaskoczony, że Hattie ani słowem nie wspomniała o sprawie lotu.

— Mam nieprzyjemne wiadomości — powiedziała. — Pamiętasz tego dziennikarza z „Global Weekly”, który leciał z nami do Londynu, tego, który podłączył swój komputer do telefonu pokładowego?

— Coś sobie przypominam.

— Nazywa się Cameron Williams, rozmawiałam z nim przez telefon kilka razy od czasu tamtego pamiętnego lotu. Próbowałam znowu zadzwonić do niego wczoraj wieczorem z lotniska w Nowym Jorku, ale nie mogłam się dodzwonić.

— Aha.

— Dzisiaj usłyszałam w wiadomościach, że został zabity w zamachu bombowym w Londynie.

— Żartujesz!

— Wcale nie. Czy to nie jest straszne? Rayford, czasami nie wiem, czy zniosę to dłużej. Chociaż mało go znałam, jednak kiedy o tym usłyszałam, byłam załamana i przerażona. Przykro mi, że zanudzam

cię takimi rzeczami, ale myślałam, że może będziesz go pamiętał, tak jak niektórych innych pasażerów.

— W porządku, Hattie, wcale mnie nie zanudzasz. Wyobrażam sobie, jakie to dla ciebie przygnębiające, bo i ja jestem wstrząśnięty. Właściwie jest wiele spraw, o których chciałbym z tobą porozmawiać.

— Naprawdę? — uradowała się Hattie.

— Czy moglibyśmy się gdzieś spotkać?

— Zgłosiłam chęć pracy z tobą — powiedziała. — Może uda się nam pójść do jakiejś restauracji w przerwie między lotami.

— Może — odrzekł Rayford. — A jeśli nie, to może przyjedziesz do nas na obiad i zjemy go razem z Chloe?

— Świetny pomysł, Rayford, naprawdę. Dziękuję za zaproszenie.

## **Rozdział trzynasty**

Buck Williams siedział przy wyjściu na lotnisku Kennedy'ego, czytając swój życiorys w kolumnie nekrologów jednej z ogólnokrajowych gazet. - *Nowojorski dziennikarz zabity w Anglii* - głosił tytuł.

*Trzydziestoletni Cameron Williams, najmłodszy w zespole redaktor tygodnika poświęconego światowym aktualnościom, został prawdopodobnie zabity podczas tajemniczego zamachu bombowego na oficera Scotland Yardu na przedmieściach Londynu w sobotę wieczorem.*

*Williams, który przez pięć lat był redaktorem prestiżowego „Global Weekly”, zdobył nagrodę Pulitzera jeszcze jako reporter „The Boston Globe”, zanim w wieku 25 lat znalazł się w zespole redakcyjnym „Weekly”. Szybko awansował na stanowisko starszego redaktora i od początku kariery napisał około czterdziestu artykułów pierwszostronicowych. Czterokrotnie został przedstawiony do tytułu Dziennikarza Roku za najlepsze sprawozdania.*

*Williams zdobył prestiżową nagrodę Ernesta Hemingwaya jako korespondent wojenny za relację ze zniszczenia rosyjskiego lotnictwa nad Izraelem przed czternastoma miesiącami. Według Stępek Pianka, naczelnego redaktora „Global Weekly”, administracja pisma odmówiła potwierdzenia zgonu Williamsa do czasu dokładnego zbadania wszystkich okoliczności.*

*Ojciec Williamsa i żonaty brat mieszkają w Tucson w stanie Arizona, gdzie Williams stracił bratową, bratanka i bratanicę w wyniku niedawnych, powszechnych zniknięć.*

*Według raportu złożonego przez Scotland Yard zamach został przeprowadzony przez terrorystów północnoirlandzkich i podejrzewa się,*

*że był aktem zemsty. Kapitan Howard Sullivan określił 29-letniego podwładnego, Allana Tompkinsa, ofiarę zamachu, jako jednego ze swych najlepszych ludzi i stwierdził: Był jednym z najlepszych oficerów dochodzeniowych, z jakimi pracowałem.*

*Sullivan dodał, że Williams i Tompkins zaprzyjaźnili się kilka lat wcześniej po przeprowadzonym przez dziennikarza wywiadzie na temat terroryzmu w Anglii. Kiedy wybuchła bomba w zaparkowanym samochodzie Scotland Yardu używanym przez Tompkinsa, obydwoj wychodzili właśnie z baru Armitage Arms na przedmieściach Londynu.*

*Szczątki Tompkinsa zostały zidentyfikowane, podczas gdy jedy-  
nymi dowodami obecności Williamsa znalezionymi na miejscu zbrodni były: jego identyfikator i nadpalony paszport, co pozwoliło ustalić jego tożsamość.*

Rayford Steele ułożył sobie plan. Zdecydował, że szczerze przyzna się do swoich pożądlivych myśli wobec Hattie Durham oraz do poczucia winy z tego powodu. Wiedział, że jej się to nie spodoba, a nawet że takie wyznanie może ją zaszokować. Jednak bez względu na konsekwencje chciał podzielić się z Hattie swoją decyzją naśladowania Chrystusa. Miał nadzieję, że dzięki temu córka otworzy się na sprawy wiary, nie mając poczucia, że ojciec zmuszają do czegoś. Chloe pojechała z nim poprzedniego wieczoru do kościoła na spotkanie z niedowiarkami, tak jak obiecała. Wyszła jednak w połowie. Wypełniła też obietnicę, że obejrzy kasetę video z przesłaniem proboszcza Billingsa. Nie zamienili jednak ze sobą ani słowa na ten temat.

Gdy dotrą na lotnisko O'Hare, nie będą mieli zbyt wiele czasu, żeby być razem, więc Rayford podjął temat w samochodzie, gdy mijali leżące na poboczach porozbijane auta. Pomiędzy domem a lotniskiem widzieli kilkanaście spalonych domów. Rayford sądził, że gdy całe rodziny zostały pochwycone, pozostawione włączone piekarniki spowodowały pożary.



— Powiedz, tato, naprawdę myślisz, że to dzieło Boga?— spytała Chloe ostrożnie z powagą w głosie.

— Tak uważam.

— Zawsze myślałam, że On jest Bogiem miłości i pokoju — ciągnęła.

— Ja też w to wierzę. Taki był Jego plan.

— Nie myślisz, że z tego powodu nastąpiło wiele niepotrzebnych tragedii i bezsensownych zgonów?

— Wiesz, ja też tego wszystkiego wciąż nie rozumiem — powiedział Rayford. — Ale, jak powiedział wczoraj wieczorem Bruce, żyjemy w zepsutym świecie. Najprościej można powiedzieć, że Bóg po prostu pozostawił ten zepsuty świat szatanowi.

— O, bracie — powiedziała z sarkazmem. Zastanawiałeś się, dlaczego wyszłam ze spotkania?

— Przypuszczam, że pytania i odpowiedzi dotyczyły spraw podobnych do tych, które znasz z domu.

— Być może tak, ale głównie z powodu tego wszystkiego, co mówiono o szatanie, upadku człowieka w grzech i tak dalej...

— Przerwała w środku zdania potrząsając głową.

— Kochanie, wiem o tym wszystkim nie więcej niż ty — odrzekł Rayford łagodnie. — Jedno wiem z całą pewnością, że jestem grzesznikiem i że ten świat pełen jest takich jak ja.

— To ja też jestem wśród nich?

— Skoro jesteś człowiekiem żyjącym na tej planecie, jesteś też wśród grzeszników. Czyż nie?

— No tak, ale przecież nie grzeszę specjalnie, naumyślnie, tylko przez przypadek, niechcący.

— Nigdy nie jesteś egoistyczna, chciwa, zazdrosna, obraźliwa, /lośliwa?

— Próbuję nie być taka, a przynajmniej szukam winy w sobie.

— Myślisz, że jesteś wyjątkiem, choć Biblia mówi, że wszyscy ludzie są grzesznikami i nigdzie nie ma ani jednego sprawiedliwego?

— Nie wiem, tato. Nie mam pojęcia, co o tym sądzić.

— Ale naturalnie wiesz, co mi spędza sen z powiek?

— Tak, wiem. Uważasz, że jest mało czasu i w obecnych okolicznościach, gdybym zbyt długo zwlekała z podjęciem decyzji, może się zdarzyć, że będzie za późno.

— Sam nie wyraziłbym tego jaśniej, Chloe. Chyba wiesz, że myślałem tylko o tobie i wszystko inne nie ma dla mnie teraz większego znaczenia.

— Nie musisz się o mnie martwić, tato.

— A co sądzisz o tej kasecie video? Czy twoim zdaniem ma sens?

— Jeżeli się z tym zgadzasz, to tak, ma sens. To znaczy, musisz rozpocząć właśnie od tego. Wtedy wszystko układa się w jedną całość. Ale jeżeli nie masz pewności co do Boga i Pisma Świętego, nieba, piekła i grzechu, to nadal się zastanawiasz, co i dlaczego się to stało.

— W takim właśnie stanie jesteś, Chloe.

— Ja już nie wiem, gdzie jestem, tato.

Rayford walczył z chęcią błagania jej, żeby podjęła decyzję oddania życia Chrystusowi teraz, w samochodzie. Jeśli będą mieli dość czasu na lotnisku w Atlancie podczas przerwy na lunch, to spróbuje jej powiedzieć o Hattie. Miał tam tylko czterdzieści pięć minut postoju przed lotem do Chicago. Zastanawiał się, czy modlitwa o opóźnienie odlotu byłaby na miejscu.

— Jaki fajny kapelusz — zawołał Steve Plank na powitanie, gdy na lotnisku walnął Bucka po plecach. — A to co jest? — spytał, wskazując na niezgolony zarost. — Nie mów mi, że to rosło dwa dni]

— Jeszcze nigdy nie musiałem się tak maskować — odparł Buck.

— Nie jesteś aż tak znany, żebyś się musiał ukrywać. Masz zamiar przez jakiś czas nie korzystać z mieszkania?

— Owszem, ani z twojego. Jesteś pewien, że nikt za tobą nie jechał?

— Co z tobą? Chyba masz początki paranoi, Buck.

— Mam prawo — odpowiedział, gdy wsiadali do taksówki.

— Central Park — powiedział do kierowcy. W czasie jazdy opowiedział Steve'owi wydarzenia londyńskie.

— Dlaczego więc myślisz, że Carpathia będzie chciał ci pomóc?

— zapytał Plank później, gdy już szli alejkami parku. — Jeżeli za tym zamachem stoi Scotland Yard i giełda londyńska, Carpathia ma powiązania z Todd-Cothranem i Stonagalem, to zwróciwszy się do niego o pomoc, nastawiasz go przeciwko jego własnym aniołom stróżom.

Spacerowali w cieniu parkowego mostu, który chronił ich przed gorącymi promieniami wiosennego słońca.

— Mam niedobre przeczucia co do tego faceta — powiedział Buck, a jego głos odbił się ledwo słyszalnym echem od kamienistych murów okalających park. — Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że któregoś dnia spotkał się ze Stonagalem i Todd-Cothranem w Londynie. Ale muszę wierzyć, że jest tylko pionkiem w ich grze.

Steve wskazał ławkę i usiedli.

— Wiesz, widziałem dzisiaj Carpathię na zorganizowanej przez niego konferencji prasowej — powiedział po chwili — i mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

— Rosenzweig był nim zachwycony, a przecież jest wnikliwym obserwatorem-naukowcem.

— Nie da się zaprzeczyć, że Carpathia robi wrażenie — zauważył Steve. — Jest przystojny jak Robert Redford, a dzisiejszego poranka mówił dziewięcioma językami i to tak biegle, jakby je wyssał z mlekiem matki. Środki przekazu po prostu chłonęły każdy jego ruch, każde słowo.

— Mówisz tak, jakbyś nie był jednym z ogniw środków przekazu — wtrącił Buck.

Steve wzruszył ramionami.

— Chcę tylko przedstawić mój punkt widzenia. Nauczyłem się podchodzić do wszystkiego sceptycznie, pozwalać „Global Weekly”, „People” oraz brukowcom śledzić życie prywatne, szukać dziury w całym u ludzi, którzy wypływają na wierzch. Tutaj jednak ma-

my do czynienia z człowiekiem, któremu o coś chodzi, używa rozumu i ma coś konkretnego *do* przekazania. Spodobał mi się. To znaczy, spotkałem go tylko raz na konferencji prasowej, ale wygląda mi na to, że facet ma plan. Tobie też się spodoba, zobaczysz, a przecież jesteś jeszcze większym sceptykiem niż ja. W dodatku chce się widzieć z tobą.

— Powiedz mi o nim coś więcej.

— Już ci mówiłem.

— Otacza się mało znanymi postaciami, z wyjątkiem jednej?

— Rosenzweig!

— Zgadza się.

— Jakie on może mieć z nim powiązania?

— Nikt tego jeszcze nie wie, ale Carpathia przyciąga uwagę ekspertów i konsultantów, którzy mają go wprowadzić w tajniki najnowszej technologii, polityki, finansów i co tam jeszcze. Chyba wiesz, że jest niewiele starszy od ciebie? O ile dobrze słyszałem, mówiono dzisiaj, że ma trzydzieści trzy lata.

— I zna dziewięć języków?

Plank przytaknął.

— Pamiętasz jakie?

— Dlaczego pytasz?

— Ot tak, po prostu.

Steve wyciągnął z kieszeni notatnik reporterski.

— Chcesz, żebym ci wymienił w porządku alfabetycznym?

— Czemu nie?

— Angielski, arabski, chiński, francuski, hiszpański, niemiecki, rosyjski, rumuński i węgierski.

— Jeszcze raz — poprosił Buck.

Steve powtórzył.

— Co masz na myśli?

— Ten człowiek jest wytrawnym politykiem.

— Wcale nie. Wierz mi, to nie żaden trik. On zna te języki bardzo dobrze i posługuje się nimi swobodnie.

— Nie widzisz, o co chodzi, Steve? Pomyśl przez chwilę.

— Oszczędź mi tego.

— Sześciu z nich używa się oficjalnie w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Trzy pozostałe, to języki, którymi mówią ludzie w jego kraju.

— Żartujesz!

— Buck przytaknął. — Wcale nie. Kiedy mam się z nim spotkać?

Na lot do Atlanty był komplet pasażerów a na trasie przelotu było bardzo dużo innych samolotów tak, że Rayford ciągle musiał zmieniać trajektorię lotu, żeby nie wlecieć w korytarz helikopterów. Z Chloe widział się tylko przez kilka chwil, gdy drugi kapitan został w kabinie pilotów, i włączył się automatyczny pilot. Rayford próbował w pośpiechu przedstawić jej sprawę z Hattie, ale nie miał czasu, żeby to wszystko spokojnie wyjaśnić.

Okazja nadarzyła się w Atlancie. Inny Boeing 747 miał lecieć do Chicago po południu, a jedyny pilot, który mógłby to zrobić, musiał być tam wcześniej. Chicago porozumiało się z Atlantą, przesunęli obydwa przeloty i znalazło się miejsce dla Chloe w późniejszym locie Rayforda. Mieli zatem ponad dwie godziny na lunch, wystarczająco dużo czasu, żeby pojechać do miasta.

Dziewczyna prowadząca taksówkę, spytała, czy chcą zobaczyć coś naprawdę niewiarygodnego.

— Jeżeli to po drodze, to czemu nie? — zgodził się Rayford.

— To tylko kilka przecznic przed waszą restauracją — powiedziała kobieta.

Manewrowała wśród objazdowi barierek oddzielających roboty drogowe, aż w końcu wjechała na ulicę, gdzie ruchem kierowali policjanci z drogówki.

— O, tam — powiedziała, wskazując ręką i zjeżdżając na piaszczysty parking w większości zavalony betonowymi blokami metrowej wielkości. — Widzicie budynek parkingu przez to rumowisko?

- Co to jest? — zdumiała się Chloe.
- Dziwne, nie? — powiedziała kobieta.
- Co się stało? — zapytał Rayford.
- Tak tu wygląda od momentu zniknąć — odpowiedziała.

Spoglądali na sześciopiętrowy budynek parkingu zapchany porzucanymi samochodami, tak poskręcany i szczepiony ze sobą ze wszystkich możliwych stron, że musiano użyć ciężkich dźwigów drogowych, żeby je powyciągać przez otwarte ściany na zewnątrz.

— Wszystkie auta były tu zaparkowane tamtego wieczoru z powodu meczu baseballowego — powiedziała kobieta. — Policja twierdzi, że to, co się działo, było straszne. Kiedy po meczu samochody próbowały wyjechać z parkingu, ustawiając się w długą kolejkę, zrobił się korek. Gdy jedni skręcali właściwie, inni nie skręcali w ogóle, a pojazdy tarasowały przejazd. Niektórzy nie mogli już wytrzymać w korku i powychodzili z samochodów, sądząc, że w tych rozbitych ktoś potrzebuje pomocy.

I wtedy nagle, bum, okazało się, że więcej niż jedna trzecia samochodów jest bez kierowców. Jeśli było miejsce, jechały, dopóki nie zatrzymały się na innych samochodach, ścianach czy słupach. Najeżdżały na samochody znajdujące się przed nimi. Te, w których nie było kierowców, nie mogły się już posuwać. Nie można też było dostać się do środka, gdyż w wielu pojazdach drzwi zamknęły się automatycznie po uruchomieniu silnika i wrzuceniu biegu. Nastąpił nieopisany chaos, ludzie wychodzili z aut i przechodząc po dachach samochodów wołali o pomoc. O świcie ratownicze służby drogowe dotarły na miejsce i próbowały za pomocą pojazdów holowniczych najpierw usunąć pojazdy z pierwszego poziomu parkingu. Nie mogli sobie jednak poradzić z karambolem i około południa sprowadzono dźwigi drogowy, które stoją tu do dzisiaj.

Rayford i Chloe patrzyli potrząsając głowami ze zdumienia. Dźwigi, które normalnie podnoszą stalowe konstrukcje budowlane, teraz wyszarpywały owinięte kablami samochody, które wisząc bezwładnie, były wleczone i wyciągane na zewnątrz przez dziury

wybite w ścianach parkingu. Wyglądało na to, że ta praca potrwa jeszcze kilka ładnych dni.

— A jak u ciebie? — spytał kobietę Rayford. — Też kogoś straciłaś?

— Tak, Sir. Mamę i babcię, i dwie małe siostry. Ale wiem, gdzie są. Są w niebie, tak jak mama zawsze mówiła.

— Myślę, że masz rację — powiedział Rayford. — Moja żona i syn też zostali pochwyceni.

— Czy teraz jesteś zbawiony? — spytała nagle dziewczyna.

Rayforda zszokowała jej bezpośredniość, ale doskonale wiedział, co ma na myśli.

— Tak, jestem — odpowiedział.

— Ja też. Trzeba być ślepym, żeby po tym wszystkim nie zobaczyć światła i nie poznać prawdy.

Rayford miał ochotę spojrzeć na Chloe, ale nie zrobił tego. Kiedy wreszcie dotarli do restauracji, wynagrodził młodą kobietę sporym napiwkami. Podczas lunchu opowiedział Chloe historię z Hattie, niczego nie ukrywając.

Przez długi czas milczała, a kiedy się odezwała, jej głos był słaby i drżał.

— Tak więc właściwie nigdy nie posunąłeś się za daleko? — spytała.

— Dzięki Bogu, nie. Nie mógłbym żyć z myślą, że zdradziłem żonę.

— To na pewno złamałoby jej serce.

Przytaknął z zażenowaniem.

— Czasami czuję się tak podle, jakbym ją zdradził — powiedział. — Ale usprawiedliwiałem swoje postępowanie jej obsesją na punkcie wiary.

— Wiem. To śmieszne. Jej religijność sprawiała, że w szkole mogłam się powstrzymać od wielu rzeczy. To znaczy, jestem pewna, że mama byłaby niezadowolona, gdyby wiedziała o wszystkim, co robiłam lub mówiłam, gdy byłam z dala od domu — ale nie pytałam o to. Widziałam, jak bardzo głęboko jest oddana Bogu i jakie ma

nadzieje i oczekiwania wobec mnie, a to sprawiało, że nie popełniałam głupstw, których bym później żałowała. Wiedziałam, że modliła się za mnie. Pisała mi o tym we wszystkich listach.

— Czy pisała ci też o czasach ostatecznych, Chloe?

— Oczywiście. Zawsze o tym wspominała.

— I nadal nie chcesz w to uwierzyć?

— Chcę, tato, bardzo. Naprawdę! Ale muszę też być uczciwa wobec siebie.

Rayford ze wszystkich sił starał się, żeby nie wybuchnąć. Czyż on sam nie był równie przemądrzały w jej wieku? Przesiewał wszystko przez intelekt, aż do czasu gdy ponadnaturalne wydarzenie zburzyło tę rozumową układankę. Trzeba być ślepym, jak mówiła kobieta w taksówce, żeby nie widzieć światła, bez względu na własne mniemanie o sobie i wykształcenie.

— Mam zamiar zaprosić do nas Hattie w tym tygodniu na obiad — powiedział nagle.

Chloe zmarszczyła brwi.

— Uważasz, że teraz jesteś wolny?

Rayford był zaskoczony własną reakcją. Powstrzymał się od uderzenia w twarz córki, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło, zacisnął wargi, aż zazgrzytały zęby.

— Jak możesz tak mówić po tym wszystkim, co ci powiedziałem? — powiedział ze złością. — To mnie obraża!

— Tak samo jak to, o czym marzyłeś w związku z tą Hattie Durham, tato. Czy myślisz, że ona nie widziała, co się dzieje? I jak twoim zdaniem, tłumaczyła to sobie? A może nie miała o niczym pojęcia?

— Zamierzam wyjaśnić jej moje intencje, a są one całkowicie czyste, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, gdyż nie mogę jej nic ofiarować

— Zamierzasz więc przejść od flirtu do prawienia kazań?

— Martwię się o nią jak o człowieka i chcę, żeby poznała prawdę i postąpiła zgodnie z nią.

— A co, jeśli tak się nie stanie?

— To jej wybór. Ale chcę zrobić wszystko, żeby poznała prawdę.



— Czy chcesz tego samego dla mnie? Jeśli nie zrobię tego, co uważasz za słuszne, będziesz miał satysfakcję, że zrobiłeś wszystko, co do ciebie należało, tak?

— Częściowo masz rację, ale nie do końca. Przecież wiesz, że na tobie zależy mi o wiele więcej niż na Hattie.

— Powinieneś o tym pamiętać, zanim zacząłeś się nią interesować.

Rayford znowu poczuł się dotknięty, ale stłumił gniew i uznał, że zasłużył na to.

— Może właśnie dlatego nigdy nie posunąłem się za daleko — powiedział. — Pomyślałaś o tym?

— To wszystko jest dla mnie całkiem nowe — odparła. — Mam nadzieję, że powstrzymałeś się z powodu swojej żony i dzieci.

— Właściwie nie.

— Tak myślałam. A co zrobisz, jeśli twoja nowa strategia wobec Hattie sprawi, że staniesz się dla niej jeszcze bardziej atrakcyjny? Popatrz na to z jej punktu widzenia. Już nie jesteś żonaty, skoro twierdzisz, że mama jest w niebie.

Rayford zamówił deser i odłożył serwetkę na stół.

— Może jestem naiwny, ale ponieważ twoja mama jest w niebie, czuję się tak, jakby zabrała mi ją nagła śmierć. Inna kobieta, a szczególnie Hattie Durham, to ostatnia sprawa, o której mógłbym teraz myśleć. Poza tym jest za młoda i zbyt niedojrzała, a ja jestem zbyt niezadowolony z siebie, że uległem pokusie myślenia o niej. Chcę teraz usiąść i szczerze z nią porozmawiać i zobaczyć, jak zareaguje. To będzie pouczająca lekcja, dowiem się, czy to wszystko działa się tylko w moim umyśle.

— Myślisz o związku z kimś innym?

— Chloe, kocham cię, ale jesteś za młoda na takie rozmowy, a poza tym jesteś moją córką.

— Tak, wiem. Przepraszam. Tak mi się tylko wymknęło. Ale skąd wiesz, że ona powie ci prawdę? Jeśli jej powiesz, że byłeś nią zainteresowany, a teraz ci przeszło, skąd wiesz, że otworzy się przed tobą i powie ci to samo.

Rayford wzruszył ramionami.

— Być może masz rację. Muszę jednak być szczerzy, nawet jeśli ona nie będzie szczerą. Jestem jej to winien. Chcę, żeby zrozumiała, czego naprawdę potrzebuje.

— Nie wiem, tato, czy to zadziała. Myślę, że jest trochę za wcześnie, żeby popychać ją ku Bogu.

— Za wcześnie, Chloe? Przecież wiesz, że nie ma już żadnych gwarancji.

Steve wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki dwa komplety akredytacji prasowych na spotkanie z Nicolae Carpathią, gdy będzie przemawiał na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ po południu. Akredytacja Bucka była wystawiona na nazwisko Jerzy Oreskowicz.

— Nie uważasz, że i tym razem pomyślałem o wszystkim?

— Niewiarygodne — zdumiał się Buck. — Ile mamy czasu?

— Trochę ponad godzinę — powiedział Steve, zatrzymując takśówkę. — I, jak powiedziałem, on chce się z tobą spotkać.

— Chyba czyta po angielsku, co? Pewnie wie, że jestem martwy.

— Też tak przypuszczam. Ale chyba będzie mnie pamiętał z dzisiejszego porannego spotkania i mam nadzieję, że uda mi się go zapewnić, iż wywiad przeprowadzany przez Jerzego Oreskowicza będzie równie ważny, jakby go przeprowadził legendarny Cameron Williams.

— Wcale w to nie wątpię, ale jeśli on jest taki sam jak inni politycy, to powinno mu zależeć, żeby wywiad przeprowadził z nim bardzo znany i najlepszy dziennikarz. Chcesz czy nie, jestem właśnie takim dziennikarzem. W jaki sposób zdołasz go przekonać, żeby zgodził się udzielić wywiadu nieznanemu człowiekowi?

— Nie wiem. Może mu powiem, że to naprawdę ty. Gdy już będziesz z nim sam na sam, przekażę prasie, że informacja o twojej śmierci była nieprawdziwa i właśnie przeprowadzasz wywiad na pierwszą stronę z samym Nicolae Carpathią.

— Artykuł na pierwszej stronie? Przecież do niedawna twierdziłeś, że jest on nieznaczącym dyplomatą z nieważnego kraju.

— Na konferencji prasowej wszystko się zmieniło Buck. Spotkałem się z nim osobiście. Możemy teraz wyprzedzić konkurencję. A jeśli go teraz nie przedstawimy opinii publicznej, będziemy jedynym czasopismem w Ameryce, które tego nie zrobi.

— Jeśli jest politykiem jak inni...

— Buck, daj spokój. Sam się przekonasz, że on jest zupełnie inny niż politycy, z którymi dotąd miałeś do czynienia. Będiesz mi jeszcze dziękował za ten wywiad.

— Myślałem, że to był jego pomysł, gdy usłyszał moje potężne nazwisko — zaśmiał się Buck.

— Więc co? Mam teraz do niego zadzwonić i odmówić?

— No pewnie, i być naczelnym redaktorem jedynego pisma w kraju, które nie zrobiło artykułu na pierwszą stronę o najbardziej fascynującej nowej twarzy, jaka pojawiła się w Stanach.

— Uwierz mi, Buck — mówił Steve podczas jazdy taksówką do gmachu ONZ — to będzie zmiana, która pozwoli wszystkim uwolnić się od smutku i rozpacz, które zdominowały środki przekazu.

Gdy wchodzili do budynku, pokazali akredytację, ale Buck zatrzymał się, żeby uniknąć spotkania z kolegami po fachu oraz rywalami, i czekał, aż wszyscy zajmą miejsca w głównej sali Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Steve miał zarezerwować miejsce z tyłu, gdzie Buck usiądzie w ostatniej chwili i nie będzie się rzucał w oczy. Steve miał też zadzwonić z komórki, by przekazać wiadomość o powrocie Bucka tak, żeby dzienniki dowiedziały się o tym wieczorem.

Carpathia wszedł na salę dostojnie, ale wyglądał trochę niepokojąco - w jego otoczeniu pośród rozmaitych osobistości, znajdował się Chaim Rosenzweig oraz jakiś finansista z rządu francuskiego. Carpathia był wysokim, przystojnym mężczyzną, wyglądał atletycznie przy około stu osiemdziesięciu pięciu centymetrach wzrostu, potężnych ramionach i szerokim podbródku. Starannie przystrzyżone gęste blond włosy oraz lekko brązowa opalenizna doskonale dopełniały eleganckiej sylwetki. Ubrany w granatowy, prążko-

wany garnitur, który uzupełniony wybornie dopasowanym krawatem, stwarzał wrażenie konserwatyzmu w najlepszym gatunku.

Nawet z daleka było widać, że człowiek ten wprawdzie jest pokorny, ale skutecznie dąży do jakiegoś celu. Wszedłszy, zdominował salę, chociaż wydawało się, że albo nie zdaje sobie z tego sprawy, albo nie robi to na nim żadnego wrażenia. Miał na sobie nie rzucającą się w oczy biżuterię. Szczeka i nos były wyraziście zarysowane, niebieskie oczy o przenikliwym spojrzeniu były głęboko osadzone pod grubymi brwiami.

Buck był zaskoczony, że Carpathia nie przyniósł żadnego notosu. Pomyślał, że konspekt przemówienia ma w wewnętrznej kieszeni marynarki. Jednak nie miał racji.

Pochodzący z Botswany sekretarz generalny Mwangati Ngumo zapowiedział, że Zgromadzenie Ogólne ma dzisiaj zaszczyt wysłuchać krótkiego przemówienia nowego prezydenta narodu rumuńskiego, a jego formalnej prezentacji dokona czcigodny dr Chaim Rosenzweig, dobrze znany wszystkim

Rosenzweig pośpieszył żywo na podium, jakby nagle odmłodził otrzymując burzę oklasków. Zgromadzenie Ogólne powitało go bardzo entuzjastycznie. Popularny izraelski mąż stanu i naukowiec krótko powiedział, iż ma zaszczyt przedstawić wielkiemu dostojnemu zgromadzeniu młodego człowieka, którego szanuje i podziwia jak nikogo przedtem: Jego Ekszelencję, prezydenta Rumunii, pana Nicolae Carpathię.

Carpathia wstał, odwrócił się do Zgromadzenia i lekko skłonił, po czym serdecznie uściśnął dłoń Rosenzweigowi. Jako człowiek o znakomitych manierach czekał przy mównicy, aż starszy pan wrócił i usiadł na swoim miejscu, po czym zrelaksowany uśmiechał się przez chwilę do zebranych i dopiero potem rozpoczął płynące z serca przemówienie. Nie czytał żadnych notatek, ale mimo to ani raz nie pomylił się ani nie zająknął, cały czas patrząc na zgromadzonych.

Przemawiał żarliwie, z pasją, często uśmiechał się, a czasami wtrącał jakiś żart, który dopasowywał do treści przemówienia. Wspom-

niał z szacunkiem, że doskonale zdaje sobie sprawę, iż nie minął jeszcze tydzień od masowych zniknięć milionów istnień ludzkich z obszaru całego globu, także wielu spośród tych, którzy powinni teraz być tutaj, w tym pomieszczeniu. Carpathia przemawiał w perfekcyjnym angielskim z ledwo słyszalnym akcentem rumuńskim. Poprawnie wymawiał każdą sylabę. Na koniec posłużył się dziewięcioma językami, w których był równie biegły, za każdym razem tłumacząc sam siebie na angielski.

Ku zdumieniu obecnych Carpathia rozpoczął przemówienie od oświadczenia, że poczytuje sobie za najwyższy honor i jest do głębi poruszony faktem, iż jest mu dane po raz pierwszy odwiedzić to historyczne miejsce, gdzie narody zgodnie zasiadają obok siebie. Przedstawiciele narodów przybyli tu jakby z pielgrzymką do Ziemi Świętej, gdzie wystawiają się na żar wschodzącego słońca. Tym razem wszyscy zebrali się, żeby ostatecznie opowiedzieć się za pokojem pomiędzy narodami i zobowiązać do zaniechania animozji, chęci odwetu oraz porzucenia dążeń do wojny i przelewu krwi. Wszystkie narody, wielkie i małe, mają już dość umierania i okaleczania swoich najlepszych obywateli w kwiecie wieku - swojej młodzieży.

— Nasi ojcowie dawno już marzyli o pokoju światowym; zdają sobie sprawę, że to, co dzisiaj mówię, nie jest nowe — zwrócił się do zebranych Carpathia. — W 1944 roku, w tym samym roku, w którym powstał Międzynarodowy Fundusz Walutowy oraz Bank Światowy, ten wielki gościnny kraj, Stany Zjednoczone Ameryki, spotkały się ze Zjednoczonym Królestwem Wielkiej Brytanii oraz Związkiem Radzieckim na znanej i pamiętnej konferencji w Dunbarton Oaks, żeby powołać do życia tę organizację.

Dając rys historyczny oraz opisując się encyklopedyczną wręcz znajomością dat i miejsc, Carpathia ciągnął:

— Od momentu oficjalnego powstania ONZ, co nastąpiło 24 października 1945 roku, i od pierwszego posiedzenia Zgromadzenia Ogólnego, które odbyło się 10 stycznia 1946 roku w Londynie, aż do dnia dzisiejszego kraje i narody zbierały się na tym miejscu, żeby wyrażać wolę osiągnięcia trwałego pokoju, braterstwa i wspólnoty.

Po chwili przerwy rozpoczął prawie szeptem:

— Z ziem dalekich i bliskich przybyli tu wszyscy: od Afganistanu przez Albanie, Algierię... — Mówił modulując głos, który falował, wznosił się i dramatycznie opadał, gdy mówca wymieniał państwa członkowskie ONZ. Buck wyczuwał w jego głosie pasję, umiłowanie do tych krajów i ideałów ONZ-owskich. Carpathia był najwyraźniej wzruszony, gdy wymieniał kraj po kraju, ani na chwilę się nie zatrzymując, ale też nie spiesząc się.

Wszyscy zauważyli, że przedstawiciele poszczególnych państw spontanicznie, lecz z godnością wstawali z miejsc i stawali wyprężeni jak struny, jakby na znak głosowania za nowym pokojem pomiędzy narodami świata. Carpathia uśmiechał się nieznacznie i z szacunkiem pochylał lekko głowę przed kolejnymi wstającymi. Z powodu nadzwyczajnego, do tej pory niewyjaśnionego tragicznego zjawiska zniknięć ludzi, które nawiedziło cały świat, przedstawiciele różnych narodów przybyli tu, wspólnie poszukując jakiejś odpowiedzi, pomocy, zachęty. A teraz dana im została ponownie możliwość opowiedzenia się za czymś, co w tej chwili było dla wszystkich tak bardzo niezbędne.

Buck był zmęczony i czuł się nieprzyjemnie w ubraniu, które nosił już drugi dzień. Ale jego samopoczucie nie miało znaczenia wobec fascynującej przemowy Carpathii. Ten dotarł już do litery „s”, i nagle ci, którzy już wstali, zaczęli cicho bić brawo, gdy wypowiadał nazwę kolejnego państwa. To wszystko było bardzo godne i wyrażało wielki szacunek i uznanie dla kolejnych krajów. W jakiś magiczny sposób wszyscy witali się w nowej, globalnej wspólnocie. Brawa nie były tak głośne, żeby przeszkadzały Carpathii, ale aplauz wyrażano tak serdecznie i ujmująco, że Buck z trudem tłumiał głośne przelykanie śliny w zaschniętym gardle. Nagle zauważył coś niezwykłego. Przedstawiciele prasy z poszczególnych krajów stawali obok swoich delegacji i ambasadorów. Nawet różnice polityczne przestały w tej chwili odgrywać rolę. Na chwilę zniknęło poczucie odrębności narodowej.

Buck zauważył, że w nim też rośnie chęć, by wstać z miejsca, bo chociaż jego kraj jeszcze nie był wymieniony już odczuwał dumę,

a serce biło mu jako dziennikarzowi politycznemu szczególnie gorąco. Im dłużej wyczytywano kraje, im więcej osób z dumą wstawało z miejsca, tym głośniejsze były brawa coraz większej liczby uczestników tej niezwyklej, nieznaney dotąd ceremonii. Wydawało się, że Carpathia jest w swoim żywiole, w jego głosie było coraz więcej uczucia i mocy.

Raz po raz głos Carpathii rozbrzmiewał jak grom, a ludzie wstawali klaszcząc w dłonie. — Somalia! Sri Lanka! Sudan! Suriname! Szwajcaria, Szwecja, Syria!

Carpathia recytował tak już ponad pięć minut i nie ominął żadnego kraju, nie zmienił kolejności alfabetycznej państw. Ani razu nie zawahał się i nie zająknął, nie popełnił najmniejszego błędu w wymowie. Buck ledwo mógł usiedzieć na brzegu fotela, gdy mówca zbliżał się do końca litery „S” — Stany Zjednoczone Ameryki Północnej! — Buck wyskoczył ze swego miejsca i spostrzegł obok siebie Steve'a oraz kilkunastu innych rozentuzjasmowanych amerykańskich dziennikarzy.

Coś niezwykłego stało się w związku ze zniknięciami ludzi. Z pewnością dziennikarstwo nie będzie już takie jak przedtem. Oczywiście nadal pozostaną sceptycy oraz łowcy sensacji. Ale coś się stało z braterską miłością. Ludzie chyba znów zaczęli uczyć się zaufania i polegania na sobie. Co się stało z ideą braterstwa, co się stało z narodami? To powróciło. Nikt nie spodziewał się, że środki przekazu mogą stać się miejscem reklamy nowo wschodzącej gwiazdy politycznej. Z pewnością Carpathia tego popołudnia miał wszystkich po swojej stronie. Gdy młody Nicolae kończył litanię około dwustu krajów, był to punkt kulminacyjny przemówienia. Poszczególne kraje spragnione wzajemnego zjednoczenia zelektryzowała moc, z jaką zostały wyczytane ich nazwy. Carpathia rzucił na kolana mocą swojego głosu oraz aplauzem cały tłum ludzi ze wszystkich ras i narodów zebranych w gmachu, także dyplomatów i przedstawicieli prasy. Nawet cyniczni Steve Plank i Buck Williams stali, klaszcząc i krzycząc na całe gardło bez zażenowania, chociaż nie byli teraz ani niezależni, ani obiektywni.

Carpathia zachował na koniec niespodziankę. Przez następne pół godziny popisał się taką znajomością największych tajników ONZ, jakby sam był twórcą i założycielem tej organizacji. Jak na kogoś, kto nigdy przedtem nie postawił stopy na amerykańskiej ziemi, ani nie odwiedził gmachu ONZ, wykazał się zadziwiającą znajomością działania struktur tej potężnej organizacji.

Podczas swojego przemówienia jakby mimochodem wymienił wszystkich sekretarzy generalnych od Trygve Lie z Norwegii do obecnego tu Ngumo, podając nie tylko, w jakich latach sprawowali swój urząd, ale też dokładne daty rozpoczęcia i zakończenia ich pracy. Popisał się znajomością i zrozumieniem wszystkich sześciu podstawowych organów ONZ, ich funkcji, aktualnych członków i zadań, jakie pełnią. Potem przeszedł przez wszystkie osiemnaście agend, wymieniając każdą włącznie z jej aktualnym dyrektorem i miastem, w którym znajduje się główna siedziba. To był pokaz znajomości rzeczy i nagle dla wszystkich stało się jasne, dlaczego ten młody człowiek tak szybko doszedł do szczytów władzy w swoim kraju i dlaczego poprzedni przywódca ustąpił. Nic dziwnego, Nowy Jork też był gotów przyjąć go niemal natychmiast.

Buck uświadomił sobie, że po tym wszystkim Nicolae Carpathię bez oporów zaakceptuje cała Ameryka. A potem cały świat.



## *Rozdział czternasty*

Samolot Rayforda wylądował w Chicago w poniedziałkowe popołudnie. Aż do chwili, gdy ruszyli z Chloe do swoich samochodów, nie mieli okazji kontynuować rozpoczętej w Atlancie rozmowy.

— Pamiętasz, obiecałeś mi, że poprowadzę twój samochód? — spytała.

— To dla ciebie takie ważne? — zdziwił się Rayford.

— Nie aż tak bardzo. Po prostu lubię twoje auto. Mogę?

— No pewnie. Wezmę tylko swój telefon. Chcę się skontaktować z Hattie, by się dowiedzieć, kiedy będzie mogła przyjechać do nas na obiad. Chyba nie masz nic przeciwko temu teraz, po naszej rozmowie, co?

— Tylko nie wymagaj ode mnie gotowania czy czegoś podobnego.

— Chloe, nawet o tym nie myślałem. Wiem, że ona uwielbia chińskie jedzenie. Zamówimy coś z chińskiej restauracji, dobrze?

— Ona uwielbia chińskie jedzenie — powtórzyła zdumiona Chloe.  
— Rzeczywiście znasz tę kobietę bardzo dobrze, nawet wiesz, co lubi.

Rayford potrząsnął głową.

— To nie jest tak, jak myślisz. To znaczy... tak, przypuszczam, że wiem o niej więcej, niż powinienem. Ale mogę ci powiedzieć, jaką kuchnię preferuje kilkanaście innych osób z naszego personelu, chociaż prawie nic nie wiem o ich prywatnym życiu.

Rayford wziął telefon ze swojego BMW i przekręcił kluczyk w stacyjce, żeby sprawdzić poziom paliwa.

— Wybrałaś właściwy samochód — powiedział. — Bak prawie pełny. Jedź do domu. W samochodzie mamy prawie nie ma benzy-

ny. Chyba dasz radę zostać przez parę minut w domu sama ? Skoro już będę w mieście, kupię co trzeba do domu. Chloe zawahała się.

— To trochę dziwne uczucie być samemu w domu, prawda? — powiedziała nieśmiało.

— Trochę tak. Ale musimy się do tego przyzwyczać.

— Masz rację, tato — odpowiedziała szybko. — Mama i Ray zniknęli. A ja nie wierzę w duchy. Nie ma problemu, wszystko będzie dobrze. Tylko wracaj prędko.

Podczas konferencji prasowej zwołanej przez Nicolae Carpathię po posiedzeniu Zgromadzenia Ogólnego Buck szybko zorientował się, że znajduje się w centrum uwagi. Ktoś go rozpoznał i wyraził zdumienie oraz zadowolenie z faktu, że żyje i jest w formie. Buck próbował wyjaśnić, że wszystko to wielkie nieporozumienie, ale wrzawa wokół niego wzmogła się, gdy sam Chaim Rosenzweig pośpieszył do niego, a potem witał się, energicznie potrząsając jego ręką.

— Och, tak się cieszę, że widzę cię całego i zdrowego — powiedział. — Słyszałem okropną wiadomość o twojej rzekomej śmierci. Także prezydent Carpathia był ogromnie zawiedziony i zasmucony, gdy się o tym dowiedział. Tak bardzo chciał się z tobą spotkać, że nawet zgodził się udzielić wywiadu wyłącznie dla ciebie.

— Czy to nadal aktualne? — zapytał Buck szeptem, żeby nie słyszała go konkurencja.

— Zrobisz wszystko dla rozgłosu i sensacji — zawołał ktoś. — Dasz się nawet wysadzić w powietrze.

— Prawdopodobnie nie będzie to możliwe wcześniej niż dzisiaj późnym wieczorem — powiedział Rosenzweig. Przebił się przez tłum dziennikarzy w pomieszczeniu wypełnionym kamerami, mikrofonami, reflektorami na stojakach. — Jest dziś bez przerwy zajęty, a pod wieczór ma jeszcze sesję zdjęciową dla magazynu „The People”. Może potem będzie mógł się z tobą spotkać. Porozmawiam z nim.

— Jakie masz z nim powiązania? — zapytał Buck, ale starszy mężczyzna przyłożył palec do ust i odsunął się, by zająć swoje miejsce obok Carpathii, podczas konferencji prasowej.

Młody Rumun był równie imponujący i przekonujący jak podczas Zgromadzenia Ogólnego. Zanim dziennikarze zaczęli zadawać pytania, wygłosił krótkie przemówienie. Prowadził konferencję jak stary wyga, chociaż Buck wiedział, że jego dotychczasowe doświadczenia z prasą zarówno w Rumunii, jak i niewielu spośród innych krajów europejskich, które odwiedził, nie mogą być źródłem takiej pewności siebie.

Buck zauważył coś bardzo szczególnego, a mianowicie, że Carpathia wymienił spojrzenia ze wszystkimi osobami na sali. Nigdy nie spoglądał na dół, czy w sufit ani nie rozglądał się na boki. To było tak, jakby nie miał nic do ukrycia i niczego się nie bał. Był zupełnie opanowany, najwyraźniej nie onieśmiewała go wrzawa wokół jego osoby.

Miał chyba nadzwyczajnie dobry wzrok - widział i potrafił odczytać nazwisko na identyfikatorach wszystkich ludzi w sali. Za każdym razem, kiedy zwracał się do któregoś dziennikarza, używał jego pełnego imienia i nazwiska - pan taki a taki. Nalegał, żeby ludzie nazywali go, jak chcą, jak im wygodnie. — Może być nawet Nick — powiedział, śmiejąc się. Ale nikt nie odważył się użyć tego określenia. Szli za jego przykładem, używając oficjalnego „panie prezydencie” albo „panie Carpathia”.

Carpathia odpowiadał, modulując głos jak podczas głównego przemówienia. Buck zastanawiał się, czy zawsze jest taki sam, publicznie i prywatnie. Niezależnie od tego, co wniesie jeszcze na światową scenę polityczną, w mistrzowski sposób opanował technikę werbalnego porozumiewania się i z pewnością nie było nikogo, kto mógłby mu w tym dorównać.

— Pozwólcie, że rozpocznę od wyrażenia wdzięczności za zaproszenie. Muszę powiedzieć, iż poczytuję sobie za najwyższy honor, że mogę być w waszym kraju oraz w tym jakże historycznym miejscu. Kiedy jeszcze jako mały chłopiec mieszkałem razem z rodzica-

mi w mieście Cluj, było moim marzeniem, żeby pewnego dnia znaleźć się tutaj.

Po wstępnych uprzejmościach Carpathia przeszedł do kolejnej miniprzemowy, ponownie prezentując wręcz nieprawdopodobną znajomość ONZ i jej misji.

— Pamiętamy — powiedział — że w ubiegłym wieku wyglądało na to, iż ta szacowna organizacja chyli się ku upadkowi. Amerykański prezydent Ronald Reagan doprowadził do eskalacji zimnej wojny pomiędzy Wschodem i Zachodem, a ONZ, zdawało się, kładła szczególny nacisk na uśmierzenie konfliktów pomiędzy Północą a Południem. Ta organizacja przez wiele lat miała wielkie kłopoty finansowe, gdyż wielu jej członków uchylało się od składek członkowskich. Jednakże wraz z końcem zimnej wojny, na początku lat dziewięćdziesiątych, nasz kolejny prezydent, pan George Bush, zauważył coś, co nazwał nowym światowym porządkiem, a co mocno zapuściło korzenie w moim młodzieńczym sercu. Podstawowe prawa wynikające z karty członkowskiej ONZ obiecywały ścisłą współpracę pomiędzy jej pierwszymi pięćdziesięcioma jeden członkami, włączając wielkie mocarstwa światowe.

Carpathia przeszedł do różnych akcji pokojowych przeprowadzanych przez zmilitaryzowane oddziały ONZ, począwszy od konfliktu na Półwyspie Koreańskim w latach pięćdziesiątych.

— Jak wiecie — powiedział, wskazując wydarzenia, które nastąpiły długo przed jego narodzeniem — ONZ bierze początek z Ligi Narodów, która jak wierzę, była pierwszą międzynarodową organizacją mającą na celu pokój między narodami. Została utworzona tuż przed końcem pierwszej wojny światowej, ale kiedy nie udało się zapobiec drugiej wojnie światowej, jej istnienie stało się anachronizmem. Z tego doświadczenia powstała idea Organizacji Narodów Zjednoczonych, która musi się ostać, żeby zapobiec trzeciej wojnie światowej, której rezultatem mogłaby być zagłada życia na Ziemi, jak zresztą wszyscy doskonale wiemy.

Gdy Carpathia nakreślił swoje dążenie wspierania ONZ we wszelki możliwy sposób, ktoś niespodziewanie wtrącił pytanie do-

tyczące ostatnich masowych zniknięć ludzi. Carpathia nagle spoważniał i przestał się uśmiechać; przemawiając ciepłym głosem wyraził współczucie.

— Wielu ludzi w moim kraju straciło swoich najbliższych w tym strasznym, niewytłumaczalnym kataklizmie. Wiem, że większość ludzi ma własne wytłumaczenie tego, co się stało, i nie mam najmniejszego zamiaru nikogo ośmieszać ani podważać żadnej teorii. Poprosiłem doktora Chaima Rosenzweiga z Izraela o współpracę z grupą naukowców, którzy próbują znaleźć wyjaśnienie tej straszliwej tragedii i jednocześnie pracują nad tym, żeby podobne zdarzenie nie miało miejsca w przyszłości.

We właściwym czasie, kiedy będą już jakieś konkretne wyniki badań, poproszę doktora Rosenzweiga, żeby zabrał głos w tej sprawie i przedstawił państwu szczegóły badań, ale dziś mogę powiedzieć w wielkim skrócie, jakie jest według mnie najbardziej sensowne wytłumaczenie. Przez lata świat gromadził broń nuklearną. Od czasu zrzucenia pierwszej bomby atomowej przez Stany Zjednoczone na Hiroszimę w 1945 roku oraz od pierwszej detonacji takiej bomby przez Związek Radziecki 23 września 1949 roku świat żył w stanie ciągłego zagrożenia nuklearnego. Doktor Rosenzweig wraz z grupą naukowców jest bliski odkrycia fenomenu atmosferycznego, który mógł doprowadzić do fali zniknięcia tak wielu ludzi.

— Co to za fenomen, jeśli mogę zapytać? — wtrącił Buck.

Carpathia rzucił okiem na identyfikator akredytacyjny Bucka, a potem spojrzał mu prosto w oczy.

— Nie chcę przedwcześnie wszystkiego wyjaśniać, panie Oreskowicz — powiedział. Kilku przedstawicieli prasy parsknęło śmiechem, ale Carpathia nie stracił kontroli nad sobą. — A może powinienem raczej powiedzieć „panie Cameron Williams z »Global Weekly«?”

Stwierdzenie to wywołało na sali ogólną wesołość. Buck był oszłomiony.

— Doktor Rosenzweig sądzi, iż cząsteczki elektromagnetyczne nagromadzone w atmosferze, w połączeniu z nieznaną jeszcze albo może raczej niewyjaśnioną jonizacją atomową, pochodzącą zarów-

no z elektrowni, jak i zakładów produkujących broń atomową na całym świecie, mogły zapalić się lub wybuchnąć z zupełnie naturalnych powodów, na przykład wskutek wyładowań elektrycznych w czasie burzy. Być może też inteligentne formy życia, których ciągle poszukujemy, odkryły to przed nami i wywołały tę nagłą tragedię.

— Coś w rodzaju wrzucenia płonącej zapalniczki do pomieszczenia pełnego oparów benzyny? — zasugerował jakiś dziennikarz.

Carpathia kiwnął głową w zamyśleniu.

— Jak to się ma do teorii przybyszów z kosmosu chcących porwać wszystkich ludzi i podbić Ziemię?

— Nie jest to znowu tak odległe od poprzedniej teorii — uznał Carpathia — ale osobiście wierzę, że stało się to raczej w wyniku naturalnego, niestety ludzkiego działania, a w połączeniu z siłami przyrody, jak wspominałem, z wyładowaniem elektrycznym podczas burzy na nadmiernie zagęszczonym polu atomowym.

— Jak pan sądzi, dlaczego zniknięcia były wybiórcze? Jedni ludzie zniknęli, inni nie.

— Nie mam pojęcia — przyznał Carpathia. — Nawet dr Rosenzweig mówił mi, że ani on, ani jego grupa nie odkryli jeszcze przyczyn. Aktualnie uważają jednak, iż niektórzy ludzie mają więcej elektryczności od innych i są bardziej od innych narażeni. To może tłumaczyć zniknięcia wszystkich małych dzieci, niemowląt, a nawet nienarodzonych jeszcze płodów. Ich elektromagnetyzm nie rozwinął się w takim stopniu, żeby zapobiec temu czemuś, co wywołało zniknięcia.

— A co pan powie ludziom, którzy wierzą, że było to dzieło Boga, że przyszedł On zabrać do siebie swój Kościół, zabrać go do nieba?

Carpathia uśmiechnął się z politowaniem.

— Nie krytykuję i nigdy nie będę krytykował niczyjej wiary. Jest to podstawa prawdziwej zgody i braterstwa pomiędzy ludźmi, pokoju i tolerancji. Osobiście jednak nie przyjmuję takiego wytłumaczenia, gdyż znam wielu, wielu ludzi, którzy także powinni być zabrani do nieba. Jeśli Bóg istnieje, to z całym szacunkiem przyjmuję, iż nie jest to jakiś jego kaprys czy wybryk. Niech to będzie dowo-

dem dla was, że nie słyszeliście z moich ust żadnej krytyki czy braku szacunku wobec tych, z którymi się nie zgadzam.

Buck był zaskoczony, gdy Carpathia zapowiedział, iż otrzymał zaproszenie do wygłoszenia przemówienia na zbliżającej się konferencji ekumenicznej, która miała się odbyć jeszcze w tym miesiącu w Nowym Jorku.

— Mam zamiar przedstawić tam swój punkt widzenia na temat tysiącletniego królestwa, eschatologii, sądu ostatecznego oraz powtórnego przyjścia Chrystusa. Dzięki uprzejmości dr. Rosenzweiga otrzymałem zaproszenie na to spotkanie i myślę, że będzie dobrze, jeśli do tego czasu nie będę się wypowiadał na ten temat.

— Jak długo pozostanie pan w Nowym Jorku?

— Jeśli mój naród mi pozwoli, być może zabawię tu około miesiąca. Ogromnie nie lubię przebywać poza moją ojczyzną, ale wiem, że oni doskonale rozumieją, iż mam do wykonania także pewną misję dla dobra całej ludzkości. Dzisiejsza technologia oraz wspaniali ludzie zajmujący najwyższe urzędy państwowe w Rumunii umożliwią mi, jak wierzę, utrzymanie stałego kontaktu z krajem i ufam, że naród nie ucierpi z powodu mojej krótkiej nieobecności.

Zanim ukazały się pierwsze wiadomości wieczorne, narodziła się nowa gwiazda polityki międzynarodowej. Otrzymała nawet przewisko: Święty Nick. Z sali obrad Zgromadzenia Ogólnego oraz konferencji prasowej przekazywano wszystkie wypowiedziane tam słowa. Carpathia był zadowolony z kilku minut transmisji telewizyjnej z obydwu spotkań - pokazano porywający obraz uczestników przy wymienianiu państw oraz usilne wezwanie do powszechnego pokoju.

Carpathia ostrożnie unikał szczegółowego omawiania globalnego rozbrojenia. Jego orędzie przekazane tego popołudnia mówiło o miłości i pokoju, zrozumieniu i braterstwie między narodami tak, że zakończenie walk i wojen było oczywiste. Niewątpliwie w przyszłości będzie musiał powrócić do tematu rozbrojenia, ale na razie Carpathia osiągnął swój cel.

Komentatorzy prasowi i telewizyjni kładli nacisk na to, że zostanie on specjalnym doradcą sekretarza generalnego i odwiedzi wszyst-

kie główne agendy ONZ na całym świecie. Późnym wieczorem był już zaproszony na wszystkie ważniejsze posiedzenia międzynarodowe w Nowym Jorku na kilka najbliższych tygodni.

Carpathii wszędzie towarzyszył Jonathan Stonagal, co wcale Bucka nie dziwiło. Natychmiast po konferencji prasowej został wręcz porwany na inne spotkania. Rosenzweig odnalazł Bucka.

— Udało mi się uzyskać zapewnienie Nicolae, że może się spotkać z tobą dzisiaj późnym wieczorem — powiedział starszy pant

— Ma już kilka umówionych wcześniej wywiadów, większość z nich to ludzie z telewizji, a potem będzie na żywo w telewizji w programie ABC *Wieczorna linia*, który prowadzi Wallace Theodore. Po« tern wróci do hotelu i chętnie poświęci ci pół godziny.

Buck powiedział Steve'owi, że jak najprędzej musi się dostać do domu, żeby wziąć prysznic, odświeżyć się, odebrać wiadomości z automatycznej sekretarki, a potem popędzić do redakcji, żeby z bazy danych w jak najkrótszym czasie dowiedzieć się jak najwięcej o tym człowieku. Chciał być najlepiej przygotowany do wywiadu z nową gwiazdą. Steve zgodził się mu towarzyszyć w tym szalonym przedsięwzięciu.

— Pamiętaj jednak, że nadal jestem paranoikiem — przypomniał Buck. — Jeśli Stonagal w jakimkolwiek stopniu współpracuje z Todd-Cothranem, a przecież wiemy, że tak, kto wie, co pomyśleli o tym, co wydarzyło się w Londynie niespełna dobę temu.

— Ta sprawa wygląda na poważniejszą niż jest — odrzekł Steve.  
— No i co z tego, nawet jeśli te brudy sięgają giełdy londyńskiej czy Scotland Yardu? Wcale nie znaczy to, że Stonagal mógł w ogóle być w to zamieszany. Myślę, że raczej wolałby się trzymać z daleka.

— Ale, Steve, posłuchaj, musisz się ze mną zgodzić, że Dirk Burton został zamordowany, gdyż prawdopodobnie znalazł się zbyt blisko tajemniczych powiązań Todd-Cothrana z międzynarodową grupą finansistów Stonagala. Jeśli usuwają ludzi, jak na przykład Alana Tompkinsa i mnie — to co może ich zatrzymać?

— Podejrzewasz, że Stonagal wiedział, co stało się w Londynie? Ja myślę, że on jest ponad to. Może Todd-Cothran albo ten



facet w Scotland Yardzie postrzegają cię jako ewentualne zagrożenie, ale przypuszczam, że Stonagal nigdy nawet nie słyszał o tobie.

— Myślisz, że nigdy nie czytał ani nie przeglądał „Global Weekly”?

— Buck, nie to miałem na myśli. Nie chcę cię urazić, ale dla niego jesteś małym robaczkiem, wątpię więc, by znał twoje nazwisko.

— Wiesz jednak, co można zrobić małemu robaczkowi, jeśli się go pacnie zwinie gazetą, Steve?

— Jest jedna wielka luka w twojej argumentacji — powiedział Steve później, po długim namyśle, kiedy wchodzili do mieszkania Bucka. — Jeśli Stonagal jest dla ciebie niebezpieczny, co to ma wspólnego z Carpathią?

— Mówiłem, że Carpathią może być tylko pionkiem w ich grze.

— Buck! Przecież sam go słyszałeś! Czy przesadzałem, gdy ci mówiłem o nim dzisiaj rano?

— Nie!

— A czy ty byłeś w zamachu bombowym?

— Tak.

— Czy Nicolae w ogóle wygląda jak czyjś pionek?

— Nie.

— Mogę więc tylko przypuszczać, że on o niczym nie wiedział. Jesteś pewien, że przed przyjazdem tutaj spotkał się najpierw z Todd-Cothranem i Stonagalem w Londynie?

— To było spotkanie poświęcone całej tej sprawie — odrzekł Buck. — Planowanie wyprawy do ONZ oraz jego zaangażowania jako doradcy międzynarodowego

— Buck, bardzo ryzykujesz — ostrzegł Steve.

— Nie mam wyboru. A poza tym, wiesz, że lubię nowe, trudne wyzwania. Mam zamiar zaufać Nicolae Carpathii, chyba, że udowodni, iż jest inaczej, niż myślę.

— No, proszę! — wyrzucił z siebie Steve.

— Co takiego?

— Normalnie stosujesz zupełnie inną taktykę. Nie ufać nikomu, do czasu aż ten ktoś udowodni, że jest inaczej.

— No cóż, Steve. Żyjemy w nowym świecie. Wszystko się zmieniało w ciągu ostatniego tygodnia i nic już nie będzie takie samo, prawda?

Buck uruchomił automatyczną sekretarkę i zaczął się rozbierać, by wziąć prysznic.

Rayford wjechał na podjazd przed domem z torbami pełnymi zakupów na siedzeniu. Wcześniej dodzwonił się do Hattie Durham, która tak długo zatrzymała go przy telefonie, że w końcu musiał prosić, by się rozłączyła. Była uszczęśliwiona zaproszeniem na obiad i powiedziała, że może przyjść za trzy dni, to jest w czwartek wieczorem.

Rayford przyjechał do domu około pół godziny po Chloe i był mile zaskoczony, że zostawiła otwarte drzwi od garażu. Zdziwił się jednak, gdy zobaczył, że drzwi do domu są zamknięte. Zapukał. Bez odpowiedzi.

Jeszcze raz otworzył opuszczane drzwi garażowe i wyszedł na zewnątrz, a potem obszedł dom dookoła, aż wrócił do punktu wyjścia. Zatrzymał się jednak, zanim ponownie je zamknął. Czegoś brakowało. Włączył światło, żeby lepiej przyjrzeć się pomieszczeniu. Wszystkie trzy samochody były na miejscu, ale...

Rayford obszedł jeepa dookoła. Gdy przeszedł na drugą stronę pojazdu, zauważył, że czegoś brakuje. Nie było rzeczy należących do jego syna. Roweru! Co to ma znaczyć?

Poszedł do drzwi frontowych. Szyba w nich była wybita, a drzwi wisiły na jednym zawiasie. W głównym wejściu była dziura od silnego kopnięcia nogą. Ktoś się musiał nieźle namęczyć, gdyż drzwi były duże i ciężkie, drewniane, a solidny zatrzask miał skutecznie chronić przed ewentualnym włamaniem. Cała futryna była w drzazgach a jej kawałki leżały w przedpokoju na podłodze. Rayford wpadł do środka, wołając Chloe.

Biegał z pokoju do pokoju, modląc się, by nic się jej nie stało. Wszystko, co przedstawiało jakąś wartość, zniknęło. Sprzęt radio-

wo-telewizyjny, magnetowidy, biżuteria, odtwarzacze kompaktowe i płyty, gry video, a nawet chińska porcelana. Odetchnął z ulgą, nie widząc śladów krwi ani walki.

Połączył się z policją i zgłosił włamanie, a w słuchawce jego telefonu odezwały się dwa krótkie sygnały rozmowy oczekującej.

— Nie chciałbym przerywać rozmowy — powiedział do oficera policji, — ale to może być moja córka.

Nie mylił się.

— Och, tato! — ucieszyła się płacząc. — Nic ci się nie stało? Wjechałam do garażu i zobaczyłam, że brakuje wszystkich rzeczy należących do Raymiego. Bałam się, że może wrócić, zamknęłam więc drzwi od strony garażu na klucz i poszłam tak samo zamknąć drzwi frontowe. Wtedy zobaczyłam rozbite szkło, porzrzućane po podłodze kawałki drewna i wszystko inne, uciekłam więc tylnymi drzwiami. Jestem trzy domy dalej.

— Oni tu nie wrócą, kochanie — powiedział. — Już idę po ciebie.

— Pan Anderson ofiarował się, że może odprowadzić mnie do domu.

Kilka minut później Chloe siedziała na kanapie w pokoju gościnnym, ciągle trzęsąc się ze strachu. Oficer policji wysłuchał tego samego sprawozdania, co ojciec, a następnie spisał zeznanie Rayforda.

— Nie macie alarmu antywłamaniowego? — zdziwił się.

Rayford potrząsnął głową.

— To mój błąd. Używaliśmy go przez lata, ale ani razu nie był nam potrzebny, aż w końcu byłem znużony częstym budzeniem w środku nocy fałszywymi alarmami od poli... to znaczy, hm...

— Tak, wiem, telefony od nas w środku nocy — powiedział policjant. — Wszyscy tłumaczą się tak samo. Ale tym razem warto byłoby go mieć, prawda?

— Na pewno. Teraz jednak jest już niestety po sprawie — przyznał Rayford. — Tak naprawdę nigdy nie myślałem, że w tej okolicy będziemy kiedyś potrzebowali zabezpieczeń antywłamaniowych.

— Takie przestępstwa wzrosły o ponad dwieście procent w ciągu ostatniego tygodnia — oznajmił oficer. — Złodzieje doskonale

wiedzą, że jest nas za mało i nie jesteśmy w stanie wszystkiemu *w porę zapobiec*.

— Czy mógłby pan uspokoić moją córkę i zapewnić ją, że ci, którzy tego dokonali, to zwykli rabusie i że nie my byliśmy ich celem i więcej tu nie powrócą?

— To prawda, proszę pani — potwierdził policjant. — Pani ojciec musi teraz zabarykadować zniszczone drzwi, dopóki nie zostaną naprawione, a ja załatwię założenie systemu alarmowego. Nie spodziewałbym się ponownych odwiedzin rabusiów, a już na pewno nie tych samych. Rozmawialiśmy z ludźmi z naprzeciwka. Widzieli półciężarówkę z rek/ama dywanów. Stała pod waszym domem przez jakieś pół godziny dzisiejszego popołudnia. Podeszli do frontowych drzwi, potem przeszli do garażu, otworzyli te duże zasuwane drzwi, ustawili swój pojazd na wolnym miejscu w garażu i zapakowali wszystko, co było w domu, prawie na ich oczach.

— I nikt nie widział, jak włamywali się do drzwi frontowych?

— Ci sąsiedzi nie widzą dobrze państwa domu. Poza tym, proszę zrozumieć, nikt nie stoi przy drzwiach czy w oknie, cały czas obserwując sąsiednie domy.

— Cieszę się, że Chloe nie natknęła się na nich — powiedział z ulgą Rayford.

Policjant skinął głową i wyszedł.

— Właśnie. Mam nadzieję, że ubezpieczenie pokryje większość szkód związanych z włamaniem. Niech się pan nie spodziewa odzyskania zagrabionych rzeczy. Dotychczas w innych przypadkach nie udało nam się natrafić na żaden ślad.

Rayford przytulił Chloe, która nadal drżała, nie mogąc dojść do siebie.

— Tato, czy mogę cię o coś prosić? — spytała.

— Co tylko sobie życzysz, kochanie.

— Czy mógłbyś zdobyć kopię kasety video, tej od proboszcza Billingsa?

— Zadzwoń do Bruce'a i jeszcze dzisiaj wieczorem ją dostaniemy.

Nagle Chloe zaczęła się śmiać.

— Teraz to cię śmieszy? — zdziwił się Rayford.

— Pomyślałam o tym — powiedziała, nadal śmiejąc się przez  
łzy — co by było, gdyby złodzieje obejrzeni tę kasetę.

## *Rozdział piętnasty*

Jedną z pierwszych wiadomości na automatycznej sekretarce Bucka zostawiła stewardessa, którą spotkał tydzień temu.

*Panie Williams, mówi Hattie Durham — odezwał się głos w telefonie. — Jestem akurat w Nowym Jorku i czekam na następny lot, korzystam z wolnej chwili, żeby się przywitać i jeszcze raz podziękować za pana pomoc w skontaktowaniu się z rodziną. Zaczekam jeszcze chwilę na wypadek, gdyby przeszukiwał pan inne wiadomości, a potem zadzwonię jeszcze raz. Byłoby fajnie, gdybyśmy mogli gdzieś się spotkać i wypić razem drinka albo zjeść lunch, ale proszę się nie czuć zobowiązany. Jeśli nie teraz, to może innym razem.*

— Kto to?—zaciekawiał się Steve, podczas gdy Buck stał w drzwiach, zastanawiając się, czy wysłuchać pozostałych wiadomości teraz, czy później, po kąpieli.

— Dziewczyna — odpowiedział.

— Ładna?

— Więcej niż ładna. Wspaniała!

— No, to radzę ci oddzwonić.

— Daj spokój!

Pozostałe wiadomości były nieważne. Na końcu były dwie nagrane tego popołudnia. Pierwsza od kapitana Howarda Sullivana ze Scotland Yardu.

*Dzień dobry, panie Williams. Zastanawiam się, czy dobrze robię, ale zależy mi na rozmowie z panem tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Z pewnością pan wie, że dwóch dżentelmenów, z którymi był pan zaprzyjaźniony, przedwcześnie spotkała nagła śmierć, W związku z tym chciałbym zadać panu kilka pytań. Być może sły-*

*szal pan już od innych agencji, że widziano pana z jedną z ofiar tuż przed jej nieszczęsnym zgonem. Bardzo proszę o telefon. — Zostawił numer, na który Buck miał zadzwonić.*

Następną wiadomość nagrano niecałe pół godziny temu i został ją Georges Lafitte, pracownik operacyjny Interpolu, międzynarodowej organizacji policyjnej z siedzibą w Lyonie we Francji.

*Panie Williams — powiedział z wyraźnym akcentem francuskim —?Ay tylko odbierze pan tę wiadomość, proszę kontaktować się ze mną z najbliższego posterunku policji. Będą tam wiedzieli, jak bezpośrednio skontaktować się z nami i będą też mieli informację dotyczącą sprawy, o której musimy z panem rozmawiać. Pańskie życie jest w niebezpieczeństwie, dlatego dla pańskiego dobra proszę o pilny kontakt z nami.*

Buck wychylił się i spojrzał na Steve'a, który był nie mniej zdumiony niż on sam.

— I co teraz? — zapytał. — Jesteś podejrzany, ścigany listem gończym przez Interpol?

— Lepiej nie. Po tym, co słyszałem od Alana odnośnie do Sullivana i tego, że siedzi w kieszeni Todd-Cothrana, nie mam najmniejszego zamiaru jechać do Londynu i dobrowolnie dać się wsadzić do więzienia. Te wiadomości nie są dla mnie wiążące, prawda? Chyba nie muszę robić tego, czego chcą, tylko dlatego, że je przesłuchałem, co?

Steve wzruszył ramionami.

— Nikt oprócz mnie ich nie słyszał. A poza tym uprawnienia międzynarodowej służby bezpieczeństwa nie sięgają aż tutaj.

— Myślisz, że mogę podlegać ekstradycji?

— Tylko wtedy, jeśli będą próbowali połączyć cię z którymś z tych zabójstw.

Chloe nie chciała siedzieć sama w domu tego wieczoru. Pojechała z ojcem do kościoła, a Bruce wyszedł im na spotkanie i wręczył nową kopię kasety. Co chwilę potrząsał głową, słysząc opowieść o włamaniu.

— To jest jak zaraza — powiedział. — Wygląda na to, że świat przestępczy przeniósł się z centrum miast na przedmieścia. Nie jesteśmy już bezpieczni.

Rayford z trudem powstrzymywał się przed wyznaniem Bruce'owi, iż o nową kopię kasy, którą im skradziono, prosiła Chloe. Chciał mu powiedzieć, żeby trwał na modlitwie o nią, o to, by nadal nad tym wszystkim rozmyślała. Być może to włamanie do ich domu spowoduje, że dziewczyna otworzy się i będzie bardziej podatna na Słowo. A może dotarło do niej, że świat stał się o wiele bardziej niebezpieczny, że nie ma już żadnej ochrony ani zabezpieczeń i że jej własny czas może być już bardzo krótki. Ale Rayford zdawał też sobie sprawę, że może ją urazić i oddalić od poznania prawdy, jeśli będzie chciał posłużyć się tymi okolicznościami. Miała dość informacji, powinien więc pozwolić działać Bogu. Chciał bardzo podzielić się z nowym przyjacielem tym, co się dzieje w jego sercu. Postanowił jednak, że poczeka jeszcze na inną sposobność.

Kiedy wyszli z kościoła, pojechali do sklepu i Rayford kupił to, co niezbędne do funkcjonowania domu. Także telewizor i magnetowid. Zamówił fachowców do naprawy drzwi frontowych i zgłosił włamanie w firmie ubezpieczeniowej. Najważniejsze, że specjaliści policyjni zainstalowali system alarmowy. Wiedział jednak, że ani on, ani Chloe nie będą spokojnie spali tej nocy.

Gdy wchodzili do domu, zadzwonił telefon. Była to Hattie Durham. Rayford wyczuł w jej głosie osamotnienie. W istocie nie miała powodu, żeby dzwonić. Po prostu podziękowała mu jeszcze raz za zaproszenie na obiad i powiedziała, że niecierpliwie czeka na spotkanie. Rayford opowiedział jej wydarzenia tego dnia.

— Wszystko zaczyna się robić takie dziwne — powiedziała. — Wiesz, mam siostrę, która pracuje w klinice ginekologicznej.

— Tak — odrzekł niezdecydowanie. — Pamiętam, że wspominałaś o tym.

— Oni zajmują się tam planowaniem rodziny, poradnictwem antykoncepcyjnym oraz kierują na przerwanie niechcianych ciąż.



— Aha.

— Mają cały sprzęt i są przygotowani do przeprowadzania zabiegów na miejscu, w klinice.

Hattie czeka na potwierdzenie, że Rayford słucha i jest zainteresowany tematem. On jednak niecierpliwił się, więc wołał się nie odzywać.

— Nie będę cię dłużej zatrzymywać — powiedziała po chwili — Ale moja siostra powiedziała, że zostali na lodzie, interes zupełnie upadł.

— No cóż, to zrozumiałe, skoro nawet płody zniknęły z łona matek.

— Moja siostra nie jest tym zachwycona.

— Hattie, wiem, że wszyscy są przerażeni tym, co się stało. Rodzice na całym świecie nadal rozpaczają po utracie swoich dzieci.

— Tylko, że kobiety, którymi zajmowała się moja siostra i jej współpracownicy, chciały aborcji.

Rayford ugryzł się w język, żeby nie dać jej jakiejś impertynenckiej odpowiedzi.

— Rozumiem, więc może te kobiety są teraz wdzięczne, że nie muszą przechodzić przez proces aborcyjny.

— Być może, ale moja siostra i jej szefowie oraz pozostali pracownicy kliniki zostali bez pracy do czasu, gdy kobiety znowu zaczęły zachodzić w ciążę.

— Teraz rozumiem. Chodzi o pieniądze.

— Oni potrzebują pracy. Przecież mają rodziny, wydatki.

— A poza poradnictwem aborcyjnym i samymi zabiegami nie potrafią robić niczego innego?

— Niczego. Czy to nie straszne? Cokolwiek się stało, sprawiło, że moja siostra i jej współpracownicy zostali bez pracy i nikt tak naprawdę jeszcze nie wie, kiedy kobiety będą znowu zachodzić w ciążę i czy to możliwe.

Rayford musiał przyznać, że nawet nie podejrzewał Hattie, że jest bystra. Jak bardzo jednak chciałby teraz spojrzeć jej prosto w oczy.

— Hattie, hm, nie wiem, jak o to zapytać. Czy chcesz powiedzieć, że twoja siostra ma nadzieję, iż kobiety znowu zaczną zachodzić w ciążę po to, żeby musiały ją przerywać, i żeby ona dzięki temu znowu miała pracę?

— No tak, naturalnie. Co innego może robić? Sam wiesz, jak bardzo trudno jest zdobyć pracę w poradnictwie.

Skinął głową. Czy to jakiś nowy rodzaj obłądu, szaleństwa? Nie mógł tracić więcej energii na dyskusję z kimś, kto najwyraźniej nie miał zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, nie mógł jednak poradzić sobie z zakończeniem rozmowy.

— Myślę, że takie kliniki, jak ta w której pracuje twoja siostra, propagują pogląd, że ciąża sama w sobie jest czymś wstrętnym, czymś, czego się trzeba pozbyć. Nie uważasz więc, że powinni być zadowoleni, iż problem został rozwiązany, jeżeli kobiety nie będą już więcej zachodziły w ciążę?

Nie pojęła ironii.

— Ale, Rayford, posłuchaj, to jej praca. Wokół tego obraca się jej życie. To jest coś takiego, jakby miała stację benzynową i nikt nie kupował od niej benzyny, ani ropy, ani opon, ani niczego.

— Popyt i podaż.

— Właśnie! No, widzisz? Oni potrzebują tych niechcianych ciąż tylko dlatego, że na tym polega ich praca.

— To mi przychodzi na myśl lekarza, który chce, żeby ludzie chorowali albo doznawali obrażeń i przychodzili do niego po pomoc.

— Nareszcie to do ciebie dotarło, Rayfordzie.

Gdy Buck ogolił się i wykąpał, Steve powiedział:

— Przed minutą odezwał się mój pager. Detektywi z Nowego Jorku szukają cię w biurze. Niestety, ktoś im powiedział, że będziesz wieczorem w hotelu Plaża na spotkaniu z Carpathią.

— Cudownie!

— Wiem. Może po prostu powinienes temu stawić czoło.

— Jeszcze nie teraz, Steve. Najpierw muszę przeprowadzić wywiad z Carpathią i pozbierać wszystko w jedną całość. Potem się wypłaczę z całego tego bałaganu.

— Masz nadzieję, że Carpathią ci pomoże?

— Właśnie.

— A co, jeśli nie uda ci się do niego dotrzeć, zanim ktoś dobierze się do ciebie?

— Muszę już jechać. Nadal mam moją akredytację prasową i identyfikator na nazwisko Oreskowicz. Jeśli policjanci będą czekali na mnie przed hotelem, może nie od razu mnie rozpoznają.

— Daj spokój, Buck. Myślisz, że po twoim wyjeździe z Europy na fałszywym paszporcie gliniarze nadal nie wiedzą o tym nazwisku? Wiesz co, mam pomysł. Zamienię się z tobą identyfikatorami. Będę próbował wejść tam przed tobą jako Oreskowicz, może uda ci się zaoszczędzić tyle czasu, by dotrzeć na miejsce i spotkać się z Carpathią.

Buck wzruszył ramionami.

— Można spróbować — powiedział. — Nie mam zamiaru stać tutaj beczynnym, ale chcę widzieć Carpathię w *Wieczornej linii*.

— Chcesz pojechać do mnie?

— Myślę, że już dawno mnie tam szukali.

— Zadzwoń do Marge. Mieszka z mężem niedaleko stąd.

— Dobra, ale nie używaj mojego telefonu.

Steve skrzywił się.

— Zupełnie, jakbyś był szpiegiem z jakiegoś kryminału.

Steve zadzwonił ze swojej komórki. Marge nalegała, żeby przyjechali natychmiast. Mówiła, że jej mąż bardzo lubi oglądać serial MASH, który akurat jest wyświetlany w telewizji, ale go poprosi, żeby nagrał go sobie i obejrzał później.

Buck i Steve zauważyli dwa nieoznakowane pojazdy policyjne, które podjechały pod frontowe drzwi budynku, w którym mieszkał Buck, akurat w chwili gdy wsiadali do taksówki.

— To rzeczywiście jak film szpiegowski — zauważył Buck. Mąż Marge wcale nie był zachwycony usunięciem go z ulubionego fotela, ani tym, że nie może obejrzeć swego ulubionego seria-

lu, ale nawet jego zainteresowała *Wieczorna linia*. Carpathia albo zachowywał się tak naturalnie, albo był dobrze przygotowany do programu. Kiedy tylko nadarzała się okazja, patrzył prosto do kamery i mogło się wydawać, że mówi wprost do widzów.

— Wygląda na to, iż pańskie dzisiejsze przemówienie w ONZ — rozpoczął Wallace Theodore — wygłoszone pomiędzy dwiema konferencjami prasowymi zelektryzowało Nowy Jork, a ponieważ stacje radiowe i telewizyjne pokazały bardzo wiele, stał się pan nieoczekiwanie najpopularniejszą osobą w naszym kraju.

Carpathia uśmiechnął się.

— Jak każdy Europejczyk, szczególnie z Europy Wschodniej, jestem pod wrażeniem waszej niezwykłej technologii. Jestem...

— Ale czy to prawda, Sir, że pańskie korzenie tkwią właściwie w Europie Zachodniej? Urodził się pan w Rumunii, ale z pochodzenia jest pan Włochem, czyż nie?

— Zgadza się, podobnie jak wielu innych Rumunów. Stąd też nazwa naszego kraju. Zaczęliśmy jednak rozmawiać o waszej technologii — jest niezwykła, zdumiewająca, a ja nie przyjechałem do waszego kraju, by szukać sławy. Mam pewien cel, zadanie, misję do wykonania i to nie ma nic wspólnego z nagłą popularnością albo moim osobistym za...

— Ale przecież przed chwilą skończył pan sesję zdjęciową dla magazynu „People”?

— Tak, ale...

— Proszę nam powiedzieć, czy rzeczywiście otrzymał pan tytuł mężczyzny roku?

— Nic o tym nie słyszałem. Zgodziłem się na przeprowadzenie wywiadu, który w większości dotyczył mojego dzieciństwa, kariery zawodowej oraz kariery politycznej i byłem zdumiony, gdyż jak wiem, wybór mężczyzny roku odbywa się zazwyczaj w styczniu, tak więc jest teraz za wcześnie jeśli chodzi o przyszłoroczne wybory i za późno jeśli chodzi o tegoroczne.

— Zgadza się, panie Carpathia, i jestem pewien, że również pan jak my wszyscy, był pod wrażeniem wschodzącej gwiazdy muzyki, która rozbłysła niecałe dwa miesiące temu, a...

— Z zalem muszę przyznać, że nic nie słyszałem o tym młodym człowieku, dopóki nie ujrzałem jego zdjęcia na okładce magazynu.

— Proszę mi szczerze odpowiedzieć, czy wie pan, iż magazyn „People” złamał swoją tradycję, usuwając już nominowanego kandydata na mężczyznę roku i wprowadzając pańską kandydaturę do zeszlotygodniowego wydania?

— Tak, rzeczywiście, jednak wyjaśniono mi, że ów młody człowiek brał udział w jakiejś awanturze w restauracji czy hotelu i z tego powodu...

— ...stał się pan lepszym kandydatem.

— Nic o tym nie wiem, ale jeśli mam być szczerzy, muszę powiedzieć, że nigdy bym się nie zgodził na wywiad w takich okolicznościach. Nigdy też nie uważałem się za bardziej męskiego od kogokolwiek innego. Moją misją i pragnieniem jest spotkanie się z ludźmi z całego świata, którzy przyjeżdżają do Nowego Jorku. Nie szukam stanowiska ani władzy. Pragnę tylko być wysłuchany i zrozumiany. Mam nadzieję, że moje przesłanie będzie czytelne także w tym czasopiśmie.

— Ma pan już stanowisko i władzę.

— No tak, mój mały kraj poprosił mnie, żebym mu służył, co też czynię całym sercem...

— Jak odeprze pan zarzut, iż obszedł pan obowiązującą procedurę i że pańskie wyniesienie na urząd prezydenta Rumunii było skutkiem taktyki pewnych osobistości niezadowolonych z sytuacji.

— Mogę na to odpowiedzieć, iż to typowy atak na pacyfistów, którzy całkowicie poświęcili się idei rozbrojenia, nie tylko w Rumunii i Europie, ale także, a może przede wszystkim, rozbrojenia globalnego.

— Zaprzecza pan więc, że miał coś wspólnego z zamordowaniem swojego konkurenta w interesach przed siedmiu laty. Miał go pan ponoć zastraszyć oraz skorzystać z protekcji wpływowych i potężnych przyjaciół z Ameryki, żeby utorować sobie drogę do władzy prezydenckiej w Rumunii?

— Ten zamordowany rzekomy konkurent w interesach w rzeczywistości był moim bliskim, serdecznym przyjacielem, którego

do dziś nie mogę odżałować. Kilku moich amerykańskich przyjaciół ma być może wpływy tutaj, w waszym kraju, z pewnością jednak nie mają żadnego wpływu na polityków rumuńskich. Chyba wie pan, że nasz poprzedni prezydent sam prosił mnie, abym go zastąpił z powodów osobistych.

— Co było jednak absolutną drwiną z waszej konstytucji.

— Przegłosowano to w wyborach powszechnych, zgodził się na to rząd, ratyfikowała ogromna większość parlamentu.

— Tak, ale już po fakcie.

— W pewnym sensie. Z innego punktu widzenia jednak, gdyby nie ta ratyfikacja, zarówno powszechna, jak i w obu izbach naszego parlamentu, byłbym najkrócej urzędującym prezydentem w historii naszego narodu.

Mąż Marge mruknął pod nosem:

— Ten rzymiański chłopak to nie byle jaki bystrzacha.

— Rumuński — poprawiła Marge.

— Przecież słyszałem na własne uszy, jak powiedział, że jest pełnej krwi rzymianinem — oburzył się jej mąż. Marge spojrzała na Steve'a i Bucka.

Buck był zdumiony szybkością myślenia Carpathii oraz biegłością i znajomością tematu. Theodore zapytał go:

— Dlaczego wybrał pan Organizację Narodów Zjednoczonych? Można przecież powiedzieć, że zdobyłby pan większy rozgłos i uznanie pojawiając się w naszym Senacie i Izbie Reprezentantów.

— Nie śmiałybym nawet marzyć o takim przywileju — odpowiedział skromnie Carpathia. — Ale jak sam pan widzi, nie przyjechałem tu szukać rozgłosu i uznania. ONZ została założona, żeby utrzymać pokój pomiędzy narodami. Uważam, że musi powrócić do swojej pierwotnej roli.

— Wspomniał pan dzisiaj, iż ma jakieś szczególne plany wobec ONZ, które mogą pomóc nie tylko tej organizacji, ale ogólnie wszystkim w tak tragicznym okresie historii świata, jakim jest fala zniknięć na całym świecie.

— To prawda. Jednak takie sugestie nie byłyby na miejscu, gdyż zostałem zaproszony jako gość. To nie tajemnica, że jestem zdecydowanym orędownikiem rozbrojenia. Jestem pod wrażeniem wszechstronnych możliwości oraz szeroko zakrojonych różnorodnych planów i programów realizowanych przez Organizację Narodów Zjednoczonych. Całym sercem wierzę, iż po niewielkich zmianach i przy współpracy wszystkich członków ONZ, może ona być tym, czego najbardziej potrzebujemy. Naprawdę istnieje szansa, byśmy się stali jedną, globalną wspólnotą.

— Czy mógłby pan krótko powiedzieć, jak pan to widzi?

Na twarzy Carpathii pojawił się szczery, szeroki uśmiech.

— To oczywiście jak zwykle jest niebezpieczne — powiedział — ale spróbuję. Jak panu wiadomo, Rada Bezpieczeństwa ONZ składa się z pięciu stałych członków: Stanów Zjednoczonych, Rosji, Wielkiej Brytanii, Francji i Chin. Oprócz nich jest jeszcze dziesięciu niestałych członków, po dwóch z pięciu różnych regionów świata. Zasiadają w Radzie na dwuletnią kadencję.

Respektuję uznany przez świat wybór pięciu krajów jako stałych członków. Proponuję jednak wybranie następnych pięciu, po jednym z pięciu różnych regionów świata. Zostawmy dziesięciu niestałych członków, którzy i tak co dwa lata się zmieniają. Będziemy wówczas mieli dziesięciu stałych członków w Radzie Bezpieczeństwa. To dopiero początek mojego planu. Pozostała część jest zupełnie rewolucyjna. W chwili obecnej pięciu stałych członków Rady ma prawo weta, a zatwierdzenie dokumentów wymaga większości dziewięciu głosów; istotne zaś i żywotne problemy wymagają absolutnej większości w głosowaniu, w którym muszą wziąć udział wszyscy stali członkowie. Proponuję jeszcze bardziej skomplikowany system. Proponuję wymóg jednomyślności.

— Czy mógłby pan to bliżej wyjaśnić?

— Należałoby dokonać bardzo dokładnej selekcji państw tworzących skład Rady Bezpieczeństwa. Musiałyby mieć całkowitą rekomendację i poparcie wszystkich państw swojego regionu.

— To brzmi jak koszmar.

—Ale może zadziałać i zaraz powiem, dlaczego tak uważam. Koszmarem jest to, co nas spotkało w ubiegłym tygodniu. Jestem przekonany, iż nadszedł najwłaściwszy czas, by wszyscy ludzie na całym świecie zgodnie domagali się od swoich rządów całkowitego rozbrojenia i zniszczenia dziewięćdziesięciu procent uzbrojenia. Pozostałe dziesięć procent powinno pozostać w gestii ONZ tak, żeby organizacja mogła być strażnikiem pokoju światowego, mając po temu stosowne środki.

Carpathia dał telewizjom krótką lekcję historii, przypominając, że już w 1965 roku ONZ wprowadziła poprawkę do swojego pierwotnego zapisu dotyczącego liczby członków Rady Bezpieczeństwa z jedenastu do piętnastu. Powiedział, iż przyznanie prawa weta stałym członkom Rady doprowadziło do niepotrzebnego zablokowania wysiłków pokojowych, jak było w przypadku Korei czy też podczas okresu zimnej wojny.

— Sir, czy mógłby pan nam zdradzić, gdzie zdobył pan tę wręcz encyklopedyczną znajomość ONZ i konfliktów wojennych?

— No cóż, wszyscy znajdujemy czas, żeby robić to, co naprawdę chcemy i lubimy. To moja pasja.

— Proszę nam powiedzieć, jakie są pana cele osobiste? Może chciałby pan pełnić jakąś rolę przywódczą w Unii Europejskiej?

— Jak dobrze pan wie, Rumunia nie jest nawet członkiem UE. Ale nie, nie mam aż takich ambitnych celów z wyjątkiem pragnienia, żeby mnie wysłuchano. Musimy się rozbroić i wyposażać ONZ, musimy też wprowadzić jedną walutę i stać się jedną globalną, braterską wspólnotą.

Rayford i Chloe w ciszy oglądali wywiad z Carpathia, zdumieni nie tylko nową postacią, ale i nowymi ideami.

— Co za facet. — odezwała się w końcu Chloe. — Nigdy dotąd nie słyszałam polityka mówiącego jak on, chociaż i tak połowy z tego nie rozumiem.



— Tak, to jest ktoś — odpowiedział w zamyśleniu Rayford.  
— Szczególnie miło jest widzieć kogoś, kto nie szuka własnych korzyści.

Chloe zaśmiała się.

— Nie jest to chyba ów kłamca, przed którym przestrzegał proboszcz Billings na kasecie? Pamiętasz... mówił o jakimś człowieku z Europy, który będzie próbował zawładnąć całym światem.

— Trudno powiedzieć — skrzywił się Rayford. — Nie ma w nim nic złego, nawet odrobiny egoizmu. Coś mi mówi, że zwodziciel, o którym wspominał proboszcz, będzie o wiele bardziej oczywisty, jawny.

— Ale — nie chciała dać za wygraną Chloe — jeżeli on jest zwodzicielem, to może maskuje się tak dobrze, że nikt nie jest w stanie go rozpoznać.

— A ty? Po której stronie stoisz? Czy ten facet wygląda na Antychrysta?

Potrząsnęła głową.

— Jest jak podmuch świeżego powietrza. Gdyby próbował podstępem dojść do władzy, mogłabym coś podejrzewać, ale pacyfista?! I do tego zadowolony, że jest prezydentem małego kraju? Ujawnia się w nim tylko głęboka mądrość, a jego moc to szczerść i pokora.

W tym momencie zadzwonił telefon. Hattie chciała koniecznie rozmawiać z Rayfordem. Niemal obsesyjnie wychwalała Carpathię.

— Widziałeś tego gościa w telewizji? Jaki przystojny! Muszę się z nim spotkać. Masz jakieś loty do Nowego Jorku?

— Mam jeden w środę późnym wieczorem i wracam następnego dnia. Potem spotkamy się u nas w domu na obiedzie, pamiętasz?

— To wspaniale Rayfordzie, ale czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym leciała z tobą tym samolotem? Słyszałam, że informacja o śmierci tego dziennikarza była nieprawdziwa i właśnie jest w Nowym Jorku. Chciałabym spróbować spotkać go i namówić, aby mnie zapoznał z tym Carpathią.

— Myślisz, że go zna?

— No pewnie, Buck zna wszystkich. Przecież on komentuje wszystkie najważniejsze wydarzenia na świecie. Na pewno go zna. A nawet jeśli nie, to przynajmniej miło będzie znowu zobaczyć Bucka.

Rayford odetchnął z ulgą. Tak więc Hattie nie bała się mówić mu o dwóch młodszych mężczyznach, których bardzo chciała zobaczyć. Był pewien, że nie mówiła tego wystawiając na próbę, jego zainteresowanie swoją osobą. Z pewnością musiała wiedzieć, że nie jest nikim zainteresowany, zwłaszcza teraz, tuż po utracie żony. Rayford zaczął się nawet zastanawiać, czy warto doprowadzić do zaplanowanej, szczerzej rozmowy na temat uczuć, jakie żywił wobec niej. A może powinien raczej pójść na całość i namówić ją, żeby obejrzała kasetę nagrałą przez proboszcza Billingsa?

— W takim razie życzę ci powodzenia w zamierzeniach — powiedział po namyśle.

— Mogę więc poprosić o przydzielenie do twojego lotu?

— Czemu po prostu nie zaczekasz, czy sami cię nie przydzielą?

— Rayford!

— Co?

— Widzę, że mnie unikasz! Dlaczego? Czy powiedziałam albei zrobiłam coś niewłaściwego?

— Czemu tak mówisz?

— Myślisz, że nie wiem, że poprzednio nie chciałeś, żebym z tobą leciała?

— To nie było tak, jak myślisz. Ja powiedziałem im tylko...

— Równie dobrze mogłeś tak zrobić.

— Powiedziałem im to samo, co i teraz próbuję ci przekazać. Nie sprzeciwiam się twojej pracy na moich lotach tylko nie rozumiem, dlaczego się wtrącasz i nie pozwolisz im samym decydować, gdzie mają cię przydzielić.

— Sam wiesz, jakie są szanse, żebym za każdym razem dostała się na twój lot! Jeśli mówię im, kiedy chciałabym lecieć, wtedy z] względu na staż pracy zazwyczaj spełniają moją prośbę. Więc teraaw powiedz mi Rayfordzie, o co właściwie chodzi?

— Czy moglibyśmy o tym porozmawiać gdy przyjedziesz do nas na obiad?

— Porozmawiajmy o tym teraz.

Rayford przerwał, szukając słów

— Zastanów się, jak twoje prośby dotyczące przydziałów na poszczególne loty wpływają na relacje z pozostałym personelem. Wygląda na to, że wszyscy muszą się do ciebie dopasowywać.

— O to ci chodzi? Nagle zacząłeś się troszczyć o wszystkich?

Rayford nie chciał kłamać.

— Częściowo — powiedział.

— Nigdy dotąd cię to nie obchodziło. Właściwie to namawiałeś mnie sam, żebym prosiła w biurze o przydziały na twoje loty, a czasami razem to sprawdzaliśmy.

— Tak, pamiętam.

— W takim razie, co się stało? Co się zmieniło?

— Hattie, proszę cię. Nie chcę o tym rozmawiać przez telefon.

— W takim razie spotkajmy się gdzieś.

— To niemożliwe. Nie mogę zostawić Chloe samej po włamaniu.

— No to ja przyjadę do ciebie.

— Jest za późno.

— Rayford Myślisz, że mnie tak łatwo spławisz?

— Gdybym chciał cię spławić, nie zapraszałbym cię na obiad.

— Z córką w domu? Wygląda na to, że zamierzasz się mnie elegancko pozbyć.

— O czym ty mówisz, Hattie?

— O tym, że znajdowałaś przyjemność w przebywaniu ze mną na osobności i stwarzaniu pozorów, że jest coś między nami.

— Tak było.

— Muszę ci powiedzieć, Rayfordzie, że czuję się bardzo głupio z powodu twojej żony, naprawdę. Ty prawdopodobnie czujesz się winny, chociaż tak naprawdę między nami do niczego nie doszło. Nie odtrącaj mnie jednak, zanim będziesz miał kolejną szansę, gdy już pogodzisz się ze swoją stratą i na nowo zaczniesz układać swoje życie.

— Hattie, to zupełnie nie tak. Co masz na myśli mówiąc, że bym cię nie odtrącał? Przecież sama mówisz, że między nami nic nie było. W przeciwnym razie nie interesowałabyś się tym facetem z gazety i Rumunem.

— Wszyscy podziwiają Carpathię. Natomiast Buck jest jedynym człowiekiem, który może mnie do niego zaprowadzić. Nie możesz myśleć, że mam wobec niego jakieś zamiary. Naprawdę. Międzynarodowy dziennikarz? Daj spokój, Rayford!

— Nie obchodzi mnie to. Chcę tylko powiedzieć, że bardzo utrudniają naszą znajomość aluzje do tego, że myślałaś, iż między nami coś było.

— Więc chcesz, że bym w ogóle nie leciała do Nowego Jorku i jak najprędzej zapomniała o nich obu?

— No, niezupełnie. Nie to miałem na myśli.

— Dlatego, że ja mogę to zrobić. Gdybym kiedykolwiek myślała, że naprawdę mam jakieś szanse u ciebie, wierz mi, że na pewno bym to ciągnęła.

Rayford aż się cofnął z wrażenia. Jego obawy i przypuszczenia były właściwe, ale teraz czuł, że musi się bronić.

— Nigdy nie myślałaś, że masz jakieś szanse?

— Nie zostawiłeś mi cienia wątpliwości. Wiedziałaś, że często myślisz o mnie i uważasz mnie za całkiem niezłą babkę. Dobrze się bawiłeś, lecz miałeś przekonanie, że jestem dla ciebie za młoda i dlatego mnie nie dotknąłeś. Sam też byłeś niedotykalny.

— Jest w tym trochę prawdy.

— Czy jednak nie przyszło ci do głowy, że może być inaczej?

— To jest właśnie coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać na osobności, Hattie.

— Chcę, abyś teraz mi odpowiedział.

Rayford wziął głęboki oddech.

— Tak, muszę przyznać, że czasami nachodziły mnie pragnienia, aby między nami było coś więcej.

— No to widzę, że nie odgadłam twoich myśli i zaprzepąściłam swoją szansę. Podałam się za wcześniej, sądząc, że jesteś niedotykalny.

— Bo jestem.

— Tak, teraz tak. Rozumiem cię. Ciągłe czujesz ból, a **może i gorzej**, gdyż masz świadomość, że oprócz żony był jeszcze **ktos** inny przez jakiś czas w twoim życiu. Ale, czy to znaczy, że teraz nie mogę z tobą latać ani nawet nie wolno mi z tobą rozmawiać lub wypić drinka? Możemy przecież chyba wrócić do normalności i znowu zachowywać się wobec siebie tak jak dawniej. Jeśli nie będziesz myślał o niewłaściwych rzeczach, to nie powinno być źle między nami.

— Nie miałem na myśli tego, żebyś nie mogła ze mną rozmawiać, czy pracować, jeśli tak wypadnie to z harmonogramu. Gdyby mi na tobie nie zależało, chyba nie zaprosiłbym cię do siebie.

— Widzę, do czego zmierzasz, Rayfordzie, ale sam wiesz, że nigdy bym nie przyjęła takiego wyświechtanego sloganu: „No, to bądźmy przyjaciółmi”.

— Może i tak, ale jest jeszcze coś więcej.

— Co takiego?

— Coś, co muszę ci powiedzieć osobiście, twarzą w twarz.

— A co, jeśli ci powiem, że nie interesuje mnie taka poufałość? Wcale nie oczekuję, iż przybiegniesz do mnie teraz, gdy zniknęła twoja żona, ale też nie pozwolę się tak traktować.

— Czy zaproszenie na obiad nazywasz złym traktowaniem?

— A dlaczego nigdy wcześniej tego nie zrobiłeś?

Rayford milczał.

— No, proszę, odpowiedz mi.

— Bo to mogłoby być nie na miejscu — wymamrotał.

— I co? Nadal nie na miejscu byłoby inne spotkanie?

— Właściwie tak. Jednak bardzo mi zależy, żeby z tobą porozmawiać i wcale nie chodzi o splewienie cię.

— Chcesz mnie zmusić, Rayfordzie, żebym przez zwykłą ciekawość wsiadła do samochodu i natychmiast przyjechała do ciebie? Powiem ci coś. Po prostu muszę ci odmówić. Nie mogę skorzystać z twojego zaproszenia, gdyż będę tego wieczoru bardzo zajęta. Żałuję, ale nie mogę przyjechać. Coś się stało, coś niez-

planowanego wypadło mi mi w ostatniej chwili. Mam nadzieję, że rozumiesz.

— Hattie, proszę, naprawdę chcemy, żebyś przyjechała. Bardzo mi na tym zależy.

— Rayford, nie denerwuj mnie, dobrze? Jest wiele innych lotów do Nowego Jorku. Wcale nie muszę się gimnastykować, żeby lecieć z tobą. Postaram się z tobą nie latać.

— Nie musisz tego robić.

— Oczywiście. Nie miej wyrzutów sumienia z tego powodu. Chociaż prawdę mówiąc, z przyjemnością poznałabym Chloe, ale ty prawdopodobnie czułbyś się zobowiązany powiedzieć jej, że o mały włos nie zakochałeś się we mnie.

— Hattie, proszę, czy mogłabyś chociaż przez chwilę mnie posłuchać?

— Nie!

— Bardzo cię proszę, żebyś przyjechała do nas w czwartek wieczorem na obiad. Mam naprawdę coś niezwykle ważnego, o czym chciałbym z tobą porozmawiać.

— Powiedz mi, co to jest.

— Nie przez telefon.

— No, to nie przyjadę.

— A jeśli powiem ci tylko ogólnie, tak z grubsza, to przyjdiesz?

— To zależy.

— No cóż, dowiedziałem się, z czym były związane niedawne masowe zniknięcia ludzi. Wiem prawie wszystko na ten temat i chciałbym ci pomóc odkryć prawdę.

Przez dłuższą chwilę trwała cisza.

— Mam nadzieję, że nie zostałeś fanatykiem religijnym? — odezwała się wreszcie.

Z kolei on potrzebował trochę czasu. Naturalnie odpowiedź była „tak”, ale nie chciał jej teraz tego mówić.

— Przecież mnie znasz, prawda? Wierz mi, warto poświęcić temu trochę czasu.

— Powiedz mi coś więcej na ten temat, a odpowiem ci, czy mnie to w ogóle zainteresuje.

— Absolutnie nie! — powiedział Rayford tak zdecydowanym tonem, że aż go to zdziwiło. — Tego na pewno nie zrobię inaczej jak w rozmowie w cztery oczy, nie przez telefon.

— W takim razie nie przyjdę.

— Hattiel

— Do widzenia, Rayford.

— Hat...

Odłożyła słuchawkę.

## *Rozdział szesnasty*

— Ja sam nie zrobiłbym tego dla nikogo — powiedział Steve Plank, gdy dziękowali Marge i zdecydowali, że pojadą oddzielnymi taksówkami. — Nie mam pojęcia, jak długo będę w stanie ich powstrzymać przekonując, że jestem tobą próbującym udawać kogoś innego, więc nie przyjeżdżaj zbyt późno.

— Nie martw się.

Steve wsiadł do pierwszej taksówki, umieszczając na piersi identyfikator Bucka na nazwisko Jerzy Oreskowicz. Miał pojechać bezpośrednio pod hotel Plaża, gdzie zapyta w recepcji o wyznaczone spotkanie z Carpathią. Buck miał nadzieję, że Steve'a natychmiast aresztują jako Bucka, dzięki czemu będzie mógł dotrzeć do Carpathii. Jeśli władze będą próbowały zatrzymać Bucka, pokaże swój identyfikator Steve'a Pianka. Obaj wiedzieli, że ten plan jest bardzo niepewny, ale Buck był gotów na wszystko, żeby tylko nie dać się złapać i nie dopuścić do ekstradycji, uwięzienia czy dostania się w łapy zabójców Alana Tompkinsa, a może nawet Dirka Burtona.

Buck poprosił kierowcę taksówki, aby poczekał minutę po odjeździe Steve'a do hotelu. Gdy po chwili sam tam podjechał, wszędzie było pełno migających świateł służb bezpieczeństwa, stały policyjne auta oraz kilka dochodzeniowych nieoznakowanych samochodów służby bezpieczeństwa. Gdy przedzierał się przez tłum gapiów, policja wypychała z hotelu Steve'a z rękami w kajdankach.

— Mówię wam — krzyczał Steve. — Nazywam się Oreskowicz!

— Oszczędź sobie trudu, wiemy, kim jesteś, Williams.

— Przecież to wcale nie jest Cameron Williams! — powiedział jakiś dziennikarz, śmiejąc się. — Głupcy, przecież to Steve Plank.



— No właśnie — zawtórował Plank. — Jestem szefem Williamsa z „Global Weekly”!

— Akurat — powiedział tajniak, wpychając go do nieoznakowanego pojazdu.

Buck ominął dziennikarza, który rozpoznał Pianka, ale kiedy był w środku i podnosił słuchawkę, by zameldować się w pokoju Rosenzweiga, inny dziennikarz, Erie Miller, wdarł się do środka, zakrył ręką słuchawkę i wyszeptał:

— Williams, co jest grane? Właśnie dopiero co gliniarze zamknęli twojego szefa, myśląc, że to ty.

— Wiesz co, wyświadczyć mi przysługę — szepnął Buck. — Czy możesz chociaż z pół godziny udawać, że tak jest naprawdę? Zresztą jesteś mi to winien.

— Nic ci nie jestem winien, Williams — odrzekł Miller. — Ale rzeczywiście wyglądasz na nieźle wystraszonego. Daj słowo, że jak się to wszystko skończy, powiesz mi pierwszemu, co było grane zgoda?

— W porządku, będziesz pierwszym dziennikarzem, któremu o tym opowiem. Nie mogę obiecać, że nie powiem nikomu innemu.

— A komu?

— Ładnie zaczynasz, nie ma co.

— Jeśli zamierzasz dodzwonić się do Carpathii, Cameron, to zapomnij o tym. Próbowaliśmy cały wieczór. On nie udzieli już dzisiaj żadnego wywiadu.

— To jest już w hotelu?

— Tak, ale jest nieosiągalny.

Rosenzweig odebrał telefon Bucka.

— Chaim, to ja, Cameron. Mogę przyjść?

Erie Miller zatrzaskał swój telefon i zbliżył się do Bucka.

— Cameron! — zawołał uradowany Chaim. — Nie mogę za tobą nadążyć. Najpierw jesteś martwy, potem okazuje się nagle, że dzięki Bogu żyjesz. Przed chwilą otrzymaliśmy telefon z policji, że zostałeś aresztowany w hallu hotelu i będziesz przesłuchiwany w sprawie morderstwa w Londynie.

Buck nie chciał, żeby Miller cokolwiek usłyszał z ich rozmowy. Przysunął słuchawkę jeszcze bliżej i mówił prawie szeptem:

— Chaim, muszę działać szybko. Jestem tu, na dole, w hotelu, pod nazwiskiem Plank.

— Porozmawiam z Nicolae i poproszę go do siebie. Przyjdź jak najprędzej. — Podał mu numer swojego pokoju.

Buck przyłożył palec do ust, dając znak Millerowi, żeby nie mówił, ale nie mógł go zatrzymać. Popędził do windy, ale Erie był tuż za nim. Jakaś para próbowała się do nich przyłączyć, ale gdy Buck powiedział: — Przepraszam państwa, ale ta winda jest nieczynna — opuścili ją i poszli do innej. Miller jednak pozostał, Buck nie chciał, żeby zobaczył, na które piętro pojedzie, czekał więc, aż drzwi się zamkną i przycisnął guzik unieruchamiający windę. Złapał Millera za koszulę pod szyją i przycisnął do ściany.

— Erie, posłuchaj, powiedziałem ci, że będziesz pierwszy, ale skoro się pchasz tam, gdzie nie trzeba, to możesz być pewny, że nie ujdzie ci to na sucho.

Miller uwolnił się z jego uścisku i poprawił ubranie.

— W porządku, Williams! Uspokój się. Nie bierz tego tak serio.

— Pewnie, nie bierz poważnie, a wtedy ty przyjdiesz i będziesz węszył dokoła.

— To moja robota, człowieku. Nie zapominaj tego.

— Moja też, pamiętasz? Tylko, że ja nie tropię kolegów. Sam sobie przecieram szlaki.

— Powiedz, będziesz miał wywiad z Carpathią?

— Nie, ryzykuję życie, żeby zobaczyć, czy jest w hotelu jakaś gwiazda filmowa!

— To jednak Carpathią, co?

— Tego nie powiedziałem.

— No, przestań, powiedz mi! Zrobię, co będziesz chciał, jeśli mi powiesz!

— Przecież sam powiedziałeś, że Carpathią nie udzieli już dzisiaj żadnego wywiadu — złapał go za słowo Buck.

— Dowiedzieliśmy się, nie udzieli go nikomu, z wyjątkiem jakiejś ogólnokrajowej sieci telewizyjnej, więc nie mam szans dostać się do niego.

— To twój problem.

— Williams!

Buck ponownie złapał Millera za gardło.

— W porządku, już idę! — powiedział Erie.

Kiedy w końcu Buck uwolnił się od jego towarzystwa i dotarł na piętro VIP-ów zdziwił się niepomnie, gdy zobaczył Millera przedstawiającego się nieumundurowanemu strażnikowi jako Steve Plank.

— Pan Rosenzweig czeka na pana, Sir — powiedział strażnik.

— Chwileczkę — zawołał Buck, pokazując akredytację prasową. — To ja jestem Plank. Proszę wyrzucić tego oszusta.

Strażnik położył ręce na ramionach obydwu.

— Wy zaczekacie tu, a ja wezwę detektywa hotelowego.

Buck odezwał się:

— Proszę tylko powiadomić doktora Rosenzweiga, żeby tu przyszedł.

Strażnik wzruszył ramionami i podniósł słuchawkę telefonu. Miller nachylił się, podejrzawszy numer i popędził w stronę pokoju. Buck pobiegł za nim, podczas gdy oniemiały strażnik wołał za nimi, ciągle próbował porozumieć się z kimś telefonicznie.

Buck, młodszy od Millera i w lepszej kondycji, dopędził go w korytarzu i pchnął na automatyczne drzwi klatki schodowej.

— Bijcie się gdzie indziej — wrzeszczała jakaś kobieta.

Buck pociągnął Millera za nogę i zablokował głowę.

— Zachowujesz się jak klaun, Erie. Naprawdę myślisz, że Rosenzweig pozwoliłby komuś wdrzeć się do pokoju Carpathii?

— Mogę sobie z nim pogadać, jak mi się chce i gdzie tylko mi się chce, a ty sam dobrze wiesz, że masz takie samo prawo.

— Problem polega na tym, że ja go znam i to dobrze. A teraz zabieraj się stąd.

Strażnik w końcu dobiegł do nich.

— Doktor Rosenzweig będzie tu za chwilę — powiedział.

— Mam do niego tylko jedno pytanie — powiedział Miller do strażnika.

— Nie, nie masz żadnego — odpalił Buck. Do strażnika powiedział: — On nie ma tu nic do roboty.

— Niech dr Rosenzweig sam to rozstrzygnie — zdecydował tamten i pociągnął ich za sobą, żeby opróżnić korytarz. Nagle, w pewnej odległości ukazała się czteroosobowa ochrona widocznego z daleka Nicolae Carpathii.

— Przepraszam, panowie — powiedział Carpathia. — Możecie mnie przepuścić?

— Och, panie Carpathia, Sir. To znaczy panie prezydencie Carpathia — zawołał Miller.

— Tak, słucham — odrzekł Carpathia, odwracając się do niego. Ochroniarze w ciemnych garniturach patrzyli na niego.

— O, dzień dobry, panie Williams — powiedział Carpathia, dostrzegłszy Bucka. — A może powinienem powiedzieć: panie Oreskowicz? Albo: panie Plank?

Natrętny intruz wysunął się do przodu.

— Erie Miller z pisma „Seaboard Monthly”.

— Dobrze wiem, panie Miller — powiedział Carpathia. — Jestem już jednak spóźniony na kolejne spotkanie. Jeśli zadzwoni pan do mnie jutro, chętnie porozmawiam z panem przez telefon, dobrze?

Miller wyglądał na usatysfakcjonowanego. Ukłonił się i wycofał.

— Myślałem, że nazywa się pan Plank! — powiedział strażnik, wywołując śmiech wszystkich, z wyjątkiem samego Millera.

— Buck, proszę, wejdź do mnie — odezwał się przyjaźnie Carpathia, popychając go lekko w kierunku drzwi. Buck się nie odezwał. — Chyba się nie mylę, że tak cię nazywają, prawda?

— Tak, Sir — odrzekł Buck, pewien, iż nawet Rosenzweig nie znał jego przezwiska.

Po rozmowie z Hattie Durham Rayford czuł się okropnie. Nie mogło pójść gorzej. Po co tak się upierał, żeby nie pracowała razem z nim? Niczego by nie podejrzewała, a on czułby się swobodnie, podając jej prawdziwy powód zaproszenia na czwartkowy obiad. A tak, wszystko popsuł.

Jak spojrzy w oczy Chloe? Jego wielkim, chociaż ukrytym pragnieniem było dotarcie do Chloe, nawet gdy rozmawiał o Hattie. Czy nie miała dość przeżyć w ostatnim czasie? Czy potrzebowała zachęty, skoro tak nalegała na ponowne zdobycie kasety video z nagraniem proboszcza, którą im skradziono? Spytał, czy nie chciałyby polecieć z nim do Nowego Jorku i wrócić następnego dnia. Wołała jednak zostać w domu, by się dowiedzieć o możliwość rozpoczęcia studiów na którejś z tutejszych uczelni. Przez chwilę chciał nalegać ale w końcu się nie odważył. Później, kiedy poszła już spać, zadzwonił do Bruce'a Barnes'a i opowiedział o swoich problemach.

— Rayford, idziesz za ostro — skonstatował młody człowiek.

— Po tym, co przeżyliśmy, wydaje się, że nasza wiara powinna być znacznie łatwiejsza, ale sam napotykam też trudności, podobnie jak ty.

— Ale to takie trudne, gdy doświadczasz sprzeciwu własnej córki.

— Wyobrażam to sobie — zgodził się Bruce.

— Nie, chyba jednak nie wiesz, co przeżywam — odparł Rayford. — Ale to nie szkodzi.

Chaim Rosenzweig z ekipą zajmowali luksusowe pokoje na piętrze. Ochroniarze zatrzymali się w pierwszym, a Carpathia zaprosił Rosenzweiga i Bucka do prywatnego apartamentu. Carpathia zdjął płaszcz i delikatnie zawiesił go na ozdobnej poręczy kanapy.

— Panowie, proszę, czujcie się swobodnie — powiedział.

— Chyba nie jestem wam potrzebny, Nicolae — wyszeptał Rosenzweig.

— Ależ skądże, doktorze! —zaoponował Carpathia. — Buck, chyba się zgodzisz ze mną?

— Naturalnie!

— Nie masz nic przeciwko, żebym nazywał cię Buck?

— Nie Sir, ale tylko ludzie z...

— ...twojego pisma tak cię nazywają, wiem. Mówią tak na ciebie, gdyż bierzesz tradycję za rogi, nadając nowy kierunek i nowe znaczenie dziennikarstwu, zgadza się?

— Co do joty, tylko jak...

— Buck, to był najbardziej szczególny dzień w moim życiu. Wydaje mi się, że ludzie zgadzali się z moimi propozycjami. Jestem pod wrażeniem. Będę mógł wrócić do kraju jako człowiek bardzo szczęśliwy i usatysfakcjonowany. Tylko nie tak od razu. Proszono mnie, żebym został tu nieco dłużej. Wiesz o tym?

— Tak, słyszałem w telewizji.

— To niewiarygodne, że właśnie tutaj i to w ciągu najbliższych kilku tygodni ma się odbyć tyle międzynarodowych spotkań dotyczących ogólnoświatowej współpracy, czyż nie?

— Istotnie — odpowiedział Buck. — A moje pismo kazało mi je zrelacjonować.

— W takim razie musimy się lepiej poznać.

— Także bym tego pragnął, Sir. Bardzo mnie poruszyło pańskie przemówienie w ONZ.

— Dzięki.

— Doktor Rosenzweig opowiadał mi wcześniej wiele dobrego o panu.

— Mnie zaś opowiadał o tobie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Carpathia sprawiał wrażenie zadowolonego.

— Miałem nadzieję, że nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Rosenzweig podniósł się powoli z fotela i podszedł do drzwi. Rozmawiał z kimś przytłumionym głosem. Po chwili zwrócił się do Bucka.

— Chyba będziemy musieli dać mu kilka minut, Cameron — wyszeptał — gdyż ma bardzo ważny telefon.

— O, nie —jęknął Carpathia. — Później odpowiem na ten telefon. To spotkanie jest dla mnie bardzo ważne.

— Sir — zwrócił się do Carpathii Rosenzweig — bardzo przepraszam, ale to jest... prezydent..

— Prezydent?

— ...Stanów Zjednoczonych.

Buck podniósł się, żeby z Rosenzweigem opuścić pokój, ale Carpathia dał znak, żeby pozostali.

— Nie jestem aż takim dygnitarzem, żeby flie dzielić się przywilejem rozmawiania z prezydentem z moim starym i nowym przyjacielem. Proszę, żeby panowie pozostali.

Usiedli, a on włączył głośno mówiący telefon.

— Tak, słucham, mówi Nicolae Carpathia-

— Dobry wieczór, panie Carpathia, to mówi Fitz. Gerald Fitzhu%h.

— Panie prezydencie, jestem zaszczycony, Że mogę z panem rozmawiać.

— No cóż, to przyjemność gościć pana na naszej ziemi!

— Dziękuję za gratulacje z okazji powołania mnie na prezydenta mego kraju oraz za bezwzględne uznanie mojego gabinetu.

— Człowieku, to było nieprawdopodobne, to przejęcie władzy przez ciebie. Nie nadażalem za tym, co się dzieje, ale nie przypuszczam też, żebyś i ty był wówczas wszystkiego w pełni świadomy.

— Właśnie. Nadal nie oswoilem się z tą rriysłą.

— Przyjmij w takim razie radę od kolegi, który siedzi w tym siodle już sześć lat. Nigdy nie przyzwyczaisz się do myśli, że jesteś prezydentem. Po prostu z dnia na dzień będziesz odkrywał, że wszystkie rzeczy dzieją się jakby przypadkiem, chociaż we właściwym czasie i miejscu. Rozumiesz, co mam nę myśli?

— Tak, Sir.

— Słuchaj, powiem ci, dlaczego dzwonię- Słyszałem, że masz zamiar pobyć tu trochę dłużej, niż zamierzałeś, chciałbym więc zaprosić cię, żebyś spędził dzień lub dwa ze mną i z moją żoną, Wilmą. Co ty na to?

— W Waszyngtonie?

— Tak, u mnie, w Białym Domu.

— To dla mnie ogromny zaszczyt.

— Zgodnie z protokołem powinniśmy porozumieć się z kimś z twojego rządu co do tej wizyty, ale ze względu na to, że akurat obraduje Kongres, wiem, że oni również będą chcieli ciebie posłuchać.

Carpathia potrząsnął głową i Buck zauważył, że jest bardzo poruszony.

— Jestem bardziej niż zaszczycony, Sir.

— Jeśli już mówimy o czymś nieprawdopodobnym, to muszę ci wyznać, iż twoje dzisiejsze przemówienie oraz wieczorny wywiad telewizyjny, to było coś! Nie mogę się doczekać, by cię osobiście poznać, przyjacielu!

— Ja również, Sir.

Buck był równie poruszony jak Carpathia i Rosenzweig. Już od dawna nie bał się prezydentów i nie traktował ich jak bogów, a szczególnie tego, który nalegał, żeby nazywać go Fitz. Dostał tytuł Dziennikarza Roku za artykuł, w którym szczegółowo opisuje prezydenta. Wiedział więc, jak postępować z najwyższymi dostojnikami. Z drugiej jednak strony nie zdarza się codziennie, żeby prezydent dzwonił do pokoju, w którym siedzisz.

Wydawało się, że Carpathia wciąż pozostawał pod wrażeniem rozmowy z prezydentem, ale już po chwili zaczął mówić o czym innym.

— Buck, chciałbym odpowiedzieć na twoje pytania i powiedzieć ci wszystko, co cię interesuje. Byłeś tak dobry dla Chaima, że jestem gotów zdradzić ci pewną tajemnicę — możesz to uznać za sensację. Najpierw jednak zabierzmy się za twój wielki problem, gdyż wiem, przyjacielu, że znajdujesz się w niemałych tarapatach. W miarę możliwości chciałbym ci pomóc wyplątać się z nich.

Buck nie miał pojęcia, skąd Carpathia wie o jego kłopotach. Wynikało z tego, iż nie musi mu nic mówić, ani o nic prosić. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Pozostawało pytanie, co Carpathia już wie, a czego jeszcze musi się dowiedzieć, żeby mógł mu pomóc skutecznie.



Rumun usiadł naprzeciw niego, patrząc prosto w oczy, co uspokoiło Bucka i dało mu poczucie bezpieczeństwa. Czuł, że może mu zaufać i zwierzyć się ze wszystkiego, absolutnie wszystkiego, co wiedział. Nawet z tego, że jego przyjaciel Dirk powiadomił go o czymś spotkaniu ze Stonagalem i Todd-Cothranem i Buck przypuszczał, że tym kimś był Carpathia.

— Zgadza się, to byłem ja — powiedział. — Pozwól, że ci coś wyjaśnię. Nic nie wiem o żadnym spisku. Nigdy nawet nie słyszałem o czymś takim. Pan Stonagal uważał, że będzie korzystne dla mnie, poznać niektórych jego kolegów oraz przyjaciół mających różne międzynarodowe wpływy. Nie chcę się wypowiadać na ich temat, ale muszę powiedzieć, że nie związałem się z żadnym z nich.

Powiem ci coś, Williams. Wierzę w twoją historię. Znam cię tylko z twojej pracy oraz opinii o tobie jaką mają tak szacowni ludzie, jak dr Rosenzweig. Ale z tego, co wiem, twoje konto jest jak dotąd, czyste. Powiedziano mi, że jesteś poszukiwany w Londynie z powodu morderstwa dokonanego na agencie Scotland Yardu i że mają tam kilku świadków, którzy mogą zeznać pod przysięgą, że widzieli, jak na chwilę opuściłeś Tompkinsa, podłożyłeś bombę pod samochód i zdetonowałeś ją ze środka baru, w którym wcześniej obaj siedzieliście.

— To idiotyzm!

— No cóż, naturalnie, to tak, jakbyś rozpaczał nad śmiercią waszego przyjaciela.

— Właśnie to robiliśmy, panie Carpathia. Próbowaliśmy też dotrzeć do tego, co spowodowało śmierć Dirka.

Rosenzweig został ponownie wezwany do drzwi, a kiedy wrócił, nachylił się do ucha Carpathii i szeptem przekazał mu wiadomość.

— Buck, podejdź tu na chwilę — powiedział Carpathia, podnosząc się z fotela i prowadząc Bucka do okna, z dala od Rosenzweiga. — Twój plan dostania się tutaj, pomimo iż byłeś ścigany, był bardzo pomysłowy, jednak twój szef został zidentyfikowany i już wiedzą, że tutaj jesteś. Mają zamiar cię aresztować i dokonać ekstradycji do Anglii.

— Jeśli tak będzie, a teoria Tompkinsa jest prawdziwa — odrzekł Buck — to już jestem martwy.

— Myślisz, że cię zabiją?

— Tak samo, jak zabili Burtona i Tompkinsa. Jestem dla nich o wiele bardziej niebezpieczny z uwagi na opinię publiczną.

— Jeśli ten spisek jest taki, jak mówisz, to myślę, że pisanie o tych ludziach oraz ich demaskowanie w niczym ci nie pomoże ani nie uchroni cię przed nimi.

— Wiem. Może jednak powinienem to zrobić. Nie widzę innego wyjścia.

— Mogę ci pomóc, jeśli chcesz.

Buckowi zakręciło się w głowie. To było to, czego tak bardzo pragnął, ale bał się, że Carpathia nie będzie chciał na razie nic zrobić, żeby nie wydano go w łapy Todd-Cothrana i Sulivana. Czy to możliwe, żeby Carpathia był w bliższych stosunkach z tymi ludźmi, niż przypuszczał?

— Sir, potrzebuję pańskiej pomocy. Ale chcę, żeby pan wiedział, że bez względu na to, co się stanie, nadal pozostaję dziennikarzem. Nie można mnie przekupić ani szantażować.

— Ależ naturalnie, nawet o tym nie myślałem. Nigdy bym cię nie prosił o coś takiego. Powiem ci, co mogę zrobić. Skontaktuję się z Londynem i poproszę, żeby jeszcze raz przeanalizowali tę tragedię i oczyścili cię z zarzutów.

— Jak to możliwe?

— A jakie to ma znaczenie, skoro mówisz prawdę?

Buck pomyślał przez chwilę.

— To jest prawda.

— Oczywiście, wcale w to nie wątpię.

— Ale jak pan to zrobi? Nawet jeśli uważa pan, że jestem niewinny, to jednak jest pan jak na razie znany jako człowiek znikąd. Jak może pan wpłynąć na sprawy w Londynie?

Carpathia wziął głęboki oddech.

— Buck, już ci mówiłem, że twój przyjaciel Dirk był w błędzie jeśli chodzi o jakiś spisek związany z moją osobą. Naprawdę, rao-

zesz mi wierzyć. Nie jestem związany z Todd-Cothranem czy Stonagalem ani z żadnym z międzynarodowych przywódców, których miałem zaszczyt poznać w ostatnim czasie. Jednakże oni zdają sobie sprawę, iż wkrótce zostaną podjęte ważne decyzje i nastąpią wydarzenia, które będą miały wielki wpływ na ich sprawy, i wiedzą, że mam tutaj coś do powiedzenia.

Buck spytał, czy mogliby jeszcze na chwilę usiąść. Carpathia dał znak Rosenzweigowi, żeby ich zostawił samych.

— Proszę spojrzeć — odezwał się Buck, sadowiac się w fotelu — jestem młodym człowiekiem, ale mam spore osiągnięcia. Czuję się tak, jakbym był na pograniczu odkrycia czegoś -jeśli nie spisku, to przynajmniej czegoś dobrze zorganizowanego - w czym pan może głęboko tkwić, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Mogę udawać, że nic nie wiem i uratować własną skórę albo odmówić i wtedy pan przekaze mnie z tym do Londynu.

Carpathia uniósł rękę i potrząsnął głową.

— Buck, pozwól, że ci przypomnę, iż mamy do czynienia z politykami, dyplomatami, a nie plotkarzami i kryminalistami.

— A więc?

— Po pierwsze — powiedział Carpathia — odkryję ci trochę moją przeszłość. Osobiście wierzę w moc pieniądza. A ty?

— Nie.

—Ale uwierzysz. Sam się przekonasz, że to działa. Jeszcze w szkole średniej w Rumunii byłem dobrze zapowiadającym się biznesmenem. Uczyłem się po nocach, studiowałem wiele języków, które jak wierzyłem, mogą mi pomóc w odniesieniu sukcesu. W dzień prowadziłem własne przedsiębiorstwo importowo-eksportowe i dorobiłem się niezłej fortuny. Doszedłem jednak do przekonania, że to, co dotychczas uważałem za bogactwo, w rzeczywistości jest niczym wobec powstających możliwości. Musiałem się tego nauczyć, dostałem więc bardzo twardą szkołę. Pożyczyłem miliony z Banku Europejskiego, i odkryłem, że ktoś z banku poinformował mojego konkurenta o transakcji. Zostałem pobity własną bronią, straciłem pożyczkę i musiałem walczyć o przetrwanie. Wówczas bank przejął moją firmę wyku-

pując wszystkie długi i z kolei doprowadził do ruiny mojego konkurenta. Nie chciałem zranić swojego rywala. Wykorzystał go ten sam bank, a między nami zawiązała się długotrwała przyjaźń.

— Czy to ten bank, którego właścicielem jest wpływowy Amerykanin?

Carpathia zignorował pytanie.

— Zaledwie w ciągu dekady nauczyłem się dostrzegać, ile tam jest pieniędzy.

— Tam?

— W bankach światowych.

— A szczególnie w tych zarządzanych przez Stonagala — zasugerował Buck.

Carpathia i tym razem nie podjął wyzwania.

— Taki kapitał jest potęgą.

— Tak się składa, że akurat opisuję go negatywnie.

— Ale on cię może uratować.

— Słucham dalej.

— Takie pieniądze wzbudzają zainteresowanie wszystkich. Człowiek zaczyna zauważać, iż postąpi mądrze, jeśli pozwoli przejąć kierownictwo innemu człowiekowi, znacznie młodszemu, który ma o wiele więcej energii i entuzjazmu oraz świeże spojrzenie.

— Czy to właśnie stało się w Rumunii?

— Buck, nie obrażaj mnie. Poprzedni prezydent naszego kraju usunął się z własnej i nieprzymuszonej woli, poprosił mnie o przejęcie władzy, a poparcie dla tego posunięcia było zarówno w rządzie, jak i w narodzie. Każdy by na to przystał.

— Ale poprzedni prezydent nie ma już żadnej władzy.

— Żyje w luksusie.

Buck z ledwością łapał oddech. Co Carpathia chce dać mu do zrozumienia? Buck, patrzył na niego niezdolny do reakcji, a Carpathia kontynuował.

— Sekretarz generalny Ngumo rządzi krajem, który cierpi głód. Świat dojrzał do mojego planu ustanowienia dziesięciu członków Rady Bezpieczeństwa ONZ. Zapewniam cię, że to zadziała. Obec-

ny sekretarz generalny powinien się skupić na rozwiązywaniu problemów żywnościowych w Botswanie. Wiem, że przy odpowiedniej motywacji chętnie się tym zajmie. Może być jeszcze szczęśliwy, i żyć wśród innych szczęśliwych ludzi, ciesząc się uznaniem. Ale najpierw musi zastosować mój plan odnośnie do Rady Bezpieczeństwa. Wszystkich dziesięciu członków utworzy grupę dyplomatów początkowo ambasadorów, ale w większości będą to nowi ludzie o otwartych umysłach i solidnym zapleczu finansowym.

— Czy to znaczy, że zamierza pan zostać sekretarzem generalnym ONZ?

— Nigdy bym nie zabiegał o takie stanowisko, ale gdyby mi je zaproponowano, jak mógłbym nie przyjąć takiego zaszczytu, tak wielkiej odpowiedzialności?

— Jaki będzie pana wpływ na wybór reprezentantów dziesięciu stałych członków Rady Bezpieczeństwa?

— Będę służył radą i stał na czele. Słyszałeś o czymś takim? Przywództwo oparte na służbie, nie na rozkazywaniu.

— Niech zgadnę — powiedział Buck. — Todd-Cothran jest w kolejce do objęcia jakiegoś stanowiska w pańskiej nowej Radzie Bezpieczeństwa.

Carpathia odchylił się na oparcie fotela, dało mu to do myślenia.

— Czy nie byłoby to interesujące? — zapytał. — Człowiek bez przeszłości politycznej, świetny umysł finansowy, ktoś mądry i odważny, kto myślał na tyle globalnie, że umożliwił światu przejście do trójwalutowego systemu monetarnego i nie obstawał wcale przy własnej walucie, funcie szterlingu. Taki człowiek nie wniesie ze sobą bagażu przeszłości. Świat będzie mógł mieć pewien komfort, gdy on zasiądzie w Radzie, nie sądzisz?

— Chyba tak — powiedział Buck niezdecydowanie, pograżony w najczarniejszych myślach i bliski depresji zupełnie, jakby oglądał zatrąę swęj duszy. — Trzeba jednak pamiętać, że Todd-Cothran był zamieszany w niewyjaśnione samobójstwo swojego pracownika, kto wie, może nawet w podłożenie bomby w samochodzie agenta Scotland Yardu.

Carpathia roześmiał się.

— To prawda. Powiniennem pamiętać, że człowiek na międzynarodowym stanowisku, musi mieć czystą, niczym nie obciążoną przeszłość.

— Może pan mieć na to jakiś wpływ?

— Przeceniasz mnie, Buck. Ja tylko mówię, że jeśli masz rację, będę próbował powstrzymać to, co jest najwyraźniej nieetyczne i jest nielegalnym działaniem przeciwko niewinnemu człowiekowi - tobie. Nie widzę w tym nic niewłaściwego.

Rayford Steele nie mógł zasnąć. Na nowo opanował go żal i wyrzuty sumienia po utracie żony i syna. Zsunął się z łóżka na kolana i ukrył twarz w prześcieradle. Tak bardzo martwił się o Chloe, że w tej chwili nawet utrata żony i syna zeszyły na dalszy plan. Był absolutnie przekonany, że są oni w niebie i mają się o wiele lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

Rayford wiedział, że zostało mu przebaczone to, że drwił z żony i nigdy nie chciał słuchać, kiedy zaczynała mówić o Bogu, i to, że przez tak wiele lat ignorował Boga. Był wdzięczny, że została mu dana jeszcze jedna szansa i że ma nowych przyjaciół oraz miejsce, w którym mógł lepiej poznać Pismo Święte. Jednak nawet ta świadomość nie wypełniła pustki i bólu serca, tęsknoty za tym, by przytulić żonę i syna, ucałować ich i powiedzieć, jak bardzo ich kocha. Modlił się i prosił, żeby ten ból zelżał, chociaż w pewnym sensie w niewytłumaczalny sposób potrzebował go i chciał, by jeszcze trwał.

Uważał, że zasłużył sobie na to, chociaż zaczynał rozumieć istotę Bożego przebaczenia, a Bruce wyjaśnił mu, że nie musi już teraz nosić ciężaru winy wcześniej popełnionych grzechów, z którymi przecież już się rozprawił.

Gdy Rayford trwał tak w modlitwie, z płaczem yia kolanach, zalało go nowe uczucie bezsilności i doznał nowej udręki. Tracił już wszelką nadzieję odnośnie Chloe. Wszystko, czego do tej pory pró-

bował, zawiodło. Wiedział, że minęło zaledwie kilka dni od chwili zniknięcia jej matki i brata, a jeszcze mniej czasu od momentu jego nawrócenia. Co jeszcze może jej powiedzieć, czy dla niej robić? Bruce zachęcał go, żeby nadal się modlił, ale nie za bardzo wiedział, jak ma to robić. Oczywiście modlił w jej intencji, ale ciągle pozostawał człowiekiem czynu.

Teraz okazało się, że wszystko, co robi, tylko oddalają od niego. Bał się, że jeżeli powie albo uczyni coś jeszcze, będzie odpowiedzialny za to, że córka odrzuci Chrystusa niż na zawsze. Jeszcze nigdy Rayford nie czuł się tak beznadziejnie bezsilny. Tak bardzo rozpaczał nad jej stanem. Oddałby teraz wszystko, by Irena i Raymie byli przy nim.

Modlił się po cichu, ale jego udręka uzewnętrzniła się nagle wbrew jego woli i usłyszał własny stłumiony krzyk: — Chloe! Ach Chloe! Chloe!

Plakał gorzko w ciemnej sypialni, gdy nagle usłyszał ciche skrzypienie na korytarzu i kroki córki. Odwrócił się do drzwi i zobaczył ją w słabym świetle dochodzącym z jej pokoju. Nie wiedział, czy słyszała coś z jego modlitwy.

— Czy wszystko w porządku, tato? — spytała cicho.

— Tak, córeczko.

— Męczy cię jakiś koszmar?

— Nie, kochanie, przepraszam, że cię zbudziłem.

— Mi też ich brakuje, tato — powiedziała drżącym głosem.

Rayford odwrócił się i usiadł na brzegu łóżka. Otworzył ramiona. Chloe podeszła, usadowiła się na łóżku obok niego i pozwoliła się przytulić.

— Wierzę, że pewnego dnia znowu ich zobaczę — powiedział w zadumie.

— Jestem pewna, że tak — odparła tym razem bez cienia wątpliwości. — Na pewno ich zobaczysz.

## *Rozdział siedemnasty*

Po upływie kilku minut Chloe przyznała się, że usłyszała płacz ojca i rozumie jego ból.

— Tato, proszę, nie martw się o mnie, dobrze? Ja też tam zmierzam.

Zmierza? Dokąd? Czy miała na myśli, że jej decyzja pójścia za Bogiem jest tylko kwestią czasu, czy może miało to oznaczać, że przezwyciężyła rozpacz nad utratą rodziny? Tak bardzo chciał wyznać jej raz jeszcze, jak bardzo się martwi o nią, ale przecież już to słyszała. Jej obecność przyniosła mu ulgę, ale gdy córka tylko poszła do siebie, znów poczuł osamotnienie.

Nie mógł spać. Zszedł na palcach do salonu i włączył wiadomości telewizyjne CNN. Akurat nadawano dziwny reportaż z Izraela. Kamery pokazywały wielki tłum przy Ścianie Płaczu cisnący się wokół dwóch mężczyzn, którzy coś głośno wykrzykiwali.

— *Nikt nie wie, skąd pochodzą ci dwaj mężczyźni* — powiedział reporter CNN, — *którzy nazywają siebie Eli i Mojsze. Stają tutaj przed historyczną Ścianą Płaczu, codziennie od świtu i przemawiają w stylu żywo przypominającym dawnych kaznodziejów amerykańskich. Twierdzą, że Jezus Chrystus z Nowego Testamentu jest wypełnieniem prorocstwa Tory\* dotyczącego przyjścia Mesjasza, co naturalnie wywołało ogromną wrzawę i sprzeciw ortodoksyjnych Żydów, oskarżających ich o profanację świętego dla Żydów miejsca.*

*Dotychczas nie odnotowano żadnych starć, ale napięcie ciągle wzrasta, a władze są w pogotowiu. Izraelska policja i wojsko niechętnie skierowały oddziały interwencyjne w to miejsce „pragnąc po-*

\* Hebrajski Pięcioksiąg - pięć pierwszych ksiąg Starego Testamentu.



*zostawić religijnym adwersarzom rozwiązywanie ich sporów dogmatycznych. Jest to jednak najbardziej zapalna chwila w Ziemi Świętej od momentu pamiętnego zniszczenia rosyjskiej floty powietrznej. Od tamtego wydarzenia odnowiony naród nie miał konfliktów wewnętrznych; borykał się tylko z zagrożeniem zewnętrznym. Dla sieci CNN z Jerozolimy mówił Dan Bennett.*

Gdyby nie było tak późno, Rayford natychmiast zadzwoniłby do Bruce'a Barnes'a. Siedział w pokoju sam, ale czuł się jednocześnie członkiem wielkiej, niewidzialnej rodziny wierzących na całym świecie, do których najwyraźniej należało także tych dwóch dziwnych ludzi w Jerozolimie. Akurat ostatnio dowiedział się z Pisma Świętego, że Jezus był obiecany Mesjaszem, którego przyście było zapowiadane w Starym Testamencie. Bruce na spotkaniu w Nowej Nadziei wyjaśnił, że wkrótce sto czterdzieści cztery tysiące Żydów, uwierzy w Chrystusa i rozpocznie ewangelizację świata. Czy ci dwaj są pierwszymi z tej liczby?

Prowadzący wiadomości CNN przeszedł do serwisu krajowego.

— *W Nowym Jorku nadal głośno o kolejnych spotkaniach i wypowiedziach nowego prezydenta Rumunii, Nicolae Carpathii. Trzydziestotrzyletni przywódca tego kraju zwołał konferencję prasową, która odbyła się dziś rano zaraz po znakomitym przemówieniu wygłoszonym na posiedzeniu Zgromadzenia Ogólnego ONZ, gdzie zebrani, włącznie z przedstawicielami prasy, zgotowali mu owację na stojąco. Magazyn „People” zamieścił jego zdjęcie na okładce przeprowadzając obszerny wywiad oraz ogłosił go po raz pierwszy w historii mężczyzną roku, przed upływem kadencji poprzedniego laureata.*

*Osoby towarzyszące Carpathii oznajmiły, że przedłużył on swój pobyt, by wziąć udział w kilku ważnych spotkaniach międzynarodowych mających się odbyć w Nowym Jorku w ciągu najbliższych tygodni oraz że został zaproszony przez prezydenta Fitzhuga, do wygłoszenia przemówienia na połączonej sesji Senatu oraz spędzenia kilku dni w Białym Domu.*

*Na konferencji prasowej dzisiejszego popołudnia prezydent Fitzhugh zwrócił się o poparcie dla nowego przywódcy rumuńskiego.*

Twarz prezydenta wypełniła ekran.

— *Podczas tego niezwykle trudnego momentu dziejowego ma duże znaczenie fakt, że do głosu dochodzą ludzie miłujący pokój i jedność między narodami, którzy przypominają, iż wszyscy jesteśmy członkami ogólnoświatowej wspólnoty ludzkiej. Każdy przyjaciel pokoju jest jednocześnie przyjacielem Stanów Zjednoczonych, a niewątpliwie pan Nicolae Carpathia zalicza się do przyjaciół pokoju.*

Następnie pokazano drugą część konferencji, na której dziennikarze zadawali pytania prezydentowi.

— *Panie prezydencie, jaka jest pańska opinia o propozycji Carpathii zreorganizowania Rady Bezpieczeństwa ONZ?*

— *Zanim odpowiem na to pytanie, chciałbym najpierw coś powiedzieć. Myślę, że nigdy nie słyszałem ani w ONZ, ani gdzie indziej nikogo, kto znalazłby tak szczegółowo historię, strukturę i działanie tej szucoumfff instytucji Widać, że pan Carpathia zadał sobie wiele trudu, żeby poznać ONZ, widzę też, że ma konkretny plan. Bardzo uważnie słuchałem jego przemówienia. Mam nadzieję, że słuchali go również ambasadorowie, jak i sekretarz generalny, pan Ngumo. Moim zdaniem nikt nie powinien dopatrywać się w nowej propozycji zagrożenia dla ONZ. Jestem pewien, że każdy przywódca na świecie zgodzi się ze mną, że wszyscy pilnie potrzebujemy natychmiastowej pomocy w tym trudnym czasie.*

Prowadzący program powiedział:

— *Dzisiaj wieczorem dotarła do nas z Nowego Jorku wiadomość, że dziennikarz „Global Weekly”, został oczyszczony z wszelkich zarzutów i podejrzeń w związku z tajemniczą śmiercią oficera Scotland Yardu w Londynie. Cameron Williams, laureat wielu nagród czytelników „Global Weekly”, został uznany za zaginionego i obawiano się, że zginął w wyniku wybuchu bomby podłożonej pod samochód należący do Scotland Yardu. W zamachu tym zginął przyjaciel Williamsa, śledczy policji angielskiej, Alan Tonipkins. Zwłoki Tompkinsa zostały zidentyfikowane, a na miejscu -zamachu, w szczątkach samochodu znaleziono paszport oraz kartę akredytacyjną Williamsa. Informację o jego rzekomej śmierci podano w wielu dziennikach*

*i gazetach kraju, ale dzisiaj po południu pojawił się w Nowym Jorku podczas konferencji prasowej zwołanej przez prezydenta Rumunii, pana Carpathię, po jego przemówieniu w ONZ. Jeszcze dzisiajszego wieczoru Williams był poszukiwany międzynarodowym listem gończym przez Scotland Yard i Interpol za powiązania z irlandzką organizacją terrorystyczną, której działania doprowadziły do wybuchu i zabicia angielskiego oficera policji. Jednak późnym wieczorem obydwie agencje oczyściły amerykańskiego dziennikarza z wszelkich zarzutów i Williams może uważać się za szczęśliwca, że uszedł cało z tego zamieszania.*

*Ze sportu. Drużyny pierwszej ligi baseballowej biorące udział w wiosennych przygotowaniach do rozpoczęcia rozgrywek, musiały uzupełnić swoje składy z powodu braku wielu zawodników, którzy zniknęli podczas ogólnoświatowej tragedii zniknięć ludzi...*

Rayfordowi nie chciało się spać. Zrobił sobie kawę i zadzwonił do informacji o lotach i przydziale poszczególnych członków personelu. Wpadł na pewien pomysł.

— Chciałbym wiedzieć, czy jest jakaś możliwość, żeby Hattie Durham została przydzielona na mój lot do Nowego Jorku w środę? — zapytał.

— Zobaczę, co się da zrobić — odezwał się głos. — Oj, chyba nie. Została już przydzielona na inny lot do Nowego Jorku i też w środę. Pan leci o dziesiątej rano, a ona o ósmej.

Buck Williams wrócił do domu po północy, mając zapewnienie ze strony Nicolae Carpathii, że nie musi się już niczego obawiać. Carpathia zadzwonił do Jonathana Stonagala, przycisnął guzisk mówiącego telefonu, a Stonagal zrobił to samo, gdy zadzwonił do Todd-Cothrana w Londynie, gdzie był już środek nocy. Efektem tych rozmów było całkowite oczyszczenie Bucka z zarzutów. Słyszał, jak Todd-Cothran ochrypłym głosem zgadzał się odwołać działania Scotland Yardu i Interpolu.

— Jesteś pewny, że mój pakiet jest bezpieczny? — zapytał Todd-Cothran, nie wiedząc, że słyszą go inne osoby.

— Całkowicie! — odpowiedział Stonagal.

Najbardziej niepokojące w tym wszystkim było dla Bucka to, że Stonagal robił brudną robotę na własną rękę, przynajmniej w tym przypadku. Pomimo wdzięczności dla Carpathii i wyraźnej ulgi, Buck spojrział na niego z pewnym wyrzutem.

— Panie Williams — odezwał się Carpathia — byłem przekonany, że Jonathan może pomóc w tej sprawie, chociaż tak jak pan nie znam żadnych szczegółów.

— To tylko dowodzi, że Dirk miał rację! Stonagal spiskuje z Todd-Cothranem, a pan o tym wiedział! Przecież Stonagal zapewniał, że jego pakiet jest bezpieczny, cokolwiek by to oznaczało.

— A ja mogę pana zapewnić, panie Williams, że nic nie wiedziałem o żadnym pakiecie, aż do tej chwili. Wcześniej nie miałem nawet pojęcia, że coś takiego istnieje.

— Ale teraz pan wie. Czy nadal ma pan spokojne sumienie i jest zadowolony z jego poparcia w polityce międzynarodowej?

— Proszę mi wierzyć, zajmę się tym i porozmawiam z nimi obydwojma, bo sam jestem ciekaw, co to wszystko znaczy.

— To może jednak wskazywać, że takich spraw będzie więcej! A co z innymi, tak zwanymi dygnitarzami, których spotkał pan w ostatnim czasie?

— Buck, zapewniam cię, nie ma przy mnie miejsca dla ludzi nieuczciwych, czy działających bezprawnie. We właściwym czasie obydwaj będą musieli odpowiedzieć za swoje postępowanie, oczywiście, jeśli jest ono niewłaściwe.

— A teraz?

— A jak ci się zdaje? Chyba nie mam odpowiedniej pozycji, żeby teraz zrobić cokolwiek w tej sprawie. Najwyraźniej ci panowie są zainteresowani, żeby mnie wysoko wywindować. Zanim się to jednak stanie, nie mogę nic zrobić, chyba tylko sobie pogwizdać, jak mówią wasze środki przekazu. Jak daleko mogę się posunąć, nie wiedząc, dokąd sięgają ich macki? Przecież jeszcze do niedawna nie

przyszłoby ci nawet do głowy, że Scotland Yard może być miejscem, od którego należałoby rozpocząć poszukiwania, prawda? Buck przytaknął z zakłopotaniem.

— Wiem, co ma pan na myśli, ale nienawidzę takich sytuacji, gdy oni wiedzą, że ty wiesz. To straszne!

— Może to jednak działać na moją korzyść. Mogą myśleć, że jestem z nimi, co z kolei może spowodować, że będę jeszcze bardziej zależny od nich.

— A nie jest tak?

— Tylko chwilowo. Masz moje słowo. Zapewniam cię, że we właściwym czasie zrobię z tym porządek. Ale teraz cieszę się, że udało mi się pomóc ci w wyplątaniu się z tej afery.

— Ja też się cieszę, panie Carpathia. Jak się mogę odwdziaczyć?

Przystojny Rumun uśmiechnął się.

— Bardzo potrzebuję rzecznika prasowego.

— Obawiałem się, że pan to powie. Niestety, nie jestem odpowiednim kandydatem.

— Oczywiście, nawet nie śmiałybym cię o to prosić.

Buck zasugerował żartobliwie:

— A co z tym człowiekiem, którego spotkał pan niedawno w hallu hotelu?

Carpathia jeszcze raz tego dnia zabłysnął imponującą pamięcią.

— Masz na myśli Erica Millera?

— No właśnie. Jestem pewny, że przydałby się panu i nawet by go pan polubił.

— Nawet mu powiedziałem, żeby do mnie jutro zadzwonił. Mogę mu powiedzieć, że go zarekomendowałeś?

Buck pokręcił głową i spoważniał.

— Nie, nie, ja tylko żartowałem, jeśli o niego chodzi.

Powiedział Carpathii, co stało się na korytarzu, w windzie i w hallu, zanim Miller mu się przedstawił. Nicolae nie był z tego zadowolony.

— Pomyślę o tym wieczorem i spróbuję znaleźć dla pana najlepszego kandydata — powiedział. — A teraz chciałbym usłyszeć obiecaną sensację, o której wspomniał pan wcześniej.

— O tak, rzeczywiście. Jest to jednak nowa informacja i na razie nie może zostać opublikowana, dopóki nie będę miał wpływu na sytuację.

— Ma pan moje słowo. Zamieniam się w słuch.

— Izrael jest szczególnie narażony na ataki z zewnątrz, tak jak już było, zanim Rosjanie próbowali dokonać inwazji. Nie udało im się to, jednak świat doświadcza skutków zachwiania ich ekonomii. Żydzi bardzo potrzebują ochrony. Wiem, że ONZ może im taką ochronę zapewnić. Gdyby Izrael zgodził się udostępnić światu formułę, dzięki której zakwitły pustynie tego kraju, świat zapewni mu pokój. Jeśli wszystkie kraje dobrowolnie rozbroją się oraz przekażą dziesięć procent uzbrojenia ONZ, wówczas tylko ONZ będzie jedyną instytucją na świecie zdolną podpisać oraz zapewnić pokój Izraelowi. Izraelski premier dał pełnomocnictwo dr. Rosenzweigowi do negocjowania takiej umowy, gdyż jest on pełnoprawnym właścicielem tego wynalazku. Oczywiście rząd izraelski nalega, żeby gwarancje ochrony trwały przynajmniej siedem lat.

Buck siedział nieruchomo, potrząsając z wrażenia głową.

— Dostanie pan za to Pokojową Nagrodę Nobla, tytuł Człowieka Roku „Global Weekly” i „Time”, a już na pewno naszą coroczną nagrodę za najważniejsze wydarzenie roku.

— Wiesz, że nie o to mi chodzi.

Buck wyszedł od Carpathii w zupełnym przekonaniu, że Rumun mówi prawdę. Oto pojawił się człowiek nieprzekupny, inny niż wszyscy, których znał.

Gdy dotarł do domu, odsłuchał kolejną wiadomość od Hattie Durham. Będzie musiał w końcu zadzwonić do tej dziewczyny.

Bruce Barnes zadzwonił do wszystkich członków grupy biblijnej, żeby zwołać ich na nadzwyczajne spotkanie, które zaplanował na wtorkowe popołudnie. Rayford pojechał dużo wcześniej, wierząc, że będzie to czas bardzo dobrze wykorzystany, poświęcony

dalszemu poznawaniu Pisma Świętego. Miał nadzieję, że Chloe nie będzie mu miała za złe, gdy zostanie kilka godzin sama w domu. Od czasu włamania byli trochę podenerwowani.

Bruce usadził wszystkich wokół biurka. Rozpoczął spotkanie modlitwą, prosząc Boga o pomoc w podzieleniu się tym, co miał do przekazania, po czym poprosił wszystkich, żeby otworzyli Apokalipsę.

Oczy mu błyszczały, a głos dźwięczał z tą samą pasją i uczuciem, jak wtedy, gdy do nich dzwonił. Rayford zastanawiał się, co go tak usposobiło. Pytał o to przez telefon, ale Bruce wówczas stwierdził tylko, że powie o wszystkim podczas spotkania.

— Nie będę was długo zatrzymywał — powiedział — ale odkryłem coś bardzo szczególnego i pragnę się tym podzielić. Przy okazji chciałbym wam przypomnieć, żebyście byli ostrożni jak węże i niewinni jak gołębice, jak naucza Biblia.

Jak z pewnością wiecie, studiuję teraz Apokalipsę, korzystając z wielu komentarzy na temat czasów ostatecznych. Dzisiaj natknąłem się na pewne kazanie naszego byłego proboszcza. Czytałem później Biblię i inne książki na ten temat i właśnie tym chcę się z wami podzielić.

Bruce przełożył kartkę i pokazał im wykres czasu, jaki narysował.

— Wygląda na to, iż okres historii, w który właśnie wkroczyliśmy, będzie trwał siedem lat. Podobnie mniemali dawni znawcy Biblii. Pierwszych dwadzieścia jeden miesięcy to okres, który w Biblii nazywany jest okresem siedmiu pieczęci albo też sądem księgi przeznaczeń siedmiokroć zapieczętowanej. Po nim nadejdzie następny okres dwudziestu jeden miesięcy, w którym to czasie siedem razy rozlegną się dźwięki niebiańskich trąb. A jeżeli nadal będziemy jeszcze żyć, to w ciągu ostatnich czterdziestu dwóch miesięcy z tych siedmiu lat będziemy doświadczani najciężej, w sposób, który Biblia nazywa sądem siedmiu plag. Druga połowa tych siedmiu lat nazywa się okresem wielkiego ucisku i jeżeli dożyjemy do końca tego okresu, zostaniemy nagrodzeni powtórным przyjściem Chrystusa na ziemię.

Loretta podniosła rękę.

— Dlaczego ciągle powtarzasz „jeżeli przetrwamy, dożyjemy, przeżyjemy”? Czego dotyczą sądy, o których mówiłeś?

— Będą nastawać po sobie, a każdy kolejny sąd będzie trudniejszy do przetrwania niż poprzedni. Jeśli umrzemy, znajdziemy się w niebie razem z Chrystusem i tymi, którzy niedawno zostali pochwyceni. Musicie jednak być świadomi tego, iż nie będzie to łatwa śmierć. Będziemy wystawieni na straszliwe męczarnie. Jeżeli jednak w jakiś sposób uda się nam przetrwać tych siedem okrutnych lat, a szczególnie ostatnią ich część, powtórne przyście Chrystusa będzie wspaniałą nagrodą za nasz trud i wyrzeczenia. Chrystus przyjdzie, żeby ustanowić swoje tysiącletnie panowanie, na ziemi.

— Milenium?

— No właśnie. Minęło sporo czasu i kto wie, może jesteśmy tuż przed rozpoczęciem okresu pierwszych dwudziestu jeden miesięcy. Powtarzam, jeżeli właściwie interpretuję to, co jest napisane w Biblii, to wkrótce Antychryst dojdzie do władzy, obiecując pokój na świecie i próbując zjednoczyć narody.

— A co jest złego w zjednoczeniu narodów? — zapytał ktoś z grupy. — Przecież w takim czasie jak teraz wydaje się konieczne, żeby wszyscy ludzie wspólnie próbowali pokonać trudności, jakie powstały po masowych zniknięciach.

— Może i nie ma w tym nic złego z wyjątkiem tego, że Antychryst jest wielkim zwodzicielem, ojcem kłamstwa i kiedy jego prawdziwe cele wyjdą na jaw, wtedy powstanie opozycja przeciwko niemu. Skutkiem tego będzie wielka wojna, prawdopodobnie trzecia wojna światowa.

— Kiedy to nastąpi?

— Obawiam się, że bardzo szybko. Musimy bacznie wypatrywać nowego przywódcy świata.

— A co z tym młodym człowiekiem z Europy, który tak nieoczekiwanie zdobył popularność w ONZ?

— Jestem pod jego wrażeniem — przyznał Bruce. — Muszę być jednak ostrożny i pilnie śledzić to, co mówi i czyni. Wygląda na to, że jest zbyt skromny i nieśmiały i chyba nie pasuje do obrazu kogoś, kto miałby przejąć panowanie nad całym światem.



— Świat jest jednak otwarty na to, żeby ktoś zrobił dokładnie to, co robi ten człowiek — powiedział jeden ze starszych członków grupy. — Sam przyłapałem się na tym, że chciałbym, żeby ten człowiek był naszym prezydentem.

Kilka innych osób przytaknęło.

— Musimy mieć oko na niego — powiedział Bruce. — Teraz jednak pozwólcie mi pokrótce omówić sąd z księgi opatrzonej siedmioma pieczęciami, opisany w Apokalipsie w szóstym rozdziale, a potem będziecie mogli już pójść do domu. Z jednej strony nie chciałbym was straszyć tym, co ma nastąpić. Wszyscy jednak wiemy, że pozostaliśmy na ziemi, ponieważ lekceważyliśmy zbawienie i życie wieczne. Wiem, że jesteśmy wdzięczni Bogu za jeszcze jedną daną nam możliwość, nie możemy jednak oczekiwać, że uda nam się uciec od prób i doświadczeń, jakie niechybnie na nas przyjdą.

Bruce wyjaśnił, że pierwsze cztery pieczęcie z księgi zostały przedstawione w postaci ludzi siedzących na czterech koniach różnej maści: białym, czerwonym, czarnym i siwym.

— Niewątpliwie jeździec na białym koniu jest Antychrystem, który przez miesiąc do trzech działał, żeby wszystko odpowiednio zorganizować i obiecać ludziom pokój.

— Czerwony koń jest oznaką wojny. Antychryst spotka się z opozycją trzech władców z południa i miliony ludzi zostaną zabite.

— W trzeciej wojnie światowej?

— Tak przypuszczam.

— Czy to oznacza, że wojna rozpocznie się w ciągu pół roku?

— Obawiam się, że tak. Biblia zapowiada, że w ciągu następnych trzech do sześciu miesięcy po wojnie, w wyniku użycia broni nuklearnej nastąpi okres recesji i wielkiego głodu na całym świecie - to jeździec na czarnym koniu. Podczas gdy bogaci będą się bogacić, biedni będą umierali z głodu. Wiele milionów ludzi umrze.

— Tak więc, jeśli przeżyjemy wojnę, powinniśmy gromadzić żywność? — spytał ktoś przezornie.

Bruce przytaknął. — Ja bym tak zrobił.

— Powinniśmy działać razem.

— Dobra myśl, bo będzie jeszcze gorzej. Ten morderczy głód będzie trwał dwa, może trzy miesiące przed nastaniem kolejnej plagi, czwartej pieczęci. Czwarty jeździec na siwym koniu jest symbolem śmierci. Oprócz głodu na całym świecie rozprzestrzenia się inne straszne plagi. Zanim nastąpi otwarcie piątej pieczęci, jedna czwarta ludzkości zostanie zabita.

— Jaka jest piąta pieczęć?

— No cóż — powiedział Bruce — będziecie mogli ją rozpoznać, gdyż omawialiśmy ją już wcześniej. Pamiętacie, jak mówiłem o stu czterdziestu czterech tysiącach Żydów, którzy będą próbowali ewangelizować świat dla Chrystusa? Wielu nawróconych dzięki ich świadectwu, może nawet miliony, zostanie zamęczonych na śmierć przez światowego przywódcę oraz wielką nierządnicę, jak mówi się w Biblii o nowej ogólnoświatowej religii odrzucającej Chrystusa i występującej przeciwko Jego naśladowcom.

Rayford szybko notował. Przez chwilę rozmyślał, co by zrobił, gdyby jeszcze jakieś trzy tygodnie temu był świadkiem takiej rozmowy. Jak to się stało, że wcześniej się tym nie zainteresował? Przez wieki Bóg próbował ostrzec ludzi o tym, co nastąpi, zlecając prorokom by zapisali Jego słowa na kartach Biblii. Pomimo wykształcenia i wrodzonej inteligencji Rayford czuł się jak głupiec. Teraz prawdopodobnie nie zdąży dowiedzieć się wystarczająco wiele na ten temat, gdyż wszystko wskazuje na to, iż czas pracuje przeciwko pozostawionym przy życiu ludziom.

— Szósta pieczęć — kontynuował Bruce — wskazuje na Boga, który wylewa gniew na tych, którzy zabijali jego wiernych. Może to być ogólnoświatowe trzęsienie ziemi, tak potężne i niszczące, że nawet nie da się go zmierzyć wskutek braku odpowiednich instrumentów. To będzie tak potworne, że ludzie będą wołali, żeby góry i pagórki upadły na nich i zakryły ich przed tym strasznym widokiem.

Niektórzy uczestnicy spotkania zaczęli cicho szlochać. — Siódma pieczęć zapowiada sąd siedmiu trąb, który nastanie w drugim kwartale tego siedmioletniego okresu.

— Następnym razem dwadzieścia jeden miesięcy — wtrącił Rayford.

— Zgadza się. Nie chcę ich omawiać dzisiejszego wieczoru, chcę tylko, żebyście wiedzieli, że będą one coraz gorsze i trudniej będzie je przetrwać. Nie idźcie do swoich domów w strachu, ale z pewną zachętą i nadzieją w sercu. Pamiętacie, jak mówiliśmy niedawno o dwóch świadkach? Powiedziałem wam wtedy, że postaram się trochę zgłębić to zagadnienie? W księdze Apokalipsy w rozdziale jedenastym i w wierszach od trzeciego do czternastego jest wyraźnie napisane, że wyjdzie od Boga dwóch ludzi, którzy będą mieli nadnaturalną moc czynienia cudów i będą prorokowali przez tysiąc dwieście sześćdziesiąt dni, a odziani będą w wory. Każdy, kto chciałby ich skrzywdzić, zostanie spalony ogniem. Ani kropla deszczu nie spadnie podczas wszystkich dni ich prorokowania. Będą mieli władzę zamieniać wodę w krew i uderzać w ziemię plagami, ilekroć zechcą.

— Szatan zabije ich, kiedy dobiegnie kres ich dni, to jest dokładnie po upływie trzech i pół roku, a ich ciała będą leżały na ulicy miasta, w którym był ukrzyżowany Chrystus. Ludzie, umęczeni ich prorocztwami, będą świętować i cieszyć się z powodu ich śmierci, nie pozwalając ich pochować. Jednak po upływie trzech i pół dnia prorocy powstaną z martwych i na obłokach wstąpią do nieba na oczach wszystkich przeciwników. Wtedy Bóg ześle kolejne wielkie trzęsienie ziemi, w wyniku którego jedna dziesiąta miasta zawali się i zginie siedem tysięcy osób. Pozostali przy życiu będą przerażeni i oddadzą chwałę Bogu.

Rayford rozejrzał się po gabinecie, bo większość zebranych szepotała coś między sobą. Wszyscy widzieli już w telewizji specjalny raport z Izraela o dwóch mężczyznach mówiących o Jezusie pod Ścianą Płaczu w Jerozolimie.

— Czy to o nich jest mowa w Biblii? — zapytała jakaś kobieta.

— A o kimże innym? — stanowczo powiedział Bruce. — W Jerozolimie nie padało od czasu masowych zniknięć. Tych dwóch pojawiło się nagle i nikt nie wie, skąd pochodzą. Mają cudowną moc, jak Eliasza i Mojżesz i nazywają siebie nawzajem Eli i Mojsze. Nawet w tej chwili stoją pod Ścianą Płaczu i nadal zwiastują Słowo.

— Dwóch świadków?

— Tak, dwóch świadków. Jeśli ktokolwiek z nas miał jeszcze jakieś wątpliwości lub obawy, nie do końca był przekonany co do czasu, w którym żyjemy, to teraz musi przyznać, że to, co się dzieje, jest zgodne z biblijnym opisem czasów ostatecznych, a pojawienie się dwóch świadków powinno rozwiązać wszelkie wątpliwości. Wierzę, że świadkowie zobaczą setki tysięcy nawróconych do Chrystusa ludzi, włącznie ze stu czterdziestoma czterema tysiącami tych, którzy pójdą na cały świat głosić Chrystusa. My jesteśmy po ich stronie. Musimy wykonać to, co do nas należy.

Buck dodzwonił się do Hattie we wtorek wieczorem.

— Przylatujesz do Nowego Jorku? — zapytał.

— Tak — odpowiedziała — i bardzo chciałabym spotkać się z tobą, jeśli to możliwe, a może razem spotkamy się nawet z samym VIP-em?

— Masz na myśli jakiegoś innego VIP-a oprócz mnie?

— Śmieszne — powiedziała. — Spotkałeś się już z Nicolae Carpathią?

— Oczywiście!

— Wiedziała! Kilka dni temu powiedziałam komuś, że bardzo chciałabym go zobaczyć.

— Nie chcę nic obiecywać, ale zobaczę, co da się zrobić. Gdzie proponujesz spotkanie?

— Mój samolot ląduje około jedenastej, a o pierwszej umówiłam się z pewnym człowiekiem w klubie Pan-Con. Ale nawet jeśli nie uda mi się być z powrotem na czas, nie powinno być problemu. Nie odlatuję zaraz, ale dopiero następnego dnia rano, i nawet nie potwierdziłam temu facetowi, że na pewno będę w klubie o pierwszej.

— Facetowi? — spytał Buck zaciekawiony. — Widzę, że weekend masz już zaplanowany.

— Nic z tego, co myślisz — odpowiedziała szybko. — To jest pilot, który koniecznie chce o czymś ze mną porozmawiać, a ja nie

wiem, czy w ogóle mam na to ochotę. Jeżeli będę z powrotem na czas, to w porządku, ale jeśli nie, to nie ma sprawy. Nie mam wobec niego żadnych zobowiązań. Spotkajmy się w tym klubie i razem ustalimy, dokąd pojedziemy, dobra?

— Postaram się zaaranżować spotkanie z Carpathią tego dnia, prawdopodobnie w jego hotelu.

Był już późny wtorkowy wieczór, kiedy Chloe zmieniła zdanie i postanowiła polecieć z ojcem do Nowego Jorku.

— Widzę, że nie powinieneś się nigdzie ruszać beze mnie — zażartowała obejmując go i śmiejąc się. — To przyjemnie czuć się potrzebnym.

— *Prawdę mówiąc, chcę* skłonić Hattie do spotkania i bardzo bym chciał, żebyś przy tym była.

— Jako jej ochrona czy twoja?

— To wcale nie jest śmieszne. Zostawiłem jej wiadomość z prośbą, żeby przyszła do klubu Pan-Con na lotnisku Kennedy'ego o pierwszej po południu. Nie mam pojęcia, czy przyjdzie, czy nie. W każdym razie znowu będziemy mogli razem spędzić trochę czasu.

— Tato, przecież spędzamy razem cały czas. Zaczynam myśleć, że niedługo zmęczy cię moja ciągła obecność.

— Chloe, wierz mi, to się nigdy nie stanie.

Wczesnym rankiem w środę Buck miał się stawić w biurze Stan-  
tona Baileya, wydawcy „Global Weekly”. Przez wszystkie lata pracy był tam zaledwie dwa razy: raz na spotkaniu, gdy zdobył nagrodę Hemingwaya za korespondencję z frontu podczas pamiętnej bitwy w Izraelu, a drugi raz w okresie świąt Bożego Narodzenia, kiedy zarząd pisma zorganizował zwiedzanie budynku biura, co pracownicy gazety uszczypliwie nazywali mahoniową wycieczką.

Buck zajął najpierw do redakcji, chcąc odnaleźć Steve'a, ale dowiedział się od Marge, że Steve jest już u szefa. Zauważył, że ma zaczerwienione i podpuchnięte oczy.

— Co się stało? — spytał.

— Przecież wiesz, że nie wolno mi mówić — odparła. — Idź już.

Wyobraźnia Bucka pracowała, gdy wchodził do pomieszczeń zdominowanych przez brąz. Nie wiedział, że Plank też został wezwany. Co to mogło znaczyć? Czy może narobili sobie kłopotów poniedziałkowymi wyczynami policji? A może pan Bailey w jakiś sposób dowiedział się szczegółów dotyczących tego, co się wydarzyło w Londynie i jak Buck się z tego wygrzebał? Miał nadzieję, że wizyta u szefa szybko się skończy i zdąży na lotnisko na spotkanie z Hattie Durham.

Recepcjonistka Bailey'a zaprowadziła go do sekretariatu, gdzie sekretarka uniosła brwi i machnęła mu ręką na przywitanie.

— Nie zapowiesz, mnie? — zażartował.

Uśmiechnęła się i wróciła do swojej pracy.

Buck zapukał nieśmiało i ostrożnie popchnął drzwi. Plank siedział tyłem i nie odwrócił się do Bucka. Bailey również nie podniósł się z miejsca, tylko skinął na niego.

— Siadaj tam, obok swojego szefa — powiedział w sposób, który dał Buckowi wiele do myślenia. Steve jest jego szefem, ale nie często się zdarzało, by go tak nazywał właściciel wydawnictwa.

Buck zajął miejsce i zwrócił się do Steve'a.

— Cześć Steve.

Steve kiwnął głową, nie odwracając się od Bailey'a.

— Zanim przejdziemy do sedna, Williams — zaczął Bailey — chciałbym omówić z tobą kilka spraw. Jesteś oczyszczony ze wszystkich zarzutów zza oceanu, tak?

Buck potwierdził.

— Tak, Sir. Bezapelacyjnie.

— Tak, oczywiście nikt w to nie wątpi, ale musisz przyznać, że miałeś szczęście. Myślę, że sprytnie zagrałeś, prowadząc taką sprawę, by wyglądało, iż ten, kto na ciebie polował, dostał cię w swoje łapy. Tak też wszyscy myśleliśmy przez jakiś czas, wiesz o tym.

— Przykro mi, ale to było nieuniknione.

— Przeliczyłeś się jednak, dając im tym samym broń, której mogą użyć w przyszłości przeciwko tobie, gdy z jakiegoś powodu postanowią pozbyć się ciebie.

— Wiem.

— Tak, ale zająłeś się tym.

— Zgadza się.

— Jak to zrobiłeś?

— Przepraszam, nie rozumiem.

— Czego nie rozumiesz w prostym pytaniu „Jak to zrobiłeś”? W jaki sposób wypłatałeś się z tego? Dotarła do nas wiadomość, że byli świadkowie, którzy widzieli cię podczas wybuchu samochodu w Londynie.

— Z pewnością musieli być też inni, którzy wiedzieli, jaka jest prawda. Tompkins był moim bliskim przyjacielem. Nie miałem powodu zabijać go ani nawet taka myśl nie powstała mi w głowie. Nie mam pojęcia, jak zrobić bombę ani jak ją przetransportować, nie mówiąc o zdetonowaniu.

— Mogłeś komuś zapłacić, żeby to zrobił.

— Ale nie zapłaciłem! Dlaczego miałbym zabijać przyjaciela? Nie żyję w świecie zabójców, a gdyby nawet, to nie pozwoliłbym, żeby Alan został zabity.

— No cóż, doniesienia prasowe na ten temat są sprzeczne. W końcu nikomu nic się nie stało w tym bałaganie. Po prostu wygląda to na nieporozumienie.

— Bo tak też było.

— Naturalnie, że tak. Cameron, chciałem, żebyś tu przyszedł, gdyż właśnie bardzo niechętnie przyjąłem pewną rezygnację.

Buck siedział cicho, kręcąc ze zrozumieniem głową.

— Steve powiedział mi przed chwilą, że złożył rezygnację, bo przyjął stanowisko rzecznika prasowego prezydenta Carpathii. Dostał więc znacznie lepszą ofertę i chociaż ja uważam, że nie jest to zajęcie dla niego, to on myśli inaczej i ma do tego prawo, bo to jego życie. A co ty o tym sądzisz?

Buck nie mógł pozbierać myśli.

— Szczerze mówiąc, myślę, że to śmierdzi. A co ty planujesz, Steve? Zamierzasz przeprowadzić się do Rumunii?

— Zostanę tu, na miejscu. W hotelu Plaža.

— Dobre sobie.

— Mówię ci.

— Steve, to niepodobne do ciebie. Nie jesteś facetem, **który** by się nadawał do tej roboty.

— Sam się przekonałeś, że Carpathia nie jest zwykłym politykiem. Sam stałeś na baczność i wiwatowałeś na jego cześć zaledwie dwa dni temu, w poniedziałek.

— Tak, ale...

— Nie ma żadnego „ale”. To dla mnie życiowa szansa. Nic mnie nie zniechęci.

Buck potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Wiedziałem, że Carpathia szuka kogoś na to stanowisko, ale...

Steve roześmiał się.

— Powiedz prawdę, Buck. Proponował ci pierwszemu, co?

— Nie.

— Rozmawiałem z nim i powiedział mi, że tak.

— No cóż, wspominał o takiej możliwości. Ale prawdę mówiąc, zaproponowałem mu Erica Millera z miesięcznika „Seaboard”.

Plank poruszył się w fotelu i spojrzał na Bailey'a.

— Naprawdę?

— No pewnie, czemu nie? On się lepiej do tego nadaje.

— Buck, posłuchaj — Steve spoważniał — wczoraj wieczorem morze wyrzuciło ciało Erica Millera na brzeg wyspy Staten Island. Wypadł z promu i utopił się.

— No, cóż — powiedział Bailey, podsumowując — dość już tych brudów. Steve zarekomendował ciebie na swoje stanowisko.

Buckowi nadal mąciło się w głowie od tej wiadomości o Millerze, ale dosłyszał rzuconą propozycję.



— O, nie, proszę — wyjąkał — chyba nie mówi pan poważnie.

— Nie chcesz takiej pracy? — zdziwił się Bailey. — Mógłbyś decydować o kształcie pisma, dokonywać wyboru artykułów i nadal pisać o najważniejszych wydarzeniach, co przecież jest twoją domeną, czyż nie? Znam cię i wiem, że chciałbyś się tego podjąć, chyba się nie mylę, co? Samo tylko zajmowanie tego stanowiska prawie podwoiło by twoje zarobki i jeśli potrzebujesz gwarancji, to ją masz.

— Nie o to chodzi — powiedział Buck. — Zdaję sobie sprawę, że jestem za młody nawet na swoje obecne stanowisko.

— Nie wierzysz w siebie albo po prostu nie doceniasz swoich umiejętności i nie wiesz, jak dobry jesteś w tej pracy.

— Wiem, że taka jest opinia współpracowników.

— Czego się jeszcze dzisiaj dowiem, panowie? — wrzasnął Bailey. — Jedni myślą, że ja jestem za stary. Inni uważają, że Steve jest zbyt powolny, a inni odwrotnie, że raczej za bardzo ponagla do roboty. Będą marudzić, nawet jeśli przyprowadzę im Matkę Teresę.

— Myślałem, że ona jest już w niebie.

— Odczep się, Buck. Więc jaka jest twoja decyzja?

— Przykro mi Sir, ale nie jestem zdolny zastąpić Steve'a. Moze i ludzie narzekają trochę na niego, ale doskonale wiedzą, że on jest w porządku i zawsze stoi po ich stronie.

— Wierzę, że ty też mógłbyś taki być.

— Nigdy jednak przekonają się do moich umiejętności kierowniczych. Już pierwszego dnia byliby u pana, narzekali na mnie oraz kopali pode mną dołki.

— Buck, możesz być spokojny. Nie pozwolę na to. A teraz przystąpmy do konkretów. Ta oferta nie będzie leżała na stole bez końca. Chcę, żebyś się podjął tego i chciałbym ogłosić nominację jak najszybciej.

Buck wzruszył ramionami i wbił wzrok w ziemię.

— Czy mógłbym mieć chociaż dzień do namysłu?

— Daję ci dwadzieścia cztery godziny! W tym czasie żaden z was nie może puścić nawet pary z ust, zrozumiano? Plank, czy ktoś wie o twoich planach?

— Tylko Marge.

— Możemy jej ufać. Ona nie piśnie ani słowa. Miałem z nią romans przez trzy lata i nigdy nie musiałem się martwić, że ktoś się dowie.

Steve i Buck spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

— No widzicie? — zatriumfował Bailey — nigdy o tym nie słyszeliście, co?

— Nie! — odpowiedzieli jednogłośnie.

— Widzicie, jak potrafi trzymać język za zębami? — Odczekał chwilę, po czym dodał: — To był tylko żart, chłopcy, tylko żart!

Bailey śmiał się, gdy opuszczali jego gabinet.

## *Rozdział osiemnasty*

Buck szedł za Stevem do jego gabinetu.

— Słyszałeś o tych dziwakach pod Ścianą Płaczu? — spytał Steve.

— A czy to ma teraz jakieś znaczenie — odpowiedział Buck ponuro. — Widziałem ich w telewizji, ale nie będę tego opisywał. A teraz powiedz, dokąd mnie prowadzisz. Co to ma znaczyć?

— Buck, to jest twój przyszły gabinet. Marge będzie twoją sekretarką.

— Dlaczego w ogóle dopuszczasz myśl, że chciałbym zająć twoje stanowisko? Przede wszystkim nie możemy cię utracić. Jesteś tu jedynym człowiekiem przy zdrowych zmysłach. Musiałeś się cholernie napracować, żeby przekonać do mnie Bailey'a. Teraz naprawdę myśli, że się nadaję na twoje miejsce.

— Oto twoje stanowisko.

— Naprawdę myślisz, że powinienem je przyjąć?

— No pewnie. Nie proponowałem nikogo innego, a Bailey nie ma żadnego kandydata.

— Mógłby ich mieć z tuzin, gdyby publicznie ogłosił wakat. Kto oprócz mnie nie chciałby tej pracy?

— Jeśli to jest taki cymes, to dlaczego nie chcesz?

— Czułbym się tak, jakbym zajął twój fotel.

— To zamów sobie nowy!

— Wiesz, co mam na myśli, Steve. Bez ciebie nie będzie tu tak samo. To nie jest miejsce dla mnie.

— Buck, popatrz na to inaczej. Jeśli tego nie weźmiesz, nie będziesz miał nic do powiedzenia w sprawie tego, kto będzie twoim szefem. Czy jest tu ktoś, z kim chciałbyś pracować?

— Pewnie — ty!

- Za późno. Jutro odchodzę. Ale poważnie, chciałbyś, żeby twoim szefem był na przykład Juan?
- Nie, jego na pewno nie zaproponujesz.
- Bo i nie mam takiego zamiaru. Nie zarekomenduję nikogo oprócz ciebie. Jeśli się nie zgodzisz, sam poniesiesz konsekwencje. Gdy jednak weźmiesz tę pracę, masz szansę wywindować się. Jak myślisz, ile razy miał będziesz w życiu taką okazję?
- Jeśli mnie wyrzucą, to z pewnością przejdę do „Time'a” albo jeszcze gdzieś indziej. Bailey nie może sobie pozwolić na coś takiego.
- Jeśli nie przyjmiesz tej propozycji, kto wie, może nawet Bailey będzie chciał się ciebie pozbyć. Odrzucenie takiego awansu nie byłoby dobre dla twojej kariery.
- Ja chcę tylko pisać, nic innego.
- Powiedz mi, że nie myślałeś, i to wiele razy, iż mógłbyś poprowadzić ten dział o wiele lepiej niż ja?
- Wiele razy.
- Masz teraz możliwość.
- Bailey nigdy nie poprze mnie przy wybieraniu najlepszych ludzi do naszego działu.
- Postaw to jako warunek. Jeśli mu się nie będzie podobało, wtedy będzie to jego decyzja, nie twoja.
- W tej chwili Buck po raz pierwszy realnie pomyślał o możliwości przyjęcia nominacji na naczelnego.
- Nadal nie mogę uwierzyć, Steve, że odchodzisz stąd, by zostać rzecznikiem prasowym Nicolae Carpathii.
- Chłopie, czy ty wiesz, co go czeka? Jaka przyszłość jest przed nim?
- Niewielka.
- Przy jego umiejętnościach, z potężnym wsparciem finansowym i potężnymi przyjaciółmi, tak szybko może zdobyć nieograniczoną, wręcz niewyobrażalną władzę, że wszyscy będą łapać się za głowę ze zdumienia.
- Ciekawie się ciebie słucha. Wiem, że uczyłeś się na dziennikarza.

— Buck, ja sam siebie słucham i nie dowierzam temu, co się dzieje. Nigdy dotąd nie myślałem tak o nikim. Żaden z prezydentów Stanów Zjednoczonych czy dotychczasowych sekretarzy generalnych ONZ nie zadziwił mnie tak jak on.

— Myślisz, że ich przerośnie?

— Buck, świat jest gotowy na Carpathię. Sam byłeś w poniedziałek w ONZ i widziałeś to samo, co ja. Słyszałeś to, co ja słyszałem. Czy kiedykolwiek przedtem widziałeś coś podobnego?

— Nie.

— I nigdy nie zobaczysz. Jeśli chcesz wiedzieć, uważam, że Rumunia jest dla niego zbyt mała, cała Europa jest dla niego za mała. ONZ też nie potrafi go ogarnąć.

— No to kim on może być, Steve? Królem świata?

Steve roześmiał się.

— Na pewno nie będzie nosił takiego tytułu, ale nie zapomnij o tym. Najlepsze w tym wszystkim jest to, że on sam nie zdaje sobie sprawy ze swojej wielkości. Wcale nie szuka poklasku. Nie szuka stanowiska ani uznania. One same wchodzą mu w ręce, bo ma intelekt, moc i pasję.

— Oczywiście wiesz, że stoi za nim Stonagal?

— Naturalnie. Uważam, że Carpathia już wkrótce go prześcignie swoją charyzmą. Stonagal nie chce być na widoku, nigdy więc nie będzie miał za sobą mas. Kiedy Nicolae dojdzie do władzy, zawładnie też Stonagalem.

— Czyżby?

— Mówię ci, Buck, stanie się to prędzej, niż ktokolwiek sobie to wyobraża.

— Oczywiście, z wyjątkiem ciebie, prawda?

— Tak właśnie uważam. Wiesz, że mam instynkt. Jestem pewien, że uczestniczymy w jednym z największych wydarzeń w historii ludzkości, i że ten człowiek będzie wielkim przywódcą. Kto wie, może nawet największym. I oto ja jestem w centrum tego wszystkiego i pomagam w tym dzielnie.

— A co myślisz o moim instynkcie, Steve?

Plank zacisnął wargi.

— Oprócz twoich reportaży i artykułów najbardziej zazdrościć ci instynktu.

— No, to weź sobie na wstrzymanie. Moje odczucia są podobne do twoich. Z wyjątkiem tego, że nigdy nie będę czymś rzeczni-kiem prasowym, prawie ci zazdrościć. Jesteś na wyjątkowo uprzy-wilejowanej pozycji, żeby cieszyć się życiem.

Steve roześmiał się.

— Będziemy w kontakcie. Możesz być pewien, że zawsze będziesz miał dostęp do mnie i do Nicolae.

— Nie mógłbym oczekiwać więcej.

Marge przerwała im, odzywając się bez zapowiedzi w głośniku.

— Steve, włącz swój telewizor.

Steve uśmiechnął się do Bucka i włączył odbiornik. Sieć CNN przekazywała reportaż z Jerozolimy, gdzie uzbrojeni mężczyźni próbowali zaatakować kaznodziejów przy Ścianie Płaczu. Dziennikarz CNN Dan Bennett komentował na żywo z miejsca zdarzenia.

— *Dzisiaj doszło do dramatycznej i wręcz niebezpiecznej konfrontacji z tymi, których Żydzi nazywają tu heretyckimi prorokami, znanymi jako Mojsze i Eli — powiedział Bennett. — Znamy ich imiona tylko dlatego, że tak zwracają się do siebie, ale jak do tej pory nikomu nie udało się ustalić ich pochodzenia. Nie są znane ich nazwiska, nie wiadomo, gdzie do tej pory mieszkali, czym się zajmowali, nie znamy ani ich rodzin, ani przyjaciół. Co jakiś' czas zmieniają się, godzinami niestrudzenie mówiąc, albo jak kto woli - głosząc kazania o tym, że Jezus Chrystus jest Mesjaszem. Powtarzają w kółko, że ogólnościato-we masowe zniknięcie ludzi w ubiegłym tygodniu, włączając w to wielu z Izraela, było dowodem Pochwycenia Kościoła przez Chrystusa.*

*Któryś z gapiów zapytał ich dlaczego oni nie zostali pochwyceni, skoro tak wiele wiedzą na ten temat. Jeden z nich, nazywany Mojsze, odpowiedział, cytując: „Nie możecie wiedzieć, „skąd przychodzimy i dokąd idziemy”. Jego towarzysz, Eli dodał: „W domu Ojca mojego jest mieszkań wiele”, Oczywiście są to znane słowa Chrystusa z Nowego Testamentu.*

Steve i Buck spojrzeli po sobie.

— *Przez większą część dnia otaczają proroków gorliwi zwolennicy, jednak dosłownie przed chwilą zaatakowało ich dwóch młodych mężczyzn. Przyjrzyjcie się państwu zdarzeniu, które uchwyciły nasze kamery. Widzicie teraz tych dwóch mężczyzn, są zaznaczeni kółkiem, ukrytych w tłumie ludzi i przepychających się do przodu. Ubrani są w długie, obszerne szaty, obaj mają brody. Teraz widać, jak wyciągają broń spod płaszczy, wylaniając się z tłumy.*

*Jeden z nich ma automatyczny, szybkostrzelny uzi, a drugi karabin z bagnetem, taki sam, jakie stosowano w armii izraelskiej. Pierwszy wysuwa się do przodu, celując prosto w Mojsze, który właśnie przemawia. Eli, który stoi za nim, pada na kolana z twarzą wzniesioną ku niebu. Mojsze przerywa kazanie i spogląda na człowieka z bronią, który wali się na ziemię. A ten drugi mężczyzna, z automatem uzi, celuje w proroków i pociąga za spust. Nie słychać jednak żadnego wystrzału. Broń wypada z ręki zamachowca, który również pada na ziemię. Ludzie stojący w pobliżu cofają się z przerażeniem, szukając schronienia, ale proszę, przyjrzyjcie się jeszcze raz uważnie, gdy będziemy powtarzać całe to zdarzenie. Zwróćcie uwagę na człowieka z bagnetem, jak się przewraca. W chwili gdy przekazujemy tę relację, obaj zamachowcy leżą martwi u stóp proroków, którzy jakby nic się nie stało, kontynuują nauczanie. Rozwścieczony tłum domaga się udzielenia pomocy napastnikom. W tej chwili Mojsze zaczyna przemawiać do nich po hebrajsku. Posłuchajmy tego w oryginalnym brzmieniu. Postaramy się natychmiast przetłumaczyć to państwu na angielski.*

*Mojsze mówi: Dzieci Syjonu, zabierzcie swoich umarłych . Usuniecie sprzed nas tych szakali, którzy nie mają żadnej mocy nad nami! Niektórzy z tłumy próbują się zbliżyć do zabitych, ale w tej chwili u wejścia do Ściany Płaczu pojawiają się żołnierze. Zwolennicy proroków wymachują rękami, próbując nie dopuścić do interwencji wojska. Teraz przemawia Eli: „Nie musicie się obawiać, wy, którzy chcecie zabrać ciała zabitych, chyba że też chcecie wystąpić przeciwko pomazańcom Pańskim”. Leżących nieruchomo napastników obrócono na plecy. Wokół słychać płacz i lament. Słychać okrzyki: „Nieżywi .*

*Obaj nie żyją ." Wygląda na to, że tłum zgadza się na interwencję żołnierzy. Rozstępują się, robiąc im przejście. Nie wiemy, czy będą oni próbować zaarrestować tych dwóch dziwnych mężczyzn.*

*O, a teraz zabiera głos Mojsze: „Zabierzcie swoich zmarłych, ale nie próbujcie zbliżyć się do nas, mówi Pan, Bóg Zastępów ." Powiedział to tak głośno i z taką siłą, że żołnierze szybko sprawdzili puls i zabrali ciała napastników. Za chwilę postaramy się przekazać państwu dostępne wiadomości na temat stanu zdrowia napastników, którzy zaatakowali proroków tu, pod Ścianą Płaczu w Jerozolimie. W tej chwili prorocy kontynuują przekazywanie swojego posłania, wykrzykując: Jezus z Nazaretu, urodzony w Betlejem, król Żydów, pomazaniec Boży, władca narodów. Z Izraela dla sieci CNN mówił Dan Bennett.*

Marge i kilka innych osób z redakcji niezauważalnie wślizgnęło się do gabinetu Steve'a podczas transmisji.

— Czy to jeszcze mało? — zauważył ktoś. — Kim są te dwa półgłówki?

— Które dwa? — zapytał Buck. — Nie możesz powiedzieć, że ci prorocy, czy jak ich tam zwać, nie ostrzegli tamtych dwóch.

— Co się tam dzieje? — spytał ktoś inny.

— Z tego, co wiem — odezwał się znowu Buck — dzieją się tam rzeczy, których nikt nie jest w stanie wytłumaczyć.

Steve zmarszczył brwi.

— Jeśli masz na myśli narodzenie z dziewicy, to było prawdą znaną od wieków.

Buck podniósł się z miejsca.

— Muszę jechać na lotnisko — powiedział.

— A co masz zamiar zrobić z ofertą Baileya? — zawołał Plank.

— Mam na to dwadzieścia cztery godziny, zapomniałeś?

— Tylko nie myśl o tym przez cały czas. Odpowiesz za szybko - wyjdiesz na napaleńca, którym przecież nie jesteś, dasz odpowiedź zbyt późno - pomyśli, że brak ci zdecydowania. Zrób tak, jak uważasz.

Buck wiedział, że Steve ma rację. Miał zamiar przyjąć propozycję, ale tylko po to, żeby ochronić siebie od nowych szefów. Nie



chciał jednak, by myślenie o tej sprawie zrujnowało mu cały dzień. Cieszył się z odmiany, jaką przyniesie spotkanie z Hattie Durham. Martwił się jedynie, czy ją rozpozna. Spotkali się przecież w niezwykłych okolicznościach.

Rayford i Chloe wylądowali w Nowym Jorku w środę tuż po południu i poszli prosto do klubu Pan-Con, żeby poczekać na Hattie Durham.

— Myślę, że nie przyjdzie — powiedziała Chloe.

— Dlaczego?

— Gdybym nią była, nie przyszłabym.

— Ale, dzięki Bogu, nie jesteś.

— Tato, nie poniżaj jej tak. Myślisz, że jesteś lepszy?

Rayford poczuł się okropnie. Wcale nie chciał myśleć o Hattie w taki sposób tylko dlatego, iż nie rozpoznawała znaków czasu. Przecież jego samego te sprawy wcale nie zajmowały, kiedy misternie układał przyszły romans. A teraz tylko dlatego, że podczas ostatniej rozmowy powiedziała mu kilka nieprzyjemnych słów i zlekceważyła jego propozycję spotkania zaliczył ją do grona osób drugiej kategorii.

— Nie jestem wcale lepszy — wyznał. — Ale powiedz mi, dlaczego byś nie przyszła, gdybyś była nią?

— Dlatego, że domyślałabym się, o czym planujesz ze mną rozmawiać. Chcesz jej powiedzieć, że obecnie nie jesteś nią już fizycznie zainteresowany ale, że teraz zależy ci na jej nieskazitelnej duszy?

— Ujęłaś to bardzo płytko.

— Powiedz mi, tato, jakie wrażenie może zrobić na niej to, że teraz jesteś bardziej zainteresowany jej duszą niż tym, czego chciałaś od niej jeszcze niedawno?

— No właśnie, Chloe, to jest to! Nigdy nie byłem nią zainteresowany jako osobą.

— Ale ona o tym nie wie. Byłeś taki przezorny i ostrożny, więc myślała, że jesteś inny i lepszy niż większość mężczyzn, którzy mo-

że zachowywali się wprost, bez żadnych ceregieli. Jestem pewna, że było jej żal mamy i prawdopodobnie rozumiała, że nigdy nie nawiązesz z nią bliższych stosunków. I z pewnością nie będzie to przyjemne, gdy się dowie, że zrywasz z nią dotychczasowe relacje, jakiegokolwiek one były, tak jakby to ona zawiniła.

— Właściwie to w dużej mierze była jej wina.

— Nieprawda, tato, nie zgadzam się z tobą. Ona była wolna, a ty nie, i to ty właśnie nie powinieneś nic sugerować, ani okazywać choćby cienia zainteresowania, tak jak to w rzeczywistości robiłeś. W dzisiejszych czasach i przy twoim wieku mogło to jej dawać wiele do myślenia.

Rayford potrząsnął głową.

— Może właśnie dlatego nigdy nie byłem w tym dobry.

— Cieszę się, bo to uchroniło mamę i cały nasz dom od katastrofy.

— Powiedz mi, czy uważasz, że nie powinienem mówić jej prawdy ani niczego o Bogu, ze strachu, że się pogrąży?

— Już ją pogrążyłeś, tato. Zgadywała, co chcesz jej powiedzieć i potwierdziłeś to. Dlatego uważam, że nie przyjdzie. Prawdopodobnie czuje się głęboko dotknięta. A może i wściekła, kto wie?

— O, była wściekła, to prawda.

— Dlaczego więc myślisz, że będzie chciała przyjąć to, co masz zamiar jej powiedzieć o tych niebiańskich farmazonach?

— To nie są żadne farmazony, Chloe! W każdym razie, czy to nie dowodzi, że teraz jeszcze bardziej mi na niej zależy, ale już w zupełnie inny, uczciwy i czysty sposób?

Chloe podeszła do barku i naląła sobie drinka. Kiedy wróciła, usiadła obok ojca i położyła rękę na jego ramieniu.

— Nie chcę, żeby to brzmiało tak, jakbym wszystko wiedziała — powiedziała delikatnie. — Wiem, że masz dwa razy tyle lat co ja, a nawet więcej, ale pozwól, że dam ci wskazówkę, jak myślą kobiety, a szczególnie ktoś taki jak Hattie. Zgoda?

— Zamieniam się w słuch.

— Czy ona ma jakieś wychowanie religijne?

— Nie wiem, wydaje mi się, że nie.

— Nigdy nie pytałeś? A ona nigdy o tym nie wspominała?

— Nie przypominam sobie, żebyśmy kiedykolwiek o tym rozmawiali.

— Nigdy nie wspominałeś jej o obsesji religijnej mamy, jak to czasem nazywałeś?

— Jeśli o to chodzi, to rzeczywiście, mówiłem jej. Naturalnie próbowałem w ten sposób, zwalić winę na twoją mamę za to, że nie potrafiliśmy się dogadać.

— A Hattie nigdy nie mówiła o swoim stosunku do Boga?

Rayford próbował coś sobie przypomnieć.

— Wiesz, myślę, że mówiła coś pozytywnego, może wyrażała sympatię i uznanie pod adresem mamy.

— To ma sens. Nawet, gdyby próbowała stanąć pomiędzy wami, rozdzielić was, to z pewnością nie ona, ale właśnie ty byłbyś tym, kto miał wbić klin pomiędzy siebie i mamę.

— Poczekaj, coś mi się tu nie zgadza.

— Nieważne, to i tak nie ma teraz większego znaczenia. Chcę powiedzieć, że nie powinieneś oczekiwać od nie wierzącej osoby, że nagle ni stąd, ni zowąd zacznie analizować temat nieba, Boga, wiary i tak dalej. Nawet ja mam z tym problem, a przecież jestem twoją córką, kocham cię i wiem, że teraz jest to dla ciebie najważniejsze w życiu. Nie możesz zakładać, że w ogóle będzie tym zainteresowana, szczególnie kiedy zrozumie, iż dajesz jej to jakby na otarcie łez.

— Za co?

— W miejsce twojego zainteresowania.

— Ale moje zainteresowanie jest teraz o wiele bardziej czyste, głębsze i wynika z zupełnie innych pobudek!

— Daj spokój! Może dla ciebie, ale dla niej będzie to o wiele mniej atrakcyjna perspektywa niż możliwość posiadania kogoś, kto będzie ją kochał na zawsze.

— Bóg będzie ją kochał i będzie przy niej zawsze !

— Tak, dla ciebie brzmi to bardzo realnie. Ale mówię ci, tato, to nie będzie dla niej coś, na co jest gotowa i co chciałaby dzisiaj usłyszeć.

— Co więc mam zrobić, jeśli mimo wszystko przyjdzie tu za chwilę? Mam jej w ogóle o tym nie mówić?

— Sama nie wierni. Jeśli jednak przyjdzie, to może wskazywać, że nadal ma nadzieję na jakieś szanse u ciebie. Czy nie tak jest?

— Nie!

— W takim razie powinieneś jej to jasno i wyraźnie powiedzieć. Ale proszę cię, nie bądź taki stanowczy i oficjalny. Nie próbuj też korzystać z okazji, żeby wciskać jej tę...

— Przestań mówić o mojej wierze w Boga jako o czymś, co można komuś wciskać.

— Przepraszam. Próbowałam tylko ci pokazać, jak to może brzmieć dla niej.

Rayford zupełnie nie wiedział, jak rozmawiać z Hattie ani co robić, gdy przyjdzie. Obawiał się, że jego córka ma rację i że słusznie mówiła o tym, co Hattie może myśleć i czuć. Pamiętał też słowa Bruce'a Barnes'a o tym, że większość ludzi jest ślepa i głucha na prawdę aż do momentu, gdy sami ją odkrywają; wtedy nagle wszystko zaczyna mieć sens. Jak z tym dyskutować? Przecież sam był taki.

Hattie pośpieszyła w stronę Bucka, który pojawił się w klubie około jedenastej. Gdy zaczął z nią rozmawiać, od razu zrozumiał, że nie o niego chodzi, bo pierwsze jej słowa dotyczyły Carpathii.

— No więc, będę mogła się spotkać z Nicolae Carpathią?

Kiedy Buck kilka dni temu obiecywał jej, że spróbuje ją przedstawić Nicolae, tak naprawdę nie myślał, że do tego w ogóle dojdzie. Teraz czuł się fatalnie, gdy miał zadzwonić i zapytać, czy może przedstawić znajomą, a jego wielbicielekę. Wykręcił więc najpierw numer Rosenzweiga.

— Doktorze, jest mi trochę głupio i może byłoby lepiej, gdybyś powiedział „nie”, bo Nicolae z całą pewnością jest bardzo zajęty. Wiem, że ma wiele zajęć i spotkań na najwyższym szczeblu, a ta

dziewczyna chyba nie jest znowu kimś tak ważnym, i&fey -koniecznie musiał się z nią spotkać — tłumaczył Buck.

— Dziewczyna?

— No tak, młoda kobieta. Ona jest stewardessą.

— Chcesz, żeby się spotkał ze stewardessą?

Buck nie wiedział, co powiedzieć. Reakcja Chaima była właśnie taka, jakiej się spodziewał. Zastanawiając się, co powiedzieć, usłyszał jak Rosenzweig odłożył telefon i zawołał Carpathię.

— Doktorze, nie! Nie pytaj go!

Ale Chaim już to zrobił. Po chwili Rosenzweig podniósł słuchawkę i powiedział:

— Nicolae mówi, że ten, kto jest twoim przyjacielem, jest także jego przyjacielem. Ma chwilkę, ale dosłownie chwilkę i to teraz.

Buck i Hattie czym prędzej pojechali taksówką do hotelu Płaza. Buck zdał sobie sprawę, jak bardzo niezręcznie postąpił i kto wie, co jeszcze go czeka. Jeżeli miał odrobinę szacunku ze strony Rosenzweiga i Carpathii jako znany dziennikarz renomowanego pisma, to teraz z pewnością jego wizerunek się zmieni. Od tej pory roznie się fama, że jest lizusem, który wlecze za sobą ludzi, żeby uścisnęli dłoń Nicolae.

Buck nie mógł ukryć niepokoju i w windzie wyrzucił z siebie:

— Hattie, Carpathia ma dosłownie tylko parę sekund, więc nie powinniśmy być długo.

Rzuciła na niego ostre spojrzenie.

— Buck, przecież wiem, jak traktować VIP-ów — powiedziała z wyrzutem. — Często obsługuję takich podczas lotów.

— No tak, naturalnie.

— To znaczy, jeśli czujesz się zakłopotany z mojego powodu albo...

— Hattie, nie o to chodzi.

— Jeśli myślisz, że nie wiem, jak się zachować...

— Przepraszam, ja tylko myślę o jego napiętym programie.

— No to teraz i my jesteśmy w jego harmonogramie na dzisiaj, nie?

Buck wziął głęboki oddech.

— Chyba tak. — *Co też mnie podkusiło, żeby się w to pakować?*  
— pomyślał.

W korytarzu Hattie zatrzymała się przed lustrem, żeby poprawić makijaż. Strażnik otworzył drzwi, skinął na Bucka i obejrzał Hattie od głów do stóp. Hattie lekceważąco wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć Carpathię. Doktor Rosenzweig pojawił się w salonie.

— Cameron, czy mogę cię prosić na chwilę? — powiedział.

Buck przeprosił Hattie, która nie wyglądała na zadowoloną. Rosenzweig odciągnął go na bok i wyszeptał: On chce, żebyś, najpierw ty sam wszedł do niego.

*No to masz za swoje*, pomyślał Buck, mrugając porozumiewawczo do Hattie, podnosząc kciuk na znak, że nie będzie długo. *Carpathia głowę mi urwie za to, że mu zabieram czas.*

Wszedłszy do apartamentu, Buck zauważył, że Nicolae stoi przed telewizorem i ogląda wiadomości CNN. Oparł podbródek na rękach. Spojrzał w stronę gościa i pomachał mu. Buck zamknął drzwi i czuł się jak w szkole, gdzie ma się tłumaczyć w gabinecie dyrektora za to, że coś przeszkrobał. Ale Nicolae nawet nie wspominał o Hattie.

— Widziałeś, co się dzieje w Jerozolimie? — zapytał. Buck przytaknął. — Czegoś tak dziwnego jeszcze nie widziałem.

— A ja tak — odparł Buck.

— Naprawdę? — zdziwił się Carpathia.

.i.^y.

— Byłem akurat w Tel Awiwie, gdy Rosjanie zaatakowali. '

Nicolae nie spuszczał oczu z ekranu telewizora, podczas gdy CNN bez przerwy powtarzała scenki z ataku na proroków pokazując, jak niedoszli zabójcy zostali powaleni na ziemię.

— Taaaaak — mrucał pod nosem. — Musi być jakieś wytłumaczenie. To niesamowite. Mówią, że ci dwaj mieli atak serca.

— Przepraszam?

— Mówią, że napastnicy zmarli na zawał.

— Nie wiedziałem.

— Tak. A broń... automatyczny uzi, nie zaskoczył. To bardzo dziwne, ta broń jest niezawodna.

Zdawało się, że Carpathia jest sparaliżowany tym, co zobaczył. W dalszym ciągu patrzył na ekran telewizora i jednocześnie mówił.

— Ciekaw jestem, co sądzisz o moim wyborze rzecznika prasowego.

— Byłem wstrząśnięty.

— To tak, jak myślałem. Popatrz teraz na to. Żaden z proroków nawet nie dotknął napastnika. Co to za sztuczki? Czy umarli ze strachu?

Było to pytanie retoryczne i Buck nawet nie odpowiedział.

— Hm, hm, hm — Carpathia mruczał w sposób, jakiego Buck jeszcze u niego nie słyszał. — Zaiste przedziwne i niezrozumiałe. Nie sądzisz chyba, że Plank nie podoła pracy, którą mu zleciłem?

— Ależ nie. Myślę, że pan wie, iż „Global” bez Steve’a Pianka będzie okaleczony.

— Coś takiego! Chyba raczej go wzmocniłem. Czy jest lepsza droga, żeby mieć na szczycie tę osobę, którą się chce tam mieć?

Buck z ulgą wzruszył ramionami, gdy w końcu Carpathia przestał wpatrywać się w ekran.

— Teraz czuję się jak Jonathan Stonagal, gdy ustawia ludzi na różnych stanowiskach. — Roześmiał się głośno i Buck był zadowolony, że Carpathia tylko żartuje.

— Słyszał pan, co się stało z Erikiem Millerem? — spytał Buck.

— Twoim przyjacielem z „Seaboard Monthly”? Nie. A co?

— Utopił się wczoraj w nocy.

Carpathia wyglądał na zaszokowanego.

— Naprawdę? To straszne!

— Proszę posłuchać, panie Carpathia...

— Buck, proszę, mów mi po imieniu. Nicolae.

— Nie wiem, czy dobrze bym się czuł, zwracając się do pana w ten sposób. Chciałem pana przeprosić za to, że przyprowadziłem dzisiaj tę dziewczynę. Ona jest „tylko” stewardessą, a...

— Buck, nikt nie jest dla mnie „tylko” — powiedział Nicolae, biorąc Bucka pod ramię. — Każdy człowiek znaczy dla mnie wiele, wszyscy są równie wartościowi, niezależnie od tego, co robią.

Carpathia poprowadził Bucka do drzwi, nalegając, żeby go przedstawił. Hattie zachowywała się stosownie i z rezerwą, chociaż zachichotała, gdy Carpathia pocałował ją w obydwie policzki. Rozpytywał o jej rodzinę i pracę. Buck zastanawiał się, czy Carpathia uczęszczał może na kurs Carnegie, na którym uczą, jak zdobywać przyjaciół i wpływać na ludzi.

— Cameron — szepnął dr Rosenzweig. — Odbierz telefon.

Buck podniósł słuchawkę w innym pokoju. To była Marge.

— Myślałam, że tam będziesz — powiedziała. — Właśnie zadzwoniła do ciebie Carolyn Miller, żona Erica. Jest bardzo roztrzęsiona i chce z tobą rozmawiać. Zadzwoń do niej, gdy tylko będziesz mógł.

— A o czym chce rozmawiać?

— Nie mam pojęcia, ale była zrozpaczona. Zapisz sobie jej numer.

Kiedy Buck wrócił do pokoju, Carpathia potrząsał na pożegnanie rękę Hattie, a potem ucałował jej dłoń.

— Jestem zachwycony — powiedział. — Dziękuję, panie Williams. Panno Durham, byłoby mi bardzo przyjemnie, gdybyśmy się mogli kiedyś spotkać.

Buck poprowadził ją do wyjścia i odkrył ze zdumieniem, że jest ogromnie przejęta i podekscytowana.

— Ciekawy facet, co? — próbował ją wybadać.

— Niesamowity! Dał mi swój numer telefonu! — powiedziała, niemal piszcząc z uciechy.

— Swój numer? — zdziwił się Buck.

Hattie pokazała mu wizytówkę Nicolae. Było na niej jego nazwisko i tytuł Prezydenta Republiki Rumunii, ale adres nie był rumuński, jak się spodziewał. Podano tam: hotel Plaža, numer hotelowego pokoju, numer telefonu. Buck oniemiał z wrażenia. Carpathia dopisał na wizytówce jeszcze jakiś inny numer, nie hotelowy, ale też nowojorski. Buck zapamiętał go.

— Możemy zjeść lunch w klubie Pan-Con — powiedziała Hattie. — W zasadzie nie miałam ochoty widzieć się z tym pilotem, o którym ci wspominałam, ale zmieniłam zdanie i spotkam się z nim



choćby po to, żeby się z nim podrażnić i powiedzieć o spotkaniu z Nicolae.

— O, widzę, że teraz to już jest Nicolae, co? — powiedział uszczypliwie Buck, ciągle nie mogąc ochłonąć po obejrzeniu wizytówki.

— Chcesz, żeby ktoś był zazdrosny?

— Coś w tym rodzaju — odparła.

— Przepraszam na chwilę, muszę gdzieś zadzwonić, zanim tam pojedziemy — powiedział, udając się do automatu.

Hattie czekała w korytarzu, podczas gdy Buck wykręcał numer do Carolyn Miller. Jej głos brzmiał tak, jakby od wielu godzin nie spała i płakała, i niewątpliwie tak było.

— O, pan Williams, dziękuję, że pan zadzwonił.

— Nie ma za co, pani Miller, przykro mi z powodu śmierci męża. Ja...

— Pamięta pan, że już się wcześniej spotkaliśmy?

— Przepraszam, ale zupełnie nie. Mogłaby mi pani to przypomnieć?

— To było na jachcie prezydenckim, dwa lata temu.

— Rzeczywiście, przypominam sobie. Proszę mi wybaczyć.

— Ja tylko chciałam, żeby pan nie myślał, że się nie znamy. Panie Williams, mój mąż zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem, zanim wszedł na prom. Powiedział, że jest na tropie jakiegoś niezwykłego wydarzenia, które miało miejsce w hotelu Plaža, i zrobi z tego artykuł.

— Tak, to prawda.

— Opowiedział mi jakąś zwariowaną historię o tym, że się wczoraj pobiliście, czy coś w tym rodzaju, w związku z wywiadem z tym Rumunem, który przemawiał w...

— To prawda. Zapewniam panią, że nie było to jednak nic wielkiego, takie zwykłe przepychanki pomiędzy kolegami dziennikarzami.

— Tak też to rozumiałam. Ale rozmawialiśmy wtedy po raz ostatni i to nie daje mi spokoju. Czy pamięta pan, jak zimno było wczoraj wieczorem?

— Chyba było dosyć chłodno — powiedział Buck, dziwiąc się, że kobieta zmienia temat rozmowy.

— Było zimno. Za zimno, żeby stać na pokładzie promu - nie myśli pan?

— Tak, chyba ma pani rację.

— A nawet, gdyby Erie tam był i w jakiś sposób wpadł do wody, to przecież był dobrym pływakiem. W liceum był mistrzem na 100 metrów.

— Nie wątpię w jego osiągnięcia szkolne, pani Miller, ale ile lat temu to było, trzydzieści?

— Jednak nadal dobrze pływał, może mi pan wierzyć. Wiem o tym.

— Co pani chce przez to powiedzieć, pani Miller?

— Nie wierni — krzyczała, płacząc. — Myślałam, że może pan mi pomoże to wyjaśnić. To niemożliwe, żeby Erie wypadł z promu i tak po prostu utopił się. To bez sensu!

— Dla mnie to też nie ma sensu i naprawdę chciałbym pani pomóc. Ale jak?

— Wiem — powiedziała szlochając. — Miałam tylko nadzieję, że ta rozmowa mi w czymś pomoże.

— Czy jest ktoś z panią, to znaczy ktoś z rodziny, kto mógłby się zaopiekować i pomóc w załatwieniu formalności?

— Tak, dziękuję. Moja rodzina jest tutaj.

— Będę o pani myślał.

— Bardzo dziękuję.

Buck widział Hattie z pewnej odległości. Nie wyglądało, by się niecierpliwiła. Zadzwoił więc jeszcze do kolegi w telekomunikacji.

— Alex! Jak się masz? Możesz coś zrobić dla mnie? Jeżeli podam ci numer telefonu, możesz mi powiedzieć, do kogo należy?

— Jeżeli mi obiecasz, że nikomu nie powiesz.

— Człowieku, przecież mnie znasz.

— O.K. Jaki to numer?

Buck wyrecytował numer, który zapamiętał z wizytówki Carpathii. Po chwili Alex czytał mu dane z komputera.

— Nowy Jork, ONZ, biura administracji, biura sekretarza generalnego, zastrzeżone linie do prywatnego użytku omijające główną centralę telefoniczną, omijające sekretariat, wystarczy?

— Dzięki Alex, mam u ciebie dług wdzięczności.

Buck był zdezorientowany. Nie umiał poskładać wszystkiego do kupy. Poszedł do Hattie.

— Muszę jeszcze gdzieś zadzwonić, zajmie to minutę — powiedział. — Nie masz nic przeciwko temu?

— Ani trochę, jeżeli będziemy na lotnisku przed pierwszą. Nie wiem jak długo ten pilot będzie na mnie czekał. Ma tam być ze swoją córką.

Buck znowu poszedł do telefonu zadowolony, że nie musi konkurować z Carpathią czy z pilotem o względy Hattie. Zadzwonił do Steve'a. Odebrała Marge i Buck nie wdawał się z nią w uprzejmości, ale krótko powiedział:

— Hej, to ja. Daj mi Pianka, natychmiast.

— Już się robi, szefie, życzę przyjemnego dnia — powiedziała Marge i połączyła go z Plankiem.

— Steve — powiedział Buck szybko — twój facet zrobił pierwszy błąd.

— O czym ty mówisz, Buck?

— Powiedz mi, czy twoim pierwszym zadaniem będzie poinformowanie świata, że Carpathią został sekretarzem generalnym ONZ?

Cisza.

— Steve! Co będzie następne?

— Jesteś dobrym reporterem, Buck. Najlepszym. W jaki sposób się tego dowiedziałeś?

Buck powiedział mu o wizytówce.

— O rany! To niepodobne do Nicolae. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby to było zwykłe przeoczenie z jego strony. Pewnie miał jakiś powód, żeby tak zrobić.

— Być może zakładał, że ta kobieta, Durham, sama do tego nit dojdzie — głośno myślał Buck — albo też, że nie pokaże mi te wizytówki. Ale skąd wie, że nie zadzwoni od razu na ten numer pytając o niego?

— Wszystko będzie w porządku, jeżeli nie zrobi tego do jutra.

— Do jutra?

— Nie możesz tego podawać dalej, rozumiesz? Czy nie jesteśmy na podsłuchu? Skąd dzwonicz?

— Steve! Co ty myślisz? Z kim rozmawiasz? Czy już pracujesz dla Carpathii? Muszę ci przypomnieć, że nadal jesteś moim szefem. Jeśli nie chcesz, żebym z czegoś robił użytek, tylko mi powiedz. Pamiętasz, że zawsze tak było?

— No dobra, powiem ci. Pustynia Kalahari sprawia wiele kłopotu Botswanie, z której pochodzi obecny sekretarz generalny ONZ Ngumo. Powraca tam jutro jak bohater, jako pierwszy przywódca spoza Izraela, który będzie miał dostęp do legendarnej formuły Rosenzweiga.

— Jak on do tego doszedł?

— Naturalnie dzięki swojej wybitnej dyplomacji.

— I oczywiście nie można oczekiwać, że podczas tego strategicznego dla jego kraju czasu podda obowiązkom zarówno w ONZ, jak i w Botswanie, zgadza się, Steve?

— Przecież nie musi, skoro jest ktoś, kto go może doskonale zastąpić. Byliśmy tam w poniedziałek, pamiętasz Buck? Kto się temu sprzeciwi?

— Chyba nie ty?

— Myślę, że masz rację.

— Będziesz doskonałym rzecznikiem prasowym, Steve. A ja zdecydowałem się przejąć schedę po tobie.

— No, nareszcie! Gratuluję. A teraz prześpij się z tym do jutra, zrozumiałeś?

— Nie ma problemu. Powiedz mi tylko jeszcze jedno.

— Jeśli będę mógł.

— Do czego Erie Miller doszedł zbyt blisko? Jakim śladem SZtictti i co chciał ujawnić?

Steve odpowiedział niskim, bezbarwnym głosem.

— Wszystko, co wiem odnośnie Erica Millera — powiedział poważnie — to to, iż podszedł zbyt blisko barierki na promie płynącym na Staten Island.

## *Rozdział dziewiętnasty*

Rayford przyglądał się Chloe, gdy przechadzała się po klubie Pan-Con, czasami wyglądając przez okno. Czuł się jak mięczak. Minęło kilka dni, od kiedy przyrzekł sobie, że nie będzie jej naciskał. Znał ją. Wiedział, że jest taka sama jak on. Stałaby po przeciwnej stronie, gdyby wywierał zbyt mocną presję. Nalegała nawet, aby się wycofał z pomysłu rozmowy z Hattie Durham na tematy duchowe, jeśli w ogóle pojawi się w klubie.

Co się z nim stało? Całe jego życie wywróciło się jakby do góry nogami. Jeśli Bruce Barnes miał rację, zniknięcie ludzi gotowych na pochwylenie było dopiero początkiem najbardziej katastrofalnego okresu historii świata. / *w takiej chwili, pomyślał, przejmuję się tym, żeby kogoś nie urazić. Martwię się, żeby nie urazić mojej własnej córki, chociaż ona idzie drogą prowadzącą prosto do piekła.*

Rayford czuł także niesmak z powodu całej historii z Hattie. Męczyła go myśl, jak bardzo głupio i niewłaściwie postępował dążąc do zacieśnienia ich stosunków, i żałował, że ją samą też w to zaangażował. Nie mógł już jej traktować jak pierwszej lepszej młodej dziewczyny. Najbardziej obawiał się tego, że jak wielu ludzi w tych ostatecznych dniach i ona pozwoli się zwieść. Ktokolwiek z polityków wysunie pokojową proklamację i przedstawi wizję zjednoczenia świata, natychmiast będzie podejrzany. Nie będzie już pokoju na świecie. Nie będzie też pojednania między narodami. To, co wydarzyło się tydzień temu, było początkiem końca i od tej chwili będzie już tylko chaos i zamieszanie.

Chaos doprowadzi do tego, że tak zwani „głosiciele pokoju” staną się jeszcze bardziej atrakcyjni. Dla ludzi, którzy nie chcą przyznać, że za falą zniknięć stoi Bóg, wszelkie inne wyjaśnienia tego

wydarzenia będą balsamem kojącym sumienia. Nie było czasu na gładkie rozmowy, łagodne perswazje. Rayford wiedział, że musi kierować ludzi w stronę Biblii, do jej prorocत्व. Jednak, z drugiej strony czuł się bardzo ograniczony w swoim rozumieniu Pisma Świętego. Zawsze był biegły w czytaniu, ale to, co było zapisane w Apokalipsie oraz w księgach Starego Testamentu, u Daniela i Ezechiela, było dla niego zupełnie nowe i niezrozumiałe. To, że księgi mówiły prawdę i wypełniały się na jego oczach, potęgowało jego strach. Wszędzie, gdzie się udawał, zabierał ze sobą Biblię Ireny i czytał ją, gdy tylko nadarzała się okazja. W chwilach, gdy drugi kapitan na lotnisku przeglądał jakieś pisma, on, w oczekiwaniu na lot, wyciągał Biblię.

— Co to jest? — pytano go.

Bez skrepowania czy zażenowania mówił, że znalazł odpowiedź i wskazówki, jakich nigdy wcześniej nie miał. A co z jego własną córką i przyjaciółką? Wyglądało na to, że jest zbyt ostrożny.

Rayford spojrział na zegarek. Brakowało jeszcze kilku minut do godziny pierwszej. Odnalazł wzrokiem Chloe, dając znak, że musi zadzwonić. Wykręcił numer Bruce'a Barnes'a i powiedział mu, o czym rozmyślał.

— Rozumiem cię Rayfordzie. Ja też przez kilka dni zastanawiałem się, co by sobie ludzie o mnie pomyśleli, gdybym kogoś uraził swoją postawą. Jednak to nie ma sensu!

— Zgadza się, Bruce, to nie ma sensu. Jednak teraz potrzebuję wsparcia, gdyż obawiam się, że za chwilę stanę się wstrętny i odpychający. Jeśli Chloe zamierza mnie wyśmiać lub pójść inną drogą, zmuszę ją do podjęcia decyzji. Musi dokładnie wiedzieć, co robi i do czego zmierza. Musi też zrozumieć, że to, co razem odkryliśmy w Piśmie Świętym, jest faktem, do którego musi się odnieść. Albo też tych dwóch proroków z Izraela, którzy są wystarczającym dowodem na to, że to, co się dzieje, jest dokładnie zapowiedziane w Biblii.

— Oglądałeś wiadomości dzisiaj rano?

— Tak, ale jednym okiem tu, na lotnisku. Ciągłe pokazywali atak na tych dwóch proroków.

— Rayford, podejdz natychmiast do telewizora.

— Co...?

— Odkładam słuchawkę, Ray. Zobacz, co się stało z napastnikami i powiedz, czy to nie potwierdza wszystkiego, co czytaliśmy w Biblii o dwóch świadkach.

— Bruce...

— Idź, Rayford. I sam zacznij głosić prawdę z pełnym przekonaniem, bez lęku.

Bruce odłożył słuchawkę. Pomimo krótkiej znajomości Rayford poznał go na tyle, by się nie obrażać; był raczej zaintrygowany. Podeszedł do wiszącego w klubie telewizora i stanął jak wryty, słysząc raport dotyczący śmierci dwóch napastników. Nie ulegało wątpliwości, że dwaj mężczyźni w Jerozolimie byli świadkami głoszącymi Chrystusa. Zostali zaatakowani i nawet nie musieli się bronić. Napastnicy padli na ziemię martwi, natomiast dwaj prorocy pozostali nietknięci.

CNN pokazywała powiększający się tłum ludzi przed Ścianą Płaczu słuchający przesłania dwóch świadków. Ludzie klękali, płacząc, niektórzy leżeli twarzą do ziemi. Byli to ci sami ludzie, którzy jeszcze przed chwilą uważali proroków za bluźnierców, bezczeszczących święte miejsce Izraela. Teraz chyba uwierzyli w ich słowa. A może ogarnął ich strach?

Rayford zrozumiał. Widział na własne oczy, jak się nawracają pierwsi ze stu czterdziestu czterech tysięcy izraelskich głosicieli. Nie odwracając oczu od ekranu, modlił się po cichu: *Boże, proszę, napełnij mnie odwagą i mocą oraz wszystkim co potrzebuję, aby być twoim świadkiem. Nie chcę się niczego obawiać. Nie chcę też dłużej czekać. Nie chcę się martwić tym, że kogoś zgorszę albo, że ktoś zgorszy się mną. Udziel mi zdolności przekonywania pochodzącej z prawdy Twojego Słowa. Wiem, że to jest dzieło Twojego Ducha, który pociąga ludzi do Ciebie, ale proszę, oto jestem, użyj mnie. Pragnę zdobyć Chloe dla Ciebie, a także przyprowadzić do Ciebie Hattie. Proszę, Panie, pomóż mi.*

Buck Williams bez reporterskiej torby czuł się jak bez ręki. Potrafił pracować tylko wtedy, gdy miał telefon komórkowy, magnetofon oraz laptop. Poprosił kierowcę taksówki, by zatrzymali się na chwilę przy siedzibie „Global Weekly”. Chciał zabrać sprzęt. Hattie została w samochodzie. Bardzo chciała zdążyć na spotkanie na lotnisku. Buck, stojąc na chodniku, zawołał: —Wpadnę tam tylko na chwilkę. Myślałem, że nie jesteś zdecydowana na spotkanie z tym pilotem, czyż nie tak?

— Tak, ale teraz chcę, rozumiesz? Możesz to nazwać chęcią zemsty albo jakkolwiek, ale musisz wiedzieć, że nie często stewardesie zdarza się okazja, by pochwalić się wobec kapitana samolotu, że zna kogoś, o kim on może tylko pomarzyć.

— Mówisz o Nicolae Carpathii czy o mnie?

— Bardzo śmieszne. Ciebie już spotkał.

— Czy to ten kapitan z pamiętnego lotu do Londynu, kiedy się poznaliśmy?

— Tak, ten sam, a teraz pośpiesz się!

— Może i ja chciałbym się z nim spotkać.

— Idź!

Buck wywołał Marge.

— Możesz przyjść do windy i przynieść moją torbę reporterską? Czekam na mnie taksówka.

— Pewnie, że mogę — odparła — ale muszę ci powiedzieć, że zarówno Steve jak i Stary czekają na ciebie.

*A o co chodzi?* zdziwił się. Spojrzał na zegarek, jakby chciał pośpieszyć windę. *Och, co to za życie w tych wieżowcach.*

Zabrał torbę od Marge i wpadł do biura Steve'a mówiąc zdyszonym głosem:

— Co się dzieje? Jestem w drodze.

— Stary chce nas zobaczyć.

— O co chodzi tym razem? — spytał Buck, gdy szli na koniec korytarza.



— Myślę, że o Erica Millera. A może jeszcze o coś. Wiesz, Bailey wcale nie był zachwycony wiadomością o twojej decyzji. Przyjął ją, bo myśli, że zdecydowałeś się na to stanowisko, by nie mieć za szefa któregoś z kolegów.

Bailey od razu przystąpił do rzeczy.

— Chcę wam zadać takie pytania, na które spodziewam się krótkich, rzeczowych odpowiedzi. Sporo będzie się działo w najbliższym czasie i chciałbym, żebyśmy trzymali rękę na pulsie. Po pierwsze, Plank, pogłoski mówią, że Mwangati Ngumo zwołał na dzisiejsze popołudnie konferencję prasową i wszyscy podejrzewają, że chce ustąpić ze stanowiska sekretarza generalnego.

— Naprawdę? — udawał zdziwionego Plank.

— Nie rób ze mnie głupka — warknął Bailey. — Nie trzeba być geniuszem, żeby zauważyć, co się święci. Jeśli on ustępuje, twój człowiek na pewno o tym wie. Zapomniałeś już, że byłem odpowiedzialny za oddział afrykański w czasie, gdy Bostwana stała się członkiem stowarzyszonym Unii Europejskiej? Jonathan Stonagal maczał w tym palce, a dzisiaj wszyscy wiedzą, że jest on jednym z największych promotorów Carpathii. Wiesz coś na ten temat?

Buck widział, że Steve zbladł. Bailey wiedział więcej, niż można było przypuszczać. Po raz pierwszy w swojej karierze Steve mówił nerwowo, w jego głosie słychać było panikę.

— Powiem panu, co wiem na ten temat — zaczął po chwili, ale Buck domyślał się, że Steve więcej zatai niż wyjawi. — Moim pierwszym zadaniem jutro będzie zdementowanie pogłosek, że Carpathia jest zainteresowany tym stanowiskiem. Sam zamierza powiedzieć, iż ma zbyt wiele rewolucyjnych pomysłów i, że gdyby przyjął tę pozycję, należałby na prawie jednomyślną ich aprobatę wszystkich aktualnych członków ONZ. Musieliby się zgodzić na jego pomysły związane z reorganizacją tej instytucji, zmianą jej kierunku działania i kilka innych rzeczy.

— Co na przykład?

— Przykro mi, ale nie jestem upoważniony, aby...

Bailey wstał z miejsca, jego twarz poczerwieniała z wściekłości.

— Coś ci powiem, Plank. Lubię cię. Byłeś dla mnie jak supergwiazda. Wyłuskałem cię spośród mnóstwa innych, tobie podobnych, kiedy nikt jeszcze nawet nie dostrzegał w tobie zdolności. Teraz ty odkryłeś dla mnie tego młokosa i wierzę, że poprowadzi on dalej nasze czasopismo, tak jak ty albo lepiej. Pamiętaj jednak, że płaciłem ci sześciocyfrową kwotę, na długo zanim na nią zasłużyłeś, gdyż wiedziałem, że pewnego dnia mi się to opłaci. I tak było. Dobrze wiesz, że nic z tego, co powiesz, nie wyjdzie poza te ściany, nie wyprowadzaj więc mnie z równowagi. Panowie, czy naprawdę myślicie, że dwa czy trzy lata przed emeryturą straciłem kontakt z rzeczywistością i nie wiem, gdzie przyłożyć ucho? Jeśli tak, to wam powiem, że telefon dzwoni bez przerwy od chwili, gdy opuściliście ten gabinet i mam silne przeczucie, że kroi się coś wielkiego. Gadajcie mi zaraz, co to jest?

— Kto do pana dzwonił, Sir? — zapytał Plank.

— Rozmawiałem z pewnym facetem, który osobiście zna wiceprezydenta Rumunii. Pogłoski mówią, że poproszono go, aby przygotował się do kierowania sprawami kraju przez nieograniczony czas. Nie, nie zostanie nowym prezydentem, gdyż dopiero co były wybory, jasne, że Carpathia zamierza tu zostać dłużej.

Następnie ludzie, których znam z Afryki, powiedzieli mi, iż Ngumo ma jakieś tajne dojście do izraelskiej formuły Rosenzweiga, ale nie jest za bardzo zadowolony, gdyż będzie musiał ustąpić ze stanowiska w ONZ. Niemniej jednak zamierza tak postąpić, chociaż mogą być kłopoty, jeśli nie wszystko pójdzie tak, jak się spodziewa

— Dalej ni stąd, ni zowąd zadzwonił do mnie wydawca pisma „Seaboard Monthly”, chciał rozmawiać ze mną o tym, jak ty, Cameron, i jego człowiek, który utonął wczoraj wieczorem, pracowaliście nad Carpathia i czy myślę, że ty również zginiesz w tajemniczych okolicznościach. Powiedziałem mu, że z tego, co wiem, pracujesz nad artykułem na pierwszą stronę, opisującym nową gwiazdę światowej polityki i, że będziemy chcieli przedstawić go raczej w pozytywnym świetle. Wtedy powiedział mi, iż jego człowiek za-

mierzał przedstawić Carpathię w trochę innym świetle - wiesz, o czym mówię, tak trochę na opak. Miller przygotowywał artykuł dotyczący znaczenia ostatnich masowych zniknięć, o czym, jak wiem, chcesz napisać w następnym wydaniu lub kilku najbliższych. Jaki ma to związek z Carpathią i dlaczego to miałoby postawić go w złym świetle, tego nie wiem. A ty? Buck potrząsnął głową.

— Widzę to jako dwa oddzielne zagadnienia. Spytałem Carpathię co myśli na ten temat i wszyscy słyszeli jego odpowiedź. Nie wiem, nad czym pracował Miller i jestem pewien, że nie wiązał Carpathii ze zniknięciami.

Bailey opadł na fotel.

— Prawdę mówiąc, kiedy zadzwonił ten facet z „Seaboard”, myślałem, że chce się dowiedzieć o ciebie, Cameron. Pomyślałem, że jeżeli stracę was obu w ciągu tygodnia, pójdę na wcześniejszą emeryturę. Czy możemy to zakończyć, zanim Plank powie mi, co jeszcze wie?

— Co zakończyć? — spytał Buck.

— Rezygnujesz?

— Nie.

— Przyjmujesz awans?

— Tak.

— Dobrze! A teraz Steve. Czym jeszcze Carpathią chce się zająć, zanim przyjmie stanowisko sekretarza generalnego ONZ?

Plank zawahał się i wyglądało na to, że zastanawia się, czy powinien powiedzieć, co wie na ten temat.

— Plank, jesteś mi to winien — zagrzmiał Bailey. — Nie zamierzam tego wykorzystać. Po prostu chcę wiedzieć. Razem z Cameronem musimy zdecydować, które wydarzenie opublikować jako pierwsze. Chcę, żeby zajął się tym, co najbardziej mnie teraz interesuje, masowymi zniknięciami. Myślę, że jesteśmy czasami zbyt przemądrzali jako pismo publicystyczne i zapominamy o tym, że zwykli ludzie są śmiertelnie przerażeni i chcą, żeby ktoś im w końcu sensownie wytłumaczył to przedziwne i jakże tragiczne zjawie-

sko. Tak więc, Steve, możesz mi ufać. Powiedziałem ci już, iż nie puszcę pary z ust ani cię nie skompromituję. Tylko mi powiedz, żebym mógł spać spokojnie. Czego jeszcze chce Carpathia i czy ma zamiar przyjąć to stanowisko?

Steve przygryzł wargi i niechętnie zaczął:

— Chce ustanowić nową Radę Bezpieczeństwa, z nieco odmienną strukturą, na przykład ustanowieniem ambasadorów ONZ, o czym mówił.

— Takich jak Todd-Cothran z Anglii? — spytał Buck.

— Być może, ale tylko chwilowo. On nie jest całkowicie zadowolony z ich wzajemnych stosunków, wiesz przecież.

Buck uświadomił sobie nagle, że Steve wie o wszystkim.

— I co jeszcze? — nalegał Bailey.

— Chce, żeby Ngumo osobiście zaproponował go na swego następcę, będzie się też domagać głosów absolutnej większości reprezentantów, a także jeszcze dwóch innych rzeczy, których pewnie nie otrzyma. W dziedzinie militarnej będzie się domagał podpisania umowy o całkowitym rozbrojeniu państw członków ONZ, zniszczenia dziewięćdziesięciu procent ich uzbrojenia i przekazania pozostałych dziesięciu procent na rzecz ONZ.

— W celach pokojowych, ma się rozumieć — wtrącił Bailey. — Naiwne, ale bardzo logiczne. Zgadzam się z tobą, że tego nie uda mu się uzyskać. Co jeszcze?

— Prawdopodobnie najbardziej kontrowersyjny pomysł, który nie znajdzie poparcia. Pomysł sam w sobie fantastyczny, ale te koszty i... w ogóle wszystko.

— Co?

— Chce przenieść siedzibę ONZ.

— Przenieść?

Steve przytaknął.

— Ale dokąd ?

— To brzmi strasznie głupio.

— Wszystko w tych dniach brzmi głupio i dziwacznie zauważył Bailey.

— Chce ją przenieść do Babilonu;  
— Nie mówisz chyba poważnie.  
— Może ja nie, ale on na pewno.  
— Słyszałem, że już od lat miasto się odbudowuje. Miliony dt»»  
larów zostały zainwestowane w ten projekt: Nowy Babilon.

— Miliardy dolarów?  
— I myślisz, że wszyscy się na to zgodzą?  
— To będzie zależało, jak bardzo będą go chcieli. — Steve zaśmiał się. — Występuje w dzisiejszym wieczornym programie telewizyjnym *The Tonight Show*.

— O, to na pewno stanie się teraz jeszcze popularniejszy!  
— Właśnie teraz jest na spotkaniu z przedstawicielami wszystkich międzynarodowych grup religijnych, które zjechały do Nowego Jorku na konferencję pojednania i zjednoczenia między narodami.

— A czego może od nich oczekiwać?  
— To, o czym rozmawiamy, nadal jest to poufne, tak? — upewniał się Steve.

— Oczywiście!  
— Ma zamiar prosić ich o zdecydowane poparcie niektórych swoich pomysłów. Między innymi podpisanie siedmioletniego układu pokojowego z Izraelem w zamian za jego pomoc w udostępnieniu innym krajom izraelskiej formuły zagospodarowywania terenów pustynnych. Przeniesienie siedziby ONZ do Nowego Babilonu. Ustanowienie jednej ogólnoświatowej religii z siedzibą prawdopodobnie we Włoszech.

— O, tym razem nie uda mu się z Żydami-  
— Oni stanowią wyjątek w jego polityce, Zamierza pomóc im odbudować świątynię podczas siedmiu lat układu pokojowego. Uważa, że zasłużyli na szczególne traktowanie.

— I tak rzeczywiście jest — rzekł Bailey- — Ten człowiek jest genialny. Nie tylko nie widziałem dotychczas nikogo z tak rewolucyjnymi pomysłami, ale też nigdy nie spotkałem nikogo, kto równie szybko parłby do przodu.

— Panowie, chciałbym zapytać, czy żaden z was nie obawia się trochę tego człowieka? — spytał Buck. — Wygląda na to, że ludzie, którzy stali zbyt blisko, zostali wyeliminowani w niezwykłych okolicznościach.

— Mamy się go obawiać? — zdziwił się Bailey. — No tak, może jest trochę naiwny i byłbym zdziwiony, gdyby udało mu się dostać to wszystko, z czym zamierza wyjść do świata. Ale w końcu jest politykiem. Nie będzie chyba stawiał ultimatum i nawet, jeśli nie zgodzą się na wszystkie jego żądania i pomysły, nadal będzie chciał przyjąć to stanowisko. Brzmi to tak, jakby nawet chciał przycisnąć Ngumo, aby ustąpił, ale przecież ma na myśli najwyższe dobro Bostwany. Myślę, że Carpathia będzie o wiele lepszym szefem ONZ. I zgadzam się z jego planami. Jeśli to, co się stało z piaskami pustyni w Izraelu, stanie się z pustyniami Bostwany, wówczas lepiej będzie, jeśli Ngumo zostanie w domu, pilnując dobrobytu swojego kraju. Czy się obawiam? Na pewno nie! Raczej jestem pod wrażeniem tego człowieka, tak samo jak i wy. Właśnie kogoś takiego potrzebujemy. Nie widzę niczego złego w zjednoczeniu i trzymaniu się razem w obecnym kryzysie.

— A co zrobić z Erikiem Millerem?

— Widzę, że ludzie domyślają się zbyt wiele w całej tej sprawie. Nie wiemy, ani nie mamy żadnego potwierdzenia, że jego śmierć była jakimś zamierzonym wypadkiem, a to, czego dowiedział się o Carpathii, nie miało z nią żadnego związku. Przecież sam Carpathia nie wiedział, do czego Miller zmierza, prawda?

— Z tego, co wiem, nie — odrzekł Buck, ale zauważył, że Steve nie odezwał się.

W intercomie odezwał się głos Marge.

— Bardzo przepraszam, panowie, ale Cameron ma pilną wiadomość od Hattie Durham. Mówi, że nie może dłużej czekać.

— O, nie — wyjąkał Buck. — Marge, przeproś Hattie w moim imieniu. Powiedz jej, że to ode mnie niezależne i że złapię ją albo zadzwonię do niej później.

Bailey spojrział na niego z niezadowoleniem.

— Czym ty właściwie się zajmujesz w godzinach pracy, Cameron?

— W zasadzie przedstawiałem ją dzisiaj rano Carpathii, a teraz ona miała przedstawić mnie pilotowi linii lotniczych, którego poglądy mają być częścią mojego artykułu na temat tego, co ludzie sądzą o masowych zniknięciach.

— Nie będę wyciągał z tego konsekwencji, Cameron — powiedział Bailey. — Proponuję, żebyśmy w następnym wydaniu dali duży artykuł o Carpathii, a w kolejnym opisali wszystkie teorie, dotyczące masowych zniknięć. Jeśli chcecie wiedzieć, w moim przekonaniu może to być najlepszy kawałek, jaki kiedykolwiek wydrukowaliśmy i o którym będzie się mówić. Chyba tym razem pobiliśmy „Time” i wszystkich innych, jeśli chodzi o opis samego zjawiska. Muszę ci powiedzieć przy okazji, że lubię twój styl. Nie wiem, czy zdobędziemy coś absolutnie nowego lub innego o Carpathii, ale musimy to, co wiemy przekazać opinii publicznej. Przyznaję, że spodobał mi się twój pomysł z opublikowaniem wszystkich krążących teorii na temat zniknięć. Przypuszczam, że sam masz jakąś.

— Chciałbym, żeby tak było — powiedział Buck. — Poruszam się jednak w tym wypadku po omacku jak wielu innych. Zauważyłem jednak, że ludzie, którzy mają jakąś teorię, całkowicie w nią wierzą i uważają ją za jedyne słuszną.

— Ja też mam swoją — wyznał Bailey. — Zdziwiałem, jak bardzo jest ona podobna do teorii Carpathii czy Rosenzweiga albo kogoś podobnego. Mam krewnych, którzy uważają, że istnieje jakaś obca cywilizacja. Krótko mówiąc, wierzą w ufoludków. Mam też wuja, który twierdzi, że to sprawa Jezusa, ale uważa, że Jezus o nim zapomniał. Ha! Ha! Ja twierdzę, że działo się to z powodów naturalnych, był to pewien fenomen; doszło do zderzenia całej tej naszej nowoczesnej technologii z siłami przyrody, która nie wytrzymała nadmiaru związków i zawiesin chemicznych oraz innego dziadostwa, a my wszyscy tego doświadczyliśmy na własnej skórze. Teraz ty, Cameron. Daleko ci jeszcze do końca?

— Jestem w doskonałym punkcie, żeby jak najlepiej wywiązać się z zadania — powiedział Buck. — Wszystko klaruje mi się bardzo wyraźnie.

— Co ludzie o tym mówią?

— To, co zwykle. Lekarz, który opatrywał mi ranę na lotnisku O'Hare w Chicago, twierdził, że było to Pochwycenie Kościoła. Inni, z którymi rozmawiałem, też tak uważają. Sam wiesz, szefowa naszego biura w Chicago...

— Chodzi o Lucinę Washington? Musisz ją kimś zastąpić. Musisz tam pojechać i rozejrzeć za kimś odpowiednim. Ale przerwałem ci, powiedz, co się z nią stało?

— Jej syn wierzy, że zarówno ona, jak i reszta rodziny została zabrana do nieba.

— W takim razie dlaczego on pozostał?

— Nie jestem do końca pewien, o co w tym wszystkim chodzi — zamyślił się Buck. — Wygląda na to, że niektórzy chrześcijanie są albo byli lepsi od pozostałych lub coś w tym rodzaju. Jest jeszcze jedna rzecz, którą muszę sprawdzić, zanim skończę ten artykuł. Nie wiem, co sądzi stewardessa, o której przed chwilą mówiła Marge, ale powiedziała mi, że ma się spotkać dzisiaj z pilotem, który twierdzi, że zna rozwiązanie tej zagadki.

— Pilot — zamyślił się Bailey. — To może być ciekawe. Chyba że ma takie samo naukowe rozwiązanie, jakie my znamy. W takim razie do dzieła. Steve, dzisiaj musimy ogłosić twoją rezygnację i nominację Bucka. Powodzenia i nie przejmuj się, że coś z tego, co tu dzisiaj powiedziałaś, przedostanie się na zewnątrz czy zostanie ujawnione w piśmie, chyba, że dowiemy się o tym z innych źródeł. Zgadzasz się z tym Williams, co?

— Tak, Sir — odparł Buck.

Steve nie wyglądał jednak na przekonanego.

Buck pognął do windy, dzwoniąc po drodze do informacji z prośbą o połączenie go z klubem Pan-Con. Poprosił recepcjonistkę, by przywołała Hattie. Nie mogła jej odnaleźć, co sugerowało, że nie dojechała jeszcze na miejsce lub już wyszła na obiad z pilotem. Zosta-



wił wiadomość, żeby oddzwoniła do niego na komórkę, po czym wsiadł do zamówionej taksówki i kazał szybko jechać na lotnisko.

Mąciło mu się w głowie od tego wszystkiego, co usłyszał w gabinecie szefa. Zgadzał się ze Stantonem Baileyem, że opisanie wydarzeń związanych ze zniknięciami jest teraz dla niego zadaniem numer jeden, ale gnębiły go pewne podejrzenia odnośnie Nicolae Carpathii. Może nie powinien tak negatywnie o nim myśleć. Chyba lepiej, żeby się skupił na osobie Jonathana Stonagala. Carpathia powinien wiedzieć, że jego wybicie się może pomóc Stonagalowi w taki sposób, który nie będzie fair wobec jego konkurentów. Ale z drugiej strony Carpathia zobowiązał się, że we właściwym czasie zrobi porządek z obydwoma dżentelmenami, Stonagalem i Todd-Cothranem, wiedział bowiem wystarczająco dobrze, że obydwaj maczali palce w brudnych sprawkach.

Ale czy Carpathia jest niewinny? Buck był pewien, że tak. Nigdy w ciągu całego swojego życia nie chciał wierzyć nikomu tak, jak właśnie jemu. W ciągu tych dni po zniknięciach nie miał nawet sekundy, żeby pomyśleć o sobie. Za to bez przerwy myślał nad utratą szwagierki, bratanka i bratanicy, zastanawiając się, czy ma to jakiś związek z Pochwyceniem. Jeśli ktokolwiek z kręgu jego bliskich i znajomych mógł być zabrany do nieba, to z całą pewnością właśnie oni.

Rozumiał to lepiej, niż mu się zdawało. Miał przecież wykształcenie z Ivy League. Przestał chodzić do kościoła, gdy opuścił rodzinę z powodu beznadziejnej sytuacji, która doprowadzała go do szału. Nigdy nie upierał się przy tym, że jest chrześcijaninem, z wyjątkiem kilku modlitw zaniesionych do Boga w krytycznych sytuacjach, kiedy prosił o pomoc i rozwiązanie problemów. Zbudował życie wokół własnych osiągnięć, stawiał sobie konkretne, wysokie cele, był dumny - nie przeczył, z szacunku, jakim darzyła go większość ludzi. Cieszył się statusem, który osiągnął, wypracowując własny styl, opisując wydarzenia oraz mentalność ludzi w najbardziej prestiżowym piśmie. A mimo to czuł egzystencjalną samotność, szczególnie teraz, kiedy się okazało, że Steve odchodzi. Ży-

cie osobiste też nie układało mu się najlepiej. Buck miał wżyciu kilka dziewczyn; z niektórymi chodził na poważnie, ale prowadził tak ruchliwy tryb życia, że nie mogło to odpowiadać żadnej z nich, jeśli pragnęła małżeńskiej stabilizacji.

Od chwili wyraźnie ponadnaturalnego wydarzenia, którego doświadczył w Izraelu podczas zniszczenia rosyjskiej floty powietrznej, wiedział, że świat zaczął się zmieniać. Wiele rzeczy i spraw nie było już takich, jak przedtem. Był daleki od przyjęcia łatwego wytłumaczenia zdarzeń jako wyczynu kosmitów porywających mieszkańców Ziemi. Jeśli jednak teoria o nadzwyczajnie potężnej energii kosmicznej była prawdziwa, to kto albo co za tym stało? Incydent przy Ścianie Płaczu był kolejnym niewytłumaczalnym przykładem spraw nadnaturalnych i niewyjaśnionych.

Buck zauważył, że bardziej irytują go wszystkie „czy” i „dlaczego”, których nabierało się co niemiara w związku ze zniknięciami, niż pytania związane z pojawieniem się Nicolae Carpathii. Nadal miał nadzieję, że człowiek ten nie okaże się jeszcze jednym sprytnym politykiem. Był najlepszy ze wszystkich, których Buck kiedykolwiek widział i słyszał, ale czy to możliwe, że śmierć Dirka, Alana i Erica oraz jego własne kłopoty nie miały nic wspólnego z Carpathią?

Żył taką nadzieję. Zwyczajnie chciał wierzyć takiemu człowiekowi, który pojawia się raz na sto lat, aby skupić na sobie uwagę całego świata. Czy Carpathia okaże się kolejnym Lincolnem, Rooseveltem albo wcieleniem Camelota, jak sądzili kiedyś o Kennedym?

Tkwiąc w korku w okolicach lotniska, Buck podłączył laptop do telefonu komórkowego i połączył się z serwisem archiwum prasowego. Szybko wywołał artykuły Erica Millera publikowane w ciągu ostatnich dwóch lat i doznał wstrząsu, gdy odkrył, że Erie pisał o odbudowie Nowego Babilonu.

Miller zatytułował swój cykl *Nony Babilon - ostatnie marzenie Stonagala*. Krótki rzut oka na artykuł wskazywał, że znakomita większość zaangażowanych tam finansów pochodzi z banków Stonagala rozrzuconych po całym świecie. Oczywiście znalazła się też wzmia-

nka samego Stonagała: *To czysty zbieg okoliczności. Nic nie wiem o tym, aby któraś z naszych instytucji finansowała te prace.*

Buck wiedział, że polityka Nicolae Carpathii może nie mieć nic wspólnego z Mwangati Ngumo, czy Izraelem. Dla Bucka papierkiem lakmusowym sprawdzającym wiarygodność i rzetelność Carpathii będzie to, co zrobi on ze Stonagalem, gdy już zostanie sekretarzem generalnym ONZ.

Jeżeli reszta ONZ zgodzi się z propozycją Carpathii, to w ciągu jednej nocy może zostać najpotężniejszym przywódcą światowym. Będzie mógł forsować realizację swoich planów przy użyciu wojska, jeżeli wszyscy członkowie zgodzą się na zniszczenie swojego potencjału militarnego przekazując jednocześnie jego dziesięć procent ONZ. Świat musiałby być bardzo zaślepiiony, aby wybrać jednego przywódcę i obdarzyć go bezgranicznym zaufaniem, aby zgodzić się na takie ryzyko. Jedyńm przywódcą, który mógłby okazać się coś wart, byłby taki, który nie tolerowałby skrytobójców ani zakulisowych intrygantów typu Jonathana Stonagała.

## *Rozdział dwudziesty*

Rayford i Chloe czekali do wpół do drugiej, po czym zdecydowali, że pojedą do hotelu. Wychodząc z klubu, postanowili zostawić w recepcji wiadomość dla Hattie, na wypadek gdyby przyszła.

— Przed chwilą ktoś również zostawił dla niej wiadomość — powiedziała młoda kobieta za biurkiem. Sekretarka Camerona Williama przekazała, że pan Williams złapie ją tutaj, w klubie, gdyby o niego pytała.

— Kiedy przyszła ta wiadomość? — spytał Rayford.

— Krótko po pierwszej.

— To może zaczekamy jeszcze kilka minut — zwrócił się do Chloe.

Gdy Hattie wpadła zdyszana, siedzieli przy wejściu. Rayford uśmiechnął się, ale ona natychmiast przybrała maskę osoby rozszalonej.

— O, cześć — powiedziała zdawkowo, pokazując identyfikator recepcjonistce i odbierając wiadomość od Bucka. Rayford zgodził się w duchu, żeby prowadziła swoją grę. W końcu zasłużył sobie na to.

— Naprawdę nie powinnam się z wami spotkać — powiedziała, gdy Rayford przedstawił ją Chloe. — Ale skoro już tu jestem, muszę najpierw zadzwonić do tego dziennikarza, o którym ci wspominałam. Zapoznał mnie dzisiaj z Nicolae Carpathią.

— Coś takiego. Nie mów!

Hattie przytaknęła z uśmiechem.

— Pan Carpathią dał mi swoją wizytówkę. Wiesz, że będzie uznany przez magazyn „People” za mężczyznę roku?

— Tak, słyszałam o tym. No cóż, jestem pod wrażeniem. Miałaś pracowity poranek? A jak się ma pan Williams?

— Bardzo dobrze, ale jak zwykle jest bardzo zajęty. Lepiej do niego zadzwonię. Przepraszam na chwilę.

Buck był już na ruchomych schodach prowadzących do klubu, kiedy zadzwonił telefon.

— O, witam ponownie, panie Williams — powiedziała Hattie.

— Tak mi przykro, panno Durham.

— No, proszę — powiedziała z sarkazmem. — Każdy, kto zostawia mnie w środku Manhattanu i każe czekać na siebie w drodzej taksówce, może nazywać mnie po imieniu. Nalegam.

— A ja nalegam na pozwolenie zapłacenia za taksówkę. Proszę.

— Buck, ja tylko żartuję. I tak zamierzałam spotkać się z tym pilotem i jego córką, nie musisz czuć się zobowiązany tu przyjeżdżać.

— Ale ja już tu jestem.

— Ach, tak?

— Nie ma problemu. Jeśli sobie nie życzysz, znikam. Miło było znowu cię spotkać i następnym razem, gdy będziesz w Nowym Jorku ...

— Buck, nie chcę, żebyś się czuł zobowiązany.

— Ja też nie.

— Oczywiście, że tak. Jesteś w porządku, ale wyraźnie widać, że nie pasujemy do siebie. Jeszcze raz dzięki za spotkanie, a szczególnie za przedstawienie mnie Carpathii.

— Hattie, czy mogę cię, o coś prosić? Chciałbym, żebyś mnie poznała z tym pilotem, bo mam zamiar przeprowadzić z nim wywiad. Czy on zatrzymuje się tu na noc?

— Zapytam go. Powinieneś poznać też jego córkę. Super babka.

— Może i z nią przeprowadzę wywiad?

— Pewnie, masz bardzo dobre podejście.

— Zapytaj go, Hattie, proszę cię.

Rayford zastanawiał się, czy Hattie umówiła się na randkę z Buckiem Williamsem na dziś wieczór. Powinien zaprosić ją do hotelu, gdzie zatrzymali się z Chloe.

— Rayford, Buck Williams chce się spotkać z tobą. Pracuje nad jakimś artykułem i chce przeprowadzić z tobą wywiad. — krzyknęła do niego Hattie.

— Naprawdę? Ze mną? — odparł Rayford zdumiony. — A o czym?

— Nie wiem. Zapomniałam spytać. Przypuszczam, że może o laniu albo o zniknięciach. Byłeś w powietrzu, gdy to się stało, a Buck był wówczas na pokładzie twojego samolotu.

— Powiedz mu, że się zgadzam, niech przyjdzie. A tak przy okazji, może spytasz, czy nie zechciałby dołączyć do nas trojga dzisiaj wieczorem oczywiście jeśli nie jesteś zajęta.

Hattie spojrzała podejrzliwie na Rayforda, jakby spodziewała się jakiegoś podstępu.

— No, daj spokój, Hattie, ty i ja porozmawiamy sobie dzisiaj po południu, a potem wszyscy razem pójdziemy na obiad o szóstej do restauracji „Carlisle”.

Odwróciła się znów do telefonu, by przekazać to Buckowi.

— Gdzie teraz jesteś? — spytała. Przerwała na chwilę. — Nie, naprawdę?! — wykrzyknęła. Wyrzuciła róg, śmiejąc się i machając do niego. Przykładając rękę do ust zwróciła się do Rayforda. — To on, tam, ten z telefonem komórkowym!

— W takim razie oboje odłóżcie słuchawki, żebyśmy się mogli poznać — powiedział Rayford.

Hattie i Buck odłożyli telefony. Buck schował swój do kieszeni, wchodząc do pomieszczenia klubu.

— On jest z nami — Rayford zwrócił się do kobiety za biurkiem. Uścisnął rękę Bucka. — To ty jesteś dziennikarzem „Global Weekly”, który był na pokładzie mojego samolotu podczas tamtego lotu?

— Tak, to ja — odrzekł Buck.

— A o czym chcesz ze mną rozmawiać?

— Chciałbym się dowiedzieć, jak rozumiesz masowe zniknięcia z ubiegłego tygodnia. Właśnie piszę artykuł wiodący, który ma przedstawić różne teorie i poglądy na ten temat i myślę, że dobrze byłoby poznać twoją interpretację tego niezwykłego i jakże tragicznego zjawiska. Jesteś profesjonalistą, a nadto byłeś w samym centrum wydarzeń.

Co *za możliwości* pomyślał Rayford. — Naturalnie z przyjemnością podzielę się z tobą tym, co wiem na ten temat — powiedział. — A czy potem zjesz z nami obiad?

— Chętnie — odpowiedział zadowolony Buck. — A to jest twoja córka?

Buck był oczarowany. Zachwyciło go brzmienie jej imienia - Chloe, jej wzrok, uśmiech. Spojrzała mu prosto w oczy i mocno uściśnęła dłoń, a Buck bardzo to lubił u kobiet. *Jaka wspaniała dziewczyna!* pomyślał. Kusiło go, żeby powiedzieć kapitanowi Steele'owi, że już od jutra nie będzie zwykłym dziennikarzem, ale redaktorem naczelnym pisma. Bał się jednak, że zabrzmiałoby to jak przechwałka, więc milczał.

— Wiesz co — powiedziała Hattie — ja i kapitan Steele potrzebujemy kilku minut, przejdziecie się gdzieś, a potem spotkamy się i pójdziemy razem coś zjeść, dobrze? Buck, masz chwilę?

*Teraz mam na pewno*, pomyślał. — No pewnie — powiedział, patrząc na Chloe i jej ojca. — Nie macie nic przeciwko temu?

Zdawało się, że kapitan przez chwilę się wahał, córka spojrzała na niego wyczekująco. Z pewnością była na tyle dorosła, by sama podejmować decyzje, ale najwidoczniej nie chciała wprawiać ojca w zakłopotanie.

— W porządku — wykrztusił wreszcie kapitan Steele. — My zostaniemy tutaj, a wy idźcie się przejść.

— Zostawię tu swoją torbę i pospacerujemy po terminalu — powiedział Buck. — Oczywiście, jeśli masz na to ochotę, Chloe.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

Od bardzo dawna Buck nie czuł się tak zażenowany w obecności dziewczyny. Kiedy rozmawiając spacerowali, nie wiedział, gdzie podziąć oczy. Czuł się strasznie głupio, bo nie miał pojęcia, co zrobić z rękami. Włożyć do kieszeni, wziąć ją pod rękę, czy zaproponować, aby usiedli i patrzyli na ludzi lub wystawy sklepowe?

Zapytał, w którym college'u się uczy, czym się interesuje. Ona opowiedziała mu o mamie i bracie, a on wyraził współczucie. Buck był zaskoczony jej dojrzałym sposobem wypowiedzania się. Taką dziewczyną mógłby się bliżej zainteresować, ale z pewnością jest co najmniej dziesięć lat młodsza od niego.

Chloe chciała się dowiedzieć czegoś o jego życiu i karierze. Opowiedział jej wszystko, o co prosiła, a nawet więcej. Kiedy spytała, czy też stracił kogoś podczas masowych zniknięć, powiedział jej o rodzinie w Tucson oraz przyjaciółach w Anglii. Naturalnie ani słowem nie wspomniał o związku Stonagala i Todd-Cothrana z ich śmiercią.

Podczas rozmowy Chloe przyłapała jego spojrzenie, a on zmieszany natychmiast odwrócił wzrok. Kiedy znów spojrzął *na* nią, ona też patrzyła na niego. Uśmiechnęli się do siebie wstydliwie. *To jest zwariowane*, pomyślał. Przeżywał męki, chcąc się dowiedzieć, czy ma chłopaka, ale nie odważył się o to spytać.

Podobnie jak większość młodych ludzi rozpoczynających karierę zawodową pragnie dowiedzieć się jak największej ilości szczegółów z życia zawodowców tak i ona zadawała mu wiele pytań. Zazdrościła mu podróży po całym świecie i wielu przygód, ale Buck zapewniał, że szybko znudziłaby się tego rodzaju życiem.

— Byłeś żonaty? — spytała nagle.

Cieszył się, że pierwsza zadała to pytanie. Ze szczerym sercem mógł wyznać, że nie i nigdy nie był aż tak zaangażowany, by się kiedykolwiek oświadczyć.

— A ty? — spytał Buck zadowolony, że rozmowa przybrała pożądaną obrót. — Ile razy wychodziłaś za mąż?

Roześmiała się.

— Tylko raz miałam chłopaka, z którym wiązałam pewne nadzieje. Byłam wtedy w przedostatniej klasie liceum, a on był już



w ostatniej. Myślałam, że się kochamy, już więcej o nim nie słyszałam,

— Dosłownie?

— Pojechał w podróż zagraniczną, a po powrocie podarował mi jakąś pamiątkę i to był koniec naszej znajomości. Potem ożenił się.

— Jego strata.

— Dziękuję.

Buck poczuł się pewniej.

— Był ślepy, czy co?

Chloe nie odpowiedziała. Buck ugryzł się w język i próbował się wycofać. — To znaczy mam na myśli, że niektórzy faceci nie wiedzą, co tracą.

Nadal nie odpowiadała, więc Buck czuł się jak idiota. *Jak to jest, że w jednych dziedzinach potrafię odnosić ogromne sukcesy podczas, gdy w innych popełniam takie potworne gafy?* Dziwił się sobie.

Zatrzymała się przed sklepem z ciasteczkami.

— Czujesz się jak pączek w maśle? — spytała nagle.

— A czemu? Wyglądam jak pączek?

— Skąd mogłam przypuszczać, że to powiesz? — zastanawiała się żartobliwie. — Jak chcesz, to kup mi jednego pączka, a pozwolę, by twoje stękanie umarło śmiercią naturalną.

— To znaczy ze starości, tak? — próbował się ratować.

— O, teraz to było śmieszne — powiedziała uśmiechając się Chloe.

Rayford był tak szczery, otwarty i prostolinijny w rozmowie Hattie jak nigdy przedtem. Siedzieli naprzeciw siebie w obszernych fotelach w rogu wielkiego, hałaśliwego pomieszczenia klubu, gdzie nikt nie mógł ich słyszeć.

— Hattie — zaczął — nie jestem tutaj, żeby się z tobą sprzeczać ani żeby mówić dyrdymały, jak do tej pory. Wydarzyło się coś nie-

zwykłego, o czym muszę ci powiedzieć i bardzo cię proszę, żebyś mnie wysłuchała.

— Nie mogę nic mówić? Niczego wtrącić? Skąd wiesz, może jest coś, co i ja chciałabym powiedzieć tobie?

— Oczywiście, powiesz mi wszystko, co zechcesz, ale najpierw wysłuchaj mnie i nie przerywaj. Muszę ci przekazać coś, co jest głęboko we mnie i chciałbym, żebyś miała wyraźny obraz całości, zanim odpowiesz, dobrze?

Wzruszyła ramionami.

— Nie rozumiem, dlaczego nie mogę sama decydować.

— Już zdecydowałaś, Hattie. Przyszłaś tu.

— Prawdę mówiąc, nie miałam takiego zamiaru. Powiedziałam ci to, ale zostawiłam ci wiadomość, która wywołała we mnie poczucie winy, i błagałam, żebym się z tobą tutaj spotkała.

Rayford zirytował się.

— Widzisz, czego chciałem uniknąć? — powiedział. — Powiedz, jak mogę cię przeprosić, skoro cały czas sprzeczasz się o przyczynę spotkania?

— Masz zamiar mnie przeproszać, Rayfordzie? Nawet mi to nie przyszło do głowy — powiedziała uszczypliwie, prawie złośliwie. Ale dzięki temu Rayford zdobył jej uwagę.

— Tak, chcę cię przeprosić. Pozwolisz mi to teraz zrobić?

— Skinęła głową. — Powiem ci, dlaczego tak bardzo chciałem z tobą porozmawiać. Po pierwsze, żeby wyjaśnić nasze stosunki, wziąć na siebie całą winę i przejść do sedna sprawy, o której wspomniałem ci przez telefon kilka dni temu.

— O tym, że odkryłeś, z czym związane są ostatnie zniknięcia ludzi z planety Ziemia?

Uniósł rękę do góry.

— Nie uprzedzaj faktów, pozwól mi mówić.

— Przepraszam — powiedziała, kładąc dłoń na ustach. — Ale dlaczego nie pozwoliś mi posłuchać tego, gdy wieczorem będziesz udzielał wywiadu Buckowi?

Rayford spojrzał wymownie.

—W porządku, ja tylko głośno myślałam — powiedziała. — Chciałam tylko zasugerować, żebyś się nie powtarzał.

— Dzięki — Rayford był już trochę zniecierpliwiony przydługim wstępem. — To, co chcę ci przekazać, jest tak ważne i jednocześnie osobiste, że muszę powiedzieć ci o tym na osobności. A przy tym nie zamierzam powtarzać tego w kółko i jeśli się nie mylę, to i ty nie zamierzasz ciągle tego słuchać.

Hattie uniosła brwi zaskoczona, ale powiedziała tylko:

— W porządku, zamieniam się w słuch. Już nie będę ci przerywać.

Rayford pochylił się i oparł łokciami na kolanach.

— Hattie, naprawdę jestem ci winien wielkie przeprosiny i proszę o wybaczenie. Byliśmy przyjaciółmi. Lubiliśmy przebywać ze sobą. Uwielbiałem przebywać w twoim towarzystwie i spędzać z tobą wolny czas na postojach. Odkryłem, że jesteś bardzo ładna i atrakcyjna i myślę, że wiesz, iż byłem zainteresowany nawiązaniem bliższego związku.

Wyglądała na zaskoczoną i Rayford przypuszczał, że gdyby nie jej zgoda na milczenie i nieprzerywanie mu, wyraziłaby swoje zdanie na temat jego co najmniej dziwnego i zbyt późnego wyznania. Kontynuował.

— Prawdopodobnie jedyną przyczyną tego, że nigdy nie posunąłem się dalej, był mój brak doświadczenia w tych sprawach. Choć dzisiaj widzę, że może była to tylko kwestia czasu. Gdybym wiedział, że i ty myślisz podobnie, kto wie, może zrobiłbym coś głupiego, czego bym teraz żałował.

Zauważył, że gniewnie zmarszczyła brwi i wygląda na obrażoną.

— Tak — powiedział — to mogłoby mieć bardzo negatywne skutki. Byłem żonaty, chociaż nie bardzo szczęśliwy i niezadowolony ze swojego małżeństwa, ale to była wyłącznie moja wina. Złożyłem przecież przysięgę małżeńską i niezależnie od tego, jakie było moje zainteresowanie tobą, byłem zobowiązany do uczciwości wobec żony.

Jej wzrok mówił, że się z nim nie zgadza.

— W każdym razie pozwoliłem, żebyś wkroczyła w moje życie. Nie byłem z tobą uczciwy. Teraz muszę ci jednak powiedzieć, jak

bardzo się cieszę, że nie zrobiłem nic nieodpowiedzialnego. Także dla ciebie nie byłoby to dobre. Wiem, że nie jestem twoim sędzią czy adwokatem i sama decydujesz o swojej moralności. Z całą pewnością nie mieliśmy przyszłości.

To nie tylko duża różnica wieku pomiędzy nami, ale także to, że moje zainteresowanie było czysto fizyczne. Wcale się tym nie szczycę i masz prawo mnie za to zniechęcić. Nigdy prawdziwie cię nie kochałem. Na pewno się zgodzisz, że takie życie nie miałyby sensu.

Skinęła głową i chyba się rozchmurzyła. Rayford uśmiechnął się.

— Przerwij na chwilę milczenie — powiedział. — Muszę wiedzieć, czy przynajmniej mi wybaczasz.

— Czasami zastanawiam się, czy szczerść jest zawsze najbardziej pożądanym elementem w rozmowie — rzekła. — Mogłabym przyjąć, że zniknięcie żony wywołało w tobie poczucie winy z powodu tego, do czego oboje zmierzaliśmy. Do niczego jeszcze nie doszło, ale mogła to być o wiele przyjemniejsza droga niż ta, którą obrałeś.

— Przyjemniejsza, ale nieuczciwa. Hattie, ja skończyłem z nieprawością w moim życiu. Wierz mi, że całym sobą pragnę być dla ciebie miły i uprzejmy i chcę zrobić wszystko, co w mojej mocy, żebyś nie gniewała się na mnie, ale nie mogę już dłużej udawać. Zbyt długo byłem nieszczerzy.

— A teraz jesteś szczerzy?

— Tak długo — rzekł — jak długo będziesz o mnie myśleć jak o przyjacielu.

Znowu skinęła głową.

— Dlaczego to robię? Dlaczego teraz cię ranie? Możesz powiedzieć, że każdy lubi, żeby okazywać mu zainteresowanie. To prawda. Mogłbym obwiniać za tę sytuację wszystkich, choćby żonę czy okoliczności. Ale muszę być uczciwy wobec siebie. Strasznie to sprząłem. Chciałbym cię po prostu przekonać, że nie kierują mną żadne uprzedzenia. Pomyśl o tym, gdy już zacznę mówić o wiele ważniejszych sprawach niż te.

Hattie zagryzła wargi i tępo wpatrywała się w podłogę; wielka łza spływała po jej policzku. Rayford musiał się powstrzymać,

aby jej nie objąć i nie przytulić ze współczuciem. Choć nie byłoby w tym pożądanego, nie mógł jednak w takiej chwili pozwolić sobie na jakiegokolwiek niewłaściwe przekazanie swoich intencji.

— Hattie — powiedział prawie szeptem. — Tak mi przykro. Proszę, przebac mi.

Skinęła głową na znak zgody, ale nie wypowiedziała ani słowa. Próbowwała, ale słowa ugrzęzły jej w ściniętym gardle.

— A teraz — powiedział Rayford — pragnę ci pokazać, że zależy mi na tobie jak na przyjacielu i wspaniałej osobie.

Hattie podniosła w górę obie ręce, walcząc ze łzami. Potrząsnęła głową, jakby nie była jeszcze gotowa na to, co Rayford chciał jej powiedzieć.

— Proszę — wykrztusiła — nie w tej chwili.

— Ale Hattie, ja muszę ci to powiedzieć.

— Proszę, daj mi chwilę.

— Dobrze, zrobię małą przerwę, tylko nie ucieknij mi teraz w takiej chwili — zażartował. — Nie byłbym twoim prawdziwym przyjacielem, gdybym nie powiedział, co odkryłem, czego się nauczyłem i co nadal odkrywam każdego dnia.

Hattie ukryła twarz w dłoniach i płakała.

— Nie chciałam tego — powiedziała, szlochając. — Nie chciałam dać ci satysfakcji.

Rayford mówił najłagodniej, jak potrafił.

— Teraz to ty mnie ranisz — powiedział. — Jeśli nie powiedziałem tego wyraźnie to wiedz, że twoje łzy nie dają mi żadnej satysfakcji. Każda z nich jest jak nóż w moje serce. Czuję się za nie odpowiedzialny. To moja wina.

— Daj mi chwilę — powiedziała, podniosła się szybko i wyszła do łazienki.

Rayford wyciągnął Biblię Irenyji szybko przejrzał kilka fragmentów. Zdecydował, że nie będzie siedział przy Hattie z otwartą Biblią na kolanach. Nie chciał jej wprawiać w zdumienie ani wystawiać się na śmieszność.

— Przekonasz się, że teoria mojego taty na temat zniknięć jest bardzo szczegółowa i interesująca — powiedziała Chloe.

— Naprawdę? — spytał Buck.

Skinęła głową i w tym momencie zauważył w kątku jej ust resztki konfitury z pączka.

— Mogę? — zapytał, wyciągając rękę. Uniosła podbródek, a Buck otarł konfiturę swoim kciukiem. Co teraz zrobić? Wytrzeć rękę chusteczką? Instynktownie włożył kciuk do ust.

— Okropne! — skrzywiła się. — A co, gdybym miała jakieś krosty albo kurzajki czy jeszcze coś gorszego?

— Wtedy mielibyśmy to razem — zażartował Buck i oboje wybuchnęli śmiechem. Poczul, że się zarumienił i było to coś, czego nie doświadczał od lat, szybko więc zmienił temat rozmowy. — Powiedziałaś: „teoria mojego taty”, czy to znaczy, że ty masz inną, że nie zgadzasz się z tym, co on myśli?

— On myśli, że się nie zgadzam, bo się z nim sprzeczam na ten temat. Po prostu nie chcę, żeby myślał, że mnie przekonał, ale jeśli mam być szczerą, muszę powiedzieć, że uważam podobnie. Tata twierdzi, że...

Buck uniósł rękę.

— Chloe, przepraszam, nie mów mi. Chcę to usłyszeć bezpośrednio od niego i nagrać.

— Sorry, nie chciałam — zaczęła się tłumaczyć.

— O.K., wszystko w porządku. Nie chciałem być niemiły, ale właśnie tak pracuję. Naturalnie chciałbym poznać także twoje zdanie. Zamierzam zrobić wywiady z kilkoma małolatami z college'u, ale byłoby ciekawe usłyszeć opinie dwojga ludzi z tej samej rodziny. Powiedziałaś, że w większości zgadzasz się z ojcem, lepiej więc poczekam i będę was słuchał i nagrywał razem, dobrze?

Zamyśliła się i nagle bardzo spoważniała.

— Chloe, wybac mi, proszę, to nie jest tak, że nie jestem zainteresowany twoją teorią.

— Nie o to chodzi — przerwała. — Nie podoba mi się, że mnie tak zaszufladkowałeś.

— Zaszufładkowałem? Co masz na myśli?

— Jako małąlatę z college'u.

— O... rzeczywiście tak powiedziałem? Mój błąd. Powinienem wyrazić się precyzyjniej. Przecież tak naprawdę to gimnazjaliści nie są już dziećmi. Ciebie też nie postrzegam jako dziecka czy małąlaty, choć z całą pewnością jesteś ode mnie o wiele młodsza.

— Gimnazjaliści? Już dawno nie słyszałam tego słowa.

— To chyba mój wiek daje znać o sobie.

— Buck, ile masz lat?

— Trzydzieści i pół, niedługo skończę trzydzieści jeden — powiedział, mrużąc oko.

— Spytałam cię, ile masz lat? — wykrzyknęła mu prosto do ucha, jakby mówiła do przygłuchego starca. Teraz Buck wybuchnął śmiechem.

— Chyba kupię ci drugie ciasteczko, moja mała, nie mam zamiaru jednak popsuć ci apetytu.

— Lepiej nie próbuj. Mój tata uwielbia dobre jedzenie i dzisiaj wieczorem to on stawia obiad. Zrób sobie trochę miejsca w żołądku.

— Postaram się.

— Chcę ci coś powiedzieć, ale obiecaj, że nie uznasz mnie za dziwaka? — poprosiła.

— Za późno — odrzekł.

Zmarszczyła brwi i walnęła go w ramię

— Chciałam ci tylko powiedzieć, że lubię, jak wymawiasz moje imię.

— Nawet nie wiedziałem, że jest jakiś inny sposób wymawiania go — zdziwił się.

— No pewnie. Nawet moi przyjaciele często się mylą i mówią jedną sylabę: Kloj.

— Chloe — powtórzył Buck po swoim.

— No, właśnie — ucieszyła się. — Dokładnie tak, „K” długie „o” i długie „e”.

— Podoba mi się twoje imię — powiedział. Zmienił głos tak, by brzmiał jak głos starego, przygłuchego człowieka. — To jest imię młodej osoby. Ile masz lat, dziecko?

— Dwadzieścia i pół, niedługo skończę dwadzieścia jeden.

— Wielkie nieba! — wykrzyknął z udawanym niepokojem. — Zadzają się z małolata!\*

W drodze powrotnej do klubu Pan-Con Chloe powiedziała:

— Jeżeli obiecasz, że nie zrobisz sprawy z mojego młodego wieku, to i ja nie zdradzę nikomu, jaki jesteś już stary, zgoda?

— Zgoda, umowa stoi — powiedział, uśmiechając się. — Wyglądasz na o wiele starszą, niż jesteś.

— Biorę to za komplement — powiedziała, uśmiechając się do siebie, jakby była pewna, że Buck mówił poważnie.

— Oczywiście — powiedział podniecony. — Niewielu ludzi w twoim wieku jest tak odczytanych i umie tak dojrzałe formułować zdania, jak ty.

— O, to już na pewno jest komplement! — powiedziała.

— Szybko łapiesz, koleżanko.

— Powiedz mi, naprawdę miałeś wywiad z Nicolae Carpathią?

Przytaknął głową i dodał:

— Jesteśmy prawie kumplami.

— Nie żartuj!

— No, jeszcze nie całkiem. Ale dobrze nam się rozmawiało.

— Opowiedz mi o nim.

Hattie przemyśla twarz, nadal jednak miała zaczerwienione i podpuchnięte oczy. Usiadła tam gdzie przedtem, jakby przygotowana na następne ciosy. Rayford zapewnił ją raz jeszcze o swojej szczero-

\*W Stanach Zjednoczonych pełnoletniość osiąga się w wieku dwudziestu jeden lat.



ści i ponownie prosił o wybaczenie. Hattie, jakby chcąc już o tym zapomnieć, powiedziała krótko:

— Czy moglibyśmy już to zostawić?

— Muszę być pewny, że mi przebaczyłaś — powiedział.

— Wydaje mi się, że bardzo ci na tym zależy, Rayfordzie. Czy ci ulży, gdy ci to powiem?

— Z grubsza mówiąc, tak — powiedział z przekonaniem.

—A przynajmniej będę wiedział, że wierzysz, iż jestem z tobą szczerzy i mówię poważnie.

— Oczywiście, że ci wierzę — powiedziała zaskoczona. — Ale i tak nasza rozmowa wcale nie jest łatwiejsza ani przyjemniejsza. Skoro jednak może ci to ulżyć, to zapewniam cię, iż wierzę w twoje przeprosiny. Nie chcę żywić niechęci ani nosić w sobie urazy, myślę więc, że jest to w pewnym sensie przebaczenie.

— Dzięki, Hattie, chyba otrzymałem to, na czym tak bardzo mi zależało — powiedział Rayford z ulgą w głosie. — Teraz chciałbym, żebyś mnie bardzo uważnie wysłuchała, bo muszę ci powiedzieć coś niezwykle ważnego.

— O rany, jeszcze coś? A może chodzi o to, co tak tajemniczo zapowiadałaś mi przez telefon na temat wydarzeń ubiegłego tygodnia w związku ze zniknięciami?

— Zgadłaś, ale muszę ci powiedzieć, że Chloe radziła mi, żebym nie mówił z tobą na ten temat po tym, co ci wcześniej powiedziałem.

— To znaczy, żebyś nie chciał upiec dwóch pieczeni przy jednej rozmowie, tak?

— Tak.

— Mądra dziewczyna — zauważyła Hattie. — Myślę, że dobrze byśmy się rozumiały.

— No cóż, w końcu wiekiem nie różnicie się tak bardzo.

— Źle powiedziane, Rayfordzie. Jeśli chodziło ci o to, że mogłabym być twoją córką, to powinieneś był wcześniej o tym pomyśleć.

— Chyba, że zostałbym ojcem w wieku piętnastu lat — powiedział Rayford. — W każdym razie Chloe jest przekonana, iż nie przyjmiesz tego, co ci powiem.

— Dlaczego? Czy muszę podejmować jakąś decyzję? A może chcesz mnie zmusić albo namówić, żebym przyjęła twoją teorię?

— Wiesz, że zmuszać cię nie będę, ale nie ukrywam, że mam taką nadzieję. Jeśli jednak z jakiegoś powodu nie chcesz teraz tego słuchać, nie ma sprawy, rozumiem i odłożę to na kiedy indziej. Myślę jednak, że po tym, co ci powiem, sama zrozumiesz, jak ważne jest, żeby działać jak najszybciej.

Rayford czuł się zupełnie jak Bruce Barnes owego dnia, gdy spotkali się po raz pierwszy po Pochwyceniu. Mówił z wielkim przekonaniem i ogromną pasją i czuł, że jego modlitwy o pomoc i wsparcie zostały w tym momencie wysłuchane. Opowiedział Hattie swoją historię spotkania z Bogiem, począwszy od wychowania w chrześcijańskim domu oraz o tym, że Irena i on uczęszczali do różnych kościołów. Powiedział jej nawet, iż obsesja Ireny na punkcie czasów ostatecznych była jednym z powodów, dla których zaczął rozglądać się za inną kobietą.

Rayford domyślał się z wyrazu jej twarzy, że wie, o co mu chodzi, gdy powiedział, iż po tym wszystkim, co się stało, zgadza się z przekonaniem i wiarą Ireny i utożsamia się ze wszystkim, w co wierzyła. Hattie siedziała nieruchomo. Dodał również, że podczas tamtego pamiętnego lotu do Londynu domyślał się, co się stało i wracając do domu, spodziewał się, co zastanie.

Powiedział jej o telefonie do kościoła, spotkaniu Bruce'a Barnes'a i wysłuchaniu jego wyjaśnień, o video z nagraniem proboszcza Billingsa, ich odkryciach na temat wypełniania się proroctw biblijnych, i w końcu o tych dwóch kaznodziejach z Jerozolimy, którzy najwyraźniej odpowiadają opisowi dwóch proroków z Apokalipsy.

Powiedział jej, jak się modlił za proboszczem Billingsem podczas oglądania kasety video i o tym, że teraz czuje się całkowicie odpowiedzialny za to, żeby Chloe także znalazła drogę do Boga. Hattie patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Nic w jej postawie ani zachowaniu nie zachęcało go, a mimo to kontynuował. Nie poprosił, by się pomodliła razem z nim. Powiedział natomiast, że już nigdy nie będzie przeprasza! za to, w co uwierzył.

— Sama widzisz, że człowiek, który w pełni przyjmie i zaakceptuje to wszystko, o czym mówię, nie może milczeć, ale ma wewnętrzne, nieodparte pragnienie, żeby dzielić się tym z innymi. Nie byłby przyjacielem, gdyby tak nie postąpił.

Wyglądało na to, że Hattie nie zamierza wyrazić aprobaty nawet skinieniem głowy. Po upływie około pół godziny, zmęczony swoim nowym zadaniem, zbliżał się do końca.

— Hattie, proszę cię, żebyś pomyślała i zastanowiła się na tym wszystkim. Obejrzyj tę kasetę i porozmawiaj z Bruce'em, jeśli chcesz. Ja sam nic nie mogę zrobić, żebyś uwierzyła. Wszystko, co mogę, to uświadomić ci to, co sam przyjąłem i uznałem za prawdę. Zależy mi na tobie i nie chciałbym, żebyś straciła swoją szansę tylko dlatego, że nikt ci o niej nie powiedział.

W końcu Hattie oparła się wygodniej i westchnęła.

— No cóż, Rayfordzie, to bardzo miłe z twojej strony, że pomyślałeś o mnie. Naprawdę. Jestem ci wdzięczna za to, co powiedziałeś i będę twoją dłużniczką. Zaciekawilo mnie to, gdyż nie myślałam, że w Biblii jest mowa o takich sprawach. Moja rodzina chodziła do kościoła, gdy byłam dzieckiem, przeważnie z okazji większych świąt kościelnych oraz wtedy, gdy ktoś nas zaprosił na jakąś uroczystość. Nigdy jednak nie słyszałam o czymś takim. Obiecuję, że pomyślę o tym. Nie przejdę nad tym do porządku dziennego. Gdy raz usłyszysz się coś takiego, trudno później o tym zapomnieć. Czy w podobny sposób chcesz to przekazać Buckowi przy obiedzie?

— Słowo w słowo.

Zaśmiała się.

— Ciekawa jestem, czy któreś z nich znajdzie się w jego artykule.

— Prawdopodobnie razem z innymi teoriami o najeździe przybyszów z kosmosu, o działaniu gazu bakteriobójczego i śmiertelnym promieniowaniu — odpowiedział Rayford.

## *Rozdział dwudziesty pierwszy*

Kiedy Buck i Chloe wrócili, zauważyli, że Hattie płakała. Jednak Buck nie czuł się upoważniony pytać, co się stało. Ona sama też się nie kwapiła tego wyjaśniać.

Choć Buck był zadowolony z możliwości przeprowadzenia wywiadu z Rayfordem Steele'em, to jednocześnie miał mieszane uczucia. Refleksje kapitana samolotu, którym on sam leciał do Londynu w czasie masowych zniknięć, mogły dodać pikanterii całej tej historii. Ale Buck chciał przede wszystkim jak najwięcej czasu spędzić z Chloe. Popędził do biura, a potem do domu, żeby wziąć prysznic, przebrać się i być gotowym na ponowne spotkanie w wytwornej restauracji „Carlisle”. W redakcji złapał go telefonicznie Stanton Bailey, który pytał, kiedy może pojechać do Chicago, żeby wyznaczyć kogoś na miejsce Lucindy Washington.

— Tak szybko, jak się da, nie chciałbym jednak stracić możliwości śledzenia rozwoju wypadków w ONZ.

— Wszystko, co będzie się działo jutro rano, już wiesz od Pianka — powiedział Bailey. Dochodzą mnie słuchy, że machina poszła w ruch. Jutro rano Plank ma zwołać konferencję prasową, na której zdementuje pogłoski o dążeniu Carpathii do objęcia tego stanowiska i usunięcia obecnego sekretarza generalnego oraz powtórzy propozycje młodego Rumuna na temat reorganizacji ONZ i globalnego rozbrojenia. Wszyscy mamy się później uzbroić w cierpliwość, czekając, czy któryś z członków ONZ się temu sprzeciwi. Myślę, że nie znajdzie się taki kraj, który wyraziłby sprzeciw.

— Chciałbym, żeby tak było — powiedział Buck, ciągle mając nadzieję, że może ufać Carpathii nie mogąc doczekać się, jak ten postąpi wobec Stonagala i Todd-Cothrana.

— Ja też — powiedział Bailey — ale spójrzmy realnie. Oto jest człowiek, który najlepiej pasuje do chwili, w której świat się znalazł, jednak wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że jego plany są zbyt ambitne. Nigdy się nie spełnią.

— Tak, wiem. Gdyby to jednak zależało od pana, czy nie zgodziłby się pan i nie poszedł za nim, Sir?

— No pewnie — odrzekł Bailey, wzdychając. — Bez wątpienia uzyskałby moje poparcie. Jestem już zmęczony ciągłymi wieściami o wojnach i przemocy. Myślę, że nawet poparłbym go w kwestii przeniesienia siedziby ONZ do tego Nowego Babilonu.

— Może delegaci ONZ będą na tyle rozsądni, żeby zauważyć, że świat jest gotowy na Carpathię? — powiedział Buck.

— Czy to nie zbyt piękne, by było prawdziwe? — rozważał Bailey. — Nie dawaj głowy, nie wstrzymuj oddechu, nie rób niczego, czego nie powinienes, gdy szanse nie są równe.

Buck poinformował swojego szefa, że planuje polecieć do Chicago następnego ranka i wrócić do Nowego Jorku w niedzielę wieczorem.

— Chcę sprawdzić teren, zobaczyć, czy może znajdzie się ktoś odpowiedni wśród tamtejszych pracowników biura, czy raczej będziemy musieli szukać kogoś z zewnątrz.

— Wolalbym, abyśmy pozostali przy naszych ludziach — powiedział Bailey. — Ale zgodnie ze swoimi zasadami tobie zostawiam ostateczną decyzję.

Buck zadzwonił do linii Pan-Con i dowiedział się, że samolot Rayforda Steele'a odlatuje następnego rana o ósmej. Powiedział w rezerwacji, że jego towarzyszem podróży jest Chloe Steele.

— O tak — odpowiedziała kobieta — pani Steele jest członkiem rodziny i przeważnie podróżuje pierwszą klasą. Jest obok niej jedno wolne miejsce. Czy pan także będzie gościem załogi?

— Nie.

Zarezerwował sobie miejsce w klasie ekonomicznej, podając numer służbowej karty kredytowej, a następnie, korzystając z przywilejów członka klubu, poprosił o bonus w postaci miejsca obok Chloe. Dzisiaj wieczorem nie piśnie o tym ani słowa.

Minęły chyba wieki od czasu, gdy Buck ostatnio miał na sobie krawat, ale przecież szedł na obiad do luksusowej restauracji w szanowanym hotelu „Carlisle”. Prawdopodobnie nawet by go nie wpuszcili, gdyby nie był odpowiednio ubrany. Na szczęście zostali zaprowadzeni do stolika z dala od innych, gdzie mógł rozstawić swój sprzęt nagrywający, nie wywołując sensacji.

Chloe promieniała, wyglądała na co najmniej pięć lat więcej w przepięknej klasycznej sukni wieczorowej. Widać było, że obie z Hattie spędziły całe popołudnie w salonie piękności.

Rayford spojrzął na córkę i stwierdził, że wygląda znakomicie. Zastanawiał się, co też myśli o niej dziennikarz. Widać było wyraźnie, że Williams jest dla niej za stary.

Czas przed obiadem Rayford spędził, drzemiąc w hotelowym pokoju, modląc się, żeby Bóg udzielił mu tej samej mądrości i odwagi, jaką miał w rozmowie z Hattie. Nadal nie miał pojęcia, co tak naprawdę myśli. Jej zdawkowa grzeczność nie pozwalała wyciągnąć żadnych wniosków. Miał jedynie nadzieję, że mimo wszystko udało mu się do niej jakoś dotrzeć. To, że całe popołudnie spędziła z Chloe, było dobrym znakiem. Rayford liczył na to, że Chloe nie jest aż tak przeciwna zmianom jakie w nim zaszły, aby teraz stanąć po stronie Hattie przeciwko niemu.

W restauracji Williams bez przerwy wpatrywał się w Chloe, ignorując Hattie. Rayford zauważył to natychmiast, ale Hattie nie sprawiała wrażenia, by to ją obchodziło. A może to Hattie wpadła na pomysł, aby ich poznać ze sobą? Tym razem Rayford nie powiedział Hattie żadnego komplementu, choć także przepięknie ubrała się na tę kolację. Była szczupła i wytworna, jak zawsze, ale Rayford nie chciał okazywać tym zainteresowania. Uznał to za przeszłość i nie chciał do tego wracać.

Podczas obiadu pilnował, aby ich rozmowy były życzliwe i unikał spornych tematów. Buck poprosił, aby Rayford dał mu znać,

gdy będzie gotowy do udzielenia wywiadu. Po deserze Rayford przywołał kelnera.

— Chcielibyśmy spędzić tu jeszcze z godzinę albo dwie, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

— Ale, Sir, ten stolik jest już zarezerwowany ...

— Nie widzę powodu, dla którego ten stolik miałby być dla ciebie jakimś obciążeniem — powiedział Rayford, wkładając mu do ręki banknot o dużym nominale — więc przesadź nas tak, byśmy mogli sobie jeszcze spokojnie pogadać, dobrze?

Kelner spojrzął na banknot wkładając go do kieszeni.

— Dopilnuję, żeby nikt państwu nie przeszkadzał — powiedział. Dotrzymał słowa i doglądał również, by szklanki z wodą były cały czas pełne.

Rayford z zadowoleniem odpowiadał na pytania Williamsa dotyczące jego pracy, wykształcenia, rozwoju kariery zawodowej, z niecierpliwością czekał jednak na możliwość podzielenia się z nim swoim nowym odkryciem, nową misją, jaką miał do spełnienia. Aż w końcu przyszedł czas i na to.

Buck próbował się skoncentrować na odpowiedziach kapitana, ale chciał także zrobić wrażenie na Chloe. Każdy, kto chociażby otarł się o środowisko dziennikarskie, wiedział, że Buck jest jednym z najlepszych fachowców, jeśli chodzi o przeprowadzanie wywiadów. Ta umiejętność szybkiego i wnikliwego przeglądania zebranego materiału i wygarniania samego sedna, aby przekazać tylko to, co najciekawsze, otaczała go sławą.

Szybko przeszli wstępne pytania. Kapitan przypadł mu do gustu. Steele wyglądał na otwartego i rzeczowego, niewątpliwie był mądry i potrafił się wysławiać. Zauważył, że Chloe ma wiele cech Rayforda.

— Jestem gotów — powiedział Buck — przejść do istoty naszego wywiadu, twojej interpretacji tego, co się wydarzyło podczas pamiętnego lotu do Londynu. Czy masz swoją „teorię”?

Kapitan odczekał chwilkę, uśmiechając się, jakby zbierał myśli.

— Mam coś o wiele więcej niż „teorię” — oznajmił. — Może powiesz, że brzmi to dziwacznie w ustach człowieka o umyśle ścisłym, technicznym. Jestem jednak całkowicie przekonany, że odnalazłem prawdę i wiem, co się wówczas wydarzyło.

Buck już widział, że będzie to dobrze przyjęte w piśmie.

— No, proszę, wreszcie mamy człowieka, który dokładnie wie, co myśli — zażartował. — Teraz więc masz okazję podzielić się tym ze światem.

Chloe wykorzystała ten moment i lekko trąciła Bucka w ramię, pytając, czy nie będzie miał nic przeciwko, żeby na chwilę wyszła.

— Pójdę z tobą — powiedziała Hattie.

Buck śmiał się, patrząc za odchodzącymi kobietami.

— Co to ma być? — powiedział z uśmiechem. — Jakaś zmowa, czy co? Umówiły się, że zostawią nas samych, czy też słyszały już to wszystko wcześniej i nie chcą tego słuchać drugi raz?

Rayford był zły, prawie wściekły. Już po raz drugi w ciągu kilku godzin zdarzyło się, że Chloe oddalała się od niepowtarzalnej okazji zbliżenia się do Boga.

— Zapewniam cię, że wcale nie było zmowy — powiedział, zmuszając się do uśmiechu.

Nie mógł jednak zmienić tematu ani czekać na ich powrót. Pytanie zostało postawione, on sam czuł się gotowy, tak więc zrobił krok do przodu i opuścił strefę osobistego bezpieczeństwa, mówiąc o rzeczach, które z pewnością wiele osób z jego środowiska umieści w kategorii fanatyzmu. Podobnie, jak wcześniej w rozmowie z Hattie, przedstawił pokrótce swoje wychowanie religijne, dochodząc w ciągu pół godziny do obecnych wydarzeń. Mówił o wszystkim, co wydawało mu się szczególnie ważne i znaczące.



Buck siedział naprzeciwko kapitana, nie przerywając ani razu tej najzupełniej klarownej i rzetelnie, przedstawionej teorii, którą jeszcze trzy tygodnie temu uznaliby za zupełnie absurdalną. Brzmiała podobnie do tego, co słyszał kiedyś w kościele i od przyjaciół, z tą różnicą, że ten człowiek co chwila przytaczał fragmenty z Biblii na poparcie swoich tez. A ta sprawa z dwoma prorokami w Jerozolimie, którzy jak ulał pasowali do dwóch świadków opisanych w księdze Objawienia? Buck osłupiał z wrażenia i kompletnie nie wiedział, co powiedzieć.

— To bardzo interesujące — odezwał się w końcu. — Czy słyszałeś najnowsze wiadomości? Buck powiedział, co widział w raporcie CNN, gdy wpadł na chwilę do domu. — Pokazywali, jak tysiące ludzi udaje się na swoistą pielgrzymkę pod Ścianę Płaczu. Stoją w wielokilometrowej kolejce, próbując dostać się bliżej i posłuchać dwóch proroków. Wielu nawraca się i sami zaczynają głosić, to *co tamci*. Władze są bezsilne, nie mogą powstrzymać tłumu, pomimo nacisku ortodoksyjnych Żydów. Każdy, kto próbuje się do nich zbliżyć ze złymi zamiarami, natychmiast pada martwy, traci mowę albo ogarnia go paraliż. Wielu starych, ortodoksyjnych strażników Ściany Płaczu dołącza do proroków, stając się ich naśladowcami.

— Niesamowite — powiedział pilot w zachwycie. — O ile jednak bardziej zdumiewające jest to, że już dawno te wydarzenia przepowiedziane zostały na kartach Pisma Świętego.

Buck za wszelką cenę starał się opanować. To, co usłyszał, było tak nieprawdopodobne, iż nie był pewien, czy się nie przesłyszał. A może to sen? Steele zrobił na nim wielkie wrażenie. Wyglądało na to, że człowiek ten znalazł powiązanie biblijnych proroctw z tym, co się działo w Izraelu, czego dotychczas nikt nie umiał wyjaśnić. To, co Steele przeczytał Buckowi z Apokalipsy, brzmiało bardzo sensownie i było zrozumiałe. A może to nie jest właściwa droga? A co, jeśli cała ta teoria jest tylko religijną paplaniną, której dość się nasłuchał w dzieciństwie? Buck musiał jednak przyznać, że jest to pierwsza i jak na

razie jedyna teoria tak logicznie wiążąca wszystkie wydarzenia, które już miały miejsce, a teraz połączyły się w sensowną całość. Czyż w innym razie czułby ciarki na całym ciele?

Z biciem serca Buck spoglądał na kapitana Steele'a, nie rozglądając się ani na prawo, ani na lewo. Nie mógł się nawet ruszyć. Był pewien, że gdyby kobiety były tu w tej chwili, mogłyby usłyszeć walenie jego serca. Czy wszystko, co słyszy, jest w ogóle możliwe? Czy to prawda? Czy rzeczywiście oglądał działanie Boże w postaci zniszczenia rosyjskiego lotnictwa wojskowego w Izraelu po to, żeby być gotów na taką chwilę, jak ta? Co ma teraz z tym zrobić? Potrząsnąć głową i przejść nad tym do porządku dziennego? A może powinien się przespać i rano będzie myślał inaczej, bardziej trzeźwo? Czy rozmowa z Baileyem lub Plankiem przywróci go do normalnego stanu, tłumiąc w zarodku te dziwne myśli? Czuł, że nie. Chciał w końcu wierzyć w coś, co spaja wszystkie elementy tej łamigłówki w całość i sprawia, że wszystko staje się jasne i ma sens. Chciał jednak wierzyć także Nicolae Carpathii. Może przechodził jakiś trudny okres po niedawnym ogromnym niebezpieczeństwie? To nie było do niego podobne, ale kto w tych dniach był sobą? Czy można od kogoś wymagać, by był sobą w takim czasie?

Buck ani nie chciał uciekać od tego, co słyszał, ani automatycznie przyjmować postawy zachowawczej i wmawiać sobie, że trzeba to pominąć. Chciał poprosić Rayforda o jego opinię na temat swojej bratowej, bratanka i bratanicy, którzy też zniknęli. To jednak byłoby zbyt osobiste i nie powinien mieszać spraw osobistych z tematem, nad którym pracował zawodowo. Nie może dopuścić, by służbowe zadanie zmieniło się we własne poszukiwanie prawdy. Ten wywiad jest przecież jednym z elementów przygotowanego opisu wielkiego wydarzenia. Jest misją odkrywania faktów, które trzeba postawić obok innych teorii i poskładać w całość.

W tej chwili Buck nie myślał nawet, że wybierze jedną z teorii aby ją przedstawić jako pogląd reprezentowany przez „Global Weekly”. Miał zebrać wszystkie istniejące teorie, od całkiem wiarygod-

nych, aż po najbardziej dziwaczne. Czytelnicy mogli podzielić się swoimi opiniami w rubryce *Listy od czytelników* albo przyjąć jeden z poglądów reprezentowanych przez wiarygodne źródła przedstawione w artykule Bucka. Mimo początkowych wątpliwości Buck patrzył na siedzącego przed nim pilota jak na człowieka, który dobrze wie, co mówi i do czego zmierza.

Po raz pierwszy w swojej karierze dziennikarskiej Buck nie wiedział, co powiedzieć.

Rayford był pewien, że nie udało mu się przekonać Bucka. Miał tylko nadzieję, że dziennikarz zrozumie, o czym mówił i że będzie chciał go właściwie cytować, przedstawiając jego poglądy w taki sposób, żeby czytelnicy po przeczytaniu artykułu mogli głębiej wejrzeć w istotę chrześcijaństwa. Widać było, że Williams nie przyjął tego osobiście. Gdyby miał zgadywać, to powiedziała by, że Williams jest tak bardzo wstrząśnięty tym, co usłyszał, że nie potrafi zastosować do tego żadnej formuły.

Rayford musiał sobie przypominać, że jego podstawowym celem jest dotrzeć do Chloe, a dopiero potem do ewentualnych czytelników, jeśli w ogóle w artykule Williamsa zostaną zacytowane jakiegokolwiek jego myśli. Lecz jeśli nawet ów sławny dziennikarz pomyślał, że Rayford jest zupełnie pokręcony, to i tak za chwilę ich drogi się rozejdą, ale przynajmniej zostawi go z poselstwem prawdy. Co on z tym zrobi, to już jego sprawa.

Buck nie ufał już sobie po tym, co usłyszał. Ciągle przebiegały mu po plecach ciarki i czuł, że całe ciało klei się od potu. Co się z nim dzieje? Zdobył się na wydukanie: — Bardzo dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu i za obiad. Skontaktuję się z panem w sprawie autoryzacji. — co oczywiście było nonsensem. Powie-

dział to tylko po to, żeby wrócić do rzeczywistości i na nowo nawiązać rozmowę z pilotem. Miał mnóstwo osobistych pytań, które kłębiły mu się w głowie, ale z zasady nigdy nie pozwalał ludziom, z którymi przeprowadzał wywiady, żeby wcześniej wiedzieli, które z ich stwierdzeń pojawiają się w artykule. Polegał na swoim repoterskim magnetofonie oraz własnej pamięci i jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby ktoś oskarżył go o niewłaściwe cytowanie jego myśli.

Buck spozjrzał na kapitana i dojrzał zdumienie malujące się na jego twarzy.

Uświadomił sobie, z kim ma do czynienia. To jest inteligentny, wykształcony człowiek. Z pewnością wie, że dziennikarze nie mają prawnego obowiązku kontaktowania się z osobami, z którymi przeprowadzali wywiad. Teraz pewnie myśli, że Buck najzwyczajniej chce się go pozbyć w typowy, grzeczny, dziennikarski sposób.

*Jaki fatalny błąd, Buck, zganił sam siebie w myślach. Nie doceniłeś swojego partnera.*

Buck pakował sprzęt, gdy nagle zauważył, że Chloe płacze, a łyżką ciekłą jej po policzkach. Co się dzieje z tymi kobietami? Przedtem po jego rozmowie z kapitanem płakała Hattie. A teraz Chloe?

Buck współczuł Chloe. Nie zdziwiłby się, gdyby płakała poruszona tym, co słyszała z ust jej ojca. Buck sam miał ściśnięte gardło i po raz pierwszy od czasu gdy kulił się na ziemi podczas ataku Rosjan na Izrael, chciał zostać sam, by też zapłakać.

— Czy mogę spytać cię prywatnie, nie w ramach wywiadu, o jeszcze jedno? — zwrócił się do Rayforda. — Możesz mi powiedzieć, o czym rozmawiałeś z Hattie dzisiaj po południu w klubie?

— Buck! — prawie krzyknęła Hattie. — To nie twój...

— Jeśli nie chcesz powiedzieć, rozumiem, nie ma sprawy — wycofał się szybko. — Byłem po prostu ciekawy.

— No cóż, większość spraw dotyczyła tylko nas — powiedział kapitan.

— Dziękuję, to mi wystarczy.

— Hattie, chyba cię nie urażę, jeśli powiem Buckowi, że sporo

rozmawialiśmy też o tym, co właśnie przed chwilą mu przekazałem, prawda?

Wzruszyła ramionami.

— Hattie, skończyłem już wywiad i nagrywanie — powiedział Buck do niej. — Czy mogłabyś jednak powiedzieć mi, jaka była twoja reakcja na to, co usłyszałaś?

— Dlaczego już poza wywiadem i nagraniem? — spytała uszczypliwie. — Opinie kapitana są ważne i się liczą, ale to, co myśli i jak czuje stewardessa, nie ma większego znaczenia, tak?

— Nie ma problemu, już wyciągam magnetofon, jeśli chcesz, nagram to, co powiesz. Przepraszam, nie miałem pojęcia, że też chcesz wziąć udział w wywiadzie.

— Wcale nie — odparła. — Chciałam tylko, żebyś i mnie zapytał. Teraz jednak jest już za późno.

— nie obchodzi cię, żebyś powiedzieć, co myślisz na...

— Już ci powiedziałam, że nie. Wiem, że kapitan Steele mówił szczerze. Czy ma rację, tego nie wiem. Te sprawy są mi bardzo obce i zupełnie dla mnie niezrozumiałe. Ale jestem pewna, że on wierzy w to całkowicie. Powstaje pytanie, czy biorąc pod uwagę jego przeszłość i wszystko inne, może tak wierzyć, czy nie. Być może jest teraz bardziej podatny, bo stracił część rodziny.

Buck pokiwał głową, stwierdzając, że jest o wiele bliższy przyjęcia i zaakceptowania teorii Rayforda niż Hattie. Rzucił okiem na Chloe w nadziei, że już doszła do siebie i że będą mogli się trochę przejść. Nadal jednak trzymała chusteczkę przy oczach.

— Buck, proszę, nie teraz — powiedziała błagalnie.

Reakcja Hattie nie zaskoczyła Rayforda, ale Chloe rozczarowała głęboko. Wiedział, że nie chciała go wprawić w zakłopotanie, gdy odmówiła Buckowi komentarza. Domyślał się, że powinien być wdzięczny za taką postawę. Przynajmniej widział, że Chloe ma na uwadze jego uczucia. Może i on powinien zwrócić większą uwagę na jej emo-

cje, ale na razie zdecydował, że dłużej nie będzie pozwalał, aby dobre maniere były najważniejsze w ich wzajemnych relacjach. Zamierzał walczyć o wiarę dla niej, do czasu aż sama podejmie decyzję. Jednak w tej chwili widać było bardzo wyraźnie, że usłyszała już wystarczająco dużo. Miał tylko nadzieję, że będzie mogła spokojnie spać bez wyrzutów sumienia. Uświadomił sobie, jak bardzo ją kocha.

— Buck— zwrócił się do dziennikarza, wyciągając dłoń — było mi bardzo przyjemnie rozmawiać z tobą. Ten człowiek z Illinois, o którym ci wspomniałem podczas wywiadu wie dużo więcej ode mnie na temat Antychrysta i w ogóle. Może chciałbyś skontaktować się z nim i porozmawiać? Szczerze zachęcam. On się nazywa Bruce Barnes, parafia pod wezwaniem Nowej Nadziei w Mount Prospect.

— Zapamiętam — powiedział Buck.

Rayford był przekonany, że była to tylko grzecznościowa formuła.

Buck doszedł do wniosku, że to całkiem niezły pomysł, by porozmawiać z tym Barnesem. Może znajdzie wolną chwilę, gdy będzie w Chicago. W ten sposób będzie mógł poszukać prawdy na własną rękę, nie mieszając spraw zawodowych z prywatnymi zainteresowaniami.

Poszli w stronę wyjścia.

— Muszę powiedzieć dobranoc — odezwała się Hattie. — Mam jutro ranny lot do Chicago.

Podziękowała Rayfordowi za obiad, szepnęła coś na ucho Chloe — zdawało się, że pozostało to bez odpowiedzi — i podziękowała Buckowi za gościnność tego poranka.

— Któregoś dnia będę musiała zadzwonić do pana Carpathii — powiedziała. Buck powstrzymywał się z całych sił, żeby nie powiedzieć jej, czego dowiedział się dzisiaj o jego najbliższej przyszłości. Wątpił, żeby taki człowiek miał dla niej czas.

Chloe miała zamiar pójść z Hattie do windy, ale zatrzymała się chcąc powiedzieć coś Buckowi. Był poruszony, gdy usłyszał:

— Tato, daj nam parę minut, dobrze? Zaraz przyjdę do pokoju.

Buckowi bardzo schlebiało, że Chloe zawróciła do niego, by się pożegnać, ale była roztrzęsiona i ciągle nie dochodziła jeszcze do siebie. Głos jej się łamał, gdy wypowiadała grzecznościowe formułki. Buck starał się przedłużyć rozmowę.

— Twój tata naprawdę robi wrażenie — powiedział.

— Wiem — odparła. — Szczególnie w ostatnim czasie.

— Teraz widzę, dlaczego nie możesz się z nim zgodzić w wielu kwestiach dotyczących tej sprawy.

— Poważnie?

— No pewnie! Sam muszę to wszystko jeszcze raz głęboko przemyśleć. Ty przysparzasz mi sporo zmartwień w tej sprawie, tak?

— Zgadza się. Ale to już minęło.

— Dlaczego?

— Sam widziałeś, ile to dla niego znaczy.

Buck przytaknął. Wyglądało na to, że Chloe zaraz znowu się rozpłaczę. Chwycił ją za rękę.

— Naprawdę cudownie było spędzić z tobą dzisiejszy dzień — powiedział.

Uśmiechnęła się jakby z zażenowaniem, rozmyślając o czymś.

— Co jest? Czemu się śmiejesz? — nalegał Buck.

— O, nic takiego. To głupstwo.

— Proszę, powiedz. Oboje zachowywaliśmy się dzisiaj głupio.

— Tak, ale ja się czuję głupio — odpowiedziała zażenowana — Dopiero, co się poznaliśmy, a już myślę, że będzie mi ciebie brakowało. Obiecuj, że zadzwonisz, gdy będziesz w Chicago, dobrze?

— Obiecuję — powiedział Buck z uśmiechem. — Nie wiem kiedy, ale powiedzmy, że wcześniej, niż się spodziewasz.

## *Rozdział dwudziesty drugi*

Buck nie spał dobrze. Po części z powodu podniecenia niespodzianką, jaką przygotował Chloe. Miał nadzieję, że się ucieszy. Ciągle jednak mąciło mu się w głowie od tego, co wczoraj usłyszał. Jeżeli to, co mówił Rayford Steele, było prawdą - a Buck instynktownie czuł, że jeśli przynajmniej część z tego jest prawdą, to automatycznie wszystko jest prawdą - to dlaczego potrzebował całego życia, aby dotrzeć do sedna sprawy? A może, nawet o tym nie wiedząc, poszukiwał prawdy już od dawna?

Nawet kapitan Steele - ten dobrze zorganizowany, wszystko na trzeźwo analizujący pilot - rozminął się z poznaniem prawdy, pomimo, iż miał wielką pomoc w osobie żony, w pełni oddanej Bogu, niemal fanatycznie, która mieszkała z nim i na pewno nie jeden raz dzieliła się swoim poznaniem. Bucka męczyła bezsenność, w końcu wstał i zaczął spacerować po mieszkaniu. Zdziwiło go jednak, że nie jest zły ani na siebie, ani na nikogo innego, nie czuł też przygnębienia. Był po prostu przytłoczony kłębiącymi się w jego głowie myślami. Jeszcze kilka dni temu żadna ze spraw, o których dzisiaj usłyszał, nie miałyby dla niego większego sensu, a teraz po raz pierwszy od tego pamiętnego wydarzenia w Izraelu, myślał o nich bezustannie.

Atak Rosjan na Ziemię Świętą zmienił całkowicie sposób jego myślenia. Zetknął się oko w oko ze śmiercią i był przekonany, że coś niezwykłego, ponadnaturalnego, pochodzącego bezpośrednio od samego Boga, czego nikt nie był w stanie nazwać, spowodowało zniszczenie całej powietrznej armady wroga. Po raz pierwszy w życiu i to ponad wszelką wątpliwość był przekonany, że owe niewytłumaczalne zdarzenia, które od czasu do czasu miewają miejsca tu i tam, nie mogą być badane i naukowo wyjaśniane z per-



spektywy zdobytego wykształcenia, nawet tak ekskluzywnego, jak Ivy League.

Buck zawsze był z siebie dumny, gdyż wyraźnie wybijał się ponad tłum - wszystko robił inaczej: swoimi tekstami porywał ludzi, opisywał i zwykłe, i nietypowe sytuacje codziennego życia, uwypuklając niektóre akcenty bytowania szarych ludzi, czego inni redaktorzy unikali jak ognia. Ta umiejętność sprawiała, że czytelnik identyfikował się z opisywanymi, mogąc po prostu czuć, doświadczać i utożsamiać się z tym, co jest tak ważne, choć wydaje się banalne w życiu każdego człowieka. Nadal jednak pozwalał czytelnikowi pomimo, że otarł się o śmierć, przechodzić do porządku nad tymi faktami, nie dając mu odczuć swego głębokiego pragnienia poznania Boga. Jednak tym razem nie mogło się to powtórzyć. Ale jak to zrobić, żeby nie uzewnętrzniając osobistych uczuć, podołać zadaniu, które już w pewien bardzo szczególny sposób zdążyło dotknąć jego duszę?

Zdawał sobie sprawę, że w ciągu kilku zaledwie godzin uczynił spore postępy w poszukiwaniu Boga. Nie był jeszcze gotowy do modlitwy, rozmowy z Bogiem, którego tak długo lekceważył. Nie potrafił się modlić nawet tej nocy w Izraelu, kiedy uświadomił sobie, że Bóg naprawdę istnieje. Co się z nim działo? Przecież chyba wszyscy, a przynajmniej ci, którzy byli naprawdę uczciwi wobec siebie, musieli przyznać po tamtej nocy w Ziemi Świętej, że Bóg jest. Zdumiewające i niewytłumaczalne przypadki zdarzały się już wcześniej, sprzeciwiając się wszelkiej logice i zdrowemu rozsądkowi, ale były kwalifikowane jako zbiegi okoliczności.

Kłeska potężnych i znakomicie wyposażonych Rosjan była oczywiście wielkim wstrząsem. Ale ta historia zdążyła już obrosnąć legendą. Nie będąc zdolnym do obrony i wydany całkowicie na pastwę wroga kraj nie poniósł żadnych strat? Trudno to było sobie wyobrazić - chyba że się uwzględni bezpośrednią interwencję Boga.

Buck zastanawiał się, dlaczego to wydarzenie nie spowodowało większego wpływu na jego światopogląd. Siedząc samotnie w ciszy i ciemności swojego mieszkania, nagle z bólem przypomniał sobie,

że przecież już dawno zrozumiał najbardziej podstawową potrzebę całej ludzkości. Jednak zupełnie się nią nie przejął i widział w tym swoją słabość. Co miał z tym wszystkim teraz zrobić, jakim nikczemnym stał się człowiekiem, że nawet tak wyraźny dowód Boskiego cudu - bo chyba tylko tak można było nazwać to, co się zdarzyło w Izraelu - nie skruszył jego serca?

Nie upłynęło wiele miesięcy od tamtego zdarzenia i oto nastąpiło kolejne - w jednej chwili z powierzchni globu zniknęły miliony ludzi. Wiele osób zniknęło z samolotu, którym sam leciał. Czego mu jeszcze trzeba? To już wyglądało, jakby brał udział w filmie science fiction. Nie ulegało wątpliwości, że był świadkiem najbardziej katastrofalnego w skutkach wydarzenia w historii ludzkości. Buck uświadomił sobie nagle, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni nie miał nawet minuty, by spokojnie przeanalizować to, co się wokół niego działo. Gdyby to wydarzenie nie stało się osobistą tragedią dla wszystkich mieszkańców ziemi, z pewnością myślałby bardziej osobiście o tych sprawach.

Zapragnął spotkać się z tym Bruce'em Barnesem, ale nie pod pretekstem przeprowadzenia wywiadu. Buck miał wystarczająco wiele własnych pytań i wątpliwości, na które rozpaczliwie szukał odpowiedzi. Przez wiele lat odrzucał wszelką myśl o istnieniu osobowego Boga oraz tłumił potrzebę poznania Go - jeżeli w ogóle istnieje. Teraz jednak przyszło mu do głowy, że szukanie Boga może się okazać przydatne. Kapitan Steele mówił, że wszyscy ludzie są grzesznikami, co do czego Buck nie miał żadnych wątpliwości. Wiedział, że nie żyje w zgodzie z nauczaniem Chrystusa, z drugiej jednak strony zawsze miał nadzieję, że jeśli któregoś dnia spotka Boga, to jego dobre uczynki przeważą szalę nad złymi. Nie czuł się gorszy od innych. Wręcz przeciwnie. Zawsze starał być przyzwoitym człowiekiem. Miał nadzieję, że tak właśnie zostanie osądzony.

Teraz jednak, gdyby miał uwierzyć przekonującym wywodom Rayforda Steele'a i wszystkim cytowanym przez niego fragmentom Pisma Świętego, mogłoby się okazać, że nie ma znaczenia, jak jest dobry albo jak widzi siebie w porównaniu do innych. Jedno cyto-

wane przez Rayforda zdanie uderzyło go szczególnie mocno i ciągle dźwięczało w uszach. *Nie ma sprawiedliwego ani jednego*. Prawdę mówiąc, Buck nigdy nie uważał się za sprawiedliwego. Czy może zrobić teraz następny krok i przyznać się do pragnienia poznania Boga, potrzeby przebaczenia i przyjęcia Chrystusa?

Czy to jest w ogóle możliwe? A może jest już bliski stania się nowonarodzonym chrześcijaninem? Nagle wszystko w nim drgnęło, gdy Rayford Steele użył tego zwrotu. Buck wiele o tym czytał, a kiedyś nawet napisał artykuł na temat „takich” ludzi. Jednak na jego poziomie światopoglądowym nigdy do końca nie rozumiał tego wyrażenia. Zwrot „nowo narodzony” zawsze kojarzył mu się z „ultraprawicowym skrzydłem” albo z „fundamentalistą”. Jeśli więc zdecyduje się zrobić krok naprzód, nie zważając na konsekwencje i nie chcąc dłużej ignorować prawdy, to powinien też wziąć na siebie zadanie mediaJnego przedstawienia światu, co też to małe, a jakże tajemnicze określenie naprawdę oznacza.

Buck w końcu usnął na kanapie w salonie, mimo świecącej mu prosto w twarz lampy. Spał twardo, ale obudził się na czas, by zdążyć na lotnisko. Myśl o zaskoczeniu Chloe i perspektywa podróżowania z nią dodała mu energii i pomogła przewyciężyć obezwładniające zmęczenie. Jeszcze bardziej podniecała go możliwość spotkania się w Chicago z człowiekiem, który może odpowiedzieć na wiele jego pytań. Ufał mu, nawet kiedy jeszcze go nie znał, polegając jedynie na rekomendacji pilota, który jak widać, niewątpliwie mówił prawdę. Ale to zabrzmi, gdy pewnego dnia powie Rayfordowi Steele'owi, jak wielkie znaczenie miał dla niego ten pozornie niewinny wywiad. Buck przypuszczał jednak, że Steele już się tego domyślił. Chyba właśnie dlatego był taki żarliwy i podniecony.

Wszystko wskazywało na szybko zbliżający się początek ucisku zapowiadanego w Biblii i Rayford nie miał cienia wątpliwości, że istotnie tak będzie. Zastanawiał się jednak, czy w tym trudnym okresie będą

jakieś chwile wytchnienia, chociaż krótkiej radości. Bruce był zdania, że nie będzie żadnych powodów do radości, z wyjątkiem nawróceń ludzi, którzy będą mieli przywilej wytrwania aż do końca i odniesienia zwycięstwa w tym duchowym boju. Podczas rozmowy z Hattie, a później wywiadu z Buckiem Rayford czuł, że zawalił. I chociaż był przekonany, że sam Bóg dał mu słowa oraz zachętę, aby tak zdecydowanie i otwarcie przedstawić swoją wiarę, to jednak miał przeświadczenie, że powiedział coś nieodpowiedniego, a może użył niewłaściwych słów w rozmowie z Hattie. Może to ona miała rację. Może właśnie on był zarozumiały. To, co dla niego miało tak decydujące znaczenie, dla niej mogło być tylko żalostną próbą pozbycia się poczucia winy. On jednak doskonale wiedział, co to dla niego znaczyło. Mógł przysiąc przed Bogiem, że jego motywy były czyste, chociaż nie umiał wytłumaczyć jej tego do końca, z wyjątkiem zapewnienia, że jest uczciwy i teraz wierzy w taki właśnie sposób. Ale jakie to miało dla niej znaczenie? On mógł sobie tak wierzyć, ale ona nie. Miała wystarczające powody, by podejrzewać, iż Rayford wierzy w jakieś baśnie, brednie. Mogła też przyznać, że lekceważy tę prawdę, którą Rayford starał się jej tak dokładnie wyłuszczyć. Nie pozostawił jej dużego wyboru.

A co powiedzieć o wywiadzie z Cameronem Williamsem?! Rayford czuł się bardzo dobrze w swej roli, był opanowany, dobierał słowa, starając się, aby to, co mówi, miało sens. Wiedział, że zaangażował się w dyskusję nad czymś, co może i wygląda skomplikowanie i na pewno jest bulwersujące, ale czuł, że Bóg dał mu słowa, aby został wyraźnie zrozumiany. Skoro jednak nie udało mu się na koniec wydobyć z reportera nic oprócz grzecznościowej formuły, to jakim świadectwem będzie dla innych ludzi? W głębi serca Rayford pragnął być bardziej owocny. Wierzył, że przedtem marnował życie, a teraz został mu dany tylko krótki czas na ratowanie innych. Był niezmiernie wdzięczny za zbawienie, które w Chrystusie stało się jego udziałem i teraz chciał się ze wszystkimi tym podzielić, przyprowadzając ich do Chrystusa. Wywiad w takim renomowanym piśmie dawał duże możliwości, ale czuł, że poszło mu inaczej, niż sam się tego spodziewał. Nie był z siebie zadowolony. Czy wobec tego w ogóle warto się modlić o kolejną tak

okazję? Rayford był przekonany, że widział Camerona Williamsa po raz pierwszy i ostatni. Na pewno nie zadzwoni do Bruce'a Barnes'a, a jego dzisiejszy wywiad nigdy nie trafi na łamy „Global Weekly”.

Rano słyszał zza drzwi łazienki, że Chloe się pakuje. Z całą pewnością wczoraj wieczorem mogła się czuć zakłopotana z jego powodu i prawdopodobnie nawet przeproszała Williamsa za absurdalne pomysły swojego ojca. Wieczorem jednak przed pójściem spać zapukała do niego, żeby powiedzieć dobranoc. No, to już było coś, krok do przodu w ich wzajemnych relacjach.

Za każdym razem, gdy Rayford myślał o Chloe, odczuwał ucisk w piersiach, wielką pustkę w głowie i natychmiast ogarniało go przynębiające uczucie smutku. Gdyby musiał, przeżyłby resztę życia z innymi swoimi upadkami i niedoskonałościami ale, gdy modlił się o nią, jego kolana momentalnie się ugiwały. *Nie mogę jej utracić*, pomyślał i stwierdził, że mógłby nawet oddać za nią swoje zbawienie, gdyby to było konieczne.

Wyraźnie odczuwał, że Bóg przemawia do niego, dając mu do zrozumienia, że jest to właśnie krzyż, potrzebny, aby zdobywać ludzi i przyprowadzać ich do Chrystusa. Takie było nastawienie samego Jezusa, gdy przyszedł na ziemię gotowy przyjąć na siebie karę, która obciąża każdego człowieka tak, aby nikt nie został potępiony, ale żył wiecznie.

Gdy Rayford po raz kolejny modlił się za Chloe, zmagając się z uczuciem zawodu, jaki na pewno sprawił jej poprzedniego dnia, na nowo nabrał otuchy.

— Boże, tak bardzo potrzebuję zachęty od Ciebie — wyszeptał. — Muszę wiedzieć, czy czasami nie odepchnąłem jej na zawsze od siebie, a tym samym od Ciebie.

Co prawda pamiętała o tym, żeby powiedzieć mu dobranoc, ale też słyszał, że płakała w łóżku.

Starannie ubrał się w mundur lotniczy i szeroko uśmiechnął do Chloe, gdy stanęła w drzwiach ubrana jak do podróży.

— Jesteś gotowa, kochanie? — powiedział ostrożnie, udając, że nic się nie stało.

Przytaknęła i też próbowała się uśmiechnąć, a potem objęła go mocno i przytuliła się, opierając podbródek na jego piersiach. O *dzięki ci, Panie*, modlił się w myślach, zastanawiając się, czy powinien coś powiedzieć. Czy to był właśnie ten czas? Czy powinien w takiej chwili porozmawiać z nią i nakłonić do podjęcia decyzji pójścia za Chrystusem?

Ponownie wyraźnie odczuł bliską obecność Bożą, jak gdyby sam Najwyższy mówił bezpośrednio do jego ducha. *Uzbrój się w cierpliwość. Pozwól jej być sobą. Niech sama zadecyduje. Niech sama podejmie decyzję. Nie zmuszaj jej.* Zachowanie milczenia okazało się trudniejsze niż wszystko, co dotychczas robił. Chloe też się nie odzywała. Szybko zjedli lekkie hotelowe śniadanie i udali się na lotnisko Kennedy'ego.

Chloe była pierwszym pasażerem w samolocie.

— Postaram się zajrzeć do ciebie jeszcze przed startem — powiedział idąc do kabiny pilotów.

— Nic się nie martw, jeżeli nie będziesz mógł — odparła. — Zrozumiem. Nie ma sprawy, tato.

Buck czekał, aż wszyscy pasażerowie zajmą miejsca. Gdy się zbliżał, aby usiąść, Chloe odwróciła się do okna i wsparła brodę na rękach, Buck nie mógł dojrzeć, czy ma otwarte oczy, czy też śpi. Miał nadzieję, że odwróci się, by spojrzeć, kto siada obok niej. Prawie nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, wyobrażając sobie jej reakcję, chociaż towarzyszył mu jakiś cień wątpliwości, iż może się okazać mniej uradowana, niż przypuszczał.

Zajął miejsce i czekał, co się dalej wydarzy, ale Chloe nawet się nie odwróciła. Śpi? Patrzy na coś? A może medytuje? Albo się modli? Czy możliwe, że płacze? Buck miał nadzieję, że nie. Troszczył się o nią już tak bardzo, że drażniła go myśl, iż coś może sprawiać jej ból i smutek.

Teraz znalazł się w kłopotcie. Po dłuższej chwili oczekiwania bez skutku na to, że Chloe w końcu spojrzy na niego, sam nagle poczuł

senność i zmęczenie. Mięśnie i stawy bolały go po ostatniej nocy, a powieki ciążyły jak ołów. Postanowił nie dać jednak za wygraną i nie pozwolić sobie na sen, gdy tymczasem Chloe odkryłaby niespodziankę i znalazła go drzemiącego.

Gestem ręki przywołał stewardesę.

— Poproszę o colę — wyszeptał. Miał nadzieję, że kofeina w zimnym napoju spędzi mu sen z powiek i pomoże przetrzymać chwilowy kryzys.

Gdy Chloe nie poruszyła się nawet podczas prezentacji instrukcji bezpieczeństwa, Buck zaczął się niecierpliwić. Nadal jednak nie ujawniał swojej obecności. Chciał, żeby sama to odkryła. Uzbroił się więc w cierpliwość i nadal czekał.

W końcu poczuła się chyba zmęczona jedną pozycją, bo przeciągnęła się i wyjęła podręczną torbę spod fotela, na którym siedziała. Wypiła resztę soku i postawiła pustą puszkę na małej tacce pomiędzy nimi. Jej wzrok padł na wypolerowane skórzane buty, te same, które miał na sobie poprzedniego dnia. Oczy Chloe powędrowały w górę, aż dotarły do śmiejącej się i wyczekującej twarzy Bucka.

Jej reakcja warta była czekania. Złożyła ręce, przykładając je do ust, a oczy napełniły się łzami. Potem szybko złapała go za rękę.

— Buck, nawet nie wiesz, jak się cieszę — wyszeptała. — O... Buck!

— Ja również — odpowiedział półgłosem.

Chloe szybkim ruchem odsunęła jego rękę, tak jakby się na czymś przyłapała.

— Nie chcę, żebyś pomyślał, że zachowuję się jak uczennica — powiedziała — ale powiedz mi, czy kiedykolwiek zdarzyło ci się, żeby twoja modlitwa była natychmiast, w jednej chwili wysłuchana?

— Myślałem, że to twój ojciec modli się w waszej rodzinie.

— To prawda — odparła Chloe. — Ale ja też spróbowałam pomodlić się pierwszy raz od wielu lat i Bóg natychmiast dał mi odpowiedź!

— Modliłaś się, żebym usiadł obok ciebie?

— O nie, nawet nie mogłabym marzyć o czymś takim, wydawało mi się to zupełnie niemożliwe. Powiedz mi, jak to zrobiłeś?

Opowiedział jej pokrótce.

— To nie było trudne, znałem godzinę twojego odlotu i kupując bilet, powiedziałem, że podróżujemy razem, więc chciałbym mieć miejsce obok ciebie.

— Ale dlaczego? Dokąd lecisz i co będziesz robił?

— Nie wiesz, dokąd leci ten samolot? Bo ja mam nadzieję, że do San Jose w Kalifornii.

Roześmiała się.

— Wróćmy jednak do twojej historii, Chloe. Skończ opowiadanie. Nigdy nie otrzymałem odpowiedzi na moje modlitwy.

— To długa historia.

— Myślę, że mamy sporo czasu, prawda?

Znowu uniosła rękę do ust.

— Buck, to jest takie niezwykle. To najmiłsza niespodzianka, jaką kiedykolwiek zrobił mi ktoś w życiu.

— Przecież sama powiedziałaś, że będziesz tęskniła za mną ale, szczerze mówiąc, nie zrobiłem tego tylko ze względu na ciebie. Po prostu mam coś do załatwienia w Chicago.

Uśmiechnęła się i po chwili znowu spoważniała.

— Nie miałam na myśli ciebie, Buck, chociaż niespodzianka, którą mi sprawiłeś, jest bardzo miła. Kiedy mówiłam o niespodziance, miałam na myśli Boga i to, co On zrobił dla mnie.

Buck nie potrafił ukryć rozczarowania.

— Wiedziałem — powiedział.

s Chloe opowiedziała mu swoją historię.

— Może zauważyłeś, że wczoraj wieczorem byłam dosyć niezadowolona. Byłam jednak bardzo poruszona historią opowiedzianą przez tatę. To znaczy słyszałam ją już wcześniej. Ale nagle wydał mi się taki kochający i współczujący, zainteresowany losem ludzi. Zauważyłeś, jakie to było dla niego ważne i jak poważnie do tego podszedł?

— A któż by nie zauważył?



— Gdybym go nie znała, Buck, to mogłabym pomyśleć, że raczej próbuje przekonać ciebie i nakłonić do swojej wiary niż po prostu odpowiedzieć na twoje pytania.

— Nie jestem pewny, czy odpowiedział na któreś z nich.

— Czy to cię uraziło?

— Niekoniecznie. Posłuchaj, Chloe. Prawdę mówiąc, twój ojciec przemówił do mnie, dotarł do mojego wnętrza.

Chloe siedziała cicho, potrząsając głową. Kiedy w końcu odezwała się, mówiła prawie szeptem i Buck musiał się nachylić w jej stronę, aby ją usłyszeć. Uwielbiał dźwięk jej głosu.

— Buck, posłuchaj — powiedziała — do mnie też dotarł i nie mam tu na myśli mojego taty.

— To wszystko jest takie dziwne — zamyślił się Buck. — Przez pół nocy nie mogłem zasnąć, rozmyślając nad tym.

— Niedługo oboje będziemy myśleli jak on, prawda? — powiedziała. Buck nie odezwał się ani słowem, ale wiedział, co miała na myśli.

— Powiedz mi, kiedy i w jaki sposób stałem się odpowiedzią na twoją modlitwę? — przypomniał Buck wracając do tematu.

— Och, prawie zapomniałam. Siedziałam przy stole w restauracji razem z tatą, który opowiadał ci o sobie i nagle zrozumiałam, dlaczego tak bardzo zależało mu, żebym była z nim, gdy o tym samym opowiadał wcześniej Hattie. Na samym początku, zaraz po Pochwytceniu, sprzeczałam się z nim i byłam dla niego bardzo przykra, więc wycofał się i nie zmuszał mnie, żebym myślała tak jak on. Teraz, kiedy wie już o wiele więcej na ten temat, widzę, jak bardzo zależy mu na tym, żeby mnie przekonać, obawia się bezpośrednio o tym mówić. Chciał, żeby przynajmniej pośrednio dotarło do mnie jego przesłanie. Tak też się stało. Nie słyszałam, jak zaczął, bo byłyśmy z Hattie w toalecie. Myślę jednak, że początek słyszałam już poprzednim razem. Kiedy wróciłam, byłam kompletnie sparaliżowana.

To, co usłyszałam, nie było dla mnie nowe. Było nowe, gdy słyszałam to z ust Bruce'a Barnes'a i oglądałam kasetę video, ale wczoraj mój tata okazał tyle zaangażowania i pasji, że pokazał, jak jest to

niezbędne w naszym życiu. Buck, czy jest jakieś inne wytłumaczenie pojawienia się tych dwóch mężczyzn w Jerozolimie poza tym, które znajduje się w Biblii i mówi o dwóch świadkach?

Buck wzruszył twierdząco ramionami.

— Tak więc, mój tata i Bóg dotknęli mnie, ale ja nie byłam jeszcze gotowa. Płakałam, gdyż tak bardzo go kocham a to, co mówił, jest prawdą. To absolutnie prawda, Buck, zgadzasz się ze mną?

— Myślę, że tak, Chloe.

— Nadal jednak nie rozmawiałam z nim na ten temat. Nie wiedziałam, co stoi na przeszkodzie. Zawsze byłam niezależna i jak daleko sięgam pamięcią - samodzielna. Wiedziałam, że jest niezadowolony i może nawet trochę poirytowany, a jedyne, co mogłam zrobić, to rozplakać się. Musiałam sobie wiele spraw przemyśleć i poukładać, zaczęłam się nawet modlić. Hattie nie mogła mi pomóc. Do niej to w ogóle nie dotarło i nie wiem, czy kiedykolwiek zrozumie. Wszystko, co ją interesuje, to błahe, codzienne sprawy, jak chociażby to, że próbowała nas zeswatać.

Buck uśmiechnął się i chciał wyglądać na obrażonego.

— Uważasz, że to jest błahe?

— No tak, w porównaniu z tym, o czym teraz mówimy, trzeba powiedzieć, że tak, na pewno jest to błahe, bez znaczenia.

— Muszę odpłacić ci pięknym za nadobne — zażartował Buck.

Chloe się roześmiała.

— Widziałam, że coś jest nie tak z moim tatą. Po kolacji on poszedł do pokoju, a my ile rozmawialiśmy, trzy minuty, zanim się rozeszliśmy?

— Myślę, że nawet mniej niż trzy minuty.

— Kiedy weszłam do naszego pokoju, on był już w łóżku. Powiedziała mu dobranoc, ale właściwie tylko po to, żeby się upewnić, że się nie gniewa. Drżałam na całym ciele, ale odwróciłam się, jeszcze nie gotowa na ten ostatni krok. Płakałam, bo widziałam, jak on bardzo mnie kocha, martwi się i troszczy o mnie.

— To chyba dlatego nie mogłem zasnąć — zauważył Buck.

— To w ogóle nie jest do mnie podobne. Nawet teraz, gdy jestem w tym, to znaczy podzielałam jego zdanie i myśli. Wiesz, o co mi chodzi?

Buck przytaknął.

— Przechodziłam w nocy dokładnie to samo, co ty.

— Zostałam przekonana, ale nadal walczę ze sobą. Z natury jestem intelektualistką. Mam wielu krytycznych przyjaciół, którym będę musiała wytłumaczyć, co się stało. Kto mi uwierzy? Na pewno pomyślałam, że straciłam rozum.

— Wierz mi, że doskonale cię rozumiem — powiedział Buck, zdumiony tak wieloma podobieństwami, między nimi.

— Byłam jak w pułapce — powiedziała. — Nie mogłam zrobić żadnego kroku. Próbowałam namówić tatę, żeby się trochę zrelaksował, dając mu do zrozumienia, że nie dystansuję się od niego, ale daję głowę, że widział, jak cierpię. Nie sądzę, żeby zdawał sobie sprawę, jak blisko byłam tego, w co i jak on tak mocno wierzy. Wsiadałam do samolotu zdecydowana wszystko to jakoś zakończyć i wybić sobie z głowy psychologiczne bzdury i ambiwalentne poglądy. Zaczęłam się zastanawiać, czy Bóg może odpowiedzieć na modlitwy, zanim staniesz się... hm, no wiesz, zanim tak naprawdę staniesz się...

— Nowo narodzonym chrześcijaninem — pomógł Buck.

— No, właśnie. Nie wiem, dlaczego to tak trudno wypowiedzieć. Może ktoś, kto wie lepiej ode mnie, mógłby mnie upewnić, ale pomodliłam się i jestem pewna, że Bóg mi odpowiedział. Powiedz mi, Buck, ale tak szczerze i zgodnie z twoim przekonaniem. Jeśli Bóg istnieje, a to wszystko jest prawdą, czy On nie chciałby, żebyśmy znali prawdę? Bóg sam sprawił, że łatwo można się o Nim dowiedzieć i wiele nauczyć i chyba nie chciałby, a może lepiej powiedzieć nie mógłby zignorować tak rozpaczliwej modlitwy, nie uważasz?

— Nie widzę powodu, dla którego nie miałby odpowiedzieć na taką modlitwę.

— Ja też tak myślę. Dlatego sądziłam, że to będzie dobra próba, a jeśli odpowie, to i ja nie będę miała odwrotu. Teraz jestem przekonana, że dał mi odpowiedź.

- I ja byłem tą odpowiedzią.
- Tak, ty byłeś tą odpowiedzią.
- Chloe, powiedz mi, o co się modliłaś?

— No cóż, sama treść modlitwy nie miała aż tak wielkiego znaczenia, dopóki nie została wysłuchana. Po prostu powiedziałam Bogu, że potrzebuję trochę więcej. Czułam się bardzo źle z tym, że wszystko, co dotychczas słyszałam i dowiedziałam się od mojego taty, nie wystarczyło mi. Modliłam się bardzo szczerze i powiedziałam Bogu, że byłabym wdzięczna, gdyby osobiście pokazał mi, że troszczy się o mnie i obchodzi Go mój los, i wie, przez co przechodzę, i pewnie sam też chciałby, żebym wiedziała, że nie jestem mu obca i mnie rozumie.

Buck czuł się bardzo dziwnie i gdyby teraz miał coś powiedzieć, z pewnością załamałby mu się głos, tak że nie byłby w stanie dokończyć zdania. Przycisnął rękę do ust, żeby się trochę opanować. Chloe przyglądała mu się uważnie.

— Uważasz, że ja byłem odpowiedzią na twoją modlitwę? — wykrztusił po chwili.

— Bez wątpienia. Widzisz, jak już powiedziałam, nawet bym nie wpadła na pomysł, żeby modlić się o to, byś był obok mnie w tym największym dniu w moim życiu. Nie byłam nawet pewna, czy kiedykolwiek znowu cię zobaczę. Ale wygląda na to, że sam Bóg wiedział lepiej ode mnie, że nie ma na świecie nikogo, kogo bym bardziej chciała mieć przy sobie w takim dniu.

Buck był poruszony do głębi, tak że brakowało mu słów. Przecież on też bardzo chciał ją zobaczyć. Gdyby tak nie było, z pewnością poleciałby z Hattie wcześniejszym samolotem albo wybrał jakikolwiek lot z kilkunastu innych połączeń między Nowym Jorkiem i Chicago. Spojrzał na nią uważnie.

— W takim razie, co zamierzasz teraz z tym zrobić, Chloe? Wygląda na to, że Bóg zrobił, co do Niego należało. Ty prosiłaś, a On dał ci odpowiedź. Wydaje mi się, że masz teraz jakieś zobowiązania wobec Niego?

— Nie mam wyboru — zgodziła się. — Nie myśl, że szukam wymówki, bo tak nie jest. Z tego, co wiem od Bruce'a Barnes'a i z ka-

sety proboszcza Billingsa oraz od mojego taty, nie musisz mieć kogoś, żeby poprowadził cię za rączkę do Boga. Nie musisz być nawet w kościele czy w jakimś innym religijnym miejscu, żeby się modlić. Jak wcześniej modliłam się o wyraźniejszy znak, tak samo teraz mogę się pomodlić i w tej sprawie.

— Rzeczywiście, pamiętam, że twój ojciec bardzo wyraźnie to wczoraj podkreślał.

— Chcesz się do mnie przyłączyć? — zapytała.

Buck się zawahał.

— Chloe, nie bierz tego do siebie, ale ja po prostu nie jestem jeszcze gotowy. To wszystko jest dla mnie zbyt świeże.

— Czego jeszcze potrzebujesz...? Och, Buck, przepraszam. Mówię tak, jak mój tata tamtego dnia, w którym został chrześcijaninem. Nie mógł się powstrzymać od przekonywania mnie, a ja zachowałam się tak okropnie. Doskonale cię rozumiem. Jeśli nie jesteś gotowy, to nie, i tyle.

— Nie chcę być popychany — powiedział Buck po chwili namysłu. — Jak do niedawna ty, czuję, że jestem na właściwej drodze, na progu. Jestem jednak bardzo ostrożny i chciałbym najpierw porozmawiać z tym Barnesem. Muszę ci jednak powiedzieć, że mam przeświadczenie, że moje wątpliwości, z pewnością zostaną skruszone, tak jak twoje.

— Wiesz co, Buck — powiedziała Chloe — obiecuję, że to już ostatnia rzecz, którą ci powiem w związku z całym tym zamieszaniem. Teraz myślę jednak podobnie jak mój tata tuż po swoim nawróceniu. Chcę, żebyś wiedział, że sytuacja jest dosyć napięta. Nie czekaj więc z decyzją zbyt długo, gdyż tak naprawdę nie pozostało wiele czasu i nigdy nie wiesz, co ci się może przytrafić w tym niespokojnym, zwariowanym świecie.

— Wiem, o czym mówisz — odparł Buck. — Lepiej, żebym teraz skorzystał ze swojej szansy w razie, gdyby ten samolot miał za chwilę runąć na ziemię. Zanim jednak podejmę taką decyzję, muszę najpierw porozmawiać z Barnesem, chociaż przyznaję, że jest wiele racji w tym, co mówisz.

Chloe odwróciła się i spojrzała przez ramię.

— Tam są dwa wolne siedzenia — powiedziała.

Zatrzymała przechodzącą stewardesse.

— Przepraszam, czy mogłabyś przekazać wiadomość mojemu ojcu?

— Naturalnie. Kapitanowi czy drugiemu kapitanowi?

— Kapitanowi. Powiedz mu, że jego córka ma dla niego nieprawdopodobnie dobrą wiadomość.

— Nieprawdopodobnie dobra wiadomość — powtórzyła stewardessa, odchodząc w kierunku kabiny pilotów.

Rayford siedział za sterami, gdy szefowa personelu pokładowego przekazała mu wiadomość od córki. Nie miał pojęcia, co to znaczy i był zaintrygowany, gdyż ostatnio Chloe nigdy nie zaczynała tematu pierwsza.

Poprosił drugiego kapitana, żeby przejął stery, sam zaś wyszedł z kabiny. Zaskoczył go widok Camerona Williamsa. Miał tylko nadzieję, że to nie on był przyczyną tej nieprawdopodobnie dobrej wiadomości od Chloe. *A może namyślił się i zgodnie z daną obietnicą chce się spotkać z Bruce'em Barnesem*, pomyślał Rayford z rosnącą nadzieją. Z drugiej strony wierzył, że Chloe nie oznajmi mu, że się zakochała w tym dziennikarzu od pierwszego wejrzenia.

Buck wyczytał niezadowolenie z oczu kapitana Rayforda Steele'a od pierwszej chwili. Nie mógł się doczekać, żeby mu powiedzieć, jaki jest prawdziwy cel jego podróży do Chicago. To, że siedział obok Chloe, było dodatkową premią, rodzajem bonusu. Rzucił okiem na kapitana i jego córkę, pogrążonych w rozmowie, po której pochylili głowy i modlili się. Buck zastanawiał się, czy są jakieś przepisy lotnicze zabraniające tego. Wiedział, że Rayford nie będzie mógł przebywać dłużej poza kabiną pilotów.

Po paru minutach Chloe stanęła w przejściu, a Rayford obok niej, obejmując ją i przytulając. Oboje wyglądali na bardzo poruszonych. Jakaś para w średnim wieku siedząca obok nich wychyliła się zza siedzeń, przyglądając się i unosząc brwi. Kapitan zauważył to, wyprostował się i ruszył do kabiny.

— To moja córka — powiedział z pewnym zażenowaniem, wskazując na Chloe, która śmiała się przez łzy. — Ona jest moją córką.

Dwoje ludzi spojrzało na siebie ze zdziwieniem, a kobieta powiedziała:

— No pewnie, a ja jestem królową Anglii:

Buck parsknął śmiechem.

## *Rozdział dwudziesty trzeci*

Buck zadzwonił do parafii pod wezwaniem Nowej Nadziei, żeby umówić się na wieczorne spotkanie z Bruce'em Barnesem, a resztę popołudnia spędził w redakcji chicagowskiego oddziału „Global Weekly”. Wieść o powołaniu go na nowego szefa rozniosła się bardzo szybko i został dość chłodno przyjęty przez byłą współpracownicę Lucindy Washington, młodą kobietę w za dużych, w stosunku do wzrostu butach. Zwróciła się do niego tonem nie znoszącym sprzeciwu:

— Plank niczego nie zmienił po zniknięciu Lucindy, czy więc mam rozumieć, że mogę zająć jej miejsce?

Jej postawa i zarozumiałstwo sprawiły, że Buck odpowiedział tylko:

— To jest raczej mało prawdopodobne, ale pierwsza się dowiesz, jaką decyzję podejmę. Na twoim miejscu nie śpieszyłbym się tak bardzo ze zmianą pokoju.

Pozostali pracownicy ciągle z żalem wspominali Lucindę i byli wdzięczni, że przyjechał. Steve Plank rzadko ich odwiedzał i nie był tam jeszcze po zniknięciu Lucindy.

Buck zainstalował się w dawnym pokoju Lucindy i rozmawiał z głównymi pracownikami oddziału w odstępach dwudziestominutowych. Poinformował każdego z nich o przygotowywaniu artykułu na temat zniknięć i poprosił o osobisty pogląd na ten temat. Ostatnie pytanie, które stawiał każdemu brzmiało: *Jak myślisz, gdzie jest teraz Lucinda Washington?* Więcej niż połowa prosiła o niecytowanie ich w artykule, ale wszyscy wyrazili przekonanie, że jeżeli niebo, o którym ona ciągle mówiła, naprawdę istnieje, teraz na pewno tam jest.



Pod koniec dnia otrzymał wiadomość, że sieć CNN nadaje bezpośrednio transmisję z gmachu ONZ i podaje sensacyjne wiadomości. Zaprosił wszystkich do wspólnego oglądania programu.

*W niezwykle dramatyczny sposób, po dokonaniu dogłębnego i wszechstronnego przeglądu organizacji, jakiego nikt nie pamięta — przekazywał raport telewizji — rumuński prezydent Nicolae Carpathia po prawie jednomyślnym głosowaniu został przedstawiony do objęcia przywództwa Narodów Zjednoczonych. Carpathia, który proponuje dokonanie wręcz rewolucyjnych zmian w działaniu oraz egzekwowaniu praw i obowiązków członków tej organizacji, jako człowiek skromny niemal odmówił przyjęcia stanowiska, ale w końcu po krótkiej debacie, dosłownie kilka minut temu został mianowany nowym sekretarzem generalnym Organizacji Narodów Zjednoczonych.*

*Dzisiejszego poranka jego rzecznik prasowy, Steve Plank, były redaktor naczelny „Global Weekly” zdementował wiadomość, jakoby Carpathia był zainteresowany tą niezwykle propozycją przedstawiając niemożliwe do przyjęcia zmiany, które według Rumuna są konieczne, jeśli chce się prawidłowo kierować tą ogólnoswiatową instytucją. Plank stwierdził, że prośba o przyjęcie stanowiska wpłynęła od samego byłego już w tej chwili Sekretarza Generalnego, Mwangati Ngumo z Botswany. Zapytaliśmy pana Ngumo o przyczyny nagiego ustąpienia.*

Twarz Ngumo pojawiła się na ekranie, miał opuszczone oczy i z trudem maskował uczucia.

*Od dawna zdawałem sobie sprawę, że nadwyrężona lojalność poszczególnych grup etnicznych oraz partii w moim kraju, a nawet w łonie samej ONZ, doprowadziła do tego, że moja skuteczność była coraz mniejsza. Musiałem dokonać wyboru i chcę powiedzieć, że przede wszystkim jestem Botswanańczykiem. Otwiera się przed nami możliwość wielkiej prosperity, a to z powodu niezwyklej uprzejmości i wielkoduszności naszych przyjaciół z Izraela. Teraz jest odpowiedni czas, a ten miody człowiek na zajmowanym uprzednio przeze mnie stanowisku jest bardziej niż pożądany. W pełni, i o ile to tylko będzie możliwe, będę z nim współpracował.*

— Proszę powiedzieć, czy gdyby pan Carpathia odrzucił to stanowisko, ustąpiłby pan?

Ngumo zawahał się.

— Tak — odpowiedział po chwili namysłu. — Na pewno postąpiłbym tak samo. Może jeszcze nie dzisiaj i może nie z takim przekonaniem i spokojem, z jakim obecnie patrzę w przyszłość ONZ, ale tak, na pewno tak bym postąpił.

Reporter sieci CNN kontynuował:

*W ciągu kilku godzin wszystkie kwestie, które Carpathia wymienił podczas porannej konferencji prasowej, zostały potraktowane jako oficjalne zagadnienia i poddane pod głosowanie, a później ratyfikowane przez Zgromadzenie Ogólne. W ciągu roku główna siedziba Organizacji Narodów Zjednoczonych zostanie przeniesiona do Nowego Babilonu. Rada Bezpieczeństwa także zostanie zreorganizowana w ciągu miesiąca i będzie liczyła dziesięciu stałych członków. Oczekuje się, że w poniedziałek rano zostanie zwołana konferencja prasowa, podczas której Carpathia zaproponuje kilka państw-przedstawicieli do Rady, których wcześniej osobiście wybrał.*

*Oczywiście nie ma żadnych gwarancji, że państwa będące członkami Rady Bezpieczeństwa dobrowolnie zgodzą się na zniszczenie dziewięćdziesięciu procent swojego potencjału militarnego i przekazanie pozostałych dziesięciu procent ONZ. Jednakże kilku ambasadatorów wyraziło przekonanie i poparcie dla „wyposażenia i uzbrojenia międzynarodowych oddziałów pokojowych z propozycją dozoru ich przez międzynarodowych działaczy pacyfistycznych oraz zdecydowanych zwolenników całkowitego rozbrojenia”. Kilka razy w ciągu dnia cytowano głośną już i śmiałą wypowiedź Carpathii: „ONZ nie potrzebuje militarnego oręża tak długo, jak długo mają je wszystkie inne państwa. Z utęsknieniem oczekuję dnia, kiedy nawet ONZ zostanie rozbrojona, gdyż nie będzie potrzeby ani konieczności posiadania broni, gdy wszyscy staniemy się jedno”.*

*Na dzisiejszym posiedzeniu ustanowiono siedmioletni pakt pokojowy pomiędzy wszystkimi państwami członkowskimi ONZ a Izraelem z zagwarantowaniem nienaruszalności jego granic. W zamian*

*za to Izrael zgodzi się na wybór przez ONZ państw, którym umożliwi dostęp do niezwykłego wynalazku pozwalającego na nawożenie pustyń i nieużytków rolnych, którego dokonał laureat nagrody Nobla, dr Chaim Rosenzweig, dzięki któremu izraelskie pustynie zakwitły, stawiając kraj wśród największych na świecie eksporterów żywności.*

Buck oglądał transmisję CNN pokazującą radość Rosenzweiga i jego całkowite poparcie, wręcz podziw dla Carpathii. Przekazano także informację o spotkaniu Carpathii z kilkoma organizacjami międzynarodowymi obradującymi akurat w Nowym Jorku. Zwrócił się on do nich z prośbą o poparcie jego inicjatyw rozbrojeniowych i pokojowych, mających zaowocować zapewnieniem bezpieczeństwa światu.

*Zachęciłem ich, żeby zaczęli działać jak najszybciej i zrobili wszystko, by się przyczynić do ustanowienia pokoju i braterstwa pomiędzy narodami świata tak, żeby doprowadzić do globalnej jedności.*

Jakiś reporter zapytał Carpathię, czy to jest plan stworzenia jednej ogólnoswiatowej religii oraz jednego ogólnoswiatowego rządu. Jego odpowiedź brzmiała:

*Myślę, że przywódcy religijni powinni bliżej ze sobą współpracować, aby nawzajem dodawać sobie otuchy i zachęcać się do współdziałania. Najgorsze przykłady niezgody i walk bratobójczych znajdujemy właśnie pomiędzy grupami społecznymi, które z dumą głoszą, że ich naczelną misją i podstawowym zadaniem, a często nawet hasłem, jest wzajemna miłość i poszanowanie praw i przekonań. Każdy, kto wyznaje czystą i prawdziwą religię, z radością powinien przyjąć i zaakceptować przedstawione dzisiaj możliwości. Czas nienawiści przeminął. Przyjaciele ludzkości, łączcie się.*

Dziennikarz CNN kontynuował:

*Wśród innych sensacji dzisiejszego dnia coraz głośniejszemu przewija się pogłoska o nacisku na promowanie jednego ogólnoswiatowego rządu. Carpathia został zapytany, czy zamierza stanąć na czele takiego rządu.*

Carpathia spojrział zwilgotniałymi oczami wprost w obiektyw kamery i stłumionym głosem odpowiedział:

*Jestem wzruszony, iż zostałem poproszony o objęcie tak zaszczytnego stanowiska, jak stanowisko sekretarza generalnego ONZ. Nie roszczę sobie żadnych innych pretensji. Chociaż sam pomysł ogólnoświatowego rządu ma dla mnie znaczenie, mogę tylko powiedzieć, że z pewnością znalazłoby się wielu lepszych kandydatów na to miejsce. Naturalnie poczytuję sobie za zaszczyt, iż obdarzono mnie zaufaniem, powierzając najwyższy na świecie urząd i dziś jeszcze nie widzę się w tej przywódczej roli, to jednak będę się starał wywiązać jak najlepiej z przyjętego obowiązku. Jednocześnie pragnę wyraźnie zaznaczyć, że jeżeli zaistnieje konieczność, aby stanąć na czele ogólnoświatowego rządu, na pewno wezmę to pod uwagę i nie będę się sprzeciwiał.*

Sprytnie, pomyślał Buck. Mąciło mu się w głowie od natłoku tych niezwykłych wiadomości. Po doniesieniach na temat przejścia do jednej ogólnoświatowej waluty, stosowania tylko jednego urzędowego języka, który będzie obowiązywać we wszystkich państwach, a także po wypowiedziach Carpathii o hojnym sponsorowaniu odbudowy świątyni Salomona w Jerozolimie, cała załoga chicagowskiego oddziału „Global Weekly” wyglądała, jakby miała zaraz zacząć wiwatować.

— Po raz pierwszy od wielu lat jestem optymistą, jeśli chodzi o nasz naród — powiedział jeden z dziennikarzy.

Inny dodał:

— Ja natomiast po raz pierwszy od czasu masowych zniknięć mam jakiś powód do radości. Z racji naszego zawodu powinniśmy być obiektywni, a nawet cyniczni, ale jak tu się powstrzymać od wyrażania swoich uczuć po tak dobrych wiadomościach? Na pewno upłyną lata, zanim to wszystko wejdzie w życie, ale w końcu przyjdzie taki dzień, w którym cały świat wstąpi na drogę pokoju. Dostyc już zbrojeń, koniec z wojnami, znikną granice oraz niekończące się dyskusje oparte na różnicach językowych i religijnych. To niesłychane! Kto mógł przypuszczać, że kiedykolwiek będziemy o tym rozmawiali?

Buck odebrał telefon od Steve'a Pianka.

— Oglądasz to, co się dzieje? — zapytał Steve.

— Któż by nie oglądał?

— Fantastyczne, co?

— Pranie mózgu!

— Słuchaj, Carpathia chce, żebyś tu był w poniedziałek rano.

— Po co?

— Chłopie, co to za pytanie? Polubił cię i tyle. Nie strać okazji. Przed konferencją prasową zamierza zorganizować spotkanie ze swoimi ludźmi oraz dziesięcioma delegatami wybranymi przez niego na stałych członków jego zreorganizowanej Rady Bezpieczeństwa.

— I chce, żebym był na tym spotkaniu?

— Zgadza się. Zgadnij, kto jest wśród tych dziesięciu?

— Skąd mam wiedzieć? Ty mi powiedz.

— No dobra. Jednego na pewno zgadniesz, to oczywiste.

— Stonagal.

— No, widzisz, jaki jesteś bystry?

— Todd-Cothran. Przypuszczam, że obejmie stanowisko nowego ambasadora Wielkiej Brytanii.

— Może nie całkiem — powiedział Steve. — Jest jeszcze jeden Brytyjczyk. Na razie nie wiem, kto to jest i nie znam jego nazwiska, ale też jest w tej międzynarodowej grupie finansistów Stonagala.

— Myślisz, że Carpathia powiedział Stonagalowi, żeby trzymał kogoś w zapasie, w razie gdyby chciał w jakiś sposób odsunąć Todd-Cothrana?

— Może i tak, chociaż nie sadzę, żeby podzielił się tą myślą ze Stonagalem.

— Carpathia by tego nie zrobił? Co ty mówisz!

— Przede wszystkim właśnie Carpathia by tego nie zrobił. On doskonale zdaje sobie sprawę, kto go wykreował. Ale jest przy tym szczerzy i otwarty, pamiętaj o tym. Nicolae nie zrobiłby nic nielegalnego, niezgodnego z prawem czy zbyt politycznego. Facet, posłuchaj, on jest czysty, rozumiesz? Czysty jak padający śnieg. No, to co mam mu powiedzieć, będziesz w poniedziałek?

— Widać z tego, że lepiej, abym był. Ilu przedstawiciele prasy będzie na tym wcześniejszym spotkaniu?

— Złap się czegoś mocno, zanim ci powiem. Ty masz być tylko ty, jako jedyny „prasowy”.

— Chyba żartujesz!

— Poważnie. Buck, spodobałeś mu się.

— Jaki on ma w tym interes?

— Żaden. O nic nie prosił, nawet o pochlebny reportaż z tego spotkania. Wie, że zachowasz się obiektywnie i fair wobec niego. Wszyscy inni akredytowani przedstawiciele otrzymają pełną informację później, podczas konferencji prasowej.

— Oczywiście, nie przepuszczę takiej okazji — powiedział Buck, obawiając się, że jego matowy głos zdradza brak zainteresowania.

— Co z tobą, Buck? Pomyśl, że bierzesz udział w tworzeniu historii świata! Zaczynamy na nowo organizować go w taki sposób, jakiego zawsze chcieliśmy. Mam nadzieję, że to się uda.

— A ja mam nadzieję, że ty masz rację.

— Wcale w to nie wątpię. Jest jeszcze coś, czego Carpathia chce od ciebie.

— A więc jednak ma w tym jakiś interes.

— Nie, nieprawda. Nie trzyma asa w rękawie, jeśli o to ci chodzi. Jeśli z jakiegoś powodu nie będziesz mógł tego opisać, nie ma sprawy, ktoś inny to zrobi, a ty mimo wszystko nadal jesteś mile widziany w poniedziałek. Carpathia chciałby jednak znowu spotkać się z tą twoją znajomą stewardessą.

— Steve, wiesz, że nikt nie nazywa ich już stewardessami, tylko personelem pokładowym?

— Nieważne. Przyprawdź ją ze sobą, jeśli będziesz mógł.

— Czemu sam jej o to nie poprosi? Czy ja jestem stręczycielem, czy co?

— Daj spokój, Buck. Wiesz, że tak nie jest. Samotny facet na najwyższym urzędzie. Przecież nie może się urwać na parę godzin i powiedzieć, że idzie szukać sobie dziewczyny. Zapoznałeś ich ze sobą, pamiętasz? Dlatego ci ufa.

*Bo musi, pomyślał Buck, skoro zaprosił mnie na swoje zamknięte spotkanie z zaufanymi i wybranymi przez siebie ludźmi.*

— Poproszę ją — powiedział. — Ale niczego nie obiecuj<sup>^</sup>.

— Nie zawieźdź mnie, kolego, liczę na ciebie.

Rayford był szczęśliwy jak nigdy, odkąd podjął decyzję o przyjęciu Chrystusa. Ale widzieć Chloe śmiejącą się i wręcz pochłaniającą Biblię Ireny, swobodnie rozmawiać z nią na wszystkie tematy, a w końcu modlić się razem z nią o przyjęcie Chrystusa to było więcej, niż wymarzył.

— Jedno musimy teraz zrobić jak najprędzej — powiedział. — Musimy kupić ci Biblię, bo tę porozrywasz na strzępy.

— Chciałabym się przyłączyć do tej parafialnej grupy biblijnej, do której należysz, żeby bardziej poznawać Pismo Święte i lepiej je zrozumieć. Chcę wiedzieć o wszystkim. Niepokoi mnie tylko to, że wszystko zmierza ku gorszemu.

Późnym popołudniem wpadli do biura Bruce'a, który potwierdził obawę Chloe.

— Jestem szczęśliwy, że teraz mogę przywitać w naszej chrześcijańskiej rodzinie was oboje — powiedział — ale, Chloe, obawiam się, że masz rację. Lud boży będzie przechodził teraz przez najtrudniejszy okres. Dotyczy to każdego bez wyjątku, kto opowie się za Chrystusem. Zastanawiałem się i modliłem, aby Bóg pokazał mi, co jako kościół powinniśmy robić, począwszy od dziś, aż do triumfalnego powrotu Chrystusa.

Chloe chciała wiedzieć wszystko na ten temat, więc Bruce pokazał jej w Biblii, dlaczego wierzy, iż Chrystus przyjdzie na ziemię po upływie siedmiu lat, gdy skończy się okres wielkiego ucisku.

— Większość chrześcijan fizycznie nie dożyje tego momentu, gdyż zostaną zamęczeni lub zginą w wyniku wojen, głodu, przeróżnych plag lub trzęsienia ziemi — powiedział.

Chloe zaśmiała się.

— Wiem, że to nie jest śmieszne — usprawiedliwiała się — ale może wcześniej powinnam się głębiej zastanowić i przemyśleć, zanim się pod tym podpisałam. Będzie ci trudno przekonać ludzi, żeby zrobili to samo, co ja, gdy powiesz im o tym wprost w broszurze, którą chcesz wydać.

Bruce skrzywił się.

— Tak, ale nie mam wyboru. Ludzie muszą wiedzieć, że będzie coraz gorzej i trudniej. Wszyscy minęliśmy się z pierwszym Pochwyceniem. Mogliśmy już być w niebie od tygodnia, gdybyśmy posłuchali naszych bliskich, którzy już tam są. Nie zgrywam bohatera i szczerze przyznaję, że nie mam zbyt wielkiej ochoty umierać śmiercią męczeńską, ale wolę już to niż być zgubiony i pójść na wieczne zatracenie. Naturalnie wszyscy umierają. Jest jednak pewna różnica, a mianowicie ta, że my, wierzący, mamy jeden sposób umierania więcej niż ludzie, żyjący bez Boga.

— Śmierć męczeńską.

— Zgadza się.

Rayford siedział, przysłuchując się, zdumiony tym, jak bardzo świat wokół niego zmienił się w ciągu tak krótkiego czasu. Przecież jeszcze niedawno był szanowanym pilotem u szczytu kariery zawodowej, brał życie za rogi nie przejmował się niczym za bardzo, można powiedzieć, że niczego mu nie brakowało. A teraz? Siedzi w biurze parafialnym, rozmawiając tajemniczo razem z córką i młodym, niedoświadczonym członkiem Rady Parafialnej i próbuje znaleźć sposób, jak przetrwać siedem lat ucisku, który według Biblii ma nastąpić zaraz po Pochwyceniu Kościoła.

— Mamy ścisłą, specjalną grupę biblijną — odezwał się Bruce — i jeśli jesteś szczerze przekonana i całkowicie pewna tego, co robisz, możesz do nas dołączyć, jeśli chcesz.

— A mam jakieś inne wyjście? — spytała. — Jeśli to, co mówisz, jest prawdą i faktycznie te rzeczy będą się działy, to nie ma miejsca ani czasu na zabawę.

— Masz rację. Myślałem jednak o jeszcze jednej grupie, już wewnątrz tej istniejącej. Rozglądam się za ludźmi ze szczególnymi uzdol-



nieniami organizacyjnymi, z wybitną inteligencją oraz niekonwencjonalnym myśleniem, którzy mogą się wzajemnie wspierać w szczegól->nie trudnym czasie. Nie chciałbym być źle zrozumiany, nie mam zamiaru podważać szczerości innych ludzi w naszym kościele, a w szczególności tych, którzy znajdują się w zarządzie i w naszej grupie biblijnej. Jednak niektórzy z nich są nieśmiali, inni starzy, a jeszcze inni niedołęźni. Modliłem się o ścisłe, zamknięte grono przywódców, którzy chcą zrobić coś więcej, niż tylko przetrwać ten okres.

— Do czego zmierzasz, Bruce? — zapytał Rayford. — Czy planujesz coś w rodzaju ofensywy?

— Tak. Coś w tym rodzaju. Myślę o spotykaniu się tutaj w celu głębszego i dokładniejszego studiowania Pisma Świętego, rozeznawaniu, co będzie się działo, tak by nie dać się nikomu zwieść. Uważam, że jesteśmy w pewnym sensie uprzywilejowani, modląc się za świadków rozchodzących się na cały świat z Izraela. Równie pochrzepiająca jest świadomość, że na całym świecie jest mnóstwo innych chrześcijan podobnych do nas. Ale powiedz szczerze, czy w obliczu tego, co się już dzieje i co jeszcze ma nastąpić, nie masz chęci skuteczniej zaangażować się w walkę?

Rayford był zaintrygowany, chociaż nie do końca przekonany. Chloe ekscytowała się bardziej.

— Coś, za co nie tylko można by umrzeć, ale raczej mieć powód i cel, aby żyć?

— Tak!

— Grupa, zespół, opozycja — kontynuowała Chloe.

— O tak. Podoba mi się „opozycja”. To mocne słowo.

Oczy Chloe rozjaśniły się. Rayford uwielbiał jej młodzieńczy zapał i entuzjazm dla sprawy, choć dopiero od kilku godzin miała w niej współudział.

— A jak według Biblii nazywa się ten czas, w którym przyszło nam żyć? — spytała.

— Ucisk — odpowiedział Bruce.

— W takim razie ta ścisła wewnętrzna grupa, coś na wzór „oddziałów specjalnych”, może tworzyć opozycję ucisku.

— Opozycja Ucisku — powtórzył Bruce, spoglądając na Rayforda, gdy wziął do ręki ołówek, by zapisać to na kartce. — Podoba mi się. Takie określenie nie pozostawia cienia wątpliwości, że to nie zabawa. Dla każdego, kto zdecyduje się na przyłączenie do takiej grupy, może się to okazać najbardziej niebezpiecznym wyzwaniem. Będziemy pilnie obserwowali, studiowali, przygotowywali się i otwarcie mówili o naszych odkryciach. Kiedy stanie się jasne, kto jest Antychrystem, bestią, czym jest fałszywa religia, wtedy będziemy musieli się temu przeciwstawić, głośno i odważnie nazywać te sprawy po imieniu, demaskować je. Może się zdarzyć, że staniemy się celem ataków. Być może chrześcijanie, nastawieni na ukrywanie się ze swoimi Bibliami i przekonaniem gdzieś głęboko w schronach i piwnicach, będą mogli uchronić się od wszystkiego z wyjątkiem trzęsienia ziemi i skutków wojny, ale my będziemy narażeni na wszystko, włącznie z torturami i utratą życia.

Przyjdzie taki czas, Chloe, że naśladowcy Antychrysta będą zmuszeni przyjąć na siebie znak bestii. Jest wiele różnych teorii na temat tego, jaki będzie ten znak, począwszy od tatuażu, aż do znaku na czole, który można odczytać tylko przy użyciu czytników laserowych. Naturalnie odmówimy przyjęcia tego znaku. W ten sposób sami się naznaczymy. Będziemy wystawieni na pośmiewisko, pogardę i lekceważenie większości, za to, że nie chcieliśmy przyjąć wyciągniętej ręki, aby udzielono nam ochrony. Nadal chcesz być częścią Opozycji Ucisku?

Rayford kiwnął głową i roześmiał się, słysząc zdecydowaną odpowiedź córki.

— Jakże mogłabym przepuścić coś takiego?

Dwie godziny po odejściu Rayforda i Chloe Buck Williams zatrzymał wynajęty samochód na parkingu parafii Nowej Nadziei w Mount Prospect w stanie Illinois. Siedząc w samochodzie, miał dziwne wrażenie, że było mu przeznaczone znaleźć się tutaj i od-

czuwał obawę. *Kim się okaże ów tajemniczy Bruce Barnes? Jak wygląda? Ciekawe, czy od razu rozpozna, że nie jestem głęboko wierzącym chrześcijaninem?*

Buck siedział w samochodzie, zgasiwszy silnik i oparłwszy głowę na dłoniach. Znał siebie i wiedział, że podchodzi zbyt analitycznie do wszystkiego, aby podejmować pochopne, nieprzemyślane decyzje. Nawet, kiedy wiele lat temu opuszczał dom, udając się na studia dziennikarskie, przygotowywał ten moment przez długi czas skrupulatnie, obliczając wszystkie za i przeciw. Wiadomość o jego wyjeździe spadła na rodzinę jak grom z jasnego nieba, ale dla młodego Camerona Williamsa była to głęboko przemyślana decyzja, część jego długofalowego planu.

W planie tym nie było jednak tego miejsca, w którym znalazł się dzisiaj. Prawie wszystko, co się wydarzyło, począwszy od nieszczęsnego lotu do Londynu, nie pasowało do jego precyzyjnego planu. Z reguły lubił zawłości życia, rozwiązywał je, idąc po nitce do kłębka, atakował z różnych stron, zawsze jednak wszystko musiało być logicznie poukładane. Niewytłumaczalne zjawisko burzy ognia nad Izraelem, w wyniku której wszystkie maszyny wroga zostały zniszczone, wybiło go trochę z tego utartego rytmu, ale nawet wtedy funkcjonował, opierając się na wypracowanych wcześniej logicznych regułach życia. Zrobił karierę, miał już pewną pozycję, odgrywał jakąś rolę społeczną. I chociaż w Izraelu znalazł się całkiem przypadkowo i zupełnie nieoczekiwanie, w ciągu jednej nocy stał się korespondentem wojennym, to jednak był przygotowany do tego przez dotychczasowe doświadczenie.

Nie był jednak przygotowany na masowe zniknięcia ani tragiczne zgony bliskich i przyjaciół. Nie był też przygotowany na nagły awans; tego także nie planował. Teraz artykuł z teoriami na temat zniknięć zaczynał go coraz mocniej palić, docierając do samego wnętrza duszy. Czuł się ogołcony, samotny, opuszczony przez wszystkich, a mimo to pomysł spotkania z Bruce'em Barnesem wyszedł od niego. Naturalnie, pilot wspomniał o tym, ale przecież Buck mógł to zlekceważyć bez żadnych wyrzutów sumienia. Zdawał sobie sprawę, że ta

podróż miała na celu nie tylko spędzenie kilku godzin z piękną Chloe, a z biurem w Chicago też się nie paliło. Wiedział, że przyleciał do Illinois z powodu tego spotkania. Gdy Buck wchodził do biura parafii, odczuwał ból w kościach i mięśniach.

Przyjemnie zaskoczyło go, że Bruce Barnes był na oko w tym samym wieku co on. Sprawiał wrażenie rozumnego i błyskotliwego, rozmawiając z powagą i tą samą pasją, którą wcześniej widział tylko u Rayforda Steele'a. Minęło mnóstwo czasu, odkąd ostatnio Buck był w kościele. Ten wyglądał całkiem przyzwoicie, a odnowione, z pietyzmem urządzone wnętrze sprawiało przyjemne wrażenie. Spotkał się z młodym przedstawicielem Rady Parafialnej w skromnej kancelarii.

— Twoi przyjaciele, państwo Steele, powiedzieli mi, że zadzwonisz, żeby skontaktować się ze mną — powiedział Bruce.

Buck był zaskoczony jego szczerością. W świecie, w którym się poruszał, z pewnością zatrzymałby tę informację dla siebie. Zauważył jednak, że rozmówca nie ma zamiaru, ani ochoty bawić się w chowanego. Nie było nic do ukrycia. W końcu Buck przyjechał tu po informacje, których Bruce chętnie mu udzielił.

— Chciałbym od razu powiedzieć — zaczął Bruce — że wiem o przygotowywanym przez ciebie artykule i szanuję twój dziennikarski talent. Jednak, szczerze mówiąc, nie chcę tracić czasu, by przedstawiać siebie w jak najlepszym świetle. Żyjemy w bardzo niebezpiecznym czasie. Mam bardzo jasną i ściśle określoną misję oraz odpowiedź dla ludzi autentycznie poszukujących prawdy. Jednak z góry zapowiadam, że nie będę przeproszać za to, co mam zamiar powiedzieć. Jeżeli zgodzisz się na takie warunki, możesz dysponować moim czasem.

— W takim razie, Sir — powiedział Buck niemal zbity z tropu brzmieniem własnego głosu, który zdradzał emocje — zgadzam się i całkowicie przyjmuję pańskie warunki. Nie mam pojęcia, ile czasu będę potrzebował, gdyż nie jestem tu służbowo. Może i byłoby dobrze przedstawić czytelnikom pańskie spojrzenie na tę sprawę, ale ludzie i tak dobrze wiedzą, co osoby takie jak pan myślą na takie

tematy, a szczególnie gdy przeczytają słowa innych, z którymi wcześniej rozmawiałem.

— Masz na myśli kapitana Steele'a?

Buck przytaknął.

— Przeszedłem tu prywatnie i muszę panu otwarcie wyznać, że nie do końca rozumiem, dlaczego tu jestem. Jeszcze niedawno bym nie pomyślał, żeby zaglądać w takie miejsce i nie przypuszczałbym, że coś interesującego mogłoby wynikać z naszej rozmowy. Wiem, że takie podejście nie jest profesjonalne, ale skoro stawia pan sprawę tak otwarcie, bez owijania w bawełnę, to i ja chcę być z panem szczerzy. Byłem pod wrażeniem rozmowy z kapitanem Steele'em. Wydaje mi się, że jest bardzo rozsądnym, trzeźwo myślącym człowiekiem i jest całkowicie przekonany o swej racji. Pan również wygląda na inteligentnego faceta i... i już sam nie wiem. Jestem tu, żeby słuchać, to wszystko, co mogę powiedzieć.

Bruce zaczął od opowiedzenia mu o tym, jak został wychowany w chrześcijańskim domu, później poszedł na studia teologiczne, ożenił się z głęboko wierzącą kobietą, został członkiem Rady Parafialnej, słowem opowiedział wszystko o sobie. Wyraźnie zaznaczył, że dokładnie znał naukę Chrystusa i drogę przebaczenia oraz jedności z Bogiem.

— Myślałem, że biorę z życia to, co najlepsze z obydwu światów. Ale Pismo Święte bardzo wyraźnie naucza, że nie można służyć dwóm panom. Nie da się posiadać obydwu rzeczy naraz. Doświadczyłem tej prawdy na własnej skórze w najstraszliwszy sposób - i opowiedział mu o utracie rodziny, przyjaciół, wszystkich, którzy byli mu bliscy. Nie mógł przy tym powstrzymać łez. - Nadal jest to dla mnie ciężkie przeżycie i nie potrafię przejść nad tym do porządku dziennego.

Później Bruce opisał bardzo dokładnie drogę zbawienia, podobnie, jak poprzedniego dnia zrobił to Rayford. Buck, zaczął się niecierpliwić. Musiał się trochę rozluźnić, więc przerwał Bruce'owi i spytał, czy chciałby wiedzieć trochę więcej o nim samym.

— Oczywiście — ucieszył się Bruce.

Buck opowiedział mu swoją historię, koncentrując się przy tym najbardziej na konflikcie pomiędzy Rosją i Izraelem czternaście miesięcy temu i w większości omawiając wydarzenia, które miały miejsce od tamtego czasu.

— Widzę — powiedział w końcu Bruce — że Bóg próbuje dotrzeć do pana przez te wszystkie wydarzenia.

— Prawdę mówiąc, już dotarł — odpowiedział Buck. — Muszę jednak stwierdzić, że nie dam się kupić tak łatwo. Wszystko, co pan mówi, jest niebywale ciekawe i brzmi bardziej wiarygodnie, niż kiedykolwiek wcześniej tu i tam słyszałem. Nie leży jednak w mojej naturze angażowanie się na całego w sprawy, o których dopiero co usłyszałem.

— Nikt nie ma zamiaru pana do czegokolwiek zmuszać ani namawiać, panie Williams, ale muszę panu przypomnieć, że żyjemy w bardzo niebezpiecznych czasach. Nikt nie wie, jak długo będziemy mogli się zastanawiać.

— Jakbym słyszał Chloe Steele.

— A ona mówi podobnie jak jej ojciec — stwierdził Bruce, śmiejąc się.

— On z kolei, jak przypuszczam, mówi tak jak pan. Teraz widzę, dlaczego wszyscy uważacie to za takie pilne, ale powiedziałem, co myślę.

— Rozumiem — wtrącił Bruce. — Jeśli ma pan jeszcze trochę czasu, proszę pozwolić, że powiem coś jeszcze. Widzę, że jest pan inteligentnym człowiekiem, powinien więc pan dowiedzieć się jak najwięcej, zanim opuści to miejsce.

Buck odetchnął z ulgą. Obawiał się, że Bruce zamierza przycisnąć go do muru, namawiając, aby modlił się razem z nim tą modlitwą, o której Rayford i Chloe mówili mu wcześniej. W zasadzie nie odrzucał takiej ewentualności i zgadzał się, że może któregoś dnia pomodli się w ten sposób, „przypieczętowując transakcję” pomiędzy nim a Bogiem i być może będzie to początek całkiem nowej relacji z Najwyższym. Byłoby to coś, o czym nigdy wcześniej nawet nie próbował pomyśleć. Teraz jednak absolutnie nie był na to przygotowany. A przynajmniej tak mu się zdawało. Poza tym nie chciał być popychany do tak ważnej życiowej decyzji.

— Nie muszę wracać do Nowego Jorku aż do poniedziałku rano — powiedział — mogę więc poświęcić na to tyle czasu, ile potrzeba.

— Panie Williams, nie chcę, żeby pan myślał, że jestem natrętny, ale ja też nie mam żadnych rodzinnych obowiązków. Jutro mam spotkanie z naszą grupą biblijną, a w niedzielę jest spotkanie modlitewne, na które bardzo serdecznie zapraszam. Ale mam jeszcze wystarczająco dużo sił i energii, żeby posiedzieć nawet do północy, jeśli to konieczne i jeśli pan tego potrzebuje-

— A zatem do dzieła]

Bruce spędził kilka następnych godzin, wyluszczać biblijne proroctwa dotyczące czasów ostatecznych- Buck dowiedział się wiele na temat Pochwycenia Kościoła oraz dwóch świadków w Jerozolimie. Ale kiedy przeszli do omawiania biblijnych zapowiedzi jednej, ogólnoświatowej religii, osoby zwod^iciela, samozwańczego wJay miłośnika pokoju, któr^ sprowadzi na- świat w<ayay <- bidzie przelewał niewinną krew, do Antychrysta, który podzieli świat na dziesięć królestw, krew w żyłach Bucka zaczęła mocniej pulsować. Nie odzywał się ani słowem, nie przerywał Bruce'owi dodatkowymi pytaniami czy własnymi spostrzeżeniami. Robił notatki tak szybko, jak tylko potrafił.

Jak Bruce miał odwagę powiedzieć, że ten skromny człowiek, jak Buck określał Nicolae Carpathię, może być akurat przepowiedzianym w Biblii Antychrystem? A może to jakiś nieprawdopodobny zbieg okoliczności? Ręce zaczęły mu się trząść, kiedy Bruce mówił o zapowiedzianym siedmioletnim pakcie pokojowym pomiędzy Antychrystem a Izraelem, o odbudowie świątyni w Jerozolimie, a nawet o wybraniu Babilonu na stolicę dla nowo urządzonego światowego porządku.

W końcu z nastaniem północy Buck został pokonany. W głębi, odczuwał wielki strach, obawę przed czymś, z czego powoli zaczynał zdawać sobie sprawę. Nie podejrzewał, aby Bruce Barnes miał jakiegokolwiek pojęcie o planach Nicolae Carpathii, zanim zostały one oficjalnie ogłoszone dzisiejszego popołudnia. Z jednej strony mógł w myślach zarzucać Bruce'owi, że w większości to, o czym mówił,

było oparte na wiadomościach CNN, które wcześniej Buck oglądał razem z pracownikami chicagowskiego biura, ale nawet jeśli tak, to wszystko, o czym mówił Bruce, było o wiele wcześniej zapowiedziane czarno na białym w Piśmie Świętym.

— Oglądałeś dzisiaj wiadomości? — z ciekawości przechodząc na bardziej bezpośrednią formę zwracania się, spytał Buck.

— Nie, dzisiaj nie miałem jeszcze okazji — odpowiedział Bruce. — Miałem spotkania z ludźmi non stop od przedpołudnia i ledwo zdążyłem coś przekąsić, zanim ty przyjechałeś.

Buck opowiedział mu o najnowszych wydarzeniach w ONZ. Bruce pobrał.

— To dlatego przez cały czas włączała się co chwilę automatyczna sekretarka — zauważył Bruce. — Wyłączyłem dzwonek telefonu, żeby nikt nam nie przeszkadzał w rozmowie i jedynym sygnałem, że ktoś próbował się dodzwonić, był stukot włączającego się urządzenia. Z pewnością wielu ludzi próbowało się dodzwonić, by o tym pogadać. Często tak robią. Rozmawiamy o tym, co Biblia zapowiadała tysiące lat wcześniej, i kiedy to się dzieje, dzwonią, żeby sprawdzić i upewnić się.

— Naprawdę myślisz, że Carpathia jest Antychrystem?

— A dlaczego miałbym myśleć inaczej?

— Ale ja naprawdę mu wierzę!

— Dlaczego nie? Większość z nas myślała podobnie. Starał się unikać rozgłosu, zainteresowany dobrobytem ludzi, skromny, nie szuka władzy ani przywództwa. Ale Antychryst jest zwodzicielem. Ma przy tym władzę kontrolowania ludzkich umysłów. Może sprawić, że ludzie będą przyjmowali kłamstwo jako prawdę.

Buck powiedział Bruce'owi o zaproszeniu go na zamknięte spotkanie przed mającą się odbyć konferencją prasową.

— Musisz tam iść — powiedział Bruce.

— Nie mogę nie iść — stwierdził Buck. — To jest życiowa szansa.

— Przepraszam — powiedział Bruce. — Nie mam prawa niczego ci nakazywać, ale muszę cię ostrzec i błagać, żebyś był ostrożny. Musisz wiedzieć o tym, co się będzie działo dalej. Antychryst będzie utwierdzał swoją władzę, coraz wyraźniej okazując potęgę.



— Już to robi.

— Tak, ale wygląda na to, jakby te wszystkie jego plany i zamierzenia miały być wprowadzane w życie przez długie miesiące albo i lata. Właśnie tu musi wykazać swoją moc i potęgę. Co powinien uczynić, żeby utwierdzić swoją pozycję tak, by nikt się mu nie przeciwstawił?

— Nie mam pojęcia.

— Bez wątpienia ma konkretne zamiary wobec ciebie. Dlatego chce, żebyś był na tym spotkaniu.

— Ja nie jestem zbyt dobry dla niego.

— Będziesz, jeśli będzie mógł cię kontrolować.

— Ale to mu się nie uda.

— Jeżeli jest tym, którego przepowiada Biblia, to niewielu będzie w stanie mu się oprzeć tak, aby nie miał nad nimi kontroli. Ostrzegam cię, żebyś nie szedł na to spotkanie bez specjalnej ochrony.

— Masz na myśli ochroniarza?

— Można tak powiedzieć. Jeśli Carpathia jest naprawdę Antychrystem, to jak odważysz się stanąć przeciwko niemu bez Boga?

Buck się załamał. Ta rozmowa była tak dziwaczna, że nawet go nie zdumiało, iż Bruce na wszelki sposób próbował go doprowadzić do decyzji oddania swego życia Bogu. Bez wątpienia było to logiczne i sensowne pytanie, mimo to Buck odczuwał wyraźną presję.

— Wiem, co masz na myśli — powiedział powoli — ale nie sadzę, żebym dał się zahipnotyzować lub coś w tym rodzaju.

— Buck, zrobisz to, co będziesz uważał za słuszne. Do niczego cię nie zmuszam, tylko błagam, żebyś uważał na siebie. Jeżeli pójdziesz na to spotkanie, nie mając Boga w swoim życiu, znajdziesz się w śmiertelnym niebezpieczeństwie duchowym.

Powiedział Buckowi o ostatniej rozmowie z Rayfordem i Chloe, i o tym, jak wspólnie postanowili zorganizować Opozycję Ucisku.

— Jest to grupa poważnych ludzi, którzy bez względu na konsekwencje odważnie wystąpią przeciwko Antychrystowi. Nie spodziewam się, żeby w krótkim czasie świat mógł się zorientować co do jego prawdziwej tożsamości.

Myśl o zorganizowaniu Opozycji Ucisku wzbudziła w Bucku żywe zainteresowanie. Powrócił myślami do swoich dziennikarskich początków, kiedy wierzył, że ma moc zmieniania świata na lepsze. Mógł wtedy siedzieć całą noc, rozmawiając i dyskutując z kolegami, skąd będą czerpali odwagę i siłę, by stanąć przeciwko uciskowi, nadużyciom we władzy w różnych państwach, przeciwko fanatyzmowi potężnych grup społecznych i politycznych, nie wspominając już o nietolerancji religijnej. Z upływem lat wiele utracił z tego pierwotnego, młodzieńczego zapału i werwy, i nadal je tracił, gdy zdobywał coraz to nowe trofea za swoją pracę dziennikarską. Nadal chciał tego wszystkiego, ale utracił pasję, która wiązała się z postawą „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Własny talent i sława zaczynały zasłaniać mu przyjaciół.

Jako idealście nie związanemu z żadną polityką podobał mu się taki pomysł, ale ugryzł się w język i postanowił, że nie zrobi nic w tym kierunku, dopóki nie stanie się świadomie wierzącym chrześcijaninem. Nie chciał, by wyglądało na to, że chce przyłączyć się do nich jak do jakiegoś ekskluzywnego klubu.

— Myślisz, że mógłbym przyjść jutro na to spotkanie z twoją grupą? — spytał Buck.

— Obawiam się, że nie — odparł Bruce. — Przypuszczam, że byłoby to dla ciebie interesujące i osobiście nawet wierzę, że mogłoby ci pomóc w dojściu do prawdy, ale niestety, będzie to spotkanie tylko wąskiej grupy ludzi, którzy mają różne przywódcze role w naszej wspólnocie. Z drugiej strony będziemy omawiali to, o czym przed chwilą rozmawialiśmy, więc dla ciebie byłaby to powtórka.

— A mogę przyjść na spotkanie modlitewne w niedzielę?

— Będziesz bardzo mile widziany i czuj się zaproszony, ale też muszę powiedzieć, że będzie na nim mowa o tym samym, o czym mówię w każdą niedzielę. Słyszałeś o tym od Rayforda Steele'a i ode mnie. Jeżeli wysłuchanie tego samego po raz kolejny pomoże ci w czymś, to przyjdź i sam się przekonaj, jak wielu ludzi myśli w podobny sposób, szukając prawdy i znajdując ją tylko w Bogu. Jeśli

będzie tak jak w poprzednie dwie niedziele, to prawdopodobnie będziesz miał tylko miejsce stojące.

Buck wstał i przeciągnął się. Było już po północy, więc zaczął przeproszać Bruce'a.

— Nie ma sprawy — zauważył Bruce. — Nie kładę się przed północą.

— Czy wiesz, gdzie mógłbym dostać Biblię?

— Pewnie, mam jedną dla ciebie — odpowiedział Bruce z uśmiechem.

Następnego dnia ściśle grono entuzjastycznie powitało nowego członka, Chloe Steele. Większość czasu spędzili śledząc najnowsze wydarzenia i próbując rozgryźć, czy rzeczywiście Nicolae Carpathia jest Antychrystem. Nikt z obecnych w to nie wątpił.

Bruce opowiedział o spotkaniu z Buckiem Williamsem, nie podając jego nazwiska ani powiązań z Rayfordem i Chloe. Chloe cicho płakała, gdy grupa modliła się o jego bezpieczeństwo i zbawienie duszy.

## *Rozdział dwudziesty czwarty*

Buck spędził sobotę, łatając dziury w zespole oddziału chicagowskiego. Próbował skoncentrować się nad artykułem dotyczącym teorii masowych zniknięć. Ciągle miał zamęt w głowie i nie mógł przestać myśleć o Carpathii ani o tym, jak przedstawić w swoim artykule fakt, że człowiek ten idealnie pasuje do biblijnego proctwa. Na szczęście mógł poczekać z pisaniem tego artykułu i zrobić to po wielkim dniu, po poniedziałku.

Okolo południa zadzwonił do Steve'a Pianka do hotelu Plaza w Nowym Jorku. — Spotkamy się w poniedziałek rano — powiedział — ale chcę, żebyś wiedział, że nie zaproszę Hattie Durham.

— Dlaczego? Przecież to taka mała prośba, nie proszę cię o nic wielkiego, jak przyjaciel przyjaciele.

— Mam to zrobić dla ciebie?

— Dla Nicka.

— O, to teraz jest już dla ciebie Nick? No cóż, nie mamy ze sobą aż tak wiele wspólnego, a poza tym nie mam zwyczaju sprowadzać pań do towarzystwa, nawet swoim przyjaciółom.

— Nie zrobisz tego nawet dla mnie?

— Steve, gdybym wiedział, że będziesz ją traktował z szacunkiem, to pewnie dla ciebie bym to zrobił.

— Naprawdę nie zrobisz tego dla Carpathii?

— Nie. Czy teraz odwołasz jego zaproszenie dla mnie na poniedziałek rano?

— Naturalnie, że nie! Po prostu nic mu nie powiem.

— No to jak mu wytłumaczysz jej nieobecność?

— Sam do niej zadzwonię i ją zaproszę, ty świętoszku.

Buck nie powiedział, że może przecież ostrzec Hattie, żeby nie jechała na to spotkanie. Zapytał Steve'a, czy mógłby zaaranżować dla niego jeszcze jeden wywiad z Carpathią, zanim przystąpi do pisanania artykułu o nim.

— Zobaczą, co będę mógł dla ciebie zrobić, ale to nie fair — nie chcesz mu wyświadczyć małej przysługi, a jednocześnie prosisz o jeszcze jedno spotkanie.

— Przecież sam mówiłeś, że mnie polubił. Wiesz, że mam sporo pracy, a on sam tego potrzebuje.

— Jeśli oglądałeś wczoraj telewizję, to chyba zauważyłeś, że on niczego nie potrzebuje. To my go potrzebujemy.

— Naprawdę? Powiedz mi, czy zapisałeś się do jakiejś szkoły, która łączy twojego bohatera z czasami ostatecznymi opisanymi w Biblii?

Steve Plank nic nie odpowiedział.

— Steve, jesteś tam?

— Tak, słucham.

— Rzeczywiście? A może spotkałeś się z kimś, kto **uważa, że** pasuje on do jednego z nikczemników z Apokalipsy?

Steve nadal milczał.

— Halo, Steve.

— Tak, jestem i słucham cię.

— No, przestań, stary kumplu. Jesteś teraz jego rzecznikiem prasowym, więc wiesz o nim wszystko. Powiedz mi, jak on odpowie na takie pytania, jeśli mu je zadam?

Steve nie odzywał się.

— Steve, pracuję nad tym, co naprawdę wydarzyło się w związku z masowymi zniknięciami ludzi i sam powiedziałeś, że doprowadzi mnie to do różnych religii. Czy do tej pory nikt nie dokonał jeszcze porównania tego człowieka z opisami z Pisma Świętego?

Tym razem, kiedy Steve znów nie odpowiedział, Buck spojrzął na zegarek i postanowił czekać, aż się odezwie. Po około dwudziestu sekundach przytłaczającej ciszy Steve przemówił ledwie słyszalnym głosem.

— Buck, mam dla ciebie tylko jedną odpowiedź; składająca się z dwóch słów. Jesteś gotowy?

— Tak.

— Staten Island!

— Czy chcesz mi przez to powiedzieć, że...?

— Proszę, Buck, nie używaj żadnych nazwisk! Nigdy nie wiesz, czy ktoś nie podsłuchuje naszej rozmowy.

— Grozisz mi więc, że...?

— Ja ci nie grożę, tylko cię ostrzegam. Pozwól, że ujmę to w ten sposób, że cię przestrzegłem.

— A ty pozwól przypomnieć sobie, że ja z kolei nigdy nie przestaję węszyć. Chyba pamiętasz, jaką wieki temu, kiedy jeszcze pracowaliśmy razem, miałeś o mnie opinię, że jestem najtwardszym i najzuchwalszym psem gończym, jakiego posyłałeś gdziekolwiek na reportaż i zawsze dobrze wywiązywałem się z powierzonych zadań i nigdy cię nie zawiodłem?

— Tylko tym razem węszysz w nieodpowiednim miejscu, Buck.

— W takim razie zapytam o coś jeszcze.

— Tylko, proszę, bądź ostrożny.

— Chcesz porozmawiać ze mną z innego numeru?

— Nie, Buck, tylko proszę, żebyś uważał na to, co mówisz i ja też będę uważał, dobra?

Buck zaczął błyskawicznie pisać w żółtym notatniku.

— W porządku — powiedział, zapisując *Carpathia* albo *Stonagal odpowiedzialny za śmierć Erica Millera*? — Proszę, odpowiedz mi: jeśli uważasz, że powinienem trzymać się z dala od promu, jest tak z powodu faceta za sterem, czy raczej z powodu tego drugiego, który zaopatruje pierwszego w paliwo?

— Tego drugiego — powiedział Steve tym razem bez wahania.

Buck zakreślił Stonagala.

— W takim razie chcesz przez to powiedzieć, że ten za kołem sterowym nawet nie wie, co robi dostawca paliwa w jego imieniu?

— Zgadza się.

— Więc jeśli ktoś zbyt blisko podejdzie do pilota, natychmiast uzyska ochronę, nawet o tym nie wiedząc?

— Prawda.

— A co, jeśli się dowie?

— Wtedy się z nim rozprawi.

— Czy tego mam się wkrótce spodziewać?

— Tego nie mogę ci niestety ujawnić.

— Może mi w takim razie powiesz, dla kogo naprawdę pracujesz?

— Pracuję dla tego, o którym wiesz, że pracuję dla niego.

Co to miało oznaczać? Carpathia czy Stonagal? Jak może się dowiedzieć tego od Steve'a, by biorąc pod uwagę możliwość podsłuchu nikt nie się dowiedział, o co chodzi w tej tajemniczej rozmowie?

— Pracujesz dla europejskiego biznesmena?

— Oczywiście!

Buck wrócił do punktu wyjścia. Przecież to może być zarówno Carpathia, jak i Stonagal.

— Naprawdę? — zapytał, spodziewając się usłyszeć coś więcej.

— Mój szef porusza góry, nie wiedziałeś o tym? — powiedział Steve.

— O, z pewnością — odparł Buck, zakreślając tym razem Carpathię. — Pewnie będzie ci przyjemnie wobec tego wszystkiego, co się będzie działo w najbliższych dniach.

— Też tak myślę.

Tym razem Buck napisał na kartce: *Carpathia. Czasy ostateczne. Antychryst?*

— Chcesz mi wyraźnie powiedzieć, że ten drugi temat, który wcześniej poruszyłem, jest bardzo niebezpieczny, ale też wręcz śmierdzi jak pomyje?

— Prawie jak gnojowisko .

— I nawet nie powinienem poruszać tego tematu, gdy będę z nim sam na sam, nawet jako dziennikarz, którego zadaniem jest napisać wyczerpujący artykuł zawierający wszystkie możliwe dane, włącznie z trudnymi pytaniami?

— Gdybyś miał wspomnieć mi o czymś takim, odradzałbym ci nawet przeprowadzanie wywiadu, nie mówiąc już o pisaniu tego artykułu.

— Chłopie, widzę, że nie zajęło ci wiele czasu, by wpasować się w środowisko.

Po spotkaniu ścisłej grupy Rayford Steele rozmawiał prywatnie z Bruce'em i dowiedział się więcej szczegółów na temat jego spotkania z Buckiem.

— Nie mogę ci powiedzieć o prywatnych sprawach — powiedział Bruce — tylko jeden szczegół pozostaje nie wyjaśniony, bym był absolutnie przekonany, że Carpathia jest Antychrystem. Nie mogę zlokalizować geograficznie jego pochodzenia. Prawie każdy biblista specjalizujący się w odczytywaniu proroctw dotyczących czasów ostatecznych - osobiście ufam ich wiedzy biblijnej - uważa, że Antychryst będzie pochodził z państw tzw. Europy Zachodniej, może z Grecji, Włoch albo z Turcji.

Rayford nie wiedział, co z tym zrobić.

— Zauważyłeś, że Carpathia nie wygląda za bardzo na Rumuna. Czy Rumuni nie mają przeważnie ciemnej cery?

— Rzeczywiście. Wiesz co, zadzwonię do Williama. Podał mi wczoraj swój numer. Ciekaw jestem, jak dobrze go zna. — Bruce wybrał numer i włączył przycisk intercomu. Gdy Buck się odezwał, Bruce poinformował go, że Rayford Steele jest razem z nim w biurze.

— Cześć kapitanie — ucieszył się Buck.

— Po spotkaniu ścisłej grupy zostaliśmy jeszcze na chwilę z Rayfordem, by dokładniej przestudiować niektóre fakty — powiedział Bruce otwarcie — ale nie możemy ruszyć dalej. — Powiedział mu, co odkryli i poprosił o więcej szczegółów na temat Carpathii.

— No cóż, on pochodzi z dużego miasta uniwersyteckiego, które się nazywa Cluj i...



— Zaraz, zaraz. Ze względu na nazwisko myślałem, że pochodzi z rejonu górskiego.

— Nazwisko? — zdziwił się Buck, machinalnie bazgrołąc coś w swoim notatniku.

— No wiesz, nazywa się tak samo jak góry, Karpaty. A może to nazwisko znaczy tam coś jeszcze?

Buck aż się wyprostował, gdy w tej chwili uderzyła go pewna myśl . Steve próbował przekazać mu, że pracuje dla Stonagala, a nie Carpathii. I oczywiście wszyscy delegaci ONZ czuli się zobowiązani w stosunku do Stonagala, który przedstawił im Carpathię. A może to Stonagal jest tym Antychrystem . Gdzie się zaczyna ten rodowód?

— No, cóż — powiedział Buck, próbując się skoncentrować, — może i ma to samo nazwisko co pasmo górskie, ale z tego, co wiem, urodził się w Cluj, a jego przodkowie byli Rzymianami. Dlatego ma blond włosy i niebieskie oczy.

Bruce podziękował mu za te ważne informacje i jeszcze raz zapytał, czy spotkają się jutro rano w kościele. Rayford zauważył w głosie Bucka pewne roztertowanie i niepewność.

— Nie zdecydowałem jeszcze, czy przyjdę — odparł.

*No pewnie, pomyślał Buck odkładając słuchawkę. Akurat tam pójdę. Jeszcze czego .* Prawdopodobnie Bruce chciał go ostatecznie nakłonić do podjęcia decyzji, zanim wróci do Nowego Jorku i napisze historię, która może mu zniszczyć karierę, albo i nawet zagrozić życiu. Nie wiedział jeszcze wszystkiego, ale nigdy nie wycofywał się z powierzonego mu zadania i tym razem też nie miał takiego zamiaru. Zadzwoił do Hattie Durham.

— Hattie — powiedział do słuchawki — dostaniesz telefon z zaproszeniem do Nowego Jorku.

— Tak, już go dostałam.

— Chcieli mnie prosić, żebym sam zadzwonił do ciebie, ale powiedziałem, żeby sami to zrobili.

— No i zrobili tak, jak powiedziałeś.

— Chcą, żebyś znowu spotkała się z Carpathią i towarzyszyła mu podczas spotkań politycznych w następnym tygodniu, jeśli oczywiście masz czas.

— Tak, wiem i nie jestem zajęta, więc będę tam.

— Radzę ci, żebyś tam nie jechała.

Roześmiała się.

— Co takiego? Chcesz, żebym zrezygnowała z randki z najpotężniejszym człowiekiem na świecie? To w ogóle nie wchodzi w rachubę.

— Ja tylko ci radzę jak przyjaciel.

— Ale dlaczego?

— Dlatego, że nie wyglądasz mi na tego rodzaju dziewczynę.

— Po pierwsze nie jestem żadną dziewczyną. Mam prawie tyle samo lat, co ty i nie potrzebuję samozwańczego rodzica czy opiekuna, który by prowadził mnie za rączkę i pouczał, co mam robić.

— Myślałem, że rozmawiamy jak przyjaciele.

— Ty nie jesteś moim przyjacielem, Buck. Widać było, że nawet mnie nie lubisz, gdy spotkaliśmy się ostatnio w Nowym Jorku. Próbowалаm podrzucić cię małej dziewczynce Rayforda Steele'a, ale nie jestem pewna, czy miałeś na tyle rozumu, by to zauważyć.

— Hattie, może ja cię dobrze nie znam. Ale muszę ci powiedzieć, że nie wyglądasz na kogoś, kto pozwoliłby sobie na związek z obcym człowiekiem.

— Wiesz, co ci powiem? To ty się zachowujesz jak zupełnie obcy człowiek, próbując mi mówić, co mam robić.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że jednak jesteś tego typu osobą? Nie przekazując ci tego zaproszenia, zabrałbym ci coś, co sprawiłoby ci wiele przyjemności?

— Lepiej, żebyś naprawdę tak uważał.

— Nie mogę ci tego wybić z głowy?

— Nawet nie próbuj — powiedziała i odłożyła słuchawkę. Buck potrząsnął głową z niedowierzaniem i głębiej usiadł w fotelu, trzymając przed sobą żółty notatnik. *Mój szef porusza góry,*

*powiedział Steve. Carpathia jest jakby górą. Stonagal tym, który jednocześnie przenosi górę i stoi za nią. Steve uważa, że mocno tkwi w tym wszystkim. Nie tylko jest rzecznikiem prasowym człowieka, którego Hattie Durham słusznie określiła jako najpotężniejszego na świecie, ale jest także związany z człowiekiem, który za nim stoi.*

Buck zastanawiał się, co Rayford i Chloe powiedzieliby na zaproszenie Hattie do Nowego Jorku, żeby towarzyszyła Carpathii przez kilka następnych dni. Ale w końcu stwierdził, że nie jest to ani jego, ani ich sprawa.

Rayford i Chloe wypatrywali Bucka do ostatniej chwili następnego ranka, ale w końcu nie mogli dłużej zajmować dla niego miejsca, gdy wszystkie wolne krzesła w kaplicy i na chórze zappełniły się. Kiedy Bruce rozpoczął spotkanie, Chloe szturchnęła ojca, wskazując głową za okno, na chodnik przed głównym wejściem. Tam, w małej grupie ludzi zebranych wokół wystawionego głośnika, stał Buck. Rayford uniósł kciuk i szepnął jej do ucha:

— Ciekawe, o co modliłaś się dzisiaj rano?

Bruce włączył kasetę video z nagraniem przesłania proboszcza, kolejny raz opowiedział zebranyom swoją historię, wspominał krótko o wypełniających się prorocत्वach, zaprosił ludzi do przyjęcia Chrystusa, po czym pozwolił podejść do mikrofonu każdemu, kto chciał się czymś podzielić z innymi. Podobnie, jak w poprzednie dwie niedziele ludzie ruszyli do przodu i stali w kolejce jeszcze długo po południu, czekając na to, by opowiedzieć, co przeżywają, gdy wreszcie naprawdę oddali życie Chrystusowi.

Chloe, chciała być wśród pierwszych, którzy opowiedzą o sobie, tak jak to zrobił dwie niedziele wcześniej Rayford, ale zanim wydoszła się z ostatniego rzędu krzesel i dołączyła do tłumu w przejściu, była prawie ostatnia. W końcu opowiedziała swoją historię oraz o znaku, o który prosiła Boga: by dał jej przyjaciela, a ten usiadł obok niej w samolocie w drodze powrotnej do domu. Ray-

ford wiedział, że składając świadectwo nie mogła widzieć Bucka, ale i on też nie mógł jej dojrzeć.

Gdy spotkanie dobiegło końca, Rayford i Chloe wybiegli z kościoła, szukając Bucka, ale nie było po nim śladu. Pojechali na obiad do restauracji razem z Bruce i gdy w końcu dotarli do domu, Chloe znalazła w drzwiach kartkę od Bucka.

*Nie myśi, że nie chciałem się pożegnać, chociaż nie zrobiłem tego osobiście. Przyjadę tu służbowo do naszej redakcji, może wtedy się spotkamy, jeśli zechcesz. Muszę teraz przemyśleć tak wiele rzeczy, że aż głowa boli i jak się z pewnością domyślasz, nie chcę, żeby moje zainteresowanie tobą stanęło na drodze tych przemyśleń. A może się tak zdarzyć. Jesteś wspaniałą osobą, Chloe, i byłem do łez poruszony historią, którą opowiedziałaś dzisiaj rano w kościele. Opowiadałaś mi o tym wcześniej, ale słyszeć cię w tamtym miejscu i w takich okolicznościach było dla mnie po prostu czymś pięknym. Czy mogłabyś zrobić dla mnie coś, o co jeszcze nikogo nigdy w życiu nie prosiłem? Czy możesz modlić się za mnie? Niedługo zadzwonię do ciebie albo spotkamy się osobiście. Obiecuję. Buck.*

W drodze powrotnej do domu Buck czuł się tak samotny, jak nigdy przedtem. Siedział w przepelnionym samolocie, w którym nikogo nie znał. Przeczytał kilka fragmentów z Pisma Świętego, które podarował mu Bruce, zaznaczając, nad czym powinien się skupić i zastanowić. Kobieta w średnim wieku siedząca obok zainteresowała się tym, co czyta, zadając kilka pytań. Jednak z odpowiedzi Bucka szybko się zorientowała, że nie jest w nastroju do prowadzenia towarzyskiej rozmowy. Nie chciał być niegrzeczny, ale też nie miał zamiaru wprowadzać nikogo w błąd swoim brakiem wiedzy i rozumienia Biblii.

Sen także nie przyniósł mu spodziewanej ulgi. Buck postanowił nie panikować i nie dać się niczym omamić. Rano miał wziąć udział w spotkaniu, przed którym go ostrzegano. Bruce Barnes był głębo-

ko przekonany, że skoro Nicolae Carpathia jest zapowiadany Antychrystem, Buck może się znaleźć w ogromnym niebezpieczeństwie, wystawiając się na działanie parapsychologiczne, pranie mózgu, hipnozę lub coś jeszcze gorszego.

Kiedy zmęczony po nieprzespanej nocy brał prysznic i ubierał się, zauważył, że przeszedł długą drogę od trzymania się z dala od religii i uznawania jej za skrajny punkt widzenia wielu rzeczy. Nie uważał już za tumanów ludzi twierdzących, iż ich bliscy i znajomi zostali zabrani do nieba i coraz bardziej wierzył, że to, co się dzieje, było już przed wiekami zapowiedziane. Zauważył i sam przyznał się przed sobą, że nie poddaje już w wątpliwość faktów i prorocत्व z Pisma Świętego. Nie było absolutnie żadnego innego wyjaśnienia pojawienia się dwóch mężczyzn-świadków w Jerozolimie. Nawet zjawisko masowych zniknięć trudno było tłumaczyć bez Biblii.

A już najbardziej oczywiste było pojawienie się i działanie *Antychrysta, który zwiedzie wielu...* Buck nie zastanawiał się nawet, czy to jest tylko wyrażenie literackie, czy fakt, który miał się wydarzyć. Dał się temu przekonać, gdyż widział i był świadkiem tego, co się dzieje. Nie dawało mu spokoju pytanie, kto jest Antychrystem: Carpathia, czy Stonagal. Buck nadal przychyłał się do myśli, że to Stonagal.

Zarzucił swoją nieodłączną torbę na ramię, kusiło go, aby zabrać pistolet z nocnej szafki przy łóżku, ale wiedział, że nie przeszedłby przez wykrywacze metalu. Z drugiej strony uważał, że i tak nie jest to ochrona, jakiej naprawdę potrzebuje. W tej chwili najbardziej potrzebował trzeźwości umysłu i ochrony duszy.

Przez całą drogę do gmachu ONZ Buck walczył ze sobą. *Czy ja się modłę?* pytał sam siebie. *Czy pomodliłem się tą właściwą, konkretną modlitwą, o której wspominało wczoraj rano tak wielu ludzi w kościele? Czy taka modlitwa da mi skuteczną ochronę przed jakimiś szamańskimi, czarnoksięskimi praktykami?* Doszedł do przekonania, że stanie się prawdziwie wierzącym człowiekiem nie ma na celu ziemskiego szczęścia czy powodzenia. To byłoby zbyt tanie, nieatrakcyjne. Z pewnością Bóg nie działa w taki sposób. Jeśli wierzyć Bruce'owi Barnesowi, teraz - w okresie po Pochwyceniu nie ma już spe-

cialnej ochrony nad wierzącymi, tak samo zresztą jak, i nad wszystkimi innymi. Ogromna liczba ludzi na całym świecie umrze w ciągu najbliższych siedmiu lat, bez względu na to, czy są chrześcijanami, czy nie. Powstaje jednak pytanie, gdzie się znajdą po śmierci.

Zrozumiał, iż jeśli naprawdę uwierzy, to jego dotychczasowa grzeszna przeszłość zostanie mu całkowicie przebaczona, a nade wszystko stanie się człowiekiem prawdziwie należącym do Boga ze wszystkimi tego konsekwencjami. Tylko i wyłącznie na tej podstawie mógł zawrzeć pokój z Bogiem. Bóg zaczynał się stawać dla niego kimś więcej niż tylko nieznaną siłą czyniącą cuda, jak to miało miejsce w Izraelu. Coraz lepiej rozumiał, że skoro Bóg stworzył ludzi, to na pewno chciał się z nimi w jakiś sposób komunikować, mieć z nimi bliższe relacje.

Buck wszedł do gmachu ONZ, przeciskając się przez horde reporterów, którzy już zaczęli się zbierać na konferencję prasową. Luksusowe limuzyny podwoziły VIP-ów, a tłumy ludzi czekały za kordonem policji. Buck zauważył w tłumie nieopodal drzwi Stan-  
tona Baileya.

— Co pan tu robi? — spytał w pośpiechu trochę nieuprzejmie, uświadamiając sobie jednocześnie, że przez pięć lat pracy w „Global Weekly” nigdy nie widział Baileya poza gmachem redakcji.

— Chcę skorzystać z przysługującego mi prawa dziennikarskiego i też być na tej historycznej konferencji prasowej. Jestem jednak dumny, że wybrali właśnie ciebie na to spotkanie poprzedzające konferencję. Musisz wszystko dokładnie zapamiętać. Dzięki, Buck, za wstępny szkic na temat teorii masowych zniknięć. Na pewno masz jeszcze mnóstwo roboty przy tym artykule, ale początki są obiecujące. Jestem przekonany, że będzie to kolejny superartykuł.

— Dziękuję — odparł Buck, a Bailey podniósł kciuk do góry. Buck uświadomił sobie, że gdyby to się wydarzyło miesiąc wcześniej, pewnie wyśmiałyby starego właściciela gazety, a może nawet powiedział kolegom po fachu, dla jakiego idioty pracuje. Teraz jednak był ogromnie wdzięczny za te słowa otuchy. Bailey nie miał nawet pojęcia, przez co Buck przechodzi.

Chloe Steele powiedziała ojcu o swoich planach związanych z podjęciem nauki w miejscowym college'u. Pójdzie tam w poniedziałek, żeby otrzymać dokładne informacje.

— Chciałabym też umówić się z Hattie na lunch — powiedziała.

— Myślałem, że nie zależy ci na niej — zauważył Rayford.

— Racja — odparła Chloe — ale to nie może być wymówką. Przecież nawet nie wie, co się ze mną stało. W ogóle nie odbiera telefonów. Czy wiesz, jaki jest jej grafik lotów?

— Nie, ale dzięki, że przypomniałaś. Muszę sprawdzić swój rozkład lotów na najbliższy tydzień. Przy okazji zobaczę, czy Hattie dzisiaj gdzieś leci.

Rayford dowiedział się, że Hattie Durham nie tylko dziś nie leci, ale również poprosiła o bezpłatny urlop miesięczny.

— To dziwne — zwrócił się do Chloe. — A może ma jakiś problem rodzinny i musiała pojechać na Zachód?

— Może po prostu wzięła sobie wolne, żeby jeszcze raz na spokojnie wszystko przemyśleć — odpowiedziała Chloe. — Zadzwonię do niej później z miasta. A co ty dzisiaj robisz, tato?

— Obiecałem Bruce'owi, że przyjadę do niego i razem obejrzymy konferencję prasową Carpathii, na której ma też być Buck.

— O której godzinie?

— Chyba o dziesiątej naszego czasu.

— Jeśli nie uda mi się umówić z Hattie na lunch, to może i ja się do was przyłączę.

— Tak czy inaczej, zadzwoń do nas, kochanie, będziemy czekali na jakąś wiadomość od ciebie, dobrze?

Akredytacja prasowa Bucka czekała na niego w punkcie informacyjnym w hallu gmachu ONZ. Został skierowany do prywatnej sali konferencyjnej pomiędzy rzędami gabinetów, do któ-

rych Carpathia już się wprowadził. Buck był co najmniej dwadzieścia minut wcześniej, ale natychmiast po wyjściu z windy poczuł się dziwnie samotny i zagubiony w tłumie. Nie zauważył nikogo znajomego, gdy szedł dłuższą chwilę wzdłuż korytarza ze szkła i stali prowadzącego do pomieszczenia, gdzie już był Steve, dziesięciu wyznaczonych ambasadorów państw stałych członków zreorganizowanej Rady Bezpieczeństwa, kilku dygnitarzy i doradców nowego sekretarza generalnego (włącznie z Rosenzweigiem, Stonagalem i paroma innymi członkami jego międzynarodowego klanu finansistów), no i oczywiście Carpathia we własnej osobie.

Buck był zazwyczaj energiczny i pełen zapału. Dzisiaj jednak nawet jego sposób poruszania się zdradzał powolność i niepewność, a z każdym krokiem jego lęk i obawa rosły. Wydawało mu się, że światła stają się coraz ciemniejsze, a ściany wokół coraz ciaśniejsze. Krew w żyłach pulsowała mu coraz gwałtowniej i miał silne przekonanie, że za chwilę wydarzy się coś strasznego.

Obezwładniający strach przywodził mu na pamięć niedawne wydarzenia w Izraelu, kiedy był przekonany, że niechybnie zginie. Czy i teraz grozi mu to samo? Nie było widać żadnego fizycznego zagrożenia, a mimo to ludzie, którzy w jakiś sposób skrzyżowali swoje drogi z Carpathia albo też weszli w konflikt z planami Stonagala wobec Carpathii, byli już martwi. Czy Buck będzie następnym w kolejce: po rywalu Carpathii w rumuńskich interesach, po Dirku Burtonie, Alanie Tompkinsie i Ericu Millerze?

Nie, to, czego się obawiał, nie było fizycznym zagrożeniem życia. A przynajmniej nie teraz i nie w tym miejscu. W miarę zbliżania się do prywatnej sali konferencyjnej wyraźniej odczuwał zło, jakby fizycznie obecne w tym miejscu. Prawie bezwiednie Buck zaczął się modlić: *Boże, proszę, bądź ze mną. Daj mi swoją ochronę.*

Nie odczuł ulgi. Wręcz przeciwnie, jego myśli o Bogu sprawiły, że poczucie wszechogarniającego zła stawało się coraz bardziej intensywne. Zatrzymał się jakieś trzy metry przed otwartymi drzwiami i chociaż słyszał śmiech i stłumione rozmowy przerywane żartami, był prawie sparaliżowany panującą ciemnością. O, jak bardzo chciał-



by być teraz gdziekolwiek indziej, ale zdawał sobie sprawę, że nie może się już wycofać. Znajdował się tuż przed pomieszczeniem, w którym zgromadzili się wszyscy nowi przywódcy świata i każdy zdrowo myślący człowiek dałby wszystko, żeby tu być.

Buck uświadomił sobie nagle, że tak naprawdę sam chciał się tu znaleźć. W tej chwili jednak marzył, aby to spotkanie należało już do przeszłości, aby odbyło się już to przyjęcie nowych przywódców, aby wygłosili swoje przemówienia, i aby już opisał to wszystko w piśmie.

Próbował się zmusić do przekroczenia drzwi, zagłuszyć swoje myśli. Znowu zaczął w duchu wołać do Boga, ale czuł się jak tchórz - tak samo jak wszyscy inni, którzy postępują w myśl powiedzenia: jak trwoga, to do Boga. Lekceważył Boga przez większość swojego życia, a teraz, kiedy przechodził przez najciemniejsze zakątki duszy, nagle chciał upaść na kolana.

Prawda była taka, że nie należał do Boga. A przynajmniej jeszcze nie teraz. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Bóg odpowiedział na modlitwę Chloe o znak, zanim zdecydowała się podjąć ostateczną decyzję co do swojego duchowego przymierza z Nim. Dlaczego w takim razie nie odpowiada na błagania i prośby Bucka o bezpieczeństwo i wewnętrzny pokój?

Nie mógł się ruszyć z miejsca, aż wreszcie Steve Plank zauważył go.

— Bucki Prawie zaczynamy. Chodź tutaj i zajmij swoje miejsce.

Ale Buck był panicznie przerażony.

— Steve, muszę szybko pójść do toalety. Mam jeszcze minutę?

Steve zerknął na zegarek.

— Masz pięć — powiedział. — A kiedy wrócisz, będziesz siedział tu, w tym miejscu.

Steve wskazał na krzesło w rogu kwadratu ustawionego z kilku stołów. Dziennikarska dusza Bucka lubiła takie miejsca. Stamtąd wszystko było najlepiej widać. Przebiegł wzrokiem po identyfikatorach ustawionych na stołach. Będzie siedział na wprost głównego stołu, Carpathia posadził go dokładnie naprzeciwko Stonagala...

a może to sam Stonagal zadysponował, kto gdzie będzie siedział? Obok Carpathii, po drugiej stronie, znajdowała się tabliczka z odręcznym napisem: „Osobisty asystent”.

— Czy to twoje miejsce? — spytał Steve'a.

— Nie. — Steve wskazał na inny róg stołu naprzeciwko Bucka.

— Czy jest tutaj Todd-Cothran? — zapytał.

— Oczywiście. O tam, w tym jasnoszarym garniturze.

Brytyjczyk wypadł w tym towarzystwie dość błado. Ale tuż za nim byli obydwa - Stonagal w czarnym garniturze i Carpathia wyglądający nienagannie w czarnym, lśniącym ubraniu, białej koszuli, z jaskrawoniebieskim krawatem i złotą spinką. Buck skłonił się nieznacznie na jego widok, a Carpathia w odpowiedzi szeroko się uśmiechnął i pomachał mu na powitanie. Buck wskazywał, że musi na chwilę wyjść.

— Teraz masz tylko cztery minuty — powiedział Steve do niego. — Idź, tylko się pośpiesz.

Buck postawił torbę dziennikarską w rogu obok siedzenia otyłego, siwego strażnika, pomachał staremu przyjacielowi Chaimowi Rosenzweigowi i wybiegł na korytarz. Postawił kubek na śmieci przed toaletą i zamknął drzwi na klucz od środka. Oparł się plecami o drzwi, wpychając ręce głęboko do kieszeni spodni, opuścił brodę na piersi, pamiętając wskazania Bruce'a, że może rozmawiać z Bogiem tak jak z przyjacielem.

— Boże — powiedział — potrzebuję Cię w moim życiu i to nie tylko ze względu na to spotkanie. Na zawsze.

Jak się modlił, tak wierzył. Nie był to żaden eksperyment ani próba zbliżenia się do Boga w obawie o życie. Nie miał zamiaru próbować doświadczeń z Bogiem. Był szczery w tym, co robił, i miał świadomość, że naprawdę rozmawia z samym Bogiem. Przyznał, że Go potrzebuje, wyznał, że wie o tym, iż jest zgubiony i tak grzeszny jak mało kto. Nie modlił się dokładnie tą modlitwą, o jakiej słyszał od wielu wczoraj w kościele, ale kiedy skończył, wiedział, że uczynił to samo, co tamci ludzie i miał nadnaturalną głęboką świadomość, że Bóg go wysłuchał. Buck nie był typem człowieka, który

bez zastrzeżeń angażuje się w coś nowego. Ale kiedy już się na coś zdecydował, nie zawracał z obranej drogi.

Wrócił z powrotem na salę konferencyjną, tym razem jednak szybciej i o dziwo, bez tego okropnego, paraliżującego uczucia. Nawet zapomniał pomodlić się o ochronę i pokój. Modlitwa w toalecie dotyczyła jego własnej duszy. Nie wiedział, czego może oczekiwać po powrocie do sali, ale na pewno nie doświadczał już obezwładniającego uczucia strachu.

Tym razem się nie wahał. Kiedy wszedł do środka, wszyscy siedzieli na swoich miejscach - Carpathia, Stonagal, Todd-Cothran, Rosenzweig, Steve wraz z ambasadorami i finansowymi potęgami świata. Była też jedna osoba, której Buck absolutnie nie spodziewał się tu spotkać - Hattie Durham. Szeroko otworzył oczy ze zdumienia, gdy zajęła miejsce osobistego asystenta Nicolae Carpathii. Mrugnęła do niego, ale Buck udał, że jej nie zauważył. Pośpieszył po swoją torbę i dziękując strażnikowi, wyjął tylko mały notatnik.

Chociaż żadne nadzwyczajne uczucie nie towarzyszyło decyzji Bucka, wiedział, że w jego życiu wydarzyło się coś szczególnego. Ani przez chwilę nie wątpił, że Antychryst opisany w Biblii znajduje się w tej sali. I niezależnie od tego, co wiedział o Stonagalu i o tym, co zaaranżował on w Anglii, niezależnie od odrażającego uczucia, jakie mu towarzyszyło, gdy obserwował tego zadowolonego z siebie człowieka, Buck wyraźnie odczuwał prawdziwie i głęboko obecność złego ducha, ducha ciemności, gdy przyglądał się, jak Carpathia zajmuje miejsce przy stole konferencyjnym. Nicolae czekał, aż wszyscy usiądą, po czym powstał z godnością.

— Panowie... pani... — zaczął — oto nadszedł wreszcie ten jakże ważny dla nas wszystkich moment. Za kilka minut przywitamy dziennikarzy oraz przedstawimy tych z was, którym powierzono wprowadzenie świata w nową erę złotego porządku. Wszystkie narody świata zjednoczą się wkrótce i staniemy w obliczu największych wyzwania ludzkości oraz największych możliwości, jakie kiedykolwiek stanęły przed globalną społecznością.

## *Rozdział dwudziesty piąty*

Nicolae Carpathia wyszedł z za swojego stołu i podchodził kolejno do wszystkich. Wymieniając każdego po imieniu, prosił, by wstawali ze swoich miejsc, ścisnął im rękę i całował w oba policzki. Ominął Hattie, która siedziała najbliżej niego i rozpoczął od nowego ambasadora brytyjskiego.

— Panie Todd-Cothran — zwrócił się do Anglika — mianuję pana ambasadorem Stanów Wielkiej Brytanii, która obejmuje większość terytorium dotychczasowej Wschodniej i Zachodniej Europy. Witam pana w naszym gronie, nadając prawa i przywileje stosowne do pańskiego stanowiska. Wierzę, że wobec mnie i powierzonych panu obowiązków okaże się pan konsekwentny w działaniu i mądry w sprawowaniu władzy, którym to cechem zawdzięcza pan obecne stanowisko.

— Dziękuję, Sir — odrzekł Todd-Cothran, siadając, gdy Carpathia podszedł do następnej osoby. Todd-Cothran wyglądał na zdumionego podobnie, jak wielu innych na sali, gdy Nicolae powtórzył tę samą formułkę nadając ten sam tytuł — ambasadora Stanów Wielkiej Brytanii — innemu angielskiemu potentatowi finansowemu siedzącemu obok niego. Todd-Cothran uśmiechnął się pobłaźliwie. Najwidoczniej Carpathia musiał się pomylić, gdyż powinien nazwać tego człowieka jego doradcą finansowym. Jednak Buck nie widział dotąd, aby Carpathia popełnił taką pomyłkę i to jeszcze w takiej chwili.

Carpathia obchodził ustawione w kwadrat stoły, przechodząc od jednej osoby do drugiej i wypowiadając podobne formuły wobec poszczególnych ambasadorów. Formuła brzmiała nieco inaczej wobec jego doradców i bezpośrednich asystentów.

Kiedy Carpathia podszedł w końcu do Bucka, poczuł się jakby niepewnie. Buck nie wiedział, jak się zachować. Ciepły uśmiech Carpathii zachęcał go do powstania z miejsca. Gdy Buck wstał, zachwiał się, a w drżących rękach trzymał długopis i notes, stojąc przed zachowującym się co najmniej teatralnie Carpathia. Uścisk ręki Nicolae był pewny i mocny, recytował przed Buckiem swoją formułę. Cały czas patrzył Buckowi prosto w oczy i mówił cicho z poczuciem władzy.

— Panie Williams — powiedział — witam pana w naszym gronie, nadając prawa i przywileje stosowne do pańskiego nowego stanowiska...

Co to ma być? Buck absolutnie nie spodziewał się czegoś takiego, chociaż brzmiało to tak pewnie i niewątpliwie mogło schlebiać. Jednak nie należał do żadnego gremium i żadne prawa ani przywileje nie były mu nigdy nadawane. Potrząsnął nieznacznie głową, dając znak, że najwidoczniej Carpathia ponownie pomylił się, biorąc Bucka za kogoś innego. Ale Nicolae kiwnął twierdząco głową i jeszcze szerzej uśmiechnął się, patrząc Buckowi głębiej w oczy. Dobrze wiedział, co robi.

— Wierzę, że wobec mnie i powierzonych panu obowiązków, okaże się pan konsekwentny w działaniu i mądry w sprawowaniu władzy, którym to cechom zawdzięcza pan obecne stanowisko.

Buck chciał się wyprostować, żeby podziękować swojemu mentorowi - przywódcy za obdarzenie takim zaufaniem i honorem. Ale nie! To niewłaściwe! Przecież nie pracuje dla Carpathii. Jest niezależnym dziennikarzem, a nie jakimś zwolennikiem, naśladowcą, a już w ogóle nie jego pracownikiem. W głębi duszy walczył z pokusą powiedzenia: — Dziękuję, Sir — tak jak wszyscy. Wyraźnie odczuwał i wręcz mógł widzieć zło emanujące od tego człowieka i z całym sił powstrzymywał się, aby nie wskazać palcem na niego i wykrzyknąć: Antychryst! Prawie słyszał ten krzyk w głębi swej duszy.

Nicolae ciągle stał przed nim, przyglądając się, uśmiechając i nadal potrząsając jego ręką. Po chwili żenującej ciszy Buck usłyszał czyjś chichot i Carpathia odezwał się:

— Jesteś naprawdę mile widziany w naszym gronie, mój bohaterze z zawiązanym językiem.

Wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem i oklaskami, gdy Carpathia całował go w oba policzki, ale Buck wcale się nie uśmiechał ani nawet nie podziękował sekretarzowi generalnemu. Zaszło mu w gardle i jakby jakiś niewidzialny węzeł ścisnął mu krtań, tak że nie mógł wyrzucić z siebie słowa.

Gdy Carpathia odszedł, Buck nagle uświadomił sobie, co się stało. Gdyby wcześniej nie powierzył swojego życia Bogu, z pewnością zostałyby wciągnięty w orbitę tego człowieka - zwodziciela. Widział to wyraźnie na twarzach wszystkich pozostałych osób. Czuli się zaszczytzeni ponad miarę, wywyższeni do władzy, zdobywszy tak wielkie zaufanie; zauważył to nawet na twarzy Chaima Rosenzweiga. Hattie niemal się rozplywała w obecności Carpathii.

Bruce Barnes błagał Bucka, by nie szedł na to spotkanie i teraz Buck zrozumiał dlaczego. Gdyby był nieprzygotowany, a Bruce, Chloe i prawdopodobnie kapitan Steele nie modlili się za niego, kto wie, czy zdążyłby na czas podjąć decyzję poddania się Chrystusowi. Inaczej nie mógłby się oprzeć pokusie szybkiego i łatwego zdobycia władzy i autorytetu. Tylko za jaką cenę?

Carpathia przeszedł z kolei do Steve'a, który tryskał dumą. W końcu obszedł prawie wszystkich uczestników spotkania, z wyjątkiem strażnika, Hattie i Jonathana Stonagala. Powrócił na swoje miejsce zwracając się najpierw do Hattie.

— Pani Durham — powiedział, ujmując jej ręce w swoje dłonie — porzuciła pani błyskotliwą karierę w lotnictwie cywilnym, aby zostać tu przedstawiona jako moja osobista asystentka. Witam panią w naszym gronie i nadaję prawa i przywileje związane z pani nowym stanowiskiem. Wierzę, że wobec mnie i powierzonych pani obowiązków okaże się pani konsekwentna w działaniu i mądra w sprawowaniu władzy, którym to cechom zawdzięcza pani obecne stanowisko.

Buck próbował uchwycić spojrzenie Hattie i potrząsał głową, ale w jej oczach był zerem w porównaniu z nowym szefem. Zadawał sobie

pytanie, czy popełnił błąd, zapoznając ich ze sobą kilka dni temu? Zastanawiał się, czy nadal może jakoś do niej dotrzeć? Rozejrzał się się po sali. Wszyscy spoglądali na tych dwoje z szerokim, błogim uśmiechem, gdy Hattie wyjąkała jakieś serdeczne podziękowania i usiadła. Carpathia nagle bardzo dramatycznie zwrócił się w stronę Jonathana Stonagala, który uśmiechając się charakterystycznie dostojnie wstał z miejsca.

— Od czego mam zacząć, Jonathanie, mój stary przyjacielu? — zapytał Carpathia. Stonagal z wdzięcznością pochylił głowę, a na sali rozległ się pomruk uznania wobec człowieka, który w istocie zasłużył sobie na szczególne potraktowanie.

Carpathia, ściskając dłoń Stonagala, zaczął wypowiadać swoją formułkę:

— Panie Stonagal, chcę, żeby wszyscy wiedzieli, iż znaczy pan dla mnie więcej niż ktokolwiek na świecie.

Stonagal stał wyprostowany i patrzył Carpathii prosto w oczy.

— Witam pana w naszym gronie — powiedział Carpathia — nadaję panu prawa i przywileje związane z pana nowym stanowiskiem.

Stonagal nawet nie drgnął, najwyraźniej nie będąc zainteresowany uczestnictwem w żadnym gremium ani też nie chcąc być witany w taki sposób przez człowieka, z którego sam przecież zrobił najpierw prezydenta w jego własnym kraju, a w końcu doprowadził go do stanowiska sekretarza generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych. Uśmiech na jego twarzy zastygł, aż w końcu całkiem zniknął, gdy Carpathia kontynuował:

— Wierzę, że wobec mnie i powierzonych panu obowiązków okaże się pan konsekwentny w działaniu i mądry w sprawowaniu władzy, którym to cechom zawdzięcza pan obecne stanowisko.

Zamiast podziękować Carpathii, Stonagal wyrwał dłoń z uścisku i patrzył zdumiony na o wiele młodszego od siebie mężczyznę. Carpathia nie spuszczał z niego wzroku i powtórnie przemówił ciszej, nieco cieplejszym głosem:

— Proszę usiąść, panie Stonagal.

— Nie mam takiego zamiaru! — wybuchnął ze złością Stonagal.

— Sir, muszę panu powiedzieć, że miałem dobrą rozrywkę pańskim kosztem, ale teraz doszliśmy już do końca naszej zabawy. Sądzę, że pan rozumie, o co chodzi?

Stonagal poczerwieniał i widać było, że ugryzł się w język.

— Wybacz mi, Nicolae — powiedział, zmuszając się do uśmiechu, chociaż nie potrafił ukryć niezadowolenia z tego, iż został zmuszony do udziału w tym szokującym przedstawieniu.

— Proszę, przyjacielu — Carpathia ponownie zwrócił się do niego — zajmij swoje miejsce. Panowie... pani... pozostało nam zaledwie kilka minut, zanim staniemy przed środkami masowego przekazu.

Buck nie mógł oderwać oczu od Stonagala, który kipiał złością. Carpathia kontynuował:

— Chciałbym zaprezentować państwu krótką lekcję pokazową moich zdolności przywódczych, abyście bez obaw i żadnych zastrzeżeń mogli mnie naśladować, jako -jeśli tak mogę powiedzieć - waszego wodza. Panie Oterness, czy mógłby pan tutaj podejść?

Strażnik, siedzący dotychczas spokojnie w rogu pomieszczenia, jakby przebudził się zaskoczony i pośpieszył w kierunku Carpathii.

— Jedną z moich zdolności przywódczych jest niezwykła umiejętność obserwacji, połączona z nadzwyczajną pamięcią - chwalił się Nicolae.

Buck w dalszym ciągu patrzył na Stonagala, który najwyraźniej obmyślał zemstę za publiczne upokorzenie. Wydawało się, że jest gotowy w każdej chwili wstać z miejsca i usadzić Carpathię.

— Pan Oterness jest zaskoczony, że wymieniłem go po nazwisku, gdyż nie zostaliśmy sobie wcześniej przedstawieni, prawda?

— Tak jest, Sir, to znaczy nie, proszę pana, nie byliśmy sobie przedstawieni.

— A jednak znam pana nazwisko.

Podeszły już w latach strażnik uśmiechnął się i przytaknął.

— Mogę także powiedzieć, jaką broń ma pan w kaburze i podać dokładnie jej model i kaliber. Proszę odpiąć pas i pokazać broń wszystkim uczestnikom spotkania, podczas gdy ja się odwrócę.



Buck przyglądał się z przerażeniem, jak pan Oterness odpina skórzany pas ze sporych rozmiarów bronią. Wyciągnął pistolet z kabury, trzymając go wysoko nad głową, tak aby wszyscy mogli go widzieć, z wyjątkiem Carpathii, który stał odwrócony, z zamkniętymi oczami. Stonagal nadal był czerwony na twarzy i ledwie dyszał ze złości.

— Mogę powiedzieć, że trzyma pan w dłoniach specjalną broń policyjną kaliber trzydzieści osiem, o długości lufy wynoszącej dziesięć centymetrów, naładowaną szybkostrzelnymi, pełnymi nabojami z wydrążonymi czubkami.

— Całkowicie się zgadza — powiedział zdumiony strażnik.

— Czy mogę go chwilę potrzymać? — spytał Carpathia.

— Oczywiście, Sir.

— Dziękuję bardzo. Teraz może pan wrócić na swoje miejsce, gdzie znajduje się też reporterska torba pana Williamsa zawierająca podręczny magnetofon, telefon komórkowy i laptop. Zgadza się, Cameron?

Buck wpatrywał się w niego rozszerzonymi źrenicami, nie mogąc wydobyć słowa. Dotarła do niego złośliwa uwaga Stonagala: *Co to za trik.*

Carpathia nadal uporczywie wpatrywał się w Bucka, nie wpyrując ani słowa.

— Co to ma być? — Stonagal zaczął się niecierpliwić. — Postępujesz jak dziecko.

— Za chwilę wszystkiego się dowiesz i przekonasz na własnej skórze — powiedział Carpathia, a Buck na nowo odczuł przypływ potężnej mocy zła w pomieszczeniu. Poczł jak całe ciało zrasza mu pot i za wszelką cenę chciał znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. Nie mógł się jednak poruszyć. Inni też byli jak sparaliżowani, chociaż nie aż tak przerażeni jak on i Stonagal.

— Za chwilę poproszę pana Stonagala, aby jeszcze raz wstał ze swojego miejsca — powiedział do Bucka, dzierząc wielki policyjny rewolwer.

— Jonathan — zwrócił się do starszego mężczyzny — czy mógłbyś wstać?

Stonagal nie ruszył się z miejsca i patrzył ze złością na swojego wychowanka. Carpathią uśmiechał się.

— Jonathan, wiesz przecież, że możesz mi ufać, prawda? Kocham cię ponad wszystko za to, co dla mnie zrobiłeś i pokornie proszę, żebyś zechciał asystować mi podczas tego pokazu. Występuję teraz w roli nauczyciela, sam to nawet powiedziałeś. Przez wiele lat ty byłeś moim nauczycielem.

Stonagal, ociągając się, podniósł się wreszcie sztywno.

— A teraz chcę cię prosić, żebyśmy zamienili się miejscami.

Stonagal zaklął i krzyknął:

— Po co to wszystko? Do czego zmierzasz? — domagał się wyjaśnień.

— Wkrótce wszystko się wyjaśni, a wtedy nie będę już potrzebował twojej pomocy.

Buck wiedział, że dla innych może to znaczyć, iż Carpathią nie będzie potrzebował pomocy Stonagala podczas tego pokazu. Spodziewali się, że w momencie, gdy odesłał rozbrojonego strażnika, podziękuję Stonagalowi i pozwoli mu wrócić na miejsce.

Stonagal z wyrazem dezaprobaty na twarzy zamienił się miejscami z Carpathią. Teraz był po jego prawej stronie. Z lewej strony Stonagala siedziała Hattie, a tuż za nią Todd-Cothran.

— A teraz proszę cię, Jonathanie, żebyś przede mną uklęknął — powiedział niespodziewanie Carpathią, a jego uśmiech i słodki głos zniknęły w jednej chwili. Buckowi zdawało się, że wszyscy wstrzymali oddech i czekali, co będzie dalej.

— Posuwasz się za daleko, Nicolae, na pewno tego nie zrobię.

— Oczywiście, że zrobisz — powiedział cedząc słowa Carpathią. — I zrobisz to teraz, w tej chwili.

— Nie, Nicolae, możesz być pewny, że cię nie posłucham — odparł gniewnie Stonagal. — Straciłeś rozum? Nie pozwolę się tak upokorzyć. Jeśli ci się wydaje, że zdobyłeś nade mną władzę, to się grubo mylisz.

Carpathią uniósł rewolwer, odbezpieczył go i przyłożył do ucha Stonagala. W pierwszej chwili stary człowiek cofnął się, ale Carpathią odezwał się złowrogo:

— Zrobisz jeszcze jeden krok i będziesz martwy.

Kilka osób podniosło się z przerażenia, a Rosenzweig krzyknął:

— Nie, Nicolael

— Wszyscy na miejsca — rozkazał Carpathia stalowym głosem,  
— a ty, Jonathan, na kolana.

Z bolesnym grymasem na twarzy stary człowiek przykucnął, przytrzymując się krzesła Hattie. Nie patrzył przy tym w ogóle na Carpathię. W jego uchu nadal tkwił rewolwer. Hattie siedziała jak sparaliżowana i blada jak trup.

— Moja droga — wrócił się do niej Carpathia, nachylając się ponad głową Stonagala — czy mogłabyś odsunąć swoje krzesło z metr do tyłu, tak abym nie poplamiał twojego ślicznego ubrania?

Nie była zdolna do jakiegokolwiek ruchu.

Stonagal zaczął skomleć:

— Nicolae, czemu mi to robisz? Przecież jestem twoim przyjacielem! Nie musisz się mnie obawiać!

— Błaganie nie leży w twojej naturze, Jonathan. Zamknij się więc. Hattie, czy możesz zrobić to, o co cię prosiłem? — kontynuował, patrząc, jej teraz głęboko w oczy — wstań, przesun swoje krzesło do tyłu i usiądź. Włosy, skóra, resztki czaszki i mózgu rozprysną się głównie na panu Todd-Cothranie i innych siedzących obok niego. Nie chcę, byś się czymkolwiek poplamiała.

Trzęsącymi się rękami Hattie posłusznie przesunęła krzesło.

Stonagal jęczał:

— Nie, Nicolae! Nie rób tego!

Carpathia wcale się nie śpieszył.

— Mam zamiar zabić pana Stonagala bezboleśnie, umieszczając w jego głowie kulę z wydrążonym otworem, której ani nie usłyszysz, ani nawet nie poczuje. Pozostali usłyszą tylko huk. Niech to będzie dla wszystkich doskonała lekcja. Zrozumiecie, że mam pełną władzę nad ludźmi i nikogo się nie boję ani nikt nie jest w stanie mi się oprzeć.

Oterness trzymał się za głowę, tak jakby miał silne zawroty, i siedział na podłodze, opierając się na jednym kolanie. Buck rozmyślał nad samobójczym skokiem przez stół w celu wyrwania pistoletu z ręki

szaleńca, ale uświadomił sobie, że w wyniku szarpaniny, jaka z pewnością wywiązałyby się pomiędzy nim a Carpathią, może zginąć więcej osób. Spojrzał na Steve'a, który podobnie jak inni siedział bez ruchu. Todd-Cothram zamknął oczy, a na jego twarzy pojawił się grymas niepewności w oczekiwaniu na to, co się może wydarzyć.

— Kiedy już pan Stonagal będzie martwy, powiem wam, co z tego zapamiętacie. A żeby nikt nie mówił, iż byłem nie fair, nie mówiąc, co się następnie wydarzy, wyjawię wam, że nie tylko zakrzepła krew wylądowała na ubraniu pana Todd-Cothrana. Prawdę mówiąc, pocisk wylatujący z ogromną szybkością z lufy rewolweru przeszyje głowę pana Stonagala, zabijając także pana Todd-Cothrana. Jak pan pamięta, panie Williams, obiecałem, iż we właściwym czasie rozprawię się z nimi dwoma. Dziś właśnie nastał ten czas.

Todd-Cothran otworzył szeroko oczy, a Buck usłyszał jak krzyknął:

— Nie . — w momencie gdy Carpathią pociągnął za spust. Huk wstrząsnął szybami w oknach i nawet ciężkie drzwi zajęczały w zawiasach. Głowa Stonagala wbiła się w Todd-Cothrana i obaj byli martwi, zanim ich ciała upadły na podłogę.

Kilka krzeseł odsunęło się do tyłu, a siedzący na nich uczestnicy spotkania zasłonili twarze z przerażenia. Buck siedział z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami, wpatrując się, jak Carpathią z zimną krwią umieścił pistolet w rękę Stonagala, zaciskając wskaźnikowy palec na spuście.

Hattie trzęsła się ze strachu i wyglądała, jakby miała zamiar krzyknąć, ale żaden dźwięk nie wydobywał się z jej gardła. Carpathią ponownie zajął miejsce i zabrał głos.

— To, co przed chwilą widzieliśmy — powiedział uprzejmie miłym głosem, jakby przemawiał do dzieci — było straszliwym, tragicznym końcem dwóch osób, które były niezwykle aktywne. Obaj ci mężczyźni byli dla mnie ludźmi, których najbardziej szanowałem i poważałem w życiu i bardzo wiele dla mnie znaczyli. Nie mam pojęcia i pewnie nigdy do końca nie zrozumieję, dlaczego pan Stonagal podbiegł do strażnika, obezwładnił go i wrywał

mu broń, a następnie strzelił sobie w skroń, odbierając w ten sposób życie sobie i swojemu brytyjskiemu koledze.

Buck walczył ze sobą, próbując za wszelką cenę nie dać sobie niczego wmówić i trzeźwo myśleć tak, aby - jak powiedział mu to szef w drodze do gmachu ONZ - „wszystko dokładnie zapamiętać”.

Carpathia kontynuował ze łzami w oczach.

— Pan Stonagal wyznał mi dzisiaj rano podczas śniadania, że czuje się osobiście odpowiedzialny za śmierć dwóch osób w Anglii i nie może już dłużej żyć z poczuciem winy. Prawdopodobnie właśnie dlatego w tak tragiczny sposób odebrał sobie życie. Szczerze mówiąc, myślałem, że dzisiaj po południu odda się w ręce międzynarodowych organów sprawiedliwości. A gdyby tego nie zrobił, ja musiałbym to zgłosić policji. W jaki sposób spiskował razem z panem Todd-Cothranem, tego nie wiem. Ale jeśli rzeczywiście był za to odpowiedzialny, to możemy tylko powiedzieć, iż faktycznie sprawiedliwości stało się zadość i to tutaj, w tym miejscu.

Wszyscy byliśmy świadkami straszliwej tragedii, która nas sparaliżowała. Zresztą kogo taki postępek by nie przeraził? Jestem zmuszony, jako sekretarz generalny, zawiesić przynajmniej na jeden dzień działalność organizacji na znak żałoby po moich dwóch najserdeczniejszych przyjaciółach. Mam nadzieję, że wszyscy poradzicie sobie jakoś z tym wstrząsającym wydarzeniem i że nie zaciąży to na waszej służbie, do której zostaliście powołani.

Dziękuję wam, panowie. Podczas, gdy pani Durham zadzwoni po służbę bezpieczeństwa, chciałbym zapytać niektórych z was o to, co tu widzieli.

Hattie biegła do telefonu i ledwie mogła opanować przyływy hysterii.

— Przyjdźcie natychmiast do prywatnej sali konferencyjnej! Miało tu miejsce samobójstwo i dwóch mężczyzn leży nieżywych. To straszne! Pośpieszcie się!

— Panie Plank? — zwrócił się Carpathia do swojego rzecznika prasowego. — Co pan widział?

— To nieprawdopodobne — powiedział Steve, a Buck widział, że mówił śmiertelnie poważnie z absolutnym przekonaniem prawdy. — Kiedy pan Stonagal wyrwał strażnikowi rewolwer, myślałem, że chce nas wszystkich pozabijać!

Carpathia zwrócił się do ambasadora Stanów Zjednoczonych.

— Dlaczego? Przecież znałem Jonathana od wielu lat — powiedział. — Kto mógł pomyśleć, że zrobi coś takiego?

— Całe szczęście, że panu nie przytrafiło się nic złego — powiedział Chaim Rosenzweig.

— Rzeczywiście, nic mi nie jest — odparł Carpathia. — Ale przez dłuższy czas będzie mi trudno się uspokoić. Przecież to byli moi przyjaciele.

Tak samo mówili wszyscy inni. Buck czuł ciężar swego ciała, bo wiedział, że w każdej chwili Carpathia może podejść także do niego. Zdawał sobie sprawę, że tylko on nie uległ hipnotycznej mocy Nicolae. Co się stanie, jeśli Buck powie prawdę? Czy będzie następną ofiarą? Najprawdopodobniej tak! Musi być zabity. Czy w takim razie może skłamać? Czy powinien?

Rozpaczliwie modlił się i wołał do Boga, gdy Carpathia przechodził od jednego do drugiego, upewniając się, że wszyscy mówią to, co on chce i są całkowicie pewni, że tak było naprawdę.

*Bądź cicho*, wydawało się, jakby Bóg przemówił do serca Bucka. *Nie odzywaj się ani słowem.*

Buck był ogromnie wdzięczny, że odczuwał obecność Boga w środku panoszącego się zła i chaosu, do tego stopnia, że miał łzy w oczach. Kiedy Carpathia doszedł do niego, policzki Bucka były mokre i nie był w stanie wydać z siebie dźwięku. Potrząsnął głową, podnosząc ręce.

— Straszne, co Cameron? Samobójstwo, które zabrało życie panu Todd-Cothranowi?

Buck nie mógł mówić, a nawet gdyby mógł, też by się nie odezwał.

— Szanowałeś ich obydwu, Cameron, chociaż nie wiedziałeś, że to oni właśnie chcieli cię zabić w Londynie.

Po tych słowach Carpathia podszedł do strażnika

— Scott, dlaczego go nie powstrzymałeś?

Starszy mężczyzna podniósł się z miejsca.

— To wszystko stało się tak szybko! "Wiedziałem, kim jest, ważna osobistość, najbogatszy ze wszystkich i kiedy podbiegł, nie wiedziałem, czego ode mnie chce. Wyrwał mi rewolwer prosto z kabury tak szybko, że zanim zdążyłem się ruszyć, już strzelił sobie w głowę. Straszne!

— Tak, tak — powtarzał Carpathia, gdy służba ochrony sekretarza generalnego wbiegła do sali konferencyjnej. Wszyscy głośno mówili, relacjonując przebieg wydarzeń, podczas gdy Carpathia usunął się w róg pomieszczenia i szlochał za utraconymi przyjaciółmi.

Oficer śledczy zadawał pytania naocznym świadkom. Buck zwrócił się do niego.

— Ma pan tutaj wystarczającą liczbę świadków. Proszę przyjąć moją wizytówkę i jeśli będę potrzebny, może pan zadzwonić do mnie, dobrze? — Policjant wziął jego wizytówkę, dając mu swoją, po czym Buck otrzymał zgodę na opuszczenie miejsca.

Złapał swoją reporterską torbę i pobiegł do taksówki, która zawiozła go do redakcji. Zamknął drzwi na klucz i w szalonym tempie zaczął opisywać każdy szczegół tragicznego wydarzenia. Zapisał już kilka stron, gdy zadzwonił Stanton Bailey. Stary szef ledwie łapał oddech, zasypując Bucka lawiną pytań i nie zostawiając mu czasu na odpowiedź.

— Gdzie byłeś? Czemu nie było cię na konferencji prasowej? Byłeś w środku, gdy Stonagal odebrał sobie życie, zabijając przy tym Anglika? Powinieneś tam być. To miał być dla nas wielki honor i wyróżnienie, że zostałeś zaproszony na to spotkanie. W jaki sposób przekonasz wszystkich, że tam byłeś, skoro nie było cię na konferencji prasowej? Cameron! Co się dzieje? Żądam wyjaśnień!

— Natychmiast po spotkaniu przyleciałem tutaj, żeby opisać to tragiczne wydarzenie.

— A czy nie powinieneś mieć akurat teraz wywiadu z Carpathia? Przecież, o ile pamiętam, było to zaplanowane na dzisiaj, prawda?

Buck zupełnie o tym zapomniał, a Plank też tego nie potwierdził. Co teraz miał zrobić? Modlił się żarliwie, ale nie odczuwał Bożego kierownictwa w tej sprawie. Och, jak bardzo chciał teraz porozmawiać z Bruce'em albo Chloe czy nawet z kapitanem Steele'em!

— Zadzwoń do Steve'a i sprawdź, czy to aktualne — powiedział.

Buck wiedział, że nie może długo zwlekać z telefonem do Steve'a, ale musiał się upewnić, co ma zrobić. Czy powinien przebywać sam na sam w pokoju z Carpathią? A jeśli tak, to czy ma stwarzać pozory, że podlega jego manipulacji tak jak wszyscy inni? Gdyby nie widział tego na własne oczy, nigdy by w to nie uwierzył. Czy zawsze będzie mógł obronić się z Bożą mocą przed taką manipulacją? Nie był pewien.

Wykręcił numer pagera Steve'a i po kilku minutach zadzwonił telefon na biurku.

— Jestem naprawdę zajęty, Buck. Co się dzieje?

— Chciałem się dowiedzieć, czy nadal aktualny jest mój wywiad z Carpathią.

— Chyba żartujesz! Słyszałeś, co się tu wydarzyło i nadal chcesz mieć z nim wywiad?

— Słyszałem? Steve, ja tam byłem.

— Jeśli byłeś, to na pewno wiesz już, co się wydarzyło na spotkaniu przed konferencją prasową.

— Steve! Ja to widziałem na własne oczy!

— Ty chyba nie wiesz, o czym mówię. Pozwól więc, że ci powtórzę, iż gdybyś był na konferencji prasowej, to byś słyszał o samobójstwie Stonagała na zamkniętym spotkaniu w prywatnej sali konferencyjnej sekretarza generalnego, tam, gdzie miałeś być.

Buck nie wiedział, co na to powiedzieć.

— Przecież mnie tam widziałeś, Steve, nie pamiętasz?

— Nie widziałem cię nawet na konferencji prasowej.

— To prawda, Steve, nie byłem na konferencji prasowej, ale byłem w sali, w której zginęli Stonagal i Todd-Cothran.

— Buck, wiesz co? Nie mam czasu na takie rozmowy. To wcale nie jest zabawne. Powinieneś tu być, a nie byłeś. Jeśli chcesz wiedzieć, to



jestem oburzony. Carpathia jest obrażony, że zlekceważyłeś jego zaproszenie, nie ma więc mowy o żadnym wywiadzie, rozumiałeś?

— Mam akredytację potwierdzającą mój udział w spotkaniu.

— Czemu więc z niej nie skorzystałeś?

— Oczywiście, że skorzystałem!

Steve odłożył słuchawkę. Marge powiadomiła go przez interkom, że szef znowu jest na linii.

— Co to za historia, że nawet nie poszedłeś na to zamknięte spotkanie? — krzyczał do słuchawki Bailey.

— Byłem tam. Przecież widział pan, jak wchodziłem do środka!

— No pewnie, że cię widziałem. Tylko że to było przed drzwiami. Powiedz mi, co potem zrobiłeś, miałeś coś ważniejszego do załatwienia? Cameron, wytłumacz się!

— Już panu mówiłem, że byłem tam! Pokażę panu akredytację.

— Właśnie sprawdziłem listę akredytacyjną — nie ma cię na niej.

— Oczywiście, że jestem! Mogę panu pokazać.

— Tak, twoje nazwisko jest tam, to się zgadza, ale nie zakreślonę, co oznacza, że się nie zgłosiłeś.

— Panie Bailey, trzymam w tej chwili w ręku swoją akredytację.

— Twój świstek papieru nie jest nic wart, jeśli go nie użyjesz, Cameron! Masz mi powiedzieć, gdzie byłeś!

— Proszę przeczytać to, co do tej pory napisałem — powiedział Buck dosyć mocno już poirytowany. — Wtedy sam się pan przekona, gdzie byłem.

— Rozmawiałem z trzema, nie, z czterema ludźmi, którzy tam byli, włącznie ze strażnikiem, osobistą asystentką Carpathii, nie wspominając już o Planku. Nikt cię nie widział, bo cię tam nie było.

— Policjant mnie widział. Wymieniliśmy wizytówki!

— Williams, wracam do biura. Jeśli cię tam nie zastanę, to zbieraj swoje manatki, bo wylecisz z pracy.

— Będę na pana czekał.

Buck wyciągnął wizytówkę policjanta i zadzwonił na podany numer.

— Posterunek okręgowy — odezwał się głos.  
Buck przeczytał nazwisko z wizytówki.  
— Czy mogę rozmawiać z detektywem sierżantem Billym Cennim?  
— Proszę powtórzyć nazwisko.  
— Cenni, a może powinno się wymawiać przez K? Kenny?  
— Nie ma u nas takiego człowieka. Dzwoni pan na właściwy posterunek?  
Buck powtórzył numer telefonu z wizytówki.  
— Tak, to nasz numer, ale u nas nie ma takiego człowieka.  
— W jaki sposób mogę go odszukać?  
— Jestem zajęty, chłopie, zadzwoń do śródmieścia.  
— Ale to dla mnie bardzo ważne. Czy macie jakiś spis funkcjonariuszy w departamencie?  
— Posłuchaj, w Nowym Jorku są tysiące policjantów.  
— Nie możesz poszukać dla mnie w tym spisie nazwiska C-E-N-N-I? Proszę.  
— W porządku, poczekaj. — Po chwili był z powrotem. — Nie ma takiego, już ci mówiłem.  
— A może to jest jakiś nowy glina?  
— Dla mnie może być nawet twoją siostrą.  
— Dokąd mam zadzwonić, żeby się dowiedzieć?  
Dostał numer telefonu głównego zarządu policji. Buck znowu odbył podobną rozmowę, ale tym razem rozmawiał z przyjemniejszą młodą kobietą.  
— Zrobię dla ciebie jeszcze jedno — powiedziała. — Zadzwońię do działu kartotek, gdzie dokładnie sprawdzą dane.  
Słuchał jak przeliterowała komuś nazwisko nieznanego nikomu oficera.  
— Aha, tak, dobrze — mówiła. — Dziękuję bardzo. Przekażę mu.  
Wróciła do telefonu, przez który rozmawiała z Buckiem.  
— Sir? W kartotekowym powiedzieli mi, że osoby o nazwisku Cenni nie ma w całym Departamencie Policji Nowego Jorku i nigdy nie było. Jeśli ktoś podrobił policyjną wizytówkę, chętnie ją obejrzą.

Buck musiał teraz znaleźć jakiś sposób, żeby przekonać Stantonę Bailey. Jak to zrobić?

Rayford Steele, Chloe i Bruce Barnes oglądali transmisję z konferencji prasowej, próbując znaleźć Bucka.

— Gdzie on jest? — pytała Chloe. — Przecież powinien gdzieś tam być. Wszyscy, którzy byli na tym zamkniętym spotkaniu, są na konferencji prasowej. Zaraz, kim jest ta dziewczyna?

Rayford aż się podniósł z miejsca, gdy ją zobaczył i w milczeniu wskazał na ekran.

— Tato! — zawołała Chloe. — Czy widzisz to samo co ja?

— Wygląda zupełnie jak ona — odpowiedział Rayford.

— Cicho — wtrącił się Bruce — Carpathia przedstawia wszystkich po kolei.

— .. oraz moją osobistą asystentkę, która pozostawiła błyskotliwą karierę w lotnictwie cywilnym...

Rayford opadł na krzesło.

— Mam nadzieję, że nie stoi za tym Buck.

— Ja też — powiedział Bruce. — To by oznaczało, że on też został w to wciągnięty.

Wiadomość o samobójstwie Stonagala i nieszczęsnym zgonie Todd-Cothrana zdumiała ich.

— Może Buck skorzystał z mojej rady i w ogóle nie poszedł na to spotkanie — myślał głośno Bruce. — Oby tak było.

— To niepodobne do niego — zauważyła Chloe.

— Tak, to prawda — poparł córkę Rayford.

— Wiem — zgodził się Bruce. — Mam tylko taką nadzieję. Nawet nie chcę myśleć, że mógłby być wplątany w taką brudną grę. Kto wie, co tam się naprawdę działo; nie mogę sobie wyobrazić, że poszedł tam, mając ochronę tylko naszej modlitwy.

— Myślisz, że nasze modlitwy nie mogły dać mu odpowiedniej ochrony?

— Nie — odpowiedział Bruce zdecydowanie. — On potrzebuje osobistego poznania Boga i Jego bezpośredniej ingerencji w swoje życie.

Gdy godzinę później Stanton Bailey wchodził do redakcji, Buck zrozumiał, że przyszło mu się zmierzyć z potęgą, jakiej nie był w stanie sprostać. Wszelkie ślady mogące świadczyć o jego pobycie na zamkniętym spotkaniu zostały usunięte, włącznie z pamięcią obecnych tam osób. Dobrze wiedział, że Steve nie udawał, mówiąc, że go tam nie było. Naprawdę tak myślał. Moc, jaką Carpathia zademonstrował wobec uczestników spotkania, zdawała się nieograniczona. Jeśli Buck potrzebował jakiegoś dowodu na to, że jego wiara była realna i że Bóg był obecny w jego życiu, to miał to jak na dłoni. Gdyby nie przyjął Chrystusa przed wejściem do sali konferencyjnej, na pewno byłby teraz jeszcze jedną marionetką Carpathii.

Bailey nie był w nastroju do dyskusji, Buck pozwolił więc, żeby stary mówił, nie próbując nawet się bronić.

— Nie chcę więcej słyszeć tych bzdur, że tam byłeś. Wiem, że znajdowałeś się w budynku i widziałem twoją akredytację prasową, ale wiesz tak samo jak ja oraz każdy, kto był na tym spotkaniu, że ciebie na nim nie było. Nie mam pojęcia, dlaczego myślałeś, że może być coś ważniejszego i muszę ci powiedzieć, że bardzo źle postąpiłeś. Absolutnie tego nie akceptuję i nie potrafię ci wybaczyć, Cameron. W związku z tym nie możesz być dłużej moim redaktorem naczelnym.

— Z przyjemnością wrócę na poprzednie stanowisko starszego reportera — odpowiedział Buck pokornie.

— To także nie wchodzi w rachubę, przyjacielu. Chcę, żebyś zniknął mi z oczu na jakiś czas. Zamierzam cię przenieść do naszego oddziału w Chicago.

— Będzie dla mnie zaszczytem prowadzić dla pana ten oddział.

Bailey potrząsnął głową.

— Nie rozumiesz, co ci próbuję przekazać, Cameron? Po dzisiejszym wydarzeniu już ci nie ufam. Właściwie powinienem cię zwolnić. Ale wiem, że gdybym cię zwolnił, poszedłbyś gdzie indziej, do konkurencji.

— Nie mam zamiaru związywać się z kimś innym.

— To dobrze, synu, bo gdybyś próbował związać się z konkurencją, to musiałbym powiedzieć im o całym tym bałaganie, jakiego narobiłeś. Przenoszę cię na stanowisko zwykłego dziennikarza w redakcji w Chicago i będziesz pracował pod kierownictwem kobiety, która była asystentką Lucindy Washington. Jeszcze dzisiaj zadzwonię do niej, żeby jej to przekazać. Naturalnie wiąże się to z drastyczną obniżką wynagrodzenia, szczególnie jeśli porównasz je z tym, co miałeś otrzymać w wyniku awansu, który przeszedł ci koło nosa. Weź sobie kilka dni wolnego, uporządkuj to, co tutaj zostawiasz, znajdź kogoś na swoje mieszkanie i wynajmij sobie coś w Chicago. Któregoś dnia będę chciał, synu, żebyś mi to wytłumaczył i oczyścił się ze wszystkiego. Była to najsmutniejsza wymówka, jaką kiedykolwiek słyszałem i to od najlepszego fachowca w świecie dziennikarskim.

Wychodząc, Bailey trzasnął drzwiami.

Buck nie mógł się doczekać, by porozmawiać z przyjaciółmi z Illinois, ale nie chciał dzwonić do nich z biura ani z domu, nie wiedział też, czy skorzystanie z telefonu komórkowego byłoby bezpieczne. Spakował się więc tak szybko, jak tylko mógł, i taksówką pojechał na lotnisko. Niecałe dwa kilometry przed terminalem poprosił kierowcę, by zatrzymał się przy automacie telefonicznym.

U Steele'ów nikt nie odbierał, więc zadzwonił do kościoła. Bruce podniósł słuchawkę i powiedział, że Chloe i Rayford są z nim.

— Przełącz na głośno mówiący intercom — poprosił Buck.  
— O trzeciej po południu wylatuję liniami American Airlines do Chicago. Chcę, żebyście teraz wiedzieli: Carpathia jest nim, nie mam żadnych wątpliwości co do tego. Wypełnił w stu procentach wszystko, co o nim jest przepowiedziane. Gdy byłem na spotkaniu dzisiaj rano, bardzo silnie odczuwałem wasze modlitwy w mojej intencji.

Bóg mnie ochronił. Teraz jednak muszę się przeprowadzić do Chicago i chcę być członkiem tej grupy, jak ty ją nazwałeś Bruce?

— Opozycji Ucisku?

— No właśnie.

— Czy to oznacza...? — Chloe nie dokończyła.

— Doskonale wiesz, co to oznacza — powiedział Buck z uśmiechem. — Jestem jednym z was.

— Co się stało, Buck? — z zainteresowaniem zapytała Chloe.

— Opowiem wam o tym, gdy się spotkamy— powiedział. — Ale mam historię dla was! I chyba tylko wy mi uwierzycie.

Gdy samolot, którym leciał, dotknął płyty lotniska i zatrzymał się, Buck pobiegł pomiędzy rzędami siedzeń do wyjścia, gdzie z radością powitali go przyjaciele - Chloe, Bruce i Rayford Steele. Wszyscy objęli go w serdecznym uścisku, nawet zwykle sztywny pilot. Gdy usunęli się w róg pomieszczenia, tak żeby nikomu nie przeszkadzać ani nie zwracać na siebie uwagi, Bruce pomodlił się, dziękując Bogu za nowego brata oraz za jego obronę w godzinie tak wielkiej próby.

Przeszli wzdłuż terminalu na parking, krocząc obok siebie i obejmując się ramionami, zjednoczeni we wspólnym celu. Rayford Steele, Chloe, Buck Williams i Bruce Barnes rzucili wyzwanie największemu, niewyobrażalnemu wręcz niebezpieczeństwu, jakie ktokolwiek na Ziemi mógł sobie wyobrazić. Wiedzieli o tym, a mimo to podjęli ryzyko.

Zadanie stojące przed Opozycją Ucisku było jasne i określone. Ich celem było przeciwstawienie się przeciwnikowi Boga, demaskowanie go i walka z nim przez siedem nadchodzących lat, które miały przynieść największe, nieprawdopodobne wręcz zniszczenia, jakie planeta Ziemia widziała do tej pory w ciągu swej długiej historii.